


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HENRYK SIENKIEWICZ

**LISTY Z PODRÓŻY
DO AMERYKI**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WSTĘP

W życiu literackim dzieje się wiele rzeczy tak nagłych a niespodziewanych jak śmierć, od której zastrzegamy się w suplikacjach lub asekurujemy w naszych towarzystwach ubezpieczeń. Co do mnie, jak prawdziwe dziecko wieku nie zwykłem się dziwić lada czemu i gdyby mi ktoś nawet powiedział, że:

Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził.
Był stary, który nigdy nie łąjał, nie zrzędził,

wówczas kiwnąwszy głową poprosiłbym tylko o dalszy ciąg tej dobrej bajki lub co najwięcej zakończyłbym ją tak, jak sam Krasicki:

Wszystko to być może
Prawda, jednakże ja to między bajki włożę.

Lecz gdyby ten sam ktoś przyszedł do mnie w lutym i rzekł mi, że przy końcu marca przejadę Niemcy, Francję, całą długość Anglii; że przepłynę na wiosnę burzliwy Atlantyk, a następnie jak ptak na skrzydłach przelecę niezmierzone przestrzenie wielkiej kolei od New Yorku do San Francisco i strząsnę proch z obuwia mego na brzegach Oceanu Spokojnego, temu odrzekłbym bez wahania:

– Przyjacielu! pisuj artykuły polemiczne do „Kroniki Soblonowskiej”, albowiem widzę, że zmysły twoje nie są z tego świata.

Rzeczywiście: prędzej przypuszczałbym, prędzej uwierzyłbym, że wydadzą składkowy obiad dla mnie, na którym l’abbé Wylizalski powie mówkę na moją cześć i zamianuje mnie p. o. zelanta przy najmłodszej i najprzystojniejszej ze swoich owieczek; prędzej uwierzyłbym, że Antychryst, jak mnie o tym zapewniała jedna z moich kuzynek z Wołynia, przyszedł już na świat; prędzej na koniec uwierzyłbym we wszystko niż w moją wycieczkę do Ameryki.

A jednak – oto jak to się stało.

Pewnego poranku przyszedłem do redakcji i wzięwszy do ręki jedno z pism naszych pocałem je czytać. Było to jakoś w owym czasie, w którym odcinek mój o zelantkach zjednał mi taką sympatię w niektórych sferach naszego społeczeństwa, że stałem się dla nich polnym marszałkiem wszelkich zastępów piekielnych. Zewsząd groziły mi niebezpieczeństwa. Chevalier Zielonogłowski, który już nieraz poprzednio wołał w celu ukarania mnie „o szpadę ojców swoich”, o mały włos nie zabił mnie w pojedynku, ale nie zabił tylko dlatego, że nie wyzwiał; hrabianka Pipi wydawała zawsze un petit cri jak zraniony gołąb, ilekroć ujrzała nazwisko moje drukowane w którymkolwiek z pism warszawskich; w ciszy zaś każdego poranku dochodził mnie płacz świątobliwego oburzenia „Kroniki Soblonowskiej”.

Ach! nie piesek to zginął „Kronice” Milutek ani ziarenko z różańca; żadne z jej dzieci nie zbłąkało się w lesie grzechów „Przeglądu Tygodniowego”; a jednak płakała ciągle jak owa panna, która

Słuchać wcale nie chciała,
Tylko ciągle płakała:
Mój zielony dzban,
Stłukł-ci mi go pan!

Niestety, nie mogę ukryć, że powodem owego płaczu byłem ja, a raczej znów ten mój nie-szczęśliwy odcinek o matkach chrześcijańskich. Ja to stłukłem ów zielony dzban pełen słodkiej wody wzajemnej adoracji; ale czyż ja wiedziałem, że jeżeli matki chrześcijańskie cokolwiek czynią lub nie, to tylko dla dusznego ich zbawienia? Nie wiedziałem! Mea culpa! za którą żałuję tu nawet w Ameryce.

Nic więc dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy i w owym piśmie, które zacząłem czytać wspomnianego poranku w redakcji, znalazłem także artykuł, który był względem mnie mniej więcej tym, czym jest przysłowiowa koza względem pochylego drzewa. Autor największej (co do liczby stronic) powieści polskiej spojrzął w owym artykule à vol d'oiseau na społeczeństwo i rozplakał się rzewnie; potem siadłszy w swą łódkę pasterską żeglował po falach własnych łez ku opinii publicznej i zezując jednym okiem na Prusa, drugim na mnie, wołał na ludzi, że koniec świata jest bliski, że apokaliptyczne potwory zaczęły nie tylko chodzić po świecie, ale i pisywać odcinki, i że on pierwszy przepowiada to w swym piśmie, którego prenumerata wynosi: w Warszawie tyle a tyle, na prowincji tyle a tyle, kwartalnie tyle a tyle, miesięcznie tyle, etc.

Nie jestem jeszcze tak zepsuty, abym nie miał żałować za grzechy; przejęła mnie więc skrucha i począłem robić rachunek sumienia za siebie i za mego kolegę Prusa.

Ach! lista grzechów naszych była długa jak *Bakalarze* Adama Pługa. Namawialiśmy ludzi do zakładania straży ogniowych, szkółek, ochronek, jedwabnictwa, muzeów, resurs rzemieślniczych, ogrodów zoologicznych, spółek, banków, regulowania brzegów Wisły, do asenizacji, kanalizacji, giełd zbożowych. Nie dawaliśmy nikomu spokoju, jeździliśmy po komitetach, wołaliśmy o drogi bite; napadaliśmy na niewinne pograniczne spekulacje z okowitą, tak jak gdyby system wolnego handlu nie był wyższym od celnego; nie dawaliśmy ani chwili odpoczynku zalegającym w opłatach członkom rozmaitych towarzystw, tak jakby godziło się marnować grosz ciężko zapracowany na Bóg wie jakie niepewne cele. Słowem, daliśmy się we znaki najspokojniejszym obywatelom naszego kraju, obywatelom, którzy są hamulcem nie pozwalającym, aby wóz społeczny stoczył się w przepaść, hamulcem tak nawet silnym, że wóz społeczny nie tylko nie druzgocze się w kawałki po nieznanach drogach, ale stoi w miejscu, jak gdyby na cześć i chwałę komitetu szosowego zagrzązł w błocie na szosie pod Warszawą.

Rozmyślałem tak tedy długo, a żal coraz większy i coraz większa skrucha ogarniała serce moje, gdy nagle usłyszałem swoje nazwisko wymówione w przedpokoju redakcyjnym. Ktoś pytał się woźnego, czy może widzieć się ze mną.

– Wielki Boże! – pomyślałem sobie. – To zapewne chevalier Zielonogłowski ze „szpadą ojców swoich”.

I zdjął mnie strach przed „szpadą ojców” kawalera Zielonogłowskiego. – Co to będzie? co to będzie? – pytałem się sam siebie.

Tymczasem drzwi otworzyły się. Do redakcji wszedł jakiś dżentelmen mający koło sześciu stóp wzrostu, ze wspaniałą jasną brodą.

– Czy z panem Litwosem mam honor mówić? – spytał niskim, basowym głosem, który przypominał mi ryk lwa.

– Czym panu mogę służyć? – odpowiedziałem z uprzejmym pośpiechem, robiąc rękoma z tyłu rozpaczne wysilenia, aby dostać się do laski stojącej w kącie, która jak na złość zsunęła się właśnie na ziemię.

– Czy to pan pisuje „Chwilę obecną”?

– Stało się! – pomyślałem.

– To jest... właściwie... Bo to widzi pan, czasami reporterowie przynoszą mi mylne fakta... Ale z kimże mam honor?

– Jestem X z Poznańskiego.

Odetchnąłem, albowiem nigdy nic nie pisałem o Poznańskim.

– A więc pan z Poznańskiego?

– Tak, panie.

– Ach! to właśnie cieszy mnie niewymownie.

– Widzę, że pan nie bardzo kocha warszawiaków.

– Owszem, panie. Tylko bez wzajemności.

– Otóż przyszedłem spytać, czy panowie macie jakie stosunki z Ameryką?

– Nie mogę panu ukryć – odpowiedziałem ze spuszczonej oczyma – że nasza gazeta liczy tam kilka tysięcy prenumeratorów...

– Aż tylu?

– O, tak! między innymi prezydent Grant pilnie studiuje naszą politykę.

– Nie chodzi mi o tak wysokie stosunki. Ja, panie, wyjeżdżam do Stanów Zjednoczonych pojutrze i chciałbym od panów dostać list do pana Horaina. Czy pan zna pana Horaina?

– Oh! doskonale... Od trzech lat.

Mówiąc nawiasem, czytałem wszystkie listy pana Horaina, ale jego samego nie widziałem nigdy w życiu.

– Więc pan go zna od trzech lat? Ależ mnie się zdaje, że on od czterech lat mieszka w Ameryce?

– Omyliłem się: znam go od sześciu lat.

– Owóż prosiłbym panów o list do niego. Ja chcę tam kupić kawał gruntu i osiedlić się. Moja żona słaba, potrzebuje ciepłego klimatu, a tam, słyszę, ciepło.

– Jak gdzie. Ale przecież i we Włoszech ciepło.

– Ciepło, ale drogo; tymczasem tam, słyszę, ziemię darmo dają, tylko się trzeba strzec, żeby nie okpili, bo to chytry naród. Owóż pan Horain, jako człowiek miejscowy, pomoże mi i powie, komu ufać, komu nie. A przy tym i ja się z nim potrafię rozmówić, bo to ja po angielsku... jakoś nie ten... tego...

– Dobrze. Damy panu listy do pana Horaina.

– A pan sam się na wystawę nie wybierze?

– Ja? poczekaj no pan... jeszcze się nad tym nie zastanowiłem... Zaraz... Wybiorę się, nie wybiorę, wybiorę, nie wybiorę... wybiorę... Tak jest! jadę, panie.

– A to pan jedź teraz ze mną: będzie nam obudwom różniej.

– A która teraz godzina?

– Samo południe.

– O drugiej jadam obiad, mam więc dwie godziny czasu do namysłu. Przyjdź pan na obiad, będę zdecydowany.

– Dobrze. Żegnam pana!

– Kłaniam się panu serdecznie. Pani dobrodziejce moje uszanowanie!
Zostałem sam.

Godzina pierwsza po południu uderzyła na naszym zakatarzonym zegarze, a ja, siedząc na tym samym miejscu, rozmyślałem jeszcze: jechać czy nie jechać? – jak Hamlet nad swoim: „być czy nie być”. Ale jeżeli nie pojedę, cóż będę robił? Będę pisywał po nocach?... Ależ i w Ameryce mogę pisywać także. Co więcej, doktor zalecił mi, żebym nie pisywał po nocach; a ponieważ w Ameryce właśnie wtedy wypada noc, kiedy u nas dzień, zatem pisywać w Ameryce w nocy jest to pisywać w Europie w dzień, czyli: jechać do Ameryki jest to wypełniać polecenie swego doktora.

Dalej: jeśli pojedę, nie będę robił korekty własnych utworów, czyli nie będę ich czytywał... To także coś znaczy.

Na koniec: co mi tu pozostaje w Warszawie? Ożenić się? „Ach! na piramidzie raz odebrałem list, że za mąż idzie!” A przy tym ów un petit cri zranionego gołębia, który wydaje hrabianka Pipi na widok mego nazwiska, _ odebrał mi wszelką nadzieję. Zresztą aplikowałem ja, biedny człowiek, o urząd i rangę męża dość długo; lecz cóż? Ofiarowywano mi czasem małe gratyfikacje, na nastąpił jednak etat nigdy przejść nie mogłem. Nie! to nie dla mnie, zwłaszcza po owym ostatnim przeklętym odcinku, po którym na samo wspomnienie o mnie wszystkie matki z bractwa przejmują całkiem pozaświatowy dreszcz zgrozy jak na wspomnienie węża, który namówił Ewę, żeby ściągnęła rękę, urwała jabłko i sama jadła, i dała mężowi swemu.

Mój Boże! czyż ja kiedykolwiek w życiu namawiałem jaką Ewę, aby urwała jabłko i sama jadła, a zwłaszcza aby dała mężowi swemu! Ale stało się. Czynów dokonanych, z progu przeszłości, jak mówi Deotyma, sam Bóg nie odwoła. Stało się. Nie ożenię się nigdy. Ergo, cóż mi więcej pozostaje?

Majątek? nie zrobię go nigdy. Długi? narobiłem ich już. To ostatnie wspomnienie zdecydowało mnie. Eh! co tam! jadę do Ameryki.

W każdym razie, przecie nie wyjeżdżam na zawsze. Zobaczą morza, stepy, miasta, kraje, nowych ludzi, czerwonoskórych Indian, stada dzikich bawołów, niedźwiedzie, jaguary, amerykańskie humbuki, a przy tym może jaka miss jasnowłosa... Wbrew opinii ogólnej zawsze utrzymywałem, że jestem przystojny.

O godzinie drugiej poszedłem na obiad. Nowy mój znajomy czekał już mnie.

– No, i cóż pan postanowił?

– Postanowiłem zjeść obiad.

– A potem?

– Potem udać się do gospodarza domu, aby wydał świadectwo paszportowe, że przeciw memu wyjazdowi nie zachodzą żadne przeszkody; następnie podać się o paszport, uzyskać zaświadczenie, że całe życie byłem spokojnym safandulą, który płaciłby najregularniej podatki, gdyby posiadał jaką nieruchomość, i który prócz pewnych, dość zresztą hałaśliwych, zajęć z gospodarzem domu, nie miał żadnych innych, że choćby jeszcze i dlatego, że jest niezonały.

– I czy pan uzyskuje paszport na czas?

– Pewno nie. W takim razie czekaj pan na mnie.

– Dobrze, ale w Bremie.

Po tej rozmowie, tegoż samego dnia jeszcze począłem robić starania o paszport. Człowiek, który wyjeżdża do Ameryki, jest jeszcze u nas rzadkością. Wyobrażam sobie nawet, że po powrocie, w powiecie łukowskim, z którym łączą mnie liczne stosunki, przynajmniej przez miesiąc będą mnie uważać za rodzaj powiatowego Ferdynanda Korteza. Mój dziad nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, raz jeden tylko za dni swych był w Puławach, a raz w Królewcu, i miał o czym opowiadać przez całe życie. Dziś minęły te piękne dni Aranjuezu; ale Ameryka ma jeszcze swój urok, dlatego po biurach patrzono na mnie jak na jakiś osobliwszy okaz zoologiczny; miejscami zaś zadawano mi nawet pytania świadczące, że geografia należy u nas do nauk najbardziej rozpowszechnionych.

– To, panie, przez morze się jedzie do Ameryki?

– Zdaje mi się; wiem, że kolej jeszcze nie skończona.

Dzięki Ameryce i dzięki szczególniejszemu interesowi, jaki ta część świata budzi w naszych władzach municypalnych, uzyskałem paszport dość prędko. Pozostawało go tylko zawizować u konsula.

– Nie potrzeba – mówił mi jeden z moich przyjaciół.

Ale ja nie zaniechałem zamiaru. Jak to, jaż bym miał pozbawiać przyjemności konsulat zawizowania może pierwszego i ostatniego paszportu? miałbym mu stawać na przeszkodzie w wypełnieniu jedynej może czynności urzędowej? Wiedziałem wprawdzie, że za wizę trzeba

płacić, ale wiedziałem również, że gdybym się bardzo uparł, to jeszcze konsulat byłby mi dopłacił za rzadką sposobność, jakiej mu dostarczyłem.

Udałem się tedy do konsula, którego szczęśliwie zastałem w biurze.

– Mego sekretarza nie ma – rzekł mi – zechciej pan potrudzić się po trzeciej. Schowałem paszport do kieszeni.

– Nie mogę – odpowiedziałem. – Wyjeżdżam o drugiej; muszę się tedy obejść bez wizy.

Mój interlokutor zbladł.

Pierwsza wiza dla konsula – to tak, jak pierwsza długa suknia dla podlotka, jak pierwszy meszek nad ustami dla młodzieńca, jak pierwszy drukowany artykuł dla literackiego embriona, jak pierwsze szlify dla podoficera, jak pierwszy pocałunek i pierwsze „kocham ciebie” dla pensjonarki.

A tu sposobność owej pierwszej wizy była i mogła przeminąć, może na zawsze!

– Panie – rzekł mi więc konsul – nie będę czekał na sekretarza, niech go tam diabli wezmą; dawaj pan paszport, zawizuję sam, byle prędzej.

Dałem więc paszport.

Interlokutor mój wyciągnął z biurka ogromną szufladę i wydobył z niej takie mnóstwo pieczęci, puszek z farbą, opłatków, laków, że wystarczyłoby tego dla zawizowania wszystkich paszportów z całych Stanów Zjednoczonych.

Ale każdy debiut ma swoje strony rozkoszne, ma jednak i przykre. Nieraz, gdy dwóch chłopców bawi się w woźnicę i w konia, woźnica nie umie powozić, koń musi go uczyć. Po niejakej chwili konsul począł się namyślać i drapać w głowę.

– Panu o prostą wizę chodzi? – spytał.

– Tak, byle w dobrym gatunku.

– Hm!... Diabli nadali tyle tych pieczęci.

– Palnij pan pierwszą lepszą.

– Ale to trzeba na końcu paszportu?

– Najlepiej trzymać się środka. W Stanach Zjednoczonych są tylko dwie partie: demokratyczna i republikańska, a nie ma trzeciej, dlatego jest źle.

– A tak! tak!

– A pan do jakiej partii należy? – spytałem znienacka.

– Ja?... tego... jakże się nazywa?... Mam przecie gdzieś zapisane, ale na pamięć...

– A cóż, wiza skończona?

– Zaraz, zaraz. Diab!... nadali te pieczęcie! E! wie pan co? kropniemy największą, zawsze to nie zawadzi.

– Kropnijmy największą.

Konsul wydobył z szuflady coś na kształt tarana do zabijania palów w Wiśle.

– A toż to prześcieradło można by tym zawizować! – rzekłem.

– To nic, poradzimy... O, dla Boga, a to istotnie ciężkie!

– Może panu pomóc? Raz, dwa, trzy... Hoop! siup!

Rozległ się głuchy łoskot stołu, na który padła pieczęć. Zdawało się, że mój paszport krzyknął: „O Jezu!” Schowałem go do kieszeni i wyszedłem.

Była godzina dwunasta w południe, o wpół do trzeciej miałem wyruszyć, ale przedtem musiałem iść na pożegnalny obiad, który za grosz wdowi wyprawiała dla mnie brać literacka. Wyznaję, że co do tego obiadu miałem pewne obawy. Chodziło mi o to, czy dobre serca koleżeńskie nie będą mnie kanonizować na wielkiego człowieka i czy nie będzie czasem takich mówek, jak ta, którą raz słyszałem na cześć pewnego literata przybyłego z Poznania, której początek podaję:

„Panowie! Nie myślcie, żebym tu, w gronie kolegów, chciał mówić o Platonie lub Herakliocie. Nie wspomnę także o Nabuchodonozorze, ale... Co to ja chciałem mówić?... (Brawo!) ale od czasu, jak te wieki okryte pleśnią wieków... (Głos z prawej strony: „było już o wiekach!”).

Mówca: Ja panu nie przeszkadzam, kiedy pan mówisz! O czym to mówiłem? Aha! o pleśni wieków!... Kiedy więc Plato już powiedział... że tego... panie... właśnie! nic więc dziwnego, że wniosę toast za zdrowie Platona... nie! Chciałem powiedzieć: kolegi naszego Teodora, który... panowie! który... panowie! który... panowie!... To właśnie, co chciałem wyrazić...” (Brawo! brawo!).

Oczywista rzecz, że gdybym ja był panem Teodorem, przestraszony własną wielkością rozum mój nie zdobyłby się na równie wymowną odpowiedź i dowiodłbym swoim kolegom, że gorszym jeszcze jestem mówcą niż literatem. Na szczęście jednak, na owym obiedzie, o którym wspominałem, więcej było wina niż mów; skutkiem czego, kiedy jechałem po obiedzie na dworzec kolejowy, świat wydał mi się bardzo pięknym zjawiskiem, Warszawa – najczystszy i najporządniejszy miastem na świecie, kobiety – szalenie ładne, bruki – nadzwyczajnie wygodne, i gdyby nie przykre zajście, jakie miałem z własną torbą podróżną wiszącą mi przez plecy, chwile owe policzyłbym do najpiękniejszych w moim życiu.

Ale zajście to z własną torbą popsło mi trochę humor. Wiedziałem, że torba wisi na mnie i że ją nie zgubił, trzeba jednak było, że gdym chciał wydobyć z niej pieniądze i przechyliłem się na lewą stronę, moja torba uciekła mi na prawą, gdy ja na prawą – moja torba na lewą. Gonić kogoś na własnych plecach jest fizycznym niepodobieństwem, dlatego opuściłem ręce i myślałem sobie: „Stało się! nie pojadę do Ameryki.” Szczęściem, dobre dusze pomogły mi i w tym kłopotcie.

Wsiadłem wreszcie do wagonu, lokomotywa świsnęła i wkrótce przez mgłę i dym tylko widziałem kochane twarze, goniące mnie spojrzenia i ręce powiewające chustkami.

Pogoda była piękna; jakkolwiek luty jeszcze, czuć było w powietrzu oddech wiosenny. Wkrótce w wagonach zrobiło się tak gorąco, że niepodobna było wysiedzieć.

Wagony nasze, jak wiadomo, ogrzewane są od spodu siedzeń, skutkiem czego od czasu do czasu zdawało mi się, że jestem imbrykiem siedzącym na samowarze.

– Ciepło, panie, co? – rzekł do mnie nader okrągły staruszek, jedyny mój towarzysz w wagonie, który nie mogąc wytrzymać unosił się ciągle na siedzeniu.

– O, ciepło!

– Pewno rozboli mnie głowa.

– Głowa? A to już chyba par esprit de contradiction – odparłem.

W Aleksandrowie zrobiła się noc, a wkrótce stała się tak ciemną, jak zakład p. Łajki w Warszawie lub jak styl jednego z moich przyjaciół, którego nazwiska nie wymieniam, bo nie lubię nikogo chwalić w oczy. Towarzysz mój zasnął i sapał jak gumowa poduszka nadymana powietrzem, z której ktoś takowe wypuszcza. Ja usnąłem także, marząc o Warszawie i o tych, których w niej zostawiłem; usnąłem zaś tak dobrze, że nie obudziłem się aż w Toruniu, gdzie rewidują wagony.

– Pan ma parę nowych butów – rzekł do mnie pruski celny urzędnik.

– Czyż pan chciałeś, żeby wszyscy u nas w dziurawych już chodzili? – odpowiedziałem.

Niemiec pomyślał trochę. Może pomyślał: „Przyjdzie czas i na to” – i zamknął mój kuferek.

Wróciłem do wagonu i usnąwszy znowu, spałem aż do rana, tj. aż do przybycia do Berlina.

Ranek był: dopiero świtanie. Na ulicach pustki. Tu i ówdzie widać było wózki ciągnięte przez psy, które mimo tego, że spotykają się ciągle, nie pomijają żadnej sposobności, aby oburzyć się wzajem na siebie nadzwyczajnie. Ogromne miasto, znane mi już zresztą, na wpeł uspione jeszcze, migało w różnych blaskach zorzy przed moimi oczyma. Przejechałem ze wschodniego Bahnhofu na Lehrter Bahnhof. Było blisko dwie godziny czasu do odejścia pociągu, wyszedłem więc przed dworzec i począłem rozglądać się na wszystkie strony. Z daleka widziałem snujące się tu i ówdzie małe oddziały żołnierzy w hełmach ze złożonymi ostrzami, spokojnych i surowych, jak dawni legionści rzymscy. Patrząc na kroki ich, miarowe i jednostajne, na mechaniczne poruszenia głów, rąk i nóg, można by wziąć ich za maszyny bezwła-

snowolne ponakręcane jednym kluczem. Jakoż i są to maszyny, dla których kluczem i motorem jest wola wyższa, nieodgadniona nigdy, groźna, chmurna, kryjąca w fałdach togi wojnę i pożogę.

Na prawo błyszczał w promieniach wschodzącego słońca posąg Zwycięstwa, ciężki, niezgrabny, trywialny, podobny do wrony, która usiadła wypadkiem na słupie w Berlinie i gotuje się odlecieć.

Czy odleci i gdzie odleci?

Dwie godziny minęły szybko. Siadłem znowu do wagonu. Miałem jechać nie do Bremy, ale do Kolonii. Rozejrzałem się w wagonie: ani jednej ładnej kobiety; siedziało tylko kilku Niemców z twarzami mniej więcej głupimi, nabrzękłymi piwem, i jakiś obcy jegomość.

Pociąg, którym jechałem, nie dochodzi do samej Kolonii, ale zatrzymuje się w Deutz, z prawej strony Renu. Przyjechaliśmy o godzinie dziewiątej w nocy. Byłem trochę zmęczony, więc udałem się do hotelu „Belle-Vue” i kazałem dać sobie numer. Kelner zaprowadził mnie na drugie piętro i wskazał mi stancję, w której miałem noc przepędzić. Zanim zapalił światło, zbliżyłem się do okna i podniosłem roletę, aby spojrzeć na leżącą na drugim brzegu Kolonię.

Spojrząwszy poleciłem kelnerowi nie zapalać światła i zostawić mnie samego.

Przepyszny widok! Noc była śliczna, pogodna. Księżyc świecił tak jasno, że nieledwie czytać by można przy potokach srebrnego światła. Pod nogami moimi płynął Ren. Długie smugi światła odbijały się w przezroczej toni na drugim brzegu. Bliżej mały parowiec sypał deszczem złotych iskier. Cała Kolonia widna była jak na dłoni: światła, spiętrzone grupy domów, ciemne sylwetki kominów, a nad wszystkim tym wspaniała katedra, górująca nie tylko wieżami, ale i sklepieniem nad całym miastem, wyniosła, spokojna, urocza i mileżąca.

Największe gmachy miejskie wydały mi się wobec niej lepiankami tulącymi się niby pod skrzydła potężnej matki. Księżyc oświecał jasno wysmukłe wiązania tej przedziwnej gotyckiej architektury; cienie łamały się ze światłem na łukach i wieżyczkach. Było w tym wszystkim coś mistycznego, coś, co przejmuje duszę tajemniczym dreszczem i wyobraźni przyprawia skrzydła. Uczucia religijne wessane z mlekiem matki, choćby najbardziej nawet rozproszone w zgiełkowej pogoni życia, odnajdują się na widok tego gmachu, oblanego światłem księżyca, jak pogubione perły. Nie są to łagodne i słodkie poruszenia serca niby jakieś wewnętrzne głosy anielskie budzące wspomnienia dzieciństwa, jakich doświadcza się na przykład w naszych kościołach wiejskich w czasie nieszpórów, kiedy siwy pleban czyta modlitwy litanii, chłopcy odpowiadają mu chórem, jaskółki świegocą pod drewnianym sklepieniem, a brzoza cmentarna, poruszana wiatrem, szeleści i dzwoni w okna. Wobec tego mrocznego gmachu, wobec tych spiętrzonych jak góry sklepień nie czujesz się zbłąkanym i zmęczonym dzieckiem wobec ojca, ale prochem wobec Majestatu. Mimo woli przychodzi ci na myśl, że nie masz tu miejsca na inne modlitwy, jak chyba na pieśń suplikacyjną: „Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!” Kościół wart pieśni, a pieśń kościoła. Średnie wieki z ich wiarą posepną, a stanowiącą chleb ówczesnego żywota, szeregi rycerzy w stal zakutych, owych groźnych drapieżników z nadreńskich burgów, zmartwychpowstają przed twymi oczyma. Słyszysz, jak biskup w całym majestacie głosi gloria Dei, a dymne żelazne głowy tych samych Arnsbergów, którzy dziś śpią kamiennym snem w kościelnej nawie, korzą się i chylą przed jednym słowem jak łany zbożowe pod wiatrem. Dziś to już wszystko minęło, ale zadumany wędrowiec, patrząc na milczące owych wieków pamiątki, mimo woli pyta się siebie: czy to wszystko, co wykołysało całe narody, utworzyło całą cywilizację, co było źródłem i osią całego żywota, czy to wszystko rzeczywiście nie jest niczym więcej, jak tylko olbrzymim zabobonem, drugim smutnym stadium iluzji, jak mówi Hartmann, stadium, które dlatego tylko minęło, ażeby się zaczęło trzecie.

Nie wiem, czy nie pod wpływem tychże samych myśli ktoś powiedział, że gdyby nawet Bóg rzeczywiście nie istniał, trzeba by było dla dobra ludzkości go stworzyć.

Godzina czasu spłynęła mi w przeszłość na podobnych rozmyślaniach. Tymczasem wieczór stawał się coraz bardziej romantyczny. Parowiec przybił do brzegu tuż pod oknami mego hotelu. W małym Deutz cicho było, bo całe miasto już spało. Tylko sternik, siedzący na przedzie statku, śpiewał dość pięknym głosem: *Wacht am Rhein*, a od strony Kolonii dochodził uszu moich świst lokomotywy. Od czasu do czasu lekki wiatr przynosił zaledwie dosłyszalne odgłosy zgiełku i gwaru miejskiego. Żał mi było wstawać od okna; nagle jednak drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do mego pokoju.

Był to mój towarzysz podróży.

– Dobry wieczór!

– I dobry, i ładny.

– Przyszedłem spytać: czyby pan nie chciał przejść się po mieście?

– Nie, panie. Spodziewam się, że lada chwila nadejdzie tu ktoś, z kim może jeszcze dziś pojedę dalej. A zresztą dobrze mi tu przy oknie.

– Ach! pan patrzy na katedrę.

To mówiąc towarzysz mój zbliżył się do okna i spojrzął w stronę miasta. Księżyc oświecił jasno twarz jego. Zdawało mi się, że czytam całe szeregi myśli i marzeń na jego czole; jakoż po chwili pokiwał głową i rzekł:

– Wie pan co?

– Co? – spytałem, ciekawy jego wrażeń.

– Ot, ja myślę, czybyśmy się koniaku nie napili. Wieczór chłodny.

Mimo woli przyszedł mi na myśl wierszyk, który kilkanaście lat temu powtarzał mój profesor łaciny, gdy mimo usiłowań z jego strony woleliśmy dawać sobie prztyki w uszy, niż zachwycać się pięknosciami Horacjusza:

Cóż po muzyce tępym osłom w stajni!

Graj im na lutni: tańczyć niezwyczajni.

Swoją drogą, tak trzeźwy, lubo mający związek z koniakiem, pogląd okiełznał rozbieganą moją wyobraźnię.

– Dziękuję za koniak – odpowiedziałem – uważam jednak, że pan zdrowo na rzeczy patrzy, i winszuję panu tego szczerze.

– A cóż to? – odrzekł wskazując na oblaną światłem księżycą katedrę – martwy kapitał i nic więcej!

– Przyjm pan moje gorące uznanie i zarazem dobranoc panu!

Zostałem znowu sam, ale po chwili wszedł ów dżentelmen z jasną brodą, z którym, według pierwotnego planu, miałem się zjechać w Bremie.

Wyznaję, że byłem trochę zmęczony, przejechawszy bez wytchnienia drogę z Warszawy do Kolonii, i miałem szczerą chęć przenocowania w Deutz. Byłbym nawet objawił głośno tę chęć mojemu dżentelmenowi, ale on, domyślając się widocznie, o co idzie, uprzedził mnie i rzekł ironicznie:

– Pan już na pewno ani ręką, ani nogą nie może ruszyć. Takie to dzisiejsze pokolenie! Co do mnie, jechałbym chętnie dalej. Oburzona miłość własna odezwała się we mnie:

– A dokąd by pan chciał jeszcze dojechać?

– Hm! choćby do Brukseli.

– Ja zaś oświadczam panu, że jadę wprost do Londynu.

Wyznaję, iż mówiąc to miałem w duszy trochę nadziei, że mój dżentelmen nie zgodzi się na tę propozycję. Myślałem, że go nią przerażę, że zacznie mi tłumaczyć, iż to zbyt daleko i że obaj zbytecznie się pomęczymy; ale ten okropny człowiek uśmiechnął się tylko i rzekł:

– Doskonale. Jedziemy więc do Londynu.

Nie było rady. Kazałem zabrać moje kufry i obaj udaliśmy się na centralny dworzec w Kolonii. Była już prawie północ; chciało mi się spać srodze, ale ruch panujący na dworcu wytrzeźwił mnie. Lubię ten ruch, gwar i wrzawę panującą na wielkich dworcach kolejowych. Sale płonęły światłem; stoły były nakryte. Z zewnątrz dochodził nas świst i sapanie lokomotyw, pomieszane z odgłosem dzwonek i nawoływaniem konduktorów. Ludzie biegali na wszystkie strony, przenosząc kufry, pakunki. Przejeżdżający wołali wszystkimi językami na garsonów. Siedzący obok nas jakiś Anglik, z wyciągniętą twarzą i wyciągniętymi nogami, badał starannie palcami wnętrze swego nosa, spoglądając przy tym na ludzi tak, jak gdyby wszyscy wyłącznie po to byli zebrani, ażeby on miał się czemu przypatrywać.

Kazaliśmy podać sobie coś do zjedzenia. Zauważyłem wówczas pierwszy raz, że nasze palone buty, futrzane szuby i baranie czapki poczynają nam zjednywać popularność. Małe grupki ludzi przyglądały się nam ciekawie. Brano nas widocznie za hercogowińskich posłów wysłanych o pomoc przeciw Turkom. Skutkiem współczucia zapewne dla nieszczęśliwych męczenników tureckich kazano nam płacić za wszystko dwa razy więcej, niż się należało.

Wsiadliśmy wreszcie do wagonu. Wkrótce jadący z nami do Brukseli jakiś Francuz począł nas wypytywać o pochodzenie.

– Jesteśmy Polacy – odpowiedziałem.

Tu przysłowiowa francuska znajomość geografii zabłysnęła z całą świetnością.

– Ach! to panowie tam blisko placu wojny! – rzekł.

– Jakiej wojny?

– Jakże się nazywa?... Hercogowiny i Turcji.

– O! bardzo blisko, panie: tylko przez ścianę. Jak się biją, to u nas doskonale strzały słychać.

– Tiens!

Po czym wpadliśmy w ocean wielkiej polityki, wpadliśmy zaś tak głęboko, żeśmy żadną miarą nie mogli dostać się do brzegu. Swoją drogą, niespełna w pół godziny zmieniliśmy całkowicie kartę Europy. Nasz Francuz zaś porobił takie podboje w Prusach, że musieliśmy wstawiać się za biednymi Niemcami, żeby im chociaż Berlin zostawił.

– Non, messieurs! non! – odpowiadał nie dając się uprosić.

Zaanektowawszy tedy i Berlin, wzięwszy do niewoli Bismarcka i przeznaczony mu na dożywotnie więzienie wyspę Oleron, strudzony tylu wojennymi czynami, nasz Francuz zwinął się w kłębek około własnego środka, a raczej zamknął się jak scyzoryk o dwóch ostrzach, jak mówi Prus, i usnął, a my poszliśmy za jego przykładem.

Ale tu mój towarzysz odkrył widocznie nowy sposób zjednywania sobie popularności, to jest począł chrapać po mazowiecku, tak że wszyscy rozbudziwszy się pytali przerażeni: co się stało?

– Mon Dieu! qu'est-ce que ça veut dire? – pytał Francuz wytrzeszczywszy ogromne oczy.

– E, to nic! – odpowiedziałem spokojnie – on dort chez nous comme cela.

Tymczasem mój towarzysz, z otwartymi ustami, z głową niżej od nóg, świszczął, ryczał, sapał, rżał, gwizdał – słowem: wydobywał z siebie tak nadludzkie, tak fantastyczne, a nagle i niespodziewane odgłosy, że i mnie samego, jakkolwiek słyszałem już nieraz, jak nasza szlachta chrapie, zaczęło ogarniać zdziwienie.

Wkrótce też zauważyłem, że wagon nasz stawał się coraz pustszy. Co stacja, jaki taki zabierał swoje manatki i wynosił się do innych przedziałów. Na granicy belgijskiej było już nas tylko dwóch. Pociąg zatrzymał się. Do wagonu wszedł już nie mrukliwy pruski konduktor, ale Belgijczyk ubrany w czarne kepi i poprosił nas po francusku, ażebyśmy się udali do rewizji rzeczy.

– Co to jest? – pytał rozbudzony mój towarzysz wodząc na wszystkie strony oczyma.

– Granica belgijska, rewizja.

– Zdaje mi się, że się trochę zdrzemnął.

- Bardzo niewiele!
- A gdzie się reszta pasażerów podziała? Oparłem rękę na jego ramieniu:
- Galilae, vicisti! żaden nie dotrzymał placu. Wszyscy drapnęli.

Rewizja zajęła nam bardzo niewiele czasu. Zjedliśmy wieczerzę, wypili po pół butelki wina i ruszyli dalej. Dzień już robił się dobry, gdy zbliżaliśmy się do Brukseli. Śliczne to miasto, po Paryżu najpiękniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem; otoczone wzgórzami, pokrytymi lasem, i cudnymi dolinami, otrząsało ze siebie białawe tumany nocy i z mgły wywijało się skąpane w różowym świetle i niby uśmiechnięte po dobrej nocy i dobrym śnie. Pociąg wreszcie stanął. Znowu mieliśmy trzy godziny czasu, wyszedłem więc na miasto, aby odświeżyć wspomnienia sprzed dwóch lat, przed którym to czasem byłem w Ostendzie. Na ulicach panował już ruch. Flamancki siedzące na małych wózkach wiozły do miasta mleczywo, a twarze ich, spokojne i uczciwe, zdawały się do mnie uśmiechać. Domy jednak były jeszcze ciche, rolety w oknach pozapuszczane, złocenia na gzymsach domów połyskiwały łagodnie w porannym świetle. Wszystko było spokojne, schludne, harmonijne, ciche, szczęśliwe jakieś, a wszystko pamiątkowe i poetyczne. Z każdego złomu murów, z każdego kąta wieje tu na ciebie tradycja poważna, wielka, nauczająca bardzo. Myślisz, że to sen dawny, a ogromny i złowróżbny niegdyś, który jakaś moc czarnoksięska zakłęta, tak że skamieniał i patrzy teraz na ciebie szarymi murami Św. Guduli i kamiennymi oczyma pomnika Egmonta, i wieżami wszystkich zabytków z hiszpańskich czasów. Ale istotnie to sen tylko. Czasy Alby minęły i nie wrócą nigdy. Topór nie uderza tu już głucho o deski rusztowania, nie usłyszysz, jak syczą płomienie stosów lub brzmia okrzyki wojenne; usłyszysz tylko odgłos pracy i pokoju, bo ta błogosławiona para od dawna stała tu sobie obrała siedlisko.

Bywa, że kiedy w pogodne letnie wieczory taka cisza robi się w spokojnych wioskach flandryjskich, iż żaden listek nie zaszemrze na drzewie, wówczas starcy odkrywają posrebrzone głowy i mówią: „To Chrystus przechadza się po wiosce.” Otóż jak Belgia długa i szeroka, wszędzie tak jest spokojnie, tak jakoś cicho i szczęśliwie, że słusznie można by powiedzieć: Chrystus przechadza się po całym kraju. Bez przesady mówiąc, jest to najszczęśliwszy kraj na świecie.

Jest nim przynajmniej dotychczas, ale któż może powiedzieć, jak długo będzie? Może za kilka lat nadejdą czasy, że spiczaste hełmy nadciągną tu od strony Renu, spokojni dziś mieszkańcy będą słyszeć rzenie „konia Attyli”, po nocach huk armat wystraszy słowiki z wiosek, skończą się przechadzki Chrystusa, a zamiast dzisiejszych pieśni przy pracy zabrzmie inna, która zmaćla spokój równie szczęśliwej Alzacji: *Was ist des Deutschen Vaterland*.

Trzy godziny czasu przeleciały mi na podobnych rozmyślaniach, według słów Skargi: „jak strzała i jako ptak na powietrzu.” Czas było wracać na pociąg, ale nie mogłem się oprzeć jeszcze chęci odszukania pod murami katedry miejsca, na którym, według ślicznej powieści Ouidy *Deux Sabots*, mała Bébée sprzedawała swoje róże mszyste; po czym trochę smutny, a trochę rozmarzony wróciłem na dworzec kolejowy. Towarzysz mój stał już na platformie i gorliwie pracował nad umieszczeniem w ustach ogromnego mięsnego pieroga, który z powodu swych rozmiarów żadną miarą wleźć w nie nie chciał.

Wsiedliśmy do wagonu, a wkrótce za nami wszedł, a raczej wskoczył pomijając schodki, jakiś dżentelmen nadzwyczajnej otyłości, stanowiącej dziwny kontrast z jego ruchami.

– Prawda, panie, że jestem lekki? – rzekł do mnie przymrużywszy jedno oko, jakby mnie znał od lat dziesięciu.

- Jak angielski kocz – odparłem.
- Jak to jak kocz? – spytał cokolwiek urażony.
- No, bo lekki a pakowny.

– O! doskonale, doskonale! – odparł spoglądając z nieopisaną sympatią na swój wydatny żołądek. – Ja jestem nauczycielem tańca. Dwanaście lekcji kosztuje u mnie 40 franków. Najładniejsze dziewczęta z całego Lille uczą się u mnie; lekcje są wspólne. Panowie jadą do Lil-

le? Oto są moje bilety: Mr Dunois. W czwartki i w soboty, od szóstej do siódmej. Wszakże panowie mają te godziny wolne?

Towarzysz mój odpowiedział, że najchętniej korzystalibyśmy z uprzejmości pana Dunois, gdyby nie to, że jedziemy do Ameryki, ale że z powrotem nie omieszkamy zatrzymać się umyślnie w Lille dla wzięcia kilkunastu lekcji. Pan Dunois dodał jeszcze, że uczy nie tylko kontredansa, ale i uprzejmej rozmowy z damami w czasie tego tańca. Po czym w najlepszej zgodzie ruszyliśmy w drogę.

Pociąg ku granicy francuskiej idzie krajem równym, nie obfitującym w malownicze widoki, ale uprawnym jak ogród. Wyjeżdżając z kraju zostawiliśmy jeszcze śnieg na polach, tu zaś wiosna poczynała się wszędzie. Na łąkach zieleniła się trawa, a na polach ruń wszelkiego rodzaju zbóż. Grupy drzew, stojących na równinach lub idących w kształcie alei wzdłuż rowów, dróg i kanałów, wypuszczały zielone pączki. Rzeki powylewały wszędzie, jako zwyczajnie na wiosnę; rowami płynęła z szelestem woda, powietrze było czyste, ale przesiąknięte wiosenną wilgocią, słońce zaś przygrzewało przez szyby wagonów tak silnie, iż musieliśmy porzucić futra.

Gdyby nie komora, nie rewizja rzeczy i nie długi przystanek pociągu, nikt by się nie domyślił, że nareszcie wjeżdża z Belgii do Francji. Krajobraz nie zmienia się w niczym. Tenże sam kraj uprawny jak ogród, te same chaty wieśniacze kryte czerwoną dachówką, gontem lub nawet słomą, co przypomina Polskę, też sama Flandria, ciż sami ludzie, też pocziwe flamandzkie twarze i bluzy niebieskie; słowem, wszystko takie same. Gdy pociąg ruszył, obróciłem się, by przesłać ostatnie pożegnanie Belgii, temu krajowi, dla którego niepodobna nie czuć sympatii, i o którym ile razy pomyślę, tyle razy pamięć przywodzi mi słowa Skargi, których część już przytoczyłem wyżej: „Siejba była w płakaniu, ale żniwo w weselu; niedoła ich minęła jako strzała i jako ptak na powietrzu, a rozkosze jakby morze nieprzebrane trwają.”

Pikardia, przez którą przelatywaliśmy jakby na skrzydłach wiatru, jest krajem bogatym, żyznym, ale szczególnie fabrycznym. Patrząc na ład i dostatek, jaki widać wszędzie, nikt by nie pomyślał, że sześć lat zaledwie temu uwijały się tu tłumy żołdactwa pruskiego i uciekających do Belgii francuskich maruderów.

Do Calais przybyliśmy około dwunastej w południe. Jest to dosyć nędzne i brudne miasto, jak wreszcie większa część miast portowych; znaczenie jego handlowe jednak jest ogromne. Niegdyś odgrywało znakomitą rolę w wojnach francusko-angielskich. „Gdybyście wyjęli ze mnie serce i otworzyli je – mówiła umierając Maria Tudor – znaleźlibyście tam wypisany wyraz «Calais».” Swoją drogą Anglia nigdy już nie odzyskała na stałe tego miasta. Dziś jest tam podobno jakaś forteca. Widzieliśmy żołnierzy francuskich w szaroniebieskich płaszczach, w czerwonych czapkach i w czerwonych (wybaczcie, czyste dusze naszych arystokratycznych dam!) majtkach. Patrząc na te postacie, małe, godne prawdziwych pigmejczyków, przygarbione, brudne i dźwigające z trudnością ciężkie szaspoty, zrozumieliśmy łatwo, dlaczego podobni żołnierze nie mogli oprzeć się roslym i silnym brandeburskim chłopom i dlaczego np. pułki poznańskie rzuciwszy się z bagnetem pod Gravelotte na niezdobyte prawie pozycje francuskie nie zastały tam już nieprzyjaciela, chociaż nie powinna była z nich zostać żywa noga po ataku. Patrząc na tych żołnierzy, przykro się robi, zwłaszcza nam, mającym tyle sympatii do tego najsympatyczniejszego zresztą narodu.

W Calais sale dworca kolejowego roiły się pasażerami przejeżdżającymi do Anglii. Zrobiliśmy znajomość z pewnym komiwojażerem, który, jak mówił, przepływał już przez kanał więcej razy, niż wszyscy obecni mieli włosów na głowie. Wypytywaliśmy się go, czy spodziewa się dobrej pogody.

– Kanał na wiosnę wypija zawsze za wiele dżinu i dlatego boksuje wściekle każdego, kto po nim pływa – odpowiedział ów dżentelmen zagłębiwszy ręce w kieszeniach.

– Ale jednak pogoda jest piękna – rzekłem starając się wydobyć zeń jaką taką pomyślną wiadomość.

- Tak, ale są krótkie fale.
- Krótkie fale? – spytałem tonem, jakbym wiedział, co są krótkie fale, gdy tymczasem nie miałem o tym najmniejszego pojęcia...
- Tak jest – odrzekł komiwojażer i zagłębiwszy prawie po łokcie ręce w kieszeniach, zaczął przypatrywać się końcom swych butów gwizdząc przy tym arię z *Balu maskowego* :

Ach! mów, czy życliwe czekają mnie fale!

Inny dżentelmen, który przysłuchując się naszej rozmowie wkładał do ust i wyjmował z nich ustawicznie gałkę swej laski, jakby dla przekonania się, czy usta jego mają dostateczny rozmiar, niezbędny w morskich podróżach, zwrócił się ku mnie i rzekł dogmatycznym tonem:

- Trzeba wypić butelkę portweinu i zjeść jak najwięcej śliwek suszonych!
- Garson! – zawołałem – butelkę portweinu i jak najwięcej śliwek suszonych.

Ale nim zdołaliśmy zjeść i wypić wszystko, co nam podano, w sali zrobił się ruch i zamieszanie. Jedni chwyтали swoje kuferki, inni wylewali z filiżanek gorący rosół na spodeczki, aby wypić go jak najprędzej, i pili z wytrzeszczonymi oczyma; inni na koniec połykali gorące mięso w kawałach, których połknięcie przyniosłoby zaszczyt najtęższemu wilkom; pewna dama zbladła nadzwyczajnie i patrząc naokoło głupkowatym wzrokiem, jakby szukając ratunku, powtarzała: „O, Boże! Boże!” Jakiś pan przewrócił się na progu przez własny kuferek. Wyszliśmy wreszcie na świeże powietrze; wzięto nasze rzeczy. Statek, który miał nas zawieźć do Douvru, stał tuż nad brzegiem przystani i świszczał przeraźliwie, jakby dla tym dokładniejszego przerażenia podróżnych; wiatr dał, jakby to było obowiązkiem jego sumienia; ludzie niosący rzeczy krzyczeli i przeklinali, sami nie wiedząc czego; morze ryczało, jakby mu kto za to płacił: słowem, wszystko się składało na to, ażeby do reszty ogłupić podróżnych, którzy już i tak nie wiedzieli, co się z nimi dzieje, a zwłaszcza co się za pół godziny dzieć będzie.

Na koniec, zszedłszy po pochyłym pomoście, weszliśmy na pokład statku. Para świszczała, koła poczęły obracać się lekko i zapieniać wodę, ale statek jeszcze nie ruszał. Skorzystałem z tej chwili, aby odetchnąć trochę i spojrzeć w sinawą dal, gdzie jak okiem dojrzał, ciągnęła się wzburzona toń morska. Po chwili jakieś indywiduum ubrane w gumowy płaszcz zwróciło moją uwagę. Indywiduum to, stojąc niedaleko mnie, pograżyło nagle ogromny tytoniowy zwitek w ustach, następnie zasunęło również gumowy kaptur na głowę i wylazło po schodkach na wysoki mostek stojący na przodzie statku i osłonięty żaglowym płótnem.

- Kto to jest? – spytałem komiwojażera.
- Kapitan... Wylazł na górę i ubrał się w swój płaszcz: hm! zły znak, będziemy mieli burzę.
- Niech pana di... – chciałem powiedzieć – dziękuję panu ślicznie.

Nie był to jednak jedyny i ostatni zły znak. Wkrótce spostrzegłem jeszcze gorszy: oto spod pokładu wydobył się majtek niosąc w obu rękach białe fajansowe miski, które zaczął tu i ówdzie rozstawiać po pokładzie.

- Neptunie! kupię ci dziesięć obiadów, ale tym jednym razem pozwól zachować mi mój – rzekłem w duchu.

Nagle uczułem, że statek zakołysał się w prawo i w lewo, brzeg począł usuwać się spod moich oczu. Ruszyliśmy w drogę.

Co się potem działo, o tym wiadomość schowam do następnych listów. Widziałem potem na oceanie podobne sceny tylko podniesione do kwadratu, dlatego opis ich odkładam.

I

POBYT W LONDYNIE PODRÓŻ DO LIVERPOOLU

W półtorej godziny po wyjeździe z Calais kończy się wreszcie prawdziwa męka podróżnika. Owe krótkie bałwany, którym osobiście życzę, żeby nigdy nie wyrzały z dna morskiego, przestają wreszcie wstrząsać mózgiem jak ziarnkiem grochu w grzechotce, na widnokregu zaś poczyna się rysować Douvres.

Gdym wjeżdżał do portu, było chmurno, dżdżysto, mglisto, posepnie; słowem: taki czas, w jakim najlepiej jest położyć się spać. Port był stosunkowo pusty, widok zaś pobrzeży przeraźliwy. Białe, wysokie na kilkaset stóp ściany, prostopadle sterczące z morza, wyglądają na tle czarnej wody jak żałobny szlak na całunie. Istny krajobraz z piekła Danta. Widnokrąg posepny, huk morza, jednostajne skrzywienie okrętu, żalospny jęk mew: wszystko to przeraża, uciska i sprawia, że przedsiębiorczy wędrowiec zaczyna tęsknić za domem, za swoim kominkiem, za biurkiem, za atramentem, bibułą, za „wieczorkami” u znajomych, herbatką, plotkami, grami towarzyskimi, za „Kurierem Warszawskim” lub „Codziennym” do łóżka, słowem: za całym tym życiem zwyczajnym, codziennym a lojalnym, w którym wodę ważył, bicz kręcił z piasku, pamięć dni regulował według tego, co było na zupe, ale miał własny szlafrok, pantofle, parasol i opinię statecznego człowieka między matkami, którym dojadło państwo córek.

I gdyby jeszcze nie deszcz, który tnie jakby różgami, można by przynajmniej dostroić się do złowrogiego majestatu widoku, otworzyć na rozcież duszę tragicznym wrażeniem, uznać się samemu jakąś wyjątkowo dziką naturą, jakimś bohaterem z opery, postawić marsa, zaśpiewać: „Niech ryczą spienione fale!” i myśleć sobie w duszy: „Chciałbym, żeby mnie teraz moi znajomi widzieli.” Człowiek byłby przynajmniej na wysokości położenia. Ale śpiewać: „Niech ryczą spienione fale” w kaloszach i pod parasolem, to już chyba żadną miarą nie idzie. Wprawdzie, kiedy u nas w Dolinie Szwajcarskiej grają marsza żuawów, nasi kantorowicze, aplikanci, a nawet stateczni ojcowie rodzin przejmują się nim tak dalece, że naraz poczynają nadzwyczaj wojowniczo maszerować spoglądając przy tym na wystraszone ich walecznością gąski tak złowrogo, jakby chcieli mówić: „Dałbym ja wam!” Ale ja z trudnością przejmuję się sytuacją. Nie byłem nigdy dość wrażliwy.

Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak zejść do kajuty i czekać, aż przybijemy. W kajucie zastałem już moich towarzyszków podróży. Jeden z nich, obywatel wiejski, począł oddawać się rozmyśleniom o swoim gospodarstwie. „Ciekawym, czy tam Fikalski (zapewne ekonom) wysłał dziś ludzi do orki” – rzekł tak, jakby mnie o to chciał się pytać. Mnie jednak to mało obchodziło, czy Fikalski wysłał ludzi do orki; wołałem więc pójść do okienka i wyglądać na fale, które czasem zalewały je zupełnie.

Nie dalej może, jak o sto kroków od naszego statku, dostrzegłem dwa maszty rozbitego okrętu huśtane falą i sterczące z wody ku niebu. Nad owymi masztami unosiły się korowody ptactwa tłukącego z krzykiem i piskiem fale. Odłamy desek, szczątki belek i beczek unosiły się naokoło, to nikonąc pod wodą, to ukazując się znowu. Zaciekawiony, pytałem, co by to był

za statek; że zaś umiał mnie objaśnić, musiałem więc znowu wyjść na pokład, aby dowiedzieć się od majtków.

Na pokładzie znalazłem, młodego miczmana, który stał i gwizdał, otulony w gumowy płaszcz, patrząc na fale i polując na równowagę, którą, mimo iż wpływalimy do portu, trudno było utrzymać. Młody miczman dał mi wszelkie żądane objaśnienia, gadał nawet trzy razy więcej, niż przeciętny człowiek zwykł to czynić, a nieskończenie więcej niż sternik, który kręcił, zasepiony, swoje koło, poruszając przy tym ciągle szczękami, jak gdyby należał do przeżuwiających: po prostu gryzł tytuń. Owóż dowiedziałem się, że zatopiony okręt był statkiem angielskim, który w biały dzień został przebity przez pruski statek „Frankonia”. Bliżko trzydziestu ludzi zatonęło w tym wypadku, okręt zaś od razu poszedł na dno jak ołowiana kula. Kapitan „Frankonii” oddany został pod sąd.

– Ja, gdybym był sprawiedliwością – mówił do mnie miczman – kazałbym go powiesić, choćby dlatego, że to Prusak.

– Ależ, szanowny panie, jeśli to jest przestępstwem – odpowiedziałem Francuzowi – to z tego nie można się poprawić.

– Właśnie też kazałbym go powiesić, jako niepoprawnego przestępcę – odpowiedziała mi przez usta Francuza sprawiedliwość.

Tymczasem wpłynęliśmy do portu. Z bulwarku spuszczone na burtę statku mostek, po czym ci, którzy stali na brzegu, poczęli gestykulować i wrzeszczeć przeraźliwie. Wszczął się chaos i zamieszanie. Majtkowie kleli wyrzucając z głębi statku kufry i pakunki; kufry trzeszczały, podróżni tłoczyli się na mostku, statek sapał i świszczał; z daleka odpowiadała mu lokomotywa, jakby chciała mówić: „Jak się masz, mój chłopcze? Dziwi mnie, żeś gdzie karku nie skręcił.” Na bulwarku małe chłopaki kopali się nogami i pokazywali sobie języki.

W tych warunkach wysiedliśmy na ląd. Jeden z bijących się chłopaków porzucił natychmiast bliską już zwycięstwa walkę i ofiarował mi się z pomocą w przeniesieniu kuferka do wagonu, a gdym oświadczył mu, że sam go zaniosę, wyraził życzenie, aby Bóg przeklął moją duszę (Goddam your soul!) i oddalił się pokazując mi pięść. Po czym wsiedliśmy do wagonu i ruszyli wprost do Londynu. Jako człowiek przesiąknięty miłością wszystkiego, co swojskie, uwielbiam nie tylko nasze koleje żelazne, ale zarazem wszystkie wypadki, jakie im się zdarzają: poczynawszy od warszawsko-wiedeńskiego pęknięcia szyn, a skończywszy na romantyczności, z jaką przewracają się do góry nogami lub spóźniają na czas pociągi kolei petersburskiej. Mimo całego jednak uwielbienia tak dla powyższych zdarzeń, jak i dla terespolskiego truchta muszę oddać sprawiedliwość kolejom angielskim, że pod względem szybkości przewyższają wszystkie inne na świecie.

Szybkość ta rzeczywiście jest zadziwiająca. Nie robiłem wprawdzie prób, jakie robił jeden z naszych starterów wyścigowych, gdy wysadziwszy laskę przez okno, słyszał wyraźnie odgłos: trff!, jaki wydawała też laska uderzając o słupy telegraficzne; niemniej jednak pomyślałem sobie, że gdyby naszym wagonom przyszło galopować podobnie, zaraz na pierwszej stacji zziajałyby się tak dalece, że trzeba by je koniecznie do stajni odprowadzić. Zresztą nie wiem, czy ten obyczaj szybkiego jeżdżenia jest lepszy. Bo że tam czasem u nas zawiadowca nie puści pociągu, dopóki człowiek wysłany po wiśnie dla jego narzeczonej nie wróci z wiśniami, lub że inny jaki zawiadowca ze stacji prowincjonalnej woła za odchodzącym już pociągiem: „Stój! bo pan Piegłasiwicz nadjeżdża” – toćże to wygodniej dla wszystkich. Ma to charakter taki sobie familijny, którego nie powinniśmy się pozbywać, zwłaszcza że, jak jeden z naszych najgłębszych publicystów zrobił zadziwiające odkrycie, nasze wszystkie instytucje wyszły z rozszerzonego pojęcia rodziny i że, co za tym idzie, „w niebie jest tylko chłodniej niż w piekle.”

Ale tymczasem pociąg leciał jak na skrzydłach. Zbliżyłem się do okna wagonu. Jestem tedy w Anglii, w tym kraju tak odmiennym pod każdym względem od naszego, a nawet od wszystkich krajów stałego lądu; w tym kraju nieprawdopodobieństw, gdzie np. arystokracja

ma rozum, porządek publiczny – sympatie, parlamentaryzm nie jest pochyłym drzewem, na które wszystkie kozy skaczą; dobro społeczne nie frazesem dziennikarskim, a czas – wrogiem, którego się zabija.

Dziwny kraj, zaiste. Kobieta nie ma tu żadnych praw, a korzysta ze wszystkich; postęp pędzi naprzód tak szybko, jak miejscowe lokomotywy, ale przybrany w średniowieczny kostium; habeas corpus nie tłumaczy się z łaciny: „a głupiemu radość!”

Ale to dopiero jedna strona obrazu, strona polityczna, strona lepsza. Daleki jestem od tego, abym i pod względem racjonalnym miał uważać Anglię za niedościgniony ideał. Pod tym względem w Belgii jest lepiej, we Francji lepiej, w Prusach lepiej i u nas lepiej. Warunki, w jakich istnieje własność ziemska, walka między kapitałem i pracą, proletariatem, głód i ciemnota, niby chmura nad przyszłością tego kraju: są to rzeczy tak znane, że nie potrzebuję się o nich rozpisywać.

Na szczęście jednak ludzie mają tu rozum i zamiast kłaść się kamieniem w poprzek prądom starają się je opanować i uregulować ich brzegi. Nic dziwnego, że potem fale, które mogły kraj zalać, obracają koła młynów i tartaków. Tak było przynajmniej od dawnego czasu aż do dziś dnia.

Ale wracam do mojej podróży. Nie będę się starał opisywać Anglii ani pod względem społecznym, ani politycznym, ani obyczajowym. Celem mojej wycieczki była Ameryka, uwagi więc moje o Anglii, przez którą tylko przejechałem, mają wartość notatek spisywanych w wagonie. Zresztą czytelnicy nasi mają dość wiadomości o Anglii. Piękne listy zatytułowane: *Wieczory nad Tamizą* i piękne korespondencje Sewera wyczerpują stronę obyczajową zupełnie zadowalniająco, rozmaite zaś własne „korespondencje”, które tym słuszniej nazywają się „własnymi”, bo się własnymi rękami na miejscu robią, dają wierny obraz stanu politycznego tego kraju, nie mówiąc już o tym, że są nader interesującymi objawami jasnowidzenia.

Na koniec Anglia pod żadnym względem nie jest dla nas obca. Należy oddać sprawiedliwość pewnej naszej klasie społecznej, że wszystko, co tylko Anglia ma najlepszego i najzabawniejszego, stara się u nas wprowadzić i zaszczyć: mamy angielskie wyścigi, angielskie faworyty, angielskiego krokieta, angielskie paletoty, angielskie nudy, angielskie kołnierzyki i angielskie natives, po spożyciu kilku tuzinów których pewien znany nasz lord mawia, że taki jest, jakby się dopiero na świat narodził. Ale on i bez tego jest taki, jakby się dopiero na świat narodził.

Znowu jednak odszedłem od rzeczy. Owóz siedząc w oknie wagonu przypatrywałem się ciekawie krajobrazowi. Miasta, miasteczka, farmy i parki migały przed moimi oczyma. Krajobraz wiejski podobny tu jest do belgijskiego, tylko domki farmerów schludniejsze, na łąkach zaś mieniących się nader świetną zielonością pasą się liczne stada owiec. Zresztą wszystko pod linię i miarę, wszystko trochę sztywne, ale pełne oryginalności. Wszędzie spokój, nad wesołymi widokami wiejskimi rozciąga się chmurne niebo, na krańcach zaś horyzontu, nad malowniczymi grupami drzew szarzeje mgła.

Gdyśmy zbliżali się do Londynu, był zachód słońca. Nad miastem unosiło się jedno morze dymów, pod którym rozciągało się drugie morze dachów, kominów i wież kościelnych, które wreszcie, nie ogarnione wzrokiem, zlewały się w dali z sinawymi chmurami zachodu. Nim przybyliśmy na stację, było ciemno, udaliśmy się więc do hotelu z zamiarem niewychodzenia tego wieczoru nigdzie, co jak dla mnie, jadącego bez odpoczynku wprost z Warszawy, było prawie koniecznością. Hotel nasz nazywał się „Charing Cross”. Jest to gmach mało co mniej-szy od naszych powiatowych miasteczek, a z pewnością ruchliwszy. Nie umiając po angielsku, poprosiliśmy na migi o numer. Kazano nam wejść, a raczej wsadzono nas wraz z naszymi kuframi do jakiegoś małego pokoiku i pojechaliśmy wraz z owym pokoikiem, czyli elewatorem, jak tu nazywają, w górę, nie wiem już, na które piętro; następnie znaleźliśmy się na korytarzu, a następnie w pokoju, który przeznaczono nam na mieszkanie. Wkrótce wszedł

jakiś ospowaty dżentelmen i począł coś do nas mówić pocierając sobie kolano. Odpowiedziałem mu: „All right!”, czego nauczyłem się od pewnego warszawskiego literata, który wprawdzie nie umie więcej po angielsku, ale którego akcent podziwiają roznosiciele i cały skład redakcji, do której należy. Pomyślałem sobie przy tym, że gdyby w szkołach uczono mnie w swoim czasie zamiast mnóstwa innych rzeczy choć trochę angielskiego, moja edukacja byłaby o wiele zupełniejszą. Mój Boże! pamiętam, jak w drugiej czy trzeciej klasie ucząc się zoologii powtarzałem po całych godzinach podniesionym płaczliwym głosem: „Jedne są ogoniaste, drugie ogonów nie mają... jedne są ogoniaste, drugie ogonów nie mają.” Teraz zapomniałem, które są ogoniaste, a które ogonów nie mają, a nie umiem powiedzieć kelnerowi, żeby mi dał wody do umycia, chociaż po trzydniowej jeździe koleją jestem czarny jak dusza wydawcy, który literatowi nie podwyższył nigdy honorariów.

Z tego wszystkiego zaś ta głęboka nauka dla moich współobywateli wypływa, aby po wyuczeniu przede wszystkim dokładnie rodowitego języka uczyli dzieci swoje i innych. Dziś posiadać znajomość kilku języków jest to mieć chleb w ręku. Można być wprawdzie „naszym znanym i powszechnie czczonym” nie umiając żadnego; ale w interesie własnym lepiej jest umieć jak najwięcej; tym bardziej że wielu z moich współbraci doszedłszy do wieku dojrzałego obiera sobie za mieszkanie takie kraje, o których za lat dziecinnych nawet w geografiach nie czytali.

Postanowiłem tedy, że jak najprędzej kupię sobie metodę Ollendorfa i z prawdziwie budującą cierpliwością będę tłumaczył wszystkie mądre zdania napelniające rzeczoną książkę, owe takie głębokie pytania, jak np. Czy cudzoziemiec zjadł siano sąsiada, materac majtka i guziki ogrodnika?”, że przejdę cały ten czyściec nonsensów, byle jak najprędzej nauczyć się tyle angielszczyzny, żeby choć cośkolwiek więcej umieć od naszych starterów wyścigowych. Tymczasem kelner hotelowy z prawdziwą angielską flegmą począł sobie pocierać drugie kolano, nie przestając powolnym głosem i przeciągłym akcentem nadweręzać i tak nadwerężonej już mojej cierpliwości. Odwróciłem się do okna, przez które widać było w półmroku wieżę westminsterską i począłem nucić: „Mów, o Eurydyko, czyli wierna będziesz!”

– Czego chce ten bawół? – spytał mój towarzysz.

– Powiada, że nie wyjdzie, póki mu pan co na ból w kolanach nie poradzisz.

Bawołowi jednak sprzykrzyło się widocznie mówić i wyszedł rzuciwszy na nas pogardliwe spojrzenia. W ogóle zauważyłem, że Anglicy odznaczają się daleko mniejszą uprzejmością dla cudzoziemców niż Francuzi. Kiedyśmy na drugi dzień, mając już przewodnika, kupowali gumowe płaszcze na podróż Oceanem, w sklepie zastaliśmy dwóch sprzedających dżentelmenów, ale obydwoh pijanych: jeden sprzedawał nam płaszcze, drugi zasunawszy na tył głowy kapelusz i oparłszy się plecami o towary, lżył nas półgłosem, spluwając przy tym z nadzwyczajną wprawą na wszystkie strony.

Dzień następny poświęciłem na obejrzenie Londynu, o ile olbrzymie to miasto można obejrzeć nie mieszkając w nim z pół roku. Zwiedziłem Westminster, gdzie widziałem adwokatów i sędziów w długich białych perukach, przechadzających się pod gotyckimi krużgankami i pokrzepiających dżinem wyczerpane wymiarem sprawiedliwości siły, zwiedziłem British Museum, gdzie znów widziałem przynajmniej połowę greckiego Akropolu przeniesioną w kieszeniach turystów, ogród zoologiczny, kościół Św. Pawła i inne pamiątkowe gmachy. Powierzchność miasta posępna, ani się może porównać ze złotym Paryżem. Domy tu wąskie i niezbyt wysokie, budowane z czerwonej lub surowej cegły, którą potem kopci dym, obmywa deszcz, co razem nadaje jej wszelkie pozory brudu. Place za to wspaniałe i obszerne. Wszędzie mnóstwo posągów Nelsona i Wellingtona, lwy pilnujące posągów – i na rogach policemeni spokojni i nieruchomi także jak kamienne posągi. Miasto ruchliwe: miliony ludu na ulicach; fiakry, jednokonne keby, karety, omnibusy ciągną się nieprzerwanym łańcuchem po wszystkich większych ulicach. Około południa udaliśmy się do Hyde Parku. Tu tysiące kobiet i mężczyzn na koniach i mnóstwo odkrytych powozów. Twarze mężczyzn po większej

części brzydkie, długie, o wyblakłych oczach; rzadko gdzie błękitna krew normandzka ujawnia się w regularnych rysach twarzy, pięknych, niebieskich oczach i jasnych włosach; kobiety jednak po największej części piękne, a raczej wszystkie piękne, ale te tylko, które teraz oto harczą na folblutach po szerokich i długich alejach parku. Twarze niektórych – to prawdziwe pomysły poetyczne: po prostu twarze to anielskie, jasne, spokojne, pogodne. Podobne, a raczej podobnie idealne widziałem tylko w rysunkach Grotgera. Trudno mi wypowiedzieć, do jakiego stopnia dochodzi tu tak zwana delikatność rysów. Zdaje się, że te pieszczone dziewczyny arystokratyczne nie z krwi i ciała się składają, ale z mieszaniny promieni słonecznych, mgły, blasków jutrzeńki i duszy. Zdaje się, że tylko chwilowo zstąpiły na ziemię, aby poigrać wśród zieloności, a potem rozwiną skrzydła i ulecą jak ptaki – jak mewy za słońcem. Nigdy troska powszednia, nigdy znój, nigdy zwykła ziemską niedola nie zachmurzyły żadnej z tych jasnych twarzy. Praca dla nich ma znaczenie zabawy; otacza je przepych, życie wykwiłtne, oglądzone, wysokie, jak gdyby zawsze świąteczne. Te panny wszystkie zapewne są dobre – ależ bo i nie mogą być inne: nie zetknęły się ze złem, zaledwie słyszały o nim. Są to kwiaty rodzaju ludzkiego: kwitną – oto wszystko. To ich cel – i zasługa aż do chwili zamążpójścia. Potem wydają na świat dzieci, co jest także zasługą, i w ogóle, jak mówią ludzie znający angielskie społeczeństwo, są dobrymi żonami i matkami, co jeszcze jest zasługą; potem umierają i oczywiście idą do nieba, co już nie jest zasługą, ale nagrodą – i co im łatwiej przychodzi, bo w życiu prawie nie znały pokus i złego.

Można by nawet powiedzieć, że urodziły się po to, żeby za życia żyć szczęśliwie, a po śmierci otrzymać zbawienie. W swoim czasie Kalwin nie bez pewnej logiki powiedział, że ludzie przychodzący na świat są z góry wybrani lub potępieni.

Widzieliśmy wybranki, ale i potępionych niedaleko szukać. W tym samym Hyde Parku stoi oparty o barierę jeden z wolnych obywateli Zjednoczonych Królestw. Przypatrzmy mu się; obywatel ten ma lat szesnaście, dziury na łokciach, czoło idioty, spróchniałe zęby i wystrzępione majtki. Ma także jakiś surdut jakiegoś koloru, ale nie ma za to koszuli.

– Gdzie twój ojciec? – pyta nasz przewodnik.

– W Botany Bay.

– A matka?

– Matka robi pudełka.

– A siostry?

Ma ich trzy, robią także pudełka; ma także dwóch braci po lat ośm, którzy robią pudełka, i jednego lat trzech, który pomaga je kleić.

W Anglii całe setki i tysiące ludzi żyją z tej pracy, a raczej głód mrą z tej pracy.

Otóż i nasz potępiony! Matka jego chora, bo wszyscy, którzy dłużej robią pudełka, chorują; ojciec jego był zamiataczem ulicy, ale raz aresztowali go i wywieźli. Chłopak nie umie czytać i pisać, klnie za to nadzwyczaj wprawnie. Widać także, że trochę i pije, bo jak zimno, to dżin rozgrzewa.

– Czy umie też pacierz?

– Co? – pyta zdziwiony otworzywszy usta.

On tego nie umie, on umie robić pudełka, a to nie jego rzemiosło.

– Ale jeść ma ochotę?

Ma, ale nie ma pieniędzy, a ukraść się boi.

– Ale choćbyś się nie bał, to nie zrobiłbyś tego, bo to jest źle?

– Juźci źle, bo jak policja złapie, to trzeba do więzienia.

To dla niego przyczyna: inaczej by kradł. – A sumienie, chłopcze?

– Co to jest? czy to się je, czy to się pije?

Czego od niego chcą? On przecie tu stoi spokojnie i nikomu nie zawadza.

Oto mały obrazek. Ach! ten wolny obywatel Zjednoczonych Królestw nie umie czytać, pisać, nie umie pacierza, nie wie, co jest Bóg; myśli, że sumienie się jada albo pije; nie słyszał o

cnocie; nie ma co jeść, pić i gdzie mieszkać, umie zaś robić pudełka. Tymczasem nędza mówi do niego: „Zabij!”, głód: „Ukradnij!”, chłód: „Upij się!”. Oto jego nauczyciele: innych nie ma. Czy ich posłucha? Tak: jak tylko przestanie się bać policji.

Ale co też ja mówię! Ten wolny obywatel Zjednoczonych Królestw ma przecież rozmaite prawa, z których może korzystać: habeas corpus; ma prawo głosowania; pełnomocnik jego będzie w swoim czasie przemawiał w Izbie Gmin. Co też ja mówię! Ten wolny obywatel jest nawet bogaty. A oto i ten Hyde Park to przecież własność publiczna, zatem własność i jego; a British Museum? a Pałac Kryształowy? a place, ogrody, gmachy publiczne? To wszystko jego. A przy tym on jest Anglikiem; do niego należą Indie, Australia, Kanada; on ma wojsko, flotę; to potentat prawdziwy. Ale czegoż tak drżysz na całym ciebie, potentacie? Aha! on jest na czczo od onegdaj. Masz oto szylinga, biedaku: kup sobie co jeść.

Chłopak wytrzeszcza oczy. Szylinga?... Ależ on nigdy nie miał razem tyle pieniędzy! Szylinga? Potentat ogląda go z niedowierzaniem na wszystkie strony, następnie wydaje rodzaj radosnego wycia; chowa pieniądz do kieszeni, z której mu go żaden złodziej nie ukradnie, bo tą kieszenią są jego usta, i ucieka nie podziękowawszy nawet za datek.

A jednak ma Indie, Kanadę, Australię, pałace, ogrody! Straszne społeczne zagadnienie.

Ale tymczasem bije godzina pierwsza. W parku robi się pusto, a w końcu zupełnie pusto. Czas wracać do domu. Mamy przed sobą odległość kilku mil angielskich, mały to jednak kłopot, bo z pomocą kolei podziemnych przebywa się przestrzeń w kilka minut. Czym dla Paryża są omnibusy jeżdżące na wszystkie i we wszystkie strony, tym dla Londynu podziemne koleje żelazne. Rozchodzą się pod całym miastem; biegną pod domami, pod ulicami, pod Tamizą. Przychodzimy nad jakąś obszerną jamę w kamienicy, w której to jamie widać schody wiodące na dół; kupujemy bilety i zszedłszy kilkadziesiąt stopni, znajdujemy się na obszernej stacji kolei żelaznej. Jedna lokomotywa odchodzi, druga, ta, która ma nas zabrać, właśnie się zbliża. Bilety nie kosztują nawet dziesięciu naszych groszy, ale mimo tak małej ceny kupiliśmy umyślnie do klasy trzeciej czy też drugiej, aby przypatrzeć się ludowi. Wsiadamy.

W wagonie, dość zresztą nędznym i odrapanym, tłok. Tuż obok nas młoda Irlandka o rysach twarzy łagodnych i pięknych karmi piersią młodego fenianina, który wierzga nogami, od czasu zaś do czasu przestaje ssać, spogląda na obecnych, następnie krzywi się, zamyka oczy, otwiera usta i przyszykowawszy się w ten sposób, poczyną wrzeszczeć. Naprzeciw nas jakiś staruszek obiera pomarańcze z pomocą jednego, ale bardzo długiego i pięknej, zielonej barwy zęba; przy tym sapie tak, że obecni sądzą, iż przechodzi druga lokomotywa. Dalej robotnicy w niebieskich bluzach, wracający widocznie od roboty, palą fajki lub dla rozrywki zakładają jeden drugiemu nogi na kolana. Mdłe światelka lamp oświetlają całą scenę. Pociąg biegnie jak szalony; lokomotywa huczy jako zwyczajnie w podziemiu. Powietrze jest duszne, napełnione wonią węgla i siarki: zaczyna nam braknąć oddechu. Przelatujemy jak wichur od stacji do stacji; jedni wysiadają, drudzy wsiadają. Nie wiem, gdzie jesteśmy i gdzie wysiąść należy. Przez chwilę w szybach wagonu mignęło światło dzienne, potem znów ciemno i coraz duszniej, na koniec lokomotywa staje, wysiadamy i znów oddycham pełną piersią: jesteśmy na ulicy wśród białego dnia, sklepów, powozów, natłoku ludzi i deszczu.

Na ulicy spotykamy mnóstwo kobiet, często bardzo młodych i ładnych. Chodzą same bez opieki, a raczej pod opieką praw i wszystkich pięści, i lasek W. Brytanii. Żaden Don Juan nie zbliża się tu do idącej samotnie dziewczyny i nie mówi jej, jak się to praktykuje w pewnym znanym mi mieście: „Jak to, pani – tak młoda i sama? Dzień dobry, aniołku!” Pierwszy lepszy dżentelmen spotkawszy takiego Don Juana w roli czynnej wbiłby mu kapelusze na głowę aż po szyję, połamałby żebra, popodbijał starannie oczy i następnie oddał w ręce policjmana. Kobieta zaczepiona nie potrzebuje tu zresztą innej obrony prócz policjanta. Spokojny ten człowiek dotyka wówczas złowrogą laseczką ramienia awanturnika i w imieniu Jej Królewskiej Mości wiezie go do kozy, sąd zaś za jedno nic, za jeden mały komplement, bardzo wreszcie uprzejmy, skazuje go czasem i na pół roku więzienia.

Wskutek tego Anglik i w ogóle W. Brytańczyk nie zaczepia nigdy kobiety. Jeśli zdarzają się podobne zajścia, zawsze to będzie jakiś cudzoziemiec, często Francuz, a często i mój rodak, w którym uprzejmość dla dam stała się już tak dalece drugą naturą, że nie zraża się żadnymi niebezpieczeństwami. Co większa: to, co by żadną miarą nie uszło Don Juanowi miejscowemu, uchodzi często przedsiębiorczemu dziecięciu Północy. „Pani – mówi jeden z nich językiem sewilskiego Cygana, o którym może czytał w «Wędrowcu» – wdzięki twe to dla mnie śmierć, ale gdy ujrzę koniec twej nóżki, wracam do życia.” – „Jestem cudzoziemcem – mówi drugi – wiem, że w ten sposób nie zabiera się znajomości, ale nie mam innego sposobu; natomiast rzeknij pani słowo, a zrobię rewolucję i ogłoszę cię królową.” Czasem się udaje, a czasem robi się z tego awantura, ale rycerski Nadsekwańczyk lub Nadwiślanin nie lęka się pięści, wie zaś, że sądy dla cudzoziemca są względne.

Kobiety tutejsze stanowią lepszą i jaśniejszą stronę krajowego medalu. Mają wiele spokoju i pogody duszy, która odbija się w ich twarzach. Za to jeśli znajduje się która brzydka, to już tak brzydka, że na widok jej można zdziwić.

Podczas gdy przewodnik nasz czynił powyższe obyczajowe spostrzeżenia, zbliżyliśmy się do naszego hotelu. Tuż przed jego bramą dwóch dżentelmenów, jeden przekupień pomarańcz, drugi woźnica, biło się na kułaki. Jest to widok nader pospolity na ulicach Londynu. Bijących otaczała gromadka ludzi. Niektórzy z widzów trzymali ich surduty i dodawali im zachęty; stojący za kołem widzów policjant wspinał się na palce, patrząc przez głowy, czy obywatele rozplaszczają sobie nosy legalnie; zresztą nie mieszał się do niczego. Walki podobne mają swój regulamin, nad którym czuwają wszyscy obecni. Każdemu z walczących chodzi o to, aby pięścią uderzyć w oko przeciwnika i podbić takowe, a następnie podbić i drugie. Ciosy w nos i w usta są również i dozwolone, i cenione. Jeżeli jednak jeden z walczących zawołał: „Enough!” (enof – dosyć), uznaje się tym samym za zwyciężonego; zwycięzca zaś odpowiada: „All right!” i natychmiast przestaje bić ofiarę. Gdy tego nie uczyni, wszyscy rzucają się na niego i tłuką co wlezie, policjant zaś kładzie laskę na jego ramieniu.

Zwykle jednak po „enough” następuje natychmiast „all right”, po czym przeciwnicy rozchodzą się bez gniewu, widzowie zaś winszują najpiękniejszych ciosów tak temu, który je zadał, jak i temu, który je otrzymał. Zwłaszcza złamanie szczęki lub przetrącenie nosa wywołuje liczne powinszowania. Jeżeli przeciwnicy są równej siły i zręczności, a walka się przedłuża, wówczas w kole widzów powstają zakłady i cała scena przybiera nadzwyczaj interesujący, oczywiście tylko dla Anglików, charakter. Najczęściej w takich walkach zwycięzcami są Irlandczycy, którzy w ten sposób wynagradzają sobie krzywdy polityczne.

W hotelu zapakowaliśmy rzeczy, czekała nas bowiem nocą podróż do Liverpoolu; po czym zapłaciwszy rachunek i przekonawszy się, że niepotrzebnie dla oszczędności jadaliśmy nie w hotelu, ale na mieście, w hotelu bowiem płaci się za wszystko razem, wyszliśmy znowu na ulicę. Nie pamiętam, na której już z ulic uwagę moją zwrócił żółto pomalowany dom, otoczony ogrodem, z zielonymi żaluzjami w oknach. Pamiętam, że była to jakaś ustronna ulica; na chodnikach było pusto; w ogrodzie świegotały wróble, z domu dochodziły łagodne śpiewy kobiece, nad domem zaś i ogrodem unosił się dziwny spokój.

– Co to za dom? – spytałem. – To przytułek dla zbłąkanych dziewcząt, pragnących wrócić na drogę cnoty. – Ach! instytucja anielska, instytucja tego rodzaju, że nawet temu, kto zwątpił o ludzkości, przychodzi w nią uwierzyć na powrót. W dziewczętach już upadłych budzi się czasem sumienie; czasem tęsknota za życiem czystym, za pracą, za obowiązkiem, za owymi chwilami, w których jako dzieci czyste i niepokalane marzyły o innej, dalekiej od sromoty przyszłości. Tęsknota ta tak opanowuje dziewczynę, że pragnęłaby zerwać z hańbą, ze wstydem, z występkiem. Oto noc jasna i księżycowa na niebie. Dziewczyna staje w oknie, wpatruje się w niebo gwiaździste: wszędy spokój, cisza; dobry Bóg zdaje się uśmiechać do niej; w ciemnych błękitach widzi niby jakąś rękę wzywającą ją do siebie; słyszy głos: „Wróć, biedne dziecko, do mnie, pod skrzydła pokoju i życia pełnego ciszy!” Więc oczy dziewczyny brzękną

łzami, kolana drżą pod nią; wreszcie pada na nie i poczyną się modlić. Postanowiła się poprawić – i czy się poprawi, myślicie? Oto pójdzie jakby pod stromą górę, której grunt jest ruchomy: zakrwawi ręce i nogi drapiąc się pod nią, ale co wejdzie kilka kroków, ziemia usuwa się jej spod nóg i dziewczyna spada jeszcze głębiej; próbuje znowu i stacza się jeszcze głębiej, aż wreszcie zostaje na dnie z poczuciem własnej bezsilności i rozpaczy w duszy.

Czasem znów zdarza się, że dziewczyna jeszcze cnotliwa opiera się i woła ratunku, żeby nie wpaść w otchłań występku, ale głód ciągnie ją za jedną rękę, chłód za drugą, przemoc socjalna popycha ją z tyłu, i czy sądzicie, że dziewczyna oprze się tej piekielnej trójcy? Co z sobą zrobi? gdzie się podzieje? gdzie dla niej ucieczka i obrona? Nigdzie, z wyjątkiem Anglii. „Chwała na wysokościach Panu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!” – mówi Psalmista. O! chwała dobrej woli: dziewczyna uratowana, bo oto ustroń spokojna, ogród zielony i „Żółty dom”.

Wśród ciemnej, zimnej i dżdżystej nocy wychudzona ręka targa gorączkowo za dzwonek w bramie „Żółtego domu”. Zza bramy nie odpowiada groźne warczenie psa ani gniewliwe: „Kto tam?” stróża nocnego. Drzwi otwierają się cicho, widać ciemny korytarz, jakaś ciepła, łagodna dłoń bierze zziębniętą rękę nieszczęśliwej i prowadzi ją za sobą. Nikt jej się nie pyta: co za jedna? skąd przyszła? jaka jej dola poprzednia? jakie występki? Po chwili znajduje się w małym, schludnym pokoiku. Czyste, białe zasłane łóżko, na stole dymi ciepły posiłek, pali się lampa, leży Biblia, nad łóżkiem zaś głowa Chrystusa w jasnej glorii patrzy na nią słodko, łagodnie, zachęcająco.

Dziewczyna rzuca się na jadlo. Jej się przede wszystkim chciało jeść; potem chodzi niepokojnie po pokoiku. Nie umie zebrać myśli; nie wie, co się z nią stało: boi się, czy nie dostała pomieszania zmysłów.

Tymczasem z wolna otwierają się drzwi: wchodzi jakiś dżentelmen, staruszek o twarzy dobrotliwej, ojcowskiej, wzbudzającej ufność. Staruszek wchodzi ot tak, jakby przyszedł do znajomej, i mówi:

– Dobry wieczór, moje dziecię! Ja jestem doktor: czyś nie chora?

Nieufny i niespokojny wzrok jest całą odpowiedzią.

– Czas mamy szkaradny... co? Łatwo się przeziębic. Pokaż puls, dziecko. No, dobrze, doskonale. Jeżeli pozwolisz, przyjdę cię odwiedzić jutro. O! brzydki czas. A teraz połóż się. Dobranoc, dziecko!

To mówiąc staruszek głaszcząc dziewczynę po głowie i zabiera się do wyjścia, ale w progu odwraca się i mówi:

– Ale... wszakże ci na imię Fanny?

– Jenny.

– A tak! tak! Jenny. Otóż, Jenny, idź już spać, ale... pomódl się; zmów pacierz, Jenny. Dobranoc!

To mówiąc zamyka drzwi. Jenny pozostaje sama. Jeszcze chwila osłupienia; potem wybuch płaczem i biegnie rzucić się na kolana przed obrazem Chrystusa. Ale nie... Ona nie może klęknąć przed tym obrazem w jaskrawej sukni, z uczernionymi brwiami, ze sztucznymi rumieńcami na twarzy i wszystkimi oznakami hańby. A oto obok łóżka leży na krześle skromna sukienka i cały ubiór. Jenny więc zrzuca te strzępy, które ją teraz palą i pieką, a potem modli się długo, długo.

Nazajutrz dzień już to nie owa Jenny. W skromnej sukni, z gładko przyczesanymi włosami, nie poznaje sama siebie. Wołają ją na śniadanie; znajduje towarzyszkę: nikt się jej o nic nie pyta, ale przyjmują ją jak siostrę. Prócz towarzyszek zastaje inne kobiety: pewno wielkie damy; ale może i nie, bo nie dumne, jakieś dobre, anielskie istoty, których przeszłość jak śnieg niepokalana. Kto są te damy?

– Aniołowie.

Ale i te skrzydlate istoty traktują ją jakby siostrę, jakby nigdy nie zgrzeszyła, jak sobie równą.

– Dzień dobry, Jenny... Dobry wieczór, Jenny – mówią jej łagodne głosy.

Co więcej, te niepokalane istoty służą jej, bawią się z nią, rozmawiają, przyjaźnią się z nią, najniższą, najnędną i najbardziej upadłą ze wszystkich istot na świecie. Żadnej wymówki, żadnej wzmianki o przeszłości. Są chwile, w których samej Jenny wydaje się, że jest lepszą; wraca jej ufność, spokój: doprawdy, jej się chwilami wydaje, że jest taką, jak dawniej, za lat dziecinnych.

Bo też ona już i jest taką, jak za lat dziecinnych.

Modlitwa, praca ręczna, nauka, przeplatane rozrywkami: oto w jaki sposób schodzi czas mieszkankom „Żółtego domu”. Nie każą tu im pokutować za przeszłość, ale każą o niej zapomnieć. Otaczają je atmosferą czystą: pracy, pogody, spokoju i niewinności, a atmosfera ta obejmuje je i przesiąka w najbardziej zepsute serca. Potem uczą, dają umiejętność zarobku; potem znajdują zarobek i puszczają na świat.

Najlepsze robotnice, najlepsze służące wychodzą z tego domu. Młodsze często potem wychodzą za mąż, są dobrymi żonami i matkami.

Podczas kiedy przewodnik nasz opowiadał mi o „Żółtym domu”, myślałem uleciałem nad pewne znane wam dobrze miasto i spojrzałem na jego zakłady dobroczynne. Widziałem pewien gmach z napisem łacińskim, widziałem komitety, sesje; byłem na posiedzeniu, słyszałem prośby o głos, przywoływania do porządku; słyszałem mowy i zwroty krasomówcze. Figury retoryczne brzęczały mi koło uszu jak muchy; jakiś głos wołał: „Bóg nam powierzył fundusze Towarzystwa, jemu tylko zdamy z nich rachunki.” Inny zaś wołał: „Nie potrzebujemy tłumaczyć się opinii, albowiem napisano jest: «Niech nie wie lewica, co daje prawica.»” Inny: „Dobroczynność nie jest cnotą, jeśli jest jawną.” Słowem: widziałem parlament, nie mogłem tylko dostrzec, co robi się z funduszami miłosierdzia; słyszałem zgiełk, hałas; obok grano na skrzypcach; obok tańczono w filantropijny sposób; dalej sprzedawano w bazarach, umizgano się w celach miłosierdzia do pięknych kobiet; uszczęśliwiano się w celach miłosierdzia w buduarach. Roztańcowane i spocone miasto śpiewało na nutę z *Pięknej Heleny*: „Jam – jest – gród litościwy, gród litościwy, gród litościwy – jam miłosierdzia wzór!” – ale pieśń tę tuż obok głużyły liczne jak piasek w morzu głosy. Ochryple te głosy wołały: „Łaskawi i miłosierni panowie, choć grosik na chleb, choć kopiejczkę na sznapsika!”

Ale oto jakiś inny zakład miłosierny uderzył moje zdziwione oczy. Dewizą jego: „Sięgnij, bratku, do saka.” Co, u licha! widzę jakby jakieś przedstawienie teatralne: mnóstwo gazu, koronek, aksamitu, lornetek, pudru, francuszczyzny. Zdaje się, że wszystkie dobre uczynki, tak co do ciała jak i co do duszy, wyprawiły sobie dystyngowaną maskaradę: widzę także Adama, Ewę, węża; cnoty teologiczne w trykotach, czyli piękne panny w teologicznych kostiumach; wyznawców tychże cnót, wypchanego kota, ostendzkie majtki, Semiramidę. Cóż to jest? To miłosierne widowisko pod tytułem: „*Wiele hałasu o nic*”. Dużo huku, puku. Nic nikomu ono nie szkodzi. Pan Bóg niewiele przez to traci, diabeł niewiele zyskuje: przytulone baby najwięcej, prawdziwa zaś nędza, jak ów kogutek, co poszedł na orzechy w bajce:

Leży, leży wedle drogi,
Wyciągnęła obie nogi,
Ledwo tchnie.

Żałowałem, że długa a pilna podróż, jaką miałem przed sobą, nie pozwalała mi dokładniej poznać, na większą korzyść moich współobywateli, wielu innych instytucji angielskich, które w ogóle odznaczają się mechanizmem nader prostym, a przy tym wielką dokładnością i dzielnością w czynach. W ogóle instytucje tutejsze, a mówię tylko o prywatnych, nie są objawem naśladownictwa, mody, pewnego popędu wywołanego sztucznie, ale płyną z potrzeb społecznych i z dziwnie krzepkiego ducha narodowego. Dlatego mniej się tu gada, więcej robi. Instytucje zaś nie upadają, bo poczucie obowiązku każe obywatelom podtrzymywać je z energią i wytrwałością nie tylko z początku, ale zawsze. Dziwni ludzie ci Anglicy. Wyobraźcie sobie,

moi mili współobywatele, że członkowie licznych tutejszych towarzystw nie zalegają nigdy w opłacie składki! Słyszeliście o czymś podobnym?

Ale już dosyć o tym. Na świecie robił się mrok. Na ulicach zapalano latarnie gazowe, które służą tu nie tylko po to, żeby wróble miały na czym siadać; wystawy sklepowe zapłonęły jakby wielkie ognisko przez całą długość ulic: czas było udać się na dworzec kolejowy, z którego pociąg wychodził do Liverpoolu.

Rzeczy nasze miały być nadesłane z hotelu. Jakoż zastaliśmy je już w sali dworca. Ogromna czerwona sala była zupełnie prawie pusta, słychać było tylko poważne: tyktyk wielkiego zegara wmurowanego w boczną ścianę. Urzędnik sprzedający bilety skracał sobie czas okręcaniem klucza na palcu, które to zajęcie pochłaniało całą jego uwagę. Pod ścianami stało paląc fajki kilku posługaczy. Po kupieniu biletów udaliśmy się do jednego z nich, ażeby nam pomógł wyekspediować rzeczy.

– Rzeczy już są na pociągu – odpowiedział ten dżentelmen.

– A kwit?

– Jaki kwit?

– Kwit od rzeczy.

Nie mogliśmy się porozumieć. Wreszcie posługacz wyprowadził nas na platformę i pokazał nam nasze kufry stojące spokojnie w wagonach, a gdyśmy nie poprzestając na tym żądali jeszcze kwitu, ruszył ramionami, mruknął: „Goddam!” i poszedł sobie zostawiając nas własnej przedsiębiorczości.

Nie było co robić. Udaliśmy się do kasjera. I znów ten sam dialog:

– Prosimy o kwit.

– Jaki kwit?

– Kwit od rzeczy.

Kasjer ruszył ramionami i począł okręcać z nadzwyczajną uwagą klucz na palcu, nie spojrzawszy na nas więcej. Poszukaliśmy tedy konduktora.

– Prosimy o kwit.

– Jaki kwit?

– Kwit od rzeczy.

Konduktor ruszył ramionami; ja starałem się zachować wielkość duszy w nieszczęściu; jeden z towarzyszków moich począł wymieniać nadzwyczajne ilości beczek, karabinów i fur; drugi oświadczył sucho: że jeśli tak, to noga jego nie postanie więcej w tym kraju, czym byłby zapewne bardzo przeraził Anglików, gdyby go mogli byli zrozumieć. Następnie obaj spojrzeli na mnie, następnie ja spojrzałem na nich; następnie wszyscy trzej nie wiedzieliśmy, co robić.

Tymczasem sala poczęła się napępiać, coraz więc trudniej było sobie dać radę; na szczęście usłyszeliśmy jakąś parę rozmawiającą po niemiecku.

Towarzysz Poznańczyk poskoczył ku niej żywo.

– Nie chcą mi dać kwitu od rzeczy.

– Bo tu nie dają nikomu. Na kufrach są poprzyklepiane kartki, dokąd które idą. Na każdej stacji wyjmują przeznaczone do niej pakunki. W Liverpool wyjmą pańskie, przyjdiesz pan, weźmiesz je i skończyło się.

– A jak się kto do nich przyzna?

– Nikt się nie przyzna. Towarzysz Poznańczyk wrócił do nas w doskonałym humorze.

– O, to, to rozumiem. To to kraj! Co za porządek!

Istotnie przy odejściu pociągu wszystko odbyło się nader porządnie. Posługacze kolejowi nie wrzeszczeli, nie życzyli sobie wzajemnie paraliżów, nie było wzmianek o wątrobach. Pociąg ruszył i po chwili Londyn wraz ze swoim morzem światła zniknął nam z oczu. Powietrze tylko nad miastem było rdzawe i czerwone jak luna pożaru.

Noc robiła się ciemna, tak że przez okna wagonu nie mogłem nic dojrzeć. Czasem tylko na ciemnym tle nieba rysowały się jeszcze ciemniejsze sylwety kominów. Czasem pociąg wpadł między wielkie zakłady, w których topią żelazo. Olbrzymie ogniska pieców, jaskrawe płomienie, czarne postacie ludzkie na tle ognistym, huk młotów, zgrzyt i wycie piłowanego żelaza, tumany dymu: wszystko to stanowiło jakby obraz rzeczywistego piekła. Potem znów ogarniała nas ciemność i czysta, wilgotna, nocna atmosfera; czasem po huczeniu maszyny można było poznać, że przelatujemy tunele. Towarzystwo w wagonie poczęło się rozsypiać, jak to się zwykle dzieje wśród nocy. Przy drżącym świetle lamp widać było twarze zaspane i zmęczone. Czasem krótka rozmowa przerwała ogólne milczenie. Siedzący obok mnie otyły dżentelmen kiwając się przez sen uderzył głową w moje ramię, a mruknąwszy: „I beg your pardon!”, uderzył natychmiast po raz drugi. Zdjęta dla wygody para trzewiczków młodej i przystojnej miss wysunęła się spod ławki i podskakując razem z ruchami wagonu, wpadła pod nogi jakiegoś długiego i kościstego jegomości, prawdopodobnie pastora albo kwakra, który nazajutrz rano ujrawszy tę rzecz tak świecką odsuwał ją ze zgrozą z pomocą laski ku śpiącej właścicielce mówiąc zapewne w duchu: „Vade retro!”

Tymczasem zaczęło szarzeć. Brzask robił się na wschodzie: domki farmerskie, drzewa albo czasem wieże kościelne występowały coraz wyraźniej z głębi cienia i mgły. O godzinie szóstej dojeżdżaliśmy do Liverpoolu.

Miasto czysto angielskie. Też same niewielkie domy z czerwonej lub surowej cegły, okopcone dymem a poplamione deszczem; też same zielone zazdrostki w oknach; zresztą z powodu wczesnej godziny cicho i spokojnie.

Od strony morza dął potężny i ostry wiatr; na końcu ulicy widać było las masztów. Mieliśmy jeszcze dwie godziny czasu, zatem zatrzymaliśmy się w hotelu, by się umyć, przedrzeć mać i posilić przed puszczeniem się na morskie odmęty.

Wskazano nam hotel wdowy Clynton, o której mówiono, że umie, a przynajmniej rozumie po francusku. Ale wdowa Clynton, gdyśmy zajechali, spoczywała jeszcze w objęciach Morfeusza; zamiast zaś niej przyjął nas jakiś Irlandczyk, o czerwonych, stojących jak szczotka włosach, piegowatej twarzy, zaspanych oczach i głosie dwuletniego dziecka.

– Dżentelmeni jadą zapewne do Ameryki – mówił, a raczej piszczał głosem nadzwyczaj patetycznym – to daleko, bardzo daleko, tak jest: to bardzo daleko!

Tak mówiąc podnosił oczy w górę i wzdychał, i zdawało się, że pragnie nas pobłogosławić na drogę.

– A cóż to za mała uroczysta? – odezwał się jeden z moich towarzyszków.

Istotnie Irlandczyk był nader uroczysty. Gdyśmy prosili go o wodę do umycia:

– Do umycia? – odrzekł smętnym głosem – o tak, tak, do umycia.

Potem, gdyśmy się umyli, zaprosił nas równie rzewnie na śniadanie, przy którym posługiwał z powagą i milczeniem.

Przy śniadaniu nadeszła wdowa Clynton wraz z młodą i przystojną córką Clynton i nie wiem, co to za dziwny dom, ale obie te damy wydały mi się jeszcze uroczystsze. Naprzód wdowa Clynton w krótkiej, ale pełnej głębokiego uczucia mowie wyraziła nam swoją wdzięczność, żeśmy jej, a nie inny hotel wybrali na miejsce chwilowego spoczynku; potem zaś, gdyśmy skończyli śniadanie, zawołała: „No! czas, panowie!” tak rozdzierającym głosem, jak gdyby miała się żegnać z mężem albo z kochankiem. Przy płaceniu rachunku, który, należy oddać mu sprawiedliwość, był bajecznie mały, wdowa raczyła zwrócić na mnie swoją uwagę.

– Nie żęń się pan w Ameryce: tam niedobre kobiety; szkoda by było pana!

Tu, wobec kwestii tak drażliwej, córka Clynton zarumieniła się lekko, ja zaś starałem się uczynić toż samo i odrzekłem, że choćbym miał taki zamiar, w chwili tej porzuciłbym go stanowczo. Po czym pożegnaliśmy się tak, jak się żegnają członkowie jednej rodziny, i ruszyliśmy do portu.

Z portu mały pękaty parowiec miał nas przewieźć do okrętu udającego się za Ocean. Nadspodziewanie pasażerów znalazło się mnóstwo, tak że cały parowiec był zapchany kuframi, majtkami (okrętowymi), kobietami, dziećmi, co wszystko prócz kufrów żegnało się, powiewało chustkami, płakało, całowało, paliło cygara, jadło pomarańcze lub patrzyło na morze. Dzień był chmurny, dżdżysty; woda niespokojna, lubo drobno pomarszczona; wiatr podrywał piasek pobrzeżny i ciał nim po twarzach. Przecisnąwszy się przez stopy kufrów zasiedliśmy w jakimś kącie i milczeli wszyscy. Trudno się oprzeć pewnemu wzruszeniu mając przed sobą Ocean. Tymczasem mały parowiec zawrzeszczał przeraźliwie, jakby go kto ze skóry obdzierał, podniósł kotwicę i ruszył.

Po półgodzinnej jeździe ujrzeliśmy wreszcie „Germanika”, który miał nas przewieźć do Ameryki. Wyznaję, że ujrawszy ten statek, długi blisko tak, jak połowa naszego żelaznego mostu, ujrawszy jego potężne kominy, maszty, jego piętra, jego olbrzymie boki świecące oknami, odetchnąłem swobodniej.

– No, ten potwór chyba się ani zakołysze na morzu! – rzekłem do mego towarzysza, którego twarz wypogodziła się również.

– Co? – odpowiedział mi z entuzjazmem i dumą, jak gdyby był budowniczym statku – on sobie, panie, drwi z fali! Ja się po prostu kocham w tym statku!

Było to istotnie uczucie trochę zbyt nagłe, ale taki patriotyzm okrętowy, gdy chodzi o własną skórę, jest do wytłumaczenia.

Tymczasem potwór nasz wywiesił czerwoną chorągiew z białą gwiazdą i napisem: „White Star” (Biała gwiazda), należy bowiem do Towarzystwa noszącego tę nazwę; następnie nie zagwizdał, ale ryknął głosem tak tubalnym, że nasz stateczek przewozowy o mało nie schował się pod wodę ze strachu. Zbliżyliśmy się jeszcze więcej do jego boku, a raczej do jego stóp; zahurkotał pomost; powstała wrzawa i zamieszanie: chwyciłem za ucho mój kufer i po chwili znalazłem się na „Germaniku”.

Był to czwartek, dnia 23 lutego.

II

Z OCEANU

Pod wieczór dnia 23 siedliśmy na okręt „Germanicus”, który miał nas zawieźć do Ameryki. W poprzednim liście wspomniałem, że jest to jeden z najpotężniejszych parowców linii „White Star”, utrzymujący komunikację między Liverpool a New Yorkiem. Fale Morza Irlandzkiego zaledwie cokolwiek kołysały olbrzymim statkiem, tym bardziej że i pogoda była piękna. Po dwu- lub trzygodzinnej jeździe ściemniło się. Brzeg irlandzki, wzdłuż którego płynęliśmy na południe, coraz bardziej osłaniał się mgłą i rozpływał w ciemnej dali, na koniec zmaścił się zupełnie z morzem, niebem i nocą – i zniknął. Chwilami tylko połyskiwały czerwone i zielone światła latarni, które zdawały się palić w powietrzu; wreszcie i one pograżyły się w ciemnościach, a naokoło białały tylko zapienione szeregi grzbietów fal idących jedna za drugą z nieskończoności.

Nazajutrz rano przybiliśmy do Queenstown, portu leżącego na samym południowym cyplu Irlandii, skąd już prosto na zachód mieliśmy się puścić do New Yorku. Queenstown jest to ogromny port, a zarazem! jak mnie zapewniali z dumą Anglicy, niezdojta forteca, chociaż sądzę, iż niezdojta jest głównie dlatego, że nikt jej nigdy nie zdobywał, a zatem i nie zdobył, na mocy czego nasz Ozorków również za niezdojną warownię poczytywać by można.

Ale jak pomiędzy naszymi miastami każde ma jakąś osobliwszą sławę, skutkiem której mieszkańcy ich mówią: „u nas, panie, w Płońsku”, „u nas, w Kozienicach” lub: „u nas, w Przytyku, to, panie, znajduje się to i owo” – a mówią z taką dumą, jak gdyby: „chez nous a Paris” – tak i Queenstown odznacza się tym, że stanowi wrota Oceanu. Tu kończy się Morze Irlandzkie, a zaczyna się Atlantyk, i z tego powodu prawie wszystkie okręty idące z Anglii do Ameryki i odwrotnie mają tu swój kilkogodzinny przystanek.

Nasz okręt również zarzucił opodal od brzegu kotwicę i potężnym gwizdaniem oznajmił miastu swoje przybycie. Mały parowiec przywiózł nam nowych pasażerów, a po największej części emigrantów, którzy cisnęli się na pokład z żonami, z dziećmi, z pakunkami, z biedą i z nadzieją, że ową biedę utopiają w morzu w czasie podróży. Rozpoczęło się wyładowywanie pakunków i towarów z małego statku na wielki, przy czym rzucano pakami tak, iż zdawało się, że będą gwałtu krzyczeć. Na małym parowcu znajdowało się także kilku przekupniów. Jakaś młoda dziewczyna z ładnymi, niebieskimi oczyma i koszykiem pomarańcz w ręku wykrzykiwała wniebogłosy pochwały swego towaru, odpowiadając jednocześnie na dowcipy, jakie jej wraz z szylingami przesyłano z wysokości naszego statku, który przynajmniej o trzy piętra prznosił przybyłego pigmejczyka. Był to widok bardzo ożywiony: majtkowie wypakowując kufry krzyczeli i klęli, dziewczyna rzucała z dołu gradem swoje pomarańcze, nie pytając się, czy ich kto chce, czy nie chce, młodzi zaś dżentelmeni rzucali jej pieniądze, za którymi latała po całym pokładzie, śmiejąc się i tańcząc. Czasem ciskano jej i skórki pomarańczowe, które chwytiała z równie dobrym humorem i wesołością.

Wreszcie mały parowiec wysadził wszystkich swoich pasażerów i pakunki, po czym zabrał listy z naszego statku, wrzasnął wniebogłosy i odpłynął. Nie było podróznego, który by nie

przesłał listu na ląd; kto bowiem puszcza się wiosenną porą na Ocean, nigdy nie może powiedzieć, czy będzie jeszcze oglądał tych, których żegnał; każdy więc pragnie przesłać choćby jeszcze jedno małe „addio”, „pamiętaj, póki nie zapomnisz!” lub: „pisuj do mnie na Berdyczów!” Wszystkie twarze były poważne i uroczyste, a kto nawet nie miał powagi i uroczystości w duszy, ten starał się ubrać w ich pozory. Ludzie lubią takie położenia, jakie w zwyczajnym życiu widuje się tylko w operach. Zresztą puszczać się na Ocean, każdy głupiec wydaje się samemu sobie poetycznym i co najmniej Child-Haroldem, a zatem:

Bywaj mi zdrów, kraju kochany!

Istotnie, świsnęły wiatry, zaszumiały bałwany, zaświegotało morskie ptactwo; „Germanicus” podniósł kotwicę i po chwili chwiał się już na ogromnych falach Oceanu. Pasażerowie poczynają biegać po całym statku, zaglądać wszędzie, przypatrywać się każdej jego śrubce; po czym upewniają się wzajemnie, że nie masz żadnego niebezpieczeństwa. Każdy mniej więcej w strachu, a wszędy słychać następujące rozmowy:

- Ależ to statek, daj go katu!
- Ho! panie, on bije wszystkie Cunary.
- Na tej linii nie było jeszcze żadnego wypadku.
- I pewno nie będzie: mamy przewyborną pogodę.
- Widziałeś pan sternika? Stary wilk? co?
- Mówią, że i nasz kapitan bardzo doświadczony marynarz. On podobno woził królową.

Nieprawda, nikt nie mówił, że nasz kapitan jest doświadczony marynarz i że woził królową, ale zadający to pytanie jest w strachu, zadaje je więc dlatego, że ma nadzieję, iż mu kto na nie odpowie twierdząco. Zresztą pogoda istotnie trwa, statek kołysze się niewiele, wszyscy więc nabierają zaufania, niektórzy nawet objawiają głośno, że gotowi są zrozumieć wszystko, ale nie rozumieją obawy morza.

Kołysanie swoją drogą ma miejsce, tylko statek jest tak wielki, że tego nie czuć. Stojąc jednak ku tyłowi okrętu, można doskonale dostrzec, jak przód jego to zsuwa się po pochyłości wodnej na dół, to znowu podnosi się ociężale do góry. Za statkiem leci kilkanaście mew, które raz w raz rzucają się na wodę, gdy z kuchni okrętowej wyrzuca coś przez okno.

Około godziny pierwszej po południu w salonie jadalnym i po korytarzach, gdzie są kajuty, odzywa się barbarzyński głos gongu, czyli tam-tama, zwołujący pasażerów na lunch. Siadamy do stołu. Tu znowu rozpoczyna się dla mnie bieda z angielszczyzną. Nie rozumiem jadłospisu i nie wiem, co sobie kazać dać jeść. Przychodzi steward, czyli lokaj okrętowy. Jest to stara i wyschła jak wosk mumia ubrana we frak i biały krawat. Mumia ta staje nade mną, zamyka oczy, otwiera usta, pokazuje żółte zęby i zaczyna coś mówić, a raczej skrzypieć mechanicznie jak blaszana chorągiewka, którą porusza wiatr. Niewiele myśląc pokazuję jej na karcie jakąś potrawę, której nazwa angielska podobała mi się więcej od innych z powodu swego brzmienia. Mumia odchodzi, następnie powraca i przynosi mi morele. Chciałem zupy, wszyscy jedzą zupę, ale cóż robić? Zabieram się do moreli.

Po morelach nieubłagany los zsyła mi ser, po serze pomidory, po pomidorach tartą bułkę. Zjadam to wszystko; na deser zaś dowiaduję się, że siedzący koło mnie podłotek umie po francusku i że mógł mi służyć za tłumacza w moich utrapieniach. Zamawiam więc sobie jego pomoc i łaskę na przyszłość, po czym lunch kończy się i wychodzimy na pokład.

Już wstając od obiadu uczułem, że wiatr musiał się zwiększyć. Idąc wzdłuż stołów ku drzwiom tego ogromnego salonu, oświetconego przynajmniej trzydziestu okrągłymi oknami, trzeba się było od czasu do czasu chwytać krzesła, które przymocowane są do podłogi, ale mogą się obracać. Na pokładzie zastają już liczne grono pasażerów, którzy przypatrują się sobie wzajemnie i próbują rozmawiać, oczywiście nie o czym innym, jak o pogodzie, która to rozmowa na statku bynajmniej nie jest tak cczą i błahą, jak na lądzie.

Ale tymczasem statek zaczyna się coraz lepiej kołysać. Po upływie półgodziny jedna z dam, która dotąd rozmawiała najweselej, nagle wstaje, spogląda obłąkanymi oczyma naokoło, mówi przygnębionym głosem: „O Boże! Boże!”, po czym zbiega szybko po schodach na korytarz prowadzący do kajut. Za nią wkrótce podąża druga i trzecia, po nich mężczyźni; pokład staje się coraz pusty; na koniec na pobojuwisku zostaje tylko kilka osób trwalszej natury, między którymi liczę się ja, mój towarzysz, jakiś doktor z rudymi faworytami i młoda para amerykańska: mąż podobny do Otella, żona – do anioła.

Zabieramy ze sobą znajomość. Na szczęście, i doktor, i młoda para umieją po francusku. Oczywiście rozmawiamy tylko o morzu i przypadłościach żeglugi. Po niejakej chwili Otello pyta mnie:

- Pan dużo podróżował po morzu?
- Jadę pierwszy raz, ale dotąd nic mi nie jest. A pan?
- O! ja znam się z morzem i moja żona także.
- Ależ zaczyna się kołysać nie na żarty!
- To mnie mało obchodzi – odpowiada Otello, a po niejakej chwili zaś dodaje:
- Myślę jednak, że musiałem zjeść coś niezdrowego...
- Istotnie uważam, że pan pobladł.
- O! ale to przejdzie. Tu na pokładzie najlepiej... ani myślę schodzić na dół!
- Noc będziemy mieli piękną?
- Bardzo piękną... Niezawodnie zjadłem coś niezdrowego.
- Świeże powietrze pana wyleczy.
- Jednakże...

Tu Otello składa tak niezbite dowody, że musiał zjeść coś niezdrowego, iż nie pozostaje mu nic, jak tylko zejść na dół i położyć się w łóżko. Na pokładzie zostaje nas troje. Poczynam jednak czuć zawrót głowy, ale zapalam cygaro, które przynosi mi ulgę. Doktor rozmawia z moim towarzyszem, ja z młodą lady. Uważam jednak, że zaczynam głupieć, skutkiem czego rozmowa nie klei się, jakkolwiek młoda lady jest bardzo ładna. Tymczasem zaczyna ściemniać się; majtkowie ściągają wielki żagiel na przedzie okrętu i ciągnąc w kilkunastu linę wolażą żalosnym głosem: „Ooo – ho!”

- Pójdziemy zobaczyć – mówi do mnie młoda lady.

Idziemy tedy zobaczyć; ale w pół drogi lady zatrzymuje się i spogląda na mnie tak szczególnym wzrokiem, że krew rzuca mi się do twarzy. W jej oczach widać czułość i omdlenie, policzki jej bledną i rumienia się, chce coś mówić i jakby nie śmie, ale przewraca oczyma jak heroina na scenie. Boże wielki! co to się znaczy? myślę sobie...

Czyżby?... ale nie, to byłoby zbyt nagle, zbyt po amerykańsku. Jednakże!...

- Panie... – szepcze słabnącym głosem młoda lady.
- Pani! dwie dusze jak nasze...
- Oh! oh! – przerywa młoda dama.
- Dwie dusze jak nasze...
- Śliwek, śliwek jak najprędzej!

Wiadro zimnej wody, wylane na głowę, nie ostudziłoby mnie tak skutecznie, jak to jedno małe słowo: „śliwek!” Jeszcze w Liverpool wdowa Clynton mówiła mi, że najdzielniejszym lekarstwem na chorobę morską są suszone śliwki. Więc to ten powód? Oby Ocean pochłonął wszystkie śliwki z obu półkuli ziemskich! Ja myślałem... Ale cóż robić? Biegnę tedy do stewarda po śliwki i po chwili wracam z pełnym talerzem: młodej lady nie zastaję już jednak na pokładzie.

Tymczasem chiński tam-tam daje znać, że czas na obiad. Karmią nas wspaniale, ale do obiadu nie siada już ani pół tyle osób, co do południowego lunchu. Mojego podlotka nie ma także. Po prawej stronie ode mnie siedzi natomiast jakiś kapitan okrętowy, którego statek rozbił się na brzegach Anglii. Jest to człowiek dwa razy grubszy od zwykłego chrześcijanina; ale

ta bryła łożu mówi nadzwyczaj cienko i je tyle, że połowa tego wystarczyłaby dla całej załogi okrętowej. Rzekłbyś, jest to waliza służąca jako skład żywności. Apetyt ten jedna mu szczególniejsze poważanie w oczach naszej starej mumii, która usługuje mu dwa razy staranniej niż mnie.

Obiad trwa w milczeniu i kończy się w milczeniu przerywanym tylko skrzypieniem filarów podpierających sufit dining-roomu, które służą zarazem za szafy do książek; czasem znów fala z łoskotem zalewa okna, to z prawej, to z lewej strony salonu. Wszystkie twarze są smutne i blade. Siedzący naprzeciwko kapitana jakiś dżentelmen uderza szklanką o stół i mówi:

– Pomorek na taką pogodę!

– Pogoda jest piękna – piszczy ciekim głosem waliza – ale w nocy lub jutro rano będzie burza.

Po czym napelnia usta połową ogromnego homara i twarz jej przybiera wyraz nieopisanego szczęścia.

Uważam, że na dole, w salonie, daleko mi się więcej w głowie kręci niż na górnym pokładzie; uważam także, iż umysł mój z każdą godziną tępieje coraz bardziej; dlatego natychmiast po czarnej kawie wybiegam znowu na pokład. Ciemno jest już zupełnie. Silny wiatr łopocze w żagle, na całym okręcie słychać żalosne „Ooo – ho!” majtków. Ocean zaś szumi złowrogo. Z mroku i z oddalenia dobywają się jakieś jakby ogromne a smutne jęki i westchnienia. Fala za falą uderza ciężko o wysokie boki statku, który zdaje się stękać, ale płynie naprzód. Jest to widok wspaniały, choć złowrogi. Ta ciemność i nieskończona przestrzeń wodna ma w sobie coś mistycznego. Umysł przeraża się ogromem, który go otacza, i wije w sobie; dusza odczuwa wrażenia, ale nimi nie włada. Chwilami zdaje mi się, że z ciemności ktoś zawołał na mnie po imieniu. Gubię wzrok w przestrzeni i próbuję myśleć i wspominać, ale nie klei się: własne moje myślatka wydają mi się rozproszone, błahe, zwietrzałe i tak marne, jak nigdy; na stonki, którymi zajmowałem się jakby wielkimi sprawami w rodzinnym mieście, mimo woli spoglądam niby przez odwrotny koniec lunety. Przychodzi wreszcie zapomnienie i utrata świadomości: zlewam się z otoczeniem i przestaję istnieć odrębnie. Dla zmęczonych ludzi ma to taki urok, jak bardzo głęboki sen albo jeśli kto nawet woli: śmierć. Żalosne „Ooo – ho!” majtków rozlega się ciągle: ciągną tam znów jakieś liny, a w pomroku widzę czarne ich sylwetki pochylające się i prostujące jednocześnie. Wielkie kominy zaczynają wyrzucać deszcze czerwonych i złotych iskier; na przednim maszcie wiszą latarnie, które to zniżają się, to podnoszą w takt ze statkiem. Wnętrze okrętu pełne jest światła. O godzinie dziesiątej schodzę na dół, ale po drodze wstępuję jeszcze do smoking-roomu, to jest do pokoju przeznaczonego dla palaczy. Kilkunastu dżentelmenów siedzi tu naokoło na kanapkach pod ścianami, z nogami pozakładanymi na stół i kapeluszami ponasuwanymi na tył głowy. Niektórzy grają w karty, inni spluwają nadzwyczaj celnie i daleko w ogromne fajansowe spluwaczki, których pełno stoi na podłodze. Atmosfera zadymiona, cały zaś pokój ma pozory knajpy niemieckiej, w której ludzie dla wygody zdejmują buty. Żal mi się zrobiło mojej ciszy i samotności na pokładzie, ale wracać tam było już zbyt późno; dlatego zeszedłem do kajuty...

Kajuta nasza jest to mały pokój mający nie więcej, jak cztery łokcie kwadratowej przestrzeni; przy jednej ścianie przymocowane są jedno nad drugim, dwa łóżka, a raczej dwie głębokie szuflady z wysokimi bokami, które nie pozwalają wypaść śpiącemu w czasie kołysania statku; przy drugiej ścianie stoi czerwona aksamitna sofa, między sofą a łóżkiem umywalnia – i oto wszystko. Cała kabina schludna, wykwinna nawet, ale mała. Dama, która by, jak mówi pan Dickens, wskutek skromności niewieściej spodziewała się znaleźć w kajucie tylko dwie ogromne szafy na suknie, zawiodłaby się srodze. Zaledwo tu można się obrócić, a rozbierać się inaczej niepodobna jak po kolei. Wiele osób, zwłaszcza pierwszej nocy na morzu, nie rozbiera się wcale. Istotnie kładąc się spać doznaje się dziwnego uczucia na myśl, że pod sobą ma się niezmierną głęboką, naokoło nieprzebyte pustynię wodną; jest się na stat-

ku, który mimo swej wielkości i mocy jest tylko piłką rzuconą falami olbrzymiego Oceanu. Człowiek mimo woli sobie mówi: jeżeli można by postawić dziesięć za tym, że jutro się obudzę, przynajmniej dziewięć można by trzymać za tym, że się jutro nie obudzę.

Cóż jednak robić? Jeżeli przyplynie góra lodowa, jeżeli kocioł pęknie, zdarzy się pożar na statku, tak samo zginę ubrany, jak nie ubrany. Tymczasem sen skleja powieki, głowa, w której fale wstrząsały mózg przez cały dzień, cięży; idzie się zatem spać rozumując: co jutro będzie, nie wiem; że mi się chce spać, wiem.

Noc jednak przeszła spokojnie, to jest bez żadnego nadzwyczajnego wypadku. Nazajutrz rano jednak do brekfestu siadło znowu dwa razy mniej osób niż wczoraj do obiadu, a twarze były jeszcze więcej pomartwione. Jedzono tylko śliwki i kaszę jaglaną z mlekiem. Statek się kołysał bardziej niż wczoraj, a poważna twarz kapitana zdawała się mówić, że będzie raczej gorzej niż lepiej.

Wyszedłem na pokład. Dzień był ponury, szary, wietrzny. Mewy rzucały się w powietrzu, fale zaś były rozigrane. Trudno się było utrzymać na nogach. Naokoło statku piętrzyły się takie bałwany, w jakich istnienie trudno uwierzyć. Zawsze uważałem za przesadę, gdy opowiadano mi dawniej, że fale morskie dochodzą wielkości domów; teraz przekonałem się, że istotnie jest to przesada, ale in minus. Otaczały nas po prostu góry wodne. Chwilami zdaje ci się, że cały statek wraz z tobą znajduje się w bardzo głębokiej dolinie zamkniętej górami przewyższającymi o wiele, tak np. o dziesięć razy, szczyty masztów. Nagle dolina zaczyna się zmniejszać z przerażającą szybkością, a góry lecą ze wszystkich stron na statek, rycząc jak wściekłe. Przymykasz oczy i mówisz sobie w duchu: „Jak się macie, ryby!” – przysięgłbyś bowiem, że żadna siła ludzka nie wyrwie już statku z tego przeklętego lejka, na którego dnie zostanie, pokryty warstwą wodną grubą na kilkadziesiąt sążni. Po chwili jednak, cóż się stało? Oto otwierasz znów oczy i widzisz się teraz na wierzchołku góry, przed tobą zaś przepaść, do której zlatujesz po linii prawie prostopadłej. W ten sposób jechaliśmy cały dzień.

– Czy to jest burza? – pytam jednego z majtków, umiałem bowiem ten frazes po angielsku.

– Nie, to nie burza – odpowiada majtek – czas jest piękny.

Przekleństwo na twoje oczy! Jeżeli to jest czas piękny, cóż wy tedy nazywacie burzą? On to nazywa czasem pięknym! Jeżeli nie utoniemy, to chyba dlatego, że ty i twoja załoga będziecie wisieć, co zaś ma wisieć, to nie utonie. Tymczasem fale zalewają nawet górny pokład, tak że trzeba zejść na dół. Przy samych schodach spotykam doktora z rudymi faworytami, który pochyła się nade mną i krzyczy, żeby przekrzyczeć szum morski:

– Comment ça va, monsieur!?

Jestem tak pogiębiony, że nie tylko nie odpowiadam doktorowi, ale nie mogę trafić do schodów. Nie choruję, ale czuję zawrót głowy i oglupienie posunięte do tego stopnia, że gdyby to był stan normalny mego umysłu, mógłbym odznaczyć się nawet w kółkach ultrakonserwatywnych a tout prix. „Trzymałem się za coś – mówi w podobnym położeniu pan Dickens – może to był komin od pieca, może majtek, ale może i krowa.” Ja wiem, że nie mogłem trafić do schodów.

– Patrz pan! – woła doktor – ja się niczego nie trzymam, ja mogę teraz przechadzać się po pokładzie.

– Jak to? – jęknąłem – pan nie upadnie?

– Je suis trop vieux marin pour cela! – odpowiedział i w tej chwili zobaczyłem nagle jego nogi w tym miejscu, gdzie była głowa, co mi dowiodło, że nie tylko przechadzać się, ale może nawet przewracać koziołki.

Prawdziwa burza rozszalała jednak dopiero wieczorem, chociaż wiatr wzrastał się przez cały dzień. Kiedy nadeszła chwila lunchu, położono na stołach poręczę, inaczej bowiem wszystko by z nich pozlatywało na ziemię. Nic zabawniejszego, jak widzieć gości idących wzdłuż stołów na swoje miejsca i taczających się jak pijani. Wchodzi na przykład jakiś pastor prezbiteriański, a może kwakier. Ale zaledwie ukazał się we drzwiach i puścił się kłamki,

rzuca się w największym impecie na kominek, jakby tam spostrzegł coś takiego, na co poprzednio czatował; następnie odbija się od kominka, uderza o krzesło, chybia poręcz, którą chciał uchwycić rękoma, odbija się od krzesła, wpada w objęcia jakiejś panny, porywa ją za głowę, po czym siada na podłodze, wywiesza język i poczyną piszczeć konającym głosem: „Oj! oj!”

Lunch mimo przegródek i poręczy na stołach mamy tańczący, gdy bowiem statek położy się na lewym boku, wszystkie półmiski, talerze, szklanki, karafki, noże, widelce zsuwają się z brzękiem, szczękiem, hałasem i tartasem na lewą stronę, po chwili znów na prawą, i tak ciągle. Stewardowie posługują nam chodząc w ten sposób, że tworzą z podłogą kąt ostry; zupa wylewa się z talerzy, woda ze szklanek, wino z kieliszków; panie poczynają krzyżeć, panowie kłać bez względu na obecność dam; słowem: powstaje nieopisane zamieszanie i połowa osób opuszcza stół przed czasem.

Obiad odbywa się tak samo jak lunch. Co większa, przy obiedzie nie ma kapitana, co poczytują za zły znak. Jakoż przy czarnej kawie wyraz: „Storm! storm!” (burza! burza!) rozlega się po całym salonie, na korytarzach i w kajutach. Burza istotnie rozpoczyna się. Mimo mego godnego politowania stanu chcę ją widzieć i ubrawszy się w gumowy płaszcz z kapturem, wychodzę na pokład, a raczej wyłażę na czworakach. Wicher jest tak silny, że trzymając się obiema rękoma poręczy zaledwie mogę ustać na nogach. Chwilami woda oblewa mnie od stóp do głów. Morze zdaje się być pomieszane z chmurami, chmury z morzem. Patrząc na to nie mogę opędzić się myśli, że Ocean się wściekł. Ale właśnie ta jego wściekłość ślepa i głupia budzi ku niemu rodzaj pogardy. Huczy, ryczy, ciska się, opluwa niebo pianą, miesza się z powietrzem, słowem: szaleje. Nie przystoi to ani jego ogromowi, ani majestatowi, tym bardziej że złość ta wydaje się nie mieć żadnej przyczyny. Wściekł się i kwita, tak jak wpada czasem bez powodu w szaleństwo słoń. To wyuzdanie się ślepych sił, ta przemoc brutalna skierowana przeciw statkowi, który w porównaniu jest atomem, budzi w tobie chęć oporu i gniew. Chciałbyś zaciąć zęby, chwycić w rękę topór i z iskrzącym wzrokiem czekać na tę olbrzymią hałastrę wiatrów, piany, fal, wściekłości, zaślepienia, ryczącej orgii i przemocy. Postępek Kserksesa, który kazał wychłostać fale, wydaje się wówczas zrozumiałym. Zwierzę potrzebuje bata. Jeżeli tylko nie jesteś z natury tchórzem ostatniego rzędu, mówisz wówczas Oceanowi: „Rycz, wyj, wściekaj się – drwię z ciebie!” Jest w tym wszystkim nawet pewna rozkosz, bo wobec podobnych uczuć największa nawet wściekłość staje się bezsilną.

O północy burza doszła do swego maksimum. Statek prawie nie odpłynął naprzód, ale rzucał się tylko od chmur w przepaść i odwrotnie. Nie było już widać nic prócz chaotycznej i wścieklej mieszaniny nieba, wody, powietrza, wichru i ciemności. Wiatr uderzył czasem jak młotem, czasem zakręcał jak świdrem, słowem: pastwił się nad falami i statkiem. Tumany kropel wodnych uderzały od czasu do czasu o moją twarz i kręciły się w powietrzu jakby słupy dymu. Ogromne masy wody wpadały co chwila na pokład lub przelatywały przezeń na drugą stronę. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił, aby nie być splukanym.

Nagle spostrzegłem, że ktoś stoi koło mnie, również w gumowym płaszczu i kapturze. Był to mój towarzysz. Próbowaliśmy mówić, ale niepodobna było ust otworzyć, wiatr bowiem wbijał nam na powrót aż w gardło słowa. Pasażerowie wszyscy pochowali się w kajutach, tak że na pokładzie byli tylko majtkowie.

Cała załoga prócz palaczy była na górze. Majtkowie to ciągnęli liny, to czepiali się drabin, to związywali nowymi sznurami żagle biegając, krzyżąc, klnąc lub powtarzając swoje żałosne: „Oo-ho!” W ciemnościach, wśród wichru i huku fal, rozlegały się ostre głosy świstawek miczmanów, które dla majtków są słowami komendy. Głosy te nie ustawały ani chwili. Walka w takich razach trwa dopóty, dopóki burza nie zmęczy się, nie wydmucha, nie wypluje wszystkiej piany, nie ochrypnie i nie uzna się za zwyciężoną.

Koło godziny pierwszej po północy zeszliliśmy wreszcie na dół, zmienili odzież i bieliznę, przemoczoną mimo gumowych płaszców do nitki, następnie rozebraliśmy się i położyli spać.

Ale cała noc była niespokojna. Chwilami trzeba się było trzymać, żeby nie wylecieć z szuflady. Statek kołysał się tak, że leżąc w łózkach, od czasu do czasu znajdowaliśmy się w pozycji stojącej: dobrze, gdy na nogach, gorzej, gdy na głowie. Futro wiszące na przeciwległej ścianie od mojego łóżka – nagle spostrzegłem wiszące wprost nade mną. Kuferki nasze i buty latały po całej podłodze i po ścianach, bijąc z łoskotem w przepierzenia. Torby podróżne zawieszono na hakach wiły się w powietrzu, jakby je ktoś okręcał.

Okolo drugiej w kajutach leżących bliżej schodów rozległ się krzyk. Sądziłem, że stał się jakiś wypadek, tym bardziej że w tej samej chwili usłyszałem wodę płynącą z szelestem w wewnętrznym korytarzu. Rozbudzili się wszyscy; okrzyk: „Woda! woda!” zabrzmiał w całym wnętrzu statku; kobiety poczęły wrzeszczeć na różne tony lub biegać po korytarzach w kostiumach, których prostoty najprostszy opis nie byłby w stanie oddać. Wreszcie nadszedł młody miczman, cały mokry, z twarzą zarumienioną walką, i oświadczył damom, że woda nader zwyczajnym sposobem dostała się przez schody na korytarz i że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz z rana morze jeszcze było wzburzone, ale wiatr już ustał, koło południa zaś uciszyło się i morze. Mnóstwo osób przyszło na lunch. Żartowano i śmiano się z wczorajszego przestרחu. Opowiadano przy tym zabawne dykteryjki o różnych psotach, jakich w czasie nocy narobiła burza. Oto przepierzenia rozdzielające kajuty nie dochodzą do samej podłogi, mnóstwo więc drobniejszych rzeczy przesunęło się skutkiem kołysania się gwałtownego statku z jednych kajut do drugich. Wyobraźcie więc sobie zdziwienie i wściekłość naszego Otella, gdy wstawszy nazajutrz rano spostrzeżga w kabine Desdemony nie swoje pantofle i... – mamże wyznać? – jeszcze inne części męskiej garderoby w paski czy w kratki! Oczywiście Otello poczyna ryczeć, Desdemona klnie się na swoją niewinność i blaski srebrnego księżyca, że nie wie o niczym; pastor zaś w sąsiedniej kajucie nie może iść na lunch i każe sobie wydobywać kufer z dna okrętu. Steward odnosi mu wprawdzie po chwili zagubione rzeczy, ale wielbny uważa je za sprofanowane i woła o kufer z dna okrętu; gdy mu zaś oświadczają, że kufra wydobyć niepodobna, przepowiada za rok koniec świata i ubiera się w swoje dawniejsze.

Oczywiście w anegdocie tej nie ma niezawodnie i słowa prawdy, ale opowiadają ją wszyscy. Pogoda i spokojne morze dziwnie wpływają na wesoły humor pasażerów. Spostrzegam mnóstwo osób, których nie widziałem dotąd wcale. Ubioru kobiet są staranniejsze niż kiedykolwiek. Po lunchu i czarnej kawie następuje przechadzka na pokładzie; znajomości robią się łatwo. Małe ploteczki krążą z ust do ust. Chwilami zdaje mi się, że jestem gdzieś na wodach zagranicznych; gdyby zaś nie język angielski i gdyby nie brak podziału na arystokrację i demokrację sądziłbym, że się przechadzam na szczawnickim deptaku lub pod ciechocińskimi tężniami.

Ale podziału na arystokrację i demokrację nie ma, towarzystwo bowiem jest przeważnie amerykańskie. Jakkolwiek towarzystwo to składa się z ludzi, którzy podróżowali po Europie, zatem bogatszych i ogładzonych, ogłada ich jednak nie tylko nie wyrównywa europejskiej, lecz nie odpowiada nader skromnym wymaganiom. Do stołu niektórzy z tych panów siadają w czapkach; pewien dżentelmen siedzący naprzeciw konsulowej francuskiej z San Francisco codziennie pod koniec obiadu zdejmuje buty oświadczając z całą dobrą wiarą, że tak mu jest wygodniej, i namawiając innych, aby poszli w jego ślady. Po obiedzie niektórzy z pasażerów zajmują się czytaniem pism ilustrowanych i nie czytają ich nigdy inaczej, jak z nogami pozakładanymi na stół. Amerykanie w ogóle przedstawiają się szorstko, nawet twarze ich, o rysach grubych, pospolitych i gminnych, zdradzają od razu brak tego poloru i wykwinności, która uprzyjemnia życie towarzyskie i czyni miłymi stosunki nawet między ludźmi nie znanymi sobie nawzajem.

Bardzo niewiele osób mówi po francusku, te zaś, które nawet mówią, gryzą francuskie wyrazy jak twarde orzechy i można powiedzieć, że nie wymawiają ich, ale wypluwają je raczej jak coś bardzo niesmacznego. Otello i piękna Desdemona wracają wprost z Paryża, w którym przepędzili miodowe miesiące, dlatego oboje najwięcej mają dystynkcji i są najrozmowniejsi.

Mamy prócz tego wiele innych ciekawych typów. Prócz doktora z St. Louis, z Missouri, który jest kłamcą pierwszej wody, i mego sąsiada obiadowego, kapitana, który po dawnemu pochłania przy każdym daniu nieprawdopodobne ilości pokarmów, uwagę moją zwróciła pewna para kwakierska. Oboje są chudzi, milczący, posepni, starzy. Jego twarz o zapadłych policzkach i wytrzeszczonych jakby z powodu solitera oczach jest typem twarzy hipokryty i łakomcy; ona ma fizjonomię kwaśnej dewotki wodzącej męża za nos i patrzącej na wszystko, co jest młodością, wiosną, uśmiechem i wesołością, ze stanowiska ogniów czyścicowych.

Pod koniec obiadu, kiedy podają słodczyce, oczy biednego kwakra przybierają wyraz nieopisanej pożądlivosti, a na twarz występują mu rumieńce. Rad by jeść kompot, a nie chciałby iść do piekła; jednakże kręci się, łyżeczka w jego ręce drga niespokojnie i nieszczęśliwy pożądliwym wzrokiem odprowadza każdą śliwkę, którą skazany na potępienie wiekuiste sąsiad jego niesie do ust; słowem: cierpi męki Tantalą. Żona pogląda wówczas na niego złośliwie i słodkim głosem mówi ze wspaniałą ironią: „Pozwól sobie; dlaczego byś nie miał sobie pozwolić? Zjedz śliwek a o resztę nie dbaj!” Biedaczysko wzdycha i kładzie łyżeczkę na swoim miejscu.

Wśród podobnych spostrzeżeń i dopatrywań śmiesznych stron w moich sąsiadach upływa mi dzień za dniem. W końcu jednak podróż zaczyna mnie nudzić. Dzień podobny jest do dnia jak rodzeni bracia: brekfest, przechadzka na pokładzie; lunch, przechadzka na pokładzie; obiad, przechadzka na pokładzie, a potem spać. Zresztą wiecznie tenże sam widok: ogromne, zielonawe bałwany i przestrzeń pusta, na krańcach której gubi się wzrok; wiecznie też same kilkanaście mew za okrętem i żalodne „Ooo--ho!” majtków zwijających lub rozpinających żagle. Nadchodzi niedziela, a jest jeszcze nudniejsza jak dni poprzednie. Po śniadaniu stewardowie przynoszą kilkadziesiąt egzemplarzy Biblii i kładą je po stołach, Amerykanie zaś siadają i czytają ją myśląc o czym innym i ziewając. Wszyscy są poważni i milczący, ale więcej w tym jest sztuczności i rutyny niż prawdziwego nabożeństwa. Po skończonych modlitwach zakładają nogi na stół i siedzą w milczeniu jak chińskie lalki.

Po południu zdarza się jednak wypadek, który jak iskra elektryczna wstrząsa wszystkich. Oto na widnokregu pojawia się okręt. Nic to wielkiego na pozór, ale wśród nudów i jednostajności jest to prawdziwa uczta dla instynktów gapiostwa drzemających w każdej naturze ludzkiej. Wszyscy cisną się na pokład; patrzą to przez lunety, to przez szkła teatralne, to gołymi oczyma. Wszędzie pytania, odpowiedzi i sprzeczki: „To jeden z Cunarów? – To Alan! – Nie! to Someria! – Alan! – Someria! – Trzeba nie mieć oczu, żeby nie widzieć, że to Alan! – Dziwię się, jak można za Alana brać Somerię! – Zakład! – Zakład!” Powstają więc i zakłady. Wytrzeszczam oczy, ale oprócz dwóch słupów dymu nie widzę nic więcej. Nasz statek wywiesza dwie chorągwie: jedną flagę angielską, drugą „White Star”, to jest białą gwiazdę na czerwonym polu. Dwa słupy dymu zbliżają się coraz bardziej, wreszcie dostrzegam potężny, biało malowany parowiec wspinający się dzielnie na grzbiety fal i znaczący swą drogę srebrnym, zapienionym szlakiem. Po chwili jednak statek przechodzi, zmniejsza się: oto wydaje się już jak łódka i wreszcie rozplywa się w sienie dali.

W nocy z niedzieli na poniedziałek mieliśmy znów burzę, lubo nikt o niej nie wiedział, wszyscy bowiem spaliśmy doskonale, ani domyślając się, że braknie trzy ćwierci do śmierci. Wicher przygnał z północy dwie góry lodowate, które wzięwszy statek między siebie płynęły jak dwa piekielne psy tuż koło niego, grożąc mu w każdej chwili zgnieceniem na miazgę.

Kapitan kazał pospuszczać żagle, zgasić ogień w maszynie i zdał statek na wolę fal i wiatru. To jedno ocaliło nam życie, bo od tej chwili statek, miotany tymi samymi co i lodowe góry falami, nie zbliżał się już do nich. Świtaniem dopiero, gdy ucichło trochę morze, puścił się całą siłą pary i potwory piekielne zostawił w tyle.

– Co to było? Co to było? – pytano nazajutrz rano na okręcie.

– To była śmierć – odpowiadał kapitan Kennedy głaszcząc ręką podobną do wielkiej warząchwi szpakowaty podbródek.

Niektóre damy chciały mdleć, jak gdyby miały ochotę wynagrodzić sobie dobrą sposobność, która już minęła. Kapitan wyrósł w naszych oczach na prawdziwego bohatera i odtąd też nie traktowano go inaczej, chociaż poczciwy ten marynarz, pełen prostoty, ani rusz nie chciał i nie umiał się zgodzić na tak wysokiego polotu rolę. Trzeba jeszcze oddać sprawiedliwość tak kapitanowi, jak oficerom i całej załodze, że są to ludzie dzielni, znający swoją służbę i swoje obowiązki na wylot, a przy tym karni, spokojni i dla pasażerów uprzejmi bez granic.

„Germanicus” jest przy tym jednym z najszybszych okrętów, jakie przebiegają drogę między Liverpool a New Yorkiem. Jesteśmy z tego dumni, a ów patriotyzm „White Star” staje się między nami coraz wybitniejszym, jak gdybyśmy należeli do akcjonariuszów tej linii. Drwić sobie z Cunarów należy do dobrego tonu. O wszelkich innych liniach wyrażamy się z politowaniem. Co dzień rano mnóstwo osób ciśnie się do tablicy, na której jeden z oficerów oznacza liczbę mil przebytych ubiegłej doby i zarazem oznacza, ją linią na morskiej mapie. Nie płyniemy jednak tak szybko, jak to „Germanicus” umie, bo czas ciągle jest zły i żagle rzadko mogą pomagać parze. Podróż staje się coraz nudniejsza, jednakże mewy lecące za okrętem, których ilość coraz się zwiększa, oznaczają, że zbliżamy się do lądu. Istotnie, jesteśmy na wysokości ławy piaszczystej otaczającej New Foundland, ale brzegów z okrętu nie widać. Po całych dniach wpatruję się z pomostu w morze; mówią bowiem, że w tych okolicach można dostrzec czasem wieloryby. Fale jednak wydają się puste i nie zamieszkane. Raz tylko potworna jakaś głowa wychyla się na chwilę z wody, ale niknie, nim mogę poznać, do jakiego stworzenia należy.

Szóstego dnia mamy na okręcie koncert. Pogoda jest śliczna; przez grube soczewki szklane stanowiące okna okrętu wnikają czerwone promienie słońca. Koncert rozpoczyna mówka jakiegoś ogromnego dżentelmena z twarzą jowialną, który z niezachwianą powagą staje obok pianina i mówi:

– Ladies and gentlemen! Usłyszycie za chwilę jedną z najznakomitszych artystek na świecie: Miss N. Jeżeli nie słyszeliście o niej dotąd, to tylko dlatego, że jej skromność jest równie wielką jak talent. Ameryka jednak chlubi się nią, Europa zgrzyta zębami z zazdrości. Dlatego radzę wam, żebyście cali pozamieniali się w tej chwili w uszy. Miss N. wykona etiudę skomponowaną przez bardzo znakomitego dżentelmena Szopena. Słuchajcie! słuchajcie!

Miss siada do fortepianu i poczyna do tego stopnia fałszować Szopena, że nasze polskie uszy literalnie wędną; potem następuje grzmot oklasków, mówca zaś wstaje i mówi znowu:

– Ladies and gentlemen! Wiadomo wam, ile szkody w naszych zapasach żywności i kufach robią niegodziwe szczury i myszy. Ale nadeszła godzina zemsty: oto jest najznakomitszy w świecie tenor M. Charlie, który nieporównanym głosem swym wnet je tu wszystkie wystraszy. Zapewniam was, że każdy szczur stokroć razy będzie się wolał rzucić w nurty Oceanu, niż słuchać tej melodii, którą będziemy się zachwycać za chwilę.

Nowy grzmot oklasków kończy przemówienie naszego oratora. Dają się słyszeć okrzyki: „Hip! hip!” M. Charlie staje obok akompaniującej miss i zaczyna śpiewać włoską pieśń: „O fanciulla mia!”, którą gdyby usłyszał jaki Włoch, dostałby niezawodnie pomieszania zmysłów. Trudno mi opisać i wypowiedzieć, jak mało zdolności muzycznych posiada anglosaksońska rasa. Między kilkunastu śpiewakami i śpiewaczkami nie słyszałem ani jednego głosu, którego by można słuchać bez zgrzytania zębami. Amerykanie byli jednak nadzwyczaj zadowoleni z siebie i z swoich talentów. Pytali nas nawet z pewną dumą: czy słyszeliśmy coś podobnego w Europie? – ja zaś odpowiadałem z całą szczerością, że istotnie nic podobnego w Europie nie słyszałem.

Szósty ów dzień był dniem uroczystości na okręcie, po koncercie bowiem nastąpił obiad z najrozmaitszymi toastami. Między innymi mówca koncertowy wniósł bardzo uroczysty toast na cześć kapitana Kennedy. Mówca przypomniał, że winniśmy życie nasze i spokój naszych rodzin dzielnemu kapitanowi; gdyby nie on bowiem, góry lodowe pograżyłyby nas niezawodnie w otchłań morską, po czym porównał Bogu duszę winnego kapitana do rozmaitych

bohaterów starożytności, a w końcu wyraził opinię, że zgromadzone ladies i džentelmenowie uznają zapewne za słuszne i sprawiedliwe wykrzyknąć po trzykroć na cześć naszego kapitana: „Hip! hip! hurra!” Zgromadzone ladies i džentelmenowie uznali to za słuszne i przyzwoite, po czym nastąpiły okrzyki tak przeraźliwe, jak gdyby na statku zdarzył się pożar.

Pocziwego kapitana toast ten zaskoczył nader niespodziewanie, w tej chwili bowiem właśnie zapychał usta olbrzymim kawałkiem rumsteku; zanim więc przestraszony rozum jego zdołał pojąć wszystkie owe porównania do starożytnych bohaterów i stanąć na wysokości położenia, trzeba było przede wszystkim skończyć raz z rumstkiem i połknąć go choćby za jakąkolwiek cenę. Biedny więc bohater starożytny spaśował, oczy wyszły mu z orbit, rumstek utknął w gardle; wreszcie, jeszcze z wypełnionymi ustami, oświadczył, że mu jest tak przyjemnie, jak gdyby wypił szklankę grogu, że dziękuje wszystkim zgromadzonym i że przeprasza, jeżeli rumstek był twardy, ale że „kanalie kucharze musieli się upić” etc., etc.

Po tej wykwintnej mowie zanucono jeszcze pieśń narodową angielską: „Boże, zachowaj królowę!” – co było dowodem wielkiej uprzejmości ze strony Amerykanów, i obiad się skończył. Nazajutrz z rana dowiedzieliśmy się z tablicy, że tego jeszcze dnia przybijemy do lądu. Na całym okręcie panowała nieklamana radość. Jakoż wszystko zwiastowało bliskość ziemi. Majtkowie przywdzieli nowe kaftany. Okręt cały wymyto starannie, każda jego śrubka błyszczała w słońcu jak złota. Za masztami ulatywały całe stada mew piszcząc i przewracając w powietrzu koziołki. Spotykamy coraz więcej okrętów: wielkie parowce, statki żaglowe, łodzie rybackie przesuwają się po cichym i przezroczystym zwierciadle wód, odbijając się w nim z masztami i żaglami. Ostry i zimny wiatr, jaki nieustannie dał na Oceanie, ucichł zupełnie, a twarze nasze całuje teraz słodki i ciepły oddech wiosenny. Woda jest srebrna, powietrze srebrne, spokój i słodycz rozlane wszędzie. Zbliżamy się coraz bardziej. Na koniec na zachodnim krańcu widnokregu, pojawia się wydłużona, sinawa chmurka.

– Łąd! łąd! – wołają wszyscy.

Jakoż po małej chwili na tle owej chmurki poczynają się rysować zielone i żółte piaszczyste wybrzeża, lasy masztów, spiętrzone dachy domów, spiczaste wieże kościelne, białe mury, słowem: śliczne miasto, jak ongiś Wenus, wynurzało się z morskiej kąpieli coraz dokładniej i coraz wyraźniej dla oka. Bywalcy odróżniają już New York i Hoboken. Wpływamy do portu. Pogoda ciągle równie śliczna; przysiągłbym, że przybyliśmy do kraju wiecznej wiosny. Na gładkiej toni czerwone beczki oznaczające mielizny kołyszają się, poruszone leciuchnym powiewem. Statek nasz wywiesza znowu potężną flagę angielską i swoją własną, po czym zwalnia bieg i zaledwie sunie po falach.

Tymczasem od małej wysepki, obok której przepływamy cicho, odrywa się mały jak łupina orzecha parowiec, na którym jedzie dwóch džentelmenów i trzeci, może ośmioletni, siedzący tuż obok komina na dachu kajuty. Są to lekarze z kwarantanny. Statek nasz staje. Spuszczają im drabinę, po której lekarze wchodzą pomiędzy nas, a tymczasem mały džentelmen pokazuje nam z dołu język i wywiesiwszy go aż po brodę, trzyma tak z pół godziny. Następnie przewraca się na grzbiet, chwytając rękoma za palce u nóg i pozostaje w tej ultrademokratycznej pozycji przez cały czas rewizji.

Rewizja nie trwa jednak długo, bo na statku nie ma nikogo chorego. Lekarze zamieniają parę słów z kapitanem i okrętowym doktorem, potem wykrzykują: „All right” i odpływają na powrót, my zaś ruszamy dalej. Ale po małej chwili znowu: stój! Teraz komora. Przybywa nowy parowiec, również z dwoma džentelmenami ubranymi po cywilnemu, ale ze srebrnymi blaszkami na piersiach. Są to celnicy. Obaj mają twarze skończonych rzezimieszków; ubrani są przy tym w wytarte surduty, brudną bieliznę i pogniecione kapelusze. Młodszy z nich, o popielatej cerze, kręconych blond włosach, siwych oczach, z których jedno jest szklane i osadzone na skuwce sterczącej mu w kącie oczowym koło nosa, ma minę takiego drapichrusta, że nie powierzyłbym mu dziesięciu centów. Dżentelmeni ci schodzą do salonu i rozdają pasażerom kartki, czyli drukowane deklaracje, na których ci ostatni się podpisują. Kto się podpi-

sze, ten tym samym składa przysięgę, że nie wiezie nic zakazanego, rewidują go też potem w porcie bardzo lekko, ale jeżeli co znajdą, karzą bardzo surowo. Gdy przyszła na nas kolej, drapichrust ze skuwką w oku podaje memu towarzyszowi kartkę i pyta go o nazwisko.

– Nazywam się tak a tak! – odpowiada mój towarzysz.

– Jak? jak? – woła śmiejąc się drapichrust – Tschchapischouschki?

Co to jest? Obecni Amerykanie wybuchają grubiańskim śmiechem, co nigdy nie zdarzyło-
by się w żadnym ucywilizowanym kraju. Porywa nas obydwóch złość.

– Czego te nieucywilizowane zwierzęta pokazują zęby? – woła do mnie głośno po francu-
sku mój towarzysz.

Niektórzy Amerykanie, którzy zrozumieli powyższe słowa, poczynają się wstydić i wy-
myślać swoim współziomkom, towarzysz mój zaś zwraca się do nich i pyta pokazując palcem
na zmieszanego drapichrusta:

– Jak się nazywa to indywiduum?

– Your name? – wołają na niego – your name?

Odpowiada: „Thrysley” czy coś podobnego.

– Dobrze więc – mówi mój towarzysz – powiedzcie temu frantowi, że gdyby w Europie
kota ktoś tak nazwał, to by trzy dni miauczał.

– All right! all right! – wołają uradowani obecni.

Wkrótce potem zbliżył się ku nam jakiś poważny dżentelmen o siwiejącej brodzie i oliw-
kowej cerze i oświadczył nam, że jeśli chcemy, to on postara się przez swoje stosunki, aby ów
grubiański celnik został wypędzony. Nie żądaliśmy tego wcale, oświadczyliśmy jednak swoje
zdziwienie, że w kraju mającym pretensję do cywilizacji mogą się tak ludzie zachowywać.

– Cóż panowie chcecie? – odpowiedział dżentelmen. – Pod względem uobyczajenia nawet
wyższe nasze klasy zostają daleko jeszcze za Europą. Zresztą od czasu, jak republikanie z
naszym kochanym prezydentem utrzymują się przy władzy, wszystkie posady urzędowe
obejmują podobne indywidua, które raczej powinny siedzieć za kratą. Mamy jednak nadzieję,
że to się wkrótce zmieni.

Tymczasem wpłynęliśmy do bloku, w który okręt nasz wsunął się jak w pochwę, i wysie-
dliśmy do wielkiego drewnianego budynku, w którym sprawdzają deklaracje, czyli rewidują
rzeczy. Nowy jakiś celnik zbliżył się do nas i chciał otwierać nasze kufry, ale uwolniliśmy się
od tego tak, jak widzieliśmy, że uwalniają się wszyscy, to jest za pomocą dwóch dolarów
wsuniętych w rękę celnika. Wolny amerykański obywatel nie tylko przyjął łapówkę, ale po-
mógł jeszcze włożyć nasze rzeczy na fiakra; słowem: w tym kraju obywatelska prawość i
cnota okazały się zaraz na wstępie dobrą względem dolara koczotką. Ale indykowi wszystko
jedno, z jakim sosem ma być upieczony, gdy zaś zapytany o to odpowiedział, że wcale sobie
nie życzy być upieczony, odpowiedziano mu kwaśno: „Wychodzisz z kwestii.” Otóż nie chcę
naśladować tego indyka i ażeby nie wychodzić z kwestii, powiem tylko, że zaraz na drugim
kroku w New Yorku obdarł nas woźnica; dalszymi zaś miały się opiekować hotele.

Miasto, które na pierwszy rzut oka z morza zarysowało się tak majestatycznie i wdzięcz-
nie, widziane z bliska nie zachwycało mnie wcale. Pobrzeże portu brudne, między drewnia-
nymi budynkami nie masz bruków; wszędzie leżą kupy śmieci, doki drewniane połyskują
brudną wodą, ludność zaś, jak zwykle ludność portowa, wygląda, jakby przed chwilą urwała
się od szubienicy. Takie było pierwsze moje wrażenie, ale zaledwo zdążyłem rzucić naokół
okiem, fiaker potoczył się ulicą. Ściemniało się. Wjechaliśmy na sławną Broadway, wystawy
sklepowe były luną gazowego światła, czarna i biała ludność toczyła się na chodnikach, szere-
gi latarni ginęły w oddaleniu. Wreszcie fiaker stanął, wysiedliśmy i po chwili znaleźliśmy się
w białym marmurowym przedsionku hotelu, ubranym w kwiaty, dywany, jaśniejącym tysią-
cami świateł. Tu mieliśmy zatrzymać się kilka dni, ażeby odpocząć i nabrać sił do nowej po-
dróży, której kres miał być aż u fal Oceanu Spokojnego.

III

POBYT W NEW YORKU

Hotele amerykańskie • New York • Rozczarowanie • Ulice • Gmachy • Kościoły • Nieporządek • Różne dzielnice • Murzyni • Irlandczycy • Amerykanie w ogólności • Zwyczaje i obyczaje • Znowu rozczarowanie • Instytucje publiczne • Sądy • Administracja • Nadużycia • Powody nadużyć • Środki przeciw nadużyciom • Szkoły i nauczycielki • Ich wpływ na obyczaj • Szkoła nad Cosumnes • Kobiety amerykańskie • Religijność • Złe i dobre strony • Przyszłość

Marmury, brązy, dywany, zwierciadła: oto hotele amerykańskie. W New Yorku są to obok banków i poczty najpiękniejsze budynki miejskie. Prócz numerów przeznaczonych do najęcia, w każdym hotelu znajduje się mnóstwo ogromnych sal, gdzie goście mogą przyjmować swoich odwiedzających, i buduarów urządzonych z książącym przepychem, przeznaczonych dla kobiet. „Central Hotel”, w którym zatrzymałem się na parę dni, jest to pod względem ogromu prawdziwe małe miasteczko, prócz gości bowiem stałych i nocowych mnóstwo osób z miasta zbiera się wieczorem w jego wspaniałym przedsionku dla czytania gazet, spotkania się ze znajomymi, palenia lub żucia tytoniu, wreszcie dla pokołysania się na jednym z biegunowych krzesel, których tu mnóstwo.

Leży on na ulicy Broadway, największej i najruchliwszej ulicy New Yorku, odznaczającej się szczególnie swoją długością. Wieczorem, gdy tu przybyłem, zwiedzać już miasta z powodu spóźnionej pory nie mogłem, musiałem więc zadowolić się tylko zwiedzeniem hotelu, po czym wraz z towarzyszami udaliśmy się do dining-roomu, tj. do sali jadalnej. Jest to istotnie ogromna sala, mogąca pomieścić kilkaset osób, urządzona z przepychem, ale bez smaku. Słupy podpierające sklepienie są marmurowe, ale zbyt grube i niskie, pułap za ciężki, wejście zaś jak do stodoły. Ogromne drzwi, podwójne, z okrągłym wierzchem, przypominają zupełnie wierzeje. Trzy razy dziennie schodzą się tu wszyscy mieszkańcy hotelu. Za jedzenie w hotelach amerykańskich nie płaci się osobno, ale kosztu jego wliczone są w cenę numeru. Każdy z gości wynajmujących numera ma tu prawo przyjść pięć razy dziennie i jeść, co mu się podoba, bez żadnej osobnej dopłaty, większość jednak schodzi się tylko na brekfest, lunch i obiad wieczorny. Przy stole goście rozmawiają ze sobą jak znajomi, co jednak nie pociąga za sobą bliższych stosunków. Po skończonym posiłku wstają i rozchodzą się, gdzie kto chce, nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo, jak również nie czekając jedni na drugich. Mnóstwo kobiet przychodzi bez mężczyzn, mnóstwo bowiem nawet panien podróżuje bez żadnej opieki. Wszystkie stroją się tak, jak nigdzie w Europie, wszystkie przychodzą bez kapeluszków; dlatego obiady, zwłaszcza wieczorem, wyglądają jakby obiady prośone i nader ceremonialne. Służbie nie daje się tu nic. Składa się ona we wszystkich prawie hotelach wyłącznie z Murzynów. Należy to do mody, a przy tym kolorowa posługa zapewne taniej kosztuje od

białej. Przy każdym stole stoi dwóch lub trzech Murzynów o głowach podobnych do głów czarnych baranów. Są to ludzie bardzo grzeczni, usługują szybko i wprawnie, wyglądają zaś we frakach i białych krawatach, jeżeli nie pięknie, to najmniej nader oryginalnie. Zresztą usługa tu nie jest trudna. Według zwyczajów amerykańskich przed każdym z gości stawiają tu mnóstwo porcelanowych miseczek ze wszelkiego rodzaju jadłem od razu. Masz przed sobą od razu zupę, mięsiwa, ryby, jaja, pudingi, pomidory, kartofle, lody, poziomki, jabłka, migdały, kawę, słowem: niezliczoną ilość dań w małych dozach. Zaczynaj, skąd chcesz, jedz, co chcesz, nikt tu na to nie patrzy. Murzyn stoi nad tobą jak kat nad dobrą duszą i ustawicznie dolewa ci wody z lodem w szklanę, skoro ją tylko wypijesz, odpowiadając niezmiennym: „Yes, sir!” na wszystkie twoje żądania. Skutkiem tego systemu w jedzeniu wszystko tu jada się zimne, skrzepłe, zdębiałe, nawet w najlepszych restauracjach. Kuchnia amerykańska jest najniegodziwszą kuchnią na świecie. Nie chodzi jej o to wcale, żebyś zjadł zdrowo i dobrze, ale o to, byś zjadł jak najprędzej i mógł wrócić do business; wszystko więc obliczone jest na łap cap i tylko wieczorne obiady podają ci cokolwiek staranniej, wieczorem bowiem wszelki business kończy się wraz z uderzeniem piątej godziny.

Pierwszego dnia przyjazdu, zamiast siąść w reading-roomie i zacząć pisać studia o obyczajach amerykańskich, jak to uczyniła pewna korespondentka do jednego z pism warszawskich, która od razu, przez cudowną prawdziwie intuicję obyczaje te zgłębić potrafiła, wyszedłem na miasto przypatrzeć się choćby przelotnie wszystkiemu. Prawda, że w nocy nie doznałem tak silnych wrażeń, jak rzeczona korespondentka, której wystrzały rewolwerowe strzelających sobie we łby Amerykanów oka zmrużyć nie dały, nie tylko pierwszej, ale i następnych nocy jej pobytu w Stanach Zjednoczonych. Co do mnie, spałem tak spokojnie, że mimo woli przychodzi mi wątpić, aby te ustawiczne nocne odgłosy, które słyszała korespondentka, miały istotnie tak tragiczne znaczenie; nie przesądzając jednak ostatecznie tej kwestii, od razu wyszedłem na Broadway i puściłem się na miasto.

New York jednak nie tylko nie zachwycił mnie, ale rozczarował potężnie. Każde z europejskich miast ma jakąś swoją osobliwość, którą istotnie widzieć warto: Paryż ma ich tysiące, Londyn również, Wiedeń ma swego Stefana, Berlin swego Kaulbacha, Bruksela – Wiertza i Św. Gudulę, Wenecja – swoje kanały, Rzym – papieża i Rzym starożytny, Kolonia – tum najpierwszy na świecie, Kraków – Wawel i Matejkę, Warszawa – dobre chęci, którymi jest brukowaną, wielkich ludzi do małych interesów, najdłuższe na świecie języki, Saski Ogród i dobro społeczne w kształcie dziurawego orzecha, na którym świszczę, kto chce i jak mu się podoba. Wszędzie jest jakaś tradycja, wszędzie z murów patrzy na ciebie, jeśli nie czterdzieści wieków, jak było raz powiedziane na pewnym obiedzie dla jednego z jubilatów warszawskich, to przynajmniej kilkanaście; wszędzie widzisz historię zakrzepłą w mur i kamień, wszędzie pewną odrębność narodową, wszędzie jakiś wielki ideał, którego początek w mrokach przeszłości. W New Yorku nie ma tego wszystkiego. Główne ciekawości miasta to hotele i banki, czyli inaczej mówiąc: nie ma tu żadnych pamiątek historycznych, żadnych ciekawości. Historii Stanów Zjednoczonych szukaj w Waszyngtonie; w New Yorku masz tylko kupców. Handel, handel i handel, business i business, oto, co widzisz od rana do wieczora, o czym ustawicznie słyszysz i czytasz. Na rzut oka nie jest to miasto zamieszkane przez taki a taki naród, ale wielki zbiór kupców, przemysłowców, bankierów, urzędników, kosmopolityczny zarwaniec, który imponuje ci ogromem, ruchliwością, przemysłową cywilizacją, ale nuży cię jednostronnością społecznego życia nie wytwarzającego nic więcej prócz pieniędzy. Chcąc opisać to miasto, nie wiedzieć, od czego zacząć, gdzie zacząć myśl i oko; jedna ulica podobna do drugiej, wszędzie ruch, gwar i ścisk, tłumy powozów i omnibusów; mieszkańcy śpieszą się z gorączką na twarzy i w ruchach, jak gdyby mieli pomieszanie zmysłów. Po śpiech ten widzisz wszędzie: w budowie domów, ulic, chodników. Jedno zrobione i doprowadzone do możliwej doskonałości, drugie zaledwie poczęte. Oto np. Broadway: domy tu podobne do londyńskich, obok hotelu zbudowanego z białego marmuru od dachu aż do funda-

mentów stoją czerwone ceglane domy, tam dalej plac pusty ze znakami pogorzeliska; wczoraj tam był pożar, dziś postawią nowy gmach, a jak się ten jutro spali, to pojutrze znów będzie inny. Tam oto kościół, w którym ludzie chwalą Pana Boga becząc jak cielęta, w innym znów rżą, w innym modlą się po katolicku. Ale kościoły te zamknięte, bo to dzień powszedni, więc business nie pozwala się modlić. Zresztą kościoły nie odznaczają się ani wielkością, ani starożytnością, rzekłbyś: także zbudowane naprędce. Koło kościołów małe cmentarzyki, które tu więcej niż gdzie indziej są miejscami wypoczynku; dalej sklepy pogrzebowe, businessy w trumnach i nagrobkach, dalej znowu ulica. Wystawy sklepowe nad podziw świetne i bogate, ale urządzone bez smaku. Na chodnikach przed lustrzanymi szybami sklepów leżą kupy śmieci. Miasto zabłocone, brudne, źle wybrukowane; miejscami stoją małe kałuże czarnego błota, które nie może spłynąć przez zatkałe ścieki ku morzu. Mnóstwo papierków, szczątków z gazet, podeptanych skórek z jabłek i pomarańcz leży wszędzie, tak na chodnikach jak i na środku ulicy. Między pysznymi powozami, omnibusami – jeżdżą wozy ładowne ogromnymi pakami towarów lub przechadzają się świny, nie wiadomo do kogo należące, z powystrzępianymi przez psy uszami. Świń tu mnóstwo. „Oto jedna z nich – mówi pan Dickens w swym opisie New Yorku – patrzcie, jak przedziera się między powozami i przechodzącymi. Ma jedno ucho, drugie oberwały psy w zaciętej walce na placu, gdzie okazała nadzwyczajne męstwo. Szanowna ta świnka postępuje zupełnie tak, jak przystoi na dorzecznego człowieka z liczby tych, co to żyją tak zwanym traktierskim życiem. Co rano w pewnej godzinie wychodzi z domu, wędruje po mieście, je, co się trafi, a wieczorem akuratnie staje przed bramą swego domu. Jest niedbałą, leniwą, wysoko ceni swą niepodległość, nienawidzi wszelkiego przymusu i jak z równą obchodzi się z każdą inną świnią” itp.

Teraz jest zapewne już mniej tych stworzeń, niż było za czasów pana Dickensa, ale i teraz spotkać ich można więcej niż w dziesięciu europejskich miastach, zwłaszcza w dolnych ulicach New Yorku. Krótko mówiąc, nie widziałem, jak żyją, miasta nieporządniejszego i z góry zapowiadam, że wszelkie usiłowania w tym kierunku municypalności warszawskiej nie doprowadzą do żadnego rezultatu: New York będzie miał zawsze pierwszeństwo, choćby ze względu na swoje położenie portowe.

A jednak żadne może z miast europejskich nie wydaje tyle na utrzymanie porządku i na potrzeby miasta, ile New York; ale na nieszczęście, jak inne dykasterie urzędowe, tak i municypalność tutejsza składa się z tak biegłych w zawodzie swym złodziejów, że wobec nadużyć ich błędą wszelkie europejskie grynderstwa. Jeżeli np. w jakim z miast europejskich z oficjalnego ratusza rodzi się prywatne ratusiátko, to tu oficjalna mysz musi urodzić prywatną górę, choćby sama mysz miała nie wytrzymać porodu. Grosz publiczny i dobro publiczne są tu niczym więcej, jak tylko tłustością, którą smarują sobie buty ci, co chcą suchą nogą przejść przez błoto.

Później będę jeszcze miał niejednokrotnie sposobność powrócić do podobnego rodzaju nadużyć, jako też i do przyczyn, które te nadużycia wywołują, teraz zaś wracam do opisu miasta. Jesteśmy zawsze jeszcze na Broadway. Niedaleko City Hall wznosi się wspaniały gmach pocztowy, urządony jak nigdzie na świecie. Każdy większy sklep, każda kompania, każdy nawet prywatny zamożniejszy mieszkaniec ma tu swoją osobną skrzynkę, oznaczoną pewnym numerem, do której zagląda codziennie, znajdując listy, przesyłki, a nawet i pieniądze. Podobne urządzenia istnieją tu i w bankach. Za pewną roczną opłatą dostaje się tu wpuszczaną w granit żelazną szufladę, zamykaną na nader skomplikowany zamek, w której można przechowywać najbezpieczniej w świecie papiery, złoto, kosztowności i tym podobne. Przechowujący przychodzi, kiedy chce, wyjmując, ile chce, dokłada, ile chce, odcina kupony wtedy, kiedy mu się podoba; słowem: trzymając swoje pieniądze w banku, jest ich panem każdej chwili. Od złodzieja strzegą tu naprzód zamki, potem kraty, a na koniec i strażę. Ognia zaś gmachy te, massiv murowane, obawiać się nie mają potrzeby.

Niedaleko City Hall, w kamienicach otaczających square, czyli piękny wirydarz, mieszczą się redakcje takich potężnych dzienników, jak: „Herald”, „Tribune”, „Times” i „Staats-Zeitung”. Wszystkie te dzienniki odbijają setki tysięcy egzemplarzy dziennie z pomocą maszyn, które nie mają równych sobie w całej Europie. „Herald”, własność rodziny Benetów, uważa się dotychczas za najpierwszy dziennik amerykański. Przynosi on miliony dolarów rocznie właścicielom, zatrudnia tysiące ludzi.

Redaktorowie jego uważani są za najpierwsze potęgi w kraju, z którymi tak rząd jak i pan prezydent bardzo rachować się muszą. Niezmiernie liczne linie telegrafów przynoszą tu codziennie wiadomości z całego świata i całych Stanów Zjednoczonych. Często się zdarza, że o sprawach nawet europejskich nie tylko „Herald”, ale i „Tribune”, i „Times”, który dawno wyścignął angielskiego, mają wiadomości i wcześniejsze, i dokładniejsze od dzienników europejskich.

Całe armie reporterów opłacanych na wagę złota i rozproszonych po całym świecie czuwają, żeby nic godnego uwagi w świecie nie uszło ich wiadomości; ale też nakład tygodniowy pierwszego lepszego z tych dzienników przynosi nakład roczny wszystkich np. razem wziętych pism warszawskich.

Między reporterami „Heralda” znajdują się takie znakomitości, jak np. Stanley, który teraz kosztem redakcji przebiega wewnątrz Afryki. Amerykanie z dumą mówią, że wielu nawet ministrów europejskich przesyła w charakterze reporterów wiadomości polityczne do ich dzienników. Oczywiście jest to bajka, dowodząca jednak, na jaką wielką skalę prowadzą się tu wydawnictwa polityczne.

A jednak pod względem obrobienia literackiego dzienniki te ustępują europejskim. Talent pisarski nie odgrywa tu dotychczas tak wielkiej roli, jak w Europie. W całej prasie periodycznej przeważa charakter informacyjny nad literackim: pośpiech i dokładność w otrzymaniu wiadomości uważa się tu za rzecz najważniejszą; dlatego dzienniki są raczej agencjami niż ogniskami skupiającymi siły literackie. Osobistości giną tu w ogólnym organizmie dziennika, tak że pisarze mają niejako znaczenie komisantów, których skutki działalności są zbiorowo wzięte ogromne, ale których imiona rzadko pod względem czysto literackim wybić się na wierzch mogą.

Ta przewaga charakteru politycznego i informacyjnego nad literackim stanowi poniekąd główną różnicę między prasą amerykańską a europejską. Odpowiada ona dokładnie charakterowi i usposobieniu ludu amerykańskiego, który w dzienniku szuka pozytywnych, związanych z interesami politycznymi, przemysłowymi i handlowymi wiadomości, nie zaś stylistycznej okraszy, dowcipu lub pisarskiego polotu.

Z drugiej jednak strony, z tej jednostronności ludu jak i jego organów wypływa to, że kiedy u nas np. prenumerowanie dziennika odpowiada więcej potrzebom czysto umysłowym i uważa się poniekąd za zbytek, bez którego większość mieszkańców po bohatersku obchodzić się umie, w Ameryce dziennik stanowi taką realną potrzebę każdego człowieka, jak np. chleb. Tym się tłumaczą owe miliony czytelników i tysiące pism wychodzących nie tylko w większych miastach, ale często nawet we wczoraj założonych osadach.

Z redakcji dzienników przejdźmy teraz na Wall street (Uolstrit), ulicę niewielką, dość ciasną, ale może jeszcze od Broadway ważniejszą. Jest to ulica bankierów. Od samego rana ludniej na niej niż na Broadway. Tu mieszczą się skarby, za które można by zakupić całe kraje. Różne domy handlowe robią tu rocznie transakcyj na sto siedemdziesiąt miliardów franków; o której to sumie dopiero wówczas będziemy mieli jakieś pojęcie, gdy przypomniemy sobie, że pięcioma tylko miliardami Bismarck miał nadzieję zrujnować na zawsze Francję. Na pozór jednak nic nie zdradza ważności tej dzielnicy, chyba tysiące ludzi, zgorączkowane ich twarze i pośpiech, z jakim witają się, mówią i żegnają, wskazuje, iż dzieją się tu rzeczy ważne, dla nich zaś najważniejsze na świecie. Tu także mieści się stock-exchange, czyli giełda albo jeszcze, jeżeli kto chce: szpital wariatów cierpiących na febris aurea. Spo-

kojnego widza strach przejmuje na widok tego, co się tu dzieje! Gwar tu, wrzask i wrzawa taka, jakby za chwilę miało przyjść do bitwy. Widzisz zaczerwienione twarze, słyszysz ochryple głosy. Ludzie przyskakują do siebie i krzycząc jakby w napadzie maligny, wytrząsają sobie pięściami przed oczyma. Jeden stara się przekrzywić drugiego. Sądzi się, że tłumy te ogarnęła naraz niewytłumaczona wściekłość, pod wpływem której natychmiast poczną się mordować wzajemnie. I któż by domyślił się, że jest to nic więcej, jak tylko sposób porozumienia się handlowego, a owe krzyki i wywijania pięściami służą tylko do tego, żeby się dać lepiej zrozumieć. Gdy wreszcie ozwie się dzwonek prezesa na znak, że obroty się kończą, po jakimś czasie ciż sami ludzie wychodzą spokojnie, trzymając się wzajemnie pod rękę.

Prócz banków, prócz stock-exchange, goldroomu (izby złotej) i innych giełd: zbożowych, wełnianych i bawełnianych, na całej Wall street nie masz zresztą nic godnego widzenia. Schodzimy teraz trochę na dół ku ulicom portowym. Ruch tu mniejszy, nieporządek jeszcze większy, błoto częstokroć nie pozwala przejść przez ulicę. Między ludnością spotykamy coraz więcej Murzynów. Są to furmani, wyrobnicy, tragarze towarów itp. Ubrani są po największej części tylko w spodnie i flanelowe koszule. Wełniste głowy ich, nie znające grzebienia ani nożyczek, wyglądają jak kłęby czarnej wełny. Niektórzy z nich pracują, inni stoją przed domami, z rękoma w kieszeniach, nic nie robiąc, paląc krótkie fajki, poruszając szczękami wypchanymi tytuniem i gapiąc się na przechodzących. Wyglądają wszyscy brzydko i niechlujnie. Kobiety, jeszcze brzydsze, różnią się zresztą od mężczyzn, nie noszących zarostu, więcej ubiorem jak twarzą, mają bowiem także same spłaszczone nosy, także same krótkie wełniste włosy i czarną skórę. Czarne owe ladies również są brudne jak i ich dżentelmenowie i na głowach nie noszą kapeluszków, a natomiast noszą wszelkiego rodzaju pakunki, towary, naczynia, a nawet i zapasy żywności. Tam, gdzie biały człowiek posługuje się plecami i rękoma, czarny najczęściej używa głowy, która widocznie stanowi najtwardszą część jego organizmu. Widziałem Murzynkę, która kupiwszy pomarańczę, natychmiast zamiast nieść w rękę, umieściła ją w czuprynie. Pomarańcza chwiała się wprawdzie cokolwiek na prawo i na lewo, ale otoczona tęgą, pokreconą wełną, spaść nie mogła. Widząc że patrzę na jej głowę, czarna miss zaczęła podskakiwać wraz z pomarańczą, na koniec wykrzyknawszy: „All right, sir!” – ukażała mi szereg białych wielkich zębów i oddaliła się, bardzo zadowolona ze swej zręczności.

Obok Murzynów w tych dzielnicach miasta tulą się także w mizernych, brudnych nad wszelki wyraz i ciasnych domach biedni emigranci, którzy zwabieni wieścią o łatwym zarobku w Ameryce, przyjechali tu mając zaledwie czym opłacić przewóz za Ocean. Zarobek w Ameryce istotnie nader jest łatwy, ale w głębi kraju, na Dalekim Zachodzie; w samym zaś New Yorku panuje przeludnienie i dlatego najbiedniejsi właśnie z emigrantów, którzy nie mają czym opłacić dalszej, bardzo kosztownej kolejami podróży, mrą z głodu, chłodu i wszelkiej nędzy. Dzielnice te przypominały mi zaułki londyńskie, z tą różnicą, że tu stokroć jeszcze brudniej, a ludność, stanowiąca szumowiny proletariatu wszelkich narodów, gorzej jeszcze wygląda od londyńskiej. Wszelakie choroby epidemiczne i nieepidemiczne dziesiątkują ciągle tych nieszczęśliwych, którzy, gdyby dostali się do stanów zachodnich, mało zaludnionych albo miejscami wcale nie zaludnionych, wytworzyliby ludność roboczą, również dla państwa jak i dla cywilizacji pożyteczną.

Jedynym ratunkiem dla tych ludzi jest zaciąganie się do wojska, ale ratunek to bardzo niedostateczny, najprzód dlatego, że cała armia Stanów Zjednoczonych liczy tylko dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy, a po wtóre, że do wojska mogą się zaciągać tylko ludzie młodzi, nie obciążeni rodziną. Większość więc żyje bez stałego zarobku, dorywczo, patrząc z zawiścią, a zapewne i nienawiścią na milionerów, którzy już sami nie mogą porachować swych majątków. Taki stan rzeczy liczne wywołuje między tym proletariatem przestępstwa i zbrodnie, spełniane już to dla chęci chwilowego zysku, już wreszcie, jak mnie zapewniano, z tym tylko wyrachowaniem, żeby się dostać do więzienia, w którym każdy z winowajców ma przynajmniej życie i pożywienie zapewnione.

Znakomitą większość owych nieszczęśliwych stanowią Irlandczycy, których w całych Stanach ma się do dziesięciu milionów znajdować. Łatwo ich poznać na pierwszy rzut oka, już to po ubiorach, a raczej po szczątkach narodowego ubioru, już wreszcie po niebieskich oczach, pięknych blond lub ciemnych włosach, silnej budowie ciała, żywości czysto galijskiej w mowie i ruchach, które to cechy tak silnie odróżniają tę rasę od anglosaksońskiej, że prawie omylić się nigdy niepodobna. Oddając się pijaństwu, grom i wszelkiej rozpuście, przy wrodzonych nader żywych namiętnościach, ludzie ci popełnialiby zapewne daleko więcej jeszcze występków, gdyby nie religijność, która ich nigdy nie opuszcza. Są wszyscy niezmiernie gorliwymi katolikami i dla przyszłych rozkoszy niebieskich znoszą z cierpliwością wszelkie ziemskie niedole i umartwienia.

W stanach dalszych zachodnich jest ich także mnóstwo, ale tam nie cierpią takiej nędzy, jak w New Yorku. Niektórzy dorobili się niezawisłego bytu, inni wcale okazałych fortun, inni nawet milionów. Są solidarni aż do zbudowania, pomagają jedni drugim, trzymają się zawsze razem, głosują razem, tj. tak, jak im księża wskażą; nie zapominają o swej narodowości i metropolii, kochają Irlandię w dziesiątym nawet pokoleniu, nienawidzą Anglików i stanowią żywioł, z którym Ameryka bardzo się już liczyć musi, a w przyszłości jeszcze bardziej liczyć się będzie musiała.

Powodem tego jest nadzwyczaj szybki rozrost tej ludności. Irlandczycy płodni są jak króliki. Amerykanie zaś rodowici przeciwnie. Podczas kiedy w stadłach amerykańskich dwoje, a najwięcej troje dzieci stanowi największe przeciętne maksimum, pobożne małżeństwa irlandzkie, uważające dzieci za szczególniejsze błogosławieństwo boże, wydają ich na świat jak maku: „co rok prorok”, jak mówi przysłowie, a tych „r o k ó w” zawsze jest bez końca.

Owa nadzwyczajna mnożność pożyteczna jest dotychczas dla Ameryki, której obszary w interesie państwa wymagają zaludnienia. W ogóle Irlandczycy grają już ważną rolę w Stanach Zjednoczonych, a przy tym są Stanom potrzebni i pożyteczni ze względów, o których sami Amerykanie może nie wiedzą, a wiedząc nawet – nie cenią. Oto wnoszą pewien pierwiastek idealny w to na wskroś zmaterializowane społeczeństwo, utrzymując przez to szale owych pierwiastków idealnych i materialnych w jakiejś takiej pożądanej równowadze. Widzę, jak w tej chwili uśmiechają się koledzy moi pozytywiści, nie przestają jednak utrzymywać tego, co powiedziałem. Zbytnią przewagę usposobień idealnych jest dla danego społeczeństwa szkodliwa: wytwarza ona marzycielstwo, polityczną donkiszoterię, wyglądanie niebieskiej interwencji, wzdychanie w zimie, na wiosnę próżniactwo, ubóstwo i słabość. Wszystko to prawda niezaprzeczona, ale również prawdą jest, że wszelka jednostronność jest szkodliwą. Jeżeli chcecie narodu bez wszelkich pierwiastków idealnych, oto macie Chińczyków. Tam realizm doszedł do najwyższego rozwoju i wsiąknął tak dalece w usposobienie narodowe, że aż zatałmował wszelki postęp i wszelkie wytwarzanie się potężnych idei, za które umieją ginąć i giną narody europejskie. Chińczycy, zabiwszy w sobie narodową fantazję, zabili zarazem wszelką inicjatywę nie tylko już w rzeczach społecznych, ale i w wynalazkach, naukach, sztukach; słowem: zatracili w sobie twórczość wszelką, której matką jest wyobraźnia.

Być może wreszcie, że natura ich skłonniejszą była do takiego kierunku, w jakim poszli; niemniej jednak wrodzone skłonności nie stanowią jeszcze wszystkiego; jak bowiem pierwotne skłonności mogą wpływać na rodzaj cywilizacji, tak następnie rodzaj tejże cywilizacji oddziaływa na nie także w sposób dodatni lub ujemny. Owóż, moim zdaniem, społeczeństwo amerykańskie mimo wszystkich swych prawdziwie wielkich przymiotów wytwarza także cywilizację nader jednostronną, charakter zaś Irlandczyków stanowi w niej równoważnik, zarówno dla dobra całego tego społeczeństwa konieczny jak i pożyteczny.

Mają jednak i Irlandczycy swoje złe strony. Leniwi są, zwłaszcza w pierwszym pokoleniu, od Amerykanów, bez porównania burzliwsi, pochopni do politycznych awantur: stanowią zatem żywioł, zwłaszcza w rzeczy-pospolitej, bardzo niebezpieczny. Pozostając przy tym bez żadnego wyjątku w ręku księży, mogą wytworzyć z czasem potężną partię klerykalną, która

już dlatego w każdym państwie jest szkodliwą, że swoje wyłączne cele za najważniejsze uważa; w Stanach Zjednoczonych zaś może przy tym z upływem lat popsuć ową harmonię, w jakiej żyją dotychczas rozmaite wyznania religijne.

Ale wróćmy jeszcze raz do New Yorku. Jakkolwiek miasto to ze względu na brak wszelkich pamiątek historycznych, wspaniałych budowli, kościołów, galerii, muzeów, wreszcie przez swój nieporządek i brak smaku we wszystkim niesympatyczne czyni wrażenie, ma jednak i swe strony dodatnie, z których pierwszą i najgłówniejszą jest olbrzymi rozwój cywilizacji przemysłowej, przedsiębiorczość i energia mieszkańców, dowodząca niesłychanej żywotności tego młodego społeczeństwa.

Ów nadzwyczajny rozrost miasta, zarówno jak i wszechświatowe już dziś jego znaczenie dla handlu, objaśnia się nie samym tylko jego położeniem geograficznym. Rio Janeiro i Buenos Aires równie, jeżeli nie lepiej jeszcze pod względem handlowym są położone, a jednak ani w dziesiątej części nie mają tego znaczenia tylko z tego powodu, że ludność ich pod względem przedsiębiorczości i energii nie może iść w porównanie z Jankesami. Dziś już New York wraz z Brooklin i Jersey City liczy przeszło milion mieszkańców, jeżeli zaś nadzwyczajne jakieś okoliczności nie staną dalszemu jego rozwojowi na przeszkodzie, za pięćdziesiąt lat będzie większy niż Londyn i Paryż razem wzięte.

Dwa dni pobytu nie starczyło mi oczywiście na dokładne zwiedzenie tego olbrzymiego grodu, który sam siebie empire city nazywa. Poznałem jednak jego części najważniejsze, których poznanie tym bardziej wystarczać powinno, że jak mnie zapewniano, inne nie różnią się od nich niczym więcej, chyba tylko większym jeszcze zaniedbaniem i większym nieporządkiem, dochodzącym do tego stopnia, że na ulicach leżą częstokroć zdechłe zwierzęta, na wzdętych ciałach których korzystający ze wszystkiego przemysłowcy przyklejają kartki z anonsami. Jest to szczególnie nader charakterystyczny, którego sam wprawdzie nie widziałem, ale o którym czytałem i słyszałem opowiadania naocznych świadków.

Z zakładów publicznych miejskich zasługuje jeszcze na wzmiankę Central Park, leżący na Broadway, a będący tym dla New Yorku, czym Lasek Buloński dla Paryża. Jest to park ani brzydszy, ani piękniejszy od innych parków miejskich, nie może jednak, moim zdaniem, iść w porównanie z Hyde Parkiem londyńskim ani nawet z Thiergartenem berlińskim. Zresztą mniej od tych obydwóch jest odwiedzany, albowiem mieszkańcy w dzień powszedni zajęci są businesssem, w niedzielę zaś, według amerykańskiego zwyczaju, siedzą po domach.

Pomiędzy kościołami, nie licząc kościołów Brooklinu, który tu miastem kościołów nazywają, nie masz ani jednego, który by na bliższą zasługiwał uwagę. Najznakomitszy jest Trinity Church, założony jeszcze przez Anglików. Jest to dosyć obszerny budynek z wysokimi, spiczastymi wieżami w stylu nie czysto gotyckim, ale do gotyckiego zbliżonym. Otacza go mały cmentarz, na którym dziś już ludzi nie chowają, ale na którym znajdują się groby kilku znakomitości amerykańskich.

Teatru narodowego amerykańskiego w wyższym słowa tego znaczeniu nie ma wcale ani w New Yorku, ani o ile wiem, w całej Ameryce. Teatra istnieją wprawdzie, i nawet z wszelkim przepychem urządzone, ale grają w nich i śpiewają po największej części zagraniczni artyści, europejskie znakomitości opłacone na wagę złota. Oczywiście sztuki przedstawiane są również pióra europejskich pisarzy, a jeżeli czasem trafiają się i oryginalne amerykańskie sztuki, stoją one niżej wszelkiej krytyki i uchodzić mogą za ledwie za niezgrabne początki, które i na przyszłość nie rokują nic wielkiego.

Jeżeli z tego, co powiedziałem dotychczas, wypada, że New York jako miasto ujemne raczej niż dodatnie czyni wrażenie, nadmienić teraz wypada, że mieszkańcy jego przedstawiają się jeszcze mniej sympatycznie. Mają oni wprawdzie wiele niepoślednich przymiotów, ale te dopiero po bliższym poznaniu ocenić można; na pierwszy rzut oka uderza przede wszystkim ich brak ogłady, gburowatość, niektóre dzikie przyzwyczajenia rażące nadzwyczaj każdego świeżego zza Oceanu przybysza. Oczywiście klasy najwyższe, ludzie bogaci, którzy podró-

zowali lub znaczną część życia spędzili w Europie, nie różnią się niczym od odpowiednich klas europejskich, ale ogół publiczności, tak jak on się przedstawia od razu badaczowi, odznacza się takim brakiem ogłady i delikatności w obyczajach, że nawet najzapaleńsi wielbiciel Amerykanów zgodzić się muszą, iż naród rzeczony pod tym względem niżej stoi od każdego innego w Europie. Obyczaje owe i przyzwyczajenia, o których teraz będę pisał, poznałem nie przez owe dwa dni, które spędziłem w New Yorku, ale po dłuższym z Amerykanami pozyciu.

Przede wszystkim tedy cudzoziemiec przybyły do Stanów na próżno by szukał tej uprzejmości i gotowości do wskazówek i objaśnień, z jaką spotyka się np. we Francji. Mieszkaniec Nowego Jorku wечно się śpieszy i zapytany np. o drogę, odpowiada najczęściej bez namysłu: „O! I don't know” (o! nie wiem), nie dlatego, żeby istotnie nie wiedział, ale że nie chce mu się namyślać i odpowiadać. Grzeczność francuska jest tu rzeczą zgoła nie znaną, jeżeli zaś nawet trafi się cudzoziemcowi spotkać z pewną uprzejmością, jest ona tak szorstką, tak jakoś niesmaczną, tak pełną gburowatej poufałości, że mimo woli chce się odpowiedzieć jak ów szlachcic spod Radomska: „Plus de confidence que de connaissance!” Powszechnie jednak o cudzoziemca nikt się tu nie troszczy. Powody tego można nawet łatwo zrozumieć. Paryż i inne miasta europejskie przyzwyczajone są do podróżników bogatych, podróżujących dla własnej przyjemności i należących najwięcej do najwyższych klas społecznych. W Ameryce jest co innego. Niezmiernie liczną klasę podróżnych stanowią emigranci, biedni, częstokroć z bardzo ciemną przeszłością, sami na koniec pozbawieni ogłady i dopytujący się o wszystko celem dopytania się do amerykańskich kieszeni. Z tego powodu rodowity Amerykanin patrzy na przyjezdnych z pewną nieufnością, a z drugiej strony, jeżeli przyjezdny wypadkiem nie jest emigrantem, a jest człowiekiem zamożnym i urodzonym albo bardzo urodzonym, wówczas patrzy z wysokości swych europejskich pojęć i swego europejskiego znaczenia na owe szorstkie, demokratyczne dzieci Ameryki. Wszystko to nie może dodatnio wpływać na uprzejmość w obustronnych stosunkach i opiniach. Jeżeli teraz dodamy jeszcze istotną wrodzoną gburowatość Amerykanów, zrozumiemy łatwo, że zwłaszcza początkowe stosunki z nimi stają się prawie nieznośne.

Wreszcie Amerykanie sami wiedzą dobrze o tej gburowatości; niektórzy, zwłaszcza oświeceni, starają się nawet wyleczyć z niej i siebie, i swych braci; większość jednak uważa ją za pewną republikańską i demokratyczną cechę narodową i skutkiem takiego poglądu raczej szczycić się z niej, niż poprawić się jest gotowa.

Jest to również często spotykany jak i głupowaty objaw miłości własnej. Tak narody całe jak i pojedynczy ludzie przez rozmiłowanie się zbyt w samych sobie dochodzą do tego stopnia głupoty, że nawet na wady swoje patrzą przez szkła różowe, jakoby na coś takiego, co szczególniejszy stanowi ich przymiot, którym górują nad innymi. Objaw tej słabości w pojedynczych ludziach każdemu zaobserwować nader łatwo. Jeżeli pan Jacek może i odważy się wypić od razu garniec wina, dla ludzi obdarzonych zdrowym rozsądkiem jest to tylko dowód, że pan Jacek jest prosięciem; ale pan Jacek z dumą zawsze wspomina o tych swoich zdolnościach i gotów jest nawet wyzwać na rękę każdego, kto by mu ich stanowczo zaprzeczał. To uwielbienie nawet ujemnych stron własnych dochodzi do tego stopnia, że słyszymy często ludzi mówiących: mój paraliż, mój katar żołądka, mój wściekły charakter itp., z pewnym odzieniem nie już pobłażania, ale jak gdyby chluby. Między narodami dzieje się, jak wspominałem, podobnie.

Amerykanie pod tym względem nie stanowią wyjątku. Uważają się przy tym za najpierwszy naród na świecie; tymczasem większa część wykształceńszych przybyszów skłonna jest raczej twierdzić, że w Stanach Zjednoczonych istnieje państwo, ale nie ma narodu w ścisłym europejskim tego słowa znaczeniu. Według powyższej opinii jest to wielki zbiór ludzi wszelkich narodowości, handlujących, sprzedających, pracujących w roli lub przemyśle, urzędzo-

nych w wielką spółkę, zorganizowanych w pewien kształt państwowy pod takimi a takimi prawami, ale pozbawionych wszelkich cech, jakimi zwykle odznacza się każdy jednolity naród.

Do pewnego stopnia jest to nawet prawda, ale o ile ona jest bezwzględna, nie będę teraz rozstrzygał, chcę bowiem mówić o pewnych poszczególnych zwyczajach, które, jak mam nadzieję, więcej będą zajmować moich czytelników. W czymże tedy objawia się ów brak cywilizacji obyczajowej, o której wspominałem powyżej? Mogę odpowiedzieć: we wszystkim; a zresztą niech sam czytelnik osądzi. Do godziny czwartej lub piątej po południu każdy prawie z mieszkańców tak New Yorku, jak w ogóle i całej Ameryki pracuje z gorączkową namiętnością nad zrobieniem fortuny, która to stanowi główną wartość człowieka, co nawet wyraziło się i w języku, nie mówią tu bowiem: człowiek ma tyle a tyle, ale: wart jest tyle a tyle. Wieczorem wszelkie zajęcia kończą się i następuje obiad, po którym z kolei odpoczynek. Każdy należący do średniej klasy Amerykanin (bo powtarzam jeszcze raz, że nie mówię o klasach wyższych) wydobywa wówczas z kieszeni kłak tytoniu, ucina go scyzorykiem, pograża w ustach i poczyną żuć ze smakiem. Jednocześnie z tą czynnością siada na biegunowym krześle, zakłada nogi na stół lub na okno i nie chowając scyzoryka kraje nim, co mu popadnie pod oczy, chociażby poręcz krzesła, ramę okna; jeżeli się rzecz dzieje w ogrodzie, to kratę werendy; na koniec stół lub wreszcie cokolwiek bądź innego. Owo krajanie scyzorykiem tak dalece wsiąkło w naturę tych ludzi, że wielu z nich nosi umyślnie na ten cel przeznaczone kawałki drzewa. Częstość takie zajęcia służy także do pokrycia głupoty lub braku zasobów umysłowych. Jeżeli Amerykanin znajduje się wypadkiem w towarzystwie cudzoziemców, z którymi pod żadnym względem nie stoi na równi, wówczas niezawodnie będzie coś krajał scyzorykiem i milczał pogardliwie niby dla okazania, że jak prawdziwy republikanin i demokracja nic sobie nie robi z owej wykwintności i ogłady, których w głębi duszy innym zazdrości i których braku się wstydzi.

Ohydny zwyczaj żucia tytoniu zmniejsza się już wprawdzie, zwłaszcza po większych miastach, coraz bardziej, ale i dziś jeszcze jest dość powszechny. Rzuciwszy okiem na pierwsze lepsze zgromadzenie ludzi dostrzeżesz, że większa część mężczyzn porusza systematycznie szczękami, jakby należała do zwierząt przeżuwających, i spluwa co chwila obrzydliwy sos tytoniowy; przy czym policzki ich, wypchane od wewnątrz tytoniem, wyglądają jak gdyby napuchłe. W hotelach i restauracjach, gdzie tylko są marmury, znajdują się także i drukowane ostrzeżenia proszące publiczności, aby raczyła spluwać w spluwaczki, nie zaś na marmury, które się od tego plamią i psują. Wreszcie spluwaczki znajdują się w ogromnej ilości wszędzie, tak w mieszkaniach prywatnych, jak i w miejscach publicznych.

Ale gburostwo amerykańskie nie w tych tylko zwyczajach się uwidocznia. Amerykanie wstają od stołu nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo; witają się prostym kiwnięciem głowy lub ręki; w rozmowie trzymają się wzajemnie za guziki lub klapy od surdutów, co tak dalece jest rozpowszechnionym, że ma miejsce nawet między służącymi a panami; na koniec, nie zdejmują kapeluszków nawet w mieszkaniach prywatnych, a surduty zrzucają wszędzie, nawet wobec kobiet lub w miejscach, których sama powaga przyrodzona na podobne postępowanie nie zezwala.

W New Yorku nie byłem wprawdzie z braku czasu w żadnym z urzędowych miejsc publicznych, ale zdarzyło mi się w parę miesięcy później być na sądzie przysięgłych w Sacramento, w stolicy Kalifornii. Cóż powiecie, czytelnicy? Sędzia prezydujący siedział na osobnej katedrze męczony przez głośną czkawkę, i poruszając jak wół szczękami wypchanymi tytoniem, wodził omdlałym wzrokiem po zgromadzeniu; sędziowie przysięgli, bez surdutów, żując również tytuń, leżeli raczej, niż siedzieli na swych krzesłach, z nogami pozakładanymi na pulpity; adwokaci również byli tylko w kamizelkach i publiczność trzymała nogi wyżej głów, a kapelusze na głowach; wszyscy chrząkali, pluli, jakby pobierali za to osobne pensje, całość zaś zgromadzenia na mnie, przyzwyczajonym do powagi i uroczystości sądów europejskich,

zrobiła wrażenie jakiejś brudnej niemieckiej knajpy, o której można powiedzieć, że tym odycha się swobodniej, im prędzej się ją opuszcza.

Zapewniano mnie, że w miastach pomniejszych wszystko jeszcze bez porównania gorzej wygląda. Można by wreszcie darować sądom tym ich republikańską prostotę i nieobyczajność, gdyby również republikańskimi były ich sumienia i sprawiedliwość w wydawaniu wyroków. Ale sami Amerykanie przyznają, że nie masz więcej złodziejskiego sądownictwa na świecie, jak ich własne. Jeżeli tu chcesz suchą nogą przejść przez błoto, posmaruj sprawiedliwość, jak mówi stary John, a sprawiedliwość posmaruje ci buty. Jest to jedna z większych prawd na świecie. Zresztą odnosi się to nie tylko do sądownictwa, ale do całego systemu administracji w Stanach Zjednoczonych; nigdzie bowiem zapewne sumienie publiczne nie jest tak uśpione, jak tutaj. Przyczyny tego łatwo czytelnicy zrozumieją. Pensje urzędników w ogóle są bardzo niewielkie, emerytur nie ma wcale, a przy tym ustawiczna walka partii republikańskiej z demokratyczną i ciągle przechylenie się zwycięstwa to na jedną, to na drugą stronę nigdy nie pozwala jednym i tym samym osobom utrzymać się dłużej przy urzędach. Każda partia przychodząc do władzy wypędza natychmiast wszystkich urzędników dawniejszych z zajmowanych posad, a obsadza je swymi stronnikami, którzy uważają to za nagrodę i wiedząc przy tym, że dłużej nad rok lub dwa miejsca nie zagrzeją, starają się wyciągnąć z niego wszelkie możliwe korzyści.

Jest to system do najwyższego stopnia wadliwy i wszystkie owe ogromne złodziejstwa, o których tyle piszą gazety tutejsze i zagraniczne, są tylko bezpośrednim jego wpływem. Ale swoją drogą system ten tak dalece zrośnięty jest z instytucjami republikańskimi Stanów, tak dalece stanowi zasadniczą ich istotę, że odmienić go prawie niepodobna.

Gdyby na koniec system ten i był wreszcie odmieniony, wyrosłoby z tego zło inne. W każdej republice, jakąkolwiek ona jest, należy, aby urzędnicy na wszelkich posadach działali w myśl rządu, to jest narodowej rządzącej większości; inaczej zawsze zrodzi się stan rzeczy podobny do tego, jaki przed niedawnym czasem istniał, a pod pewnym względem i dziś jeszcze istnieje we Francji, gdzie rząd jest republikański, urzędnicy monarchiczni, a w tym rozdrożu między Sasem a Lasem kręci się oszołomiony naród nie wiedząc, jak wyjść z tego czarowanego koła i gdzie iść dalej.

Nie w zmianach tedy systemu, nie w przewrotach instytucji państwowych leży salus reipublicae, ale w radykalnej reformie wychowania przyszłych pokoleń obywateli i w oddziaływaniu przeciw rozpowszechnionemu w Ameryce mniemaniu, że pieniądź tylko stanowi wartość człowieka, a korzyści materialne i użycie – jedyny cel, za którym ubiegać się warto. Zrozumieli to Amerykanie, należy oddać im sprawiedliwość, i dlatego wychowanie powierzyli po największej części w ręce kobiet, które z natury bardziej idealne, oddziałują też w tym duchu i na młodzież.

Jest to ten sam wzgląd, dla którego właśnie nie uważałbym za stosowne powierzać u nas wychowania w ręce kobiet, albowiem nasze społeczeństwo stanowi pod względem usposobień, można rzec, przeciwny biegun społeczeństwa amerykańskiego. Przenoszenie żywcem i na ślepo obcych instytucji dlatego tylko, że one gdzie indziej zbawienne są i dobre, może być bardzo dla nas szkodliwym i kto by tak czynił, byłby podobny do owego doktora amerykańskiego, który wszelkie słabości leczył aloesem, twierdząc, że czy pacjent przychodzi do zdrowia, czy umiera, on jako doktor zawsze tylko dopomaga naturze.

Powinni u nas pamiętać o tym ci, którzy skądinąd istotnie niosą naprzód chorągiew oświaty krajowej.

Ale w Ameryce jest rzecz inna. W Ameryce powierzenie wychowania kobietom ma jeszcze tę nieskończenie dobrą stronę, że wpływa ogromnie na wzrost cywilizacji obyczajowej, która tak nisko tu stoi. Nauczyciel mężczyzna nie ma i nie może mieć takiego wpływu obyczajowego na swoich wychowañców, jak kobieta delikatna i dobrze wychowana, której sama obecność każe tak na wpół dzikim pauprom, jak i ich ojcom hamować porywy nieokrzesane-

nych namiętności. Łatwiej to jeszcze zrozumiemy, gdy przypomnimy sobie szacunek, jaki otacza tu kobiety. Istotnie pod względem wpływu na obyczaje powołanie nauczycielek jest w Stanach Zjednoczonych prawdziwą misją. Ja sam znam pewną szkołkę nad rzeką Cosumnes albo po indyjsku: Makosine, w Kalifornii. Okolica ta jest prawie jeszcze dzika; Indianie, którzy ustąpili z niej niedawno, tułają się tu i ówdzie; mieszkańcy składają się z uboższych farmerów, pastuchów owiec, górników, czyli przemycaczy złota, i na koniec z Chińczyków, których tu wszędzie jest pełno. Łatwo zrozumieć, jak nieokrzesane i pełne dzikich instynktów jest to niedawno osiadłe i złożone z tak różnorodnych żywiołów społeczeństwo.

Otóż, wyobraźcie sobie, że wpośród tych niesfornych żywiołów istnieje szkołka, do której mieszkańcy muszą posyłać swe dzieci, a w szkółce jest nauczycielką młoda miss, wąta, drobniutka, delikatna jak mimoza, przyzwyczajona i do innego życia, i do innego otoczenia. Ale trzeba widzieć, jak pierwszy lepszy gbur okoliczny czuje się wobec niej skrępowany, jak obraca kapelusze w rękę; nie wie, co robić, jak usiąść i co myśleć o tym zjawisku, którego oczy jego nie nawykły wcale oglądać. Wobec niej nikt tu sobie nie pozwoli grubiańskich żartów ani przekleństw „na oczy i duszę” bliźniego, bo każdy instynktownie czuje całą nie stosowność takiego postępowania; a kto by wreszcie jej nie czuł, tego wkrótce nauczyłyby rozumu pięści i rewolwery sąsiadów. Łatwo z tego wyciągnąć wniosek, że nie tylko przyszłe pokolenie, ale nawet i teraźniejsze pod podobnym wpływem mięknie i uczy się łagodniejszych obyczajów.

Przebiegając ze strzelbą brzegi Cosumnes i okoliczne góry, kilkakrotnie znechęcony ciekawością i – mamże wyznać? – wdziękami nauczycielki, zaglądałem do owej stojącej samotnie szkółki. Jest to niewielki dom obejmujący jedną tylko salę. W sali stoją ławki urządzone według najnowszej metody higienicznej; na ścianach wiszą mapy Stanów Zjednoczonych, Europy i pozostałych części świata; między mapami zaś wisi napis upleciony z nieśmiertelników przez same dzieci: „Knowledge is power” (noledź is pauer): „Wiedza to siła”. Naprzeciw ławek stoi katedra, której jednak nauczycielka najczęściej nie zajmuje, ale chodząc między ławkami, prowadzi swoje wykłady sposobem, można powiedzieć: perypatetycznym. Przy tym, ponieważ dzieci przychodzące znajdują się na różnym stopniu rozwinięcia, każde więc niemal trzeba uczyć osobno. Nauka czytania, pisania, arytmetyki stoi oczywiście na pierwszym planie, ale oprócz tego wykłady obejmują także i zoologię, botanikę, geografję itp. System nauczania przyjęty jest doświadczalny i istotnie niezmiernie praktyczny, znany już zresztą wszędzie. Naukę geografii rozpoczyna nauczycielka od domu, w którym stoi szkoła, przy czym dzieci dowiadują się rzeczy arcypożytecznych: jak się stawia domy, na co izby są potrzebne itd. Poznawszy szkołę, poznają country, w której szkoła się znajduje, miasteczka, rzeki, następnie całą prowincję, następnie Stany Zjednoczone; nauczycielka coraz bardziej rozszerza widnokrąg ich wiedzy, dopóki nie obejmie całej ziemi. W nauce zoologii i botaniki dzieci poznają przede wszystkim faunę i florę własnych okolic; widzą mnóstwo roślin, na które patrzą zresztą codziennie, przechodząc z farm do szkoły; ale nauczycielka wyklada im szkodliwe lub pożyteczne własności; tak samo obznajmia wychowalców i wychowanki ze zwierzętami, minerałami itp.

Jest to system wyborny, dzięki któremu w całych Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w młodym pokoleniu, nie ma człowieka, który by nie umiał czytać, pisać, rachować, nie rozumiał się na polityce, słowem: który by nie był mniej więcej przygotowany do zawodu obywatelskiego. Jest także równie niepłonna, jak uzasadniona faktami nadzieja, że szkoły takie i nauczycielki wpłyną również na rozbudzenie się uczciwości obywatelskiej i sumienia publicznego, którym teraz chyba młode koty tu się bawią.

Szkół podobnych do wyżej opisanych jest mnóstwo. Gdzie tylko w pustyni powstaje kilka farm, tam wśród Indian jeszcze, bawołów, niedźwiedzi, „gryzli”, jaguarów i grzechotników powstaje natychmiast i szkoła, do której dzieci chodzą czasem o kilka mil odległości codzien-

nie. Żadne państwo nie wydaje tyle na wychowanie, ile Stany Zjednoczone, ale żadne też nie osiągnie w niedalekiej przyszłości tak znakomitych z wychowania rezultatów.

Wychowaniem młodzieży, zwłaszcza elementarnym, zajmują się prawie wyłącznie kobiety. O dobrych stronach tego systemu już mówiłem, teraz wspomnę o złych, bo każdy medal na świecie ma swoje dwie strony. Oto każda nauczycielka jest to po największej części „interesting young lady”, w której samotność rozwija do wysokiego stopnia usposobienie romansowe, młodość zaś i krew gwałtu krzyczy na pustyni. Skutkiem tego zdarza się najczęściej, że jaki młody rycerz pustyni, jaki traper lub farmer, ubrany przez panię wyobraźnię w tęczowe kolory bohaterstwa, wsiąka w tę wyobraźnię jak potoki dżdżu w ziemię, a potem następują „widywania się pod jaworu drzewem”, potem ciche „Jam twój – ty moja – tyś mój” i inne zaimki dzierżawcze odmieniane przez wszystkie przypadki; potem jeszcze małe: „na wieki, ach! na wieki!”, a na koniec, jak mówi Słowacki:

..... rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Oczywiście skutkiem tych rzeczy moralność i obowiązki nauczycielskie akurat tyle tracą, ile diabeł zyskuje. Szczęściem w tym kraju, na mocy interwencji państwa, takie stosunki są drabiną, z której się albo szyję łamie, albo nieodmiennie idzie przed ołtarz. Dobrze to napisać, choćby na użytek moich ziomków, którzy wszędzie za granicą pod tym względem dziwnie są przedsiębiorczy.

A teraz kilka słów o kobietach amerykańskich. Pod wieloma względami kobiety amerykańskie niższe są od europejskich, i owo dobitne rzymskie określenie: domiseda, lanifica, pia – żadną miarą do Amerykanek zastosować się nie da. Tu powszechnie taki jest stosunek: mąż pracuje, żona panuje i używa darów bożych, jak jej się podoba. Można by tu słusznie, na wzór owego starosty austriackiego, który powiesiwszy na drągu kapelusz kazał mu się kłaniać Szwajcarom, powiesić na drągu pantofel. Rozkaz kłaniania mu się jednak byłby zupełnie zbyteczny, bo każdy mąż, jeśli tylko chciał być szczerym, zdjąłby przed nim kapelusz z własnej woli. Amerykanki stroją się więcej jak wszystkie kobiety na świecie. Stojąc przez pół godziny na Broadway w New Yorku, więcej widziałem rozmaitych sukien jedwabnych i kaszmirowych, czarnych, żółtych, zielonych, pstrych i czerwonych, niżbym mógł zobaczyć na bulwarach w Paryżu. Niewiele w tym wszystkim smaku, ale wiele przepychu. W hotelach na obiady przychodziły damy postrojone jak na bal, w złotych manelach, zausznicach, naramiennikach itp. Są przy tym nadzwyczajnie śmiałe, wyzywające i kokietki do tego stopnia, że słusznie można rzec, iż role tu zostały zmienione i stroną prowokującą jest kobieta. Nie brak tu „niebieskich pończoch”, ale w ogóle wieści, jakie krążą o wykształceniu Amerykanek w Europie, są do wysokiego stopnia przesadzone. Owszem, przeciętne wykształcenie kobiet w Europie, moim zdaniem, jest daleko wyższe. Panny tutejsze prowadzą życie nader swobodne i mało jest takich, których przeszłość nie miałaby pewnej historyjki wynikłej już to ze zbyt gorliwego uprawiania związku zwanego „flirteszyn” (flirtation), już to i bez „flirteszyn”. „Ja nie patrzę w przeszłość mego męża, niechże i on w moją nie patrzy” – oto jest zdanie bardzo utarte między Amerykankami, które doprowadziłoby zapewne do większych nadużyć, gdyby temperament ich energiczny, ale chłodny, i pewna przewaga rozumu nad uczuciem nie stanowiły bardzo silnego hamulca.

Cudzoziemcy mają tu wiele powodzenia u kobiet ze względu na swą ogładę i wykwintność, którą nad krajowcami celują; często jednak biorą fałszywą monetę za dobrą, a jeżeli i znajdują istotnie dobrą, to tym gorzej dla nich, bo jak wspomniałem, ołtarz jest tu konsekwencją, lada nie winy nawet, ale lada nieostrożności.

Zresztą kobiety amerykańskie nie są piękne. Brak w ich rysach rasy i dystynkcji, ale to tym nieznośniejszym czyni ich despotyzm. Despotyzm ten daje się czuć wszędzie: w domach, na

kolejach, w wagonach, a nawet na ulicach, gdzie powożące ladies jeżdżą jak szalone, ani dbając, że kogoś mogą rozjechać. Prawo nie tylko nie kładzie despotyzmowi pewnej miary, ale bierze go nawet w opiekę. W Kalifornii zapadło niedawno postanowienie, że mąż, który by bił swą żonę, otrzyma dwadzieścia jeden bizunów ze skóry bawolej. Dlaczego dwadzieścia jeden, nie dwadzieścia lub dwadzieścia pięć? – są to tajemnice amerykańskiej legislatury. Koniec końcem, kto się nie uwinął zawczasu, temu teraz zamknięta droga na wieki.

Gdyby istotnie surowość mężów przechodziła tu granice i gdyby prawo takie zapadło wskutek istotnych nadużyć, można by je jeszcze wyrozumieć; ale w kraju, gdzie mąż pracuje jak cztery konie, żona zaś kołysze się również cały dzień w biegunowym krześle, po powrocie zaś małżonka przyprawia go z takim sosem, z jakim jej się podoba, jest to tylko dolewanie oliwy do ognia. Rozsądni ludzie śmieją się tedy z tego niewczesnego wysoko filantropii, niektóre zaś dzienniki twierdziły, że odtąd wszelki małżonek, mający ochotę wybić połowicę, musi wyjechać z Kalifornii do innego stanu i nie wracać aż dopiero po dokonanej operacji. Przepowiadają wskutek tego znakomite powiększenie się ruchu na kolejach, wątpię jednak, czy urzędnicy kolejowi, zwłaszcza żonaci, wierzą w tę przepowiednię choć trochę.

Szacunek, jakim tu otoczona jest kobieta, łatwo wyjaśnia się tym, że – mówiąc językiem handlowym – popyt tu na płeć piękną daleko jest większy od podaży. Kobiet w ogóle w Ameryce jest mało, w nowo zaludnianych się zaś okolicach tak mało, że zaledwie jedna na dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn przypada. Tym się tłumaczy, że nawet bardzo nieokrzesani i pozbawieni wszelkiej ogłady ludzie obchodzą się tu z kobietą jak z czym szklanym.

Grzeczności jednak amerykańskich nie należy brać za jedno na przykład z francuską lub w ogóle z europejską. Amerykanin zdejmując przy kobietach surdut itp., słowem, postępuje według swoich zwyczajów, które raczej za niegrzeczność lub lekceważenie poczytałaby każda Europejka. Ale gdy francuska uprzejmość ma najczęściej na celu zdradę i chęć skorzystania z dobrej sposobności, tu kobieta jest zupełnie bezpieczna: sto pięści i sto rewolwerów podniesie się każdej chwili na zuchwalca, który by śmiał jej w jakikolwiek sposób ubliżyć. Nic dziwnego, że kobiety wiedzą o tym i uważają się za jakieś wybrane istoty, którym cześć czysto religijna jak Panu Bogu się należy.

W ogóle Europejczycy mają pod wieloma względami fałszywe o Amerykanach i Ameryce wyobrażenie. Wspomniałem o religijności; niech mi więc wolno będzie pobieżnie i o tej stronie życia tutejszego wspomnieć. Społeczeństwo amerykańskie uchodzi za najreligijniejsze na świecie. Ludzi wątpiących istotnie nie ma tu wcale, przepisy religijne zachowywane są najściślej, w niedziele i święta głucha martwota upada na wsie i miasta, sklepy są pozamykane, fiakry i omnibusy nie kursują prawie zupełnie; w teatrach nie grają, miejsca publiczne są puste; słowem, powaga tu i uroczystość większa niż wszędzie na świecie. Ale wejrzawszy w to bliżej, widzimy w tym raczej wpływ zwyczaju nie wdającego się w żadne rozumowania niż żywotnej, gorącej, świadomej siebie wiary. Społeczeństwo tutejsze nadzwyczaj jest pozytywne; nad rzeczami nie mającymi związku z rzeczywistością, z korzyściami materialnymi, z czymś, co się da uchwycić i obrachować, nikt tu nie łamie sobie głowy. Kwestie takie, jak początek wszechrzeczy, istnienie Stwórcy, nieśmiertelność duszy i tym podobne, które odgrywają tak potężną rolę w umysłach młodzieży europejskiej, uniwersytetów, filozofów i ludzi nauki, a które tak często prowadzą najprzód do filozoficznego bankructwa, a potem do zwątpienia, łatwo udzielającego się ogółowi, tu nie mają najmniejszej wagi. Żaden naród na świecie nie jest mniej zdolny do wszelkiej refleksji filozoficznej jak Amerykanie. Tu każdy więcej żyje życiem czynów niż myśli, więc zajęty handlem, przemysłem, rolą itp., o racje religijności się nie pyta. Przychodzi niedziela, Amerykanin idzie więc do kościoła, bo tak chce zwyczaj; czyta pobożną książkę, bo tak chce zwyczaj; siedzi w domu, bo wszyscy siedzą w domach; kto tam wie jednak, czy w tej całej religijności nie masz więcej rutyny i mechanicznego przyzwyczajenia niż prawdziwego uczucia.

Z drugiej strony mnóstwo sekt i emulacja między nimi, walka z potężniejącym coraz katolicyzmem zabarwia cokolwiek owe uczucia religijne polityką, która bądź co bądź, jeżeli jest bodźcem, to jest bodźcem czysto światowym. Wyznawcy danej sekty starają się ją podtrzymać i rozszerzyć, muszą więc dawać z siebie przykład. Stronnictwo zawsze przywiązuje do siebie, a wskutek poplątania interesów ogólnych z osobistymi rodzi stronników, którzy tyłoma już węzłami są z nimi spójni, że odłączyć się ani chcą, ani mogą, choćby dla głównej zasady byli chłodni.

Natomiast każdy Amerykanin ową wolność religijną uważa za perłę konstytucji Stanów Zjednoczonych, a chcąc tę wolność zamanifestować, musi spełniać gorliwie wszelkie obrządki sekty, do której należy.

Pierwszy jednak przytoczony przeze mnie wzgląd jest najważniejszy. Business nie pozwala rozstrzygać transcendentalnych kwestii, zatem nikt ich nie rozstrzyga i sprawy religijne idą tak, jak każe zwyczaj i pamięć ojców.

Na tym kończę ten pobieżny rys o Ameryce i Amerykanach w ogólności, o New Yorku zaś w szczególności. Do wielu kwestii w nim poruszonych przyjdzie mi jeszcze nieraz powrócić. Tu tylko nadmienię, że jakkolwiek wytknąłem wiele ujemnych stron tego społeczeństwa, jednakże o przyszłości jego wcale wątpić nie należy. Posiada ono jeden potężny warunek, oto: wszelką możliwość rozwoju; młode jest przy tym, dzielne, energiczne nad wszelki wyraz. Wady swoje rozumie i stara się je poprawić, a ponieważ odważne jest, próbuje więc wszelkich środków i sposobów. Wiele z tych środków okaże się zapewne błędnymi, ale przed próbą nikt się tu nie cofnie. Postęp nie czeka tu na zmiłowanie boże i na to, żeby w innych krajach poszli ludzie o sto mil dalej. Nikt tu nie woła na Francję, Anglię i Niemcy: „Hej tam, chłopyszku, czekaj, spróbuję i ja!” Tu próbują naprzód wszystkiego. Ślepy i spróchniały konserwatyzm, który na widok lada czego, na widok, dajmy na to, nowo wynalezionych przez panią Cwierciakiewicz naleśników, kiwa gdzie indziej głową i mówi: „Mój Boże, za moich czasów nie jadaliśmy naleśników, a jednak...” itp., taki konserwatyzm, powtarzam, miałki i drobnostkowy, nie siedzi w kształcie klina w większości głów amerykańskich, dlatego głowy te myślą i obmyślą zapewne dla siebie to, co im się będzie zdawało najlepszym.

W następnym liście przejdę wprost do skreślenia wrażeń z moich podróży koleją Dwóch Oceanów.

IV

KOLEJĄ DWÓCH OCEANÓW

Wyjazd z New Yorku • Hudson River • Zima • Koleje amerykańskie • Szybkość pociągów • Wagony • Sleeping-cary, sekcje • Konduktorowie • Kobiety w wagonach • Ranek • Ameryka po dniu • Krajobrazy • Trzebież lasów • Gospodarstwa • Ceny ziemi • Spekulacje • Osady na pustyni • Przystanek w Syrakuzie • Rochester • Ontario • Nad jeziorem • Widoki nadbrzeżne • Suspension Bridge • Niagara • Wodospady • Pod wodospadem • Erie • Detroit • Huron • Michigan • Wyjazd z Chicago • Illinois • Osady polskie • Granica Jowy • Początek Wielkiego Zachodu • Emigracja na Zachód • Tłumy w pociągach • Do Czarnych Gór! • Opowiadania o Czarnych Górach • Historia Nelly • Wojna z Siouxami • Zachodni kraniec Jowy • Okolice skunksów • świt na stepie • Spotkanie z Indianami w Ketchum • Stosunki na kresach • Indianie i biali • Indianie i cywilizacja • Prawo Strzeleckiego • Dlaczego? • Omaha

Gdym pomyślał, iż będę pierwszym z Polaków, który z naocznych wrażeń opisze wielką kolej Dwóch Oceanów, myśl ta tyle nadała energii i pośpiechu moim czynnościom, że już piątego dnia po przybyciu do New Yorku znalazłem się wraz z towarzyszem moim na Zachodnim Dworcu, z którego kolej wychodzi do Chicago. Załatwiwszy sprawę z rzeczami i wyklóciwszy się z zawiadowcą stacji, który jako prawdziwy yankee, chciał nam koniecznie sprzedać drogo sznur do obwiązania jednego z pakunków, ruszyliśmy w kierunku Wielkiego Zachodu. Wyjechaliśmy z New Yorku w nocy; dlatego brzegi Hudson River widziałem tylko po księżycu. Szczęściem, noc była jasna od księżyca i od śniegu, który pokrywał okolicę, mogłem więc do woli paść oczy przepysznyimi widokami rozpościerającymi się po prawej i lewej stronie kolei. Ogromna, szeroka rzeka błyszczała jakby taśma srebrna. Na brzegach stały nieruchome, milczące, czarne lasy; okolica wydawała się, zwłaszcza po nocy, dość dzika i dziewicza, a fantazja moja zaludniła ją Indianami i bawołami, po których, mówiąc nawiasem, ślady już zatarły się w tych stronach i o których tu urodzeni i wzrosli mieszkańcy niewiele więcej wiedzą od mieszkańców Warszawy albo Lublina.

Jakkolwiek wskutek stosunków łączących mnie z pewnym młodym tłumaczem geografii Guthego wiadomości moje geograficzne równają się wiadomościom przeciętnego trzecioklasisty mającego przeciętną nadzieję promocji do klasy czwartej, wyznać jednak muszę, że Amerykę, a przynajmniej Stany Zjednoczone wyobrażałem sobie jako kraj daleko cieplejszy. W Europie, w Belgii, Francji, a nawet i Anglii zostawiłem za sobą wiosnę, wody szeleszczące i zieleniejącą ruń zbożową; tu zaś, na szerokości geograficznej Włoch południowych, śnieg leżał na polach, powietrze było surowe, dojmujące, a drzewa wśród ciemności nocnych rysowały się w twarde, bezlistne kontury. Hudson River nie była jednak zamarzniętą, widziałem bowiem wielkie parowce przerywające spokojną toń tej szerokiej rzeki, co zwłaszcza nocą

wspaniały przedstawia widok. Wkrótce jednak rzeka znikła nam z oczu. Pociąg biegł drogą wyłobioną w skale, której wysoko wznoszące się po obu stronach ściany zakrywały zupełnie krajobraz. Chwilami przelatywaliśmy przez tunele, ale przelatywaliśmy wcale nie z ową osławioną szybkością amerykańską, o której tyle poprzednio zdarzało się słyszeć i czytać. Przeciwnie nawet, do dzisiejszego dnia tyle już najeździłem się różnymi kolejami amerykańskimi, iż mogę powiedzieć na pewno, że wszelkie opowiadania o szalonej jeździe są wierutnymi bajkami. Pociągi amerykańskie nie tylko nie chodzą prędzej, ale chodzą bez porównania wolniej od zwyczajnych europejskich, z wyjątkiem tylko nadzwyczajnych pociągów, które bądź to dla fanfaronady, bądź dla oryginalności lub na koniec – interesu przebiegają takie na przykład przestrzenie, jak z New Yorku do San Francisco, w ciągu trzech dni i trzech nocy.

My jechaliśmy siedm dni i siedm nocy, wprawdzie bez przystanków dłuższych jak godzinę lub dwie, ale tak, jak jeździ np. u nas kolej terespolska. Nie wliczam jednak w tę rachubę kilkodniowego przymusowego przystanku na jednej stacji, na której zasypały nas śniegi. Przez owe siedm dni mieszka się w wagonie, sypia w wagonie, jada w wagonie, a z czasem tak się do tego przywyka, że potem już i usnąć przez parę nocy nie można bez zwykłego kolejowego huku i zwykłego kolejowego drżenia. Kto jeździ tak zwanymi sleeping-carami, temu podobna podróż przechodzi dość znośnie; sypia się bowiem na łóżku mniej więcej takim albo nawet i lepszym jak w domu; ale kto musi przepędzać noce w zwykłym wagonie, ten cierpi prawdziwe męki; w opowiadaniach bowiem o wygodzie i komforcie wagonów amerykańskich tyle jest prawdy, ile w wieściach o kolejowej szybkości. Zwyczajny amerykański wagon pierwszej klasy jest to ogromna buda, wzdłuż boków której stoją dwa szeregi ławeczek, każda na dwie osoby, środkiem zaś znajduje się miejsce dla przechodzących. Ławeczki te, obite zwykle wypłowiałym welwetem albo obdrapaną zieloną ceratą, są tak wąskie, że z trudnością mogą pomieścić dwie średniej tuszy osoby, stoją zaś tak blisko siebie, że każdy opatrzony trochę dłuższymi nogami śmiertelnik rzeczywiście nie wie, co z nimi zrobić, jeżeli zwyczajem wielu Amerykanów nie zechce ich oprzeć na poręczy następującej ławki, chwytając w ten sposób jakby w szczypce głowę pierwszego lepszego pasażera.

W każdym z dwóch końców wagonów znajduje się przy tym piecyk żelazny, w który posługacz kolejowy nakłada dzień i noc tyle węgla, ile się zmieści. Gorąco oczywiście jest nie do wytrzymania, swąd jeszcze większy od gorąca, pasażerowie spacerują po całym pociągu, konduktor raz po raz przetwiera drzwiami, zimny wiatr wpada z całym zapasem reumatyzmów; sąsiedzi żują tytuń, spluwają, jedzą, śpią; wszędzie największy nieład i nieporządek; na podłodze mnóstwo skórek od rozmaitych owoców, skorupki od orzechów, fajansowych spluwaczek, o które potykasz się co krok; jedni gwizdzą, inni śpiewają, inni chrapią, dzieci wrzeszczą, mężczyźni zdejmują surduty, kobiety są jak można do rosołu, słowem: istna zarwańska ulica.

Rankiem szczególnie wagon taki wygląda jak prawdziwe pobojuwisko. Wśród tego chaosu krąży konduktor, wcale nie taki pocziwina, jak w Europie, który klasyfikuje podróżnych na „porządnych” i „nieporządnych” i rozsadza ich wedle tej klasyfikacji, albo któremu daje się papierosa za to, żeby nikogo więcej nie puszczał do przedziału; ale wielki konduktor, wielka figura, istny kapitan okrętu, który przelazi się ciągle po całym wagonie, siada w sleeping-carach lub drawing-roomach, zakłada nogi na nieprawdopodobne wysokości, zdejmuje surdut, przysiada się do kobiet, często jest wspaniałym, czasem wyniosłym, czasem majestatycznym, czasem wyniośle poufałym lub tylko karcącym, a czasem opuchniętym po nieszczęśliwej zamianie kilkunastu kułaków z jakim traperem, który znowu nie robi sobie nic nawet z osób tak wysoko położonych.

W ogóle na tych kolejach jest tak: jeżeli ty obrazisz konduktora, wyzwie cię na kułaki, popodbija ci oczy i wyrzuci z wagonu; ale jeżeli jesteś silniejszy, to ty możesz zgruchotać mu szczękę i wyrzucić z wagonu. Toż samo ma się rozumieć i o tych dżentelmenach, którzy palą

w piecach lub ścielą łóżka w sleeping-carach, choć zresztą jak wszędzie, tak i w Ameryce, kto się sam szanuje i awantury nie szuka, ten jej nie znajdzie, owszem, jeżeli jest cudzoziemcem, będą go tu na swój sposób szanować.

W sleeping-carach, to jest w sypialniach wagonowych, albo jeszcze w tak zwanych silver-palace Pulmana panuje istotnie pewien komfort i większy porządek. Wieczorem przychodzi Murzyn, wyciąga rozmaite szuflady w bokach wagonów i zamienia je w łóżka, które umieszczone są jedne nad drugimi w bocznych, dłuższych ścianach wagonów, każda zaś jedna para oddzielona od drugiej adamaszkowymi firankami. Takie dwa łóżka nazywają się sekcją: łóżko dolne lepsze, górne gorsze; kiedy się podróżuje we dwóch lub we dwoje, zamawia się naprzód taką sekcję i ma się na noc jakby własny, i to adamaszkowy buduar; podróżujący jednak pojedynczo i nie chcący płacić za całą sekcję, mają prawo tylko do jednego łóżka, co jest nieprzyjemnym i ambarasującym... ponieważ często się zdarza, że ta sama sekcja przypada nie na dwóch, ale na dwoje.

Nie ma w tym najmniejszej przesady. Stary Niemiec sprzedający cygara, który jechał razem z nami aż do Omaha, był współwłaścicielem sekcji, której dolną, wygodniejszą połowę zajmowała również wiekowa i chuda jak śmierć miss. Każdego ranka oboje rzucali na siebie nader niezadowolone spojrzenia, co wieczór zaś biedny Niemiec musiał gramolić się na górne łóżko, co czyniąc gniótł pościel dolnego i stękał, jakby miał zamiar oddać w tej podróży duszę.

Taki zwyczaj w Europie pociągnąłby zapewne za sobą rozmaite mniej więcej skandaliczne następstwa. Amerykanie jednak nie znajdują w nim nic dziwnego. Tłumaczy się to łatwo nadzwyczajną czcią i szacunkiem, jakim tu otoczona jest kobieta. Każda z kobiet, chociażby najmłodsza, jeśli tylko podróżuje sama, jest pod opieką wszystkich mężczyzn, którzy krwawo, bo po prostu pięścią, rewolwerem, lub w stanach, gdzie panuje prawo lynch, nawet postronkiem, mszczą się za wyrządzoną jej obelgę, choćby to byli prości tylko górnicy lub farmerowie. Swoją drogą czci tej i uszanowania nie należy brać za jedno z francuską wykwintnością.

Dżentelmenowie, którzy z nami jechali, jakkolwiek należący do wyższych warstw społecznych, bynajmniej nie uważali za niestosowne chodzić wobec kobiet bez surdutów lub bez butów, a gdyśmy zwracali na to ich uwagę, odpowiadali, że rzecz nie w tym i że zachowywanie takich czczych pozorów jest tylko blichtrzem, poza którym kryje się podstęp i zasadzka. My jednak po staremu trzymaliśmy się prawideł nie amerykańskiej, ale naszej polskiej i europejskiej dworności, która przez kobiety tutejsze za najlepszą jest uważana.

Nazajutrz rano, po pierwszej nocy, rozbudziliśmy się dość późno. Większość łóżek w wagonie była już poskładana; niektóre damy ubrane, a nawet wystrojone, piły kawę lub herbatę na małych stoliczkach stojących między kanapkami; dżentelmenowie w surdutach i bez surdutów wchodzili lub wychodzili z małej ubieralni męskiej umieszczonej w końcu wagonu; konduktor siedział pod oknem z rękami w kieszeniach i z zaspanymi oczyma, męczony przez głośnie czkawkę, i rzucał niezadowolone spojrzenia na obecnych, jakby dziwiąc się, że nikt nie poczuwa się do obowiązku powinszowania mu tak szczęśliwej ulgi, jaką jest czkawka w sprawach trawienia, ja zaś poszedłem do okna, aby zobaczyć, jak też wygląda Ameryka po dniu, przy świetle słonecznym.

Pociąg szedł teraz drogą otwartą i niską, na płaszczyźnie, której krańce zamykały lasy drzew bezlistnych. Okolica była ludna. Po obu stronach widać było farmy z pięknymi domkami w stylu szwajcarskim, krajobraz zresztą dość podobny do polskiego. Gospodarstwa, o ile tę rzecz można ocenić w zimie, ani mogą się porównać z niemieckimi, belgijskimi lub francuskimi. Liche zabudowania gospodarskie, brak porządnych pól pełny, brak rowów: wszystko to przypomina zapadłe strony Podlasia lub Pińszczyznę. Ziemia, znać bardzo urodzajna, ale też dlatego może nie dość starannie uprawna, smutno przedstawia się oku przywykłemu do pysznej kultury w zachodniej Europie. Wszędzie tu widać jakby jakiś po-

śpiech w zakładaniu gospodarstw; znać, że nie miały jeszcze czasu ustalić się i przyozdobić. Miejscami, jakkolwiek jechaliśmy ciągle stanem New York, najludniejszym i najlepiej zagospodarowanym ze wszystkich, domki farmerskie, samotnie stojące wśród rubieży leśnych, widocznie świeżo co były wyszły spod siekiery. Naokół ani drzew cienistych, ani sadów owocowych, ani znaku ogrodów; las tylko szczerzy lub jak okiem dojrzysz, smutne, osmolone szeregi pni wyciętych, miejscami stopy gałęzi i wiórów, tu i ówdzie zaś wielkie kałuże, pełne wody ciemnej, błotnistej, ujęte na brzegach w szarawą ramę brudnego śniegu.

Miejsca takie mimo woli przywiodły mi na myśl sceny trzebieży lasów, jakie tyle razy widziałem u nas; tu jednak mają one inne, mniej złowróżbne znaczenie. Tu lasów jeszcze dziś wszędzie taka jest obfitość, że pionierowie oczyszczający z nich kraj prawdziwą mu oddają przysługę. Nieraz też widzieć można samotne domki stojące wśród lasów, a naokół domków uprawne już pola, które rok temu porastały jeszcze gąszczem leśnym. Dzień i noc słychać w tych okolicach huk siekiery, wystraszony zwierz i ptactwo cofa się coraz bardziej na zachód, z każdym dniem niemal nowe przestrzenie z mroku leśnego wychylając się na światło dzienne oczekują tylko rąk i pługów, ażeby zamienić się w łany zbożowe.

Z tym wszystkim, z tego, com się dowiedział lub na com własnymi patrzył oczyma, mogę śmiało twierdzić, że Amerykanie rodowici nie są w ogóle wzorowymi gospodarzami. Zbyt są ruchliwi, zbyt nie lubiący siedzieć na jednym miejscu, zbyt nareszcie pochopni do handlu. Dlatego jeżeli Amerykanin kupuje ziemię, kupuje ją najczęściej nie dlatego, żeby na niej osiaść i zostawić ją dzieciom i wnukom swoim, ale zwykle na spekulację. Spekulant nabywa kawał lasu lub dziewiczego stepu, co go bardzo mało, a czasem i nic nie kosztuje, ogradza go płotem, buduje dom, pogrzebie trochę ziemię i jako gotową już niby farmę sprzedaje częstokroć z wielkim zyskiem emigrantom lub też miejscowym kapitalistom. Trzeba bowiem wiedzieć, że o ile w Stanach, a przynajmniej w niektórych stanach, ziemia rządowa dziewicza, nieuprawna jeszcze sprzedaje się za niesłychanie niskie ceny albo może być i darmo objętą w posiadanie, o tyle znowu grunta już procentujące, położone zwłaszcza około wielkich miast, dochodzą do wartości nigdy w Europie nie spotykanych. Niejeden szczęśliwiec, który darmo objął tyle gruntu, ile mu się podobało, sprzedawał go potem za pięćset i sześćset aż do tysiąca dolarów akr, jeżeli w pobliżu wyrosło nagle a niespodziewanie, jak się to często zdarza w Ameryce, jakieś wielkie i handlowe miasto. Tak stało się np. z gruntami leżącymi koło Chicago, w Illinois, które niedawno rozdawane, jako nic niewarte, weteranom przez rząd w nagrodę zasług, dziś idą prawie na wagę złota.

Wielu jednak spekulantów dzierżących wielkie przestrzenie w pobliżu świeżo powstających miast potraciło ogromne majątki, z miastami bowiem nie robią sobie wiele ceremonii w Ameryce. Zdarza się, że miasto powstaje gdzieś na pustyni i rośnie przez niejaki czas jak grzyb, potem bądź to miejsce okaże się niewygodne, bądź klimat niezdrowy, bądź wyczerpią się bogactwa naturalne okolicy i mieszkańcy niewiele myśląc pakują na wozy żony, dzieci, rupiecie i ruszają, gdzie oczy poniosą, a miasto, jeszcze wczoraj kilkutyśne, schodzi na nędzną osadę albo i całkiem marnieje.

Kto jednak zajmie ziemię nie na spekulację, ale dla uprawy, a ma przy tym jakieś takie środki, ten rzadko na niej traci. Często jaki emigrant, który całe życie klepał biedę w Europie, lub jaki rozbitek z burzy życiowej pragnący ciszy i samotności kupuje wóz, trochę inwentarza, maszyn rolniczych i sprzętów, potem zabiera żonę, dzieci i rusza na Daleki Zachód w pustynię. Wybrawszy gdzieś miejsce, które mu się najlepiej podoba, w pobliżu zwykle lasu lub rzeki, buduje dom, ogradza kawał pola i osiada. Od tej chwili ziemia, którą objął, jest już niezaprzeczoną jego własnością, i każdego, kto by się na nią targnął, czeka nie proces przed kratkami, ale kula w łeb z ręki właściciela lub, jeżeli w pobliżu znajdują się na pustyni inne osady rządzące się prawem lynchu, jeszcze straszniejszy wyrok z rąk regulatorów, czyli wykonawców tego drakońskiego prawa.

Otóż tacy osadnicy rzadko dorabiają się milionów, ale też prawie nigdy nie tracą. Jeżeli nawet nie ma komu sprzedać zboża lub bydła, to nie ma wprawdzie pieniędzy, ale po cóż pieniądze na pustyni? Jest co zjeść, jest się w co odziać, dzieci wyrastają jak dęby, a dorósłszy wylatują z gniazda i osiadają w pobliżu i tak całość życia składa się dziko trochę, stopowo, ale spokojnie, bez troski niemal o jutro, i ani się człowiek obejrzy, jak przyjdą wieczorne dni i zachód słońca-życia pogodny jak na stepie.

Często się jednak zdarza, że w pobliżu takiej osady na pustyni przybłąka się jakiś drugi osadnik, potem trzeci, dziesiąty, setny; ziemia, która przyszła każdemu za darmo, poczyną nabierać ceny, rosnącej nadzwyczaj szybko, i po kilku lub kilkunastu latach farma, która nic prócz pracy nie kosztowała właściciela, dochodzi do wartości setek tysięcy dolarów.

Owóż zdarza się różnie. Ale w stanie New York, przez który w kierunku wielkich jezior przebiegałem koleją, i w ogóle w stanach wschodnich nie ma już prawie wcale ziemi nie zajętej lub rządowej, czekającej na osadników. Każdy zatylek jest tu wiadomy i rozmiarowy, wszystko jest w rękach prywatnych, a ziemia tak z powodu swej urodzajności jak i z powodu niezmiernie ułatwionych stosunków komunikacyjnych równie droga albo i droższa jest niż wszędzie w Europie.

Gospodarstwa jednak, jak wspominałem, dalekie są od europejskich. Może być, że gdybym je był widział w lecie, wydałyby mi się lepiej i weselej, równie jak i cały krajobraz, który rozciągał się przed moimi oczyma, zawsze równie jednostajny, płaski, szary, smutny aż do samej Syrakuzy.

W Syrakuzie pociąg zatrzymał się pół godziny, dla brekfestu, czyli rannego śniadania, po czym ruszyliśmy dalej do Rochester, miasta leżącego nad samym Ontario. W miarę jak zbliżaliśmy się do Rochester, krajobraz nie zmieniał się wprawdzie, ale stawał się coraz niższy. Wielka obfitość wód na polach i lasach znamionowała bliskość jezior. Lasy miejscami zajmowały ogromne przestrzenie, ale po największej części zalane były wodą, co sprawiało złudzenie, jak gdyby drzewa wyrastały z jezior. Z okien wagonu widziałem tu i ówdzie mniejsze lub większe stada ptactwa wodnego: kaczek dzikich, cyranek i mew, które aż tu zalatują z morza. Czasem las urywał się nagle, a droga biegła niskimi łąkami porośniętymi grubą trawą, tatarakiem i zwiędłą zeszłoroczną trzcina. Farmy dość gęste, gęstsze nawet niż wsie polskie, ale otoczone kałużami, wyglądały jeszcze smutniej niż przed Syrakuzą. Miejscami czarna, uprawna ziemia wydobywała się spod topniejącego śniegu błyszcząc napełnionymi wodą bruzdami. Wiatr wiał cieplejszy; czuć było jakby pierwszy oddech wiosny w powietrzu, słaby jeszcze, ale już życiodawczy i rozpętujący wody z kajdan zimowych. W Rochester na koniec zabłysnęła nam błękitna, olbrzymia toń Ontario. Sądziłem, że znów przyjechałem nad morze i że znów oglądam te bezbrzeżne przestrzenie, na których mdleje i gubi się wzrok. Droga idzie ciągle brzegiem, miejscami nawet tak blisko, że woda obmywa stopy kolejowego nasypu. Patrzącemu przez okno wagonu wydaje się wówczas, że pociąg biegnie po jeziorze. Od czasu do czasu na błękitnym tle wody i nieba bieleje żagiel; czasem z daleka, z daleka ukazuje się szara wstążeczka dymu wychodząca z paszczy niewidzialnego dla oka parowca. Miejscami brzeg oddala się od grobli i wchodzi płaskim obrębem w jezioro. Na obrębach stoją zwykle tuż nad wodą domki, po brzegach zaś kołyszą się poprzywiązywane do pali łodzie, szarpiąc niecierpliwie za sznury, jakby chciały urwać się i uciec na dalekie tonie. Sieci porozwieszane przed domami lśnią jeszcze wilgocią; pod sieciami leżą kupy zielska wodnego; dochodzi nas zapach łuski rybiej i tataraku. Stada ptactwa pławią się w powietrzu, to nikonąc, to czerniąc się na kształt krzyżyków pozawieszanych w błękicie.

W ten sposób dojechaliśmy do Suspension Bridge, gdzie zatrzymaliśmy się dla obejrzenia Niagary i sławnych jej wodospadów. Pociąg ruszył dalej; rzeczy nasze powędrowały w kierunku Huron, my zaś wraz z jakimś młodym Anglikiem, którego nazwiska nie pamiętam, najęliśmy konie i ruszyliśmy przez most do wodospadów. Most ten oddziela Stany Zjednoczone od Kanady; na jednej więc jego stronie znajduje się komora amerykańska, na drugiej – angielska.

ska; ponieważ zaś wielki wodospad ze strony amerykańskiej jest nieprzystępny, trzeba więc przejechać w posiadłości królowej Wiktorii. Jadąc już przez most można widzieć całą szerokość obydwóch wodospadów, jednakże bądź to z powodu mglistego i dżdżystego czasu, bądź to z powodu siły, z jaką woda rozbryzguje się spadając z takiej wysokości, widziałem tylko jakby olbrzymią chmurę mgły wznoszącą się z przepaści ku niebu. Ale Straszliwy huk wydobywający się spoza tej mgły zwiastował doskonale, co się dzieje poza jej białawą zasłoną.

Przejechawszy most stanęliśmy wreszcie przed szeregiem domów stojących na wysokim niezmiernie brzegu, tuż koło wodospadu. Wtedy mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Rzeczywiście, widok to, na wspomnienie którego mdleje i zwija skrzydła wyobraźnia, a pióro wypada z ręki. Olbrzymia masa wód jeziora Erie spływając potężną gardzielą ku Ontario traci nagle grunt pod sobą i spada w dwóch miejscach w otchłań. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że ziemia nie wytrzyma tego ciężaru i uderzenia wód rozszalałych i dzikich, które same wydają się być przerażone. Jest w tym wszystkim jakieś przedpotopowe barbarzyństwo, jakaś niepojęta siła, a zarazem i okropność nie spotykana nigdzie, bijąca w oczy jakby straszliwym gwałtem zadawanym naturze. Mimo woli przychodzi ci na myśl, że stało się tu coś okropnego, że to jakiś kataklizm natury, i nie możesz oswoić się z myślą, że ten kataklizm nie kończy i nie skończy się nigdy. Niebo tu pochmurne i poszarpane. Gnane wichrem obłoki zbiegają się i rozbiegają jak stada dzikich koni. Naokoło czarne, ponure skały połupane w demoniczne zręby. Huk wody ogłusza cię. Ostry wiatr tnie kroplami wodnymi po twarzy. Czasem mgła wybucha nagle u stóp wodospadu i zasłania oku wszystko; to znów niknie, a wtedy widzisz kłęby piany i cały wodospad jak na dłoni.

Chwile te jednak trwają krótko. Zwykle mgła, piana, woda i powietrze, zmieszane ze sobą, tworzą taki chaos, że gubisz w nim wzrok i słuch, a nareszcie i świadomość, co się dzieje z tobą samym. Zdaje ci się, że się tu wszystko wściekło. Po pięciu minutach podróżnik czuje się zmęczony, a na czoło występują mu krople potu, które mrozi lodowaty oddech otchłani. Pragnie zawołać: „Dosyć już!” – a tam wodospad huczy i huczy, przepaść całą szerokością gardła wypływa pianę, słychać jakby jakieś jęki, jakby głosy wołające o zmiłowanie, to znów niby śmiechy przechodzące nagle w ryk wściekłości; rzekłbyś, że to całe piekło rozpetane gzi się w straszliwej orgii wśród chaosu...

Takie wrażenie, a raczej takie przez pół tylko świadome siebie poczucie wywołuje Niagara. Jest w tym poczuciu pewien ucisk, ale jest i rozkosz, jaką sprawia zawsze zapamiętanie się chwilowe, zapomnienie o życiu i oddanie się całkowite naturze. Więc też przezwyciężywszy pierwszy nieład pogiębionych myśli trudno potem oczu oderwać od tego widoku. Otchłań poczyna nęcić i wabić. Jakaś nieprzewyciężona siła ciągnie widza nad sam brzeg przepaści; chciałby ją mieć tuż, tuż pod stopami, nie oddzieloną nawet całem stałego gruntu. Chciałby pochylić się i zawisnąć, choćby przez chwilę, między życiem a śmiercią. A tam na dnie potworne skręty spienionej wody zdają się otwierać na przyjęcie topielca, to znów bryzgi wyciągają się na kształt ramion gotowych objąć i porwać. Przepaść mówi: „Pójdź!” – ale po chwili instynkt odpowiada jej: „Dobrze, ale z wszelkimi ostrożnościami!”

Jakoż „z wszelkimi ostrożnościami” można zejść na dół pod kaskadę, woda bowiem spada z taką siłą i pędem, że wygina się i tworzy łuk, między stroną wklęsłą którego a skałą znajduje się miejsce wolne, zavalone tylko pianą i lodami. Żeby jednak tam dostać się, trzeba naprzód przebrać się odpowiednio; dlatego udaliśmy się do domku przewodnika-Murzyna, który wynajmuje sobie i swoje kostiumy. W chacie Murzyna zastaliśmy już jakąś parę angielską robiącą również wodospadową toaletę. Stara, brzydka i chuda miss, przybrana w obrzydliwy płaszcz i kaptur z pęcherzów rybich, spod którego widać było jej koniec nosa i złote okulary, wyglądała jak strach na wróble. My ubraliśmy się w podobne płaszcze i kaptury i wreszcie ruszyliśmy całą karawaną. Po chwili Murzyn wprowadził nas do małego, drewnianego budynku, w którego podłodze czerniał otwór, w otworze zaś schody. Zimno bijące z lodów leżących między skałą i wodospadem i ciemność ogarnęły nas zaraz na wstępie.

Brzydkie Murzynisko, podobniejsze do goryla niż do człowieka, szło naprzód, wołając od czasu do czasu: „Ho! ho!” dla wskazania nam drogi w ciemnościach.

Na koniec, po kilkudziesięciu schodach, blade światło idące z dołu uderzyło o nasze oczy. Weszliśmy do małej sionki, z której wyjście wiodło prosto pod wodospad, ale przewodnik zawołał: „Stop!” i począł przywiązywać do butów naszych podeszwy podbite ostrymi, żelaznymi gwoździami. Angielska miss zdawała się uznawać to jako cokolwiek shocking, ale na koniec dała się nakłonić i spuściwszy oczy czy też okulary wyciągnęła, skromnie do Murzyna nogę, a raczej szpadę mającą kilka cali szerokości, ale za to koło jednego łokcia długości. Potem weszliśmy pod wodospad.

Nie wiem dlaczego, wewnątrz huk wydaje się mniejszy jak zewnątrz; szarawe światło dzienne wnika przez zasłonę wody napełniając całą jaskinię ponurym jakimś półmrokiem, półblaskiem. Skala stanowiąca tylną ścianę czarna, popękana; grunt złożony z wielkich złamów lodu; wszędzie dziko i pogrzebowo. Wąskie wstążeczki wody oderwane od ogólnego wodospadu spadają z szelestem na lody; powietrze przesiąknięte jest mgłą i kroplami; wiatr, który nie wiem jak się tu dostaje, dmie jakby w kuźni diabelskiej; zimno przenika przez pęcherzowe płaszcze i paletoty. Mimo mniejszego huku niepodobna się usłyszeć i zrozumieć. Po ogromnych i śliskich jak szkło bryłach lodu zbliżyłem się tuż do wodospadu, albowiem ostre kolce moich butów usuwały wszelkie niebezpieczeństwo. Przewodnik zaczął coś wołać, ale widziałem tylko jego gesta i poruszenia ust, głos zaś ginął wśród ryku.

Nic piękniejszego jak wodospad widziany od wewnątrz z dołu. Kiedym spojrzał w górę, zasłona wód wydawała mi się nieruchomą, niby jedną ogromną szybą lodową, i gdyby nie wrzenie u dołu, sądziłbym, że istotnie zamarzła. Ale kłęby piany, które od czasu do czasu dostawały się z zewnątrz, rozpraszały wszelkie złudzenie. Potem spojrzałem na dół. Jakaż to niezgłębioną przepaść musiały wybić w ziemi te wody spadające od wieków z takim impetem! Wszystko tam na dole wre, kipi, rozbija się, burzy, słowem: istne piekło wodne. Cofnąwszy się z lodowatego krańca odetchnąłem głęboko, jakby po nadmiernej pracy. Wnętrze jaskini wydało mi się spokojne. Małe wstążeczki przeciekającej wody rozbijały się w brylantowe krople o lodowiska, z wdziękiem i łagodnością stanowiącą prawdziwe przeciwstawienie temu sabbatowi ryczącemu o kilkanaście kroków dalej. Oczy me tak dalece już oswoiły się z półmrokiem, że widziałem dokładnie każdy złam i każdą szparę czarnej skały, również jak i kępki mchu lśniącego wilgocią w szczelinach.

Czas było wracać, bo zimno i wilgoć stawały się coraz dotkliwsze, ale tymczasem nasi Anglicy opóźnili powrót pakując do wszystkich kieszeni ułamki skały. Sądzę, że gdyby mogli, schowaliby do kieszeni całą Niagarę, aby ją przenieść do British Museum, tak jak to zrobili z Akropolem greckim. Wyszliśmy wreszcie. Przez drogę towarzysz mój począł się kłócić z młodym Anglikiem, który dowodził koniecznie, że wodospad leży w Anglii, ponieważ Kanada jest Anglią; a kiedy wreszcie powiedzieliśmy mu, że Anglia ustępując niedawno prawa rybołówstwa na jeziorach Amerykanom zrzeka się niejako przez to prawa do jezior – umilkł, zły widocznie czy rozgniewany, nie wiem, czy na Jankesów, czy na nas. Wyszędłszy na zewnątrz jamy, na powierzchnię ziemi, nie ujrzeliśmy znów wcale wodospadu, wszystko bowiem zasłaniał białawy tuman mgły, którym było przesiąknięte całe powietrze. Zwiedziliśmy jeszcze domy leżące nad brzegiem. W jednym z nich jest muzeum zawierające niezbyt osobliwe zresztą osobliwości Niagary, jako to: muszle, skamieniałości, kości zwierząt porwanych przez pęd wody, fotografie okolicznych widoków i tym podobne. W rzeczywistości domy te są to pułapki na podróżnych, którym sprzedają tu na wagę złota rozmaite niby pamiątkowe drobiazgi. Na dobitkę sprzedaje je młoda i tak ładna miss, że prawie niepodobna oprzeć się pokusie; każdy więc kupuje zwykle dziesięć razy więcej, niż zamierzał. Potem prowadzą jeszcze podróżnych na górę muzeum, gdzie jest mała wieżyczka stanowiąca rodzaj obserwatorium, z którego widać jak na dłoni całą okolicę. Ściany i balustrada wieżyczki pokryte są tysiącami napisów w języku angielskim, francuskim, włoskim etc. Widziałem także napisy

polskie i rosyjskie, każdy bowiem uważa sobie za obowiązek zostawić tu swoje nazwisko, również jak i datę odwiedzin.

Co do mnie, jako dobry kolega, przekazałem wiekopomnej nieśmiertelności na ścianie nie tylko swoje nazwisko, ale i wszystkich znajomych, jakich na razie mogłem sobie przypomnieć, wszystkich kuzynek, kuzynów, a nawet ich potomstwa. Młody Anglik obok swego imienia: Henry, wpisał jeszcze imię Mary, po czym, otoczywszy wszystko nader skomplikowanym zakrętasem, oddalił się o kilka kroków, przypatrując się z zadowoleniem swemu dziełu. Potem zeszedliśmy na dół, gdzie nas porwano, posadzono na pniu i odfotografowano w ciągu pięciu minut wraz z naszymi pęcherzowymi kostiumami, za co kazano sobie dobrze zapłacić. Tymczasem ściemniło się. Wodospad obwijał się coraz bardziej nieprzeniknioną zasłoną mgły; począł zacinać drobny deszczyk. Siedliśmy i pojechaliśmy na powrót do Suspension Bridge. Na końcu mostu wpadli na nas celnicy amerykańscy wymagając oclenia wszystkich zakupionych rupieci. Ale dolar wsunięty w rękę naczelnika komory uspokoił jego republikańską troskliwość o dochody Stanów Zjednoczonych i ruszyliśmy dalej w spokoju. W Suspension Bridge rzuciliśmy ostatnie spojrzenia na wodospady, które raczej już tylko słyszeć niż widzieć się dawały. Pociąg amerykański nadszedł wkrótce i ruszył przez Kanadę w sam kąt zachodni Ontario, do Hamilton, skąd ciągle Kanadą jechaliśmy na całą noc do Detroit, nad samym brzegiem Erie.

Kraj podnosił się bardzo nieznacznie, ale ciągle, Erie bowiem leży o sto kilkadziesiąt stóp wyżej nad Ontario. Niagara jest właśnie tylko zlewem wód Erie do Ontario, który to zlew, trafiwszy na skałę uciętą nagle, tworzy wodospad. Od Ontario znów grunt zniża się lekką pochyłością aż do Oceanu, z którym jeziora łączą się przez wspaniałą, najszerszą może na świecie rzekę Świętego Wawrzyńca.

Rankiem nazajutrz przybyliśmy do Detroit, miasta leżącego w Michiganie, niedaleko Erie, nad rzeką łączącą wody Huronu z Erie. O tym Detroit wiedziałem z geografii tylko, że istnieje, więcej nic. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy wyszedłszy z dworca na ulicę, ujrzałem miasto ogromne, niezmiernie schludne i tak piękne, jakiego dotąd nie widziałem w Ameryce. Godzina była ranna, więc wszystko spało jeszcze. Szliśmy wielką ulicą, pełną kościołów, jak się zdaje, katolickich. Po obu stronach ulicy stały nie zwykle z czerwonej cegły domy, ale śliczne pałacyki oddzielone od ulicy złożonymi sztachetami. Za sztachetami widać było klomby zieleniących się już kwiatów, jodły i ciemnozielone piramidalne świerki, między którymi odbijały wdzięczne białe ściany i umalowane różową zorzą wielkie szyby pałaczków. Gdzieś przed domami Murzyni robili porządek śpiewając z cicha i paląc fajki. Wyszliśmy na obszerny plac stanowiący rynek miejski. Na środku jego wznosił się piękny posąg któregoś z generałów ostatniej wojny z Południem. Naokoło zwykle już kamienice, ale wspaniałe i ozdobne, z ogromnymi sklepami, których okiennice nie były pozamykane. Rynek wrzał już życiem. Wozy zaprzężone mułami hurkotały po bruku wioząc warzywo. Wróciliśmy wreszcie na dworzec. Pociąg odchodził za pół godziny; mieliśmy więc jeszcze czas zjeść śniadanie, na które dano nam bardzo dobrą zupę ze ślimaków gotowanych na mleku. Do śniadania usługiwał nam Metys. Pierwszy to raz widziałem człowieka, w którego żyłach płynęła krew indyjska. Był to dżentelmen dobrego wzrostu, o czerwonej skórze, grubych, prostych włosach, tak czarnych, że przechodziły aż w kolor błękitny, i dobrotliwej twarzy. Czoło miał wąskie, kości policzkowe trochę wystające, zresztą rysy dość regularne, przypominające twarze naszych druciarzy. Za każdym wydanym mu zleceniem powtarzał z powagą: „Yes, sir!”, i usługiwał równie zręcznie, jak szybko. Kiedy po śniadaniu wsunąłem mu, sprzecznym ze zwyczajami amerykańskimi, w rękę napiwek, spojrzał nań, potem zawoławszy: „O! yes, sir!” uśmiechnął się uradowany i z własnej ochoty zaniósł nam futra i podróżne torby do wagonu.

Ruszyliśmy przez stan Michigan ku jezioru tegoż nazwiska, nad którego południowo-zachodnim krańcem leży Chicago. Kraj, przez który przejeżdżałem, niezmiernie podobny do Prus polskich. Mnóstwo większych i mniejszych jezior, rzek, strumieni, nadzwyczajna obfi-

tość wód; słowem: wszędzie widać, że jest to jedno wielkie pojezierze, ponad którym przed wielu laty szumiały fale. Lasy wszędzie dość wielkie. Bliskość wielkich zbiorów wody działa widocznie ocieplająco na klimat, bo śniegu nie widzieliśmy prawie nigdzie, drzewa po lasach wypuszczały pędy wiosenne, a trawa zieleniła się na niskich łąkach. Od czasu do czasu zapuszczałem wzrok w głąb kraju, ciekawy, czy nie ujrzę gdzie czerwonoskórych, których liczne pokolenia żyły niedawno jeszcze koło jeziora, a jedno z nich zostawiło w nazwie Huron wieczną po sobie pamiątkę; ale znikły nawet ich ślady. Nie ma ich nie tylko w Michigan, ale w sąsiednim Ohajo (Ohio), Indianie i Illinois. Indianin, dzik, niedźwiedź, kujota i jaguar ustępują coraz dalej i dalej na zachód przed białymi lub giną w rozpaczliwej z nimi walce.

We dwadzieścia cztery godzin po wyjeździe z Detroit przybyliśmy wreszcie do Chicago. Ogromne to miasto leży na południowo-zachodnim brzegu jeziora Michigan i stanowi port dla wszystkich statków krążących między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi. Przed kilku zaledwie laty zostało prawie zupełnie zniszczone przez pożar; odbudowywa się jednak na nowo z niepojętą szybkością. Wszelako tu i ówdzie widać jeszcze ślady pożogi. Gdy przyjechalismy, zapadł wieczór; mimo to natychmiast wyszedłem z hotelu na ulicę. Po rozczarowaniu, jakiego doznałem w New Yorku, po brudach i nieładzie osławionego „Empire City”, Chicago robi wrażenie i przyjemne, i majestatyczne. Miasto imponuje. Ulice nadzwyczaj szerokie, domy wszędzie ogromne, poważne, budowane i urządzone z przepychem; chodniki, wysoko wzniesione nad poziom ulicy, zadziwiają szerokością i ogromem płyt kamiennych, z których zostały ułożone. Słowem: wszystko tu ogromne; rzekłbyś: miasto zbudowane przez olbrzymów i dla olbrzymów. Ma ono swoje cechy oryginalne. Znać, że jest nowe, budowane według najnowszych wymagań. Czytałem kiedyś opis fantastyczny miast, tak jak one będą wyglądać w wieku XX. Otóż Chicago przypominało mi ten opis. Wszystko tu prawidłowe, prostopadłe, prostokątne, wszystko pod sznur; wszędzie nie znane jeszcze gdzie indziej ulepszenia. Po wszystkich ulicach krzyżują się szeregi słupów telegraficznych o ogromnej ilości drutów. Na sznurach, również drucianych, poprzeciąganych między domami w poprzek ulicy, wiszą szyldy z różnymi napisami. W mroku wieczornym, który nie dozwalał dojrzeć drutów, szyldy owe wydawały się jak gdyby zawieszane w powietrzu. Spojrzawszy w głąb ulicy widzisz ich całe szeregi większych i mniejszych, o rozmaitych barwach; rzekłbyś: miasto przystroiło się chorągwiami, jakby na jaką uroczystość.

Na chodnikach ruch ogromny. Tłumy ludzi białych i kolorowych biegną w rozmaite strony z tym czysto amerykańskim pośpiechem oznaczającym zacierzowanie się handlowe; środkiem ulicy ciągnie mnóstwo powozów i fiaków, słychać dzwonki tramwajów, nawoływania woźniców; wszędzie ścisk i wrzawa, zdradzająca wielką bujność życia tego młodego miasta. Wieczór wreszcie zapadł zupełny, ale widno było jak w dzień od tysiącznych płomieni gazowych. Wystawy olbrzymich sklepów płonęły jakby istne ogniska. Wybrawszy pierwszą lepszą ulicę szedłem, gdzie mnie oczy poniosą. W niektórych miejscach szeregi domów przerywały się nagle, a natomiast widać było puste place pokryte okruchami cegły i rumowiskiem, oznakami niedawnego pożaru. Miejskami zdawało się, że tu zakładają nowe jakieś olbrzymie miasto. Jakem okiem mógł dojrzeć rusztowania i rusztowania, nie wykończone domy spoglądające pustymi jamami okien, wszędzie mury spiętrzone jedne nad drugimi, stopy cegły i wapna; aż oto dalej znów ulica, już wybudowana i wykończona; słychać turkot i wrzawę ludzi, błyszczą płomienie gazowe, słowem: miasto odrodzone jak Feniks z popiołów.

Co przede wszystkim uderza w tych miastach amerykańskich, to ich żywotność, a zarazem nieprawdopodobna niemal energia mieszkańców. Przyszedł pożar, niesłychany w nowszych czasach: miasto spłonęło jak nabój prochu; mieszkańcy rozproszyli się, handel upadł, przemysł również; majątki poszły w ruinę, ludzie, bez dachu, chleba.. Potem upłynęło kilka lat; miasto już stoi na dawnym miejscu; czterysta tysięcy mieszkańców znajduje w nim pracę i życie; wznoszą się domy, pałace, kościoły, fabryki, hotele, sklepy; kwitnie zamożność, wre ruch, praca i życie; za kilka jeszcze lat już i śladów pożogi nie będzie – a spali się miasto

jeszcze raz, to i odbudują go jeszcze raz, jeszcze dwa i dziesięć razy, bo energia tych ludzi przewycięża wszelkie nieszczęścia i wszelkie wypadki.

Nadzwyczajny swój wzrost zawdzięcza jednak Chicago prócz energii mieszkańców jeszcze i przepysznemu położeniu handlowemu. Leżąc nad Michiganem ta królowa jezior panuje nad całym systemem wód łączących Kanadę ze Stanami Zjednoczonymi. Cały handel owych mórz wewnętrznych leży bezpośrednio w jego ręku. Można rzec, że jest to port położony we wnętrzu łądów, dlatego też ciągnie jednocześnie korzyści tak z łądowego jak i z portowego swego położenia. Następnie, jako wielkie miasto, najdalej wysunięte na zachód na kolei Dwóch Oceanów, łączy New York z San Francisco, cywilizację z Dalekim Zachodem. Wschód wysyła produkta swego przemysłu, zachód produkta naturalne, Chicago zaś jest wielkim targowiskiem, gdzie się odbywa zamiana.

Idąc ulicą gdzie mnie oczy poniosą, wszedłem w dzielnice pustsze i cichsze. Potem miasto urwało się jakby ucięte, a natomiast zobaczyłem toń Michiganu. Osrebrzone światłem księżycy fale łamały się o niski bulwark, tuż pod moimi nogami. Z dala szumiał gwar miasta, a tu spokojniej było, przestronniej, powietrzniej, ciszej, tylko plusk wody, a od czasu do czasu gwizdanie dalekiego parowca przerywały uroczystą i bardzo poetyczną ciszę.

Wróciłem wreszcie do hotelu, tak zwanego Palmerhouse, gmachu zbitego z wielkich płyt marmurowych, z prawdziwie babilońskim przepychem. Wszystko kapie tu od złota, jedwabów i aksamitu. Oczy moje, nawykłe przed chwilą do pustej i mrocznej przestrzeni wód, mrużyły się pod nadmiarem światła i owego zbytku kipiącego jak bukiet piany na kielichu szampana. Ale też ten hotel to największa osobliwość Chicago. I tu, jak we wszystkich miastach Ameryki, nie masz pamiątek historycznych, zaklętych w kamień lub marmur zabytków przeszłości: kościołów, muzeów. Wszystko tu nowe, dzisiejsze; wszędzie „jutro” jest wszystkim, a „wczoraj” znaczy pustynię, odwieczne lasy i wielką ciszę pustyni.

Następnego dnia oglądaliśmy jeszcze miasto, po prawdzie jednak do poznania większości amerykańskich miast parę godzin wystarczy, niewiele więc widzieliśmy nowego. Ale dzień upłynął znowu; nazajutrz świtaniem puściliśmy się w dalszą drogę.

Illinois, przez którego północny kraniec jechaliśmy cały dzień, jest krajem uprawnym, gęsto zaludnionym, którego całą różnicę od poprzednio opisywanych stanów stanowi coraz większy brak lasów i w ogóle drzew, co okolicom smutny nadaje pozór. Po obu stronach kolei widać jednak farmy stojące jedna przy drugiej i uprawne pola.

Tak w Illinois jak i w leżącym na północ Wisconsin istnieją dosyć znaczne osady polskie¹, zamieszkałe po największej części przez chłopów zostających pod wodzą proboszczów. Osady te, mimo iż dosyć ludne, są przecież mniej więcej biedne, mieszkańcy zaś tu i ówdzie żyją z ograniczeniem wielu potrzeb i tęsknią do kraju. Przyczyną tego jest brak znajomości języka, zwyczajów i w ogóle warunków miejscowych, bo zresztą ziemia urodzajna i wielka obfitość komunikacji zapewniają osadom wszelkie warunki pomyślności i rozwoju.

Po upływie dwunastu godzin przybyliśmy na granicę Illinois i Aiowa (Jowa), do stacji, a raczej osady Clinton, leżącej tuż nad brzegiem Missisipi.

Był zachód słońca. Wspaniały, lubo niezbyt jeszcze w tym miejscu szeroki „Ojciec wód” błyszczał w olbrzymich skrętach i rozkrętach, jakby ogromna złota wstęga niknąca w dali w ciemnych lasach. Brzegi jego zarosłe dziko i malowniczo. Znać niewiele jeszcze lat upłynęło, jak biały człowiek położył swą żelazną rękę na tej okolicy. W samym Clinton drewniane domy jeszcze nie szerniały od słońca i od wiatru. Osada to jakby wczoraj dopiero założona; nieliczne domy stoją na czarnym błocie; tu i ówdzie świecą wielkie kałuże. Stosy wiórów leżą jeszcze przed domami. Dalej widać nowo rozpoczęte budynki, kupy desek i pni wyciętych w nadbrzeżnych lasach. W niektórych pniach sterczą krzywe pionierskie siekiery; wszędzie nieład i nieporządek, jak to zwyczajnie w osadzie, która się dopiero wznosi. Nieporządek ten

¹ Szczegółowe o nich wiadomości patrz w osobnym liście.

powiększa jeszcze kręcące się bydło i trzoda chlewna uwalana w czarnym błocie, podnosząca za zbliżeniem się pociągu chrapliwe nozdrza z kałuży. Pierwsza to osada, w której znać życie czysto pionierskie, ile kto wie, czy za lat kilka nie zmieni się w znaczne miasto, czemu położenie na przecięciu się wielkiej kolei z Missisipi bardzo sprzyjać się zdaje.

Na wodach „Wielkiego ojca” wszędzie widać ruch ogromny. Widziałem galary, komięgi i szuhaleje, obładowane rozmaitym towarem, splawianym prawdopodobnie do St. Louis, a może i dalej. Flisacy i majtkowie tych statków, przybrani we flanelowe koszule i w obdarte kapelusze, silni, wysocy, przedstawiają doskonały typ Amerykanów kresowych, żyjących na pograniczu cywilizacji i pustyni, o których tyle zdarzyło mi się czytać w powieściach Coopera, Bret-Harta i innych. Ich zarośnięte podgardla, energiczne twarze, rewolwery sterczące w tylnej kieszeni spodni – wszystko to nadaje im pozór jakiś istotnie powieściowy, romantyczny i na wpół rozbójniczy. Płyną po największej części z Wisconsin albo z dorzeczy „Wielkiego ojca” wód, po brzegach których życie jest jeszcze dzikie i stepowe. Znać też po nich to życie: piją dużo i biją się o lada co, namiętności ich niepohamowane wybuchają za lada powodem; ale zresztą są to ludzie uczciwi i sprawiedliwi, lubo sprawiedliwość ich w stosowaniu prawa do innych na okrucieństwo czasem zakrawa.

Jowa jednak należy już do stanów ucywilizowanych, a Wielki Zachód właściwie rozpoczyna się dopiero za Missouri, od dość dużego miasta Omaha, przez które także przechodzi kolej Dwóch Oceanów. Nie chcąc jednak uprzedzać geografii w opowiadaniu, wracam do Clinton. Po półgodzinnym przystanku pociąg wyrusza dalej. Droga idzie teraz krajem zupełnie bezleśnym i podnosi się ciągle, zbliżamy się bowiem do olbrzymiego płaskowzgórza obejmującego cały środek Stanów Zjednoczonych, a stanowiącego stepy, czyli tak zwane tu prerie. Po obu stronach drogi mkną jeszcze farmy, ale już rzadsze niż w Illinois. Miejscami przy świetle księżyca widzę pola obsiane kukurydzą, której wysokie łodygi, czarne, zwiędłe i smutne, sterczą jeszcze od przeszłego lata. W miarę jak pędzimy na zachód, kraj staje się coraz pustszy. Jowa, lubo przecięta już kolejami na wszystkie strony, stanowi niby przedsiónek tej olbrzymiej pustyni obejmującej przestrzeń od Missouri aż do Sierra Nevada. Kraj równy wszędzie, płaski, miejscami tylko powyginany w lekkie doliny i wzgórza. Drzewa nigdzie ani śladu. Oko gubi się w oddaleniu, nie znalazłszy przedmiotu, na którym by mogło spocząć. Krańce cywilizacji znać nawet i po towarzystwie, jakie zapełnia wagony. Zamiast starannie przybranych, mniej więcej eleganckich dżentelmenów pociąg napęłnia się jakimiś brodatymi i wąsatymi postaciami w podartym odzieniu, z brudnymi węzełkami rzeczy przy sobie i z rewolwerami za pasem. Rozmowa wre głośna i burzliwa; czasem słychać kłatwy; kłęby dymu unoszą się pod sklepieniem wagonów; drzwi trzaskają, otwierane i zamykane silnymi rękami; w rozmowach słychać często powtarzające się nazwiska Sioux i Pawnis, które to nazwy oznaczają Indian zamieszkujących Nebraskę i Dakota.

Sądziłem, że im dalej na zachód, tym pociąg będzie stawał się pustszy, tymczasem ze zdziwieniem spostrzegam prawdziwe tłumy osób czekające na każdej stacji. W wagonach w końcu zrobiło się tak ciasno, iż nikt nie mógł się poruszyć. Po europejsku rzeczy biorąc, było to towarzystwo jak najgorsze. Zawsze owi brodacze z rewolwerami sterczącymi w tylnej kieszeni, ale o twarzach coraz dzikszych. Tłum ten i w ogóle cały ów ruch wydał mi się czymś niezwykłym; dlatego usłyszawszy tuż obok mojej ławki pasażera mówiącego po francusku, pytałem, co by to znaczyło. Odpowiedział mi, że wszyscy ci ludzie ciągną do Omaha, a stamtąd przez Sioux City do Czarnych Gór, gdzie świeżo odkryto kopalnię złota. Byli to więc minerowie albo raczej awanturnicy wszelkich stanów, którzy porzucili inne zajęcie dla spodziewanych bajecznych zysków w górach. Pasażer Francuz mówił mi, że mnóstwo takich partii już się udało ku Black Hills, a co dzień nadciągają jeszcze nowe. Nie brak w nich nawet kobiet z dziećmi przy piersiach, które czasem jadą same, a czasem towarzyszą mężom. Na bocznych kolejach Jowy panuje ruch podobny; słowem: we wszystkich pogranicznych stacjach słyszysz tylko okrzyk: „Black Hills! Black Hills!”

A tymczasem ten raj wymarzony niejednemu grobem się stanie, tak bowiem cały kraj wo-koło jak i Czarne Góry są własnością Siouxów, najliczniejszego z plemion indyjskich na północy, mogącego wystawić dziesięć tysięcy wojowników. Własność Czarnych Gór została im przyznana i zagwarantowana dawniej jeszcze przez rząd Stanów Zjednoczonych; dlatego to-pór wojenny długo leżał pogrzebany między czerwonymi a białymi. Ale teraz rzeczy się zmieniły. Tłumy białych awanturników nie pytając o układy rządowe rzuciły się w góry. Rząd wprawdzie w takich razach nie daje im opieki ani posyła wojsk na ich obronę, ale awanturnicy, zbrojni i przywykli do boju z Indianami, mniej jeszcze dbają o pomoc niż o układy i za-bierają, co im się podoba. Taki stan rzeczy, który zresztą w całych Stanach jest ogólny, przy-prowadził Indian do rozpacz.

Na próżno wysyłają poselstwa, które pergaminami, pieczęciami i podpisami dowodzą swej własności. Rząd nie ma siły utrzymać awanturników; co więcej, gdy kraj jest już zajęty, gdy powznoszą się farmy i miasta, rządowi nie pozostaje nic innego, jak tylko usankcjonować zbiór i doliczyć do Stanów jedno więcej terytorium. Tak dzieje się w Dakocie, w Nebrasce, w Kansas, w Indian Territory, słowem: wszędzie. Rząd wyznacza dzikim ziemię, a biali ją za-bierają i wytepiwszy Indian zakładają nowe stany. Ale wobec tego, cóż pozostaje czerwono-skórym? Oto wojna i wojna, bez nadziei zwycięstwa, tylko o śmierć. Dziś czerwoni wojowni-cy wiedzą już, że nie wytrzymają boju z „Długimi Nożami”, jak nazywają białych, idzie, więc im o to, aby nie zginąć bez zemsty i żeby na tamtym świecie złożyć u nóg „Wielkiego Ducha” jak najwięcej krwawych skalpów zdartych z głów najeźdźców. Krótko mówiąc, rasa ta dziel-na, choć dzika, ginie nieubłaganie na całej przestrzeni Stanów. Z cywilizacją, którą zresztą pod najgorszą postacią im się przedstawia, pogodzić się nie umieją i nie mogą, więc cywiliza-cja ta ściera ich z powierzchni ziemi równie nieubłaganie jak brutalnie.

Teraz przyszła kolej na Siouxów. Wojownicy ich pomalowali się ochrą i stanęli w gotowo-ści do boju, który obecnie już się rozpoczął! Gazety są przepełnione opisami dramatycznych zajść w Czarnych Górach, które to opisy, częstokroć umyślnie przesadzone, podsycają tylko nienawiść białych i zamiast odstraszać, zachęcają tylko wszystkie niespokojne duchy do szu-kania krwawych awantur i do zemsty nad czerwonoskórymi. Niektóre z tych wieści brzmią jak prawdziwe romanse. Oto na przykład słyszałem opowiadanie o pewnej pannie, pięknej jak lilia i bogatej, która wyszła za mąż, wbrew woli rodziców, za biednego emigranta. Rodzice nie dali nic, małżeństwo żyło więc w biedzie. Piękna Nelly prała białymi rączkami bieliznę, młody małżonek zaś był pedlarem, to jest nosił i sprzedawał po domach towary. Aż przyszły wieści o kopalniach w Black Hills. Niewiele myśląc młody małżonek zabrał ukochaną Nelly i puścił się w góry. Raz ze strzelbą na ramieniu oddalił się od obozowiska, aby coś upolować na wieczerzę – i więcej nie wrócił. Nelly pozostała sama, bez opieki i środków ratunku, wśród awanturników najgorszego gatunku. Szczęściem, w bliskości obozu co wieczór błyszczało ognisko traperów, to jest stepowych strzelców, którzy całe życie włączają się po preriach polu-jąc i walcząc z Indianami. Otóż pewnej nocy przy ognisku traperów zabłysła blada twarzycz-ka Nelly.

– Jestem sama, biedna i zmęczona – rzekła im. – Kochałam, ale czerwonoskórzy porwali mi tego, któregom kochała. Udaję się do was. Przyjmijcie mnie, bom samotna, i ratujcie, bom nieszczęśliwa!

Półdzikie serca starych traperów poruszyły się litością. Nie tylko przyjęli biedną Nelly, ale pokochali ją jak córkę i strzegli jak źrenicy w oku. Zaraz nazajutrz ruszyli na poszukiwanie zaginionego oblubieńca i znaleźli go w wigwamach Siouxów, schorzałego, zbitego, bliźszego śmierci niż życia, a bliźszego śmierci tym bardziej, że pal męczarni dla niego stał już przed wigwamem wodza gotowy. Traperowie nocą przyczołgali się aż tuż do namiotów i podniósł-szy okrzyk wojenny uderzyli na czerwonoskórych. Z pomocą szesnastostrzałowych karabi-nów wkrótce ułatwili się z Indianami. Oblubieniec był ocalony, ale bohaterska Nelly otrzy-mała śmiertelny postrzał w piersi z ręki uciekającego Indianina. Konającymi ustami poże-

gnała się z oblubieńcem, ze swymi „ojcami” i zmarła. Odtąd oblubieniec przestał już złoto kopać, traperowie porzucili myślistwo i całe swe życie poświęcili tylko zemście. Wielu już indyjskich obozowisk popioły wiatr rozwiały, wielu wojowników poszło polować na niebieskie stopy do „Wielkiego Ducha”, wiele zginęło skwawów i dzieci, ale mściwi traperowie nie porzucili jeszcze krwawego dzieła i dotąd nocami krążą na kształt wilków lub złych duchów koło indyjskich wigwamów.

Taka jest historia Nelly, godna pióra Coopera lub Gabryela Ferry. Niezawodnie prawdy w niej niewiele, a może i nic wcale; to tylko pewna, że na owe gorączkowe stosunki, wśród których miała wykwitnąć, patrzyłem własnymi oczyma. W wagonach pędzących do Omaha, a stamtąd przez Sioux City do Czarnych Gór nie brakowało nawet i dobrych myśliwców, o jakich wspomina historia Nelly. Kilku z nich siedziało spokojnie w smoking-waggonie kurząc fajki lub drzemiąc. Ubrani byli w futrzane czapki, w pasy ze skóry bawolej i w futrzane kaptany. Obok jakiś długowłosey gambuzino wygrywał na gitarze. Chwilami zdawało mi się, że śnię lub czytam powieść. Nagle jednak jeden z moich zmysłów, podrażniony w okropny sposób, przekonał mnie, że wszystko to jest najregularniejszą rzeczywistością.

Było to jeszcze w Jowa, ale już na zachodnim jej krańcu i pośród nocy. Wjechaliśmy w okolicę skunksów i czy to pociąg przejechał jedno z tych zwierzątek, czy też znajdowało się ich mnóstwo w pobliżu, dość że tak okropny zapach nappełnił wagony, iż prawie niepodobna było oddychać. Osłoniwszy nosy chustkami, czuliśmy tę obrzydliwą woń nawet w ustach. Próbowałem otworzyć okno: było to jeszcze gorzej. Chciałem przynajmniej wynagrodzić sobie przykrość widokiem zwierzątek, ale przez okno wagonu widziałem tylko step porosły wrzosem i oblany światłem księżyca, zresztą ani żywej duszy. Francuz mówił mi, że na najbliższej stacji zapewne je mają, żywe lub przynajmniej skóry, że zatem będę je mógł widzieć. Stąd wpadliśmy na rozmowę o tych zwierzętach. Skunks, a raczej dość brzydki nazywany po polsku: śmierdziel amerykański, jest to dość duże, mające około jednej stopy długości zwierzę drapieżne z rodzaju kun. Żywi się ptakami, jajami oraz niszczy mnóstwo szczurów, chomików, ziemnych wiewiórek i świstaków, czyli stepowych piesków, z którego to względu jest nawet pożyteczny, zwierzątko te bowiem robią ogromne szkody w polach. Niektóre gatunki, a mianowicie tak zwany czarny skunks, dostarcza dość drogich i pięknych futer, które dobrze są znane w Warszawie. Ale skunksy z Jowy są łaciaste, białe z czarnym lub nakrapiane białą na grzbiecie, pod brzuchem zaś i na piersiach zupełnie białe.

Z przyczyny tej pstrocinny skóry są na nic nieprzydatne, nikt więc na nie nie poluje i dlatego mnożą się, jak im się samym podoba. Między zwierzętami nie mają groźnych nieprzyjaciół, a raczej mają doskonałą broń przeciw najgroźniejszemu w owym okropnym zapachu i w łatwości, z jaką zatruwają nim przy każdym silniejszym wzruszeniu powietrza. Francuz, który dobrze znał zwyczaje indyjskie, spędził bowiem między czerwonymi czas dość długi, zapewniał mnie, że Indianie jednakże jedzą je z wielkim apetytem. Z początku nie chciałem temu wierzyć, teraz jednak przekonałem się, że tak Indianie, jak Chińczycy jedzą wszystko, co tylko jest dość miękkie, żeby się dało pogryźć.

Po pół godziny drogi przejechaliśmy wreszcie tę zapowietrzoną okolicę skunksów. Przez okna wagonu wpływało czyste, chłodne stepowe powietrze. Aż też i noc poczęła blednąć. Na wschodnim krańcu nieba pojawił się biały pasek przedświt. Nie był on jeszcze świetny ani złoty, ani różowy, ale już zdawało się mówić stepom i niebu: „Fiat lux!” Wszedłem na platformę wygonu. Długa, smutna droga kolei, ginąca w oddali z szeregiem słupów telegraficznych w kształcie krzyżów, coraz więcej i więcej wychylała się z cienia. Zresztą brzasku nie witały tu ani głosy ptaszków, ani szmer liści błyszczących od rosy porannej. Okolica tu martwa, pusta, bez drzew i wody. Ciszę przerywał tylko gorączkowy oddech lokomotywy, która zdawała się pożerać przestrzeń z jakąś zawziętością i gniewem. Długo jeszcze wpatrywałem się w drogę, którą wychyliwszy się z wagonu mogłem widzieć doskonale aż do krańców horyzontu. Nic smutniejszego jak taka droga na stepie. Do słupów telegraficznych przybijają tu

u góry poprzeczne ramię dla dzwonek, co, jak wspomniałem, słupom nadaje kształt krzyżów. Otóż spojrzawszy naprzód, widzisz tylko szarą, nieskończoną równinę, porośłą wrzosem, przytrzaśniętą miejscami śniegiem, a na równinie krzyże i krzyże, jak okiem dojrzysz, całe szeregi smutne, cmentarne – i nic więcej prócz tych krzyżów, które zdają się być szlakiem wiodącym w krainę śmierci lub mogiłnikami na grobach wędrowców.

Bo też i są nagrobkami: Stoją one na mogiłkach pierwotnych dzieci tej ziemi. Gdzie tylko taki krzyż się pojawi, tam giną ludy, lasy, bizona, ginie dziewiczość ziemi, a wczorajsza wielka cisza zmienia się w gwar handlujących, kupujących, oszukujących i oszukiwanych. Na grobach Indian uczony profesor wyklada prawo narodów; w legowisku lisa zakłada kancelarię adwokat; tam, gdzie wilk mieszkał, duchowny pasie owieczki – i hejże ha! owa ludzka gonitwa za wszystkim, co wydaje się szczęściem, gonitwa tak skuteczna, jak psa za własnym ogonem.

Ale nim te wszystkie Schopenhauerowskie i Hartmanowskie myśli przeszły mi przez głowę, zrobił się dzień prawie zupełny. Światło w wagonach stawało się coraz więcej różowe, aż wreszcie omdlało zupełnie. Zbójckie twarze awanturników wydawały się blade i pomęczone; tymczasem pociąg stanął: dojechaliśmy do Ketchum, małej stacji leżącej na skraju Jowy, niedaleko od Omaha.

I tu czekały nowe tłumy awanturników, tak że musiano przyprzezać wagony, co zabrało sporo czasu. Była to dla mnie prawdziwa radość połączona z niespodzianką, w Ketchum bowiem ujrzałem po raz pierwszy dzikich Indian.

Wysiadłszy z wagonu, natychmiast dostrzegłem o kilkanaście kroków od stacji sporą kupkę ludzi tworzących koło i przypatrujących się czemuś z ciekawością. Spytałem, co by to miało znaczyć? Odpowiedziano mi, że jest to poselstwo Siouxów jadące na wschód do Granta lub, co prawdopodobniej, do gubernatora Jowy, lub na koniec jakiegoś generała, głównodowodzącego wojskami koło Black Hills. Inni twierdzili, że są to Indianie wezwani na wystawę do Filadelfii. Wyszukałem mego Francuza, który umiał po angielsku, po siouxowsku, słowem: Bóg wie po jakim, i obaj pobiegliśmy natychmiast do Indian. Sześciu wojowników, niemłodych już, siedziało w kuczki koło ogniska ułożonego z suchych wrzosów. Ubrani byli po trochu w skóry, a po trochu w lichą odzież europejską lub w derki z literami U.S. (United States), które rozdaje im rząd Stanów. Niektórzy mieli włosy rozpuszczone, równe, proste, czarne i twarde; inni pozatykali w nie pióra i kawałki wstążek lub innych jaskrawych materii. Po największej części byli uzbrojeni w kentuckie rajfle, wszyscy zaś mieli małe siekiery zwane przez nich tomahawkami i większe lub mniejsze noże. U pasa niektórych wisały skalpy, to jest włosy zdarte wraz ze skórą z głów nieprzyjaciół; włosami tymi były także ozdobione szwy ich ubioru. Siedzieli spokojnie, nieruchomie i milcząco, zupełnie jakby brązowe posągi. Tłumy otaczające ich były w ogóle usposobione nader nieprzyjaźnie; ciągle można było słyszeć: „Goddam you! Pest on you!” – i inne narodowe przekleństwa. Ale właśnie od tej niesforności białych dziwnie odbijał się spokój czerwonych wojowników. Nie patrzyli na nikogo, nie dziwili się niczemu; twarze ich były spokojne, jakby pogrążone w zamyśleniu, wyraz zaś oczu do najwyższego stopnia obojętny, powiem nawet: apatyczny.

Jednakże Indianie mają tak gwałtowne namiętności, jak wszystkie dzieci przyrody; ale wedle wyobrażeń indyjskich niewiasta tylko lub lichy i niegodny tej nazwy mężczyzna okazuje, co się dzieje w ich duszy. Prawdziwy wojownik umie panować nad sobą; podczas gdy w duszy jego wre zwierzęca wściekłość, umie spoglądać na swą ofiarę owym spokojnym wzrokiem, od którego krew krzepnie w żyłach. Nawzajem, gdy nieprzyjaciele schwytawszy go przywiążą do pala męczarni, wówczas nie wydaje bólu najmniejszym drgnieniem muskułu; przeciwnie: powinien wówczas podniecać ich wściekłość obelgami i wspomnieniem krwawych krzywd, które im w życiu uczynił.

Takie są wyobrażenia indyjskie. Oczywiście, istnieje zapewne bardzo mało wojowników, którzy mają dość siły woli, aby w danym razie odpowiedzieć godnie powyższemu ideałowi. O

Siouxach mówią nawet, że nie są tak waleczni, jak Apaches i Comanches, mieszkający na Południu². Bądź co bądź jednak i oni starają się zastosować przynajmniej pozory owego stoicyzmu stanowiącego dziwną i przedziwną cechę tej rasy na wespół dzikiej jeszcze, która jednak wytworzyła pewne pojęcia i wyobrażenia, właściwe tylko ludom bardzo wysoko rozwiniętym umysłowo.

Z tym wszystkim jednak wojownicy Siouków nie odpowiedzieli zupełnie temu ideałowi Indianina, jaki wyrobiłem sobie czytając powieści Coopera, Bellemarre'a i Sp. Po bliższym przyjrzeniu się im wyglądali obdarto, nadzwyczaj brudno i niechlujnie. Wydawali przy tym zapach mało co lepszy od skunksów, który jednak, szczęściem, łagodzony był przez dym palących się wrzosów. Gdyśmy zasiedli wraz z Francuzem bez wszelkich powitań i ceremonii przy ognisku, twarze wojowników pozostały równie nieruchome; nie obdarowali nas ani jednym spojrzeniem. Gdy jednak wydobyłem sporą paczkę cygar i czekolady i gdy Francuz oświadczył (co mi wytłumaczył później), iż młody wojownik z Północy, który należy do innego pokolenia białych, przyjaznego czerwonym, przychodzi zawrzeć znajomość z czerwonymi braćmi i składa im podarki – stoicyzm wojowników zniknął jak mgła. Twarze ich i oczy pozostały wprawdzie równie nieruchome, ale ozwało się przygłuszone chrapliwe „halo!”, ogromne brązowe łapy wyciągnęły się łapczywie w kierunku podarków i tak czekolada, jak i cygara znikły natychmiast w paszczach moich nowych sprzymierzeńców. Przez chwilę słychać było tylko chrupotanie nieszczęsnych tabliczek czekolady ofiarowanych mi przez piękne rączki jeszcze w Warszawie, potem nastąpiła uroczyście cisza.

Teraz już lody były złamane. Mogłem rozmawiać do woli, ale nim zdążyłem spytać o imiona braci moich i skomponować jakieś efektowne dla siebie, lokomotywa zagwizdała i trzeba było wracać. Francuz jednak zdążył dowiedzieć się, że ogromne śniegi spadły na wysokich stepach i że zapewne „wielkie wozy białych” będą musiały się zatrzymać. Chciałem dowiedzieć się także, jak długo „czerwoni bracia moi” bawią w Ketchum i dokąd jadą, ale nie było już czasu, bośmy go dużo zmarnowali siedząc z początku przy ognisku w obowiązkowym milczeniu.

Po drodze do wagonów awanturnicy poczęli robić wymówki mnie i Francuzowi za to, żeśmy jak z ludźmi rozmawiali „z tymi łotrami, czerwonymi diabłami, rozbójnikami” etc. Odpowiedzieliśmy im, a raczej odpowiedział Francuz, żeby patrzyli swego nosa, i wsiedliśmy do wagonu. W wagonie rozmowa toczyła się wszędzie o czerwonych. Trudno zrozumieć, do jakich granic dochodzi nienawiść i pogarda kresowych Amerykanów względem Indian. Prawda, że ciągła walka na śmierć i życie, grabieże i rozboje zaostrzają do wysokiego stopnia wzajemne stosunki; ale też prawda także, że pograniczni biali zupełnie nie uważają Indian za ludzi, wytępianie zaś ich poczytują za zasługę wobec ludzkości. Człowiek biały, według pojęć pogranicznych, ma także samo prawo tępić Indian, jak grzechotniki, szare niedźwiedzie i inne szkodliwe stworzenia. Podczas więc gdy od czasu do czasu brukowi filantropowie w New Yorku wyprawiają filantropijne maskarady ze sprowadzonymi Indianami, na kresach wre ustawicznie wojna bezlitosna i najokrutniejsza, o jakiej można pomyśleć. Trzeba bowiem wiedzieć, że kresowcy, lubo względem siebie lojalni, a nawet uczciwi, w stosunku do czerwonoskórych nie są mniej dzikimi. Indianin nie ma litości, to prawda; ofiara, która wpadnie w jego ręce, na próżno używałaby wszelkich ludzkich zaklęć i próśb: czerwony wojownik patrzy na nią nieruchomymi oczyma, błagania przyjemnie tylko łechcąc jego uszy; męka ofiary sprawia mu rozkosz, nasycę się nią i przez chwilę jest szczęśliwy. Ale biali również postępują z nimi. Indianin zdiera skórę z głowy jeńca jako wojenne trofeum; biali przyjęli od czerwonoskórych ten zwyczaj i również skalpują swych jeńców. Z tym wszystkim, gdyby mnie kto spytał, po czyjej stronie leży słuszność, to sądząc według zasad prostej, opartej nie na sofistyk-

² W czasie wojny, która wkrótce wybuchła, Sioukowie zadali kłam temu mniemaniu, wódz ich bowiem, Siedzący Byk, pokonał w krwawej bitwie wojsko amerykańskie pod wodzą generała Custer, który zginął. W rezultacie Sioukowie zostali zwyciężeni, Siedzący Byk zaś schronił się do Kanady.

ce, ale na sercu i sumieniu sprawiedliwości, odpowiedziałbym, że słuszność leży po stronie Indian.

Spojrzymy bowiem, co to jest i jak się im przedstawia owa cywilizacja, do której przyjęcia głoszą ich niezdolnymi! Więc, oto najprzód: rząd Stanów gwarantuje im ziemię, obywatele zaś, z których łona rząd wyszedł, odbierają im ją mimo rządu. Na pierwszym więc kroku spotykają się z kłamstwem i krzywoprzysięstwem, jako zaś proste dzieci natury, nie umieją odróżnić rządu od narodu i z tych wszystkich stosunków wynoszą jedno tylko poczucie: głębokiej krzywdy. Zresztą Indianin w cywilizacji widzi tylko stratę tego wszystkiego, co stanowiło sposób do życia jego i jego przodków. Najprzód odejmują mu cały obszar stepów bez końca, a dają kawałek ziemi, której on nie umie uprawiać. Dają mu derkę, a zabierają wolność. Piękna zamiana! Dziki wojownik siedząc na grzbiecie mustanga przebiega stepy, poluje, walczy, oddycha całym obszarem piersi; jemu to życie dzikie, stepowe – potrzebne jak ptakowi powietrzne przestrzenie; on bez tego obejść się nie może: schnie i umiera. Pomyślmy zatem, co zyskuje, a co traci przyjmując tak zwaną cywilizację. Przede wszystkim mrze głód na swoim kawałku roli; ciż sami bracia, którzy prawili mu o cywilizacji, pogardzają nim teraz tak, jak w Europie Cyganem, a w rezultacie nic też innego nie pozostaje mu jak cygańskie życie: żebranina i małe złodziejstwa, i wegetowanie z dnia na dzień, wśród którego podleje do ostatka.

Na koniec, jacyż to są ci apostołowie cywilizacji, z którymi się spotyka? Najprzód kupiec, który go oszukuje; dalej awanturnik, który mu zdiera skórę z głowy; dalej traper, który przed jego wigwamami poluje na bawoły dostarczające czerwonym pożywienia; wreszcie amerykański komisarz rządowy z papierem, na którym między liniami napisano: Mane, tekel, fares! dla całego plemienia.

Spotykałem potem na wielu stacjach w stepach Nebraski i Wyomingu tak zwanych ucywilizowanych Indian. Jest to jeden obraz nędzy i rozpacz: mężczyźni obdarci, brudni, upodleni; kobiety wyciągają wychudłe ręce do wagonów. Spytacie, dlaczego jedni i drugie nie pracują? Nie umieją; nikt się nie troszczy zresztą o to, żeby ich nauczyć. Wyrzekli się wojny z białymi, rozbojów, polowań, a dostali za to... derki... i pogardę.

Na koniec, najpierwszym bezpośrednim produktem, który wszyscy dzicy otrzymali od cywilizacji, jest: wódka, ospa i syfilis; cóż dziwnego więc, że patrząc na cywilizację ze stanowiska tych najpierwszych dobrodziejstw, nie wzdychają do niej, bronią się i giną!

Przede wszystkim zaś giną. Całe te plemiona, czy to przyjąwszy cywilizację, czy żyjąc w stanie dzikim, znikają z powierzchni ziemi z zastraszającą szybkością. Nie mogą się cywilizacji ani oprzeć, ani unieść na słabych ramionach jej ciężaru. Objaw to spotykany u wielu ludów dzikich. Uczony nasz rodak Strzelecki sprawdziwszy go zmienił na „prawo naukowe”, które Anglicy: „Strzelecki law” przewalili i które stale dziś już jako pewnik przyjęte jest przez antropologię. Co do Indian jednakże, a przynajmniej co do niektórych ich pokoleń, są bowiem wielkie między nimi różnice, gdyby zamiast spotykać się z mętami cywilizacji, zetknęli się z lepszą, łagodną i ochraniającą, a nie mszczącą jej stroną, może by na koniec przywykli do niej i ocaleli od zguby. Cywilizacja taka winna jednakże być nader łagodną nauczycielką i naginać z wolna, a nie od razu łamać. Zmiana sposobu życia, stałe osiedlenie i zajęcie się rolą, które wobec dzisiejszych stosunków przedstawiają się jako konieczność narzucona gwałtem nie przygotowanym do niej plemionom, przyszłyby wówczas z wolna jako naturalne następstwa stopniowego rozwoju.

Zdaje mi się nawet, że owo prawo naukowe o koniecznej zagubie ludów spotykających się z cywilizacją daje się wyjaśnić nie absolutną niezdolnością tych ludów, ale tym właśnie, że nie mają czasu cywilizować się tak, jak cywilizowały się ludy europejskie, to jest drogą ciągłego i stopniowego rozwoju. Żyjąc częstokroć w stanie zupełnie pierwotnym, czasem nawet ludy żerujące (Sammelvölker), dzikie plemiona spotykają się od razu z cywilizacją wysoką, rozwiniętą, subtelną – słowem: z cywilizacją absolutnie dla nich za trudną; nic więc dziwne-

go, że zamiast pod jej wpływem podnosić się i oświecać, tumanieją, głupieją i w rezultacie rozbijają sobie o tę zbyt twardą na ich zęby cywilizację głowy.

Wracam jeszcze raz do Indian: słyszałem od ludzi doświadczonych, a później przekonałem się osobiście, że są to plemiona względnie dość nawet rozwinięte umysłowo. Nie stoją na przykład wcale o wiele niżej od Kałmuków, Baszkirów i innych plemion koczujących na stepach Rosji i Azji; mają swoje podania, swoją mitologię, a nawet swoją poezję, zawierającą się w pieśniach wojennych, pieśniach śmierci i tym podobnie. Podania niektóre są nawet nader zręcznie ułożone i dowodzą pewnego sprytu umiającego korzystać z zewnętrznego materiału, jakiego dostarczają ludzie i przyroda. Gdy wielki Manitu (mówi jedno z podań) postanowił stworzyć człowieka, wziął glinę, wyrobił kształt ludzki i postanowił go wypalić w ogniu. Ale pierwszym razem przepalił na węgiel, twór jednak zostawił przy życiu i stąd powstał czarny Murzyn; drugim razem nie dopiekł i powstał biały człowiek; trzeci raz dopiero, nauczony doświadczeniem, umiał zachować miarę: nic nie dopiekł, nie przepalił i stąd powstał twór doskonały, prawdziwie piękny: czerwonoskóry.

Jest w tym podaniu pewna trafność, polegająca na umiejętnym skorzystaniu z koloru trzech ras ludzkich. Dalej, sam sposób wyrażania się Indian, w najzwyczajszej nawet mowie pełen porównań i metafor, do wysokiego stopnia jest poetyczny i dowodzący pewnego wyrobienia się myśli. W niektórych indywidualach wrodzona inteligencja po prostu jest zadziwiająca, ale w ogóle wszyscy są nader przenikliwi, umiający odróżnić prawdę od kłamstwa choćby najbardziej cukrowego. Cechy te mieszają się wprawdzie z drugiej strony z naiwnością prawie dziecięcą.

Na koniec, plemiona te, bądź co bądź, wyrobiły już pewną cywilizację, mogłyby więc postępować i dalej, mogłyby stanąć przy mądrej pomocy i na wysokości naszej cywilizacji – gdyby nie to, że ta nasza wynalazła postępowanie o wiele krótsze: zamiast słabszych popierać i wzmacniać – zabija.

Wśród takich myśli przybyłem do Omaha, na granicę Jowy i Nebraski, to jest mniej więcej na połowę drogi łączącej dwa Oceany; dalszy opis podróży, to jest z Omaha do San Francisco, odkładam do następnego listu.

V

KOLEJĄ DWÓCH OCEANÓW

I

Humbug • O dziewiczych lasach • Okolice bezdrzewne • Nebraska • Ziemie puste • Stepy • Wrażenie stepów • Pustynia • Jedność z naturą • Panteizm • Pociąg do nieskończoności jako przyczyna uroku stepów • Rozległość stepów • Granice • Środek • Rocky Mountains czyli Góry Skaliste • Bieg gór • Sierra Nevada • Półkola i kraj zawarty w półkolach • Stepy wschodnie i zachodnie • Brak drzew na linii kolei • Wysokość płaskowzgórza • Najwyższe szczyty • Położenie Nebraski • Jej klimat • Lato na stepach • Posucha • Cisza • Upały • Zwierzęta • Wieczory na stepie • Wędrowcy • Karawany osadników • Niebezpieczeństwa • Indianie • Pożary stepów • Sposoby ratunku • Użyźniający wpływ pożarów • Wiosna na stepach • Wody • Roślinność • Trawy • Świat zwierzęcy • Wiewiórki • Grzechotniki • Obozowiśka piesków ziemnych • Ptaki • Przedrzeźniacz • Różnice klimatyczne • Wieczna zima i wieczne lato • Przyszłość Nebraski • Ceny ziemi

Nieraz zdarzyło mi się czytać opis rozmaitych wypadków, i niebezpieczeństw, na jakie narażeni są podróżni jadący koleją Dwóch Oceanów z New Yorku do San Francisco. Może przed dwoma laty gazety doniosły, że Indianie zapalili dziewiczy las, przez który przechodził pociąg, co widząc maszynista nie tylko jakoby pociągu nie wstrzymał, ale wpadł całą siłą pary w owo morze płomieni, które rozstało się przed prądem powietrza. Pociąg przeszedł szczęśliwie; podróżni, lubo poparzeni trochę, zostali uratowani.

Co więcej, w ilustracjach francuskich i niemieckich widziałem nawet ryciny dopełniające tego efektownego opisu. Obecnie, kiedy już przejechałem całą długość tej kolei, tak opis sam, jak i ryciny służą mi tylko za dowód, do jakiego stopnia dochodzą humbugi i kłamstwa, przedostające się z gazet amerykańskich do naszych albo powstające z opowiadań podróżników, którzy przyjechawszy do jakiegoś portu nad Atlantykiem, opisują z taką pewnością Stany Zjednoczone, jakby ich całą długość i szerokość z pierwszej lepszej wieży kościelnej gołym okiem objąć można.

Na zbiecie na przykład powyższej wieści o pożarze dziewiczego lasu dość mi będzie przytoczyć małą rzecz: oto, w stanach wschodnich, bliższych New Yorku, w których są lasy, nie dziewicze wprawdzie, ale dość znaczne, nie ma wcale Indian, w zachodnich zaś, poczynając od Jowy, podróżnik literalnie nie widzi ani jednego drzewa aż do lesistej granicy Kalifornii i Nevady, czyli na długości mniej więcej takiej, jaka oddziela Warszawę od Madrytu. Jowa, Nebraska, Wyoming, Utah i Nevada w środkowych swych częściach jest to jedna olbrzymia i bezdrzewna preria porośnięta tylko trawą, wrzosem i gdzieniegdzie w jarach, stanowiących koryta strumieni, nędznymi krzakami wierzbiny.

Przede wszystkim jednak najczystszy typ stepu przedstawia Nebraska. Podróżnik, któremu sprzykrzyły się zaludnione, upstrzone farmami okolice stanów wschodnich i który pragnął widzieć pustynię, znajduje tu, czego szukał. Czasem tylko przy samej linii kolei tuli się mały domek jakiego zabłąkanego aż tu osadnika; zresztą pustka i pustka, jedna, bezbrzeżna, milcząca równina, na której wzrok nie ma na czym spocząć i pada wreszcie jak ptak, który słabymi skrzydłami chciał przelecieć przestrzeń Oceanu. Chwilami, kiedy pociąg zatrzymywał się na czas dłuższy, opuszczałem stacje i biegłem na step, który zaczyna się tuż za sztachetami mizernego, zwykle drewnianego domu zastępującego tu miejsce Bahnhofu. Śnieg chrząścił pod nogami, wiatr pochylał wierzchołki wrzosów i szyszki ostów, wystające ponad śniegiem; zresztą milczenie panowało głębokie: nigdzie ani ptaka, ani zwierzęcia, ani żadnej żywej istoty. Cisza ta jednak i pustosz ma swój głęboki urok. Rzekłbyś: nie tylko wzrok, ale i dusza, i myśl gubi się w tych stepach, porzuca drogi, którymi chodzić zwykła, zapomina o swoim „ja”, zlewa się z otoczeniem i przez chwilę zdaje się żyć nie własnym życiem, ale całą potęgą stepów, w której tak roztopia się jak kropla wody w morzu.

Z takich to uczuć i wrażeń, z tej łatwości, z jaką człowiek zlewa się z naturą, powstały wszystkie panteistyczne systemy. Człowiek na łonie natury i wobec natury nie może oprzeć się poczuciu, że stanowi z nią jedno i toż samo, że w nim i w całym otoczeniu jest tylko jedna wielka dusza, a życie odrębne, ludzkie – to stan przejściowy, po którym nastąpi zlanie się z ogółem i nie byt osobisty, a wiekuisty byt ogólny.

Jest to, powtarzam, pierwsze i niejako wrodzone poczucie; dlatego też i wszystkie bez wyjątku pierwotne religie są tylko różnymi formami panteizmu. Później dopiero, gdy wyrobione już sztucznie życie odejdzie daleko od natury, pochłonie swymi sprawami uwagę człowieka i przysłoni mu prawdę pierwotną, wówczas i bogi stają się ludźmi, i dusza odrębną, samoistną jednostką; ale początkowo, czy to weźmiem mitologię Greków, czy słowiańską, czy buddaizm indyjski, dostrzeżem w nich czysty tylko panteizm, który ani bogów nie zwie istotami, ani nie obiecuje życia odrębnego po śmierci.

Co więcej, w każdej naturze ludzkiej leży tęsknota do zlania się z naturą i osobistego niebytu. Życie jednostkowe bądź co bądź męczące jest i pokutnicze; dlatego oto buddysta Nirwanę niebem swoim nazywa. Nie jest ona dla niego absolutną nicością; przeciwnie, Nirwana to tylko wszechżycie i wypoczynek wielki, i jakoby sen wieczny, nigdy nie prześniony, a nicłość i niebyt tylko dla jednostek.

Ale to, co stanowi istotę buddaizmu, tej w pierwotnej zasadzie najnaturalniejszej ze wszystkich rei i jako mniej więcej jasne poczucie w każdym człowieku. Tym tylko poczuciem i tą tęsknotą za wszechżyciem, w przeciwieństwie do życia jednostkowego, można wytłumaczyć i ów niepojęty urok, jaki wywierają te zjawiska natury, które mniej więcej przypominają nieskończoność.

Lubimy na przykład morza, stepy, a jednak, według zwyczajnych prawideł estetyki, kładących spokojną harmonię jako pierwszą zasadę piękności, nie masz w nich nic estetycznego. Cóż bowiem jest w tej bezbrzeżnej równinie stepowej? – Nic. Pustka tylko. Szara dal zlewa się z niebem na krańcu widnokregu – milczenie wokoło: głusza, śmierć prawie. A jednak step nęci i wabi. Chciałbyś sięść na koń i puścić się nim, i gonić, i gonić: chciałbyś, ot, wykapać się w nieskończoności i rozłożyć ręce na koniu, i krzyknąć: „Hej! hej, stepy!” – i zapamiętać się w nich, i obłąkać, i żyć.

Czymże wytłumaczyć ten niepojęty urok? Oto właśnie dlatego, że tam tak pusto i bezbrzeżnie, i nieskończenie, że tam wszystko jest tylko wszystkim, że tam jednostkowe odrębne objawy życia nikną, że tam tylko „jedna wielka dusza”; dlatego step nęci i pociąga. Jest to niby odrzask Nirwany i wszechżycia, a tęsknota za nim leży w ludzkiej duszy.

Dlatego step tak nęci i pociąga.

Wracając na stepy Nebraski, a raczej stepy środkowe Stanów, sprawiają one niezmiernie potężne wrażenie z powodu swej dzikości i ogromu. Rozległe są na całe tysiące mil na pół-

noc, południe, wschód i zachód; prócz bowiem wyżej wymienionych stanów obejmują prawie wszystkie na zachód od Missisipi z wyjątkiem Kalifornii. Jest to, jak powiedziałem już, olbrzymie płaskowzgórze wznoszące się z obu stron coraz bardziej ku własnemu środkowi, który to środek, a zarazem i kość pacierzową stanowią tak zwane Rocky Mountains (Góry Skaliste). Góry te, biegnąc z północy na południe, dochodzą najwyższej wysokości we Wyoming, potem, przebiegłszy jeszcze Colorado i New Mexico, zniżają się coraz bardziej, przechodząc stopniowo w pagórki tworzące kilka pasm w samym Meksyku.

Prócz tego systemu gór na zachód od nich biegnie inne pasmo, tak zwane Sierra Nevada. Są to góry, których odrośla pokrywają całą Kalifornię, w której jak również i na północy, w Oregonie, pojedynczo brane, rozmaite noszą nazwy. Na północy (Oregon, Washington, Idaho) i na południu (New Mexico, Arizona) Sierra Nevada styka się prawie ze Skalistymi, w środku zaś Skaliste wyginają się półkolem na wschód ku Missisipi, Sierra Nevada zaś na zachód ku Oceanowi Spokojnemu. Między tymi dwoma półkolami leżą stany lub terytoria: Idaho, część Oregonu, część Wyomingu, Nevada, Utah, cała Arizona i część Nowego Meksyku. Szczupłe wody Sierra Nevada staczają się wszystkie do Oceanu Spokojnego, wody zaś Gór Skalistych, płynąc na wschód ku Atlantykowi, tworzą owe wielkie rzeki amerykańskie (Missouri, Missisipi) albo też ich dopływy. Skutkiem tego kraj zawarty między dwoma półkolistymi pasmami gór stosunkowo jest bezwodny. Niewielkie rzeki albo giną w stepach, albo wpadają do środkowych jezior, nie mając nigdzie przystępu do brzegów morskich. Step tu i ówdzie przechodzi w pustynię zupełnie nieurodzajną; miejscami sól występuje na powierzchnię gruntu. W stanie Utah znajdują się wielkie zbiorniki słonej wody (Salt L. i Utah L.). Również często napotykamy je i w Nevadzie, jak np. Tahoe, Pyramid i Humboldt Lakes.

Mianowicie południe Utah i Nevada prawie zupełnie jest bezwodne; dopiero w Arizonie i New Mexico znajdujemy mniej więcej liczne dopływy Colorado River i Green River. Step też tu piękniejszy, obfitszy w trawę, miejscami w drzewa, chociaż w ogóle ustępuje stepom położonym na wschód Rocky Mountains i ciągnącym się aż do Missouri i Missisipi, tj. stepom Nebraska, Kansas, Indian Territory i Teksasu.

Obecność dwóch wyżej wymienionych rzek i stosunkowo wielka ilość ich dopływów sprawiają, że wschodnie te stepy, jakkolwiek i one nie mają dostatecznej ilości wody, są jednak wilgotniejsze od zachodnich i w ogóle nadzwyczaj urodzajne. Cuda opowiadają o żyzności ziemi w Nebrasce, Kansas, Indian Territory i Teksasie. Z tym wszystkim są to ziemie prawie jeszcze puste, zamieszkałe tylko przez rozmaite pokolenia Indian i wszelkiego rodzaju dzikie zwierzęta.

Miejscami w międzyrzeczach mają się na nich znajdować olbrzymie lasy, na całej jednak długości linii kolei żelaznej, tak w stepach wschodnich, to jest z tej strony gór, jak w zachodnich, z tamtej strony gór leżących, nie widziałem literalnie ani jednego drzewa prócz zasadzonych w małej zresztą ilości koło stacji kolejowych.

Wszędzie step i step, porosły tylko rodzajem wrzosów, burzanami i jakąś szyszkowatą rośliną, której szyszki do naszego szaleju podobne. Widok w ogóle uroczysty, ale nadzwyczaj smutny. Prawda, że pierwszy raz widziałem owe stepy w połowie marca, to jest w czasie, kiedy wszystko na nich jeszcze zdętwiałe jest snem zimowym. Step Jowy, Nebraska, Wyomingu, Utah i Nevada, jakkolwiek położone pod 42° szerokości północnej, tj. mniej więcej na równoleżniku Portugalii, Hiszpanii i południowych Włoch, zimę jednak mają długą i ostrą. Czytelnikom zapewne wiadomo, że pod tą samą szerokością w Europie cieplej jest niż gdziekolwiek indziej; ale istnieje i inna, ważniejsza jeszcze przyczyna, dla której wymienione stepy mają klimat tak ostry: oto wysokość ich położenia nad poziom morza. Wspomniałem, już, że poczynając od systemu wielkich jezior, a ściśle biorąc od Missisipi, płaskowzgórze wznosi się ciągle, tak że w Wyomingu i Utah dochodzi do kilkunastu tysięcy stóp nad poziom morza, to jest do linii wiecznych śniegów. Z tym wszystkim wznoszenie się owo tak jest nieznaczne i łagodne, że podróżnik znalazłszy się na wysokości Mont Blanc lub Gotarda nie spo-

strzegł nawet, że jechał pod górę. Pozornie pociąg pędzi ciągle po równinie i dopiero zasypane śniegowe i tak zwane śnieżne domy, to jest ogromne drewniane galerie, wśród których idzie kolej, ukazują na rzeczywisty stan rzeczy.

Nebraska położona jest wprawdzie znacznie niżej, ale i w niej, a szczególnie na zachodnim jej krańcu zima trwa do połowy kwietnia. Latem za to upały dochodzą tu do stu kilkudziesięciu stopni Fahrenheita. Promienie słoneczne padając prawie prostopadle na step nie pokryty cieniem drzew rozpalają go jak piec hutniczy. Trawy, osty, burzany i bodziaki schną jak pieprz i opadłszy na ziemię wikłają się ze sobą w jedno zbite, wyżółkłe podścielisko. Mniejsze rzeki, czyli tak zwane „kryki”, a nawet i większe (river) wysychają zupełnie, liście wierzby czernieją, skręcają się koło własnych grzbietów i dają się pokruszyć w rękę. Najmniejszy wiatr nie ochładza rozpalonego powietrza; niebo bezchmurne, siwe jakieś, zdaje się oddychać płomienistym oddechem na ziemię; grunt stepowy pęka. Wówczas to stepy stają się tak puste i milczące, jak sama śmierć. W żółtym podścielisku nie dostrzeżesz ani motyla, ani żadnego owadu; na wyteżonej kopule nieba nie waży się na skrzydłach ptactwo, dziki zwierz zaś cały dzień spoczywa w legowisku.

Nawet jaguar i puma, czyli płowy lew stepów, rzadko odważają się krażyć w godzinach południowych, w których upał dochodzi największej siły. Wielkie szare niedźwiedzie, najstraszniejsze rozbójniki stepowe, udają się w góry, gdzie śnieg nigdy nie topnieje, lub wloką się leniwo za śladami bizonów szukających schronienia w korytach rzek, których upał nie zdołał wysuszyć zupełnie. Męczący wpływ upału znać i na bizonach. Ogromne łby ich z kudłami nabitymi na kilka cali grubo kurzem, gliną i poplątanymi roślinami stepów schylają się co chwila, bodąc rogami twardego gruntu stepowego, jakby w poszukiwaniu wody; wielkie, stare samce, przewodnicy stad, ryją z niecierpliwością racicami ziemię lub podnosząc chrapliwe nozdrza wietrzą na wszystkie strony, czy czasem w rozpalonym powietrzu nie poczują chłodnego powiewu wilgoci idącego z rzek i jezior. Oczy ich błędne i zaszele krwią oraz powywiszane języki znamionują wściekłość i pragnienie.

Wieczorem dopiero, gdy wielki czerwony krąg słoneczny stacza się za krańce widnokregu, rozpoczyna się na stepach życie nocne. Tu i ówdzie słychać złowrogie gardłowe wrzaski kaguarów, czasem ozwie się ryk szarego niedźwiedzia, po którym na chwilę milknie wszystko; a potem znów powiew wiatru przyniesie lekko skomlenia kujotów, czyli małych wilków stepowych idących w ślad za wielkimi rozbójnikami i żyjących z resztek ich biesiad.

Największy jednak ruch panuje koło rzek i jezior, których woda mimo upałów nie wysycha. Ukrywszy się w pobrzeżnej trzcinie lub sitowiu można jak na dłoni widzieć całe menażerie wszelkiego rodzaju zwierząt. W czerwonych promieniach zachodzącego słońca rysują się z dziwną dokładnością ogromne, czarne sylwety bizonów biegnących truchtem po wysokim stepie ku wodzie i nurzających się w niej z lubością razem ze łbami; tu i ówdzie w lekkich i wdzięcznych podskokach zbliżają się stada malowniczych antylop, za nimi chyłkiem ciągną drapieżcy; czasem zaś rozchyła się trawa i krzaki i wśród zarośli ukazać się na chwilę zdobne w pióra głowy Indian. Siedząc prawie w kuczki na koniach, zbrojni w dziryty, czerwoni wojownicy obejmują pałającymi oczyma ów świat zwierzęcy, który za chwilę ma stać się ich łupem.

W godzinach jednak upału, kiedy wszystko na stepie milczy i zasypia i gdy nawet Indianin chroni się pod cień wigwamu, jedna tylko istota odważa się narazić głowę na promienie słoneczne, a tą istotą jest biały człowiek. Nieraz w porze największego żaru, wśród atmosfery przepełnionej subtelnym pyłem zobaczysz wielkie wozy, zwane tu okrętami prerii, zaprzężone w trzy, cztery, a nawet i sześć par mułów. Karawana taka dzwoni i brzęczy z daleka, nad każdym bowiem chomątem zawieszają po cztery dzwonki, których odgłos zachęca pociągowe zwierzęta i dodaje im siły. Wierzchy wozów pokryte pasiastym płótnem, w wozach zaś siedzą kobiety, dzieci, leżą sprzęty domowe; za karawaną skwaterowie, często Murzyni lub Metysi, popędzają stadka krów i owiec, trzaskając z długich biczów, wykrzykując: „ho! ho!” lub

przeklinając upał i siebie wzajemnie. Obok każdego zaprzęgu idzie z wolna ze sztucem przez plecy traveller ubrany we flanelową koszulę i obszerne, zasłaniające go od słońca sombrero.

Co to za ludzie? To osadnicy ciągnący na Daleki Zachód wraz z żonami, dziećmi i całym dobytkiem. Sami często nie wiedzą, dokąd jadą. Czasem umieją wskazać stan lub okolicę. „Jedziemy do Kansas, Kolorado lub Nebraski (mówią) albo też w głuchy step. Jak znajdziemy ziemię, trochę drzewa i wodę, to i osiądziem.”

Nie potrzebuję mówić, jak dalece niebezpieczną jest taka podróż. Wprawdzie kilkunastu ludzi dobrze uzbrojonych i odważnych nie potrzebuje się obawiać całych setek Siouxów, Pawnisów lub Huronów, jeżeli tylko pilnuje się dobrze i nie da uchwycić się w zasadzkę. Indianin nie napada nigdy, jeżeli wie, że małe stosunkowo łupy i małą ilość skalpów przyszkodzi mu wielką stratą opłacić. Zresztą wobec dzisiejszego stanu rzeczy i wobec solidarności, z jaką jedni biali mszczą się za drugich, czerwoni wojownicy, jeżeli nie bronią swych siedzib, nie bardzo śmia nastawać na życie nawet pojedynczych podróżników, ale natomiast kradną i łupią ich, jak mogą.

Szczególniej konie i muły stanowią łatwą dla nich zdobycz; kradną je z taką zręcznością, że wędrowcy stepowi dzień i noc czuwać muszą nad swoim dobytkiem; jeżeli zaś osiada w pustym w pobliżu wigwamów, czuwanie owo nie kończy się nigdy. Nowy osadnik zapowiada wprawdzie zwykle, że każdego Indianina, którego ujrzy w takim a takim promieniu od swej farmy, zastrzeli jak psa, nie pytając czy winien, czy nie winien; ale i to nie pomaga wiele, i trzeba ustawicznie strzec się od napadów, od kradzieży, a nawet i od pożarów; Indianie bowiem częstokroć palą zboża białych przez prostą chęć szkodenia. Takie stosunki istnieją szczególnie w Indian Territory, która to ziemia, oddana czerwonym, zaludnia się teraz mimo zakazów rządowych coraz obficiej białymi osadnikami.

Największym jednak niebezpieczeństwem takiej podróży wozami przez stepy są zdarzające się częstokroć w lecie pożary stepów. Czasami Indianie wznecają je umyślnie, często zaś wynikają one z zaniedbanych ognisk podróżnych albo wprost powstają ze zbytecznego żaru słońca. Nic bardziej nieprawdopodobnego do wiary, jak szybkość, z jaką płomień biegnie, gnany powiewem wiatru po prerii. Suche podścielisko trawy zwanej blue grass pali się jak siarka. Płomień, zaledwo zrodzony z iskry w jednym miejscu, chwyta łakomie szyszki ostów, potrząsa liśćmi burzanów, pożera żywiczne dziewanny, przeskakuje puste przestrzenie, rozrzuca złote iskry na wszystkie strony, huczy i pędzi, jak gdyby ze wściekłością, szaleje i dogania uciekające na próżno zwierzęta, które na w pół zduszone dymem i żarem padają z wywieszonymi językami jeszcze przedtem, nim płomień zdołał je objąć i pójść dalej po ich zwęglonych trupach. Biada podróżnikowi, który nocą dostrzegłszy na krańcach horyzontu czerwony pasek światła, niby świtanie zorzy, nie zapali natychmiast stepu przed sobą i nie schroni się na świeżo wypalone, gorące jeszcze przestrzenie. Jeśli spostrzeże się za późno, nim skrzese ognia, huczająca czerwona fala przyleci niby na skrzydłach i nie masz już wtedy dlań ratunku, bo choćby płomień go nie spalił, udusi go dym, żar i brak powietrza.

Ten jednak łatwy sposób ratunku polegający na zapaleniu stepu przed sobą ma swoją złą stronę: oto wznieca nowy pożar, a raczej rozszerza go do nieskończoności; skutkiem tego płomień obejmuje niezmiernie przestrzenie. Nic smutniejszego nad widok takiej spalonej prerii. Step zmienia się jakby w jeden pokład popiołu i węgla, martwota pada na niego absolutna, a gorące i tak promienie słońca operując na czarny grunt wznecają taki żar, że po prostu niepodobna w nim oddychać.

Z drugiej jednak strony, pożary użyźniają stepy do wysokiego stopnia. Wiosną, po deszczach zimowych, gdy wilgotna ziemia zieleni się pierwszą runią, na przestrzeniach spalonych porasta najbujniej i najobficiej. Nieraz pokazywano mi już później takie całe pasy, którymi poprzedzającego lata przeszedł ogień, i istotnie odróżnić je łatwo po zieloności ciemniejszej i trawach, w których człowiekowi siedzącemu na koniu widać tylko głowę i ramiona.

Nie sposób wypowiedzieć ani opisać całego uroku, jaki stepy mają na wiosnę, gdy słońce potopi śniegi, ziemia przesiąknie nadmiarem wilgoci, wszystkie strumienie (creek) wystąpią ze swoich łożysk i zalawszy płytko, ale szeroko ogromne przestrzenie, przeświecają rzeźwą, wiosenną wodą wśród traw i zarośli. Wszystko wówczas wzrasta prawie w oczach, strzela pękami i rozkwita. Step wydaje się jak jeden stubarwny dywan. Więc naprzód wszystkie szlaki, którymi przechodziły wozy, porastają ślicznym kwiatem barwy złotawożółtej, który tam tylko wyrasta, gdzie ziemia była stratowana kopytami i gdzie padł na nią nawóz zwierzęcy. Szlaki te, niby złote wstęgi, wiją się po całym stepie: to rozchodzą się, to kołują, to znowu krzyżują ze sobą i wreszcie nikną w oddali. Gdzieniedzie step porasta jakby bylicą wysoką, cienką, o kwiatkach srebrnych i drobnych jak perełki, które to podobieństwo powiększają jeszcze kropelki przezroczystej żywicy zwieszające się na nich ku ziemi; w innym miejscu, tuż obok białych barw, błękitnieją wielkie dzwonki stepowe koloru naszego chabru; dalej gatunki rozchodników i rosiczek mieniają się i pstrzą to żółto, to czerwono; miejscami całe przestrzenie zajmują dzikie tulipany. Tam znów szczególne kwiatki podobne do dzbanuszków i zawierające świeżą wodę, a raczej rosę nocną, pochylają gościnnie ku podróżnikowi pełne naczynka. Na koniec, mnóstwo kwiatów o barwie jednakiej lub nakrapianych, mnóstwo powoi mieni się i płacze wśród traw, wikła się ze sobą, tłoczy się, wyrasta, jedno na drugim kwitnie, cieszy się, kocha, szaleje; słowem: prawdziwy potop roślinności, znanej i nieznaney, tysiącznych nazw i gatunków. Wszystko to dochodzi do takiej wysokości, że w tej zielonej i pstrej fali z głową schować się można. Tysiączne wonie, to miodowe, to upajające, jakby lilii i heliotropów, to znów mocne i korzenne, uderzają o powonienie. Dzielny, orzeźwiający zapach trawy to góruje nad innymi, to znów ustępuje pola oddechem kwiatów.

W kwiatkach i nad kwiatami, w trawie i nad trawą porusza się i roi cały odrębny świat zwierzęcy. Czasem ujrzyś, jak trawa poczyna poruszać się szybko wąskim szlakiem, aż nagle ukaze się groźny łeb bizona lub śliczna główka antylopy o wielkich, smutnych oczach i promiennych rogach, a ukazawszy się na chwilę, zniknie znowu, jakoby w topieli. Pod nogami smyrgają ustawicznie pieski ziemne i małe szkodne skrzeczki zwane tu goframami. Czasem, gdzie trawa mniejsza, siądzie na tylnych łapach młody zajaczek, wytrzeszczy oczy, nastawi uszy i poruszywszy groźnie wąsami, chowa się jak gdyby przekonany, że już dostatecznie przeraził wędrowca; na koniec od chwili do chwili usłyszysz złowrogie, suche kołatanie dzwonków grzechotnika, który wijąc groźnie ogonem, ucieka jednak co prędzej, wiedząc, że gdziekolwiek człowiek go ujrzy, tam zabija go bez miłosierdzia.

Znajdują się miejsca na stepie, które można nawet widzieć i z pociągu, gdzie owe pieski ziemne pozakładały sobie całe obozowiska. Są to szeregi kopców tuż przy sobie stojących, z otworami wiodącymi do dość obszernych jam pod ziemią. Między kopcami kręca się ustawicznie mali ich mieszkańcy, to gryząc się, to swawoląc, to znosząc trawę lub korzonki. Niektóre siedzą na tylnych łapkach w samych otworach i poważnie przypatrują się wszystkiemu, co dzieje się w obozie, zupełnie jak wiejskie gosposie stojące we drzwiach chaty. Trochę z dala od obozu stoją strażce baczące ne quid respublica detrimenti capiat, słowem: wszystko jak gdyby w porządnym i uorganizowanym społeczeństwie ludzkim.

Obozów takich widziałem już bardzo wiele, ale dlatego właśnie nie radzę zbliżać się do nich niebacznemu podróżnemu. Już o kilkadziesiąt kroków można dostrzec leżące na słońcu jakieś ciemne, wydłużone ciała, poruszające się od czasu do czasu leniwo. Ni mniej, ni więcej jak tylko są to grzechotniki, których w każdym obozowisku jest nieprzebrane mnóstwo. Na pozór groźni ci sąsiedzi zdają się żyć w najlepszej zgodzie z małymi republikanami; niektórzy jednak ludzie, bywalcy w stepach, mówili mi, iż węże jedzą małych republikanów, ci zaś, nie umiejąc sobie poradzić, muszą ich cierpieć uważając zapewne przy tym za swych kapłanów lub bogów.

Wiosną stepy zaludniają się także wielką ilością ptactwa, które przylatuje tu z okolic lesistych, trzyma się jednak głównie w pobliżu rzek zarośniętych wierzbina. Na szczerym stepie

jednak raz w raz spotkać można małe szare sowy siedzące z zamkniętymi pod nadmiarem światła oczyma i jakoby ogłupiałe pośród dziennego blasku. Żywią się one myszami, szczurami i owymi goframi; dlatego szczególnie w miejscach już zamieszkałych są bardzo szanowane. Prócz sów w powietrzu pławią się na rozpostartych skrzydłach wielkie orły i mniejsze jastrzębie, kobuzy i sokoły. Z głową zwieszoną na dół i oczyma utkwionymi w step wiszą one czasem po całych kwadransach nieruchomo nad trawą, a ponieważ słońce rzuca ich cień na ziemię, zdaje się więc, jakby się we własny cień wpatrywały.

Nieraz także i w Kalifornii już widywałem z daleka wielkie, czarne i świecące się ptaki z głową czerwoną, zupełnie, zwłaszcza z pewnej odległości, podobne do naszych indyczek. Z początku brałem je nawet za dzikie indyki i dopiero postrzeliwszy jednego przekonałem się, że są to sępy, tak zwane ścierniki. Głowa ich goła wydaje się z daleka jakby zdobna w indyckie korale. Żywią się padliną i oczyszczają tak stopy, jak i okolice już zaludnione od wyziewów zgnilizny.

Jednakże daleko jeszcze liczniejszy od drapieżnych jest ród śpiewaków. W godzinach rannych cały step grzmi gwizdaniem, śpiewem, świegotem, słowem: jednym ogromnym koncertem tych samouczków-artystów. W ogóle jednak ptaki tutejsze inaczej śpiewają od naszych. Wielki np. skowronek kalifornijski, dochodzący rozmiarów naszej przepiórki, zdobny wydłużonym dziobem i złotą piersią, nie śpiewa tak, jak nasz, długo i melodyjnie, ale siadłszy gdziekolwiek, gwizdnie raz i drugi, jakby na psa, i już kontent. Inne śpiewają i czyrykają dość wdzięcznie, najpiękniej jednak ze wszystkich tak zwany przedrzeźniacz albo jeszcze inaczej drozd żartowniś.

Jest to szczególnie ptaszek! Trzymają go wszędzie w klatkach, dlatego mogłem mu się do woli z bliska przypatrzeć. Wzrostu naszego skowronka, nie odznacza się wcale świetnym upierzeniem; cały jest szary, z małymi tylko białymi lusterkami na skrzydłach. Ma on jednak inne talenta, które zastępują znikomą piękność zewnętrzną. Oto nie tylko śpiewa nadzwyczaj dźwięcznie, ale naśladuje wszystkie głosy, jakie gdziekolwiek usłyszy.

Słyszac miauczenie kota, natychmiast poczyną miauczeć jak kot; słyszac szczekanie psa, zaczyna szczekać jak pies. Co więcej, chowany w domu, nawet kaszle i chrząka naśladując w tym ludzi.

Raz, bawiąc już w Kalifornii, zaszedłem do jednego znajomego farmera i spostrzegłszy klatkę z przedrzeźniaczem wiszącą nade drzwiami stanąłem przed nią i począłem mruścić. Ptaszek natychmiast spuścił się z wyższego piętra na niższe, wychylił główkę przez pręty, przekrzywił ją trochę, przymknął jedno czarne jak paciorek oko i zdawał się słuchać uważnie. Po chwili, jakby już pojął, o co chodzi, wskoczył na wyższy pręt, nadał się i usłyszałem najdokładniejsze w świecie mruczenie, które trwało dopóty, dopóki ptak, idąc za moim przykładem, nie zaczął się śmiać z kolei tak serdecznie, jak gdyby usłyszał coś najdowcipniejszego.

Zwykły śpiew jego dość do słowiczego podobny, nie tak jednak donośny, dźwięczny i słodki. Na stepach przelatuje ustawicznie z jednej rośliny na drugą, kołysze się na ostach i śpiewa albo też drażni się po swojemu ze zwierzętami i z innymi ptakami naśladując ich głosy.

Ale całe to życie stepowe, barwne i gwarne, trwa dosyć krótko: z chwilą gdy następują upały, wszystko odlatuje lub chowa się w pobrzeżne zarośla i milknie aż do następnej wiosny; potem przychodzi jeszcze jesień, równie prawie piękna, choć równie krótka, jak wiosna, a po jesieni znowu milczenie śmierci obejmuje całą krainę; w powietrzu roją się płatki śniegowe; step drętwieje i obumiera i chyba tylko suche osty zaszeleszczą czasem pod tchnieniem wiatru lub lokomotywa pędząca na zachód gwałtownym i zziąjanym oddechem przerwie na chwilę panującą ciszę.

Wyjątek od powyższego pravidła stanowią oczywiście stopy stanów południowych, które, jak np. w Indian Territory, mają wieczystą wiosnę albo prawie ciągłe upały, jak w dolnym Teksasie. Natomiast w stanach posuniętych bardziej na północ, na szczytach Rocky Mounta-

ins, panuje wieczna zima i śniegi leżą nawet w lato. Nebraska ma klimat pośredni, pory roku nader wybitne, zimę ostrą, w lecie zaś wielkie upały.

Kraina ta, jakkolwiek jeszcze zupełnie pusta, ma jednak wielką przyszłość przed sobą. Przedsiębiorczy Amerykanie dziś już myślą o zakładaniu w niej ogromnych gospodarstw hodowlanych na kształt takich, jakie istnieją w stepach południowej Ameryki, w Argentynie, w Paragwaju i Urugwaju. Dziś kolej rozdaje ziemię leżącą tuż nawet koło stacji za bezcen i na dziesięcioletnią wypłatę, dalej zaś od linii można osiadać nie pytając się nikogo ani też nie płacąc nikomu.

II

Sydney • Głowy bizonów • Okolice antylop • Indianie Pawnis • Pine Bluffs • Wyoming • Góry i skały • Śnieżne domy • Jeszcze o Czarnych Górach • Wieści z Czarnych Gór • Najwyższe wzniesienia • Green River • Kształty skał • Ogden • Salt Lake i mormoni • Zasypane drogi • Więzienie w Tuano • Rozrywki • Pługi śnieżne • Pociąg lokomotyw • Nevada • Kraina śmierci • Obumarłe widoki • Nazwy • Krzyż i mogiła • Zwątpienie • Nocleg • Ranek na zachodnich stokach Nevady • Wiosna • Lasy • Kwiaty • Wody • Widoki • Kraina niższa • Sacramento • Oakland • Koniec podróży

Dnia 11 marca przybyłem wreszcie do Sydney, wielkiej stacji leżącej jeszcze w Nebrasce, ale już na zachodnim jej krańcu. Dworzec kolejowy przybrany jest w Sydney głowami bizonów zastrzelonych z pociągu, stacja bowiem leży na szlaku, którym te zwierzęta w pewnych miesiącach roku ciągną całymi dziesiątkami tysięcy na południe. Niedaleko Sydney pociąg przechodzi przez okolicę antylop, których istotnie takie jest mnóstwo, że łatwo dostrzec je z okien wagonów. Prócz antylop mieszkają tu także Indianie Pawnis, którzy przyjeżdżają czasem na stacje kolejowe dla wymiany skór i kupna rozmaitych drobiazgów.

Step podnosi się ciągle. Jesteśmy już na kilka tysięcy stóp nad poziomem morza, jakkolwiek prawie nigdzie nie można dostrzec, żeby pociąg szedł pod górę. Na stepie śnieg i mróz. W wagonach palą znowu na gwałt w piecach; wszystko zdradza bliskość Rocky Mountains.

Tego samego dnia wieczorem przybywamy do Pine Bluffs. Jest to granica Nebraski i Wyomingu. Charakter krajobrazu zmienia się zupełnie i ze stepowego przechodzi w górzysty. Pociąg biegnie jeszcze zawsze równiną, ale po obu stronach widać góry z wierzchołkami pokrytymi śniegiem lub skały spiętrzone nieraz w nader fantastyczne kształty, przypominające ruiny zamków nad Renem. Okolice dzika i ponura. Z wagonów widzimy znowu antylopy i obozowiska piesków ziemnych. Zbliżamy się do Cheyenne, stacji w Wyomingu, ale przed przybyciem do niej przejeżdżamy przez pierwszy „śnieżny dom”, ciągnący się na kilka wiorst długości. Owe „śnieżne domy” są to niezmiernie długie galerie pokryte dachem i strzegące linii kolejowych od zasp śniegowych. Tyle słyszałem o nich opowiadań i podziwiał, że doznaję zupełnego rozczarowania. Prawda, że galerie owe są bardzo długie, ale za to zbite w najprostszy sposób z desek i z belek; belki pospajane bretnalami, w dachu mnóstwo dziur, słowem: całość budowana tak, jak u nas budowano przed kilkudziesięciu laty chałupy. Budowa taka może być zresztą zupełnie wystarczająca, ale w żadnym razie nie zasługuje na to, ażeby ją za ósmy cud świata uważać.

Wyjechawszy ze śnieżnego domu mamy przed sobą wspaniały widok. Na prawo od pociągu widać jak na dłoni Czarne Góry (Black Hills), do których przez Omaha i Sioux City poje-

chało tylu ludzi. Jest to osobna grupa, stojąca na równinie oddzielnie od innych pasm, tak jak nasze Tatry. Wśród krajobrazu przyprószonego śniegiem i na tle ołowianego nieba góry te istotnie wydają się czarne jak noc, a przy tym mroczne jakieś, tajemnicze i groźne. Tylko wierzchołki najwyższych szczytów pokryte są śniegiem, zresztą czarna ich barwa nie ma nawet śladu tego błękitnego odcienia, który mewają zwykle góry. W tej chwili są one świadkami strasznych dramatów, rozgrywanych między czerwonoskórymi a białymi³.

Przybywamy wreszcie do Cheyenne. Cała ludność stacji jest zgorączkowana i wzburzona. Jedni przez drugich opowiadają nam, że wczoraj miała miejsce bitwa górników ze Siouxami, w której górnicy ponieśli porażkę; stracili ośmiu zabitych i kilkunastu rannych, a prócz tego wszystkie konie, woły i zapasy żywności. Prawdopodobnym jest, że nim przez Omaha i Sioux City dostawia nowe zapasy, zapanuje między nimi głód i nędza, przez Cheyenne bowiem zapasy iść nie mogą, bo jakkolwiek stąd do Czarnych Gór najbliższej, ale droga niedostępna.

W Cheyenne pociąg zatrzymuje się kwadrans. Przez kilka minut słuchałem opowiadań o walce, potem zaś podziwiałem wielkiego szarego niedźwiedzia „grizli”, który zaawanturowawszy się zbyt blisko stacji, został zabity przez jej mieszkańców, a raczej rozstrzelany ze wszystkich rifle, jakie tylko się znalazły. Jest to potwór mający przeszło stopę szerokości w łbie, tak zaś ogromny, że gdy postawiono go na zadnie łapy, ludzie zwykłego wzrostu dochodzili mu do ramion. W ogóle w pobliżu Cheyenne ma się znajdować ich bardzo wiele.

Cheyenne leży już bezpośrednio w systemie Rocky Mountains; wysokość jej wynosi 6041 stóp nad poziom morza, czyli prawie tyleż, ile naszej Łomnicy. Dalej poza stacją śnieżne domy ciągną się prawie bez przerwy; śniegi wszędzie ogromne. Małe przystanki: Hazard, Otto, Granite Canon i Bufor, leżą coraz wyżej. Na koniec dojeżdżamy do stacji Sherman, najwyższego wyniesienia na całej linii, leżącego na 9000 stóp nad poziom morza.

Nie smutniejszego nad widok tej stacji. Na łysej, niewielkiej płaszczyźnie stoi dom z dachem grubo pokrytym zaspami; powietrze rzadkie i tak przenikające, że mimo futer drżymy od zimna. Śnieg pada tu prawie ciągle, wicher wyje i kręci tumanami śniegowych płatków; w niektórych miejscach sterczą nagie, czarne skały, z których dziś wiatr zwał śniegi, a jutro nowych naniesie. Nie rozumiem, jak ludzie mogą żyć i mieszkać stale w tych miejscach, w których pierśmiom po prostu braknie oddechu, w uszach dzwoni, a osobom słabszym krew pokazuje się ustami.

Dnia 11 marca poczynamy z wolna spuszczać się na dół, ale i z tej strony gór spadek nadzwyczaj jest nieznaczny. Zawsze jeszcze znajdujemy się na kilka tysięcy stóp nad poziomem morza. Jest to już, koniec Wyomingu. W południe tegoż dnia przybywamy do Green River, która niedaleko stąd w górach bierze początek. Okolica wszędzie skalista, skały zaś przybierają tak fantastyczne kształty, że jest to najciekawsza niemal część drogi. Niektóre podobne są do obelisków, inne do piramid; tam znów stoi zamek: przysięgłbyś, że wzniesiony ręką ludzką, bo nie brak mu ani wież, ani blanków strzelniczych, ani nawet obwodowego muru. Ale oto znów zmiana: skały zniżają się i jak okiem dojrzysz, tworzą mury, długie, proste, a tak regularne, jak gdyby budowane pod linię i cyrkiel.

W Utah, niedaleko od stacji Echo, znajdują się jednak najosobliwsze formacje. Jest tu tak zwana Diabla Brama i Diabla Ścieżka. Obie zresztą podobne do siebie zupełnie, a różniące się tylko wielkością. Są to skały idące pod górę dwoma grzbietami, zupełnie równoległe i tworzące przez to głębokie korytarze, tak dziwne i demoniczne, że istotnie diabeł nie mógłby sobie nigdzie na świecie znaleźć odpowiedniejszego pomieszkania.

Na koniec przejechawszy jeszcze jedno ramię rzeki, a może tylko dopływ Green River, przybyliśmy do Ogden, stacji, a zarazem i miasta w Utah. Niedaleko od Ogden, ale w bok od wielkiej linii, leży Słone Jezioro i Salt Lake City, stolica mormonów. Na nieszczęście, na parę

³ W chwili, w której to piszę (druga połowa lipca), w Czarnych Górach i ich pobliżu wojna wre już na dobre nie między górnkami a Indianami, lecz już między rządem Stanów Zjednoczonych i tymiż. Wedle ostatnich depeesz wojska pod wodzą generała Custer ponieśli dotkliwą klęskę.

godzin przed nami przyszedł telegram, że droga jest zasypana śniegiem i że na drugi dzień dopiero będzie wolna. Nie zrażony tym, chciałem doczekać się owego drugiego dnia, aby koniecznie zwiedzić to osobliwsze miasto, gdy tymczasem nadeszły nowe telegramy, grożące, że za parę dni i na wielkiej linii komunikacja może być na długo przecięta, ponieważ niepaźni śniegi spadają ciągle w górach. Nie było więc rady. Śpiesząc się do San Francisco musiałem wyrzec się odwiedzin u mormonów, obiecawszy sobie tylko, że z powrotem zatrzymam się między nimi choćby kilka dni.

Tymczasem pokazało się, że byłbym lepiej zrobił zatrzymawszy się od razu w Ogden, za ledwie bowiem posunęliśmy się o jeden dzień drogi do małej i nędznej stacji Tuano, na której zwykle pociąg zatrzymuje się trzy minuty, przyszła wiadomość, że dalsza droga nie jest do przebycia, śniegi bowiem na przestrzeni kilku mil zasypały ją na kilkanaście łokci grubo.

– Co będziemy robić? – pytali mnie moi towarzysze.

– Krótka rada! Wróćmy do Ogden, a stamtąd do Salt Lake City. Uradowani tym pomysłem, idziemy do kasy i pytamy, kiedy pociąg odchodzi do Ogden.

– Stąd pociąg nie odchodzi. Do Ogden idzie tylko wielki pociąg wychodzący z San Francisco do New Yorku – odpowiada kasjer.

– A kiedyż przyjdzie pociąg z San Francisco?

– Gdy droga będzie wolna.

Pospuszczaliśmy głowy. Trzeba było zostać i czekać zmiłowania bożego w Tuano. Trudno sobie wyobrazić coś nudniejszego jak owo Tuano. Jest to pięć czy sześć chałup skleconych z desek i stojących na śniegu. Siedzieć tam, kiedy ma się przed sobą uroczą Kalifornię, równało się śmierci. A tymczasem nikt nam nie mógł powiedzieć, jak długo musimy pokutować. Może tydzień, może dwa dni, może dziesięć. Oto była odpowiedź.

Słyszeliśmy wprawdzie, że sześć lokomotyw przyszło od strony San Francisco; cztery, przybyłe z Ogden, sami widzieliśmy przechodzące przez Tuano. Wszystkie one, uzbrojone w ogromne pługi, poszły rozbijać zasy śniegowe, ale mogło się i to także zdarzyć, że co maszyny oczyszczą, to śnieg zasypie na nowo.

Z nudów pierwszego dnia strzelaliśmy ze cztery godziny z rewolwerów; nad wieczorem pożyczwszy rifle od mieszkańców stacji, udaliśmy się na polowanie, powiedziano nam bowiem, że w pobliskich górach są niedźwiedzie. Z owego polowania wróciliśmy późną nocą, nie widziawszy ani śladu niedźwiedzia, zmęczeni natomiast i przeziębli, bo nieraz przyszło nam zapadać w śnieg po szyję.

W ten sposób upłynął dzień, porobiliśmy znajomości w naszym sleeping-carze, w którym jechało arcydystyngowane jakieś towarzystwo. Trudnoż bo i nie zrobić znajomości żyjąc z kim, mieszkając i sypiając w jednym wagonie. Ale znajomości te nie były zbyt ponętne, najmłodsza bowiem z ladies mogła liczyć mniej więcej czterdziestkę, nie biorąc w rachunek podlotków.

Amerykanie poczęli się urządzać, jak gdybyśmy mieli już na zawsze tu pozostać. Jakoż zanosilo się na wcale nie krótką kwarantannę. Dzień upływał za dniem, a każdego wieczora kładliśmy się z myślą: jutro może już obudzimy się w Nevadzie...

I budziliśmy się... w Tuano.

Wkrótce wielka zażyłość zapanowała między mieszkańcami naszego wagonu. Razem chodziliśmy na obiad, wieczorem pijali herbatę w wagonie, a potem do godziny zwykle jedenaście śpiewaliśmy chórem narodowy amerykański „Georgia-marsh”, potem Murzyn Charles urządzał łóżka i szliśmy spać.

We dnie program również był postanowiony. Rano: strzelanie z rewolwerów; nagroda dam: pomarańcza. Udało mi się pozyskać ją zaraz drugiego dnia. Po strzelaniu spacer koło wagonów i turniej damski polegający na chodzeniu po szynach. Dama, która najdłużej utrzyma się na szynie i przejdzie największy kawał drogi, otrzymuje nagrodę dżentelmenów: pomarańcze.

Trzeba było widzieć nasze ladies, jak podkasawszy sukienki szły z sobą o lepsze i obsuwały się co kilka kroków na ziemię.

Na koniec czwartego dnia ktoś puścił wieczorem wieść, że w nocy pojedziemy. Z radości zaimprovizowaliśmy pick-nick, który odbył się bardzo uroczyście u piekarza; potem, pełni najlepszej nadziei, położyliśmy się spać i nazajutrz rankiem rozbudzili się... w Tuano.

Tym razem upadliśmy już na duchu, bo groziło nam jeszcze i inne niebezpieczeństwo. Oto w Tuano kończyły się zapasy żywności. Był jeszcze dostatek sucharów, cukru, kawy, herbaty i kalifornijskich jabłek, ale mięsa poczęło już brakować, przyjść zaś z Ogden nie mogło, bo i od Ogden droga była zasypana.

Na szczęście tegoż dnia wieczorem przyszła już pewna, bo telegraficzna wiadomość, że lokomotywy z pługami rozbiły na koniec śniegi i że za chwilę będą w Tuano.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy nadeszły. Był już wieczór, i wieczór ciemny bardzo, tylko odbłask od śniegów rozpraszał ciemność. Nagle usłyszeliśmy z dala lokomotywy, a wkrótce ujrzeliśmy je w pomroce. Był to raczej cały pociąg złożony tylko z maszyn. Pierwsza z nich, uzbrojona olbrzymim pługiem, cała obsypana śniegiem, nosiła na sobie wyraźne znamiona ciężkiej pracy. Zbliżały się bijąc we dzwony, hucząc, gwiżdżąc, sypiąc snopami iskier z kominów i buchając kłębam dymu. Ten gwar, bicie we dzwony, szum pary i odgłos gwizdania dziwnie majestatycznie sprawiły wrażenie. Zdawało się, że czarne te potwory święcą w ten sposób tryumf, że są to głosy radości po trudnej walce i zwycięstwie; zdawało się, że lokomotywy są zmęczone i zziębnięte, wściekłe jeszcze po walce, ale pijane własną siłą i radosne. Sądziłbyś, że żyją i czują, a owe odgłosy tryumfu powiększały jeszcze złudzenie. Jakaś nieopisana potęga biła od tego czarnego korowodu maszyn i kominów, który przesunawszy się koło nas na kształt szeregu olbrzymich, powracających jak gdyby z rui zwierząt, nikł i topniał z wolna w ciemnościach jak nocne olbrzymie widziadło.

Gwar tylko, huk i bicie we dzwony dochodziły długo jeszcze naszych uszu z ciemnej od dali, potem wagony nasze zadrgały, potem uderzyły o siebie i posunęły się z wolna naprzód.

Wkrótce byliśmy już w Nevadzie, którą jechaliśmy jeszcze cały dzień i noc następną.

Gdyby Gustaw Doré urodził się w Ameryce, powiedziałbym, że wzory do swych krajobrazów piekła brał z okolic, które przebywaliśmy teraz. Nic tak nie przygniata duszy ciężarem, nic tak nie przejmuję zwątpieniem i zniechęceniem, jak te szeregi nagich, czarnych skał otaczających równinę, przez którą przechodzi pociąg. Wyobrażam sobie, że tak muszą wyglądać umarłe pola księżycy. Bo też istotnie wszystko tu jest umarłe. Roślinności ani znaku, ani jednego nigdzie żywego stworzenia, skały zdają się trupami skał, płaszczyna – jednym wielkim cementarzem. Chwilami nawet przychodzi na myśl, że cała ta kraina śpi jakimś martwym, letargicznym snem, że to kraina zaklęta i przeklęta przez złego ducha. Jedziesz i jedziesz cały dzień, a krajobraz nie zmienia się wcale; wiecznie ta płaszczyna chłodna, zdrętwiała otwiera się przed tobą w nieskończoność, a po bokach ciągle także same uśpione albo martwe góry. Do zniechęcenia przybywa jeszcze uczucie nudy i zdaje ci się, że i ciebie sen ogarnie także, że uśnie wszystko i czekać będzie przebudzenia wieki całe w głębokiej i nieprzerwanej ciszy.

Nawet nazwy w tej dziwnej krainie smutne są jakies i złowrogie. Oto na prawo od pociągu te posępne góry nazywają się Battle Mountains, czyli Górami Bitwy. A i ta cała płaszczyna to ciągle pole walk, które niedawno jeszcze toczyły się między białymi a Indianami. Do wszystkich miejsc przywiązane jakies smutne wspomnienia. „Tu wyróżnił całą karawanę pionierów” – mówi ci świadomy miejscowości podróżnik. Tam znów zginęło od razu do dwustu Indian; tam zaduszono ich dymem w pieczarach. A to co znowu? Mogiła, naokół grobu czarne sztachety i krzyż z napisem: „Jenny...”

Kto to była ta Jenny? Jakaś biedna dziewczyna! Nazwisko jej stoi wypisane także na krzyżu, ale uleciało mi już z pamięci. Zdarzyło się przed kilkunastu laty, kiedy jeszcze nie istniała kolej, że śnieg zasypał w tym miejscu karawanę podróżnych. Wszyscy upadli na duchu; dzieci i kobiety pochorowały się na tyfus; głód doszedł do najwyższego stopnia. Wówczas to Jen-

ny chodząc od namiotu do namiotu pielęgnowała chorych i krzepiła upadłych. W nocy rozpałała ogniska, we dnie wygrzebywała mech spod śniegu i gotowała go na pokarm; słowem: była aniołem opiekuńczym obozu. Ale potem upadła pod brzemieniem: rozchorowała się sama i umarła – inni ocalili, bo ratunek nadszedł tego samego dnia jeszcze, w którym skoła Jenny. Wdzięczni pionierowie usypali jej mogiłę i postawili na niej krzyż. Dziś stoi on koło samego nasypu kolei, tak że z wagonu można przeczytać na nim napis.

Oto jest historia Jenny. Przejeżdżaliśmy koło jej grobu w południe, wieczorem zaś przybyliśmy do wielkich słonawych jezior leżących już na zachodnim krańcu Nevady. Jedno z nich nosi nazwę Humbold Lake, drugie – Pyramid, trzecie – Tahoe, czwarte – Walker. W bliskości ich brzegów grunt pokryty jest wszędzie solą i prawie zupełnie pozbawiony roślinności. Krajobraz nie różni się wiele od poprzedniego, wody te bowiem, szare, nieruchome, mało przezroczyste, wydają się również jak gdyby ujęte snem zaklętym.

Zima widocznie tu także długa i ostra: miejscami śnieg leżał na płaszczyźnie; wierzchołki gór całkowicie były nim ubielone; ustawicznie przy tym dał ostry i przenikliwy wicher, który wnikał nawet do wagonów migotając płomieniami lamp. Wyszedłszy na chwilę na platformę, wróciłem zziębnięty i zniechęcony do najwyższego stopnia. Jeżeli i Kalifornia podobna jest do Nevady, myślałem sobie, po cóż do niej pędzę przez całe dnie i noce? czyż po to, aby ujrzawszy ją jutro, marznąć, zniechęcić się i rozczarować tak, jak dzisiaj?

Z tą myślą, strudzony na ciele i umyśle, udałem się na spoczynek. W nocy marzyło mi się, że jeszcze stoimy w Tuano, dlatego budziłem się co chwila; na koniec, gdy pierwsze promienie słońca zajrzały przez zielone firanki sleeping-caru, ubrałem się i wyszedłem przed wagon.

Z początku zdawało mi się, że śnieg jeszcze. Nevada razem ze swymi dantejskimi widokami, z zimą i mroźnym wichrem – znikła; byłem w lasach, w ślicznych, rozrostłych na górach sosnowych lasach, wesołych, wonnych i jak gdyby uśmiechniętych w różanych promieniach poranku. Ciepły wiosenny oddech oblewał łagodnie moją twarz. Nade mną rozpościerało się błękitne niebo; tysiące strumieni szemrało po górach; w lasach brzmiał świergot ptactwa; boki czerwonej skały, wśród której szedł pociąg, pokryte były kwieciami połyskującym rosą nocną; słowem: wszędzie wiosna i przebudzenie, i życie, i wesele.

Byliśmy w Kalifornii.

Pociąg spuszczał się szybko po zachodnich stromych stokach Sierra Nevada. Wkrótce, co żyło, wyległo na platformy wagonów; na wszystkich twarzach znać było radość i zachwyt. Ludzie uśmiechali się naturze, natura ludziom. Okolice stawała się coraz wdzięczniejszą; nigdzie nie widziałem dotąd takiego bogactwa barw i takiej zarazem ich harmonii. Niebo błękitne jak we Włoszech, ciemnozielone lasy, jaśniejsze doliny porośnięte trawą, czerwone skały – wszystko to mieni się i gra w słonecznych blaskach jak tęcza. W głębokich przepaściastych wąwozach, nad których samym brzegiem przechodzi Unia kolei, szumiały obfite wody wiosenne. Tu i ówdzie widać było długie, drewniane śluzy, ciągnące się całymi milami, w których przemywają złoto. Grupy Chińczyków o czarnych, długich warkoczach uwijały się koło śluz sypiąc w nie złotodajny piasek i ziemię. W dolinach, na ciemnym tle lasów, białaty białe domki farmerów; stada krów i owiec, malowniczo rozrzucone po pochyłościach gór, pasły się wśród trawy i kwiatów; czasem mignął jeździec siedzący na wysokim siodle, z lassem okręconym wokół kuli, i zniknął w skrętach lesistej drogi.

W miarę jak spuszczaaliśmy się na dół, kraj stawał się coraz piękniejszy i coraz widoczniej południowy; przed domkami stojącymi tuż przy linii widać było ogromne kaktusy i inne rozwinięte już i okryte powodzią kwiatów drzewa; mnóstwo nie znanych mi wielkich roślin wiło się naokoło drogi lub czepiało się śluz pokrywając je miejscami prawie zupełnie. Na koniec góry znikły, a natomiast wjechaliśmy w łąki porośnięte tu i ówdzie ogromnymi dębami. Niektóre z tych łąk stały pod wodą, inne tak były okryte przez tulipany, że prawie nie widać było trawy. Nad wodami unosiło się tysiące dzikich kaczek, cyranek i nurków. Na polach ogrodzonych wszędzie płotami, widziałem całe stada zajęcy, które uciekały w podskokach za zbliże-

niem się pociągu lub też chowały się w trawę wystawiwszy z niej tylko uszy i wąsy; różnobarwne ptactwo przelatywało z drzewa na drzewo, napełniając radosnym gwarem powietrze.

O godzinie jedenastej w południe przybyliśmy do Sacramento, stolicy Kalifornii. Na dworcu czekały całe tłumy ludzi pragnące zobaczyć pociąg, który niedawno wydostał się z niewoli śniegowej. W tłumie tym kręciło się mnóstwo Chińczyków o przyplaszczonych nosach i długich, sięgających ziemi warkoczach, zakończonych splotami czarnego jedwabiu. Wyszedszy z wagonu, przypatrywałem im się z ciekawością, która zdawała się ich bawić, uśmiechali się bowiem poznając zapewne we mnie cudzoziemca, który ich po raz pierwszy w życiu widział.

Po kwadransie przestanku ruszyliśmy dalej. Droga szła przez parę minut tuż prawie nad brzegiem złotodajnej Sacramento River, która z wiosną bogata w wodę, toczyła poważnie swe czerwone fale zalewając brzegi, a nawet i domki stojące niedaleko brzegów. Po chwili jednak rzeka znikła nam z oczu a natomiast po obu stronach drogi ukazały się niewielkie wzgórza pokryte kwiatami i zielonością. Kraj stawał się coraz ludniejszy, farmy coraz gęstsze, a kultura coraz staranniejsza. Chwilami zdawało mi się, że jestem w Saksonii lub Belgii, ale gorące promienie słoneczne, widok roślin, które w tamtych krajach za egzotyczne uchodzą, wywodził mnie natychmiast z błędu.

Na koniec po kilku lub więcej godzinach drogi na krańcu widnokregu błysnęły błękitne fale morskie. Sądziłem, że to już Ocean Spokojny, była to jednak tylko jedna odnoga, nad którą leży San Francisco i jego przedmieście Oakland, które minęliśmy nie zatrzymując się wcale. Pociąg pędził dalej jak szalony i łatwo wystawić sobie moje zdziwienie, gdy wyjrzawszy oknem ujrzałem po obu stronach wagonów fale morskie, dzikie kaczkę i mewy, słowem: gdy ujrzałem się razem z pociągiem po prostu na morzu, a raczej na długim z półtorej lub dwie mile drewnianym moście, którego końca nie mogłem nawet dojrzeć z platformy. Wyznając, że ten sposób podróży wydał mi się cokolwiek zanadto amerykański, zwłaszcza że nie wiedziałem, jak długo przyjdzie nam tak podróżować. Na koniec jednak w połowie zatoki most skończył się i pociąg stanął: podróż nasza również była skończona. Pozostawało tylko wsiąść na parowiec i przebyć drugą połowę zatoki, na przeciwległym brzegu której we mgle morskiej szarzało widne już dla oka San Francisco.

Opis tego miasta, jak również opis całej Kalifornii odkładam do następnych listów.

Pisałem w południowej Kalifornii, w górach Sierra Madre.

VI

SZKICE AMERYKAŃSKIE

I

Demokracja w Europie i w Ameryce • Zasada demokracji amerykańskiej • Szacunek pracy • Szkoły • Szkoły elementarne i wyższe • Uwaga publiczna • Zakres nauczania niższego • Równomierny rozdział oświaty • Brak różnic • Obyczaje • Świat niższy i wyższy w Europie • Brak tych światów w Stanach Zjednoczonych • Demokracja w praktyce • Trochę cyfr odnoszących się do Prus • Kto bliżej ideału ? • Moralność publiczna • Urzędnicy • Kresy amerykańskie • Tworzenie się społeczeństw • Siła postępu • Wyższa oświata i zamożność rodzi wyższą moralność • Przecięciowa zamożności • Bieda nie jest nędzą • Korespondencje z Ameryki • Moje listy

W obecnym liście powiem znów kilka słów o społeczeństwie amerykańskim i o różnicach tego społeczeństwa od europejskiego. Różnice te tak są wielkie i tak zasadnicze, że skutkiem nich nie tylko budowa społeczna Stanów Zjednoczonych, ale i w ogóle życie i obyczaje mieszkańców tego państwa dla świeżo przybyłego Europejczyka są niezrozumiałe. Weźmy na przykład demokrację tutejszą i europejską. Pierwsza od drugiej różni się przynajmniej o tyle, o ile praktyka od teorii. W Europie każde państwo, w którym prawo wyborcze jest dla wszystkich jednakowe, a procent od dochodu stanowi podstawę opodatkowania, nazywa się demokratycznym. Z tego określenia wypada, że w Europie, zwłaszcza na Zachodzie, istnieje większość państw demokratycznych. Nie na różnicach jednak wyłącznie instytucyj oparta jest odrębność demokracji amerykańskiej od europejskiej i aby tę odrębność we właściwym świetle okazać, zauważę przede wszystkim, że demokratyczne państwo nie jest jeszcze bynajmniej demokratycznym społeczeństwem i że o ile pierwsze napotykamy w Europie często, o tyle drugie nie istnieje prawie wcale.

Jako przykład przytoczę Francję. Nikt nie zaprzeczy, że od czasów wielkiej rewolucji budowa tego państwa jest demokratyczną, a jednak każdy zgodzi się ze mną, że mimo napisów na wszystkich kościołach: „Egalite, Fraternite” etc., pierwszy z tych wyrazów w sensie nie państwowym, lecz obyczajowym, jest tylko bajką Lafontaine’a. Czyż bowiem doktor, kupiec, urzędnik, robotnik prosty, wieśniak, żołnierz, nauczyciel, bankier są w życiu towarzyskim i w praktyce tego życia sobie równi? Czyż we Francji, jak zresztą i wszędzie, nie istnieją obok siebie dwa światy, odrębne i tak zamknięte jeden dla drugiego, jak kasty indyjskie: świat ludzi prostych, świat bluz i sukman – i świat ludzi wykształconych, wykwinny, estetyczny, pański? Czyż na koniec ludzie należący do tego drugiego świata nie uważają siebie istotnie za coś lepszego od należących do pierwszego? Niepodobna temu zaprzeczyć, tak jak każdej oczywistości. Co więcej, takie stosunki rozwinęły się, bo musiały rozwinąć się na mocy historycznej

i ekonomicznej konieczności. Są one naturalne, bo odpowiadają rzeczywiście istniejącym różnicom społecznym.

W Ameryce jest inaczej. Demokracja tu nie tylko jest państwowa, ale i obyczajowa: nie tylko istnieje jako instytucja i teoria, ale jako praktyka. Tu ludzie rozmaitych wymienionych przeze mnie stanów są istotnie i najprawdziwiej sobie równi: mogą ze sobą żyć, mogą się ze sobą przyjaźnić, należą do jednego towarzystwa, siadają przy jednym stole; słowem: nie stoją na różnych szczeblach drabiny społecznej po prostu dlatego, że tu drabiny i szczebli nie ma wcale, jest tylko jeden poziom, na którym stojąc, nikt nikogo głową nie przenosi. Ów podział na świat ludzi prostych i nieprostych nie istnieje w Stanach Zjednoczonych i istnieć nie może dla wielu rozmaitych powodów, o których pokrótce nadmienię.

Jest jedna główna zasada demokracji obyczajowej, to jest poszanowanie pracy. Tam gdzie każda praca jest jednakowo szanowaną i jednakowo świętą, tam nie ma racji dzielić przedstawicieli prac na niższych i wyższych społecznie. Otóż my, Europejczycy, nie mamy i nie możemy mieć najmniejszego pojęcia, do jakiego stopnia wszelka praca szanowaną jest w Ameryce. Pod tym względem Amerykanie mają niezaprzeczoną wyższość nad każdym społeczeństwem europejskim. Powiedzmy prawdę, że u nas owe teorie o równości pracy są czczyimi frazesami nie budzącymi żadnego echa w praktyce. U nas człowiek należący do owego świata wyższego, jeśli okoliczności narzucą mu jako jedyny sposób życia pracę ręczną, mimo wszystkiego, co się mówi i pisze, zniża się w opinii własnej i ludzkiej; po prostu traci swoją kastę, zrywa wszelkie węzły łączące go z warstwą, do której poprzednio należał, i przechodzi do tak zwanych niższych klas społeczeństwa. W Ameryce nie ma to miejsca. Tu, prawdę rzekłszy, klasy społeczne w sensie europejskim nie istnieją; istnieje tylko rozmaity business, ale dżentelmen, który zajmuje się wyrabianiem obuwia, jest równie szanowany, jak dżentelmen trudniący się adwokaturą, dla tej prostej i niezachwianej przyczyny, że opinia nie robi najmniejszej różnicy w poszanowaniu szewstwa i adwokatury. Nauczcie się w Europie szanować tak pracę, a porównacie ludzi nie tylko państwowo, ale i obyczajowo lepiej jak wszelkie instytucje.

Owo niesłychane poszanowanie pracy to pierwszy powód, dla którego nie istnieje tu podział na dwa światy, a zarazem klucz do zrozumienia demokracji amerykańskiej, która początkowo wydaje się po prostu niepojętą. Da się wytłumaczyć ów szacunek i historycznie, i ekonomicznie. Przyczyna historyczna leży w tym, że tutejsze społeczeństwo wytwarzało się z wychodźców, należących do niższych, po największej części rzemieślniczych klas narodu, które zawsze utrzymywały się jedynie z pracy ręcznej; przyzwyczajone więc były w niej widzieć główną wartość człowieka i najdzielniejszą swą broń, i największą zasługę. Co się tyczy przyczyny ekonomicznej, równie ona jasna i naturalna. Mała liczba ludzi w stosunku do niezmiernych obszarów kraju i wielka ilość potrzeb, których z powodu braku rąk zaspokoić było niepodobna, wyrobiły niesłychaną cenność każdej pracy, a stąd otoczyły ją nie istniejącym nigdzie uznaniem, które przeszło i na jej przedstawicieli. Mówiąc językiem handlowym: popyt na pracę przenosił dziesięciokrotnie jej podaż, bezpośrednim skutkiem czego była wysoka jej cena nie tylko materialna, ale i moralna. To objaśnia wszystko. Ten nierówny stosunek pomiędzy żądaniem pracy a ofiarowaniem jej istnieje do dziś dnia w większości stanów, a zatem do dziś dnia nie zmienia się i jej uznanie, które nadto ze świadomością jest podtrzymywane przez opinię publiczną i wychowanie, jako główny i szczególniejszy przymiot narodowy.

Z drugiej strony, przy samorządzie, który pozwala na to, aby dane usposobienie ogółu odbijało się natychmiast i w instytucjach, możliwym było zaprowadzenie urzędów państwowych w duchu tego poszanowania pracy, a zatem w duchu czysto i wyłącznie demokratycznym. Do takich instytucji publicznych należą przede wszystkim szkoły. W Europie, mimo iż zrozumiano od dawna potrzebę oświecenia klas niższych, główna uwaga jednak zwrócona jest nie na szkoły elementarne, mające na celu oświatę, ale na zakłady naukowe wyższe, po-

święcone naukom ściśle wziętym. Ale nie trzeba dowodzić, że owe wyższe zakłady nieprzystępne są prawie zupełnie dla większości klas społecznych stanowiących tak zwany świat prosty, czyli że wychowanie państwowe ma na celu przeważnie nie cały naród, ale tylko świat wyższy, inteligentniejszy, pański. Wytwarza to istotnie takie różnice w rozwinięciu umysłowym ludzi, że wobec nich równość towarzyska i obyczajowa jest niemożliwa.

W Ameryce znowu jest inaczej. Szkoły mają na celu nie tyle naukę, ile ogólną oświatę. Istnieją wprawdzie wyższe specjalne zakłady naukowe, ale uwaga społeczna jest zwrócona głównie na szkoły elementarne, w których uczy się cały naród. Dlatego też można powiedzieć, że nauka stoi, na ogół wzięwszy, niżej w Stanach Zjednoczonych niż w Europie – oświata zaś bez porównania wyżej. Rozlewa się tu ona niezmiernie szeroko i obejmuje wszystkich bez żadnego wyjątku. Dodać należy, że i zakres nauczania elementarnego jest tu nierównie szerszy niż w Europie. Szkoła elementarna nie tylko uczy czytać i pisać. Każdy Amerykanin wynosi z niej prócz sztuki czytania i pisania pewne wiadomości z dziedziny matematyki, geografii, nauk przyrodzonych i wreszcie nauk państwowych. Dalszym kształceniem jego zajmują się gazety i praktyka społeczna. Łatwo zrozumieć, że obywatel, który jest wyborcą, który należy do pewnej partii i którego interesy najbezpośredniej z losami tejże partii są związane, przez samo ocieranie się o życie polityczne i przez bezpośredni w nim udział wyrabia w sobie nie tylko już pewne specjalne wiadomości i poglądy, ale zgoła wyższą inteligencję i wyższe rozumienie wszystkiego, co go otacza.

Skutkiem tego, człowieka tak ciemnego, jak każdy „prosty człowiek” w Europie, jak np. nasz chłop albo francuski, trzeba by tu szukać chyba między wyzwolonymi niedawno Murzynami. Tu z pierwszym lepszym z brzegu farmerem, rzemieślnikiem, furmanem lub majtkiem możesz pogadać choćby i o rozmaitych formach rządu, o polityce zagranicznej, o monecie papierowej i brzęczącej, słowem: o czym chcesz, byle nie o literaturze i sztukach pięknych. O wszystkim tym słyszał w szkołach, czytał w gazetach, nad wszystkim musiał się zastanawiać, jako wyborca; słyszał wreszcie tysiące mów politycznych, „spiczów” republikańskich i demokratycznych, w których mu każdą rzecz pokazywano ze wszystkich stron i kładziono jak łopata w głowę. Poglądy jego nie zawsze będą głębokie, czasem mogą nawet zdradzać przyrodzoną głupotę, nigdy jednakże nie zdradzą absolutnej ciemnoty. Nie ma w tym, co mówię, najmniejszej przesady. Każdy przeciętny Amerykanin jest człowiekiem nie uczonym, ale rozwiniętym, i takiego odskoku między umysłami, na jaki co krok trafiamy w Europie, tu nie spotykamy nigdzie.

Krótko mówiąc, oświata rozlana tu szerzej, a wydział jej bez porównania więcej równomierny. Ludzie tu są bliźsi sobie umysłowo, porozumienie się więc między nimi jest łatwiejsze. Specjalność, osadzona na takim gruncie, nie może już być powodem do wynoszenia się jednych nad drugimi, bo jeżeli np. doktor ma rozmaite wiadomości, których nie posiada szewc, to za to doktor nie umie robić obuwia; obaj jednak są ludźmi rozwiniętymi, wobec czego specjalności ich schodzą do znaczenia odrębnych tylko businessów, nie mogących wpływać na wzajemne stosunki.

Oto drugi powód umożliwiający towarzyską i obyczajową równość między ludźmi.

A teraz przejdźmy do trzeciego.

W Europie świat w y ż s z y różni się od świata n i ż s z e g o nie tylko zajmowaniem się pracą więcej umysłową, nie tylko zamożnością, nie tylko wykształceniem, ale także i uobyczajaniem. Wypływa to koniecznie jedno z drugiego. Istotnie obyczaj wykwintny, estetyczny, jakby dawniej powiedziano: trefny, może zaszcześcić się i przyjąć tylko na gruncie przygotowanym odpowiednio. Ta delikatna roślina potrzebuje niezmiernie starannej uprawy umysłowej umożliwiającej subtelne poczucie wszystkiego, co jest estetycznym, przyzwoitym i wykwintnym, a co grubym i nieokrzesanym.

W Europie też, w świecie wyższym, w którym istnieją odpowiednie warunki, uobyczajanie towarzyskie doszło do tego stopnia wysokości, o jakiej Ameryka marzyć jeszcze nie może.

Oto dlaczego świeżo przybyłemu Europejczykowi Amerykanie, ze swymi przyzwyczajeniami, ze swoim zuciem tytuniu i zakładaniem nóg na okna, wydają się narodem barbarzyńskim.

Cywilizacja obyczajowa, jeśli będziemy brali pod uwagę tylko kulminacyjne jej punkta albo mówiąc czysto po polsku: szczyty, wyżej stoi w Europie. Ale też za to, jakaż przepaść odzierała w naszym Starym Świecie uobyczajanie wyższych klas narodu od niższych! Weźmy dwornego kawalera i postawmy go obok chłopca, a będzie się nam zdawało, że ci ludzie z dwóch różnych planet pochodzą: różnica będzie tak silna, że znowu, gdybyśmy za miarę cywilizacji obyczajowej chcieli brać obyczaje niższych warstw narodu, moglibyśmy powiedzieć, że cywilizacja obyczajowa niżej stoi w Europie niż w Ameryce. Stoi więc niżej i wyżej, czyli zważywszy wszystko, dochodzimy do tej samej wypadkowej, do której doszliśmy mówiąc o oświacie, to jest, że w Europie udział w uobyczajaniu rozmaitych warstw narodu jest do najwyższego stopnia nierównomierny: na dolę jednych przypadło wszystko – na dolę drugich nic. W Ameryce, tak samo jak nie ma zbyt wielkich różnic w oświacie, tak nie ma ich i w obyczajach. Taż sama logika, która w Europie wytwarza te różnice, tu je znosi. Obyczaj nigdzie nie jest tak wykwintny, jak w wyższym świecie europejskim; nigdzie zaś tak pierwotny i nierozwinięty, jak w niższym. Jest to trzeci powód równości obyczajowej i towarzyskiej między ludźmi.

Rozumiejąc te trzy powody, to jest: 1. poszanowanie pracy, 2. brak zbyt wybitnych różnic w wykształceniu. 3. brak zbyt wybitnych różnic w obyczajach – można dopiero zrozumieć demokrację amerykańską i w ogóle amerykańskie życie. Pamiętam, że kiedy przed kilkoma miesiącami wynajęty furman, który miał nas zawieźć do jednego z milionowych farmerów, po przybyciu na miejsce, zamiast zostać przy koniach, wszedł z nami razem do salonu i siadłszy na kanapie, począł bawić córkę gospodarza domu, w mojej europejskiej głowie fakt ten nie chciał się żadną miarą pomieścić, tym bardziej że nie umiejąc jeszcze po angielsku, nie mogłem ocenić jego rozmowy. A jednak miejscowym wydało się to zupełnie naturalnym, bo dla nich furman, jako furman, był tylko dżentelmenem mającym swój business w utrzymywaniu koni, zresztą równym zupełnie każdemu innemu obywatelowi Stanów Zjednoczonych. Dziś już i mnie nie zdziwiłby fakt podobny; wiem bowiem, że jeżeli milioner amerykański stoi niżej w wykwintności obyczajów od milionera europejskiego, za to furman amerykański stoi dziesięciokrotnie wyżej od furmana europejskiego.

Taż samą zasadą mniej więcej posuniętej równości intelektualnej i obyczajowej tłumaczą się tu tysiączne inne fakta codziennego życia, na które świeżo przybyli podróżnicy europejscy wytrzeszczają zdziwione oczy. Służący zasiadają tu wszędzie do stołu razem ze swymi pracodawcami i nie tworzą bynajmniej innego towarzystwa; na balach publicznych wiejskich postrojone córki farmerów tańczą z parobkami swych ojców jako z dżentelmenami zupełnie na równi stojącymi ze sobą towarzysko; konduktorowie na kolejach żelaznych w chwilach wolnych od służby bawią wykwintne podróżujące damy; garsonowie w restauracjach gawędzą na stopie zupełnej równości z gośćmi; słowem: nigdzie prawie różnicy, wszędzie jeden ogół, jedno wielkie towarzystwo, do którego cały naród należy, i wszędzie stosunki tego rodzaju, iż początkowo zdaje się, że tu ludzie uwzięli się, żeby we wszystkim postępować odwrotnie jak w Europie.

Dalej, owo poszanowanie pracy, o którym poprzednio wspominałem, pozwala, aby ludzie zajmowali się wszelką pracą bez ubliżenia sobie ani swojej godności, ani na koniec swojej pozycji socjalnej. Bardzo wielu wysokich nawet urzędników obok swych urzędów trudni się to handlem, to przemysłem, to na koniec rzemiosłem, o tyle oczywiście, o ile czas im na to pozwala. Po wyjściu z urzędu każdy bez wyjątku chwyta się za jakiś business, w wyborze którego nie zważa wcale, czym był poprzednio. Sam znam w San Francisco byłego pełnego generała dywizji i byłego wojennego gubernatora stanu Georgia, który obecnie ma wielki szynk piwa, wódek etc., i własnoręcznie podaje nieraz kufle i kieliszki swoim gościom. Przyznacie, że według europejskich pojęć jest to coś niepodobnego prawie do wiary; ale tu jeśliby

dziwili się czemu, to chyba zdziwieniu europejskiemu nad rzeczą tak prostą i naturalną. Takich generałów, gubernatorów etc. naliczyć by tu można bardzo wielu, tym bardziej że urzędowanie w Ameryce nie trwa zwyczajnie dłużej nad lat kilka, zatem jest i wielka liczba dymisjonowanych.

Przytaczam te fakty jeszcze i dlatego, aby zwrócić uwagę czytelników, jak takie chwytnie się wszelkich ludzi za wszelką pracę dzielnie przyczynia się także do podtrzymania równości w obywatelskim i prywatnym życiu. Rzeczywiście, jakże ktoś może wynosić się tu nad szynkarza, korzennika, rzemieślnika wreszcie, skoro ten ostatni wczoraj był gubernatorem lub zasiadał w senacie, a jutro, jeśli partia, do której należy, stanie się większością i obejmie rząd kraju, znowu będzie piastował jaki równie znakomity lub znakomitszy jeszcze urząd! Tak więc wszędzie i we wszelkich stosunkach szacunek pracy rodzi równość, równość podtrzymuje z kolei ten szacunek; równość obyczajowa i intelektualna znosi różnice w życiu, słowem, przerobiwszy łańskie przysłowie: *Abysus abyssum provocat*, można z zupełną słuszością powiedzieć o Stanach Zjednoczonych i ich demokracji, że tu *aequalitas aequalitatem provocat*.

Doprawdy, wobec tego, gdyby mnie kto zapytał: które społeczeństwo wyrobiło doskonałą cywilizację? – wyższość bez wahania przyznałbym Amerykanom. W Europie obejmuje cywilizacja tylko niektóre klasy społeczne, a raczej jedną, która zagarnia i chłonie w sobie wszystko. Cały świat istnieje tylko w niej i dla niej, nauka i wiedza jest wyłącznie jej udziałem; poezja, sztuki, ruch umysłowy, słowem: wszystko, co życie czyni prawdziwie pięknym, wzniosłym i duchowym, co stanowi prawdziwie ludzką, estetyczną i intelektualną stronę tego życia, istnieje tylko w niej i dla niej, a spełnia się tylko przez nią. Poza nią nikt nic nie wie, nikt nic nie umie. Ów świat wyższy pisze, sądzi, mówi, wytwarza opinię społeczną, wydaje dzienniki, napełnia galerie obrazów, biblioteki, teatru; słowem: jest całą cywilizacją, poza którą istnieje ogromna, mętna fala ludzi żyjąca życiem mniej więcej fizycznym, nieuobyczajona, ciemna, gruba.

Gdybyż przynajmniej do owego świata wyższego w każdym społeczeństwie europejskim należały całe miliony ludzi: połowa, czwarta, ósma, dziesiąta wreszcie część ogólnej liczby – można by przynajmniej powiedzieć, że zakres jego nie jest zbyt szczupły. Ale zobaczymy, że tak nie jest. Wprawdzie obliczyć dokładnie, kto należy do świata wyższego, a kto do „prostego” – trudno, można jednak postawić cyfry przybliżone wzięwszy za podstawę większą lub mniejszą zamożność pojedynczych jednostek. Podstawa taka będzie racjonalna, gdyż łatwo zrozumieć, że kształcić się tak naukowo, jak i estetycznie mogą ci tylko, którym pozwalają na to środki. Otóż mam w tej chwili pod ręką niezmiernie ciekawą książkę, w której przytoczony jest urzędowy pruski wykaz z roku 1851, uczyniony przy wprowadzeniu podatków od dochodu⁴. Z wykazu tego okazuje się, że w całych Prusach, mających naówczas siedemnaście milionów mieszkańców, tylko 44 408 osób miało więcej jak tysiąc talarów rocznego dochodu. Przyjmując dla okrągłości cyfrę 50 000, czy wiecie, czytelnicy, co ta cyfra znaczy? Oto, że naukę, literaturę, sztuki piękne, opinię publiczną, uobyczajenie, słowem: całą tę kwintesencję wysokiej cywilizacji, z której Prusy tak są dumne i która za cywilizację całego narodu się uważa, w roku 1851 przedstawiają w tych Prusach 200 000 rodzin, co przy powszechnym upadku zamożności pomimo wzrostu ludności będzie zapewne cyfrą przesadzoną, to znaczy, że reszta, to jest miliony, przedstawiają ów świat ludzi prostych, których przy całym rozwoju nauczania elementarnego w Prusach przepaść oddziela od świata wyższego i jego cywilizacji. W demokratycznych Stanach Zjednoczonych zupełnie jest inaczej.

Tu tak wiedza w ogóle, jak i uobyczajenie nie dochodzi może w pojedynczych indywidualach ani klasach do takiej wysokości, za to jednak tak pierwsze, jak i drugie rozlewa się, jak już mówiłem, bez porównania szerzej i powszechniej. Oto, co nazywa się demokracją amery-

⁴ Cyfry te podał urzędowy ad hoc komitet, zostający pod prezydencją rzeczywistego tajnego radcy Dieterici.

kańską. A teraz powiem tylko tyle: jeśli wysoka cywilizacja nie zapewnia szczęścia, tedy należy ją odrzucić i wrócić do czasów, w których ludzie chodzili na czworakach; jeśli zaś, jak powszechnym jest mniemaniem, zapewnia – to musimy przyznać, że i dola społecznego szczęścia, na ogół wzięwszy, w Ameryce bez porównania jest większą niż gdziekolwiek w Europie, czyli że demokracja amerykańska najbliższej jest owego społecznego ideału, za którym uganiamy się od wieków.

Tyle o demokracji amerykańskiej. Jest to aż nadto dosyć, jak na list, który ma być felietonem, nie zaś wyczerpującym studium społecznym. Wobec tego, co powiedziałem, można zrozumieć dokładnie życie amerykańskie w jego różnicach od europejskiego; czytelnik mógł wyrobić sobie pewne pojęcia nie tylko o samej demokracji amerykańskiej, ale zarazem o przyczynach umożliwiających jej rozwój. Teraz pomówimy trochę o moralności tego społeczeństwa.

O wielkich złodziejstwach w tutejszej administracji mówiłem już w poprzednich listach, jak również nadmieniałem o ich przyczynach, które leżą w tym, że każdy urzędnik póty tu zajmuje swój urząd, póki jego partia przedstawia większość rządzącą. Zmienia się partia, zmieniają się natychmiast i urzędnicy; tak więc urzędnik, który dla obowiązków urzędu porzuca swój business, to jest swój sposób życia, wie, że po kilku latach urząd ten straci. Wobec tego ludziom tym pozostaje tylko jedno: kraść; kradną też tak gorliwie, jak tylko umieją.

Jest to wada maszyny rządowej, ale właśnie dlatego za wskazówkę moralności całego narodu brać tych nadużyć niepodobna, tym bardziej jeszcze, że urzędnicy tu ani nie mają tego znaczenia, ani nie przedstawiają stosunkowo tak wielkiej cyfry, jak gdziekolwiek przy innych formach rządu w Europie.

Co do przeciętnej moralności narodu, dla oceny jej innej należy szukać podstawy. Ze wszystkich prawd społecznych najmniej podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą rozwój i moralności. Kto nie wierzy, niech weźmie statystykę przestępstw pierwszego lepszego społeczeństwa i niech zobaczy, ile ich spełnia się przez ludzi pozbawionych wszelkiej oświaty, ile przez umiejących czytać i pisać, ile przez wyżej wykształconych. Ale jeśli tak się rzeczy mają, to ponieważ ogólna oświata stoi najwyżej w Ameryce, najwyżej więc stoi i moralność. Tak też jest w istocie. Zastrzegam tylko, że nie mówię o miastach portowych, w których wielką ilość wykroczeń popełniają emigranci świeżo przybyli z Europy i popychani do tego nędzą. Jasnym jest, że wykroczeń tych na karb społeczeństwa amerykańskiego brać niepodobna. Nie mówię także o stosunkach na pograniczach indyjskich, czyli na kresach. Na kresach bowiem nie istnieje żadna organizacja społeczna: nie ma miast, instytucji, praw; słowem, są to krainy dzikie, w których jednostka, zostawiona samej sobie i swemu karabinowi, nie żyje społecznie. Żadne zatem dobro ogólne ani porządek publiczny nie ograniczają jej samowoli i jej namiętności. Ciągła wojna, ciągle niebezpieczeństwo, napady, odwety i całe otoczenie dzikie a surowe zaostrzają jeszcze indywidualne namiętności, które też wyrastają do olbrzymich rozmiarów. Ale też nie może być inaczej. Przypomnijmy sobie tylko dawnych naszych kresowców osiadłych na pograniczach i szlakach tatarskich, a będziemy mieli podobny obraz. Mimo usposobienia ludzkiego przeważającego w dawnym społeczeństwie, kresowcy byli to mężowie waleczni, ale też kochający wojnę i rozlew krwi, srodzy, burzliwi i pochopni do awantur. Tu, w Ameryce, dzieje się toż samo, a nawet w większym stopniu, tym bardziej że ludność kresowa składa się z piany społecznej, z ludzi, którzy albo pod prawem wyżyć nie mogli, albo też musieli przed nim uchodzić w pustynię, gdzie żadne oczy prócz gwiazd niebieskich na nich nie patrzą. Stanowią oni tam nie społeczeństwo, ale zaczyn społeczny, który fermentuje, bo musi fermentować.

Ileż razy zdarzy się czytać w historii, że pierwotną zasadą bytu w tworzeniu się społeczeństwa był rozbój! Tak Livius pisze o początkach Rzymu, że pierwotna jego ludność była to

„pastorum convenarumque plebs transfuga ex suis populis”⁵, dalej: narody germańskie, klany galijskie były tylko bandami, których sposób do życia stanowiła łupież. Toż samo można powiedzieć o Normanach. Otóż i ci kresowcy amerykańscy, owi „rycerze pustyni”, „wakerosi” stanowią takież sam nawóz pod uprawę niwy społecznej. Jak tylko kraina odjęta jest dzikim ludom i dzikiej naturze, jak tylko ludność się zwiększa, mnożą się stosunki, natychmiast występuje i panowanie porządku społecznego. Początkowo porządek ów znajduje swój wyraz i urzeczywistnienie w strasznych sądach regulatorów i w prawie lynch. Z wolna jednak, przy ciągle mnożącej się ludności, i sądy regulatorów, i prawo lynch stają się bezprawiem; namiętności cichną jak wzburzone fale; stosunki układają się coraz spokojniej, coraz prawidłowiej, coraz zgodniej z wymaganiami wysokiej cywilizacji, a w końcu pamięć o dawnych burzliwych czasach zostaje tylko w jakiejś nazwie, jak np. „Krwawy” Arkansas, w przykominkowych opowiadaniach starców lub w jakimś sensacyjnym romansie, w którym Indianie i biali odbierają sobie przez całe setki stron idealną dziewczicę umiejącą mimo długich dni i nocy niewoli zachować swą niewinność dla szczęśliwego bohatera.

W taki to sposób tworzyły się prawie wszystkie stany, czyli tutejsze państwa. Dziwnie naucejący to widok, mili czytelnicy, jest to bowiem ten sam proces tworzenia się społeczeństw, przez który przechodziły państwa europejskie; tylko że w Europie trwał on całe tysiące lat, tu zaś odbywa się prawie w oczach. Widok to, dalej, pocieszający, dowodzi on bowiem, że bądź co bądź postęp, leżąc w naturze ludzkiej, ma w sobie siłę niepokonaną, która musi obalić i zniszczyć wszystkie przeszkody, a zaprowadzić wszędzie spokój, poszanowanie praw ludzkich i taki porządek, w którym przyznane jest lub będzie każdemu to, co mu się należy. Wobec tej prawdy wszystkie nielegalne stosunki ogólne, wszystkie przewagi siły fizycznej mogą być uważane tylko za epoki przejściowe, za wielkie kołysanie się szali politycznej i społecznej szukającej równowagi na mocy odwiecznych praw natury.

Ale wracam do rzeczy. Mówiąc o moralności publicznej nie mogę tedy brać w rachunek tych krain Stanów Zjednoczonych, w których ustroj społeczny jeszcze nie istnieje; będę więc tylko mówił o stanach już ukonstytuowanych, tj. znajdujących się w warunkach normalnych. Otóż powiem wam, że nie znam społeczeństwa bardziej lojalnego jak amerykańskie. Bezpieczeństwo publiczne większe tu jest niż gdziekolwiek indziej. Kiedym początkowo na wiarę wieści krążących w Europie o Stanach jeździł tu i chodził z rewolwerem za pasem, z żelaznym kułakiem w kieszeni i ze szpadą ukrytą w lasce, słowem: uzbrojony jak jaki rozbójnik w operze – ludzie świadomi tutejszych stosunków śmieli się ze mnie pytać: czy i w towarzystwa kobiece będę chodził również z palcem na cynglu? Obecnie bawię w Stanach przeszło pół roku, byłem w rozmaitych stronach; ocierałem się o rozmaitych ludzi; zdarzało mi się sypiać w samotnych farmach, odległych o dziesiątki mil od stron zamieszkałych, w szałasach pasterzy, w chatkach rybackich, nigdzie zaś z nikim nie miałem najmniejszego zajścia, nigdy bezpieczeństwo mojej osoby i kieszeni nie było zagrożone, przynajmniej ze strony Amerykanów.

Nie mogę np. tego powiedzieć o Meksykanach zamieszkujących południowe okolice Kalifornii i o ucywilizowanych na pół Indianach; jak jedni bowiem, tak i drudzy dość skłonni są do skrucenia komuś szyi w kącie i zagrabienia jego worka. W granicach jednak Stanów Zjednoczonych to zdarza się rzadko, albowiem nie tylko czujność samej policji, ale i energia wszystkich w ogóle mieszkańców, umiających być dla siebie samych policją, stoi temu na przeszkodzie. O rozbojach też, o uorganizowanych bandach złoczyńców zupełnie tu nie słychać. Rozbijają Indianie i Meksykanie na pograniczach, ale w stanach urządzonych panuje spokój. Weźmy u nas np. pierwszy lepszy numer „Kurier Warszawskiego”, a znajdziemy w nim niezawodnie mniej więcej efektowne opisy o włamaniach się lub kradzieżach, dokonywanych w mieście. Tak samo dzieje się w Paryżu, w Berlinie, słowem: we wszystkich znacz-

⁵ Pastuchów i przybłędów tłum wygnany ze swoich ludów.

niejszych miastach europejskich. Tu zdarza się to daleko rzadziej, tak nawet rzadko, że podobne wyjątkowe zdarzenia uchodzą za wielkie wypadki, które opisują gazety, które ilustrują dzienniki tygodniowe, nie szczędząc przy tym gorzkich słów policji, rządowi, ba! samemu nawet prezydentowi, na którym zresztą, wedle owej bajki: „Kogut winien, więc na niego”, skupia się tu prawie wszystko.

Z drugiej strony, spytajcie się tylko naszych obywateli wiejskich, co się dzieje u nas po wsiach, a usłyszycie niezawodnie całe historie o kradzieżach żyta, pszenicy, o wypasaniu nocami łąk i koniczyny, o łamaniu płotów, drzew przy drogach, o nocnych napadach na sady owocowe itd. Tu własność szanowana jest do najwyższego stopnia. Nikt tu, np. w Kalifornii, z powodu ciepłego klimatu nie zamyka koni, owiec, bydła, drobiu; nikt nie otacza ostrokołami ogrodów; nie ma prawie wcale stodół i spichrzów: nie słyszałem jednak nigdy nikogo skarżącego się, żeby mu coś zginęło. Własność prywatna jest tu rzeczą tak świętą, że możesz ją prawie choćby na publicznej drodze złożyć, a nikt jej jeszcze nie ruszy.

Otóż strona wysoce moralna społeczeństwa! Oświata to wyższa, oświata nie pojedynczych, eleganckich klas, ale demokratyczna oświata, rozciągająca się na cały naród, wyłącza podobne nadużycia. Ale oprócz oświaty jest jeszcze jeden czynnik i podtrzymujący ją, i wpływający z niej jednocześnie, to jest: zamożność.

Znowu nie mówię o miastach portowych, gdzie przybyli emigranci, póki nie znajdą roboty, będę klepią, ale o całym kraju w ogóle. Że tu zamożność jest większa niż gdziekolwiek w Europie, objaśnia ta prosta okoliczność, że tu na jednego człowieka przypada przynajmniej sto razy więcej ziemi niż w Europie i że każdy może jeszcze dostać 160 akrów prawie darmo, bo na dziesięcioletnią spłatę, licząc po 1 1/2 dolara za akr. Przy tym, jak wspomniałem, tenże sam stosunek ludzi do ziemi wywołuje wysoką cenę pracy przy stosunkowej taniości pierwszych potrzeb życia; zatem o biedzie w znaczeniu europejskim, która jest synonimem głodu, tu nawet mowy być nie może. Mówią mi np. w Anaheim, że mr Brown lub Harrison, lub Down, jest człowiek bardzo biedny. Cóż to się znaczy? Pójdźmyż zobaczyć tego biedaka! Idziemy, i oto przed nami porządny dom otoczony tamaryndami, drzewem pieprzowym, winogradem, brzoskwiniami; w korallu przy domu krowa, koń jeden lub dwa; dalej widać stogi kukurydzy, jęczmienia itd. Wreszcie drzwi się otwierają i amerykański biedak wychodzi na nasze spotkanie. Prawda, ma na sobie tylko spodnie, buty i koszulę, ale tu nikt nie chodzi inaczej. – Hallo! gentlemen! – mówi gospodarz i zaprasza nas do środka. – Hallo! – odpowiadamy i wchodzimy. W domu izb kilka. W jednej dostrzegam, że cała podłoga, według obyczaju amerykańskiego, okryta jest dywanem, stoi stół, krzesła na biegunach i inne jakie takie sprzęty; w następnych statki gospodarskie, łóżko zajmujące pół izby, na którym cała rodzina pomieścić się może: bieda jakoś nie kole w oczy. Czy ten człowiek nie ma co jeść? Ale gdzie tam! Jada trzy razy na dzień mięso i pija przy tym wino, bo to najtańszy tu napitek. Dlaczegoż więc mówicie, że biedny? Bo nie ma ani stu dolarów leżących pieniędzy. Mój Boże! iluż ja znam w Warszawie literatów, adwokatów, doktorów, iluż wreszcie po wsiach obywateli wiejskich, którzy nie mają stu talarów gotówki! Ale u nas nie to nazywa się biedą, a przynajmniej nie to nędzą. Nędza mieszka w suterynach; jada raz na dzień lub dwa; nie widuje mięsa, chyba przez szybę w wystawach rzeźniczych; nędza u nas kłapie zębami z zimna, puchnie z głodu, żebrze, kradnie, rozbija: pokażcie mi taką nędzę!

O! cóż znowu! takiej u nas nie ma. Pan Brown, Harrison lub Down jest biedny, ale nie jest nędzarzem. Biednym jednak słusznie go nazywają, bo nie ma gotówki, a może ma i długi, za które zabiorą mu wszystko.

Owo „wszystko” rozumiane jest także po amerykańsku; dłużnicy nie mogą mu zabrać narzędzi gospodarskich, naczyń domowych, pościeli itp.; nie mogą mu także zabronić, żeby w wigilię licytacji sprzedał krowę, konie, owce, kury, i pieniądze schował do kieszeni. W rezultacie więc mogą mu zabrać ziemię, i to tylko w takim razie, jeżeli nie ubezpiecza jej prawo

tak zwane: homestead⁶. Przypuśćmy jednak, że mogą mu zabrać ziemię całkowicie, to i cóż? O piętnaście, dwadzieścia lub pięćdziesiąt mil znajdują się całe tysiące akrów oczekujących na kolonistów, kwestia więc tylko w tym, by zabrać rodzinę, udać się tam, wyrąbać las, zbudować dom, ot, i gotowe nowe schronienie. Nie potrzebuję dodawać, że dawne długi nie mogą być przeniesione na świeżo założoną hipotekę.

Ale nawet nie zajmując nowej ziemi zbankrutowany farmer ma przed sobą tysiące zajęć do wyboru. Może się najać jako robotnik czy to w polu, czy w mieście; wszędzie nie on potrzebuje szukać, ale jego szukać będą, przy czym zapłata, jaką mu zaofiarują, wystarczy z pewnością na opędzenie potrzeb jego i jego rodziny.

Zapewne, że stany zachodnie, a między nimi i Kalifornia, w szczególnie szczęśliwych pod tym względem znajdują się warunkach. Na wschodzie bieda może bardziej zbliżyć się do europejskiej, nigdzie jednak nie dochodzi do tego stopnia, dla tejże samej wiecznie przyczyny, to jest małej liczby ludzi w stosunku do obszarów ziemi.

A teraz, jakże chcecie, żeby człowiek oświecony i stosunkowo rozwinięty, który ma prawa obywatelskie, który czuje się bezpiecznym i równym każdemu innemu, który ma przy tym co jeść, pić i w co się ubrać, porzucił dobrowolnie tę dogodną ze wszech miar pozycję, a wchodził na ciernistą i niepewną jutra drogę występku? Musiałby to być chyba czarny charakter par principe, taki, jaki widzimy na deskach teatralnych. Ale takich wszędzie jest niewiele. Nie mówię, że zbrodnie i przestępstwa nie zdarzają się w Stanach Zjednoczonych. Owszem, zdarzają się tu jak i gdzie indziej, ale podczas gdy w Europie są one po największej części wpływem nieszczęsnego położenia socjalnego, tu prawie wyłącznie rodzą się z indywidualnych namiętności, nie zaś z ciemnoty albo nędzy; nie potrzebuję zaś dowodzić, że ta ostatnia kategoria przestępstw wszędzie o sto procent od pierwszej jest większą.

Na mocy tego z kredką w rękę i cyframi na papierze można przekonać siebie i drugich, że społeczeństwo amerykańskie moralniejsze jest niż jakiegokolwiek europejskie.

Na koniec, słówko jeszcze co do czystości obyczajów. W miastach moralność, pod tym względem, przeciętnie wzięta, zapewne niewiele wyżej stoi niż w Europie, a w tych, gdzie przewagę ma napływowa ludność chińska, może nawet i niżej. W ogóle jednak chłodny przyrodzony temperament narodu nie dopuszcza zbyt dużych nadużyć, życie zaś młodzieży, przepełnione ruchem, pracą fizyczną i gimnastyką, dzielnym jest przeciw rozpuście hamulcem.

Takie są cechy i przymioty tego społeczeństwa, które z początku raziło mnie, a które teraz im więcej i głębiej poznaję, tym więcej uczę się je szanować. W wywodach moich starałem się być obiektywnym i o ile możliwości ścisłym; nie są więc one wynikiem ani optymizmu, bo o to nikt mnie jeszcze dotąd nie posądzał, ani wreszcie z góry powziętej sympatii do instytucji tutejszych. Rozumiem jasno, że nie masz instytucji bezwzględnie i jednakowo wszędzie dobrych. Wszelkie urządzenia społeczne wtedy są dobre, kiedy są najodpowiedniejsze usposobieniu narodu, jego obyczajom, tradycjom, wreszcie kiedy zapewniają największy rozwój społeczny; złe zaś wówczas, kiedy ten rozwój hamują i kiedy chcą pozostać formą niewzruszoną i wieczną wtedy nawet, kiedy już treść wewnętrzna innych zewnętrznych kształtów wymaga.

Oto jest moje rozumienie rzeczy. Z drugiej strony, jednak sędzę, że przypatrując się instytucjom amerykańskim i widząc je w prawdziwym świetle można wiele skorzystać, wiele się nauczyć, wiele przesądów i nędznych pretensyjek zapomnieć; na koniec zyskać umiejętność szerszego na świat spoglądania i otworzyć na oścież duszę uczuciom humanitarnym godnym XIX wieku i postępowej filantropii.

Oprócz tego zauważyłem, że korespondencje pisane stąd do naszych dzienników, jakkolwiek pisane nieraz z wielkim talentem, z natury rzeczy, jako czasowe, muszą się czepiać ra-

⁶ Po polsku można by to przełożyć: „bezpieczeństwo domowego ogniska”. Na mocy tego prawa majątność staje się współwłasnością żony i dzieci, zatem nie może być w razie bankructwa męża ani odjęta rodzinie, ani sprzedana za długi.

czej zdarzeń i wypadków przemijających, faktów zewnętrznych, chwilowych położeń politycznych, to jest owej silvae rerum, która jest raczej objawem i wykwitem życia, nie zaś jego zasadą. Ja, nie krępowany terminami w przesyłaniu moich listów, mogę wolniej robić spostrzeżenia, pomijać okoliczności zewnętrzne, a dopytywać się do ich przyczyn; słowem: mogę badać istotę rzeczy, „das Ding an sich”, jakby powiedział stary Kant, i spostrzeżeniami dzielić się co czas jakiś z czytelnikami, choćby tylko w sposób felietonowy, niewyczerpujący i ulotny.

II

Emancypacja • Opinie europejskie • Rzeczywistość • Wyjątki • Żeński pułkownik • Przyczyny tamujące rozwój emancypacji • Możliwość jej nie jest praktyką • Położenie kobiet • Obyczaje • Kobieta niższa i wyższa w Europie • Przeciętna Amerykanka • Porównanie • Niżej i wyżej • Opinia podróżników • Wzór czy nie wzór? • Wady bez przymiotów • Stroje • Próżniactwo • Francuszczyzna • Talenty • Muzyka • Obyczaj towarzyski • Hiszpanie i Amerykanie • Rozmowa • „Flirtation” • Zakończenie

O literaturze i sztukach pięknych w Ameryce później pomówię z czytelnikami, ponieważ przedmiot wart, aby mu osobny list poświęcić. Nawiasowo jednak powiem, że rozwój tak literatury⁷, jak i sztuk pięknych w Stanach Zjednoczonych nie doszedł jeszcze do tych wyżyn, na których stoi w Europie. Henryk Tomasz Buckle w swojej *Historii cywilizacji w Anglii* robi uwagę, iż literatura i sztuki piękne poczynają istnieć i kwitnąć w danym społeczeństwie wtedy dopiero, kiedy to społeczeństwo poczyną gromadzić bogactwa⁸. Zdanie to można by wyrazić jeszcze inaczej, a mianowicie, że rozkwit ów zaczyna się dopiero wówczas, gdy: po pierwsze, cywilizacja ukończy walkę z naturą i ujarzmi ją, a po wtóre, gdy poczyną czuć pewien przesyt życiem i światem realnym. W Ameryce nie ma jeszcze miejsca ani jedno, ani drugie, zapotrzebowania więc estetyczne, na ogół wzięte, są niewielkie; takie zaś, jakie istnieją, zaspokajają przy tym prócz miejscowej i pobratymcza literatura angielska. Zresztą o tym później, teraz zaś przejdziemy do kwestii, która o tyle z literaturą i piśmiennictwem stoi w związku, że robi w nich od kilku lat niezmiernie wiele gwaru i hałasu, to jest do kwestii emancypacji kobiet w Ameryce.

W Europie powszechne jest mniemanie, jakoby emancypacja kobiet nigdzie nie znajdowała takiego urzeczywistnienia w praktyce, jak w Stanach Zjednoczonych. Ja sam byłem pewien, że znajdę tu mnóstwo kobiet doktorów, adwokatów, urzędników, nawet duchownych; że przynajmniej spotkam ich wiele poświęcających się poważnym naukowym badaniom; niechby wreszcie bawiących się tylko w pozory emancypacji, które mimo swych śmiesznych i ekscentrycznych form zdradzają zawsze jakiś prąd ogólny. Tymczasem rzeczy mają się inaczej. Nauczanie elementarne jest tu istotnie przeważnie w rękach niewiast, które na tym polu oddają nieobliczone usługi społeczeństwu, a jeśli przez emancypację będziem rozumieć wyższe specjalne kształcenie się kobiet i udział w obowiązkach publicznych spełnianych gdzie indziej przez mężczyzn, to można powiedzieć, że mniej tu zrobiono pod tym względem niż w Europie.

Istnieje tu możliwość emancypacji. Amerykanie mają jeden nieoszacowany przymiot, to jest: odwagę próbowania wszystkiego, co tylko przedstawia się jako teoria dążąca do ulepszeń życia ludzkości i postępu. Jeśli tylko taka teoria nie jest oczywistym, bijącym w oczy głupstwem, jeśli znajduje swoich stronników, wyradza naukowe spory, ma za sobą jakiegokolwiek dane, wówczas otwierają jej nareszcie wrota do praktyki.

⁷ Przez literaturę rozumiem tu, w przeciwieństwie do ogólnej nazwy: piśmiennictwo, tylko nadobne utwory.

⁸ Z wyjątkiem poezji.

U nas, gdzie opinię publiczną wytwarzają kanapy, ile razy pojawi się jakaś nowa myśl z zagranicy, natychmiast podnosi się taki wrzask, takie larum, że trzeba mieć chyba odwagę graniczącą z zuchwałością, by jakąś reformę lub w ogóle coś niebywałego chcieć wprowadzić. Ale w Ameryce na rumaku wyobrażającym postęp nie jeżdżą bez siodła dewotki: chcesz próbować, to próbuj. Tak było i z emancypacją.

Opinia dała jej z góry sankcję, a sankcji państwowej nie potrzebuje tu nikt i nic. Państwo może zabronić jakiejś praktyki, jeśli ona sprzeciwia się moralności, publicznemu bezpieczeństwu itd., ale pozwoleń nie udziela.

Ruch więc rozpoczął się swobodnie i ogarnął umysły. Poczęły wzbierać fale, góra jęczeć – i urodziła się... mysz.

Jednym słowem, emancypacja w takim znaczeniu, w jakim ją określiłem, nie weszła w życie.

W New Yorku panna, jeśli się nie mylę, Mac-Cleftan, jest pułkownikiem; w stanie Wyoming kobieta jest duchownym; zapewne znajdzie się także kilku adwokatów; w uniwersytetach tu i ówdzie trafi się rodzaju żeńskiego student; ale już sam ten rozgłos owych osobistości, który dochodzi aż do Europy, wskazuje, że są to wyjątki, po największej części indywiduala obdarzone przy tym chorobliwą fantazją, za którymi ogół kobiet wcale nie idzie, a które opinia przy całej swojej teolerancji wysmiewa.

Proszę bowiem: co byście powiedzieli o kobiecie-duchownym, która by spowiadała swego męża? albo jeszcze więcej: o żeńskim pułkowniku?

A gdyby tak w razie wojny takiemu pułkownikowi przyszło nagle prosić nieprzyjaciół o zawieszenie broni z powodu spodziewanego powiększenia się o jedną niewinną istotę sztabu? Takie kłopotliwe położenie wodzów wpłynęłoby może skuteczniej na złagodzenie okropności wojny niż konferencje brukselskie. Chociaż nie! Świadomi rzeczy mówią, że widok tego wydającego sopranem rozkazy pułkownika i jego plastyczne kształty równie plastycznie rysujące się w obcisłym ubiorze żołnierskim dziwnie dodatnio wpływają na zapał żołnierzy.

Ale dosyć żartów. Chcę mówić, że emancypacja nie weszła w życie w Ameryce i że w ogóle w pracach i obowiązkach społecznych kobieta niewielki tu bierze udział. Powiedzą mi na to, że w stanach wschodnich, np. w Nowej Anglii, kobiety pracują w fabrykach. Prawda, ale ileż kobiet, a nawet i dzieci, pracuje w fabrykach w Europie! W Wielkiej Brytanii np. rząd musiał ograniczać liczbę godzin pracy dla kobiet i dzieci w zakładach rękodzielniczych; toż samo działo się i gdzie indziej, o czym czytelnik może znaleźć wiadomość u pierwszego lepszego ekonomisty. Wypada z tego, że i pod tym względem w Ameryce nie istnieje żadne wyjątkowe położenie i że przeciwnie, nawet w przemyśle kobieta tu bierze mniejszy udział niż w Starym Świecie. Dalej, kobiety obesały tu wystawę dziełami rąk swoich, które to dzieła pomieszczone są w tak zwanym oddziale kobiecym. Na wystawach europejskich nie było osobnych oddziałów kobiecych, ale nie wypada z tego, aby tysiące nadesłanych przedmiotów nie pochodziły z rąk kobiecych. Czyimże dziełem są wszystkie koronki, tak podziwiane przez cały świat? mnóstwo przedmiotów galanterijnych, hafty częściowe i gobeliny, wyroby porcelanowe, jedwabne, tkackie, stroje kobiece itd.? We wszystkim tym albo wyłącznie, albo pół na pół widzimy rękę kobiecą. Trudno zaprzeczyć, że stan robotniczy ma bez porównania więcej przedstawicielek w pierwszym lepszym fabrycznym społeczeństwie w Europie niż w Ameryce. Ale zresztą udział ten w przemyśle nie może być policzony na karb emancypacji. W Europie jednakże znajdujemy kobiety służące po biurach telegraficznych i pocztowych, w kasach rządowych i prywatnych: tu tego nie ma prawie nigdzie. Liczba kobiet zecerek w Europie także jest większą. Słowem, nigdzie nie spotykam tu takiego udziału kobiet w obowiązkach męskich, który by zasługiwał na ów rozgłos i na owo pojęcie o emancypacji w Ameryce, jakie co krok napotykamy u nas w książkach poświęconych sprawie kobiecej i w ulotnych artykułkach dziennikarskich i broszurowych zatytułowanych: *Słówko w sprawie kobiecej*,

Kilka słów, Jeszcze słówko albo w rozmaitych *Ziarnkach społecznych*, których, mówiąc nawiasem, nikt dziobać nie chce.

Pozostaje więc nauczycielstwo, nauczycielstwo i nic więcej. Udział to wprawdzie co się nazywa wielmożny, ale nie wypłynął on z ruchu emancypacyjnego i prawie za emancypację tak określoną, jak określiłem ją wyżej, uważany być nie może. Zresztą, gdybyśmy nawet i poczytali go za objaw emancypacji, jest to dopiero jeden zawód, jeden kierunek, pierwszy krok, od którego do powszechnego wzięcia udziału w pracach i obowiązkach jeszcze daleko.

Tymczasem w Europie sądzą, że ów powszechny udział jest faktem już spełnionym.

Na koniec, co do specjalnego kształcenia się kobiet.

Istnieje możliwość takiego kształcenia się: zakłady naukowe są otwarte; nic nie stoi na przeszkodzie przyjmowaniu kobiet na fakultety prawne, medyczne; ale swoją drogą bardzo ich mała ilość z tych praw korzysta. Wieści krążące w Europie o zakładach tutejszych naukowych wyłącznie żeńskich są do wysokiego stopnia przesadzone. Takie instytucje, jak np. tak zwana akademia Vassara, dalej rozmaite kolegia w New Yorku, Waszyngtonie, Bostonie, Filadelfii, uważane są powszechnie u nas za jakieś uniwersytety równe przynajmniej wszechnicom niemieckim. Jest to, jak Amerykanie mówią, humbug. Skoro tylko zbiorę dostateczną ilość materiałów, poświęcę tym żeńskim akademiom osobny list; tymczasem zaś powiem, że o ile dotąd mogłem rzecz zbadać, są to tylko wyższe pensjonaty, których program zresztą naukowy daleko jest obszerniejszy na papierze niż w rzeczywistości.

Kobieta powszechnie kształci się tu razem z mężczyzną, temu zaprzeczyć nie można; ale kształci się tylko w zakładach naukowych niższych, które dają rozwinięcie umysłowe ogólne, nie zaś specjalne przygotowanie do jakiegoś zawodu. Większość mężczyzn, z zawodami tymi obznajmia się później, bądź w zakładach specjalnych, bądź, co najczęściej, przez samą praktykę; ogół kobiet zaś nie idzie dalej i z wolna zapomina tego, czego się uczył w szkołach.

Rzecz to, według mego rozumienia, zupełnie naturalna. Udział kobiet w nauce i obowiązkach społecznych nie wszedł w życie w Ameryce, bo wejść nie mógł. Wszelka teoria może się zmienić w rzeczywistość nie tam jedynie, gdzie nie znajduje przeszkód państwowych, ale tam, gdzie odpowiada prawidłowej i tak niezbędnej, jak chleb, potrzebie. Tam, gdzie kobiet jest więcej niż mężczyzn, gdzie tysiące ich nie wychodzi za mąż, a nie wyszedłszy, nie może na chleb zarobić: tam nacisk kobiet szukających nowych sposobów do życia będzie tak silny, że tego parcia nie wytrzymają żadne tamy, i emancypacja musi przejść w życie, jako konieczność. Ale w Ameryce istnieją zgoła inne warunki. Kraj jest jeszcze mało zaludniony, a po wtóre – bogaty. Wspomniałem już o wielkiej, przeciętnie wziętej zamożności tego narodu. Ziemia i pierwsze potrzeby życia są tanie, a praca droga; każdy więc mężczyzna pracując sześć godzin dziennie⁹ zarabia z łatwością nie tylko na utrzymanie własne, ale i rodziny. Co więcej, dzieci, jak ongi u Izraelitów, są tu prawdziwie błogosławieństwem bożym, doszedłszy bowiem do pewnych lat, przedstawiają cenną siłę roboczą.

Z drugiej strony, ten kraj bogaty we wszystko jest ubogi tylko w kobiety. Nie mam pod ręką statystyki ludności Stanów; jestem jednak pewny, że z wyjątkiem może kilku stanów wschodnich liczba mężczyzn, na ogół wzięwszy, w całych Stanach przewyższa kilkakrotnie liczbę kobiet, w niektórych zaś południowych i zachodnich stosunek ten ma się tak, jak 5 do 1. Skutkiem tego każda kobieta ma tu przynajmniej 5 na 1 daną, że wyjdzie za mąż i że znajdzie w pracy męża zaspokojenie potrzeb nie tylko koniecznych, ale nawet do pewnego stopnia zbytkownych.

Zdarzało się, że rodziny polskie, rosyjskie, czeskie, dość licznie osiadłe w Kalifornii, nie mogąc przywyknąć do powszechnej tu zupełnej równości w stosunkach ze służącymi, sprowadzały proste wiejskie dziewczyny z ojczyzny. Radość z takiej służącej bywała początkowo wielka, ale cóż gdy nietrwała, po kilku bowiem miesiącach zjawiał się jaki dżentelmen, rze-

⁹ Liczba godzin powszechnie przyjęta, przynajmniej na zachodzie.

mieślnik, robotnik, farmer, oświadczał się miss Kaśce, Maryśce lub Jagnie i zaślubił ją, a zaślubiwszy stroił potem w jedwabie i aksamity. Lady Kaśka, która przywykła była w domu cebrem na powyrku wodę nosić, tu, huśtając się na biegunowym krześle, szybko oswajała się z pozycją i wkrótce nie różniła się niczym od innych lady. Sam poznałem kilka takich dam: niektóre zapomniały już rodzowitego języka, w ogóle jednak z rozczeniem słuchały swojej mowy, odpowiadając mi co chwila: „Jest, kochany panie!”, co miało znaczyć: „Tak (yes!), kochany panie”.

Owóż wypada z tego, że kobieta wie tu, iż nie pracując, nie tylko z głodu nie umrze, ale będzie miała z czego żyć, nawet pod pewnym względem wykwintnie. Taki stan rzeczy objaśnia wszystko.

Tak do nauki i do chwytania się za różną pracę skłaniają ogół ludzi nie jakieś powody idealne, ale głównie potrzeba; tu zaś potrzeba ta nie istnieje. Bądź co bądź, bując się na krzesła z biegunami, a inaczej mówiąc: żyć wesoło i bez troski, przyjemniej jest niż wyteżać umysł lub muskuły. Cóż więc dziwnego, że tu kobiety wybierają to pierwsze?

Mówiąc wyłącznie o Kalifornii muszę wyznać, że tu kobiety usuwają się od takich zajęć, które gdzie indziej wyłącznie w ręku kobiecym pozostają. Po wsiach np. mężczyzna doi krowy, w wielu farmach widziałem mężczyzn zamiatających izby; tam zaś, gdzie dom jest dość zamożny, aby utrzymać Chińczyka, całe gospodarstwo kobiece spoczywa na jego barkach. Pocciwy i niewyczerpanej cierpliwości „John” jest niańką, kucharką, ogrodnikiem, pani zaś domu kołysze się na krześle, przyjmuje gości, ubiera się, pieści swoje rozpuszczone jak dzia-dowski bicz baby (bebe) i oto całe jej zajęcie.

Ogólnie kończę te kilka słów o emancypacji tym: istnieje jej możliwość, a nie istnieje potrzeba, zatem nie ma i praktyki. Ale w Europie biorą możliwość za praktykę i dlatego w pojęciu o amerykańskiej kobiecie powszechnie się mylą.

Jeszcze kilka słów dla dopełnienia obrazu.

Nigdzie może na świecie nie jest tak wygodnie kobiecie, jak w Ameryce. Prawodawstwo ją kokietuje, obyczaj daje jej wolność, opinia osłania ją nawet wtedy, kiedy broi, mężczyzna ją rozpieszcza. Jest to ogólna cecha rasy anglosaksońskiej ów szacunek dla kobiet, ale w Ameryce dochodzi on jeszcze wyżej niż w Anglii. Może dlatego kobieta jest tu po trochu zepsutym dzieckiem. Gdyby mi jednak kazał ktoś porównać ją pod względem inteligencji, rozwinięcia umysłowego i uobyczajenia z kobietą europejską, znowu spytałbym przede wszystkim: z jaką kobietą europejską mam ją porównać? bo tu takich różnic, jak w Europie, nie masz wcale. Weźmy np. nasze stosunki. U nas dama i chłopka, salonowa panna i wiejska dziewczyna – to dwa światy, a przynajmniej dwa bieguny.

Może ktoś spytać: dlaczego biorę takie ostateczności? – odpowiem na to: bo mi się tak podoba, bo nie ja wynalazłem te ostateczności, ale one istnieją w społeczeństwie. Otóż u nas salonowa panna mówi z wyjątkiem polskiego Bóg wie wieloma językami, bo miała od dzieciństwa guwernantkę „z językami”; grywa na fortepianie, umie rozmawiać o literaturze i sztukach pięknych z nieopisanym urokiem, o który też głównie chodzi. Umysł jej giętki i rozwinięty; jeśli jej się podoba pozować na wyjątkową naturę, potrafi przysłonić tajemniczą chmurką swą uperfumowaną duszę. Umie także nizać znaczące półsłówka na nitkę rozmowy o niczym jak paciorki. W gęstym lesie subtelnych odcieni słów i uczuć porusza się tak swobodnie jak w domu. Na pierwszy rzut oka ocenia naturę, siłę i zręczność przeciwnika bez zakładania lewą ręką na nos okularów, jak to uczynił w *Panu Tadeuszu* Maciek stary; nie na próżno przecież dla wprawy rozkochała w sobie wszystkich kuzynków i wszystkich guwernerów swoich młodszych braci. W ogóle: jest sprytna, wyostrzona na towarzyskim piasku życia jak brzytwa; wprawdzie nieuczona, ale psychologicznie i estetycznie do najwyższego stopnia rozwinięta.

Może być przy tym zła lub dobra, szlachetna lub nieszlachetna, to już rzecz jej wychowania i sumienia; w każdym razie jest istotą wysoce inteligentną. Kreśląc ten obraz kłaniam się

tym samym wielu moim dawniejszym i nowszym znajomościom. Czy im to „tym samym” zrobi przyjemność, czy przykrość, nie mam czasu się zastanawiać, przechodzę bowiem do drugiej ostateczności, to jest do wiejskiej dziewczyny. Ta Chloe z czerwonymi nogami chodzi boso po rżysku i dlatego ma różę w kostce; pija wódkę zasłoniwszy się kilimkiem i na wszelkie pytania odpowiada wiecznie jedno: „Kaj się wstydom!” Sielankowa ta wstydlivość nie stoi zresztą na przeszkodzie pewnym również sielankowym zajściom na świeżym sianie. To tyczy się uobyczajenia. Chloe nie umie przy tym czytać, pisać; nie rozumie absolutnie, co się koło niej dzieje, a świat w jej oczach odbija się tylko zewnętrznie, tak jak niebo w wodzie. Do jej mózgu nie dochodzi nic. Teraz tedy z jakąż kobietą mam porównać Amerykankę? Powiecie: z przeciętną – to się znaczy nie istniejącą w rzeczywistości; wreszcie bądźcie łaskawi to przecięcie uczynić, bo ja go zrobić nie umiem. Jeśli chodzi o przeciętną Amerykankę, to inna rzecz. Wyłączywszy sawantki i kilkaset indywiduów, które podróżując po Europie wyrobiły się na kobiety europejskie, wezmę pierwszą lepszą i powiem: oto typ. Otóż powtarza się to samo, o czym mówiłem pisząc o oświacie w Ameryce. Brak tu tak wybitnych różnic, jak u nas. Rozwinięcie umysłowe i uobyczajenie nie są tu areną jednej tylko klasy. Każda kobieta umie tu czytać, pisać, czytuje gazety, ma jako tako rozwiniętą głowę, wszystkie ubierają się jednakowo, tj. przynajmniej jednym krojem i jedną modą; wszystkie nie różnią się zbyt znacznie obyczajami, tj. tak pod względem intelektualnym, jak i estetyczno-obyczajowym stoją niżej od niewielu naszych kobiet, a wyżej od całej masy.

Ale na podróżnikach, którzy, jak się to najczęściej zdarza, porównują tutejsze kobiety wyłącznie z jedną tylko klasą kobiet w Europie, robią one powszechnie ujemne wrażenie. Oto dłaczego np. panna Krystyna Narbutt malowała tak sadzami tutejszy świat kobiecy. Zupełnie pojmuję, że świat ten musiał jej się wydawać dość sobie ciemny, prostacki i w ogóle: mauvais genre. Horainowi, gdyby również baczył w porównaniach tylko na nasze kobiety świata wyższego, Amerykanki także nie przypadłyby do smaku; ale Horain nic złego o nich nie napisze, bo to niestrudzony wyznawca i czciciel płci pięknej.

Co do mnie, oddawszy wszelką sprawiedliwość lepszej proporcji w oświeceniu kobiet w Stanach Zjednoczonych, daleki jestem od tego, abym je miał stawiać za wzór kobietom europejskim oświeconym. Powiem nawet, że Amerykanki mają wiele ich wad, ale nie mają wielu ich przymiotów. Więc naprzód, na ogół wzięwszy, mniej są pracowite, mniej zajmują się domem, gospodarstwem domowym i kuchnią, skutkiem czego kuchnia amerykańska znajduje się w stanie dość opłakanym. Po wtóre, zamiłowanie strojów dochodzi tu do jeszcze wyższego chyba stopnia. Dlatego też nawet na bulwarach paryskich nie można zobaczyć tylu wspaniałych tualet damskich, ile się ich widzi na nowojorskim Broadway lub na Kerney w San Francisco. Moda, jak już wspomniałem, jest tu jednakowa dla wszystkich i ubranie służącej lub wieśniaczki różni się od ubrania milionowej kupcowej lub żony wysokiego urzędnika tylko ceną i gatunkiem materiału, nie zaś krojem.

Tak wystrojone kobiety dziwnie wyglądają obok mężczyzn, nie przywiązujących do ubioru żadnego znaczenia. Można powiedzieć, że rękawiczki i frak są rzeczą prawie w Ameryce nie znaną. Wiadomo wam zapewne, iż prezydent Grant występował na uroczystości otwarcia wystawy w surducie i bez rękawiczek. Podczas gdy w Anaheim, w południowej Kalifornii, przyjechał do tego miasteczka cyrk francuski. Oczywiście cała okolica zjechała się na tę uroczystość. Otóż trzeba było widzieć miejskie i wiejskie ladies, wystrojone według żurnalów, uczesane w koki i loki, dekolowane, upudrowane, urękawiczone, idące na wieczorne przedstawienie pod rękę z mężami o ogorzałych twarzach, ubranymi tylko w buty, spodnie i bawełniane koszule, bez kamizelek i surdutów.

Ale tak dzieje się tu wszędzie. Mężczyzna estetyczne swoje instynkta zaspokaja tu strojąc żonę. Zadowolona go to zupełnie.

Znajomość francuszczyzny uchodzi między amerykańskimi kobietami, również jak i u nas, za szczególniejsze znamię dystynkcji i dobrego tonu, nie jest jednakże rozpowszechnioną.

Każda kobieta, gdy mowa o języku francuskim, wypowie niezawodny stereotypowy frazes: It is very sweet language (it is very swit lingwidż: to jest bardzo słodki język); co większa, każda prawie, idąc za popędem mody, poczyną się uczyć po francusku, ale napotkawszy pierwsze trudności traci chęć i energię. Swoją drogą, między nie umiejacymi wcale tego języka uchodzi za bardzo w nim biegłą, dopóki nie zjawi się jaki cudzoziemiec i dopóki w rozmowie z nim nie pokaże się, że panna umie very little (bardzo mało) po francusku, które to very little zwykle w rzeczywistości równa się zeru.

O literaturze, poezji i sztukach pięknych kobiety tutejsze niewiele mają pojęcia, przy czym poznanie literatur zagranicznych utrudnia nieznanostwo obcych języków. Na talenta w edukacji kobiet mniej tu zwracają uwagi niż w Europie. Nie spotkałem kobiety, która by znała rysunek lub malarstwo. Znanostwo muzyki, na nieszczęście, więcej jest rozpowszechniona, ale za to do najwyższego stopnia powierzchowna. Brak Amerykankom i pracy, i muzycznych zdolności, i wreszcie estetycznego poczucia. Przeglądając nuty w różnych domach tutejszych, nie spotkałem się ani razu z Haendlem, Mozartem, Beethovenem, Szopenem, Lisztem, z mistrzami francuskimi lub włoskimi. Wszędzie znajdowałem tylko jakieś walce, polki, marsz *Georgia* i... – quousque tandem, Catilina! – *La prière d'une vierge* Bądarzewskiej. Tutejsze dziewczice grywają ową „la prière” jeżdżąc wraz z krzesłem wzdłuż klawiatury, wzdychając, podnosząc oczy – słowem: zupełnie, jak u nas, co ma oznaczać niewinność, idealność, panińskie tęsknoty, fałszywy apetyt i tym podobnie.

W obyczajach towarzyskim i rozmowach dziwnie się tu miesza surowość purytańska ze swobodą, o jakiej nie możemy nawet mieć pojęcia. Pod tym względem nie ma na świecie bardziej różnych towarzystw, jak amerykańskie i hiszpańskie (meksykańskie), których to ostatnich poznałem wiele w południowej Kalifornii. W towarzystwie hiszpańskim pierwszym prawie pytaniem i zupełnie poważnym, jakie po zabranii znanostwa mężczyzna zadaje kobiecie, jest: „Esta Usted enamorada?” (Czy jesteś pani zakochana?) – Jeśli kobieta odpowiada: „Si, caballero!” – wówczas grzeczność nakazuje wykrzyknąć: „Jestem zgubiony!” Ta poetyczna rasa, również jak wszystkie narody romańskie, miłość uważa jakby za dobrego geniusza, bez którego życie niewarte by było jednego reala, za pierwszą, najgłówniejszą i tak niezbędną, jak chleb powszedni, potrzebę. Cóż więc dziwnego, że i mówi też przeważnie o miłości?

W towarzystwie amerykańskim rozmawiać tak nie uchodzi; ale natomiast częstokroć młoda panna pozwala tu sobie powiedzieć skutkiem nieświadomej siebie śmiałości coś takiego, co mężczyzna biorąc rzeczy po europejsku mógłby najopaczniej rozumieć. Na pewnej np. wycieczce poznałem dwie damy nader, jak mi mówiono, dystyngowane: ciotkę, podobno autorkę jakichś poezji, i siostrzenicę, piękną pannę, białą jak śnieg, z niebieskimi oczyma i czerwonymi włosami. Rozmawiałem z panną przez tłumacza, nie umiałem bowiem jeszcze prawie nic po angielsku. Po chwili więc powiadam:

- Żałuję bardzo, że nie umiejac języka pani, nie mogę z nią bezpośrednio rozmawiać.
- Nic nie szkodzi – odpowiada miss – jeśli pan chce, będę pańską nauczycielką.
- Pani, wdzięczność moja... itd.
- Jednakże będę pana uczyć pod jednym warunkiem.
- Z góry przystaję na wszystkie; ale pod jakimże?
- Oto, jeżeli pozwolisz przy lekcji uściskać od czasu do czasu twoją rękę.

Wyznaję, że obstupui! Gdyby to było w rozmowie we dwoje tylko, doprawdy, moja wrodzona zarozumiałość znalazłaby obszerne pole do przypuszczeń. Ale było to powiedziane za pośrednictwem osoby trzeciej, wspólnej naszej znajomej, i głośno, wobec całego towarzystwa, jako zwykła uprzejmość: sans conséquence. Gdybym miał lat sześćdziesiąt, usłyszałbym toż samo. Tu obyczaj towarzyski na to pozwala.

Również przez taką tylko swobodę obyczajów panującą obok purytańskiej powagi można wytłumaczyć istnienie tu tak zwanego stosunku: flirtation (flirteszyn). Wyraz ten na polski język da się przełożyć przez „umizgi” albo „koperczaki”.

Młody człowiek i panna stojący ze sobą w takim, zresztą bynajmniej nie sekretnym, stosunku widują się ze sobą sam na sam, ile razy im się podoba, chodzą we dwoje na spacer, podróżują nawet; słowem: są ciągle ze sobą i poznawają się wzajemnie. Jeżeli charaktery ich przystają do siebie, wówczas flirtation zmienia się w związek małżeński; jeśli zaś nie, każde odchodzi w swoją stronę.

W Europie stosunek taki wywołałby niezawodnie mnóstwo skandalicznych następstw. Tu ich nie wywołuje. Z jednej strony stoi temu na przeszkodzie chłodny temperament kobiet, w którym rozwaga przeważa nad uczuciem; z drugiej – opinia, która w danym razie całą odpowiedzialność zwała na mężczyznę i wyłącznie jego tylko podaje na ohydę publiczną; a na koniec i prawodawstwo, które pod karą ogromnych sum pieniężnych każe mu się żenić natychmiast i słuszność przyznaje kobiecie nawet wówczas, gdy widocznie rzeczy się mają inaczej.

Na tym zakończę szkic obecny. Z powodu swych rozmiarów musi on zapewne być niedokładny i niewyczerpujący; starałem się jednak unikać w nim rysów fałszywych, a przy tym być o ile można obiektywnym. Sądy moje może czytelnik uważać za premisy, z których niechaj wyprowadza takie wnioski, jakie mu się podoba. Co do mnie, powtarzam tylko, że nie zamykając oczu na ciemne strony tutejszego społeczeństwa, im bardziej i pilniej mu się przypatruję, tym więcej dostrzegam stron jasnych.

VII

SZKICE AMERYKAŃSKIE

Dolina Anaheimska • Drzewa • Ptaki • Zwierzęta • Okolice • Pola kaktusowe • Kujoty • Borsuki • Franio i jego cnoty • Grzechotniki • Bażanty • Co jest prawdziwie niebezpieczne • Anaheim i Anaheim Landing • Zmiany widoków • Fata morgana • Anaheim Landing i Ostenda • Towarzystwo • Życie • Kapitanowie • Przyjaciel Max • Co się robi w Landing • Polowanie • Pelikany • Ławy piaszczyste • Świat ptasi • Panteizm • Muskity • Kąpiele • Rekiny i raje • Głownogi • Lwy morskie • Rośliny morskie • Ryby i ich kształty • Bernard-pustelnik • Moje zbiory • Ameryka i Słońce przez duże S. • Tęsknota za górami • Pożar lasów • Moje plany • Nauka języka hiszpańskiego • Nowa metoda • Przesyłki z San Francisco • Natura ciągnie wilka do lasu • Nasze gazety i amerykańskie • Nr 29 „Tygodnika” • Wiersz „W górach” • Poetka • Co słyszeć? • Opinia publiczna • Nad Półtwią • Nudy w Landing • Podróż • Anaheim • Profesor pięknych gestów • Nocna podróż w góry

Nie chcę być niczym krępowany w przesyłaniu wam moich listów; ani czasem, ani porządkiem wrażeń. Pozwólcie mi być swobodnym; pozwólcie pisać mi o tym, o czym mi się podoba; przeskakiwać wypadki i zdarzenia, odłożyć np. opis mego pobytu w San Francisco, Sacramento lub nad rzeką Cosumnes, a skokiem prawdziwie felietonowym zaprowadzić was o całe setki mil dalej, w miejsca, które zamieszkuję i zwiedzam obecnie. Przede wszystkim jednak muszę was uprzedzić, że mam trochę cygańską duszę i nigdzie nie mogę zagrześć długo miejsca. Nie uwierzycie, jak mi było dobrze w dolinie Anaheimskiej, w tym prawdziwym rajku na ziemi, o którym śmiało można powiedzieć:

Czy znasz ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa?

Istotnie cytryna tu dojrzewa, a oprócz cytryn, jak u nas w lipy, tak tam każdy dom tuli się pod zielone warkocze drzew pieprzowych, tamarynd, palm, rycynusów, oleandrów, winogrodów, fig i drzew gumowych. Ciemne bluszcze o liściach wielkich, podobnych do klonowych, i inne pnące się rośliny, których nazw nie znam nawet, czepiają się tu każdego pnia, każdej gałęzi, każdej kraty w werandzie lub ścianie, tworząc nieprzebite festony i kopuły zieloności, pod którymi nawet w czasie godzin południowych panuje rzeźwy chłód. Nic miłszego, niż siadłszy pod taką kopułą na biegunowym krześle, patrzeć z cienia na oświetlone słońcem przestrzenie. Powietrze, przesycone zapachem heliotropów, lilij, róż, kwiatów pomarańczowych i różnych innych, które tylko w tym klimacie wzrastają i mnożą się, upaja prawie. Na kwiatkach kołyszą się motyle; od czasu do czasu zalatują kolibry podobne do konika polnego o

świetnych barwach i zawisnąwszy koło kwiatu na drżących skrzydełkach, zanurzają kilkakrotnie w jego kielich swój długi na kształt igły dziobek. Ptaszek ten ma wszystkie ruchy owadu: kręci się jak motyl, nie siada prawie nigdy, a skrzydełka jego skutkiem niezmiernie szybkich drgań wydają szmer podobny do skrzydeł szarańczy. Jest to baby (bebe), czyli beniaminek wszystkich ptaków, dlatego żaden z nich nie robi mu krzywdy, czyhają na niego tylko brzydkie pajaki, ale „bebe” walczy z nimi mężnie i bardzo często je pokonywa. Ludzi nie więcej boi się niż każdy motyl i kręci się często tuż nad ich głowami. Zresztą prowadzi sobie życie wesołe: na liściu pomarańczowym ma swoje gniazdko, ma co jeść, pić; nie płaci żadnych podatków; jest bogaty, niezależny, rozpieszczony i szczęśliwy.

Prócz kolibrów widzisz tu mnóstwo innych ptaków. Szary z żółtą pierśią pszczołojad, wielki przy tym zawadiaka, patrzy tylko, czy nie ma blisko jakiego drozda lub błękitnika, żeby zaraz z nim zrobić awanturę. Ale oto mądry drozd, czyli tak zwany przedrzeźniacz, schował się dobrze w liście rycynusu i z tej kryjówki drażni wszystkie stworzenia naśladując ich głosy. Czasem zamiauczy jak kot, zaszczeka jak pies, czasem zakwacze jak żaba, to znów przyjdzie mu do głowy kaszlać, kichnąć lub roześmiać się, jakby miał pomieszanie zmysłów. Sam umie śpiewać, ladaco, prawie tak ładnie jak słowik, ale śpiewa tylko w nocy, w dzień zaś woli przedrzeźniać innych. Indianie nazywają go za to: ptak-małpa, ale lubią go także wszyscy, ma bowiem niewyczerpany humor. Jest to sobie „Gavroche” ptaków.

Czarne małe szpaki o szkarłatnych ramionach napełniają powietrze zupełnie jakby dzwieniem srebrnych dzwoneczków. W winogradzie smyrgają pstre przepiórki, między którymi samce mają rogi na głowie. Proszę zauważyć: samce tylko. Można by z tego wyprowadzić rozmaite złe wnioski o „konduicie” samiczek, które też wydają się płocze, zalotne i lekko-myślne. Jest to tym większą ich winą, że małżonkowie są o nie bardzo staranni. Gdy panie jedzą winogrona, panowie czuwają na straży; w razie zaś jeśli zbliża się jakiś kot albo jaki literat warszawski, sławny zresztą pudlarz, zabłąkany aż w te strony, wykrzykują: „kot! kot!”, i całe towarzystwo zmyka co sił na piechotę w pole między kaktusy, które jadowitymi swymi kolcami potrafią zatrzymać wszelką pogoń.

Ludzie tutejsi, z wyjątkiem owego literata, nie robią krzywdy ptakom, nawet bardzo smacznym; owszem, kochają je i uważają za pożyteczne, ptaki te bowiem tępią wszelkiego rodzaju owady, których tu mnóstwo. Co się zaś tyczy literata, i ten rzadko bywa sprawcą jakiego nieszczęścia, ale za to napędzi częstokroć takiego strachu, że niech Bóg broni, tym bardziej że nie wiezieć, jak się go ustrzec i gdzie jest, a gdzie go nie ma – włóczy się bowiem po całych dniach po polach, winnicach, krzakach: słowem, gdzie go nie posiał, tam wzrasta.

Naokoło Anaheim ciągną się przez całą dolinę, od gór aż do pąsu stepowego, pola nieuprawne, bo jeszcze nie zajęte przez nikogo, porośnięte tylko kaktusami. Kaktusy te tworzą ogromne kępy, wyspy i jak gdyby całe lasy. Dochodzą czasem do kilkunastu stóp wysokości, bo liść jeden wyrasta z drugiego dopóty, dopóki roślina nie ugnie się pod własnym ciężarem. Latem kwitnie to wszystko ślicznym purpurowym kwieciem, jesienią zaś wydaje owoce barwy sinej, pokryte drobnymi kolcami parzącymi jak pokrzywa, słodkie i tak kształtem, jak smakiem do fig podobne. Owóz w tych kaktusowych lasach żyją całe tysiące zajęcy, ziemnych wiewiórek, kujotów i borsuków. Cała ziemia tam podziurawiona jest jamami, w które co krok zapada noga wędrowca. Wszystkich tych zwierząt jest nieprzebrane mnóstwo, zajęcza jednak ludność jest najliczniejsza. Żadne prawo nie ogranicza wolności tępienia tych długouchów, szkody bowiem, jakie robią w polach, są ogromne. Niszczą plantacje wszelkiego zboża i kukurydzy, psują drzewka ogryzając korę; pustoszą winnice zjadając liście młodych szczerpów; słowem: są plagą, która mimo wszelkich środków zaradczych ciągle równie dotkliwie czuć się daje. Dlatego też w Anaheim, w Santa Ana, w Orange i innych osadach co wieczór słychać nieustającą kanonadę. Wszyscy mężczyźni, wszystkie chłopaki od lat czterestu wychodzą dzień w dzień na zajęce i zabijają je bez liku. W Santa Ana za mojej tam bytności uczyniono na nie obławę i zabito ich w ciągu sześciu godzin przeszło siedmset; jednak-

że następnego dnia, gdym wyszedł na polowanie, nie wydało mi się, aby ich było mniej. Wszedłszy o zachodzie słońca między kaktusy, wszędzie naokół można spostrzec sterczące uszy, wytrzeszczone oczy i groźnie poruszające się wąsy. Zdarza się, że gdy strzelisz do jednego, spod liści i kęp wypada naraz ze wszystkich stron kilkunastu, a wtedy już strzelaj, ile dusza raczy, tym bardziej że po pięciu lub sześciu skokach nie uciekają dalej, ale siadłszy na tylnych łapkach, strzygą uszami i rozglądają się wokoło. Nie potrzebuję dodawać, że strzelający po łacinie myśliwiec otwiera wówczas szeroko usta i sam nie wie, co mu robić wypada.

Drugą takąż samą plagę stanowią wiewiórki ziemne i tak zwane gofry. Pominąwszy, że wierząc dziury w polach, utrudniają uprawę, niszczą przy tym mnóstwo zboża. Raz zadałem sobie pracę rozkopania jamy gofra, która ciągnęła się kilkanaście łokci pod ziemią. Cóż tam za korytarze, składy żywności, piwnice! Odkopawszy tylko niektóre, znalazłem kilkanaście funtów rozmaitego zboża i korzonków; nie dokopałem się zaś ani do pięt dolnych, ani do końca podziemi. Zdawałoby się, że ród tych szkodników powinien wyginać. Ludzie mordują ich bez miłosierdzia; żywią się nimi borsuki i kujoty, czyli wilczki stepowe, polują na nie orły i jastrzębie, pożerają je węże; jednakże wszędzie są ich nieprzeliczone masy.

Zapuszczając się w wycieczkach na kilkanaście mil angielskich od Anaheim, spotykałem dość często, zwłaszcza za nadejściem nocy, kujoty. Są to zwierzęta zupełnie do naszych wilków podobne; tylko bez porównania mniejsze. Na ludzi nie rzucają się nigdy; są przy tym bardzo lekkie, tak że w dzień nie pokazują się wcale. Nocą przebiegają między kaktusami, skomląc żałośnie i polując na zające. Zbliżają się także do mieszkań ludzkich czyhając na owce, gęsi, kury itp. Oczywiście, jeśli uda im się napaść na owcę, którą pasterze zapomnieli zagnać do koralla, jest to bal dla nich wielki, ale mordują ją zawsze w kilku, jeden bowiem nie dałby sobie rady.

Koza jest dla nich zbyt waleczna. Potrząsnąwszy groźnie brodą i zniżywszy głowę rusza śmiało z rogami choćby na trzech i czterech kujotów, którzy też wkrótce sromotnie tył podają. W okolicach bardziej zamieszkałych, gdzie mniej jest zające, główne utrzymanie kujotów stanowi kradzież. Kradną, co się zdarzy, jedzą bowiem wszystko. Jeden z naszych rodaków, stary miner i traper osiadły w Kalifornii od lat przeszło trzydziestu, opowiadał mi, że raz w nocy w górach Sierra Nevada wyciągnęły mu worek z sucharami spod głowy, skutkiem czego zaalarmował cały obóz, myślał bowiem, że to Indianie zakradli się nocą do namiotów.

Postrzelony lub złapany we wnik, kujota daje tak dotkliwe dowody tchórzostwa, że niepodobna się prawie do niego zbliżyć; naciśnięty jednak przez psa, broni się rozpaczliwie, tak że tylko chart umie rozciągnąć go na miejscu. Oswajać nie próbował ich nikt, może z powodu przykrego zapachu, jaki wydają, a może, że i z natury zbyt są dzikie.

Borsuk za to oswaja się z łatwością. Mówię to z doświadczenia, mam bowiem sam jednego, który ani pod względem oswojenia, ani pod względem pojętności niczym się od psa nie różni. Przechodząc raz szarą godziną przez zarośla spostrzegłem go o kilkanaście kroków od jamy i zastąpiłem mu drogę. Zabawne to pękate stworzenie samo nie wiedziało, co zrobić; uciekać bowiem – z powodu nadzwyczaj krótkich nóg – nie może, w pobliżu nie było nigdzie drugiej jamy, grunt zaś latem zbyt jest zeschnięty, aby się mogło zaraz zakopać. Otóż z pomocą sznurka i zdjętego surduta udało mi się po długiej i walecznej ze strony biedaka obronie schwytać go wreszcie i zaciągnąć do domu. Był to młody, roczny może samiec, pokryty pięknym futrem koloru szopów, z białym łyskiem na głowie i czarniawym pyszczkiem. Przez parę dni siedział zwinięty w kłębek w moim pokoju, mruczając groźnie, gdym się do niego zbliżał, jadł jednak, co mu było dać, gdy nikt na niego nie patrzył. W nocy robił wiele hałasu biegając po pokoju i stukając olbrzymimi pazurami o podłogę jakby obcasami. W kilka dni potem stracił już dzikość, a w tydzień może, gdym się do niego zbliżył, przewrócił się nagle na grzbiet, a machając nogami i warcząc począł okazywać swoją radość. Zacząłem się z nim bawić: dałem mu rękę, on zaś udawał, że ją gryzie, zupełnie jak młody psiak.

Jest to stworzenie bardzo pojętne i łagodne, a przy tym, jakkolwiek nie cierpi wody, bardzo czyste. Porządku i obyczajności uczy się tak łatwo, jak pies. Sypia zwinięty zupełnie w kłęb, tak że nie widać mu głowy, a śpi tak mocno, iż mogę go tacać po pokoju. Skoro się rozbudzi, zwykłym sobie kołyszającym się chodem kłusuje zaraz do kąta i zwija się na nowo. Z powodu swej pękatości i swego niedołęznego chodu ruchy ma ociężałe i śmieszne. Jest to skończony safandula. Kiedy dostrzeże obcego psa, włazi natychmiast pod pierwszy lepszy sprzęt, ale wówczas biada psu, który by chciał wleźć do jego kryjówki. Niezawodnie cofnie się z niej pokaleczony i podrapany. W stanie dzikim, gdy psy opadną go z dala od jamy, przewraca się podobno na grzbiet, aby mieć wolne do obrony wszystkie cztery łapy uzbrojone w straszliwe pazury. Ja jednak tego nie widziałem.

Ale borsuk ma jeszcze jedną szczególniejszą własność, która w tutejszych stronach zmienia się w nieoszacowany przymiot: oto nie szkodzi mu ukąszenie węzów, choćby najjadowitszych. Podczas gdy pies ukąszony przez grzechotnika kona w męczarniach po upływie kwadransa, borsuk, gdzie spotka grzechotnika, natychmiast chrusta go z apetytem, nie dbając o ukąszenie.

Zresztą, jak przekonałem się na miejscu, opowiadania o jadowitości grzechotników nader są przesadzone. Myślę, że wschodnio-indyjski okularnik daleko jest jadowitszy. Naprzód, grzechotnik zwykle za zbliżeniem się człowieka ucieka pośpiesznie, a po wtóre, słyhać go z daleka – łatwo się więc uchronić. Widziałem kilku ludzi ukąszonych przez grzechotniki, którzy wyleczyli się dość łatwo. Doskonałym środkiem przeciwko jadowi jest amoniak; rana, zalana i wytarta natychmiast amoniakiem, goi się dość łatwo. Amerykanie jednak mają jeszcze inne lekarstwo, polegające na tym, że ukąszony wypija natychmiast tyle wódki, ile się w niego zmieści. Ma to być niezawodny sposób... żeby wyleczywszy się z ukąszenia, dostać zapalenia kiszek i umrzeć. Jednakże wszyscy ukąszeni, których znałem, leczyli się wódką i żyją do tej pory.

Zresztą grzechotników wszędzie tu coraz mniej: którego dojrzy ludzkie oko, ginie jak amen w pacierzu. Pręt lub bat najlepszą jest na nie bronią, wąż bowiem, uderzony przedmiotem giętkim, rozpada się w kawałki. Prócz ludzi tępią je także borsuki i inne stworzenia. Polując w zaroślach między kaktusami koło Anaheim częstokroć widywałem ptaki wielkości małej kury, upierzone na przemian srebrno i błękitnie, które za zbliżeniem się do nich uciekały nadzwyczaj szybko piechotą. O ile moje wiadomości zoologiczne pozwalają mi wnioskować, są to po prostu srebrne bażanty, ale Amerykanie mówią, że te ptaki niedobre są do jedzenia – przypisują im natomiast bardzo szacowne własności. Opowiadają, że ptak taki spotkawszy uśpionego węża odłamuje kolczaste liście kaktusów i otacza go dokoła nieprzebytym kołem, wśród którego wąż, nie mogąc się z powodu kolców wydostać, umiera z głodu. Co do mnie, nie widziałem tego nigdy i całe to opowiadanie uważam za wierutną bajkę, którą wymyśliły chyba same ptaki dla uchronienia się od strażów. Jakoż Amerykanie nie strzelają do nich nigdy i gniewali się na mnie, gdy jednego z nich postrzelił.

Ptaszyska te mają głos podobny trochę do naszych pawi i krzyczą po całych dniach w zaroślach i między kaktusami; jedzą zaś, jak sam to widziałem, nie żadne węże, ale owoce kaktusów.

Ale w błogosławionej anaheimskiej dolinie nie ma już grzechotników; jedynymi gadami są tu piękne, rogate jaszczurki należące do rodziny salamander, które nic nikomu złego nie robią i które nieraz brałem w rękę. Nie ma tu również ani niedźwiedzi, ani pum, ani jaguarów, ani wielkich niebezpiecznych kotów dzikich, ani wreszcie nawet muskitów, tej plagi stron południowych. Są tu tylko palmy, migdały, pomarańcze i barwiste ptaki, i powietrzne kwiaty – motyle, i wieczna wiosna: uśmiechnięte bezchmurne dni i księżycowe noce, podczas których śpiewa jak słowik przedrzeźniacz kołyszając się na gałązkach tamaryndy.

Najniebezpieczniejszymi istotami dla młodych myśliwców są tam chyba sinoritas hiszpańskie, odbijające się białą na ciemnym tle palm, jak zaziemskie zjawiska. Ale to jest niebezpie-

czeństwo, od którego się nie ucieka, ale na które idzie się na oślep, coś niby jak ćma na świecę. Owóż widzicie, że mi tam mogło być dobrze i było dobrze. Dla ludzi pozytywnych dodam, że tam brzoskwinie dochodzą takiej wielkości, iż jednej dwoma dłońmi nie obejmiesz, winogrona jak w ziemi Chananejskiej; a kto chce ich kupić mniej jak sto funtów, temu powiedzą, żeby sobie poszedł do winnicy i zjadł darmo tyle, ile mu się podoba. Jakże bo tu i sprzedawać, kiedy w czasie winobrania sto funtów za dwadzieścia pięć centów się sprzedaje! Wobec mnóstwa dziczyzny – życie tanie; słowem: zestarzeć się tu można, jak mówił ktoś o południowej Francji, ale umrzeć niepodobna.

A jednak znudziła mnie sielanka, znudziły seniority, znudził brak cieniów w obrazie i pewnego pięknego poranku zabrałem mego psa, borsuka, młodego orła z przestrzelonym skrzydłem, słowem: całą moją menażerię, i pojechałem do Anaheim Landing nad brzeg Spokojnego Oceanu.

Anaheim i Anaheim Landing to jak niebo i ziemia. Piętnaście mil oddziela te dwa miejsca, a jednak, gdym przybył do Landing, zdawało mi się, że zwiedzam te krainy, na których przedśionku Dante wyczytał: „Lasciate ogni speranza”. Grunt uroczej doliny anaheimskiej biegnąc ku morzu zniża się coraz bardziej i staje się zapadłym. Roślinność ginie stopniowo. Miejscami przeświecają żółte piaski, miejscami słone bagna, nad którymi unoszą się roje muskitów; gdzie indziej znów ujrzysz prerię, na której latem nie ma ani źdźbła trawki, ziemia zaś wygląda jak popękane klepisko. Nigdzie ani jednego drzewa, a widok tej pustoszy tym bardziej ściska za serce, że w rozpalonym powietrzu fata morgana ludzi ustawicznie wzrok najcudowniejszymi obrazami, które za zbliżeniem się nikną jak sen.

Dojeżdżając do Landing widziałem niby Neapol: ogromne cudne miasto zatoczone półkolem nad szmaragdową zatoką, marmurowe pałace, wieże kościelne, grupy palm – w zatoce maszty i barwiste flagi, a wszystko to osnute błękitną, leciuchną mgłą, jak marzeniem. Lecz gdym dojechał na miejsce zjawiska, ujrzałem tylko wydmy piaszczyste. Zjawiska takie, jedne piękniejsze od drugich, ciągle mającą przed wędrowcem: jest to gra rozpalonego powietrza i promieni słonecznych padających na grunt pokryty solą jak śniegiem. W rzeczywistości całe pobrzeże jest pustynią i jedną z najposepniejszych pustyń, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Spytacie się może: dlaczego więc pojechałem do Landing? – Oto Landing ma kąpiele morskie.

Nie myślcie jednak, żeby to była np. Ostenda z jej wspaniałymi hotelami, z kursalem, z ciasno, z dygą, z plażą, z orkiestrą pana Singelé, z parkiem ostryg, z siedemnastoma tysiącami cudzoziemców, z pięknymi kobietami, ze strojami, modą, przepychem i tym życiem gwarowym, pysznym a wyzłoconym – wcale nie. Anaheim Landing jest to osada rybacka, gdzie znajduje się sześć chat, jeden bar, jak tu mówią, czyli po naszymu szynk, i oto wszystko.

Mieszkałem u właściciela tego szynku, imię pana Neblunga, a sypiałem z nim razem w jednej izbie, do szynku przyległej. W szynku po całych dniach rybacy grali w karty, a do uszu moich, podczas gdy pisałem, dochodziły ciągle gniewliwe ich głosy: „Goddam you; goddam!” I nic więcej nie słyszałem, tylko te „Goddam” oznaczające zły humor gracza, któremu nie idzie karta. Na drugi dzień pokazało się, że w Landing nie bardzo jest co jeść. Rano pijaliśmy czarną kawę, bo nie było mleka, i jedliśmy morskie ryby, na obiad ryby i na wieczór ryby. Wykwintna to zapewne potrawa owe „turbot”. flądry itp., ale gdy się to jada trzy razy na dzień przez parę tygodni, w końcu człowiek dochodzi do tego, że wolałby kawałek wołowiny. Brakło mi także towarzystwa, bo owi rybacy, jakkolwiek każdy z nich, pojedynczo wzięty, tytułuje się „kapten”, byli to najprostszy ludzie, jakich widziałem w Ameryce. Co mi to za kapitan, który na rękę i na piersiach jest, według zwyczaju amerykańskich majtków, tatuowany błękitną i czerwoną farbą w kotwicę i w rozmaite napisy! Jedynym nietatuowanym człowiekiem z mężczyzn w Landing był mój gospodarz, Max Neblung, osobistość ciekawa ze wszech miar i warta opisu. Jest to Niemiec, który przez całe życie włóczył się po całym świecie. Ma dosyć wykształcenia, jest wielki frant i mówi mieszaniną wszystkich europejskich języków.

Nie ma kąta na świecie, gdzie by nie był. W Pekinie spędził cztery lata: utrzymuje, że należał do poselstwa; zdaje mi się jednak, że należał jako kucharz, posiada bowiem doskonale sztukę kulinarną. Potem był w Australii, gdzie kopał złoto. W Brazylii polował na jaguary, w Gwinei w Afryce na goryle; kłamie, jakby za to pobierał honoraria od wiersza. Jest zawołany próżniak; po całych dniach leży na sienniku i czytuje romanse, a rybacy tymczasem piją, ile chcą, jego piwa i płacą mu także, ile chcą. Rozmaite jego wiadomości z dziedziny historii, a nawet literatury, są istotnie zadziwiające. Raz rzekł do mnie:

– Sir! ja nazywam się Neblung, zatem pochodzę od Nibelungów.

Innym razem zdradził się ze znajomością *Iliady*. Ustępy Schillera i Goethego deklamuje na pamięć, a jednak czasem znów nie wie rzeczy najprostszych. Jest niezmiernie bezinteresowny, bardzo lekkomyślny i stale zakochany. Pierwszego dnia zaraz wyznał mi, że serce jego rozdarte jest na dwoje: między dwie siostry Hiszpanki, z których jedna nazywa się Ameryka, a druga Słońce (Sol). Siostry te przyjechały w tydzień później kapać się do Landig, skutkiem czego Max stracił głowę zupełnie, wydał wszystkie pieniądze, jakie miał, na krawaty i pomadę, a potem piwo brał na kredyt z Anaheim.

Tacy ludzie tylko w Ameryce mogą się zdarzyć. Max, jak ów Laufen w komedii Lubowskiego, nie potrafi ani jednego zdania sklecić w jednym języku, ale prawie zawsze pomiesza niemiecki, francuski, angielski, hiszpański, a czasem nawet i chiński. W Anaheim wszyscy lubią go bardzo, kredytują mu chętnie, chociaż nie jest zbyt wypłatny, i zapraszają na wszystkie strony, skoro się tylko pokaże.

Mnie jednak nudził swoją gadatliwością i przeszkadzał mi często pisać, zadając ustawicznie, jak dziecko, rozmaite pytania. Gdy go prosił, żeby siedział cicho, kręcił się jakby uwiązany. Wówczas brałem strzelbę i wychodziłem nad brzegi.

Zwierzyny w Landing nie ma prawie żadnej. Nocami tylko, po księżycu, skomlą kujoty, ale w dzień siedzą pochowane. Ptactwa za to morskiego miliardy, wszystko to jednak nie zdało się na pokarm, trąci bowiem tranem i rybą. Mogę powiedzieć, że główne moje towarzystwo stanowiły pelikany. Potężne te ptaki nie tylko nie boją się ludzi, lecz lubią ich i chętnie do nich się garną. Jest to wprawdzie miłość bez wzajemności, bo ludzie brzegowi w przeciwieństwie z farmerami tłuką je, gdzie mogą: strzelają do nich z rewolwerów, zabijają wiosłami i tym podobnie. Pierwszego zaraz dnia, gdy wyszedłem na brzeg, zobaczyłem kilkanaście pelikanów ważących się na ogromnych skrzydłach o kilkadziesiąt stóp nad moją głową. Mając przy sobie broń, strzeliłem; jeden ptak okręcił się natychmiast w powietrzu i spadł ciężko na piasek. Gdy się zbliżył do niego, już gasnął, ale podnosił jeszcze głowę, uzbrojoną potężnym dziobem i torbą, spoglądając na mnie jakby z wyrzutem.

– Przechodzisz do Nirwany, miły ptaku – rzekłem do niego – i niepotrzebnie życia żałujesz: wszyscy się tam znajdziemy.

Ale mimo tej filozoficznej uwagi było mi przykro i doznawałem darwinistycznych wyrzutów sumienia po zamordowaniu tego dziobiastego bliźniego. Odtąd też dałem pelikanom pokój i kupiłem nawet moim kapitanom piwa za obietnicę, że nie będą ich mordować.

Czasem siadałem w małą łódź i płynąłem do pobliskich ławic piaszczystych odległych zaledwie o kilkaset stóp od brzegu. Tam siadłszy na piasku wsłuchiwałem się w to życie ptasie, gwarne, wesołe i swobodne. Tysiące mew siedziały na jajach; inne kwiląc krążyły nad wodami; pelikany siadały tuż koło mnie i pozakładawszy głowy na grzbiety przypatrywały się filozoficznie wszystkiemu, jakby zastanawiając się nad porządkiem świata; wielkie kulony morskie brodziły po brzegach i zmykając klusem przed nadchodzącą falą, zdawały się znów ją gonić, gdy ustępowała na głębiny; wszystko jednak przede wszystkim szukało żeru: jeść, podtrzymać życie; jeść i jeść: oto jedyna praca i jedyna troska bezwiedna tego świata. Gdy się w to wpatrzysz a wsłuchasz, wydaje ci się, że ta walka o istnienie, że ta staranność w podtrzymywaniu życia, ta dziwna energia nie ma w sobie nic indywidualnego: że to objaw jakiejś ogólnej zasady, świadomej siebie czy nieświadomej, ale stanowiącej istotę wszechżycia.

I znowu popadałem w ów panteizm, który tysiące lat temu śnił się już ludziom nad brzegami Gangesu, na górach Iranu i nad błękitnymi falami Archipelagu. Zdawało mi się, że ten świat ptaków i moje żółte wyspy piaszczyste, i fale płynące z gwarem i łkaniem z niezmiernych przestrzeni, i wiatr, który porusza głupie, tłuste roślinki rosnące na słonym gruncie: że to wszystko ma tylko jedną wielką duszę, że to jeden wielki Zeus grecki, któremu podobało się wziąć na się szatę zwaną przez nas światem zjawisk.

Z marzeń podobnych budziłem się dopiero, gdy słońce kryło się już pod wodą, a na mrocznym wybrzeżu w Landing zapalono latarnię morską.

Wsiadałem wówczas w łódź i łagodny przyptyw w cieśninie unosił mnie do drugiego brzegu. Potem pogawędziwszy jeszcze z Maxem, szedłem spać, a raczej oddawałem się na pokarm muskitom. Nieraz zbudziwszy się w nocy myślałem sobie: „Być może, że w mądrym wszechświecie mają i muskity swoje prawa bytu, gdybym ja jednakże był je stworzył, stworzyłbym je tak, żeby zjadały wyłącznie Maxa, nie mnie.

Świtaniem wstawałem do kąpieli. Nie myślcie, żeby tu kąpiel była równie spokojna i bezpieczna jak nad brzegiem Bałtyku albo Morza Niemieckiego. Rekinów na całym pobrzeżu kalifornijskim jest mnóstwo. Nieraz popłynąwszy z rybakami na pełne morze widziałem podnoszącą się z toni potężną, ostro zakończoną płetwę i czarniawy grzbiet jednego z tych stworów, które zwłaszcza pod wieczór lubią igrać na fali, to pokazując się, to niknąc na przemian. Pierwszego dnia kąpałem się z nożem w ręku, ale był to zbytek ostrożności, rekiny bowiem nigdy nie zbliżają się do brzegów z obawy, aby fale nie wyrzuciły ich na piasek. Dla kąpiących się bez porównania niebezpieczniejsze są inne stworzenia, zwane po angielsku: steengris (nie wiem, jak się pisze), a po polsku, zdaje mi się: rają. Jest to ryba płaska, okrągła, z wydłużonym ogonem podobnym do ogona prosięcia. Owóż ogon ten opatrzony jest w kolec w kształcie szpady, po obu ostrych brzegach ząbkowany i nadzwyczaj spiczasty. Ryba siedzi w piasku niedaleko brzegu i gdy kąpiący się nastąpi na nią nogą, rają wbija mu kolec w piętę lub podeszwę. Rany takie goją się tak trudno i tak strasznie się jątrzą, że nadbrzeżni mieszkańcy więcej obawiają się ukłucia rai niż ukąszenia grzechotnika i poczytują ją za jadowitszą od wszystkich wężów. Nie jest to prawda. Rają nie jest jadowita, rany zaś zadane przez nią dlatego są niebezpieczne, że tak w podeszwie nogi, jak i w pięcie schodzą się liczne sploty żył i nerwów. Gdyby przecie nie pięta, Achilles nie umarłby w kwiecie wieku.

Można się łatwo jednak od rai uchronić robiąc hałas przy wejściu do wody. Co do mnie, widziałem ich kilka, ale nie ukłuła mnie żadna. Widziałem jedną, schwytaną przez rybaków, która ważyła przeszło osiemdziesiąt funtów. Kolec jej mający długości blisko dwa cale zachowałem na pamiątkę.

Przy brzegach owych łąw piaszczystych, o których wspomniałem, znajduje się także wiele strasznych polipów zwanych w zoologii: cefalopedy. Jest to galaretowaty potwór z dziobem papugi i długimi wąsami, z pomocą których chwyta i wysysa ryby, kraby, młode foki, a nawet, jak mówią, i ludzi. Wiktor Hugo opisał go w swoich *Pracownikach morza*. Najczęściej jednak spotykanym wielkim stworzeniem wodnym na pobrzeżach kalifornijskich jest lew morski, zwierzę istotnie wspaniałe i ze wszech miar na nazwę lwa zasługujące. W San Francisco jest dom, stojący tuż nad zatoką w północnej stronie miasta, zwany Cliff House, w pobliżu którego sterczy z morza kilka skał granitowych. Otóż na tych skałach można widzieć zawsze całe setki olbrzymich lwów wygrzewających się na słońcu. Na galeriach domu umyślnie na ten cel urządzonych znajdziesz zawsze mnóstwo podróżników przypatrujących się przez szkła teatralne tym potworom, których ponury ryk napętnia powietrze. Stare samce z pomocą płetw wspinają się z szybkością na skały; częstokroć walczą ze sobą spychając się karkami z miejsc najlepiej słońcem ogrzanych; czasem znów rzucają się nagle do wody, która rozpryskuje się w tysiące kropli pod ciężarem ich cielsk olbrzymich. Samice są barwy ciemnej i o połowę mniejsze od samców; nie ryczą przy tym, ale szczekają zupełnie jak psy; ryku zaś samców nie powstydzilby się nawet żaden lew afrykański.

Zwierzę to jednak mimo groźnych pozorów, mimo paszczy uzbrojonej w straszliwe kły jest bardzo łagodne; nie napada nigdy na ludzi i broni się chyba przywiedzione do ostateczności. Jest przy tym bardzo pojętne i oswaja się z łatwością, czego dowodem lew morski znajdujący się w Woodwards Garden w San Francisco, który na głos swego dozorca wynurza się z wody, wchodzi na skałę i chwytając w łot ryby, które dozorca mu rzuca. W Cliff House strzelanie do tych zwierząt jest zabronione, ale i gdzie indziej ludzie nie robią im krzywdy, ani bowiem mięso ich, ani skóra nie na wiele są przydatne. Rekin rzuca się tylko na młode i na samice, gdyż stary samiec poszarpałby go swymi kłami na kawałki.

W Landing widziałem ich tylko kilku, ale strzelać nie mogłem, nie miałem bowiem ani kul, ani gwintowanej broni, z gładkiej zaś strzelby, śrutem lub loftkami, nic im zrobić nie można. Zresztą mając nawet broń nie chciałbym zawodzić ufności, z jaką zbliżają się do ludzi, ani zakłócać spokoju, w jakim żyją. Woląłem chodzić po brzegach i zbierać muszle lub piękne gwiazdy morskie, których tysiące każdy odpływ osadza na piasku.

Czasem po całych godzinach przypatrywałem się roślinom morskim, również przez fale wyrzucanym. Niektóre z nich mają tak dziwne kształty, że i opisać ich niepodobna. Często, na przykład, znajdowałem roślinę mającą kształt bomby, z której przeciwległych końców wychodzą dwa ramiona podobne do kieszek kauczukowych. Jedno z tych ramion, krótsze i grubsze, dzieli się na kilka odnóg; drugie, mające kilkanaście stóp długości, zwęża się stopniowo i kończy się cienkimi wąsami obejmującymi zawsze kamień. Jeden egzemplarz tej ciekawej rośliny zachowałem, ale szerniał mi na słońcu, wysechł i zmienił się nie do poznania.

Lubiłem także przypatrywać się w czasie połowów rybnom morskim. Nieraz zdawało mi się, że ktoś wysilał fantazję, aby je tworzyć najdziwniej. Niektóre z nich mają oba oczy z jednej strony; niektóre – kształt kuli pokrytej kolcami; inne znowu mają usta prawie w środku ciała. Majtkowie przybywający z Południa pokazywali mi zasuszone małe rybki mające głowę i kark konia. Nazywają je też konikami morskimi. W cieśninach między ławami piaszczystymi i przy ujściach rzek żyje znów dziwna istota zwana Bernard-pustelnik¹⁰. Jest to rak mający całe ciało pokryte skorupą, z wyjątkiem ogona, który jako nagi i miękki, narażony jest na wszelkie wypadki i wszelkie zmienności losu. Ale mądry „pan Bernard” umie na to poradzić. Oto spotkawszy muszlę wyjada ze środka ślimaka, w próżną zaś skorupę wsadza swoją słabą stronę, czyli ogon, który od tej pory ubezpieczony jest doskonale. Bernard nigdy już nie rozstaje się ze swoją skorupą i wlecze ją wszędzie za sobą, chociaż w ogóle mało się porusza, ufny w to, że fale same przyniosą mu wszystko, czego do życia i pożywienia potrzebuje.

Mając wiele wolnego czasu, po całych dniach dopełniam moje zoologiczne i botaniczne zbiory. Mam już tego pełny kufer, żałuję tylko, że niedostateczna znajomość nauk przyrodzonych nie pozwala mi ich uporządkować i pooznaczać odpowiednimi nazwami. Ale cóż zrobić, kiedy nie umiem nic! Kto inny na moim miejscu zebrałby tu prawdziwe skarby.

Po upływie tygodnia od chwili mego przyjazdu do Landing przybyły wreszcie gorąco oczekiwane przez Maxa: seniorita Ameryka i seniorita Słońce. Max wynajął im domek rybacki, sam zaś pomadował się tak, że nie mogłem z nim wysiedzieć w jednym pokoju. Utrzymywał, że piękniejszych kobiet nie ma na świecie. Istotnie, tak regularnych rysów nie widziałem nigdy, ale też i takich piegów nie widziałem nigdy. Max zaręczał wprawdzie słowem honoru, że w czasie pory dżdżystej to zejdzie, ale gdzie mnie tam było czekać pory dżdżystej! Zacząłem więc z coraz większą tęsknotą spoglądać na dalekie błękitne góry rysujące się na wschodnim krańcu widnokregu i zamykające ze wszystkich stron anaheimską dolinę. Santa Lucia, San Bernardino, San Jacinto! – same te nazwy miały dla mnie jakiś dziwny, pociągający urok; postanowiłem tedy skorzystać z pierwszej lepszej okazji, aby się tam dostać. Czasem późnym wieczorem na górach tych połyskiwało coś jakby łuna pożaru.

– Co to jest? – pytałem Maxa – czy to wschód księżycy?

¹⁰ Raków tych mnóstwo jest także w La Manche.

– Nie – odpowiedział w niemiecko-francusko-angielsko-hiszpańskim języku – to Indianie musieli zapalić lasy.

– A więc tam są Indianie?

– O tak, półoswojeni Indianie, a przy tym lwy górskie, niedźwiedzie, jelenie i Bóg wie nie co!

Wówczas w księdze zamiarów zaginałem kartę, na której było napisane słowo: „Pojadę”.

Odtąd Anaheim Landing nudził mnie już coraz bardziej, ale zabijałem czas pisząc i obmyślając plany rozmaitych utworów literackich. Wtedy to ukazał mi się w pierwszych zarysach i ów utwór¹¹, który wam już przesłałem, a który może obudzić w swoim czasie choć słabe echo. Wieczorami pisywałem także dalszy ciąg: *Z życia i natury, Hanię i Selima*, ale to nie kleiło się bardzo. Wiecie, jak to czasem bywa: „Krzycz, wrzeszcz jak czajka: nie przyjdzie bajka!” – mawiał nasz Jachowicz. Tak było i ze mną. Tamten pierwszy utwór pochłonął mnie tak dalece, że pisząc *Selima* myślałem o czym innym. Nie posądzajcie mnie jednak o próżniactwo. Listów moich macie dosyć, a przy tym i z *Selimem* może niedługo dopłyną do końca¹².

Zabiera mi także niemało czasu uczenie się rozmaitych języków. Po angielsku umiem już niezłe się rozmówić. W Landing uprawiałem bardzo gorliwie hiszpański. W południowej Kalifornii bez hiszpańskiego ani rusz; zresztą skłoniły mnie do studiów nad nim znajomości z rozmaitymi senioritami, z którymi chciałem rozmawiać w ich ojczystym języku. Seniorita Ameryka i seniorita Słońce pomagały mi ku wielkiej niespokojności Maxa bardzo gorliwie i dzięki im robiłem rzeczywiście zadziwiające postępy; przy tym Horain przysłał mi z San Francisco doskonałe książki i francusko-hiszpański słownik: nie brakło mi więc niczego.

Nie brakło mi nawet ochoty, bo polubiłem ten najpiękniejszy ze wszystkich na świecie język, w którym każde słowo dźwięczy jak srebro, każda litera drga własnym melodyjnym drganiem, tę męską, szlachetną a śpiewną mowę, która tak łatwo czepia się pamięci, jak magnes żelaza. Kto przeszedł i złamał wszystkie trudności angielszczyzny, nauczył się wykręcać językiem jak wrzecionem, wymawiać dźwięki pozbawione wszelkiej wyrazistości, temu, gdy weźmie się do hiszpańskiego, wydaje się, że spośród cierni i głógów wszedł nagle do ogrodu pełnego kwiatów. Nie znam łatwiejszego języka pod względem wymawiania, jak hiszpański. Pamiętam, gdy pierwszy raz wziąłem książkę do ręki i otworzywszy ją trafiłem na frazes: „Examina, o mortal, tu corazon, ahi veras los motivos de tus acciones!” – co po francusku będzie: „Examine, o mortel, ton coeur, tu y verras les motifs de tes actions!” – wykrzyknąłem z radością: „Ależ ja umiem po hiszpańsku!” – prawie tak, jak u Moliere’a: „Ależ ja piszę prozę!” Rzeczywiście, kto zna łacinę i francuszczyznę, dla tego nauczenie się mowy Cervantesa jest kwestią nie lat i miesięcy, ale paru tygodni.

Potrzeba mieć jednak do pomocy jaką senioritę Amerykę lub senioritę Słońce. Zwracam uwagę pedagogów na tę nową metodę uczenia języków, dodając przy tym nawiasowo od siebie, że im seniorita będzie mniej piegowata, tym postępy wszelakiego ucznia będą szybsze i większe.

Prócz pisania i uczenia się po hiszpańsku czytywałem także poważne książki angielskie; wpadł mi na przykład w rękę przekład Lassala, z którego nauczyłem się wiele. Od czasu do czasu Horain z San Francisco przysyłał mi naszą gazetę i „Tygodnik Ilustrowany”. Była to dla mnie zawsze prawdziwa uroczystość, ale czytując zwykle zbyt łapczywie, kończyłem za prędko i potem sam sobie czyniłem gorzkie wyrzuty. Jak stary rumak bojowy, przywykły za młodu do trąbki, później, ilekroć dźwięki jej usłyszy, rozdyma nozdrza, jeży grzywę i oczyma iskrzy: tak i ja rozczytując się to w polemikach, to w poruszanych kwestiach literackich, całą duszą wyrывałem się nieraz do Warszawy, między te stosunki literackie, walki prądów, myśli

¹¹ *Szkice węglem.* (P. R.)

¹² *Selim* w zupełności już nadesłany został Redakcji. (P. R.)

i osobistości nawet, słowem: w cały ów świat, gorączkowy trochę, ale żywy, żywotny, ateński i streszczający w sobie życie duchowe całego ogółu. Bywały chwile, w których myślałem, że mi to wszystko obrzydło, w których czułem się zmęczony i utęskniony za naturą, a oto jednak teraz znów dawny nałóg odzywał się z niepojętą siłą.

Chciałbym nieraz zabrać głos w tej lub owej kwestii, rzucić swój grosz wdowi do tej lub owej skarbonki, skrzyżować szpady z tym lub owym przeciwnikiem, skrzesać ognia na rogach jakiegoś pauvre diable boiteux, poruszyć zółć temu lub owemu, szepnąć w ucho jakiemu śpiącemu komitetowi: „Zbudź się i chodź do piekła!” Ot! tęsknię czasem do tej smutnej roli Chochlika-felietonisty, którą odgrywałem, jakem umiał, przez parę lat, a którą tak się zmęczyłem, że ażem przyjechał tu odetchnąć – między kuguary, grzechotniki i niedźwiedzie.

Ale cóż, gdy pomyślę sobie, że nim głos mój was doleci, kwestie zestarzeją się jak panny czekające próżno na mężów i ludzie o nich zapomną – pióro wypada mi z ręki.

Z gazety i „Tygodnika” widzę jednak, że wydawnictwo postępuje u nas coraz bardziej. Nie wiem, czy to dlatego, że zgłodniałem i chleb razowy smakuje, ale wszystkie artykuły wydają mi staranne a żywotne, a wszechstronne, nasze zaś dzienniki o wiele wyższe od amerykańskich, które nie pozostawiając nic do życzenia pod względem informacji, pozostawiają wiele do życzenia pod względem literackim. Jak pięknie napisane jest np. w gazecie sprawozdanie komisji konkursowej! U nas prasa nie zerwała jeszcze nici łączącej ją z literaturą i artyzmem – tu jest tylko kunsztownym rzemiosłem i businesssem, potężnym i żywotnym wprawdzie jak żaden inny, ale tak odległym od wszelkiego artyzmu, jak San Francisco od Warszawy.

Co to za śliczny wiersz w nrze 29 „Tygodnika”, zatytułowany: *W górach!* Zacząłem go czytać z lekceważeniem, jak wszystkie takie ulotne poezyjki, a skończyłem zachwycony:

Otoczyły mnie wkoło moje równie senne
Pasmem jednakiem,
Ale ja sobie w krainy odmienne:
Umiem być ptakiem.

Cały ten tak poczynający się wstęp sam się śpiewa jak jaki mazurek Szopena: ma własną dziwną nutę, w której słychać szmer świerków górskich, kosodrzewu – i odgłosy ligawek pastuszych. Jest tam echo zupełnie takie, jak w górach. Czytelnikowi chce się po przeczytaniu zawołać: „hop! hoop!” – i czekać baczным uchem na echową ze skał odpowiedź. Dwa następne ustępy również piękne, ale nie stoją w związku ani z pierwszym, ani ze sobą. Trzeba je było zatytułować osobno. Pod wierszem znalazłem napis: „Maria Konopnicka”. Nie znam tej poetki. Czy to czasem nie będzie ta panna, za którą sędziwy nasz Odyniec przyprawiał, zresztą niezasłużenie, w „Bibliotece Warszawskiej”, z kwaśnym sosem Prusa?¹³ W każdym razie ta pani lub panna ma prawdziwy talent, który przyświeca przez wiersze jak promienie świtu przez mgłę. Przypominam sobie, że mam trochę na sumieniu młodocianą muzę Eysmonta. Kuląła zawsze biedaczka na jedną nogę, a ja nielitościwie starałem się jej przetrącić drugą, aby osiadła na murawie. Ale pomimo tego dosyć mi lekko na duszy. Niech to spadnie na mnie i na potomstwo moje aż do dziesiątego pokolenia... Jednakże myślę teraz, że sumienie me nie czułoby się równie spokojnym, gdybym podciął skrzydełka i tego górskiego słowika; dlatego też chwalebę go otwarcie, wiem bowiem, że o ile nic tak nie szkodzi miernościom, jak pochwała, o tyle nic tak nie zachęca, nie podnieca i nie zagrzewa prawdziwego talentu, jak szczere pochwalne uznanie.

Wiem, że piszę o stu przedmiotach na raz, ale to już przyzwyczajenie felietonisty. Nie wyrzucajcie więc powyższego ustępu – o mężowie redakcyjni! Przecie nasza miła opinia nie posądzi was, żeście posunęli w koperczaki do nieznanej poetki, tym bardziej że podpisuję pod

¹³ Nie ta sama. (P. R.)

listem moje nazwisko. A propos opinii publicznej: jakże się tam miewa w Warszawie ta stara, wyróżzana zalotnica? Czy zawsze zamiast stać na straży czci i interesów ogółu, żyje tym, „co ząb jej uchwyci na pięcie” osobistości? czy zawsze ma tak długi język, że chcąc dostać się do jego końca, trzeba brać dorożkę? czy zawsze bawi się bijąc po głowach strychnulcem tych, którzy w jakikolwiek sposób wychylają je z filisterskiego korca? Toujours comme cela? W takim razie nic się nie zmieniło od mego wyjazdu. Ale dziękujemy bogom, że nie jest jeszcze gorzej. U nas przynajmniej prasa jeszcze czysta, a oto mam przed sobą dotykalne dowody, że o ścianę, nad Pełtwią, zalotnica rozsiadła się już i w pewnym organie, w którym przez licytację in plus ofiaruje swe zwiędłe wdzięki więcej dającymu. Dowodzi to jednak, że handel nie wyłącznie w rękach żydowskich znajduje się w tamtych stronach. O! byle handel szedł, wszystko im tam łatwo sprzedać. Ale żyć w takiej handlowej krainie niełatwo.

Dość o tym. Wracam do mojej podróży.

.Owóz upłynęło mi jeszcze w Landing dni z dziesięć. Co wieczór na Santa Lucia połyskiwały z daleka pożary lasów; co dzień dym unosił się w powietrzu, nadając promieniom słonecznym przykrą, rdzawą barwę, a ja z żalem myślałem, że nim tam pojedę, spłoną chyba wszystkie lasy i zostaną nagie tylko szczyty i skały.

Aż raz pewnego poranku rozbudził mnie jakiś szmer. Na świecie było jeszcze szaro i w tym bladawym pół-świecie, pół-cieniu ujrzałem Maxa stojącego na krześle ze sznurem w ręku i majstrującego coś około wielkich gwoździ wbitych w ścianę, na których wisiały meksykańskie kulbaki.

Myślałem, że może nie zdoławszy się zdecydować, którą senioritę więcej kocha: Amerykę czy Słońce – Max umyślił się powiesić, więc na wpół przestraszony podniosłem się na łóżku i spytałem go: co robi?

– Jadę, sir, do Harrisona – odpowiedział. – Będzie już z rok, jak pożyczyłem mu sto talarów; jadę teraz odebrać.

– Gdzież mieszka ten Harrison? – spytałem niedbale.

– O! daleko: w górach.

– W górach?

Zerwałem się na równe nogi. Chwila oczekiwana nadeszła.

Max i tak musiał wziąć parę koni, bo miał przywieźć z gór klepek do beczek i kilka baryłek miodu; kulbak miał także kilka. Wszystko więc składało się jak najlepiej.

Zapaliłem świecę i począłem się pakować.

W pół godziny byłem gotów, a w godzinę później kołysałem się już w lekkim galopie na wysokim, meksykańskim siodle. Obok nas biegły psy: mój i Maxa. Byliśmy obaj z Maxem uzbrojeni doskonale: rewolwery sterczały nam za pasem, a oprócz tego każdy z nas miał nawinięte na kule kulbaki lasso, ową najgroźniejszą broń meksykańską, z którą Kalifornijczycy ruszają śmiało nawet na niedźwiedzia, a którą, mówiąc nawiasem, nie umiem władać. Gładka moja strzelba nie na wiele by się wprawdzie w razie wypadku w górach przydała, ale Max obiecał się wystarać dla mnie w Anaheim o gwintowany karabin, sam zaś miał kentucky „rajfel” ważący z jakie czterdzieści funtów i niosący na pięćset kroków stożkową kulę.

Do Anaheim przybyliśmy jeszcze bardzo rano, ale przegalopowawszy piętnaście mil byłem tak zmęczony, że żadną miarą nie mogłem jechać jeszcze dwadzieścia pięć mil dalej. Bolała mnie każda kość, jakby obita. Max śmiał się, z tym wszystkim zgodził się jednak nocować w Anaheim, tym bardziej że miał tam także kilka interesów załatwić.

Wieczorem poszliśmy obaj na dziwne widowisko, jakie tylko w Ameryce może się trafić. Oto przyjechał do Anaheim aktor, który ogłosił, że będzie uczył deklamacji, wymowy, a przede wszystkim pięknych gestów, i to po trzy talary miesięcznie. Zapisano się też zaraz kilkunastu amatorów. Wykłady odbywały się w szkole miejscowej przy świetle świec. Trafiliśmy na pierwszą lekcję, a raczej na mówkę wstępną, którą mistrz rozpoczął mniej więcej w ten sposób:

„Dżentelmeni! Ameryka słynie z wymowy, niestety jednak, arystokratyczna Anglia słusznie częstokroć wyśmiewa się z tego, że naszym świetnym mówcom brak tej pięknej gestykulacji, tych posagowych poruszeń, które samej wymowie dodają jędrności, siły i są dla niej tym, czym takt w muzyce. W imię zatem patriotyzmu, w imię prawdziwej potrzeby, która w kraju parlamentarnym jest równie nieodbitą, jak każda inna – chcę was nauczyć, czego nie umiecie dotąd, chcę słowom waszym nadać moc piorunów, a gestom majestat posągów” etc.

Po takiej mowie, zresztą daleko dłuższej, rozpoczęła się właściwa nauka. Mówca przede wszystkim oddeklamował kilka patetycznych ustępów z Szekspira, powiedział kilka wyjątków z mów, zdaje mi się, Blaina, przy czym wyrzucał głową jak dziki koń, zawracał oczy, machał rękami i wrzeszczał tak, że aż w uszach pękało. Oczywiście słuchacze byli zachwyceni i oczarowani. Potem przyszła na nich kolej. Pokazawszy im kilka pozycji nóg, od których nauki zaczynają u nas uczyć tańca, i kilka ruchów rąk mówca ustawił ich pod ścianą, kazał patrzeć na siebie i rzekł:

– Teraz, dżentelmeni, pozamykajcie przede wszystkim gęby, a następnie powtarzajcie moje słowa i gesta!

I tu znowu wszyscy zaczęli wyginać się wspaniale w tył, wymachiwać rękami, potrząsać czuprynami, zrobił się wrzask i rwetes, jak na zarwanicy. Patrząc na marionetkowe ruchy tych ludzi pomyślałby kto, że dostali pomieszania zmysłów. Ale była to amerykańska nauka pięknych gestów. I któż się tego uczył: jak wam się zdaje? Oto woźnica omnibusu z Planters-hotelu, zamiatacz numerów z tegoż zakładu; kilku starych i młodych rzemieślników, kilku właścicieli szynków – słowem: taka publiczność, z jakiej składa się prawie cała ludność Anaheimu. Im się to jednak może przydać. Kto wie: może dzisiejszy woźnica omnibusu będzie jeszcze prezydentem Stanów? Każdy tu nosi prezydenta w kieszeni, tak jak we Francji każdy żołnierz marszałka.

Po skończonym widowisku poszliśmy zaraz z Maxem spać, nazajutrz bowiem świtanie mieliśmy wyruszyć dalej. Na szczęście jednak dla moich kości zeszło nam jeszcze nazajutrz do południa, tak że ruszyliśmy dopiero po drugiej. Droga szła kilkanaście mil równiną, ale okolica stawała się coraz pustsza; kaktusy tylko piętrzyły się po obu stronach drogi dochodząc czasem wysokości dziesięciu stóp. Następnie zaledwie co parę godzin spotykaliśmy jakąś odludną farmę. Czasem trafialiśmy na mniejsze i większe oddziały półcywilizowanych Indian dążących do Anaheimu na winobranie, przy którym znajdują obfity zarobek. Przywitawszy ich krótkim: „halo!”, galopowaliśmy w milczeniu dalej. Gdyśmy przybyli do podgórzy, wieczór zapadł już zupełny, ale na niebie świecił wielki, złoty księżyc. Okolice poczyniła się stawać lesistsza i coraz dziksza. Tu już wcale prawie nie ma ludzi – a cisza panuje jak pierwszego dnia po stworzeniu. Wielkie dęby tylko, rozrzucone w malowniczych grupach po pochyłościach, szumiały nad naszymi głowami; czasem zachrapały konie – czasem pies zawarczał i rzucił się nagle w bok drogi, a wówczas ściągaliśmy lejce i kładąc ręce na rewolwery oczekiwali, co to będzie. W tej księżycowej nocy, w tej ciszy i wobec potężnej natury czułem się szczęśliwy: jakbym miał skrzydła u ramion. Czar okolicy oddziałał i na Maxa. Zaczął jakąś piosenkę, ale urwał ją wkrótce i ucichł. Jechaliśmy w milczeniu jakby rozmarzeni. Wkrótce podgórza zmieniły się w góry: naokoło nas ciągnęły się olbrzymie rozłogi kamienne. Złamy granitów spiętrzone jedne na drugich wydawały się przy świetle księżyca jakby zamki, wieże i baszty. Woda licznych strumieni spadając z wysokości na kamień dzwoniła metalicznym dźwiękiem.

Jest to niby kapela tych stron. To znów zmieniał się krajobraz: rozłogi zwięzały się nagle w gardziele, zarosłe i na dnach, i po brzegach dębami. Tam trzeba było jechać ostrożnie i czuj duch! w takich wąwozach bowiem lubią przesiadywać kuguary i wielkie koty dzikie, których chrapliwe głosy dochodziły od czasu do czasu naszych uszu. Psy nasze wołały się trzymać bliżej koni; ale nie spotkawszy żadnego niebezpiecznego stworzenia wyjechaliśmy szczęśli-

wie z wąwozów na połoniny z rzadka tylko zarosłe dębami, na których zatem i widniej jest, i bezpieczniej.

Około pierwszej po północy ujrzeliśmy wreszcie bielejący w ciemnościach namiot drwala, a zarazem i pasiecznika, u którego mieliśmy się zatrzymać. Gdyśmy zajechali, psy miejscowe podniosły taki harmider, jakby je kto ze skóry obdzierał, gospodarz zaś wyszedł do nas mając rewolwer za pasem.

– Halo! – odezwał się z ciemności mój towarzysz.

– A, to ty Max? – odparł gospodarz.

– Tak! to ja i drugi jeszcze dżentelmen.

– To dobrze; napalę zaraz ognia.

Od owej chwili aż do dziś dnia żyję w tej górskiej pustyni, która zamiast mnie nudzić, coraz bardziej przykuwa i zachwyca. Siedmdziesiąt mil aż do San-Diego nie ma tu żywej duszy, a jednak nie brakło mi ani wypadków, ani wrażeń, które w następnym liście opiszę.

VIII

SZKICE AMERYKAŃSKIE

I

Przybycie w góry • Robinson Kruzoe • Widoki • Skąły • Początek podróży • Podróż po miastach i podróż w pustyni • Kraniec cywilizacji • Pas ucywilizowany • Szerokość i długość szlaku • Sierra Nevada jako granica • Mount Diablo • Widoki z Mount Diablo • Miasto • Fermi • Ku południowi pas zwęża się • Brzeg morski • Rozłożenie się ludności • Góry • Kaniony górskie • Santa Ana River jako granica szlaku • Pod lynchem • Kłemy górskie • Warunki rządowe • Przyczyny niezaludniania się klemów • Bezdroża • Czym jest właściwie kanion • Polany górskie • Gardziele i potoki • Bujność roślinności • Świat zwierzęcy • Życie w kanionach • Lasy w kanionach • Rodzaje drzew • Osadnicy • Trudności założenia osady • Skwaterowie • Skwaterowie-koczownicy i skwaterowie-osadnicy • Życie koczowników, ich obyczaje, stosunki, prawa • „Wujaszek lynch” • Co „wujaszek” pozwala, czego nie pozwala? • Skąd płynie lynch? • Charakter Amerykanów • Skłonność do samopomocy • Przykłady • Energia narodu • Znaczenie społeczne lynchu • Różnice między skwaterami • Skwater kalifornijski • Jego wady i przymioty • Charakter • Mała ilość • Meksykanie • Indianie • Gospodarstwa • Hodowla i pasiecznictwo • Gospodarstwa pszczelne i ich korzyść • Piękność dolin

Góry Santa Ana, z których przesyłam list obecny, stanowią południową część ogromnego pasma ciągnącego się w rozproszonych rzutach i pod rozmaitymi nazwami od Oregonu aż do południowej Kalifornii i meksykańskiej Sonory. Przybyłem tam z Anaheim Landing wraz z gospodarzem moim, Maxem Neblungiem. Przybyliśmy późną już nocą, ale noc ta, pierwsza przepędzona w okolicy dzikiej i zupełnie bezludnej, zostawiła mi niezatarte wrażenie. W poprzednim liście wspomniałem już, że zatrzymaliśmy się u pewnego skwatera, którego odtąd stale będę nazywał Robinsonem, żyje bowiem zupełnie samotny, mieszkając pod namiotem, a za całe towarzystwo mając tylko psa i karabin. Nowy mój Robinson jest to dzentelmen już niemłody, lat około pięćdziesięciu, wyglądający zupełnie tak, że gdybym go spotkał w której z moich wycieczek, bez wahania chwyciłbym za rewolwer. Ubrany był we flanelową koszulę, w spodnie ze skóry daniela i w podarty meksykański kapelusz, którego wystrzępione kolisko zakrywało twarz zarosłą i groźną. Skoro Max poznał nas wzajemnie, skwater uściśnął silnie moją rękę i wyrzekłszy zwykłe „Halo!” – odszedł zaraz do wąwozu rozniecić ognisko i przygotować dla nas wieczerzę, my zaś z Maxem zajęliśmy się rozsiadaniem naszych mustangów, które przywiązaliśmy na długich lasso do drzewa. Konie poczęły chrupać koniczynę obficie rosnącą pod dębami, my zaś, zapaliwszy fajki, siedliśmy pod namiotem czekając na wieczerzę.

Począłem przyglądać się okolicy. Czarne, spiętrzone masy gór otaczały naokół kotlinę, z której jedyne wyjście na pomoc i na południe stanowiło łożysko głębokiego górskiego strumienia. Okolica wydała mi się nad wszelki wyraz dzika i ponura. Urwiska skalne zwieszały się nad kotliną w ogromnych, tytanicznych złomach narzuconych jakoby z bezładną wściekłością jedno na drugie. Zdawało się, że lada chwila wszystko to porwie się i spadnie na dno doliny. Noc jasna powiększała jeszcze dziką fantastyczność wszystkich kształtów. Promienie księżycy obrzucały srebrnym szlakiem brzegi skał, których czarne, nieruchome sylwety rysowały się na rozświetlonym tle z dziwnie twardą wyrazistością. Głosy nocne powiększały jeszcze posępny urok otoczenia. W rozpadlinach skał, pokrytych drzewami, beczały złowrogo i chrapliwie dzikie koty; czasem ozwał się puchacz, czasem zachrapały konie. Pies mój, nieprzywykły do podobnych wzruszeń, podniósł pysk na księżyc i zaczął wyć; oswojony borsuk wdrapywał się gwałtem, jakoby ze strachu, na moje kolana, ja zaś byłem upojony i prawie zupełnie szczęśliwy. Mimo iż przegalopowałem około trzydziestu mil angielskich na niegodziwie noszącym mustangu, mimo iż nie czułem w sobie żadnej kości, za nic nie poszedłbym za przykładem Maxa, który rozciągnąwszy przed namiotem koldrę, położył się na niej i usnął. Odechciało mi się i spać, i jeść, a natomiast rozmyślałem tylko, że najdawniejsze marzenia moje z lat dziecińczych zmieniły się w rzeczywistość.

Zawsze marzyłem o tym, abym kiedykolwiek w życiu mógł ujrzeć owe kraje bezludne jeszcze, w których potężne siły natury, niepohamowane ręką ludzką i rozbijały, żyją, jak chcą, tworzą, co chcą, i panują absolutnie. Spojrzeć twarzą w twarz, oczyma w oczy naturze zupełnie pierwotnej, wdrzeć się w głębie dziewiczych lasów i stepów, opisywanych przez Coopera, był to ideał szczęścia, do którego wzdychałem w ukryciu od dawna. Teraz miałem to wszystko przed oczyma. Pierwotna natura otaczała mnie zewsząd, ogarnęła całego, pochłoneła moje zmysły i umysł. Mogłem się w niej rozpuścić i zginąć jak kropla marna deszczu w oceanie.

Dziś zdaje mi się, że podróż moja rozpoczęła się naprawdę dopiero od chwili, w której przybyłem w te góry; czyż bowiem można nazwać podróżą przebieganie mórz w pysznych okrętach lub stepów w wygodnych wagonach Pulmana... – dalej, zatrzymywanie się po hotelach, zwiedzanie miast i tym podobnie? Jakaż to rola takiego ucywilizowanych stron badacza-podróżnika? Wiozą go jak pierwszy lepszy kufer – ot, i wszystko. Jediną czynną rolą, jaka mu pozostaje, jest wydawanie pieniędzy. Ale w tych górach, prawie bezludnych, a przynajmniej leżących poza cywilizacją, rola podróżnego odmienna i bezwarunkowo czynna. Jedynym paszportem i biletem na podróż jest twój własny karabin; jedynym sposobem przenoszenia się z miejsca na miejsce – twoje własne nogi lub na wpół dziki mustang, którego ile razy chcesz dosięść, tyle razy musisz najprzód na wpół udusić w skrętach lasso; który nie zaniedbuje żadnej okoliczności, aby cię wierzgnąć, chwycić zębami, i który toczy przerażonym, krwawym okiem, skoro tylko do niego się zbliżysz.

Tu przy tym za przewodnika służy ci twój własny instynkt, sypiasz pod gwiazdami w rozpadlinie skalnej, którą własnymi rękoma musisz poprzednio oczyścić ze skorpionów i węży; grzejesz się, jeśli sam napalisz ogień; jesz, co sam upolujesz; jednym okiem śpisz, drugie gubisz w ciemnościach badając niebezpieczne ich głębie; zrywasz się na lada szelest; chwytasz za karabin, gdy pies zawarczy i zjeży sierść na karku.

Krótko mówiąc, podróżujesz jak prawdziwy mężczyzna; wszystkie pierwiastki twej dzielności nie zmarnowane życiem miejskim wchodzą w grę z niebezpieczeństwem. Wszystko, co się staje, staje się przez ciebie dzięki twemu męstwu, energii i przezorności. Ani na chwilę, nie możesz być biernym. A przy tym jeszcze jedno: nie tylko przypatrujesz się, ale odkrywasz. Przyznacie mi, że jedynie taką podróż można nazwać podróżą prawdziwą, czynną i twórczą.

Całe dni i miesiące takich podróżniczych warunków miałem teraz przed sobą, ponieważ owe góry: Tamiscal, Santa Ana i San Bernardino, w które przedostałem się po wielu usiłowa-

niach, leżą poza ucywilizowanym kalifornijskim pasem. Ów pas ciągnie się z północy na południe, brzegiem morskim, od Oregonu aż do miasta San Diego, leżącego prawie już na granicy między właściwą Kalifornią a tak zwaną Lower Kalifornią, półwyspowa i należąca do Meksyku. Na północy, zwłaszcza koło San Francisco, ów szlak cywilizowany szeroki jest i obejmuje cały kraj od Oceanu Spokojnego aż do grzbietów Sierra Nevada, stanowiących granicę od złotodajnej, ale posępnej i pustynnej Nevady. Kraj w tym miejscu dobrze jest zaludniony, nie gorzej nawet niż Królestwo Polskie. Śliczne doliny leżące między pasmami gór środkowych, jako też i same góry pokryte są siedliskami ludzkimi. Gdy kilka miesięcy temu patrzył o wschodzie słońca ze szczytu Mount Diablo na okolicę leżącą u nóg moich – z różowej mgły porannej wynurzyła się z jednej strony szmaragdowa toń morska zatoki z mnóstwem masztów, żagli i różnobarwnych chorągiewek; z drugiej – cały kraj budzący się ze snu, ale tak wdzięczny, że chyba i szatan nie kusił piękniejszym ze szczytu urwiska Chrystusa. W zielonych dolinach błyszcząły złote i srebrne taśmy wijących się strumieni; na dolinach miasta pełne wież, których iglice i gałki całował pierwszy promień wschodu; więc ogromne San Francisco, mniejszy Oakland, Heywards, Benicia, kalifornijski New York, Brooklyn, San Leandro, Sant Mateo, Vallejo, Martinez, San Pablo, z drugiej zaś strony stołeczne Sacramento oblane czerwonymi falami rzeki tegoż nazwiska.

Z samej już ilości wymienionych miast leżących w promieniu oka naokoło Mount Diablo możecie miarkować, jak kraj obficie w tych miejscach jest zaludniony. Gdyby nie niebo dziwnie błękitne nad moją głową, gdyby nie zbyt ciepły oddech porannego wiatru, gdyby nie kolibry i wielkie złote motyle wijące mi się nad głową, gdyby na koniec nie Feb zbyt pałący i promienny, co wszystko już wpółzrotnikową krainę zdradzało, mógłbym sądzić, że spoglądam np. z wieży Św. Guduli na okolice Brukseli, tak kraj był uprawny, tak podobny do jednego ogromnego ogrodu i tak gęsto zasiedlony. Między miastami farma bieląca przy farmie; to znów młyny wodne, to wietrzne studnie podobne do naszych wiatraków; to płuczkarnie złota, długie po kilka mil angielskich, a wszystko to utulone w zieleń mirtów, cyprysów i drzew gumowych, zatopione w zwojach bluszczów, lianów, dzikiego wina lub zdobne palmami rozpościerającymi nad ludzkim siedliskiem, na kształt opiekuńczych ramion, swoje szerokie liście.

Ale zstępując od San Francisco ku południowi, aż do San Diego, ten ucywilizowany, zaludniony i uprawny szlak zwęża się coraz bardziej. Przyczyną tego nie jest mniejsza urodzajność gleby, bo przeciwnie, brzeg morski, zamieszkały, mniej jest żyzny od pustych jeszcze kanionów górskich; nie żyzności więc ziemi szuka ludność tutejsza, ale przede wszystkim bliskości miast, zwłaszcza portowych, w których mogłaby znaleźć łatwy zbyt owoców swojej pracy, i dlatego też kupi się głównie koło brzegów. Najważniejszą jednak przyczyną jest mała, na ogół wzięwszy, ludność Kalifornii. Na sześć tysięcy mil kwadratowych jest tylko siedmset tysięcy mieszkańców, wobec czego nie jest rzeczą ani nienaturalną, ani dziwną, że odleglejsze ziemie, choćby nad wszelki wyraz hojne i bujne, nie są jeszcze zajęte.

Gdy posuwając się od Anaheim na wschód, w kierunku gór, koń swój przebiegnie szerokie i piaszczyste koryto rzeki Santa Ana, wiedz o tym, że wyjechałeś już ze stron ucywilizowanych, w których ziemia jest rozdzielana i stanowiąca prywatną własność, w których społeczeństwo żyje pod prawem Stanów Zjednoczonych, stosunki są uregulowane, a własność ziemiska oznaczona. Po prawej stronie tej rzeki zaczynają się ziemie rządowe, z rzadka zamieszkałe przez skwaterów lub Indian, po większej części jeszcze nie zajęte i oczekujące pionierów. Jedynym prawem, zresztą z powodu uczciwości i oświaty skwaterów nigdy nie stosowanym, jest tu straszliwe prawo lynch, dające się chyba wyrazić w słowach: nie ząb za ząb, nie oko za oko, ale za wszelki zamach, tak przeciw osobie jak przeciw własności, jedna tylko kara – powróż.

Ziemie te podzielone są na tak zwane klemy, czyli kwadratowe części zawierające po 160 akrów. Właściwie jednak podział ten nie jest pomiarem, bo w oddalonych płoninach górskich

nigdy jeszcze nie powstała noga inżyniera, ale raczej prawem pozwalającym każdemu Amerykaninowi lub kandydatowi na obywatela Stanów Zjednoczonych brać wymienioną ilość ziemi na użytkowanie pod warunkiem zapłacenia rządowi w ciągu lat dziesięciu po półtora dolara za akr. Po upływie tego czasu użytkowanie, czyli tak zwany usus, zmienia się już w bezwładną własność, którą można sprzedać, darować, wydzierżawić, słowem: robić z nią, co się podoba. Konieczność płacenia rządowi istnieje zresztą na papierze, w rzeczywistości bowiem skwatera, który ziemię wolną zajął, obrobił i zabudował, choćby grosza za nią nie zapłacił, żadne prawo wyrugować nie jest zdolne.

Wobec tak dogodnych warunków, wobec łatwości zajmowania ziemi, przy którym nie masz żadnych prawnych kłopotów, wobec wreszcie tego, że doliny owe i hale, pokryte po największej części odwiecznymi lasami dębów, platanów i laurów, bajecznej są prawie urodzajności – zdawałoby się, że ludność skwatterska powinna się roić i mrowić, a jednak tak nie jest. Mówiłem już o głównej przyczynie: ludzi nie ma! Zbiegłaby się zapewne liczna i goła, a nie mająca nic do stracenia gawieź emigrancka, ale na przeszkodzie temu stoją niezmiernie odległości dzielące Kalifornię od stanów zachodnich i przede wszystkim to, że podróż nad brzegi Oceanu Spokojnego już nie z Europy, ale z New Yorku, Filadelfii, Waszyngtonu lub Bostonu kosztuje więcej niż dwa klemy, za które, jak wspomniałem, płaci się przez lat dziesięć.

Co zaś do Amerykanów osiadłych w miastach, są to bez wyjątku tak zwani businessmeni, czyli ludzie trudniący się przemysłowymi lub handlowymi sprawami, którzy w osiedlaniu się w górach i na pustkowiach żadnej nie widzą korzyści materialnej; względy zaś poetyczne, jako to: malowniczość położenia, samotność, niezmacony spokój i życie na łonie natury, są to rzeczy, za które prawdziwy Janke nie da i pięciu centymów.

A przy tym w te śliczne doliny górskie dróg nie ma. Nazwa hiszpańska „kanion” oznacza, ściśle mówiąc, wąwóz. Gdy taki wąwóz rozszerza się nagle lub stopniowo w ten sposób, że tworzy obszerną kotlinę otoczoną naokoło amfiteatrem gór, wówczas daje dość miejsca pod gospodarstwo pastewne, pszczelnicze, a nawet rolne. Ale najczęściej takie polany leżą w głębi pasm, wejście zaś do nich stanowi jedynie koryto potoku. Jest to po prostu ogromna szpara, czyli, jak nazywają na Ukrainie: jar, na którego dnie szumi po kamieniach woda, boki zaś utworzone są ze skał wznoszących się czasem na dwieście i trzysta stóp prostopadle w górę. Nic posępniejszego, jak takie gardła potoków. Na dnie panuje wieczny mrok, szczyty bowiem skał, posiadające warstwę rodzajną, pokryte są drzewami, których konary częstokroć stykają się z sobą nad potokiem i przysłaniają oku wędrowca niebo. Miejscami dziki chmiel, dzikie wino lub liany przerzucają się z brzegu na brzeg, łączą się, płaczą, duszą wzajemnie w ramionach, tworząc festony zieloności tak grube, że światło dzienne zaledwie przez nie na dół dochodzi.

Podróżnemu często zdaje się, że posuwa się naprzód jakimś podziemnym korytarzem. Tam gdzie przez szczelinę w górze można dojrzeć błękit niebieski, tam rozweselający ten widok zmacony jest łopotaniem skrzydeł sępów, kruków, orłów i posępnym ich krakaniem przejmującym smutkiem i trwogą.

Z takich to rozpadlin wreszcie dolatują po zachodzie słońca owe złowrogie beczenia i ryki, których nieprzywykłe nerwy prawie wytrzymać nie mogą. Gdy słońce gaśnie na szczytach, wszelka dzicz górską schodzi pić wodę do potoku; więc najprzód jelenie, antylopy, dalej koziorożce z sierpiastymi, prawie końca grzbietu sięgającymi rogami i małe, białe nakrapiane kózki górskie. Za nimi dopiero ciągną drapieżcy tych gór: srebrny i czerwony kuguar przesuwa się cicho w mroku niby jakiś szarawy wąż; z rozpadliny skalnej podnosi głowę ryś-ostrowidz i toczy ognistymi oczyma. Po drzewach skrada się plebs szarawych żbików, czasem znów z dala dojdzie odgłos spadających ze zrębu skalnego kamieni: to posępny despota tych gór – szary niedźwiedź, wlokąc ociążałe kroki idzie zanurzyć w strumieniu uznojone żarem dziennym cielsko.

Miejscami łożyska tak są zavalone większymi i mniejszymi bryłami kamieni, że nie tylko już wozem, ale i konno niepodobna przez nie przejechać, tym bardziej że kamienie wieczne pokryte są wilgotnym i oślizgłym mchem.

Zimą, w czasie pory dżdżystej, i na wiosnę, podczas ogólnego wezbrania wód, strumienie owe zmieniają się w rwące potoki i wówczas mieszkańcy kanionów są zupełnie od reszty świata odcięci. Skutkiem tego w kanionach trzeba żyć dziko; o wygodach ucywilizowanego życia i marzyć nawet nie wolno.

Prócz tego, prawda: rozszerzenia się kanionów, czyli doliny, śliczne są i urodzajne; łatwo je zająć, łatwo przyjść, wynaleźć kąć, w którym jeszcze człowieka może nigdy nie było, i powiedzieć sobie: to moje! Własności, jakby na bezludnej wyspie, nikt tu nie zaprzeczy; łatwo więc wziąć ziemię, ale żyć na niej niełatwo. Skwatter jest zwykle człowiek ubogi, pozbawiony żony, dzieci, więc samotny. Taki człowiek przychodzi w góry, wybiera kanion, który mu się najlepiej podoba, i mówi sobie: „Tu osiadę.” Ale żeby osiąść, potrzeba wybudować dom; skwatter prócz siekiery, piły i świdra nie posiada zwykle innych narzędzi. Drzewa wprawdzie nie brak na chatę, ale jak tu się i wziąć do niego, gdy kanion szumi jedną puszcza stuletnich drzew o pniach na kilka stóp średnicy i o szczytach zagubionych gdzieś w chmurach? Czarny, ogromny dąb wznosi się obok białokorego platanu, dalej dąb siwy, to znowu hicoro o słojach tak twarde, że siekiera odskakuje od nich jak od kamienia, dalej laur; wszystko to zaś tak owinięte w węzowe sploty lianów, tak powiązane ze sobą, natłoczone, że puszcza zdaje się być jedną zbitą masą, w którą możesz niemal uderzać obuchem jak w ścianę. Wyobraźmy sobie teraz, jakie trudy musi ponosić osadnik, ażeby oczyścić jakie takie miejsce na chatę i dziedziniec, pościnać ogromne drzewa, uprzętnąć ich zawały. Dalej, przy stawianiu chaty co za olbrzymich sił potrzeba, aby nie mając znikąd pomocy, zaciągnąć jednemu człowiekowi belkę na belkę, krokiew na krokiew, po cieńsze drzewa należy czasem chodzić milę lub dwie drogi i ciągnąć je następnie po niegodziwym łożysku strumienia, dźwigając przy tym na plecach ciężki karabin, bez którego ruszyć się niepodobna, raz dla obrony, a po wtóre dla upolowania czegoś do pożywienia. Widzimy z tego, że samo postawienie chaty przechodzi już prawie siły ludzkie; nikomu więc nie może się wydawać dziwnym, że skwatterów bardzo jest niewielu i że na życie takowe puszczejają się albo tułacz-cudzoziemcy, którzy przybywszy bez znajomości języka i środków pieniężnych, a nie chcąc zgodzić się na jakąkolwiek zależność, nie mają nic innego do roboty; albo rozbitkowie z życia, ścigani prawem; albo nieszczęśliwi szukający samotności; albo na koniec natury wyjątkowo awanturnicze, które taką dziką niezawisłością cenią nad wszystkie skarby świata. Ale jak pasterz brakuje owce i słabsze oddala ze stada, tak życie w podobnych warunkach brakuje skwatterów. Słabsze osobistości padają w nierównej walce: pospolicie też skwatterowie bywają ludźmi ogromnej siły i niepospolitego hartu ducha. Można by rzec, że cywilizacja wysyła swoich atletów, aby jej torowali drogę w puszczy. Powyższe jednak przymioty skwatterów w terytoriach zamieszkałych przez dzikich Indian przeciwważone są przez wady, które czynią z tych przodowników postępu ludzi arcy-niebezpiecznych. Krwawe zajścia z czerwonoskórymi i potrzeba używania co chwila noża lub rewolweru rozwijają w nich dzikie namiętności i okrucieństwo, a przy tym szorstkość posuniętą do grubiaństwa, z niepewności zaś jutra wyradza się lekkomyślność. Właściwie nawet mówiąc: skwatter z New Meksyku, Arizony, Indian Territorium nie jest osadnikiem, ale trzebicielem lasów. Zebrani w oddziały po kilkudziesięciu ludzi wynoszące skwatterowie tamtejsi wyszukują nie tkniętych siekierą puszczy i nie dbając zresztą, czy takowe należą do Indian, czy do rządu, czy na koniec do prywatnych kompanii, wyrabują je, ładują w postaci tratw i galarów na fale Red River, Rio Colorado, Rio Grande i spławiają do miast najbliższych. Po sprzedaniu drzewa skwatter, czując kieszenie wyładowane złotymi dwudziestodolarówkami, oddaje się pijaństwu i absolutnemu próżniactwu w mieście lub najbliższej wencie dopóty, dopóki nie straci ostatniego centa a potem dopiero, goły już jak mysz kościelna, udaje się znów na pustynię.

Nie potrzebuję dodawać, że życie takie pełne jest często bardzo krwawych wypadków.

Pustynia nie jest tak bezludna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Prócz skwaterów włączając się po niej traperowie, to jest ludzie robiący sobie rzemiosło z polowania i awantur; wake-rosi, to jest strażnicy stad lub karawan kupieckich; prości drapichrustowie, czasem górnicy, a na koniec, w okresie wędrówek bawołów, większe i mniejsze oddziały Indian polujących na te zwierzęta, a gdzie się da – i na skalpy.

Skwaterowie stykają się ustawicznie z tymi ludźmi. Czasem przyjaźnią się z nimi i piją w wentach leżących na szlakach; czasem zasię, przy sangwinicznym temperamentem i pochopności do bójki stron obu, przychodzi do formalnych bitew staczanych z indyjską przebiegłością, a z zawziętością średniowieczną. Przy tym w ogóle skwater, czując się silnym, wolnym jak ptak, słowem – królem pustyni, pogardza wszystkimi innymi ludźmi i w zetknięciu się z nimi jest zawadiaką i brutalem, z którym niepodobna się nie pobić. Wyzywa wszystkich; nie boi się nikogo i niczego, drży tylko przed jedną istotą na świecie, przed tak zwanym „uncle lynch” (wujaszkiem lynch), jak powszechnie nazywają na pustyni straszne to prawo.

Sama nazwa „uncle”, wujaszek, dowodzi, że skwaterowie uosobili owo pojęcie z humorem, ale w niemal tenże sam sposób jak Hindusowie siłę niszczącą w postaci Sziwy. Skwater, choćby najzuchwalszy, czuje, że lynch, jakby bóg jaki, jest bezwzględnie od niego silniejszy. Jakoż najstraszliwszy ten ze wszystkich wujaszków wujaszek jest zarazem i pobłażliwym, i nieubłaganym. Pozwala on zabić skwaterowi każdego Indianina na „polu wojennym”; pozwala zabić bezkarnie każdego w kłótni przechodzącej w bitwę; pozwala zabić przez zemstę za brata, swata lub pobratymca, czyli brata ślubnego; pozwala uważać wszelki bezwzględnie las za dar boży, z którego każdy równe ma prawo korzystać; pozwala wreszcie na osobistą swawolę; ale za wszelkie zdradliwe targnięcie się tak na osobę jak i na własność w widokach osobistej korzyści karze bezwzględnie śmiercią, często zbyt nawet okrutną.

Ale jakiegokolwiek ono jest to dzikie prawo, w każdym razie wypłynęło ono z poczucia solidarności między białymi ludźmi i z poczucia potrzeby sprawiedliwości, dwóch podstawowych warunków, na mocy których wszelkie społeczeństwo przechodzi ze stanu dzikiego do cywilizacji. Wspomniałem już, że gdy ziemia pusta się zaludnia, a bardziej złożone stosunki wymagają bardziej złożonych praw, tak karnych jak i cywilnych, lynch wnet ustępuje ogólnym kodeksom Stanów Zjednoczonych. Jednakże zdolność do samopomocy tak jest niejako amerykańskiemu ludowi wrodzona i tak wielka, że nawet w zupełnie już urządzonych państwach rząd i policja z trudnością wstrzymuje ludność od wymierzania w ważniejszych wypadkach samej sobie sprawiedliwości. Każdy obywatel tak jest tu przejęty zamiłowaniem dobra publicznego, że każdy osobiście za jego stróża, a zatem za sędziego, policjanta i wykonawcę sprawiedliwości się uważa. Przykładów na to mógłbym przytoczyć mnóstwo. Gdy przed kilkunastu laty rozbójnik Joachim, Meksykanin, na czele kilkunastu ludzi grasował na całej długości Kalifornii, to nie policja, która wówczas nie była ani dość liczną, ani dość sprawną, ale ludność cała siadłszy na koń ścigała go z taką zaciętością po stepach, w niedostępnych puszczech, w dzikich wąwozach górskich, że mimo tych naturalnych kryjówek, które by tysiącom ludzi mogły dać schronienie, Joachim został schwytany i powieszony, opryszkowie zaś wybici po lasach jak wilki. Częstokroć wprawdzie czytamy o wojnach z małymi pokoleniami indyjskimi prowadzonych tak niedołążnie, że trwają całe lata, ale wojny te prowadzą i umyślnie przewłóczą generałowie w widokach osobistych korzyści; gdy jednak zniecierpliwiona ludność chwyci za broń, wówczas biada czerwonym hajdamakom: kryjówki ich są odkryte, wigwamy zburzone, ludność wycięta i wojna w parę dni skończona.

Słyszałem o bardzo niedawnych wypadkach, w których ludność tutejsza bez żadnej pomocy ze strony rządu dawała sobie rady. Przed dwoma laty zdarzyło się, że w samym Anaheim dwóch Indian zaciągnęło do winnicy i zamordowało młodą żonę jednego z obywateli. Naza jutrz dzień całe miasto było już na koniu w polu. Tradycja lynchu zbudziła się jak drzemiący lew i zaszumiała nad indyjskimi głowami jak burza. Prawda, że kilkunastu ich zostało nie-

winnie zabitych, ale na resztę padł taki postrach, że sami wyszukali winowajców i oddali ich pospolitemu ruszeniu. Ale po cóż szukać takich przykładów, kiedy lada kradzież, lada krowa, owca lub koń porwany pojedynczemu fermerowi przez Meksykanów wystarcza, aby wszyscy jego sąsiedzi porzucili najpilniejsze roboty, najpilniejsze sprawy, narazili się na stratę czasu, pieniędzy i nie wypuścili z rąk rewolwerów, póki strata nie zostanie odbitą i zwróconą.

Wobec podobnej energii Amerykanów przy zajmowaniu na przykład nowych terytoriów, zamieszkałych poprzednio przez warcholską ludność meksykańsko-indyjską, zawierucha trwa zwykle parę lat, to jest póty, póki się ludność raz i drugi dobrze nie sparzy na swych złodziejsko-rozbójniczych przedsięwzięciach. Później następuje spokój taki, jakiego próżno by szukać gdziekolwiek w Europie i w czasie którego możesz podróżować wszędzie, nie tylko bez rewolweru, ale z workiem pieniędzy na plecach. Nie wyłącza to jednak burd, które owa przyrodzona krewkość i energia czyni częstszymi jeszcze niż gdzie indziej. Ale to inna rzecz. Gdy dwóch obywateli uzna za stosowne popodbijać sobie wzajemnie oczy kułakami lub wyzwawszy się na pojedynek zapolować na siebie z karabinami, ogół obywateli nie wdaje się w to wcale, mówiąc, że to ich tylko business. Dalej, w niektórych stanach dzikość sekt religijnych wywołuje nadużycia; w innych znowu, które przez długi czas były przez białych i czerwonych wydzierane sobie wzajemnie, zaprawiona na krwi ludność niełatwo wyrzeka się lynchu i niełatwo poddaje się prawu; na koniec namiętności polityczne występują tu ostrzej niż gdzie indziej, ale są to rzeczy przechodnie: taż sama energia, która je wywołuje, później uśmierza je i wezbrany potok do naturalnego koryta sprowadza. W każdym jednak razie, gdy sobie pomyślę, jak na przykład prowadzone przez merów na pasku prowincje francuskie straciły głowę, gdy w czasie wojny od Paryża je odcięto; gdy przechodząc do naszych mikroskopijnych stosunków przypomnę sobie, ileż to razy tworzą się u nas całkiem uorganizowane szajki złodziei kradnących konie, a ślamazarna i niezdolna do żadnej inicjatywy ludność nie przedsięwzię nic i czeka zmiłowania się bożego, ogarnia mnie smutek prawdziwy i wolę tę jankesowską republikańską energię razem ze wszelkimi jej nadużyciami. Nie chodzi mi w tym rozważaniu naszej niezaradności o pojedyncze uczynki i szkody, ale o wnioski, które stąd można wyciągnąć, że bujność wewnętrznego życia i samodzielność bardzo już w starej Europie zamarły i że trudno tam stawiać kroki bez jakiegokolwiek paska. W Ameryce przeciwnie: samodzielność i energia rozkwita i potężnieje coraz bardziej. Nie można przy tym powiedzieć, aby przyczyną tego rozkwitu była wolność i decentralizacja, na których urządzenie Stanów Zjednoczonych jest oparte, bo tak wolność jak i decentralizacja, jeżeli niezawodnie do rozwoju powyższych przymiotów dzielnie się przykładają, to znowu i same tylko wobec nich są możliwe. Też same urządzenia gdzie indziej może zgoła inne wydałyby owoce, ostateczna przyczyna jest więc inna, a jest nią zajmowanie ustawiczne krain dzikich lub przez dzikie ludy tylko zamieszkałych. Oczywiście, do krain tych ludność nie przychodzi z urządzeniami społecznymi; ale musi być sama dla siebie rządem, sądem, policją; musi być sama dla siebie wszystkim, a przy tym walczyć jeszcze z siłami natury, z krwiożerczymi plemionami, w których to herkulesowych walkach zdolność do samorządu, wolności i decentralizacji jak najsilniej się wyrabia.

Ów więc straszny „uncle lynch” nie tylko jest fantastyczno-rozbójniczym wytworem i nie tylko dlatego o nim wspominam, aby moje mniej i więcej wiekowe czytelniczki mogły wykrzykiwać: „ach!” na kanapie, okazując przy tym delikatność swych nerwów i czułość serca: przedmiot to nie tylko dobry jako motyw do powieści, ale fakt godny bliższej uwagi filozofa i historyka. Jest to Drakon, który idzie przed Solonem; jest to dyktator, który po kilku latach rządu musi złożyć władzę, z nią pęki różg i siekiery, i zdać nieraz ciężki rachunek ze swych rządów, na koniec, jest to twarda szkoła, z której młody naród wychodzi dziwnie zahartowany, czując swą siłę jak lew, kipiący jak puchar wina i zdolny do tych czynów męskich a ogromnych, przed którymi... skłonić nam głowy.

Co rzekłszy ściągam cugle własnym myślom i wracam do skwaterów. Owóż skwaterowie New Meksyku, Arizony, Indian Territory są tacy jak lynch – ludzie twardzi, hartowni, burzliwi, ale dotrzymujący zawsze słowa, solidarni i brzydzący się wszelką zdradą. Skwater kalifornijski ma ich przymioty nie mając ich wad. Tamci są trzebicielami lasów i koczownikami, on jest osadnikiem; tamci żyć muszą ustawicznie jak gdyby na stopie wojny, w Kalifornii panuje spokój. Wszystko to daje mu pewne cechy, po których łatwo go odróżnić nie tylko od skwatera żyjącego z tamtej strony Sierra Nevada, ale w ogóle od każdego amerykańskiego obywatela. Jest to dzentelmen zwykle potężnego wzrostu i potężnych ramion, posępny, groźny, małomówny, ale spokojny, skłonny do rozmyślań i po największej części religijny. Samotność, olbrzymie spiętrzone skały, potężna a dzika natura mimowiednie wpajają mu pojęcie o majestacie i wielkości bożej. A przy tym serce ludzkie musi coś kochać, skwater więc nie widując często po całych miesiącach twarzy ludzkiej kocha kornie a głęboko tę niewidomą, a dobrą rękę, która rankiem rozciąga zorzę różaną na niebie, każe wschodzić i zachodzić słońcu, wiosną rzuca potop kwiatów na stoki górskie, a dębom i całej puszczy każe śpiewać jakoby nasze: „Święty Boże, Święty mocny”.

W stosunkach z ludźmi skwater bywa zimny, ale do wysokiego stopnia prawy, jak zwykle bywa człowiek, który nic od nikogo nie potrzebuje i który zwykł sam sobie wystarczać. Ludzie bywają złymi z potrzeby, skwater nie ma potrzeby kłamać, oszukiwać, podchodzić, jeżeli bowiem nie umie się zadowolić swoim życiem leśnym, porzuca je, wraca do miasta i zakłada business; jeżeli zaś umie, to rozmaite dobra światowe, w pogoni za którymi ludzie porzucają drogę uczciwą, nie mają dla niego wartości. Na koniec praca, ciężka nad wszelki wyraz, z toporem w puszczy, usypia w nim lub zabija te wszelkie namiętności i popędy, które w życiu miejskim nieraz prowadzą ludzi na rozdroża.

Oczywiście są to cechy dodatnie, zebrane ogólnie. W pojedynczych indywidualach dochodzą one do mniejszej lub większej potęgi, bywają często równoważone przez rozmaite nałogi i wady albo i zgoła przez nie zabite. Skwaterowie np. meksykańscy, trudniący się w zapadłych kątach górskich hodowlą świń, która to hodowla nie wymaga żadnej pracy, przejmują wiele z natury tych zwierząt; skwaterowie Irlandczycy bywają zawadiakami, opo-jami i pieniaczami, wyszukującymi umyślnie po pustkowiach sąsiadów, aby było się z kim procesować; jednakże między Amerykanami czystymi znalazłem ludzi tak pod każdym względem wzorowych, że wyglądali mi prawie na postacie wyjęte z powieści.

Wszystkich ich razem wziętych jest jednak bardzo mało. We dwa miesiące po przybyciu w góry poznałem ich wraz z Indianami i Meksykanami kilkudziesięciu, ale osiadłych na takiej przestrzeni, na której połowa ludności guberni warszawskiej wygodnie pomieścić by się mogła. Nie mając nic lepszego do roboty, a posiadając mustanga, który wychowany w górach, umiał po nich chodzić jak koza, włóczyłem się od osady do osady; często jednak zdarzało mi się nocować przy ognisku pod gołym niebem, w jeden dzień bowiem niepodobna mi było odbyć drogi. Indianie, którzy zresztą trzymają się po kilku, i Meksykanie – zajmują się głównie hodowlą, Amerykanie pszczołami. Pszczoł nie trzymają w barciach, jak to u nas na Litwie, ale w ulach ramkowych zbudowanych i urządzonych według najnowszych systemów. Gospodarstwo to pszczelne, gdyby nie trudność przewozu, przynosiłoby znaczne korzyści; jakoż i przynosi je, ale tylko w osadach, naokół których ludność jest gęstsza, drogi lepsze i które właściwie mówiąc, niegdyś były osadami skwaterskimi, obecnie zaś są fermami urządzonymi na podobieństwo wszystkich innych w Ameryce.

Odleglejsi skwaterowie, lubo częstokroć w miód bogaci, z trudnością go sprzedają. Z niektórych miejsc można go przewozić we wiukach na koniach lub mułach, z innych jednak potrzeba nosić na rękach. Swoją drogą, same tylko wschodnie stoki gór Santa Ana, a raczej kaniony: Sant Jago, San Joachim, Alissa, Trabuco, Madera, lubo w przeogromnych częściach jeszcze puste, wydają setki tysięcy funtów miodu i wosku rocznie. Nie ma bo też może nigdzie na świecie stron, w których by pszczelnictwo mogło się tak rozwijać i kwitnąć, jak owe

góry. Same kaniony, obszerne a zamknięte ze wszystkich stron szczytami, stanowią jakby naturalne pastwiska pszczelne, z których pracownice nie mogą rozlatywać się po świecie, rozpraszać i ginać. Środkiem doliny płynie zwykle potok, albo jak tu nazywają creek, zacieniony, chłodny, kryształowy, a nie groźący topielą. Prócz głównego potoku w pomniejszych wchodzących do kanionu wąwozach i gardzielach wije się mnóstwo strumyków, których srebrne wstążeczki brzęczą po kamieniach i skałach, tworząc to jakby maluchne w miejscach szerszych jeziora, to znowu kaskady, tak wdzięczne, jak owe gry wodne, ręką artystów porządzane w Wersalu. Lekki powiew wiatru wiejący zawsze w południe rozwiewa w mgłę te wodne warkocze, chłodząc niby deszczem upał i znój dzienny. W miesiącu lipcu, gdy żar niebieski dochodzi do stu dwudziestu i więcej stopni Fahrenheita, woda w strumieniach jest tak zimna, jak gdyby płynęła z jaskiń lodowych, a dzieje się to tym, że zwykle łożysko nakryte jest zieloną kopułą, utkaną z dzikiego chmielu, lianów, powojów tak gęsto, że promień słoneczny prawie wcale przez nią zasłone nie przenika.

Są też tam całe zielone jaskinie, tak wielkiego uroku, iż nieraz, gdym się w nie chronił przed upałem, zdawało mi się, że lada chwila zobaczę chorowód nagich nimf lub driad, bo w głowie nie mogło mi się pomieścić, ażeby te miejsca tak cudne miały być puste i milczące.

Chociaż nie były jednak zupełnie milczące, bo kapela pszczelna grała mi nad uszami bez przestanku. Widziałem małe, żółtawe pszczołki i większe tak zwane włoskie, czarno prążkowane, jak siadając na kwiatach powojów, to wreszcie na żółtych kwiatach bluszczów, zamiały nogami słodki pył i obładowane odlatywały do ulów. Czasem zalatywał kolibr mający kształt i ruchy owadu i zwisnąwszy na skrzydłach nad pochylonym kielichem, zanurzał weń swój długi, na kształt igły, dziobek. Za pszczołami ciągnęły pszczołojady, spore i złe ptaki z szarym grzbietem i zielonąwą piersią; przedrzeźniacze kołysały się na prętach lianów naśladowując głosy ptaków i zwierząt; wreszcie cudne błękitne płaszcze i całe tysiące górskich kuropatw przychodziły pić wodę w strumieniu i zadzierać przy tym głowę do góry na wzór pijaków, którym napój bardzo smakuje.

Owóz więc pszczoły znajdują tu i wodę, i dosyć pokarmu wszędzie, a to tym bardziej że przy tym stoki gór pokryte są w ciągu całego roku mnóstwem najpyszniejszych kwiatów. Od upału zabezpieczają skwaterowie dobytek swój stawiając ule pod cieniem czarnych dębów. W tych wszystkich doskonałych warunkach mnoży się też i rozrasta miododajna trzoda z niesłychaną szybkością. Zakupiwszy pięć lub sześć ulów można dojść w ciągu kilku lat do ogromnej pasieki. Jakoż nie tylko sprzedaż miodu i wosku, ale głównie sprzedaż ulów stanowi źródło dochodów skwaterskich. Kupują je farmerowie zamieszkali na całej długości między górami a Oceanem. Prawda, że trzeba te ule nieraz przenosić po jednym na plecach, ale skwater nie lęka się żadnej pracy.

W ogóle jednak odleglejsi skwaterowie zamieszkali po niedostępnych kanionach mają daleko więcej miodu niż pieniędzy, to jest mają go czasem dziesięć razy tyle, ile mogą sprzedać, ale też z drugiej strony, potrzeby skwatera tak są ograniczone i tak mało odległe od potrzeb człowieka żyjącego dziko, że pieniądze wyłącznie prawie tylko na zakupno prochu i ołowiu przydać mu się mogą.

II

Moje wypadki • Ognisko w wąwozie • Uczta • Opowiadania skwatera • Nocleg • Głosy nocne • Niespokojne sny • Ranek • Polowanie z zasadzki • Pierwszy jeleni

Wracam do opowiadania osobistych moich wypadków. Siedziałem tedy przed namiotem owej pierwszej nocy przyjazdu, podziwiając w milczeniu ogromną przyrodę, gdy nagle z zadumy wyrwał mnie głos gospodarza dochodzący z głębi parowu. Oba z Neblungiem podnieśliśmy się i zeszli na dół. W parowie połykiwało ognisko z drzew laurowych, Robinson zaś zajęty był pieczeniem, a raczej wygrzebywaniem z popiołu udźca jeleniowego, który upiekł na nasze przyjęcie i którego pyszna woń napełniała powietrze. Reszta jelenia, a raczej cały jeleni, pozbawiony tylko uda, wisiał opodal na drzewie, a płomień ogniska odbijał się w jego szklanych otwartych oczach. Prócz tego na węglach gotowała się w blaszanym naczyniu woda na japan tea (dżapan thi), czyli japońską herbatę, jakiej powszechnie używają ubożsi ludzie w Kalifornii. Gdy pieczeń była wyjęta z popiołu i spod odkrojonej nożem spalonej powierzchni wyjrzało różowe, dymiące wnętrze, zasiedliśmy do uczty. Była to prawdziwie homeryczna uczta; okrwawione bowiem płaty mięsa braliśmy rękoma, rozkrawając je tylko z pomocą myśliwskich nożów, czyli tak zwanych bowie-knife (boi najf), od których Indianie przezwali białych „długie noże”. Przy tym i otoczenie mogło przypominać przedhomeroWE wąwozy Pindu lub Aety. Niedaleko nóg naszych płynął z szelestem po kamieniach potok; naokół ogromne złamy kamieni, o które poopieraliśmy się plecami; w środku ognisko rzucające krwawy blask na pobliskie dęby rosnące w rozpadlinach skalnych, a dalej złowroga, mroczna głąb puszczy.

SkwateR od czasu do czasu dorzucał suchych gałęzi laurowych, a wtedy w ognisku powstawał trzask, iskry sypały się złotym deszczem i biegly gasnąć w ciemnościach, a podsycony płomień buchał do góry i oświecał nasze twarze, nasze karabiny i nasze psy siedzące opodal i odprowadzające łakomymi oczyma każdy kawałek mięsa, który nieśliśmy do ust.

Chwilami zdawało mi się, że jestem na jakiej romantycznej operze, w której sam śpiewam barytonową rolę alpejskiego rozbójnika. Zaczynało się też istotnie dla mnie życie nowe, w którym z czasem rozmiłowałem się do tego stopnia, że jeśli przyjdzie mi później zamienić je na inne, uczynię to ze smutkiem i z niechęcią.

Księżyc świecił nad naszymi głowami tak, jakby chciał z własnej powieki wyskoczyć; promienie jego łamały się na szczytach drzew z odbłaskiem ogniska; opodal szumiała puszcza; strumienie jęczały po kamieniach; z ciemności dochodziły głosy zwierząt; wszystko to było tak piękne, romantyczne i malownicze, że mimo woli czuło się skrzydła przy ramionach i żal robiło się młodych lat marnowanych na bruku miejskim, w małym kółku zajęć, spraw, a często wśród małych ludzi.

Z początku siedzieliśmy w milczeniu. SkwateR z natury był małomówny; ja nie umiałem sobie dać rady z własnymi wrażeniami, gadatliwe zaś usta Neblunga tak były zapchane jeleniną, że niecierpliwie słowa nie miały się któredy przedostać.

Uważałem jednak, że skwateR spoglądał na nas z nie tajoną radością. Jakoż zrozumiałem to, gdy skończywszy jeść rzekł:

– Dwa miesiące nie widziałem już twarzy ludzkiej.

– Mówiłem ci, Dżak – odparł wskazując na mnie Neblung – że džentelmen pragnie zaba-
wić tu parę tygodni. Dżentelmen jest podróżnikiem: jeździ po świecie, a co widzi, zaraz opi-
suje w „Polish News-Papers” („Gazecie Polskiej”). Dżak! słyszysz? ja już jestem opisany w
newspapers.

Dżak! raduje mnie to! Pilnuj džentelmena, ażeby nie zaginął w tych górach, a i ty będziesz
opisany. Dżak! będą o nas wiedzieć na drugiej półkuli.

Skwatter mniej zdawał się być czułym na tak rozgłosną sławę, ale wyciągnął do mnie rękę,
w której, nawiasem mówiąc, dłoń moja skryła się jak mysz w pułapce, i począł dziękować mi,
że wybrałem jego sadybę jako środkowy punkt wycieczek. Odpowiedziałem na to, iż zbyt po
europejsku, że i ja również się cieszę z poznania tak dzielnego džentelmena, ale obawiam się,
abym bytnością moją nie przyczynił mu kłopotów i ciężarów.

– Kłopotów i ciężarów! – zawołał śmiejąc się Neblung. – Dżak! słyszałeś o kłopotach i
ciężarach?

– Mówiliśmy z džentelmenem o tym jeszcze w Landing. Mówiłem džentelmenowi wyraź-
nie: ja znam Dżaka; Dżakowi zapłaty nawet proponować nie można, bo on raczej będzie to
uważał za dobrodzieństwo.

– Zapłaty nie wziąłbym od nikogo – odparł na to skwatter – a co do przybycia twego, sir,
nie mogę inaczej patrzeć na nie, jak na szczęśliwy dla mnie traf. Zaraz powiem dlaczego. Oto
sprzykrzyło mi się już w namiocie. Zimą, w czasie deszczów, niezbyt to wygodnie, więc po-
stanowiłem sobie wybudować dom. Wzniosłem już ściany prawie pod dach, ale robota to
niemała. Nad każdą deską przychodzi mi parę dni pracować. A przy tym tu blisko nie ma in-
nych drzew, jak po parę stóp średnicy, muszę więc dość daleko wyszukiwać pni cienkich.
Pracuję po kilkanaście godzin dziennie, obok tego muszę jeszcze palić ogień, gotować dla
siebie i dla psa, obrządzić moje kozy i konia, a co najgorsza, chodzić na polowania. Po prostu
czasu mi brak, a jak nie idę na polowanie, nie mam co jeść. Mogę nie ruszając się z namiotu
strzelać „kwels” (kuropatwy), ale „kwels” wkrótce się przykrzą. Mam także zapasy suszonej
jeleniny, ale i to nie lepsze. Jeśli więc, sir, zechcesz, jak to czynią wszyscy podróżnicy, polo-
wać, to nie tylko czasu mi oszczędzisz, ale będziesz mnie jeszcze karmił świeżym mięsem.

– Zresztą inna rzecz gościnność w mieście – przerwał Neblung – a inna w kanionach. W
mieście daję gościowi stancję, za którą mógłbym wziąć pieniądze, daję mu brekfest, lunch i
obiad; to wszystko kosztuje. A tu? gość to dwie ręce i jeden karabin więcej, a przy tym towa-
rzystwo ludzkie coś warte. Dżak, ja bym się tu wściekł żyjąc tak samotnie. Jakim się to spo-
sobem dzieje, Dżak, że ty się nie wściekniesz także?

– Przyzwyczałem się – odparł skwatter – ale przecież czasem bywa ciężko, zwłaszcza gdy
przyjdzie pora dżdżysta i nie ma co robić. Wszakże, sir, zabawisz w górach aż do deszczów?
– spytał zwracając się do mnie.

Odpowiedziałem, że nie wiem, istotnie bowiem i wówczas nie wiedziałem, i teraz nie
wiem, gdzie się będę za parę miesięcy obracał. Za rok będę może w Warszawie, a może w
San Pablo. Podróżomania jest jak wszystkie inne nałogi. Pierwszy krok najtrudniejszy, a po-
tem popycha już jakaś dziwna siła, jakby Żyda Tułacza, coraz dalej i dalej.

Ale tymczasem ugoda ze skwatterem stanęła. Potwierdziliśmy ją jeszcze kilkakrotnym
uściśnieniem sobie ręki, przy czym za każdym uściśnięciem syknąłem, a następnie wzięliśmy się
do picia owej japan tea, naturalnie z miodem, nie z cukrem. Przypomniałem sobie, że we
wiukach mego konia, obok rozmaitych innych gratów, znajdują się dwie małe baryłki, jedna z
brandy, druga z winem. Przyniósłszy je do ogniska zaprosiłem obu towarzyszków. Poobwijali-
śmy się w koce, zapalili fajki i to pykając z cybuszków, to popijając herbatę z brandy, leżeli-
śmy przy ognisku i gawędzili coraz weselej. Skwatter wreszcie rzekł:

– Jutro świtaniem zaprowadzę was na jelenie.

– All right! – odpowiedzieliśmy oba.

Wówczas zaczął nas uczyć, jak należy się zachowywać. Lubo ludzi w kanionach jest nadzwyczaj mało, zwierz zatem nieczęsto bywa płoszony, przecież jelenie, antylopy itp. rogata czereda niezmiernie jest ostrożna. Tłumaczy się to tym, że prócz ludzi polują na nią kuguary, rysie i żbiki. Napady takie zwykle odbywają się nad wodą; trzeba bowiem wiedzieć, że jeleni wybrawszy raz sobie drogę wiodącą do źródła, schodzi już nią zawsze. Ścieżynkę taką łatwo poznać, ponieważ nie tylko zarośla, mianowicie „czaporal” i „czamizal”, bywają na całej jej długości porozrywane, ale nawet i w miejscach, gdzie te krzaki nie rosną, poobsuwany żwir i poobsuwane większe kamienie odznaczają ją doskonale. Otóż polując trzeba upatrzeć ścieżkę, potem siaść świtaniem w zaroślach po drugiej stronie strumienia i czekać, póki zwierz nie zbliży się na strzał. Polowania takie bywają nawet niebezpieczne, często bowiem dwunożny myśliwiec spotyka czworonożnego myśliwca, nader o swoje prawa zazdrosnego.

Skwatter opowiadał kilka takich niebezpiecznych spotkań, w których nie wiedział, czy sam polował, czy też na niego polowano. I trudno było nie dawać tym opowiadaniom wiary, gdy rozmaite głosy dochodzące z lasu stanowiły niezaprzeczone ich prawdziwości dowody; raz zaś taki złowrogi ryk rozległ się w ciemnościach, że umilkł cały las, a i my z nim razem.

Skwatter dorzucił wiązkę suchych laurów na ognisko.

– Przekleństwo na twój grzbiet i niech Bóg potępi twoją głowę! – rzekł po chwili.

– Blisko? – spytałem go ukrywając z trudnością wrażenie i mimo woli sięgając ręką po karabin.

– Nie! Ze dwa lub trzy tysiące jardów – odparł – ale głos rozchodzi się nocą po skałach, jak gdyby to było blisko. Znam cię, piekielna!

– Cóż to za bydlę ryczy?

– Silver lion (puma). Biedny mój Ren!

Nalałem po raz trzeci brandy do herbaty Dżakowi, sobie i Neblungowi. Potem wypytywałem o dzieje pumy i Rena.

– Do you see, Jack? (Czy widzisz, Dżak?) – przerwał Neblung – jacy ci podróżnicy ciekawi. Wszystko to będzie opisane, Dżak! i twój Ren będzie opisany w newspapers!

– You are a mocking bird (ty jesteś przedrzeźniacz), Max – odrzekł skwatter czyniąc tym przewiskiem przytyk do gadatliwości Neblunga. – Mówię: biedny mój Ren, i nie pocieszyłbym się, chociażby „Herald” umieścił o nim artykuł. Pies ten, sir – rzekł zwracając się do mnie – przyszedł ze mną tu aż z Luizjany, skąd jestem rodem. Był to zacny pies: odważny i silny! Dwa tygodnie temu ta piekielna, która dopiero co ryczała, sprzykrzywszy sobie jelenie mięso podeszła nocą do korallu, w którym trzymam moje kozy. Ten hoodlum (łobuz, nicpoń) – mówił ukazując wielkiego brytana siedzącego przy ogniu – zwietrywszy ją schował się w mech pod namiot, Ren zaś, choć mniejszy, rzucił się ku niej jak szalony. Porwałem zaraz za karabin, ale nim wybiegłem z namiotu, usłyszałem jej ryk i krótkie skowyczenie Rena. Strzeliłem w powietrze na strach, potem biegłem mu na ratunek z rewolwerem i z bowie-knife, ale już było za późno. Puma zemknęła, Ren zaś miał wydarte wnętrzności i zgruchotany grzbiet: nogi mu tylko jeszcze drgały...

I nie wiem, czy herbata z wódką zaostrzyła żal skwattera za Renem, czy też kochał nieboszczyka tak głęboko, ale nagle urwał opowiadanie, zacisnął pięście i jął powtarzać szybko, jakoby w napadzie szalonego gniewu:

– Goddam you! goddam you! goddam!...

– Uspokój się, Dżak! – rzekł Neblung.

Jakoż Dżak uspokoił się wkrótce; ale ten milczący i poważny zwykle człowiek rozgadawszy się raz, rozplął się w oceanie różnorodnych opowiadań. Bądź, że trochę wypił, bądź, że tak dawno nie widząc ludzi milczał poprzednio przez całe miesiące, dziwił teraz nawet Maxa ową powodzią słów, tak rzadko trafiającą się u skwattera. Opowiadał, że rozmiłował się w tym swoim życiu skwatterskim i że nie porzuciłby go za nic na świecie pomimo wszystkich jego kłopotów. Do największych kłopotów zaliczał szkody, jakie dzikie zwierzęta czyniły mu w

jego dobytku. Niedźwiadki czerwone zachodziły nieraz nocą do jego ulów, ale prawdziwe spustoszenie czyniły mu małe zwierzątka, które nazywał racoons, co, zdaje mi się, że po polsku znaczy: szopy; dalej chciał trzymać kury, ale te pierwszej zaraz nocy padły ofiarą skunksów, gatunku kun, tchórzów, których futra znane są zresztą dobrze u nas; miał parę świń, podusiły mu je rysie ostrowidze; na koniec kuguary i kujoty zachodziły nocami do korallu, w którym trzymał kozy angorskie. „W dzień – mówił – wszystko to tak się pochowa, że ani śladu tego w górach, ale nocą dopiero każde zaczyna swój business. Czasem dwa i trzy razy na noc przychodzi mi brać za karabin, dlatego też śpiam w dzień po parę godzin.”

Pytałem się, czy też osobiste jego bezpieczeństwo często bywało zagrożone.

– Puma i szary niedźwiedź – odpowiadał – nigdy prawie nie rzucają się na człowieka, chyba postrzelone lub zaskoczone znieacka; kuguar rzuca się w takim razie – ze strachu. Ale na polowaniach z zasadzki, przy których trzeba sprawiać się cicho, często się zdarzy spotkać nagle a niespodzianie jedną z tych bestii; wówczas przytomność, silna ręka i dobry bowie-knife bywa jedynym ratunkiem.

– A karabin? – spytałem.

– Często nie ma czasu strzelać.

– Jednakże z bowie-knife tylko – trudno wyjść bez szwanku.

– Trudno! – odrzekł krótko i odwinąwszy rękaw od koszuli pokazał mi niżej łokcia mnóstwo chropowatych białawych pięt i szwów. Znać było, że w swoim czasie mięsaki w tym miejscu były potargane w straszny sposób.

– To już tu, w Kalifornii? – spytałem.

– Nie – odpowiedział – to jeszcze w Teksas; to jaguar, który jest niebezpieczniejszy i od pumy, i od czerwonego niedźwiedzia. Wzmianka ta o Teksasie naprowadziła go na wspomnienia odległej przeszłości.

Był on rodem z Luizjany, w swoim czasie był farmerem dość zamożnym; ale gdy wybuchła wojna, porzucił gospodarę i wraz z szesnastoletnim synem zaciągnął się do armii północnej. Następnie zaczęły go trapić nieszczęścia: syn poległ, on zaś sam dostał się w ręce północnym. Po czasie niewoli wrócił do domu, ale żona tymczasem, zbankrutowawszy na farmie, musiała ją opuścić i osiadła w małym miasteczku Berwick, nad jeziorem Chestr Machee, w południowej Luizjanie. Berwick, położone w okolicy błotnistej i wilgotnej, klimat ma prawie jeszcze niezdrowszy niż w New Orleans; wkrótce zatem tak on jak i żona zapadli na żółtą febrę. Wówczas to skupiwszy za resztki fortuny trochę wozów i bydła udał się do suchego Teksas, ale po drodze żona mu zmarła, karawanę napadli Meksykanie i zabrali wszystko, on zaś został na stepie, prawie bez ratunku.

Nie mając co lepszego do roboty, przyłączył się do skwaterów, którzy trzebią lasy na Brazos, Colorado i Red-River. Kilka lat żył tym życiem; zebrawszy jednak trochę pieniędzy, postanowił je porzucić i udał się do Kalifornii. Przybył tam znowu prawie bez grosza, bo po drodze wydał wszystkie pieniądze; ale na szczęście w Landing, a raczej w Anaheim, spotkał takiego good boy, jak Neblung, który pożyczył mu trochę pieniędzy i pomógł do założenia skwaterskiego gospodarstwa w górach.

– Odtąd żyję tu – kończył – i muszę przyznać, że ani Teksas, ani Luizjana nie mogą się porównać z Kalifornią.

Przechodził więc i ten człowiek burze w życiu. Wiatr pomiałał nim jak liściem, aż na koniec rzucił go w to leśne zacisze, w którym nie wiem już, czy praca była większa, czy spokój. Czasem samotnik ten po parę miesięcy nie widywał twarzy ludzkiej, tak zresztą, jak i inni skwaterowie. W czytaniu nie szukał rozrywki, bo jakkolwiek wykształcony na wzór innych Amerykanów, nie był jednakże z książkami obyty. Było to może dla niego i lepiej, rozwinięte bowiem życie wewnętrzne, a z nim rozpamiętywanie i myśl skłonna do zagłębienia się w zagadki wszechbytu, doprowadziłyby go zapewne do drugiego bankructwa, stokroć dotkliwszego niż poprzednie. Filozof na jego miejscu byłby sobie powtarzał: „Oto zamknąłem rachunki

z życiem; zawiąłem po burzy do portu; jestem spokojny.” I byłby sobie powtarzał to dopóty, dopóki by nie zmierzył sobie tej myśli, nie doszedł do nudy, zniechęcenia i przekonania, że wszystko jest czczym i marnym, i niewartym zachodu. A już wtedy o pracy nie byłoby co i mówić. Ale ten prosty człowiek nie zapładniał sam siebie filozoficzną czczością: nie rozumował! Rankiem brał siekiere i szedł w puszcze, potem z karabinem w ręku czołgał się w górzystych gardzielach, potem gotował strawę, opatrywał dobytek; nie miał może samowiedzy swego spokoju, ale owe codzienne sprawy jego żywota wydawały mu się dość ważnymi, aby warto było dla nich żyć. W ten sposób płynął mu dzień za dniem.

Był to człowiek trzeźwy jak wszyscy Amerykanie, jak wreszcie wszyscy ludzie należący do ras nieprzeżytych. Samo życie mu wystarczało, refleksje życiowe w głowie mu nie powstały. On nawet tego życia samotniczego sam nie wybrał, ale rzucił się w nie z musu, a pokochał je dopiero później. Pod jednym tylko względem samotność wycisnęła na nim filozoficzną pieczęć: oto niewiele sobie cenił pieniądze.

Ale cecha to wspólna wszystkim skwaterom. Istotnie w górach, na stepach i w ogóle w pustyni, gdy sięgniesz ręką do kieszeni i wyciągniesz z niej parę białych lub żółtych krążków, nie możesz powstrzymać uśmiechu i pewnego uczucia pogardy dla tej rzeczy, którą mimo woli nauczyłeś się prawie czcić w miastach, a która tam na razie niewarta naboju prochu lub kawałka suszonego mięsa.

Drugą cechą skwatera, wspólną samotnikom, była jego pobożność. Gdy wreszcie ognisko poczęło dogasać, a sen ołowiem spadał nam na powieki, on poszedł mówić pacierz, a następnie postanowiliśmy udać się na spoczynek. Skwater chciał koniecznie ustąpić mi swój namiot, który po prostu był „kawałkiem płótna rozwieszzonego na gałęziach i pod którym było jedno tylko miejsce; ale ja wolałem nocować razem z Neblungiem w zaczętym domku. Gospodarz przyniósł nam kilka wiązek mchu, ja zapaliłem latarkę znajdującą się między mymi rzeczami i poszliśmy ślać sobie łóżka. Na podłodze domku było pełno heblowin, trocin i rozmaitych kawałków drzewa. Powiedziałem Maxowi, żeby odgarnął to wszystko na jedną stronę, i zostawiwszy mu latarkę poszedłem do juków po drugi koc, noce bowiem nad rankiem bywają chłodne. Z juków zabrałem wszystkie zapasy, które w nocy mogły być zjedzone przez kujoty lub szopy; następnie spojrzałem jeszcze na konie, czy się nie uplatały w lasso, gwizdnąłem na psa i wróciłem do domku.

Przyszedłszy zastałem Maxa powtarzającego: „Goddam! goddam!” i tłukącego kolbą od karabina skorpiona. W heblowinach znalazł ich kilka i wyrzucił przez drzwi, ale ostatni zgniwał go swoją wielkością. Wkrótce nadszedł i skwater, a ujrzawszy, co się dzieje, rzekł spokojnie:

- O, u mnie pod namiotem są także! A mnie aż mrowie przeszło:
- A może i w tym mchu są? – pytam pokazując na wiązki.
- A może! – odpowiada skwater.
- A jak który ugryzie?
- E, nie! nie ugryzie!

Jakoż istotnie nie wiem, czy to robactwo mniej tu jest złośliwe niż gdzie indziej, czy też mniej jadowite, ale wiem, że tu nie robią sobie z nim zachodów.

Ja jednak wyrzuciłem resztę heblowin i przetrząsnąłem starannie mech.

– Zachodzą tu i grzechotniki – rzekł nam na dobranoc skwater – i dlatego położyłbym naokół domu lasso, ale ponieważ macie ze sobą borsuka, więc nie ma niebezpieczeństwa.

Jakoż tak i było. Skwaterowie, gdy przyjdzie nocować im pod gołym niebem, w miejscach, gdzie jest dużo węzów, rozciągają na ziemi w krąg włosiane lasso, przez które grzechotnik nie może się przeczołgać. Ale obecność mego borsuka czyniła zbyteczną tę ostrożność: zwierzętom tym bowiem ukąszenie węzów, choćby najjadowitszych, nic nie szkodzi. Zresztą nieszczęśliwe te płazy prześladowane są przez wszystko, co żyje, z niestłuchaną zaciętością.

Na koniec skwater odszedł, a my położyliśmy się spać. Max usnął od razu, ja zaś nie mogłem. Leżąc na wznak, patrzyłem w gwiazdy, dachu bowiem na domu jeszcze nie było i wsłuchiwałem się z niejaką obawą w głosy w puszczy. Nie jestem większym tchórzem od każdego przeciętnego mieszkańca brzegów Wisły lub Niemna, ale ta noc, dzika okolica i beczenie dochodzące z lasu rozstroiły mi nerwy. Kto by się chciał ironicznie uśmiechać na to szczere wyznanie, niech tu przyjedzie. Nie bałem się wreszcie wielkich zwierząt, ale co chwila zdawało mi się np., że to mech porusza się pode mną: zapewne skorpion; to znów, że resztki heblowin jakoś podejrzanie wyglądają po kątach: zapewne grzechotnik. Ciągłe coś podobnego! A przy tym co do samych głosów nocnych – noc i cisza zbliżają je. Zdaje ci się, że te beki, miauczenia itp. brzmią nie dalej, jak o jakie dwadzieścia kroków; czasem słyszysz je zaraz za ścianą, czasem tuż nad uszami, a wtedy mimo woli sięgasz po karabin. Wreszcie przychodzą nerwowe rozumowania. „Dlaczegoż (zadawałem sobie pytanie wpatrując się w czarny skraj ściany), dlaczegoż nie miałbym za chwilę ujrzeć na tym zrębie dwojga świecących w ciemności oczu należących np. do pumy? Może się to przez tysiąc nocy nie zdarzyć, a jednej może się zdarzyć. Kto mi zaręcza, czy to nie ta jedna?”

Ale potem przypomniałem sobie, że puma pierwsza nigdy nie zaczepia. „A więc i ja jej nie będę zaczepiał, niech sobie żyje!” Rozmyślając w ten sposób, czułem się tak pokojowo usposobiony do całego rodzaju pum, że chwilami zdało mi się, iż jestem ich serdecznym sprzymierzeńcem.

Przy tym pocieszało mnie to, że Max śpi zaraz przy mnie i że nie ma powodów, dla których pierwsze lepsze drapieżne stworzenie miałoby zjeść mnie, nie jego. Ten brak egoizmu unosił mnie tak daleko, że wystawiałem sobie najprzód, jakbym go żałował w podobnym wypadku.

Ale pominąwszy żarty, sam nie wiem, dlaczego najwięcej rozstrajały mnie te głosy, co do których nie byłem pewny, jakie zwierzęta je wydają. Jeden z tych głosów wołał ustawicznie na pobliskich skałach: „a ha ha!” Byłem prawie pewny, że to jakiś ptak, zatem nic niebezpiecznego, a jednak to „a ha ha!” dokuczało mi najbardziej. Nazajutrz dowiedziałem się istotnie, że krzyczą w ten sposób we dnie i w nocy wielkie kuropatwy górskie zwane przez skwaterów mountain quels.

Na koniec, kto nie słyszał nigdy skomlenia kujotów, ten nie zdoła nawet pojąć, ile grobowych oddźwięków, ile jakiegoś niesłychanie ponurego smutku i żałoby brzmi w tych głosach. Nawet skwaterowie, przyzwyczajeni do wszelkich wrażeń pustyni, nie mogą się powstrzymać od klątw słysząc te jak gdyby zagrobowe wołania i jęki. Ja również byłem już z nimi obznajmiony, bo słyszałem je wielokrotnie w Landing, a jednak przechodził mnie dreszcz od stóp do głowy.

Chwilami cały ten koncert jakby pod uderzeniem dyrektorskiej pałeczki milknął nagle, psy nawet przestawały ujadać, a ciszę nocną mąciło tylko chrapanie Maxa. W takich przestankach próbowałem usnąć. Jakoż zmęczenie poczynało brać powoli górę. Gwiazdy nad głową poczynały się mieszać, drgać i jak gdyby podskakiwać, słuch tępiał, pojęcia, myśli i obrazy zlewały się ze sobą w sennym bezładzie. Wreszcie usnąłem.

Była może północ, gdy usnął, a o piątej zbudziło mnie gwałtowne szczekanie psa. Na świetle już szarzało, gwiazdy bladły. W obawie, czy jaki niebezpieczny zwierz nie zbliżył się do koni, wziąłem karabin i wyszedłem zobaczyć, co się dzieje. Rankiem nerwy bywają spokojne, przy tym spałem wprawdzie krótko, ale jak kamień, zatem i wypocząłem wybornie; pełen więc ducha szedłem ku koniom. Psy czyniły ciągle straszny harmider, ale konie leżały spokojnie pod drzewami; zwróciłem tedy do domu, gdy nagle głos jakiś zawołał spod drzewa:

– Good day, sir!

Był to mój skwater, który również wyszedł spojrzeć na konie i pasiekę.

– Dzień dobry! – odpowiedziałem zmierzając ku drzwiom.

- Sir, jeśli chcemy iść na jelenie, to czas.
- All right! Czy obudzimy Maxa?
- Niech śpi. Jemu trudno dosiedzieć spokojnie na zasadzce.

Chciało mi się jeszcze spać kannibalsko, ale wstyd mi było opuścić dla snu polowanie; opatrzyłem więc karabin, wziąłem torbę z ładunkami, następnie napiliśmy się wódki, zjedli po kawałku wczorajszej pieczeni i ruszyli w drogę.

W tych krajach brzask ranny a następnie świt trwa krócej niż u nas, trzeba się więc było spieszyć, aby stanąć na miejscu, nim zupełnie rozednieje. Szliśmy w górę strumienia po niegodziwej drodze, bo zawalonej wielkimi kamieniami, i prawie po ciemku, gdyż liany rosnące na wierzchu ścian nie dopuszczały światła. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił, aby nie upaść. Nieraz woda strumienia zajmowała całą przestrzeń między ścianami, a wówczas brnęliśmy środkiem. W pierwszej przerwie skalnej, przez którą do naszego strumienia wpadał inny mniejszy, mignął nam szarawy, wydłużony cień, zapewne dzikiego kota. Chcąc okazać swoją sprawność, zmierzyłem się natychmiast, ale skwater uderzywszy dłonią w lufę podbił mi karabin w chwili prawie, gdy miałem strzelić. Później wytłumaczył mi, że wystrzał dany niedaleko już stanowiska mógłby zepsuć całe łowy.

Przez drogę nauczył mnie jeszcze, jak się mam zachowywać, polecając szczególnie największą ostrożność, największą cierpliwość i nieśpieszenie się ze strzałem, choćby mi się zdawało, że zwierzę dojrzało mnie już i pierzcha. Zapisywałem sobie to wszystko w pamięci, a tymczasem wyszliśmy na miejsce otwarsze. Zamiast ścian skalnych z jednej strony strumienia wznosiła się dość stromo góra, której brzeg schodził w wodę, z drugiej zaś szła mała równinka porośnięta zupełnie laurami. Usadowiliśmy się za dwoma najgęstszymi krzakami, z tej strony strumienia, a naprzeciwko góry. Teraz trzeba było prawie tamować oddech w piersiach. Robiło się coraz widniej. Wreszcie pierwsze promienie zorzy powlokły porośnięte „czaporalem” wierzchy góry różowym szlaczkiem. Ujrzałem wtedy wyraźnie osyp żwiru i kamieni ciągnący się przez całą długość góry, od wierzchnich zarośli aż do strumienia. Nie mogło mi się jednak w głowie pomieścić, aby zwierzę mogło zejść z tak stromej pochyłości nie spadłszy na głowę w dół. Wkrótce jednak przekonałem się o możliwości, gdy nagle ujrzałem wysuwającą się z „czaporalu” głowę jelenia. Serce zabiło mi młotem i jak mogłem najwolniej, podniosłem kolbę karabinu do twarzy. Nie czas jednak jeszcze było strzelać, a przy tym postanowiłem pokazać skwaterowi, że posiadam ten jeden z najcenniejszych przymiotów myśliwca: cierpliwość. Dzieliło mnie od owej głowy wystającej z zarośli ze trzysta jardów, ale powietrze tak było przepelnione różowymi blaskami i tak przezroczyste, że widziałem ją jak na dłoni. I wtedy dopiero nabrałem pojęcia o tej niesłychanej czujności, jaką jelenie i antylopy zachowują przy zbliżaniu się do źródeł. Oczy zwierzęcia były otwarte szeroko, uszy nastawione, nozdrza poruszały się szybko, badając wonie poranne.

Myślałem, że już nigdy nie wyjdzie z „czaporalu”. Uplłynęło może dziesięć minut, a jeleni stał jeszcze, obracając głowę na wszystkie strony. Nareszcie za głową ukazała się szyja, za szyją piersi, potem znów stanął nieruchomo. Na koniec jednak ujrzałem to wspaniałe zwierzę w całej jego piękności.

Był to samiec mający około czterech stóp wysokości, z dużą głową, wypukłymi oczyma i rozsochatymi rogami, które, podnosząc głowę, zakładał na grzbiet. Skóra jego była jednostajnego, płowego koloru, nie tak ciemna, jak naszych sarn, ale również porośnięta pod brzuchem białą sierścią; nogi cienkie i wysokie, a tylne prawie jeszcze wyższe od przednich. Wynurzywszy się całkowicie, przez chwilę jeszcze łowił uszyna odgłosy, a nozdrzami wonie; na koniec żwir i małe kamienie poczęły z szelestem staczać się na dół. Zstępował.

Kto z doświadczonych myśliwych pamięta, jakich wzruszeń doznawał na widok wychodzącego na strzał grubego zwierza, ten rozumie, jakich musiałem doznawać ja, który byłem wówczas nowicjuszem w myśliwskim zawodzie. Strzelałem przez parę miesięcy ptactwo wodne w Sebastopolu nad Cosumnes, kuropatwy i zające w Anaheim, borsuki około Orange,

kujoty i ptactwo morskie w Landing, ale taką grubą sztukę, przenoszącą prawie dwukrotnie naszą sarnę, przyszło mi pierwszy raz mieć przed sobą. A tymczasem żwir i kamienie z dziw- nie monotonną jednostajnością spadały i spadały na dół: zwierz zatrzymywał się co krok. Wietrzył, słuchał, patrzył. Uplęło może z pół godziny, a jeszcze nie był i na połowie drogi; nagle zwrócił się i skoczył w tył, jakby niespodzianie spłoszony.

Wytrzymałem. Skwater nie na próżno ostrzegał mnie, że jelenie używają tego manewru dla wywabienia z zasadzki drapieżników mogących czyhać przy wodzie. Jakoż po chwili zwierz zaczął zstępować znowu i znowu usłyszałem spadający żwir i kamienie; ale wszystko to od- bywało się wcale nie prędzej jak poprzednio. Dawno już cierpliwość moja nie była na tak wielką próbę wystawiona. Ręka mdląła mi od trzymania karabina, serce biło... Jardów pięć- dziesiąt! Czas już! – szepce niecierpliwość. Jardów czterdzieści... trzydzieści, sam skwater musi się tam już dziwić, że nie strzelam! Jardów dwadzieścia pięć! – nie mogę dłużej: pocią- gnąłem za cyngiel!

Huk wstrząsnął echem w skałach niby wystrzał armatni. Trafiony stożkową kulą, zwierz stoczył się jak kamień na dno strumienia.

– All right! – rzekł skwater.

IX

SZKICE AMERYKAŃSKIE

Z PUSZCZY

I

Życie leśne • Poranne rozmowy • Śniadanie • Sjesta • Walka z grzechotnikiem • Kolekcja ogonów • Łupy z polowań • Gimnastyka zmysłów • Akustyka skal • Prace literackie i przeskody • Moja pracownia • Stół i fotel • Chłody nocne • Dolegliwości • Budowa domu • Mustang • Charakter mustangów • Siodła meksykańskie • Co wychowanie zrobić może? • Stepowa hodowla • Ceny mustangów • Mustangi wyścigowe i pociągowe • Ukończenie domu • Oczekiwanie pory dżdżystej • Moje zdrowie • Zmiany klimatyczne • Dżak • Jednostajność usposobienia • Cechy amerykańskiego ludu • Skwaterowie jako typy • Refleksje Dżaka • Dżak i natura • Z Bogiem • Plany Dżaka na przyszłość

Rozpoczęło się więc dla mnie w kanionie górskim życie leśne, na pozór jednostajne, a jednak nie pozbawione wrażeń. Wstawałem codziennie, gdy na niebie było jeszcze szaro, i schodziłem do wąwozu, w którym zwykle zastawałem już rozniecone ognisko i skwatera gotującego śniadanie. Przy śniadaniu wątku do rozmowy dostarczały nam wypadki nocy ubiegłej. Więc czasem zdarzały się szkody wyrządzone przez szopy w pasiece; czasem znajdowaliśmy ślady jakich większych zwierząt w pobliżu, a wtedy układaliśmy na nie polowanie i zasadzki; to znów rozmawialiśmy o zbliżającej się porze dżdżystej i potrzebie porobienia tych zapasów, które nie mogły być porobione gdzie indziej jak w mieście, a które należało porobić wcześniej, albowiem w czasie wezbrania potoków i Santa Ana River drogi między miastem a kanionami są poprzecinane.

Po śniadaniu, kończącym się zawsze przed wschodem słońca, skwater chwycił za topór i zabierał się do budowy chaty, ja zaś zarzucałem na plecy karabin i udawałem się ku jelenim ścieżkom. Bywały dni, że wracałem z próżnymi rękoma, co zdarzało się zwłaszcza wówczas, gdy nie zachowałem należytej ostrożności; częściej jednak przynosiłem to antylopę, to koziorożca. Mięso tych zwierząt krajaliśmy na cienkie płatki i wędziliśmy w dymie lub też porozwieszawszy na sznurze suszyliśmy je na słońcu. O godzinie dziesiątej kładliśmy się obaj koło potoku na posłaniu z mchów i do godziny dwunastej odprawialiśmy sjęstę: o tej porze dnia bowiem jest tak gorąco, że nawet w zimie ani pracować, ani chodzić po górach niepo-

dobna. Po południu, gdy wiatr, wiejący stale co dzień od Oceanu Spokojnego, ochłodził powietrze, brałem znów strzelbę, ale już nie karabin, jeno zwyczajną do szrutu dwururkę, i szedłem strzelać ptactwo.

Zabijałem bażanty przesiadujące zwyczajnie w kaktusach i uciekające za zbliżeniem się strzelca piechotą, jako też i wielkie górskie kuropatwy, których miliony żyją na stokach i przy strumieniach. Podczas tych wycieczek spotykałem dość często grzechotniki. Płazy te lubią wyczołgiwać się na dobrze oświecone kamienie i wygrzewać się na słońcu. Zwykle uciekały ujrzawszy mnie z daleka, niekiedy jednak przychodziło mi staczać walkę. Pewnego razu wyszedłszy świtanem spostrzegłem na samej drodze węża. Myślałem, że płaz ustąpi mi z drogi, jak się to zresztą zwykle zdarza; ale on wyprostował się do wpół ciała i zagiąwszy głowę począł syczeć. Mogłem mu się wtedy dobrze przypatrzeć. Sam koniec ogona jego, podniesiony w górę, poruszał się na prawo i na lewo tak szybko, że pojedyncze drgania grzechotek zlewały się w jeden dosyć wysoki ton. Wąż widocznie musiał być albo czymś rozdrażniony, albo najedzony do tego stopnia, że mu się nie chciało uciekać. Gdy jednak zachodziłem mu z boków, prostował się coraz bardziej i w miarę moich ruchów obracał głowę. Trwało to wszystko dość długo, albowiem nie widziałem w tym dla siebie żadnego niebezpieczeństwa, gdyż w ostatecznym razie łatwo mogłem uciec. Na koniec uciałem za pomocą Bowie-knife długi pręt laurowy i ogołociwszy go z liści przystąpiłem bliżej. Wąż stanął wówczas jak świeca i już chciał się rzucić na mnie, gdy uderzenie pręta zabiło go na miejscu.

Oddawszy mu ogon naliczyłem siedemnaście dzwonek, co znaczyło, że płaz miał siedemnaście lat; zatem stary był i niebezpieczny. Od owej pory zebrałem już bardzo piękną kolekcję ogonów, nie licząc bowiem zdobytych osobiście, dostałem ich przeszło dwadzieścia od skwaterów i Indian. Największe z nich dochodzą do jedenastu grzechotek, chociaż często zdarzają się węże daleko starsze. W San Francisco np. w Woodward's Garden widziałem węża o czterdziestu dzwonekach w ogonie.

Wracając do popołudniowych polowań na ptactwo – łupy z nich bywały prawie zawsze dziwnie obfite. Strzelając po całych dniach od rana do wieczora, a czasem nawet i po księżycu, nabierałem coraz większej wprawy. Pomagało mi przy tym w czynieniu owych postępów w sztuce myśliwskiej dziwnie szybkie doskonalenie się zmysłów wzroku i słuchu. Były wprawdzie wyborne po temu warunki higieniczne. W Warszawie pisywałem czasem po nocach do godziny trzeciej i czwartej rano; tu chodziłem spać o zachodzie słońca – wstawałem o świcie. Ale główna przyczyna owego doskonalenia się zmysłów leżała w samym tym życiu dzikim i leśnym. Konieczność ciągłego badania wzrokiem okolicy, wpatrywanie się w gęstwiny leśne, w mroczne rozpadliny skał, natężona uwaga i dokładność, z jaką to czynić należy: oto prawdziwa gimnastyka, z pomocą której zmysł po kilku miesiącach wzmacnia się i wyostrza jak brzytwa.

Jest to rzecz wprawy. To samo należy rozumieć i o słuchu. W górach, o ile noce bywają hałaśliwe, o tyle w dzień, zwłaszcza w godziny upału, w których milknie nawet i ptactwo, puszcza jest tak cicha, jak grób. Słuch, przyzwyczajony do tej ciszy nie zmaconej ani hałasem i gwarem ludzkim, ani głosami stworzeń, staje się w końcu tak delikatny i wrażliwy, jak słuch więźnia pędzącego życie w milczącej celi. Nasłuchiwanie rozważne na polowaniach i samotność ćwiczą go jeszcze bardziej. Dochodzisz w końcu do tego, że według słów Mickiewicza, słyszysz: „jako się motyl kołysze na trawie, jako wąż śliską piersią dotyka się ziola”. Nieraz, gdym siedział i pisał w zaczonej chacie, a Dżak pracował o kilkaset jardów dalej w parowie, słyszałem, jak mówił do psa, a słyszałem z taką dokładnością, że mogłem powtórzyć każde słowo. Wiedziałem również, kiedy wracał do domu, a kiedy odchodził dalej w puszczy. Pomagała zapewne do tego i naturalna akustyka skał, która sprawia, że wystrzał karabinowy, odrzucany przez jedną skałę drugiej, huczy tu jak grzmot i powtarza się kilkakrotnym echem, nim wreszcie, rozbity o złamy, wyrwie się z parowów i uleci na bory i lasy.

Owóz więc strzelanina zabierała mi większą część dnia, ale do zwykłych zajęć moich należało i pisanie. Jakaś nieprzewyciężona siła zmuszała mnie ustawicznie, abym dzielił się z czytelnikami tą sielanką górską, tak oryginalną, że mnie samemu zdawała się urojeniem i jakby snem jakimś, a tak rzadko trafiającą się ludziom mego zawodu i tak zdrową, że była mi uspokojeniem wielkim po życiu w mieście i niby początkiem drugiej młodości, zanim minęła pierwsza.

Łatwiej jednak było chcieć pisać, niż przywieść ono życzenie do skutku. Pomijając, że zeszywniałe i pokaleczone częstokroć o skały moje palce nie chciały utrzymać pióra – były i inne trudności. Przybory do pisania wożę zawsze ze sobą, miałem je tedy i wówczas w jukach; ale za to Dżak nie miał ani stołu, ani krzesła, ani żadnych podobnych rzeczy, które nam wydają się czymś niezbędnym, a na które skwaterowie patrzą jako na zbyt kosztowne i niepotrzebne zniewieściałego życia wymysły. Dżak siadał na kamieniu w parowie, jadał na kamieniu w parowie, a na noc kładł się na mchu pod namiotem. Prawdopodobnym jest, że gdyby nawet i miał krzesła, nie używałby ich nigdy. Mówił wprawdzie, że wykończywszy dom pragnie się urządzić inaczej, ale nie zaręczam, czy w tych zamiarach stoły i stołki grały jakąś rolę.

Musiałem więc pomyśleć o urządzeniu sobie wygodnej pracowni, ile że niewygodna nie pozwala zebrać myśli, skupić się i oddać wyłącznie pisaniu. Z próżnego szafkowego ula udało mi się z pomocą tylko siekiery urządzić pyszny stół, który miał nawet i szufladę chroniącą papier od zamoknięcia w czasie rosy nocnej, z robotą zaś krzesel poszedłem za wzorem Meksykanów. Jeszcze mieszkając w Anaheim zwiedzałem tak zwane estanszje, czyli osady pasterskie. Osady takie stoją na gołym stepie, składają się zaś z szałasów byle jak skleconego z desek, a często i bez dachu – i z ogromnego ogrodzenia, czyli korallu, mogącego w sobie pomieścić kilkaset sztuk bydła, które dniem pasie się w stepie. Meksykanie i Metysowie, zamieszkałi w osadach, żyją prawie dziko. W dzień hulają konno za bydłem po stepach, wieczorem siedzą w szałasie wokół ogniska z łodyg kukurydżowych i grają w karty, kłócąc się przy tym, bijąc i pijąc. Stołów i stołków nie posiadają, zarówno jak i skwaterowie, całe zaś umeblowanie szałasów składa się z czerepów wołowych poustawianych pod ścianami. Wieczorem wakerosi stawiają je koło ogniska i siadają między rogami. Tak uczyniłem i ja. Wynalazłszy w parowie kilka szkieletów wołowych, wybrałem największy czerep i przyniosłem go do domu, po czym, przywiązawszy wiązkę mchu między rogami, miałem krzesło co się nazywa, na którym mogłem rozpierać się jak Voltaire w swoim fotelu.

Od tego czasu zacząłem pisywać prawie codziennie i nim pewien wypadek, o którym wspomnę później, oderwał mnie od pracy, wykończyłem te wszystkie rzeczy, które wam posłałem. Tymczasem jednak spadło na mnie nowe zajęcie. Dżak Harrison, czyli mój Robinson, budował dom już parę miesięcy, a było rzeczą arcyprawdopodobną, że nim wykończy dach i zaciągnie go na ściany, upłynie jeszcze czas niemały.

Byłoby to dla mnie wszystko jedno, gdyby nie to, że noce w miarę zbliżania się jesieni stawały się coraz chłodniejsze, nad ranem zaś padała tak obfita rosa, że wierzchni gruby koc, którym się okrywałem, bywał przemoczony jakby po dość ulewnym deszczu. Zaczęło mi to szkodzić, jako nieprzywykłem do sypiania pod gołym niebem, a szkodziło tym bardziej, że w dzień upały dochodziły do stu i więcej stopni Fahrenheita. Dżak ofiarował mi swój namiot, ale nie chciałem go przyjąć, raz że nie chciałem zabierać mu miejsca, a po wtóre że namiot ten był tylko kawałkiem podziurawionego płótna rozwieszzonego na patykach i nie dającego prawie żadnej ochrony. Pomyślałem zatem, że najlepiej będzie pomagać Dżakowi w budowie dachu; jakoż od tej pory echo powtarzało codziennie uderzenia dwóch toporów. Robotą poczęła postępować bez porównania szybciej. Nie umiałem wprawdzie nigdy ciesiołki i do tej pory nie mam o niej dobrego wyobrażenia, ale pomoc dwóch choćby nieumiejętnych, choćby tylko siłą przedstawiających rąk, ma w tego rodzaju pracach nieoszacowaną wartość. Poprzednio np. Dżak musiał nosić o kilka mil angielskich po jednej cienkiej belce, obecnie no-

siliśmy po dwie, a nawet i po trzy związawszy je sznurami. Wpadłem na myśl zaprzęgnięcia do cięższych belek mego mustanga, ale okazało się to niepraktyczne, albowiem jedyną drogą prowadzącą w głąb puszczy było łożysko potoku, miejscami tak zawałone kamieniami, gdzie indziej znów tak głębokie, że nie tylko koniowi, ale i człowiekowi groziło co chwila niebezpieczeństwo upadku. Nabyłem tego konia od Neblunga za ośm dolarów, co stanowiło dość wysoką cenę, od Indian bowiem i od Metysów można, z pomocą zwłaszcza szklanki wódki, kupić i za pięć. Ale Max wziął go z sobą w góry wcale nie na sprzedaż, tylko z grzeczności dla mnie i dlatego, aby wracając z gór mógł zabrać do Landing towary zakupione w Anaheim. Tymczasem w chwili odjazdu Maxa napałem się kupić owego podjezdka. Maxowi nie bardzo to było na rękę, ale wreszcie wyrachował sobie, że pod towary może nająć innego mustanga bądź w Anaheim, bądź w pierwszej lepszej farmie – i ugoda przyszła do skutku.

Pokazało się jednak później, że nie zrobiłem zbyt korzystnego nabytku. Był to wprawdzie młody, bo trzyletni koń, dereszowatej maści, dość rosły i silny, ale jak większa część mustanów dziki i do wysokiego stopnia złośliwy. Przy kulbakach meksykańskich, wyłącznie używanych w Kalifornii, a bogdaj i w całej Ameryce, ogromne, drewniane strzemiona całkiem pokryte bywają skórą chroniącą nogi jeźdźcy przed zębami konia. Jednakże, jak tylko jeździec, zapomniawszy się choć na chwilę, popuści cugle munsztuka, natychmiast stepowy biegun odwraca głowę i stara się go pochwycić gdzie może. Mój prócz powyższych wad miał jeszcze tę, że nie dawał do siebie dostąpić. Gdym się do niego zbliżał chcąc go osiodłać, toczył krwawymi oczyma, stulał uszy, gryzł i kopał tak gwałtownie, że musiałem z całej siły zaciągać koło jego szyi lasso i dopiero z na wpół przyduszonym mogłem już robić, co mi się podobało. Jednakże powszechnie pierwsze tylko miesiące pożycia z koniem bywają tak przykre. Później zwierzę przyzwyczaja się do jedynej istoty, która koło niego chodzi, daje mu jeść, czyści go i pilnuje. Z wolna stosunek nie przestając być szorstkim staje się przyjacielskim. Przez kilka pierwszych tygodni starałem się na próżno ułagodzić mego deresza; na próżno dawałem mu regularnie jęczmień, kukurydzę i koniczynę. Wyrósł, wypiękniał, ale nie przestał się płoszyć i strachać. Chwilami wpadałem już nawet w zupełne zwątpienie, czy będziemy ze sobą żyli kiedykolwiek inaczej jak na stopie wojennej.

Tymczasem Dżak poradził mi, ażeby próbował jeszcze przyswoić go głodem. Jak powiedział, tak uczyniłem. Przywiązałem umyślnie lasso krótko do drzewa, ażeby koń nie mógł się paść soczystą trawą rosnącą zwykle pod dębami i odszedłem. W południe napoiłem go, ale nie dałem mu jeść. Wieczorem przyniosłem w blaszance trochę kukurydzy, popuściłem lasso, i stanąwszy opodal zawołałem: „Pójdź!” Mustang, według zwyczaju, stulił uszy, szarpnął kilka razy za sznur i nie myślał się zbliżyć. Zaciśnąłem sznur i odszedłem. Nazajutrz rano podobna scena. Strzygł uszami, patrzył na kukurydzę, roztwierał ku niej chrapy, ale nie przyszedł. Tymczasem trawa na małej przestrzeni, na której mógł ją szczypać, była już wyjedzona. Głód zaczął mu dokuczać coraz bardziej. W południe przyszedł już do blaszanki i jadł łapczywie. Brałem go za uszy, w których szczególnie był łechciwy, głaskałem po łysinie: nie cofał się. Odtąd przynosząc mu obrok rozpuszczałem lasso i stawałem coraz dalej. Przychodził zawsze, a w końcu przyszło do tego, że gdym się tylko pokazał, biegł ze rżeniem ku mnie, o ile sznur na to pozwolił, wspinał się i skakał, ale już z radości, jak przywiązany na łańcuchu pies. Podczas gdy jadł, obsypywałem go pieszczotami, o które potem sam się dopominał.

Wówczas dopiero przekonałem się, co staranna i troskliwa hodowla może z konia zrobić. Jak wszystkie mustangi, tak i ten mój miał długą, wichrowatą szerść, zarosłe pęciny i najeżoną grzywę. Po miesiącu starań, gdym na noc okrywał go kocem, karmił doskonale, czyścił codziennie, szyja jego zagięła się w piękny łuk, w oczach zaświecił rozum i fantazja, grzywa stała się cienką i delikatną, szerść błyszcząca, słowem: zrobił się prawie rasowy koń, na którego potem Meksykanie i Indianie spoglądali z nie tajoną żądzą.

Ale tak Meksykanie jak Indianie wcale nie zajmują się swymi końmi. Gdy Meksykanin przyjeżdża z drogi, wówczas zdejmuje kulbakę, a konia wygania na step, jak u nas na Ukrainie czynią Kozacy – i nie chce więcej o nim wiedzieć. Nigdy nie widziałem, aby Meksykanin konia czyścił lub karmił obrokiem. Koń żyje tym, co sam znajdzie. Prawda, że na wiosnę i w zimie paszy wszędzie jest obfitość; ale latem, w lipcu i sierpniu, gdy słońce spali na proch trawy, a preria wygląda jak popękane klepisko, konie mrą z głodu i utrzymują się przy życiu tylko ogryzaniem liści wierzb i innych drzew rosnących przy wyschłych łożyskach strumieni. Łatwo zrozumieć, że żyjąc w powyższych warunkach mustangi muszą być złe i dzikie. Przez większą część roku żyjąc w stadzie nie widują twarzy ludzkiej, a gdy czasem pojawia się jeden i drugi człowiek, to tylko po to, żeby wywijać długim lassem nad przerażonym stadem, chwycić konie, dusić je, potem dosiadać i bóść takimi ostrogami, jakie ongi w Europie nosili średniowieczni rycerze.

Gdyby nie ta dzika, stepowa, a w rzeczy żadna hodowla, mustangi, mające w sobie krew dawnych koni hiszpańskich, wnuków owych rumaków, które wraz z Arabami przybyły do Hiszpanii ze Wschodu jeszcze w 711 roku, dałyby się wyrobić w rasę piękną i szczególnie pod siodło przednią. Dowodem tego mustangi z południowego Teksasu, umyślnie tam hodowane w niektórych miejscowościach, które na wyścigach biją naj słynniejsze folbluty z Kanady i dochodzą do cen bajecznych. W ogóle jednak mustangi nie odznaczają się pięknnością. Głowę zwykle miewają dużą, czoło wypukłe, szerść kudłatą i obrośnięte nogi. Celują jednak wytrzymałością. Meksykanie nigdy inaczej nie jeżdżą, jak galopem. Jak tylko koń poczuje na sobie jeźdźca, wyrzuca przednie nogi i wpadłszy w galop nie zmienia chodu, choćby mu przyszło biec dwadzieścia i trzydzieści mil (angielskich) bez przestanku. Jeździec kołysze się wówczas na siodle jak w hamaku, kręci w galopie cigarittas, śpiewa: „O dolce amiga!” i tylko od czasu do czasu poprawia na głowie swoje ogromne sombrero, gdy mu je powiew wiatru zbyt z czoła zesunie.

Gdy koń nie chodzi w stadzie, ale służy ciągle jednemu człowiekowi, z czasem staje się pojętny i sprawny, co szczególnie pokazuje się przy rzucaniu lassem. Gdy jeździec wypuści przed siebie sznury, wytrawny mustang zwija piorunem młynka na miejscu i poczyna z całych sił galopować w przeciwną stronę, ściągając w ten sposób pętlicę i dusząc schwytaną zdobycz. Widziałem także u niektórych wakersów konie tak wytresowane, że na odgłos świstawki przybiegały natychmiast w największym pędzie ze stepu. Takie jednak rzadkie są i wysoko cenione.

Mustangi sprzedawane do miast przyzwyczajają się do zaprzęgu, ale że zwykle zaprzęgają je zbyt młodo, wyglądają więc biednie i podobnie do naszych chłopskich koni. Najlepiej jednak chodzą w jukach, który też sposób powszechnie w stepach do przenoszenia mniejszych ciężarów jest używany.

Mój mustang jako juczny koń pełnił doskonale swoją służbę. Każda kulbaka meksykańska oprócz wysokiej kuli na przedzie, naokoło której nawija się lasso, opatrzona jest w sześć lub nawet ośm par troków wyrobionych z niezmiernie silnego rzemienia. Otóż do troków tych nieraz podczas dłuższych wycieczek przywiązywałem worek z kukurydzą, z mąką, jedną małą baryłkę z wódką, drugą z winem, prócz tego z tyłu koce i karabin, razem do stu i więcej funtów ładunku nie licząc mnie. Z takim ciężarem koń galopował po kilka mil (angielskich) jak gdyby nic, a zsiadałem z niego tylko w takich miejscach, w których obawiałem się razem z nim kark skrócić. Gdyśmy jednak z Dżakiem urządziwszy z postronków szleje próbowali zaprząć go do belek, począł wierzcąc i rzucać się tak zapamiętale, że odprzągłem go natychmiast w obawie, aby się nie skaleczył. Odtąd przenosiliśmy belki, krokwie i deski własnoręcznie.

Robota desek zajmowała nam najwięcej czasu, albowiem w braku wielkiej piły trzeba je było obrabiać toporem, co najprzód długo trwało, a po wtóre z całego pnia wyrabialiśmy tylko jedną deskę, tak ciężką i niezgrabną, że zaprawdę podobniejsza była do cokolwiek ście-

nionej belki niż do deski. Gdy na koniec szkielet dachu z krokwi stanął, przybijaliśmy te deski poprzecznie długimi gwoździami. We dwa tygodnie wyrobiliśmy dziesięć szerokich łąt, że zaś Dżak miał ich już przeszło dwa razy tyle przygotowanych, w tydzień więc skończyliśmy z dachem i chata była gotowa. Spoglądaliśmy z dumą i zadowoleniem na nasze dzieło, chociaż, gdyby je mierzyć mniej pobłażliwym okiem, przedstawiałoby wiele do życzenia. Dom składał się z jednej izby mogącej pomieścić dwa posłania z mchu, kilka czerepów wołowych i moją pracownię. Drzwi zbudowaliśmy wprawdzie dość prawidłowo z trzech krótkich desek i przybiliśmy je na zawiasach zakupionych wraz z innym starym żelastwem przez Dżaka w Anaheim, ale okien szklanych nie było wcale. Dżak nie myślał nawet starać się o nie, albowiem klimat tutejszy usuwa ich potrzebę.

W dzień otwory w tylnej ścianie przepuszczały aż nadto światła, na noc zaś dla ciepła zastanialiśmy je roletami z grubego płótna. Mocny, choć niezgrabny, i dostatecznie pochyły dach bronił od deszczów, zatem i wszystko było jak należy, czyli all right! Ukończywszy dom, otoczyliśmy go rowem broniącym przystępu wężom; za czym już nie pozostało nic więcej, jak obsadzić go ligami, pomarańczami, drzewami brzoskwiniowymi i krzakami migdałów.

Była to jednak robota na później, bo przede wszystkim musieliśmy się zająć zgromadzeniem zapasów na porę dżdżystą. Ale tymczasem zdrowie moje poczęło cokolwiek szwankować. Ciężka i wysilona praca na upale dochodzącym do stu stopni Fahrenheita nabawiła mnie ciężkich bólów głowy, siedzenie zaś cowieczne przy ognisku podczas chłodnych nocy – tak silnego kataru, że podobne chyba przed potopem istniały. Przy tym w nocy, gdy psy szczekały zajadle, a większe jakie zwierzęta wyły w pobliżu, trzeba było wyłazić z ciepłego mchu, brać strzelbę i obchodzić z nią korall, pasiekę, czasem wystrzelić w powietrze, ale przede wszystkim zaziębiać się niemiłosiernie. Pewnej nocy koń mój, widocznie przerażony przez kujoty, począł szarpać tak silnie lassem i tak je poplątał chcąc zerwać, że musiałem przeszło godzinę rozwikływać pozaciągane węzły. Była to godzina czwarta rano, a więc czas największego chłodu.

Zmarzłem jak sasanek i cały następny dzień musiałem przeleżeć w mchu.

Gdyby to było w innym, nie tak niesłychanie zdrowym klimacie, byłbym dostał febrę lub zapalenia płuc. Ale o febrach nikt tu nigdy nie słyszał, moje płuca zaś w przeciwieństwie do serca zapalają się bardzo trudno. Swoją drogą pocziwy Dżak cały dzień następny gotował dla mnie japan tea, a wieczorem przyniósł mi szklanekę odwaru z jakichś ziół, podobno nader skutecznych. Jakoż na drugi dzień było mi już lepiej, o tyle nawet lepiej, że o świcie mogłem pójść, na polowanie.

Troskliwość i przyjaźń, jakie okazywał mi Dżak, zjednały mu moje serce. Dżak był to człowiek nie uczony, ale elementarnie wykształcony jak każdy Amerykanin, a posiadający wiele przymiotów rzadkich nawet w najwykształceńszych ludziach. Był jednak trochę posepny i małowówny.

Wieczorem przy ognisku rozgadywał się wprawdzie; przy robocie za to w dzień nie mówiliśmy zwykle do siebie ani słowa. Taka małowówność w człowieku ze świata oznaczałaby zły i nieprzyjemny humor, ale u Harrisona było to tylko przyzwyczajenie wynikłe z życia samotnego. Myślę nawet, że ludzi tak jednostajnego humoru, jak w ogóle skwaterowie, a w szczególności Dżak, nie ma na kuli ziemskiej. Zmienność usposobienia bywa zwyczajnie wpływem rozdrażnionych nerwów i niestałego zdrowia, a skwaterowie nie znają, co to nerwy, zdrowi zaś są jak dęby. Przy tym ogólna, wrodzona amerykańskiemu ludowi męskość charakteru i zupełny brak drobiazgowości wyłącza w skwaterach dręczenie się błahostkami i poruszanie sobie żółci za lada powodem.

Powiedziałem, że brak drobiazgowości jest cechą ogólną Amerykanów, i powtarzam jeszcze raz, że drugiego ludu, który by tak łączył w sobie wszelkie wady i przymioty prawdziwie męskiej natury, nie ma na świecie. Amerykanin nie posiada ruchliwości francuskiej, nie jest

zapewne zdolny do uczuć tak delikatnych i poruszeń duszy tak subtelnych, jak np. Francuz lub Polak. Jankes bierze rzeczy z gruba: szczegóły, drobnostki i małości nie istnieją dla niego. We wszystkim jest to twardy mąż. Umie kochać, ale nie kwilić; umie nienawidzić, ale nie kasać milczkiem. Plotkami, babską gadatliwością, haftowaniem skandalicznych nowinek na kanwie czci ludzkiej brzydzi się. Gdy nienawidzi – burzy, ale nie podkopyje; gdy pracuje, wióry lecą; gdy wydaje pieniądze, rzuca dwudziestodolarówki jak liście. Nie rozumie, co to oszczędzać centy. Gdy się wzbogaca, robi miliony: bankrutuje – także na miliony. Szanuje kobietę, jako najwyższy dar boży. Często daje się jej za nos wodzić właśnie dlatego, że nie jest drobiazgowy i że patrzy na nią jak rozkochany lew. Na koniec kocha swoje „Junajted Stets” (United States), jest z nich pyszny, dumny i gdy Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie nie namyśla się, nie ogląda, ale zdejmuje swój Kentucky rifle z kołka, ryczy jak buhaj, a staje jak jeden mąż.

Komu taka charakterystyka wyda się przesadzoną lub zbyt ogólną, temu powiem, że nie szukałem i nie znalazłem jej w wielkich miastach, gdzie wszystkie piersi przykrawają się na „jednaką miarę krawca”; ale tam, gdzie należy szukać prawdziwej Ameryki, tam, gdzie leży jej moc, jej zdrowie i jej przyszłość – to jest w małych osadach wiejskich, farmach licznych jak piasek w morzu, na pograniczach, na pobrzeżach, w górach, między ludnością miernie bogatą, a rojną, zabiegłą i bujną. O! trudno mi nawet wypowiedzieć, jaki to młody, orli i jak pełen kipiących sił wewnętrznych jest naród – i jakbym chętnie przysłał tu po zdrowie pewne znajome mi społeczeństwo, w którym dobro społeczne jest zdawkową monetą... bez kursu, w którym wszystko zmalowało, energia i praca jest frazesem, mężczyźni chorują na nerwy i bezkrwistość, a za to szermują językami, przędą i noszą swoim damom świeżo wyszłe z pieca plugawej opinii plotki.

Co do skwaterów, są to wybitne, może zbyt wybitne nawet, ale doskonałe typy uosabiające charakter całego narodu. Osobiście jednak, mimo szorstkich pozorów, zwłaszcza skwaterowie osadnicy są to ludzie po większej części prawi a bardzo łagodni; albowiem żyjąc samotnie, nie doznają rozczarowań i zwątpień zaostrzających charakter. Taką łagodność posiadał i Dżak. Temperament jego był dość chłodny, a wrodzoną mu energię, która sama z siebie mogła kipieć, pochłaniała praca. Przy tym lubo z natury mało był skłonny do rozmyślań, jednakże przez życie godne prawdziwie Robinsona wyrobiło się w nim to, co wyrabia się zwykle w samotnikach, to jest przyzwyczajenie ciągłego patrzenia na siebie i rozważania siebie. W naszych poufnych wieczornych gawędkach przy ognisku powiedział mi, iż mu się nieraz zdaje, jakoby było dwóch Dżaków: jeden, który buduje dom, rąbie drwa, gotuje jedzenie w parowie; a drugi, który nie robi nic, tylko przypatruje się pierwszemu. Powiedział to bardzo po prostu, przeplatając opowiadanie ustawicznymi wykrzykami: „by God! by God!” Musiałem nawet pomagać do narodzenia się tej myśli, ale i tego było dosyć dla wyrobienia w tym charakterze pewnej, niby filozoficznej łagodności. Jeżeli, przypuszczam, Dżak zewnętrzny rozgniewał się na jakiego kujotę lub szopa i miał ochotę wybuchnąć – Dżak wewnętrzny spoglądał na niego spokojnym okiem, uśmiechał się z politowaniem, a może i mówił: „Wstydz się!” – i pod tymi słowy wszelka myśl przekroczenia zwykłych granic postępowania gasła jak płomień świecy pod podmuchem wiatru.

Bywa jednakże, że człowiek żyjący w samotności rozmyśla nie tylko za siebie, ale i za otaczającą go przyrodę. Próbowałem dowiedzieć się: zadawali sobie Dżak pytanie, czy jest i jaka jest myśl w tych ogromnych skałach przerzynających skłon błękitu, w tych strumieniach narzuconych srebrną siatką na górskie rozłogi, w drzewach, w zaroślach, w świecie zwierzęcym, a wreszcie w słońcu i gwiazdach? Chciałem przekonać się: istniałoli w nim poczucie ducha natury lub jaki półwid jedno-jedynęj zasady wszechbytu? Nieraz zdarzało mi się czytać o takich prostakach filozofach. Takim np. był Giliat w *Pracownikach morza*, który zaludniał w myślach powietrze niewidzialnym światem zwierzęcym, a z całą naturą tak się zjednoczył, że pokochała go i otworzyła mu swe tajniki. Ale z żalem wyznać muszę, że w Dżaku nie od-

kryłem nic podobnego. Jak każdy leśnik, tak i on znał swoje otoczenie, wiedział, kiedy niektóre krzewy otrząsają dawne liście, aby się ubrać w nowe; znał własności lecznicze ziół i drzew; rozumiał mowę gór, gdy przysyłając się wieczornym tumanem, zwiastowały deszcz nazajutrz rano – słowem: widział objawy i czytał je jak drukowane słowa w książce, ale żadne: „dlaczego?” nie przychodziło mu, jak głupcowi Heinego, do głowy. Skoro raz spróbowałem o tych rzeczach z nim rozmawiać, odpowiedział mi słowami Biblii: że Pan Bóg stworzył świat, aby człowiek miał gdzie żyć i z czego korzystać.

Oczywiście, że taki pogląd, obierający jako punkt wyjścia człowieka, wyłączał wszelkie inne dociekania. Dżak był po prostu pobożny człowiek, tak zresztą, jak prawie wszyscy skwaterowie-osadnicy. Stanowiło to nawet poetyczną jego stronę. Wieczorem, gdy ognisko dogasało w parowie, odchodził zawsze trochę w górę pomiędzy kamienie i odkrywając głowę wznosił oczy ku niebu i począł mówić pacierz. Wydawał mi się wówczas poetycznym bardzo, tą majestatyczną poezją siły korzającej się przed siłą jeszcze wyższą. Promienie księżyca padały srebrem na jego energiczną, brodatą twarz, o rysach jakoby wykutych z kamienia. Myślałem czasem, że żyję w pierwszych czasach chrześcijaństwa i że widzę przed sobą jakiego barbarzyńcę – Cymbra kładącego swą twardą duszę pod nogi Bogu. Obecnie dla ucha mego słowa modlitwy utwierdzały mnie jeszcze bardziej w tym złudzeniu: „Our Father, who are in heaven, hallowed be thy name” (Ojciec nasz, etc.), mówił patrząc w gwiazdy Dżak... Potem ucinał głos jak zakonnik czytający z brewiarza, a potem znów uszu moich dolatywał oderwany uroczysty frazes: „Give us this day our daily bread!” Modlitwa nie trwała zwykle długo, ale jeśli w głębiach niebieskich słucha jakie ucho głosów z ziemi, to musiało słyszeć ten głos z pustyni.

Po niejakiem czasie wspólnego pożycia zaproponował mi Dżak, abym z nim został na zawsze.

– Ludzie po miastach mają daleko więcej kłopotów – mówił do mnie – a tu jest spokojnie. Dochowamy się pszczoł, ile sami będziemy chcieli; wytniemy dwa razy tyle puszczy, zasiejemy jęczmień i kukurydzę, zasiejemy tytuń, chatę obsadzimy pomarańczami, figami i krzewami białych migdałów. Przyjdzie czas, że ludzie tu osiadą, ziemia zacznie mieć cenę, a wówczas, gdy mnie już nie będzie, zostaniesz właścicielem mego klemu i swojego, co razem wzięwszy utworzy taką farmę, jakiej, by God! by God! nie ma od Oceanu aż do Suchego Jeziora. W lesie żyje się spokojnie – zostań.

Była jedna mała chwila, w której ta pokusa uśmiechnęła mi się i oczarowała mnie jak leśna dziwożona. Nie nęciło mnie przyszłe dziedziczenie ziemi Dżaka. Dżak nie darowywał mi nic. Kraj tam wokoło pusty, ziemia niczyja, mogłem więc, tak jak każdy, brać jej więcej, niżbym zdołał obrobić. Ale znajdował urok w tej sielance i w życiu z naturą, i w tym porcie tak cichym, że żadne burze nad nim nie wieją. Jednakże po niejakiem czasie ponęta zbladła. Nie znane mi jeszcze morza, lądy i ludy, szlachetny zawód podróżnika, życie, jego walki, klęski, zwycięstwa i powaby, wreszcie przyszła chwila powrotu, w której strząsnę z obuwia obcy pył u progu ojczyzny: wszystko to przemówiło daleko silniej; więc powiedziałem Dżakowi, że jak ptakiem przyleciałem w te góry, tak ptakiem z nich odleczę.

II

Zapowiedź • Trochę geografii • San Bernardino • Colorado • Gila i Gila Desert • Suche jeziora • Pustynia na wiosnę • Szarańcza • Santa Ana wind • Słońce • Pierwszy powiew • Skutki wiatru • Poranek po wicherze • Ucieczka konia

Było to jakoś w drugiej połowie października. Około godziny dwunastej w południe taka cisza osiadła na okolicy, że góry, skały i puszcze zdawały się zaklętym snem ujęte. Żaden liść nie poruszał się na drzewie. Pisząc w chacie słyszałem, jak dojrzałe żołędzie czarnych dębów urywały się z szypulek i szeleszcząc po liściach uderzały o ziemię. Upał był nieznośny, powietrze w domku stało się tak duszne, że po małej chwili nie mogąc pisać złożyłem pióro. Serce i tętno w skroniach były mi przyśpieszonym ruchem. Nie rozumiałem, co się to dzieje: czy ja jestem chory, czy też w naturze ma zdarzyć się coś niezwykłego. Chciałem spytać o to Dżaka, ale przed godziną poszedł się był kąpać do potoku i nie wrócił jeszcze do chaty; więc położyłem się na mchu i począłem obcierać pot, który obficie występował mi na czoło.

Tymczasem stawało się coraz duszniej. Nie mogłem już wątpić, że to na mnie nachodzi jakaś choroba, gdy nagle usłyszałem z dala ciężki chód Harrisona. Po chwili wszedł do chaty: policzki jego były zarumienione, ale oczy jakoby przygasłe, a czoło nie mniej zroszone potem od mojego.

– Co to się z nami dzieje, Dżak? – spytałem go.

– Santa Ana wind! – odrzekł.

Wiedziałem już, co to znaczy. Czytelnik spojrzawszy na dokładną kartę Kalifornii z łatwością dostrzeże dwa równoległe prawie łańcuchy gór: Santa Ana i San Bernardino. Mniejsze i niższe pasmo Santa Ana ciągnie się bliżej Oceanu, poważne zaś Bernardyny wznoszą się w głębi kraju, stanowiąc jakoby kość pacierzową jego południowej części.

Owóz za tymi górami państwo Kalifornia ciągnie się jeszcze daleko na wschód, aż do rzeki Colorado stanowiącej granicę od Arizony. Cała ta część jest to jedna równa, piaszczysta pustynia, gdzieniegdzie tylko powzdymana w sypkie wzgórza, gdzieniegdzie poprzerrywana bezimiennymi jeziorami, w których przez większą część roku wody brakuje. Największe z tych jezior nosi nawet nazwę Dry Lake, co znaczy Suche Jezioro. Po deszczach zimowych pustynia na krótki czas zmienia się w prerię umajoną cudną zielonością, ale to jeden tylko krótki uśmiech natury na tym wielkim cmentarzysku piaszczystych kurhanów. Rzeka Colorado, stanowiąca granicę od Arizony, nie jest wcale granicą pustyni. Wprawdzie brzegi rzeki, żyzne, urodzajne i zarośnięte, ciągną się jakby zielona wstęga aż do Zatoki Trzech Króli, ale za rzeką pustynia znowu się rozpoczyna i obejmując większą część Arizony rozlega się na wschód aż do niezliczonych pasm gór zawalających środek tego stanu, na południe zaś aż do meksykańskiej Sonory.

Przy rzece Gila, wpadającej do Colorado, pustynia staje się najgłuchszą. Część ta nosi nawet nazwę Gila Desert. Ruchome jej piaski nigdy nie pokrywają się zielonością; nie ma tam żadnych osad ani ludzi białych, ani Indian. W części pustyni kalifornijskiej (między St. Bernardino a Colorado) na wiosnę, gdy jeziora pełne są wody, a trawa pokrywa wklęsłości gruntu, głusza ustępuje gwarowi życia. Czasem stado bawołów zabłąkanych aż do Gór Arizoańskich rozbija piersiami trawę, a za nim pędzą skurczeni na koniach jeźdźcy indyjscy; czasem

Metysowie gnają stada mustangów, czasem kupcy wolarze ciągną do wschodnich osad pasterskich; czasem zabłąka się traper z Prescott lub Tuscon; tak dzieje się w za-bernardyńskiej części pustyni, ale Gila zawsze jest cicha, głucha, martwa i złowroga.

A taką, jak Gila, staje się po upływie wiosny cała pustynia. Nazwałem ją niepróżno złowrogą, wszystko bowiem, co stamtąd przychodzi, jest jakby tchnieniem śmierci. W tych to gorących piaskach szarańcza składa swoje jaja na zimę, a wiosną ciągnie w postaci chmur na cudne doliny Kalifornii, zostawiając po sobie bezlistne drzewa i bezwstydnie gołą ziemię; stamtąd nareszcie, od Gila i suchych jezior, wieje wiatr zwany w anaheimskiej dolinie: Santa Ana wind.

Powinni by go raczej nazywać: Desert wind lub Gila wind. Są to prądy rozpalonego powietrza, z którego pustynia wyszała wszelką świeżość i wilgoć, a przesycała natomiast elektrycznością. Czasem wiatr ten wieje także z południa od strony Lower Kalifornia, czyli od strony meksykańskiej, półwyspowej Kalifornii będącej również pustynią. Częściej jednak ciągnie ze wschodu od Gila. Jest on tym samym dla Kalifornii, czym sirocco dla Sycylii, solano dla Hiszpanii, a samum dla Arabii. Mniej zapewne od tamtych niebezpieczny i rzadszy, bo wieje tylko jesienią i w zimie, rozstraja jednakże nerwy ludzkie, wysusza mięśnie, skręca liście na drzewach i przejmuje strachem zwierzęta. Gdy Dżak oznajmił mi jego bliskie przybycie, wyszedłem natychmiast z chaty. W całej naturze znać było mimo ciszy jakąś niespokojność, a i sama cisza wydała mi się martwotą, nie spoczynkiem. Powietrze straciło swoją przezroczystość. Niby jakiś pył, niby dym unosił się w atmosferze. Światło słoneczne przechodząc przez ów tuman straciło swoją pyszną, jarzącą pozłocistość, a świeciło chorobliwie, rdzawo, smutno. Sam krąg słoneczny, pozbawiony promiennych włosów, przesłoniony a czerwony, pozwalał oku bezkarnie patrzeć na się jakoby przez zakopcone szkło. Myślałem, że to może dym rozszedł się po powietrzu.

– Dżak! – spytałem – wszak to Indianie musieli gdzieś zapalić lasy?

– Nie! – odpowiedział Dżak – ja myślę, że to pył z pustyni.

Ale Dżak mylił się, bo przecież pył nie mógł przyjść przed wiatrem. Na pytanie jednak, czy tak zawsze bywa, odpowiedział mi, że zawsze. Tymczasem dęby zadrżały nagle, zaszeleściły liśćmi i posypały deszczem żołądki. Następnie Dżak poradził mi, abym rozpuścił węzły łąsu, na którym uwiązany był mustang, albowiem zwierzę szarpiąc się w czasie wichru mogłoby się zadusić. Gdy się do niego zbliżyłem, ujrzałem, iż szerść była na nim poszerzona, głowę miał spuszczone, nozdrza przy ziemi. Rozluźniłem pętlę aż zanadto. Wracając ujrzałem tłumy rozmaitego ptactwa dążącego do skłonów gór i z parowów ku puszczy: więc stada różowych synogarlic, kuropatw zwyczajnych, kuropatw górskich, błękitnych płaszców, przedrzeźniaczy, czarnych dzięciołów z kanarkową piersią i szkarłatną głową. Szare bażanty smyrgały na piechotę tak niedaleko naszej chaty, że można je było z okien strzelać. Nad lasem krążyły orły i kruki, ale zapadały co chwila w gęstwinę, siadając zapewne na dobrze okrytych liśćmi gałęziach. Wreszcie ucichło wszystko: tuman zgęstniał, światło słoneczne stało się jeszcze bardziej gorączkowe, a potem uderzył pierwszy powiew.

Zdawało mi się, że jakieś potworne płuca chuchnęły nagle na mnie gorącym oddechem. Obaj z Dżakiem schroniliśmy się natychmiast do chaty i pozasłaniawszy kocami okna, położyliśmy się na mchu. Ale w chacie zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Dostałem lekkiego zawrotu głowy; krew jakby ołowiem biła mi w żyłach. Próbowałem czytać i nie mogłem. Było mi duszno. Elektryczność przesycająca powietrze podziałała tak na moje nerwy, że miałem ochotę pokłócić się z Dżakiem. Próbowałem pić, ale woda stojąca w blaszance w kącie chaty wydała mi się obrzydliwą; chciałem na koniec palić: tytuń po kwadransie wiatru wysechł do tego stopnia, że rozsypywał się w proch w moich palcach.

Dżak, przywykły już do tego wiatru, znosił go daleko lepiej, a mnie tymczasem coraz było trudniej. Pojedyncze uderzenia powiewów zmieniły się w trwałe huragan. Puszcza gięła się, dęby łopotały gałęziami; w powietrzu zaś unosiło się takie mnóstwo liści i piasku, że niepo-

dobna było nic dojrzeć. Przeklęty ów wiatr zmienił się w końcu po prostu w żar buchający jakby z rozpalonego pieca i przepelniony czadem. Dżak przyniósł mi świeżej wody ze strumienia, którą piłem łapczywie, ale gdy nadeszła pora posiłku, jeść nic nie mogłem. Zresztą ani w południe, ani na wieczór nie paliliśmy w parowie ognia, albowiem wiatr rozwiałby był ognisko na cztery strony świata, a co gorzej mógł ponieść skry na puszcę i spowodować pożar lasu.

W nocy nie mogłem zmrużyć oka. Na drugi dzień wiatr zamiast uciszyć się wiał jeszcze gwałtowniej. Drzewa trzeszczały, a połamane gałęzie waliły się w potok. Przez cały ten czas nie było ani chmurki na niebie. Wychodziłem z chałupy tylko po to, aby koniowi dać jeść. Cierpiałem nieznośne męki. Ale na trzeci dzień, świtaniem, a może jeszcze w nocy ucichło wszystko.

Wyszedszy z chaty odetchnąłem głęboko. Powietrze było chłodne, ożywcze, błękit niebieski czysty. Łagodny wietrzyk pociągał od Oceanu. Na wschodzie płoniła się jak dziewczyna różana zorza poranna. Uśmiechało się wszystko naokół. Spojrzałem po okolicy i... zakląłem jak pierwszy lepszy majtek z Landing.

Nie było mojego konia.

Przy drzewie zwieszało się smutne lasso. Koń widocznie wysunął w czasie wiatru głowę ze zbyt obszernej pętlicy i uciekł.

III

Na tropie • Park wersalski w pustyni • Uprzejmy caballero • Nocleg w lesie • Grzechotnik • Mika w piasku • Zimowa słota • Rodak i chodak • Mosiężne ćwieki • Strumień rozdziela się • Błądzą • Nieznane kaniony • Pierwotna natura • Powaga i cisza • Wychodzę z gór • Widoki z tarasu • Dolina i ocean • Dom Mitchela • Powrót do chaty

Złożyliśmy z Harrisonem wielką radę wojenną.

Koń wysunawszy się z pętlicy mógł zejść tylko do parowu, bo innej drogi nie było. Natomiast parowem mógł udać się albo na wschód ku Bernardynom, w którym to razie nietrudno by go było odnaleźć, albowiem potok w górze jest nie do przebycia, albo na zachód ku Anaheim.

W tym ostatnim wypadku sprawa byłaby trudniejszą z powodu, iż potok w miarę spadku rozszerza się, a kanion staje się coraz obfitszy w obszerne, pokryte lasem doliny. Myślałem także przetrząsnąć puszcę, wśród której stała nasza chata, ale Dżak upewnił mnie, że tak wielkie zwierzę, jak koń, nigdy nie zdołałoby przeniknąć w gęstwinę równie zbitą i poplątaną lianami. Jakoż tak było w istocie.

W ogóle przychodziło wątpić, czy opłacało się szukać konia. W nocy mogły go zjeść drapieżne zwierzęta, bądź kuguary, bądź ostrowidze. Mogli go także skraść Meksykanie. Szukania wymagała wiele trudów, a pod pewnym względem była nawet niebezpieczna. Ale przywiązałem się już do mego wierzchowca i postanowiłem nie zważając na nic pójść w jego ślady.

Zresztą po skończeniu chaty nie mieliśmy z Dżakiem wiele do roboty, zaraz więc po brekfeście zajęliśmy się przygotowaniem do wyprawy. Nie wiadomo było, jak ona długo potrwa, każdy z nas więc wziął mały zapasik sucharów i suszonego mięsa, a oprócz tego każdy uzbroił się jak gdyby na wojnę w karabin, rewolwer i bowie-knife nie licząc lassa, które miało służyć do odprowadzenia konia.

Tak uzbrojeni, poszliśmy przede wszystkim pod drzewo, aby odnaleźć choć jakie takie ślady. Na trawie było ich bardzo wiele: wyrobiła się z nich jakby ścieżka, ale była to tylko ścieżka, którą prowadzałem konia do wody. Oko moje nie mogło nic z niej wyczytać, Dżak jednak położył się na trawie i popatrzawszy na nią uważnie, wykrzyknął wkrótce obyczajem indyjskim:

– Hugh!

Znalazł, a przynajmniej utrzymywał, że znalazł świeży ślad, chociaż ja nie mogłem upatrzeć w nim różnicy od starych. Koń zszedł, jakeśmy to przewidywali, do potoku. Dalsze ślady zbaczające ze ścieżki wskazywały to wyraźnie. Koń mógł pójść w górę potoku albo na dół, ku Anaheim. Trzeba nam było się z Dżakiem rozstać.

Wybrałem kierunek ku Anaheim, bo jakkolwiek drogę tę odbyłem z Neblungiem w nocy, przecie pamiętałem ją cokolwiek. Świsnąłem na psa i zapaliwszy fajkę poszedłem. Ranek po wietrze był cudowny. Powiew od strony Oceanu niósł ze sobą wilgoć i chłód. Ptaki śpiewały po obu stronach parowu jak najęte. W miejscach szerszych, gdzie korytarz skalny roztwierał się ustępując miejsca dolinom, przystępne brzegi strumienia wrzały życiem zwierzęcym. Ptaki piły wodę. Czarne wiewiórki ziemne siedziały na tylnych łapkach chrupiąc orzeszki lauro-

we i poruszając wąsikami. Pies mój szczekał z radości, a echo niesło daleko szczekanie, nadając mu dziwnie potężny rozgłos. Była to chwila poranna, chwila tej radości i rozbudzenia się natury, w której drzewa i kwiaty, i ptaki, i wszystko, co żyje, zdaje się wołać: „Evoe! radujmy się i kochajmy!” W takiej chwili starcowi nawet przechodzi ogień życia przez zziębłe kości, a u młodego to aż kipi dusza i prawie skrzydła wyrastają mu u ramion.

Mniej więcej w takim byłem usposobieniu. Coraz nowe doliny, nowe kształty skał, nowe drzewa migają mi przed oczyma. Cała droga, ponieważ poprzednio przebyłem ją w nocy, wydała mi się nową i nieznaną. Jedna szczególnie miejscowość została mi w pamięci. Dolina ta, obejmująca z jakie dwie mile kwadratowe (angielskie), nie była zarośnięta tak zbitą i poplątaną puszcza, jak inne. Był to po prostu ogród wersalski na pustyni, strojny w tak cudowne bukiety drzew i krzewów, jakby je układała ręka ogrodnika-artysty. Ciemne, śliczne dąbrowy i małe, rozrzucone wdzięczne gaiki platanów pokrywały większą część przestrzeni: laury układały się w regularne klomby; pojedyncze drzewa tworzyły jakby aleje, których końca nie mogłem dojrzeć. Niepodobna było prawie uwierzyć, aby to natura układała wszystko tak misternie i foremnie. Środek doliny, lekko zakłęsty, pokryty był trawą o zieloności jasnej i świeżej, zdradzającej wilgoć gruntu. Wysokie, rosnące tam krzewy znikają zupełnie dla oka pod skrętami dzikiego winogrodu dochodzącego do olbrzymich rozmiarów. Złudzenie, że są to po prostu sztuczne altany, było tak silne, że pierzchno dopiero wówczas, gdy zbliżywszy się do jednej z nich, dojrzał wyskakującego spod liści szarego, czarno cętkowanego żbika.

W żadnych górach europejskich nie ma nic podobnego. Natura wysiliła się tu, aby stworzyć przepyszny park z całym wymaganym dobozem barw i cieniów, z misternym układem szczegółów, z odpowiednią perspektywą i z mądrym namysłem, tak łudzącym, iż mimo woli patrzyłem i szukałem, czy spośród ciemnej zieloności drzewnej nie błysną mi z oddali białe marmury jakiego pałacu ze zwierciadłami w szybach, ze strojnymi damami na gankach, z jeziorem u stóp i z łabędziami na błękitnej toni¹⁴.

Ale okolica była bezludna, milcząca, a ciszę przerywało tylko brzęczenie wielkich złotych much, za którymi uganiały się ptaki. Oczarowany, szedłem bardzo wolno i zatrzymywałem się co chwila. A tymczasem słońce podniosło się wysoko i poczęło dogrzewać. Wyszukawszy wzgórek pokryty mchem położyłem się pod cieniem dębu, zjadłem kawałek suchara z suszonym mięsem, a następnie poleciewszy straż psu usnąłem.

Spałem tak dobrze, że rozbudziłem się dopiero koło godziny czwartej. Słońce przebiegło już większą część zwykłego łuku i kłoniło się ku zachodowi. Poznałem, że przed nocą nie będzie mógł już zejść ani do osad pasterskich leżących u stóp gór na drodze do Anaheim, ani też wrócić do chaty Dżaka. Wolałem jednak nocować bliżej osad i dlatego poszedłem naprzód. Park skończył się wkrótce, a amfiteatr czerwonych skał zacieśnił się znowu w wąską i ciemną gardziel. Przy samym wejściu do niej spotkałem jeźdźca, starego jakiegoś meksykana, o czarnych, podobnych do końskiej grzywy włosach i złodziejskiej twarzy. Zaczęliśmy ze sobą rozmowę, wedle obyczaju meksykańskiego niezmiernie grzeczną, tytułując się jak można najczęściej: usted i caballero. Wypytywałem się o konia, na co caballero mający, mówiąc nawiasem, minę ostatniego rzeźmieszka odpowiedział, że konia nie widział, ale że widział ślady szarego niedźwiedzia, czemu zresztą ani na chwilę nie uwierzyłem. Po czym z prawdziwie meksykańską uprzejmością, przepraszając za śmiałość „de hacer cuestion”, począł wypytywać: co robię w górach, czy mam tu jakich znajomych i gdzie mieszkam. Może chciał się wywiedzieć, czy będzie mógł bezkarnie rzucić mnie na łąkę, w chwili gdy się od niego odwróć, aby zrabować moją broń.

¹⁴ Później dowiedziałem się, że śliczna ta miejscowość, jakkolwiek jeszcze bezludna, ma już swoją nazwę, nazywa się zaś „Picnic Place”, albowiem mieszkańcy Anaheim, Orange, Santa Ana, wraz z okolicznymi farmerami zjeżdżają się tu raz do roku na wielką zabawę. Ziemia Picnic Place również nie należy już do rządu, ale do jednej z licznych w Kalifornii Landcompany, posiadających ogromne, a zupełnie jeszcze dzikie i bezludne obszary. Od Picnic Place zaczynają się terytoria nie zajęte, rządowe.

Ale ja także dosyć już znałem Meksykanów i mimo wszelkich usted, trzymając palec na cynglu, gotów byłem roztluc na kawałki czaszkę drapichrustowi, skoro bym tylko spostrzegł, że poczyna odwiązywać sznury. Nie bałem się go wcale i rozmawiałem z nim po prostu drwiąco, co go nawet mieszało, byłem jednak zdecydowany nie pierwszej pójść w drogę, aż uprzejmy rycerz oddali się na kilka rzutów łąsu. Ale jak tylko powiedziałem, że mieszkam u Harrisona, ostrożność stała się zbyt dużą. Caballero wpadł w zachwycenie: powiedział, że zna Dżaka, że jest to znakomity (considerable), a nawet wielki (grande) człowiek, a jego przyjaciele muszą być tacy sami, po czym pojechał przed siebie. Widocznie Dżak miał w górach opinię wzbudzającą poszanowanie. Ale w ogóle skłonni do rabunku meksykańscy caballero niezmierznie boją się skwaterów z powodu ich solidarności. Za jednego zamordowanego skwatera inni, chociażby zamieszkali bardzo daleko, ujmują się natychmiast i pomyślnie wszystkich napotkanych Indian i Meksykanów, póki ci ostatni sami nie wydadzą winnego.

O tej dziwnej pod wieloma względami ludności rozpiszę się później obszernie; teraz zaś nadmienię, że winnemu nie tak łatwo tu uciec przed lynchem; jeżeli bowiem łotrzykowie zabijają i rabują człowieka, to nie dlatego, aby uciekać następnie na pustynię, ale aby pić i hulać w najbliższych wentach¹⁵, gdzie ich też zwykle straszliwy „uncle lynch” odnajduje.

Zabójstw – z tych powodów – bywa niewiele, jakkolwiek rozproszenie, w jakim żyją skwaterowie, zapewnia pozorną przestępcom bezkarność. Że jednak ostrożność najlepszym jest przewodnikiem i stróżem podróżnych, nie prędzej tedy ruszyłem w dalszą drogę, aż uprzejmy caballero oddalił się na dobry wystrzał karabinowy. Potem dolatywała mnie tylko jego piosenka i wtór do niej, polegający na uderzeniu trzonkiem noża w kulę kulbaki. Uszedłem jeszcze ze cztery mile (angielskie), ale wreszcie słońce zaszło; że zaś w tym klimacie zmierzch bywa bardzo krótki, więc i noc następowała szybko. Żałosne zwiastuny ciemności, kujoty, ozwały się już raz i drugi w pokrytych lasem dolinach, pies zaczął się niepokoić, trzeba zatem było myśleć o noclegu. Korzystając z resztek światła naciąłem cztery naręcza suchych jak pieprz krzewów znanych pod nazwą „czaporalu” i „czamizalu”, nabierałem suchych, połamanych przez Santa Ana wind gałęzi, których pełno było w łożysku potoku i wybrawszy stosowne miejsce między kamieniami roznieciłem ognisko.

Przez całą noc spałem mało, bo musiałem co chwila dorzucać gałęzi, aby podtrzymać ogień. Rozmaite głosy zwierzęce dochodziły mnie, jak zwykle nocą, ale niewiele sobie z nich robiłem mając przed sobą jasny płomień, czujnego psa i dobry karabin. Przy tym kangur i niedźwiedź, jedyne groźne zwierzęta, nie są tu liczne i nie napadają nigdy pierwsze na ludzi, nie było więc żadnego niebezpieczeństwa. Swoją drogą, pies odlatywał co chwila od ogniska i niktą w ciemnościach, ujadął głośno. Świtaniem puszcza ucichła. Wówczas usnąłem jak kamień i dopiero o godzinie dziewiątej puściłem się w dalszą drogę. Może o jakie kilkadziesiąt kroków od noclegu spotkałem małego grzechotnika pełzającego od jednego kamienia ku drugiemu. Grzechotka jego składała się z pięciu dzwonek. Idąc dalej doszedłem do miejsca, w którym po obu brzegach strumienia ciągnął się pas niezmiernie delikatnego piasku pomieszanego z żółtą miką. Raz już nad rzeką Cosumnes (Macosme), w okolicy Sacramento, oszukała mnie ta mika, albowiem spostrzegłszy całe jej zaspy, sądziłem, że znalazłem takie bogactwa, iż Rotszyldom nie pozostanie nic więcej jak pójść do mnie na buchalterów. Patrzyłem, pamiętam, wówczas i nie wierzyłem oczom własnym: cały brzeg rzeki lśnił się i mienił, promienie słoneczne łamały się na większych blaszkach, wszędzie było złoto i złoto. Można je było furami wywozić. Szczypałem się sam, aby się przekonać, czy nie śpię, i nabrawszy pełne kieszenie moich dostatków pobiegłem do kapitana W., naszego rodaka, u którego właśnie bawiłem, aby podzielić się z nim, jako z doświadczonym górnikiem, wiadomością, wejść w spółkę i zrobić kilkadziesiąt skromnych miliardów w ciągu kilku miesięcy. Więcej sobie

¹⁵ Wenta znaczy karczma, tienda zaś to, co nasza restauracja.

wcale nie życzyłem. Czytelnik domyśli się łatwo, jaką musiałem mieć minę, gdy stary górnik rozśmiał się i potrząsając na rękę moim skarbem, rzekł krótko a węzłowato: „Mika”. Swoją drogą powiem, że choćby podróżnik przebiegający góry i stopy Kalifornii był nie wiem jakim filozofem, przecie myśl, że w pierwszej lepszej szparze ziemnej, w pierwszym lepszym stosie kamieni można tu znaleźć skarby, nie opuszcza go ani na chwilę. Mimo woli pogładasz, czy czasem z łożyska jasnego strumienia lub ze szpary skalnej nie wyjrzy na ciebie potężna, przedpotopowa żyła żółtego kruszczu. Co więcej, nie ma w tym nic niepodobnego. Na pytanie, gdzie w Kalifornii znajduje się złoto, każdy bez wahania odpowiada: wszędzie! Prawda, miejscami jest go tak mało, że przemywanie dwakroć i trzykroć przeniosłoby wartość metalu, ale, swoją drogą, weź kilkanaście fur ziemi i puść je w płuczkarnię, a żywe srebro, chwytające złoto, niezawodnie uchwyci pewną ilość jego atomów.

Ciekawy przykład owej zmory złotej duszącej tu wszystkich miałem niedawno przed oczyma. Pewnego razu, ja, jeden mój ziomek, zegarmistrz, od niedawna osiadły w Orange, i jeden skwatter zwiedzaliśmy osadę położoną nad brzegiem niewielkiego strumienia. Po nocy spędzonej na wozie ziomek mój poszedł się myć do strumienia. Po chwili wrócił nagle: twarz jego była wzburzona, a na głowie nie miał kapelusza.

- Co panu jest? – pytam sądząc, że może ujrzał jakie niebezpieczne zwierzę.
- Cicho! – odpowiada kładąc palec na usta i przerywanym ze zmęczenia głosem.
- Cóż tedy?
- Złoto!
- Gdzie?
- Pójdź pan zobaczyć!

Poszedłem, choć nie uwierzyłem w nie ani na chwilę, gdyby się bowiem tam znajdowało, mieszkańcy osady znaleźliby je od dawna. Przybywszy na brzeg towarzysz mój ukazał mi niewielki okrągły kamień, na którego powierzchni połyskiwała żółta, metaliczna kresa. Wtedy uwierzyłem i ja, i dalej w radę, czy przypuścić do tajemnicy trzeciego. Stańło, żeby przypuścić, bo człowiek był porządny a wytrawny. Jakoż przyszedł zaraz i objaśnił nas, że owa żółta metaliczna kresa była po prostu śladem podkutych mosiężnymi ćwiekami trzewików, jakich zwykle używają farmerowie.

Podobne rozczarowania, a szczególnie z miką, zdarzają się tu codziennie, tym bardziej że jej tu wszędzie pełno. Widziałem jej mnóstwo na pobrzeżach Oceanu w A-Landing, Wilmington i wielu innych miejscach. Strumienie górskie powszechnie nie bardzo w nią obfitują; tam jednak, gdzie brzeg jest piaszczysty, osadza się powszechnie trochę i miki.

Ta, którą znalazłem przy strumieniu, osadzała się szczególnie w dołkach wytłoczonych przez nogi zwierząt. Szukałem między tymi śladami śladów kopyt mego konia, ale znalazłem tylko mniej więcej zatarte wyciski racic jelenich i płytkie, ale szerokie tropy okrągłych stóp należących zapewne do ostrowidzów. Zaczynałem wątpić, czy koń mój przechodził tędy, i przez chwilę przyszła mi myśl wrócić się, ale dla pewności chciałem jeszcze zapytać o niego w osadzie pasterskiej leżącej u stóp gór, poszedłem więc dalej. Tymczasem zaszła niespodziana okoliczność. Oto strumień, którego biegu się trzymałem, trafiał nagle na prostopadłą skałę i rozdzielał się na dwa ramiona, tworząc z głównym korytem dokładną literę Y. Nie wiedziałem, które ramię zaprowadzi mnie teraz do podgórzy i na drogę do Anaheim. Zdawało mi się, że lewe, wybrałem więc lewe. Ale gdym uszedł ze trzy mile, to lewe znowu rozdzieliło się na dwa. Widocznie była to cała sieć strumieni, które obejmowały dość znaczną przestrzeń gór, a następnie wydostawszy się z nich bieły przez dolinę anaheimską i dalszy step ku Oceanowi. Poznałem, że się zbłądziłem. Wszedłem w kaniony tak dzikie, milczące i głuche, że przychodziło mi na myśl, iż może noga ludzka pierwszy raz w nich powstała.

Brzegi strumienia, tam gdzie nie były zaciśnięte skałami, porastały gęstym lasem. Pnące się rośliny zwieszały się aż do wody, a przerzucając się z brzegu na brzeg, tamowały mi tak drogę, że musiałem ją sobie nożem torować. Wszystko to nosiło cechę natury arcyprimitywnej.

Zdawało mi się nawet, iż ptaki mniej się tu boją człowieka niż w innych kanionach. Był tam jakiś spokój, którego nie umiem ani opisać, ani wyrazić; jakaś powaga i majestat przyrodzenia nie czującego się jeszcze podbitym. Jakoż wszystkie pomniejsze kaniony nie są zamieszkałe i w wielu z nich prawdopodobnie nikt jeszcze nie był.

Tymczasem szedłem ciągle naprzód, niewiele troszcząc się o to, żem się zbłąkał. Wiedziałem, że każdy strumień wyprowadzi mnie koniec końcem na podgórze, a następnie na dolinę, na której leżą Anaheim, Santa Ana, Orange itd. Jakoż zaraz po południu począłem się wydostawać z labiryntu gór. Szczyty po obu stronach strumienia stawały się niższe i niższe; korytarz skalny zmieniał się w obszerną dolinę, krajobraz otwierał się coraz szerzej. Wreszcie zatrzymałem się i spojrzałem przed siebie.

Góry skończyły się. Stałem jakoby na olbrzymim, wysokim na jakie dwieście stóp tarasie. Strumień spływał zeń po tak stromej pochyłości na dół, że tworzył prawie wodospad. U stóp tarasu widniał dom farmerski bielejący wśród masy drzew gumowych¹⁶; tam zaczynała się dolina anaheimska, a raczej step szeroki, powietrzny, przestronny, biegnący aż do brzegów Oceanu.

Oparłszy się o karabin patrzyłem nieruchomo z pół godziny na ową cudną dolinę. Na krańcu widnokregu szarzała niby mgła, niby chmura jakaś sina, ale rozświecona purpurą zachodu. Był to Pacyfik, ojciec oceanów i mórz wszystkich. We wzgórzach sterczących nad tumanem poznałem wyspy Santa Catalina i Catalina Harbor, które zwiedzałem bawiąc jeszcze w Landing. Był zachód słońca, a nad Oceanem rozlewał się drugi ocean purpury i złota na niebie. Na dolinie ubranej w królewskie kolory ujrzałem naprzód suche, piaszczyste a szerokie łożysko równoległej do gór rzeki Santa Ana¹⁷. Dalej ciemne grupy drzew oznaczały Anaheim i Orange, a mniejsze grupy – farmy rozrzucone po całym stepie. Wszystko to leżało u moich nóg. Patrzyłem na wioski i miasta, jak ptak z chmur. Powietrze tak było przezroczyste, że ten ogromny szmat kraju leżał widny dla mego oka, jak na dłoni. Cisza była prawie niepokalana. Śliczny, pogodny zachód zdawał się nasycać wszystko nieporównaną słodyczą i różanym spokojem. Błogosławieństwo i ukojenie wielkie unosiło się nad krajem... Wówczas wezbrało mi serce, a na usta wybiegła mimo woli znana smutna piosenka:

U nas inaczej! inaczej! inaczej!

Słońce już zaszło, gdy zapukałem do drzwi domu położonego u stóp tarasu. Pokazało się, że mieszkał w nich Mitchel, właściciel stad krowich, a dobry mój znajomy jeszcze z Anaheim. Mitchel przyjął mnie gościnnie i dał wyborne łóżko, które po nocy spędzonej na kamieniu w górach wydało mi się niezrównanym.

Nazajutrz, skoro świt, puściłem się z powrotem w góry.

¹⁶ Eukaliptów.

¹⁷ Nazwa ta, Santa Ana, powtarza się w tej okolicy z dziwną obfitością. Prócz Anaheim jest tu Santa Ana rzeka, miasto, góry i wiatr.

IV

Odzyskana zguba • Król gór • Na szarego niedźwiedzia

Dżak posłyszawszy, że się zbliżam, wyszedł naprzeciw mnie bardzo uradowany. Koń był już z powrotem. Dżak znalazł go o dziesięć mil w bok od naszego strumienia, w bocznym kanionie, gdzie była osada skwaterska niejakiego Plesenta, Luizjańczyka, jak i Dżak. Dżak opowiadał mi o nim, że jest to prawdziwy król gór, trzęsie bowiem wszystkimi Meksykanami zamieszkującymi okolicę. Do wpływu takiego doszedł przez swoje bogactwa w pszczołach, trzodach, ale głównie przez żonę, rodem Meksykankę, kobietę tak rozumną, że słowa jej są wyrocznią, tak dla męża jak i dla wszystkich czarnowłosych jej kuzynów. Dżak zaproponował mi, abym razem z nim wybrał się do nich, na co zgodziłem się chętnie, i uważając rozmowę za skończoną, chciałem wyjść do konia. Ale Dżak widocznie miał mi jeszcze coś do powiedzenia, bo mnie zatrzymał, a potem począł gęsto pykać z fajki i mrugać figlarnie oczyma.

– Cóż tam jeszcze nowego, Dżak? – spytałem.

– Hm! hm! – mruknął.

– Chcecie mi jeszcze coś powiedzieć?

– Tak! Czy bardzo czujecie się zmęczeni?

– Trochę; a dlaczego?

– Bo do Plesenta trzeba by jeszcze dziś iść na noc.

– By God!

– Widzicie, sir, jest rzecz taka. U Plesenta bawi teraz przeszło piętnastu jego krewniaków, Meksykanów, a wszyscy z lassami, konno i zbrojno. Powiem wam, że wszystko to są wielkie szubrawcy (hoodlamy), i mniejsza by o nich, ale czy wiecie, dlaczego się pojeżdżali? Oto Plesent znalazł na piasku nad swoim strumieniem ślad szarego niedźwiedzia, a potropiwszy go dwa dni, przekonał się, że „uncle grizzly” obrał sobie legowisko nie dalej jak dwie mile w górę potoku.

– All right! Dżak! – przerwałem pośpiesznie.

– Plesent więc wysłał zaraz do Meksykanów starego Ramona, aby się pojeżdżali na wyprawę, co też i uczynili. Przywieźli ze sobą wina, które piją bez ustanku, prócz tego grają w karty i wychwalają wzajemnie swoją odwagę, choć, by God! jak przyjdzie co do czego, będą tchórzliwi niezawodnie. Stary Ramon był i u mnie, ale ja właśnie tropiłem wtedy waszego konia. Oprócz nas Plesent czeka jeszcze dwóch braci Shrewsburych. Jutro świtanie mamy zacząć. Czy zgadzacie się iść ze mną?

Naturalnie, nie tylko zgodziłem się, ale mało nie uściskał Dżaka z radości; następnie wyczyściliśmy broń, opatrzyli wszystko jak należy i w dwie godziny później ruszyliśmy w drogę.

X

SZKICE AMERYKAŃSKIE

Z PUSZCZY

I

Skwater Plesent i jego osada • Gospodarstwo • Widok ogólny • Senora Refugio • Inni goście • Sam i Lucjusz • Meksykanie • Przy ognisku • Duma meksykańska • O hiszpańskiej ludności w ogóle • Meksykanie i Jankesi • Przypomnienia • Panowie Jorba • Meksykanie wobec Stanów Zjednoczonych • Upadek ludności meksykańskiej i przyszłe jej losy. Jakim sposobem narodowość upada • Rząd Stanów Zjednoczonych • Szczególne cechy • Grzeczność meksykańska • Panowie Salvadores • Wieczera • Opowiadania Lucjusza • Wspomnienia Lucjusza z Arizony • Życie w Arizonie • Zawody • Indianie • Stosunki handlowe • Widok kraju • Komunikacje • Widoki pustyni amerykańskich • Moje wspomnienia z Utah • Nevada • Pustynia kalifornijska • Las dantejski • Stary Ramon • Dzwonki o cyotte • Przerwane posiedzenie • Ryś • Kozy angorskie • Kozieł i kozy • Rozmowa z Ramonem • Jeszcze o cyotte • Ramonowa harfa • Pieśni meksykańskie • Przykre wspomnienie • Zmarła dziewczyna • Amerykański żal • Paweł i Wirginia • Grób Wirginii • Noc

Późną już nocą przybyliśmy wraz z towarzyszem moim, Dżakiem, do skwatera Plesenta. Nazajutrz rano miało się rozpocząć polowanie na szarego niedźwiedzia.

Miejscowość zajmowana przez Plesenta stanowi dość obszerną dolinę pokrytą odwiecznymi dębami; z jednej jej strony ciągnie się ogromnym półkolem wydłużone wzgórze ucięte równo jak mur; drugi zaś i bardzo spadzisty brzeg przeciwny tejże doliny utworzony jest przez potok. Za potokiem ciągnie się inna płaszczyna, znacznie niższa, zamknięta wysokimi górami.

Całość, na którą pierwszy raz rzuciłem okiem przy świetle księżyca, przedstawiała mi się bardzo romantycznie, jak zresztą większa część siedzib skwaterskich położonych w kaniach. Dolina wyższa, niższa i następne amfiteatralne wzgórze zatoczone łukiem tworzyły jakby olbrzymi cyrk rzymski albo jakby rodzaj schodów. U stóp ich szumiał w korytarzu skalnym potok stanowiący zarazem drogę do osady. Noc była już późna, ale pogodna. Księżyc zatapiał światłem cały ów amfiteatr wzgórz i arenę doliny. Wszystko to było teraz ciche i uśpione. Można było mniemać, że igrzysko skończyło się przed chwilą; cesarz opuścił miejsce,

lud rozproszył się w ulicach miasta, a na arenie, na krwawym piasku, leżą uśpione na wieki ciała gladiatorów. Z dala widoczne spiętrzone skały o kształtach często dziwnie symetrycznych wydawały się podobne przy świetle księżyca do posępnej masy domów wielkiego miasta. Złudzenie takie sprawia czasem pyszna dekoracja teatralna; toteż chwilami znowu zdawało mi się, że widzę ją przed sobą, najpiękniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem.

Szczekanie psów oznajmiło mieszkańcom doliny o naszym przybyciu. Wkrótce przez konary dębów ujrzałem błyszczące ognisko i oświecone czerwono ściany białego domku. Przy ognisku migwały postacie ludzkie chodzące tu i ówdzie lub siedzące obyczajem indyjskim w kuczki. Wdrapawszy się na wysoki brzeg strumienia znaleźliśmy się w podwórzu domu. Jednocześnie gospodarz, który był wyszedł na nasze spotkanie, powitał zwykłym „halo” mego towarzysza, a następnie poznał się ze mną.

Gdy zbliżyliśmy się do ogniska, przedstawił mnie swej żonie, donnie Refugio, która z prawdziwie hiszpańską uprzejmością, porzuciwszy natychmiast przygotowania do wieczerzy, poczęła ze mną rozmawiać. Była to kobieta mogąca liczyć około lat czterdziestu, o rysach twarzy regularnych, ale zwiędłych i jakoby martwych. Jak żyję, nie widziałem twarzy tak smutnej. Gdym potem pytał o przyczynę tego smutku, powiedziano mi, że donnie Refugio umarła młoda i ukochana siostra, ukąszona przez grzechotnika. Donna Refugio, bezdzietna, kochała ją nad wszystko w świecie, toteż od śmierci dziewczyny nie widziano już uśmiechu na ustach osieroconej.

Tak goście jak i mąż donny Refugio umieli widocznie uszanować jej smutek, wszyscy bowiem obchodzili się z nią ze szczególną troskliwością, starając się spełniać w lot jej życzenia i prawie odgadywać jej myśli. To uszanowanie dziwiło mnie tym bardziej, że w donnie tej płynęła widocznie domieszka krwi indyjskiej, co łatwo było poznać po kruczych a grubych jej włosach i smągłej cerze. Ale istoty wyższe, bez względu na swe pochodzenie, umieją zjednać sobie część należyta; donna Refugio zaś, jak później przekonałem się, była to kobieta niepospolicie rozumna, a nawet niepospolicie wykształcona; stanowiła też rodzaj wyroczni w swym na wpół dzikim otoczeniu. Przyjeżdżano do niej po radę i pomoc z całej okolicy: z Anaheim, Orange, a nawet aż z Los Nietos, skąd była rodem i gdzie rodzice jej posiadali znakomite obszary stepu. Wysokiego z linii męskiej urodzenia, co dla Meksykanów stanowi niemałą wagę, była przez ojca spokrewniona ze wszystkimi Meksykanami, przez matkę zaś ze wszystkimi Metysami. Stosunkowo znaczne bogactwa przydawały jeszcze blasku i powagi jej rozumowi i cnocie.

Mąż jej, również jak i towarzysz mój Dżak, pochodził z Luizjany; przeniósł się zaś do Kalifornii po wojnie domowej. Był to dżentelmen rostry, młodszy o parę lat od żony, o poczciwych, niebieskich oczach i łagodnej, choć energicznej twarzy. Prócz niego poznałem dwóch jeszcze skwaterów z kanionu Madeira, braci Shrewsburych (Szrusbery), starszego, Sama, i młodszego, Lucjusza. Sam, czyli Samuel, był to doskonały typ Amerykanina-pioniera. Wzrostu miał ze sześć stóp, twarz podobną do głowy starego wilka, wejrzenie rozumne, ale przebiegłe; ogromne, kościste ręce, także nogi, budowę suchą, ale rozwiniętą, znamionującą potężną siłę. Chwilami twarzą i postacią przypominał mi Lincolna, który również był doskonałym typem yankee w swoim rodzaju. Mówiąc cokolwiek Sam wyciągał przed siebie swoje olbrzymie nogi i głowę i głaszcząc ręką obrosłe podgardle, poczynął zawsze od rozwlekłego: „well”. Prócz tego gryzł wiecznie tytuń i spluwał co chwila obrzydliwym, czerwonym sosem. Była to także powaga swego rodzaju. Biegły bartnik, był zarazem niezrównanym myśliwym, budowniczym, stolarzem, cieślą, kowalem, mularzem – słowem: wszystkim. Takimi wszystkowiedzami są po największej części skwaterowie. Uczy owych rzemiosł osamotnienie, potrzeba i konieczność rachowania zawsze i wszędzie wyłącznie na własne siły. Z tych warunków wypływają również różne przymioty moralne, jako to: pewność siebie, wysoka niezależność charakteru, republikański sposób myślenia i niepożyta energia, połączona dziwnym spo-

sobem z niejaką powolnością i flegmą. Dwie te ostatnie cechy niezmiernie łatwo mogą omylić tego, kto by chciał upatrywać w nich znamiona niedołęstwa i niezaradności. Przeciwnie, płyną one tak z zimnej krwi, wrodzonej anglosaksońskiej rasie, jak i ze zwyczaju zastanawiania się głębokiego nad każdym zamierzonym celem.

Skwater myśli powoli, bada, rozważa, ale przedsięwziąwszy raz cokolwiek bądź, doprowadza choćby niepodobne rzeczy do skutku.

Sam uosabiał w wysokim stopniu wszystkie wspomniane cechy pionierskiego typu, dlatego też opisałem go szerzej. Lucjusz, młodszy o kilkanaście lat, całe życie spędzał na włóczeniu się po lasach. Miał i on swoje pszczoły, ale pilnował mu ich starszy brat, który kochał go jak syna. Mieszkali razem, Lucjuszowi bowiem nie chciało się budować domu. Czasem po kilka tygodni i miesięcy nie było go w domu. Za to wróciwszy przynosił zapasy skór pum, niedźwiedzi, rysiów i jeleni. Uchodził za niechybnego strzelca. W wyprawach swoich zapuszczał się przez pustynie leżące z tamtej strony San Bernardino aż do Arizony. W ogóle znać w nim było wesołego chłopaka zaufanego w swój karabin i potężne mięśnie, a nie dbającego o jutro i rozmiłowanego w awanturach.

Goście ci wraz z kilkunastu Meksykanami siedzieli nie w domu, dom bowiem składał się tylko z jednej izby, którą do połowy zajmowało małżeńskie łóżko Plesentów, ale obok domu, naokoło ogniska. Z powodu ciepłego klimatu powszechnie przyjętym zwyczajem w górach jest, że mieszkańcy sypią tylko pod dachem, siedzą zaś, gotują i jedzą na świeżym powietrzu. Moskitów, które stanowią plagę ciepłych krajów i które wypłyły tyle krwi mojej nad Oceanem Spokojnym w Anaheim Landing, nie ma tu wcale, nic więc nie staje na zawadzie temu życiu pod gwiazdami. Wreszcie, jak wszędzie tak i u Plesentów, niedaleko domu i ogniska wznosiła się werenda składająca się z czterech cienkich, nie obciosanych pni platanowych, na których oparty był dach upleciony z liści i suchych prętów laurów. Pod tą arcyprostą budową gospodarstwo spędzali większą część życia, pod nią także stał teraz stół, a raczej deski, na których pani Refugio przygotowywała wieczerzę. Ogień, podsycany ustawicznie przez Meksykanów suchymi laurami, buzował się potężnie, strzelając czerwonymi pasmami wyżej, prawie nad dach werendy i obejmując ze wszystkich stron okopcone łono kotła, w którym gotowało się mięso antylop wraz z czerwoną fasolą.

Obok na patelni warczały skwarząc się, kurcząc i sycząc, jak dusze potępione, kawałki słoniny, ulubionego przysmaku meksykańskiego. Japońska herbata z miodem, gotowana we wrzącej wodzie, miała stanowić dopełnienie wieczerzy. Ognisko i zgromadzeni naokół niego ludzie, gdym oddaliwszy się na chwilę spojrział na nich z ciemności, dziwnie oryginalny przedstawiali widok. Wyobraź sobie, czytelniku, te krwawe snopy światła sypiące deszczem iskier wśród zatopionej światłem księżyca atmosfery; te drzewa jednocześnie mroczne od nocy, srebrne od księżyca i różowe od blasku płomieni! Wyobraź sobie, że słyszysz potok szumiący licznymi wodospadami w kamiennym korytarzu, a dalej jeszcze – ciemny, majestatyczny amfiteatr gór i skał rysujących się czarno na srebrnym tle nocy. Siedzące przy ognisku postacie dodawały jeszcze romantycznego uroku krajobrazowi: rzekłbyś, że oddział zbójców Kalabrii lub kleftów w Pindus. Bardziej jeszcze dziko od Sama, Lucjusza, Dżaka i Plesenta wyglądali Meksykanie. Siedząc w kuczki przy ognisku, obyczajem indyjskim, zachowywali na twarzach zarazem indyjską powagę i hiszpańską dumę, dziwnie odbijającą od podartej odzieży, nie okrywającej dostatecznie nagich kolan i łokciów. Przyszły mi na myśl widywane w dziecinnych latach obozowiska cygańskie. Też same twarze z rozrzuconym włosiem, też same brody, czarne jak krucze pióra, też łachmany zamiast odzieży; tylko powaga większa i pycha nieporównana, i poczucie godności własnej, jakich nie masz między Cyganami.

Wszyscy ci caballeros byli to krewni pani domu i bliscy krewni między sobą. Kiedy zapoznawano mnie z nimi, wymieniano tylko ich imiona, więc: Doroteo, Francisco, Antonio, Jesus itp.; nazwisko zaś mieli wspólne: Salvadores y Guerra. Byli to, jak mi mówiono póź-

niej, potomkowie rodziny niegdyś bogatej i mającej obszerne posiadłości, która jednak, w miarę jak kraj zaludniał się Jankesami, straciła wszystko i zesłała na koczujące dzikie życie w górach.

Jest to zresztą los znacznej części dawnych właścicieli ziemskich pochodzenia hiszpańskiego. Sprytniejsi, pracowitsi i przemyślniejsi Amerykanie północni zabrali im z wolna grunta, bogactwa, znaczenie, tak że dumni caballeros zeszli na miejscowy proletariat, który albo żyje w nieosiadłych jeszcze górach, albo pasie trzody na stepach, albo wreszcie prowadzi życie wyrobnicze w osadach.

Za upadkiem fortun i znaczenia przyszedł upadek moralny. Meksykanie parobcy są doskonałymi, bo wytrwałymi i silnymi robotnikami, ale piją jeszcze lepiej od Irlandczyków; Meksykanie koniuchowie i skotarze oddają się po całych dniach szulerstwu w szałasach i sklepowych wentach; Meksykanie skwaterowie są to po największej części próżniacy żyjący Bóg wie jak i z czego. Niektórzy trzymają konie, handlują drzewem wycinanym w pustych kanionach wbrew zakazom rządowym; wszyscy zaś skłonni są wielce do bójek, grabieży i złodziejstwa.

Żywiół anglosaski wyrzucił ich z roli, handlu, przemysłu, wyrzucił ich zaś nie przez jakieś środki gwałtowne przedsiębrane przez rząd, nie przez zakazy wzbraniające w czymkolwiek udziału, ale po prostu przez większą energię, zapobiegliwość i większy dar organizacyjny.

Jest wprawdzie jeszcze w Kalifornii kilkanaście rodzin meksykańskich, które utrzymały się w dawnej zamożności i znaczeniu, ale te albo roztopią się w nowym żywiole, albo spotka je los reszty współbraci. Zbytek i duma grają niemałą, a dobrze i u nas znaną rolę między owymi morituri. Bogaty, choćby niezmiernie bogaty yankee jest to zawsze pracownik, parobek; jeśli jest kupcem, siedzi w sklepie, jeśli rolnikiem, sam sieje, orze, bronuje; słowem: robi wszystko ze swymi najemnikami, z którymi razem jada. Prawie nie chce się wierzyć europejskiemu przybyszowi, że tak jest, a jednak tak jest. Szacunek i zamięłowanie niesłychane pracy – oto potęga niezwalczona, oto przyszłość świetna i światowładna Jankesów. Powtarzam jeszcze raz: Jankes to robotnik, czasem milionowy, czasem biedny, ale zawsze robotnik; Meksykanin to drugi biegun, to antyteza Jankesa.

Bogaty Meksykanin – to pan w europejskim znaczeniu tego słowa. W Los Angeles widywałem od czasu do czasu arystokratycznie wyglądających dżentelmenów, w czarnych, najnowszej mody surdutach i świetnej bieliźnie odbijającej jaskrawo od ciemnej ich płci, w powozach lub na dzielnych koniach, często ze służbą pieszą lub konną. Dystygowana powierzchowność i duma malująca się w twarzach owych dżentelmenów zwróciły moją uwagę. Uważałem, że chcąc na przykład kupić coś, nigdy nie wchodził do sklepu, ale zatrzymywali się na ulicy, kupiec zaś z pośpiechem wychodził pytać, czego by żądali. Pytałem, kto oni są, odpowiadano mi z ironicznym uśmiechem, że to Meksykanie, panowie Jorba, posiadacze ziemscy, do których przed niedawnym jeszcze czasem należały całe kaniony w południowej Kalifornii. Niektórzy jeszcze mają znaczne posiadłości, ale po większej części nie sięgające dziesiątej części tego, co posiadali dawniej. Najbogatszego z Jorbów liczył znajomy mi kupiec Hobson na czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale mówiąc o tym, dodawał zawsze z nie ukrywanym zadowoleniem: „To się jednak skończy wkrótce.”

– A cóż potem będzie? – pytałem.

– Potem? Potem paść będą nasze owce. Rzecz to bardzo prosta, zdaje się. Jeżeli Jorba posiadający 40 000 dolarów ma czterech synów, to każdy z tych synów odziedziczy tylko 10 000 dolarów: nieprawdaż?

– Certainly! to jest prawda.

– Otóż wiedz pan o tym – mówił dalej Hobson – że każdy z tych synów będzie żył tak samo jak jego ojciec, chociaż będzie posiadał czwartą część tego, co ojciec. To ruina nieuchronna.

O! mój Hobsonie, myślałem sobie, iluż to ja znam Jorbów za oceanem!

Masz rację! ruina nieuchronna, ale nie wiem, czy to dopuszczenie boże, czy co? dość, że Jorbom już nie mieści się w głowie tak prosta logika. Gdyby Hobson umiał po łacinie, opisałby mi Jorbów jednym słowem: morituri. Później poznałem ich osobiście. Są to dżentelmeni w całym znaczeniu tego słowa; gościnni, dumni, uprzejmi, waleczni, słowem – rycerze, którym nie brak nawet tej cechy arystokratycznej, że nie płacą swych sklepowych długów. Ale poznawszy ich przekonałem się także, że przy tych wszystkich przymiotach, są to ludzie wprawdzie bardzo dobrze wychowani, ale po prostu nieoświeceni. Są to głowy, w których zewnętrzna, prawie wrodzona ogłada pokrywa wewnętrzny obskurantyzm, masę przesądów i brak wielu elementarnych po prostu wiadomości. Pierwszy lepszy kupiec lub robotnik amerykański, który żuje tytuń, nie nosi nigdy krawata, zakłada nogi na krzesła, słowem, pierwszy lepszy amerykański, wedle naszych pojęć, gbur umie matematyki, historii, geografii, nauk przyrodzonych i społecznych daleko więcej niż elegancki pan Jorba. Za to pan Jorba często umie po francusku. Pan Jorba mieszka w Stanach Zjednoczonych: w Stanach Zjednoczonych są dwie partie: republikańska i demokratyczna; ty, czytelniku, przyjeżdżasz z Polski i nie mając dokładnego pojęcia o tych partiach, pytasz o nie pana Jorbę. Czy wiesz, co się pokaże? Oto, że pan Jorba jeszcze mniej rozumie tej rzeczy od ciebie, a jeśli będziesz bardzo go nacierał, powie ci w końcu: „Vous savez... kłóci się jakaś kanalia o coś między sobą, ale my się w to nie mieszamy.”

Oczywiście istnieją mniej więcej liczne od tej zasady wyjątki. Znajdą się rodziny meksykańskie bogate między kupiectwem albo – jak mówią kupcy – „domy solidne”; niektórzy Meksykani piastują poważne urzędy w państwie kalifornijskim, ale że w ogóle ludność ta marnieje pod naciskiem brata Jonathana, dowodem tego najlepszym jest wspomniane już przeze mnie wywłaszczenie z ziemi wielkich posiadaczy pochodzenia hiszpańskiego. Koło Sacramento, koło San Francisco ogromne obszary należące niegdyś do rozmaitych „domów” obecnie zasiane są farmami pozostającymi w rękę kolonistów północnoamerykańskich. Przyjrzyjmy się tylko nazwom miejscowości w całej Kalifornii. Poczynając od San Francisco, Sacramento i idąc ku południowi spotykamy wyłącznie nazwy hiszpańskie: więc Merced, San Louis, Obispo, Santa Barbara, Santa Monica, Los Angelos, San Diego. Wymieniam tylko znaczniejsze miejscowości, ale i nazwy drobnych miasteczek, rzek, gór, bodaj nawet i mniejszych farm, wszystkie są hiszpańskie. Dowodzi to, że bądź co bądź, kraj był zaludniony niegdyś przeważnie ludnością meksykańską; wiemy zresztą, że Kalifornia nie tak dawno odłączona została od Meksyku; swoją drogą, dziś w tych hiszpańskich miastach, miasteczkach, farmach, górach mieszka ludność północnoamerykańska, a dawna na północy znikła prawie już zupełnie, na południu zaś po większej części stanowi tylko najniższą robotniczą warstwę ludności.

Ani rządowi, ani ludności Stanów Zjednoczonych nie przychodziło nigdy do głowy amerykańzować kogokolwiek lub cokolwiek. W Kalifornii nie zmieniono ani jednej nazwy na angielską. Zakładają kolonię Niemcy – zwa ją Berlinem, zakładają Francuzi – zwa ją Paryżem, Polacy – Warszawą, Rosjanie – Petersburgiem i all right! Niech sobie miasto nazywa się nawet Szanghaj, dla każdego Amerykanina to wszystko jedno. Prócz tego nie masz w całej Ameryce (U.S.) wielkiego miasta, gdzie by rozmaite narodowości nie miały stowarzyszeń pozakładanych z wyraźnym i jawnym celem podtrzymania narodowości, języka, patriotyzmu. Rząd nie tylko nie sprzeciwia się podobnym stowarzyszeniom, ale zapewnia im też same przywileje i prawa, jakie przysługują stowarzyszeniom w ogóle.

Nawiasowo zauważę teraz, że nie widziałem nigdzie, aby narodowości wynaradawiały się tak prędko, jak tu. Dzieci przybyłych do Stanów Zjednoczonych Niemców, Francuzów, Polaków, Rosjan, jeżeli nawet umieją jeszcze język ojczysty, wolą mówić nawet między sobą po angielsku. Wyjątek stanowią tylko Chińczycy, których w Kalifornii jest mnóstwo, a którym osobną z czasem korenspondencję poświęcę.

Wracam do Meksykanów. Nie wynaradawiał, nie wypędzał i nie uciskał ich nikt; owszem, ci, którzy utrzymali się jeszcze, a którzy pamiętają dawne czasy, otwarcie przyznają, że rząd Stanów Zjednoczonych jest lepszy niż dawny meksykański, i wcale nie okazują ochoty przyłączenia się do metropolii. Toż samo równouprawnienie i opieka, które są udziałem wszelkich narodowości, były udziałem i hiszpańskiej, a jednak ludność ta straciła grunt pod nogami.

Między Meksykanami znalazłem jeszcze jedną, im tylko właściwą cechę, to jest pychę pochodzenia i lekceważenie wszelkich innych narodowości, a zwłaszcza niesympatycznej im anglosaskiej.

Czy uwierzylibyście, że pierwszy lepszy caballero meksykański, któremu kolano nagie wyłazi z majtek i który za cały majątek posiada jedną derkę, jedną koszulę, parę wspomnianych, wielce uszkodzonych ineksprymabli, chudego jak Rosynant konia, lasso i paczkę cigarrillos, że taki tedy caballero dlatego tylko, że płynie w nim krew hiszpańska, do głębi duszy jest przekonany, że jest czymś lepszym od tych Jankesów, u których zresztą służyć musi. Znane owo porównanie: „Dumny jak żebrak hiszpański”, nigdzie może nie wydaje się tak prawdziwym, jak w zastosowaniu do tej ludności. Duma owa często może zresztą bywa sztuczną, często ukrywa pod dziurawym swym płaszczem charakter niski, kłamliwy, chciwy zysków lub datku. W ogóle, moralność niższych warstw meksykańskich stoi tak nisko, jak i ich oświata. Wspomniałem już, że tylko energia żywiołu anglosaskiego wstrzymuje ogół meksykańskiego gminu od grabieży, rabunków i ciągłych zaburzeń, których ustawiczną widownią jest Meksyk. Ale z owej sztucznej lub prawdziwej dumy, z owego rzeczywistego lub pozornego poczucia własnej godności wyrodziła się jedna szczególniejsza cecha wyróżniająca ten gmin od każdego innego, to jest grzeczność nadzwyczajna, posunięta aż do śmiesznej ceremonialności. W zwyczajnej rozmowie jeden Meksykanin nigdy inaczej nie nazywa drugiego, jak caballero (rycerz); jeśli jeden drugiemu zaprzecza, czyni to ze wszelkimi zastrzeżeniami, oddając zwykle sprawiedliwość głębokiemu rozumowi przeciwnika i trafnemu na rzecz pogładowi. Pierwsi lepsi dwaj obdartusi wchodząc na przykład do wenty, czyli po naszymu: szynku, czynią na progu wszelkie ceremonie i spory o to, który ma wejść pierwszy; słowem, jeśli w stosunkach z północnymi Amerykanami podróżnika przywykłego do europejskiej ogłady razi ich zaniedbanie wszelkich form, w stosunkach z Meksykanami znaleźć ich może aż zanadto.

Gdy Plesent zapoznawał mnie z Salvadorami, każdy z tych rycerzy podnosił się kolejno, uchylał kapelusza, w którym często było tyle dziur, ile w dachu żydowskiej karczmy; następnie składając ceremonialny ukłon wyciągał prawicę z taką dystynkcją, gracją i poczuciem własnej godności, jakich nie powstydziliby się żaden galicyjski hrabia. Zauważyłem następnie, że džentelmeni ci, jakkolwiek wszyscy krewniacy, stryjeczni lub nawet rodzeni, nie opuszczali przecie, mówiąc ze sobą, grzecznego usted lub caballero. Sądząc, że nie rozumiem po hiszpańsku, nie chcieli się przedstawiać grzeczniejszymi, niż byli w istocie, nie było więc nic udanego w ich rozmowie. Trzymali się jednak razem i jakby w pewnym oddaleniu od Shrewsburych, Dżaka, a nawet i Plesenta, zachowując zresztą w stosunkach z nimi zwykłą grzeczność. Było to nawet trochę śmieszne, rubaszni bowiem Amerykanie widocznie nie byli zdolni ocenić jak należy ani tej towarzyskiej polityki, ani owych uprzejmości, i ze swej strony, jako bogatsi, uważając się za coś lepszego obchodzili się cokolwiek protekcyjnie z czarnowłosymi rycerzami. Zresztą harmonia panowała między obiema stronami jak najlepsza, tym bardziej że nie licząc pani Refugio, żaden z Meksykanów nie umiał po angielsku, skwaterowie zaś północni bardzo mało po hiszpańsku. Na koniec wieczerza była gotowa. Zasiadliśmy do niej pod werendą, nie na krzesłach, ale na starych ulach mających kształt skrzynek. Lucjusz, ciągnięty przeze mnie za język, począł opowiadać swoje myśliwskie przygody.

– By God! – mówił – rok temu niedźwiedź miał mnie już pod sobą, i gdyby nie Sam, przysięgam na tę prawą rękę, że nie siedziałbym tu w tej chwili.

– Well – odrzekł na to flegmatycznie Sam gładząc podgardle – opowiedz dżentelmenowi swoje wyprawy do Arizony.

Weszliśmy więc na Arizonę. Lucjusz znał, jak utrzymywał, każdy jej zakątek, zwiedzał ją bowiem ze starym awanturnikiem nazwiskiem Rub. Wypytywałem go o Indian tamtejszych, Apaczów i Komenczów, o których dzikości i męstwie wiele słyszałem. Ale Lucjusz nie podzielał tego zdania. Apaczowie nie są wcale w Arizonie tak dzicy, jak o nich myślą, mówił. Często zachodzą do miast tamtejszych, Prescott i Tuscon, za kupnem różnych towarów, które wymieniają za skóry, w ogóle przy tym obawiają się białych ludzi. Dawniej było co innego: napady, grabieże i mordy zdarzały się codziennie. Nawet osady o znacznej stosunkowo ludności bywały zagrożone. Lucjusz pamiętał jeszcze dobrze te czasy. Opowiadał mi np., że zaszedłszy raz z Rubem do dwóch górników Francuzów, zastał ich obydwóch zamordowanych i oskałpowanych. Lucjusz także brał niejednokrotnie udział w walkach z czerwonymi. O ich męstwie mówił z lekceważeniem i pogardą. Twierdził, że, w otwartej bitwie nigdy nie umieli dotrzymać białym i że wszystkie napady odbywały się nocą, niespodzianie, z zasadzki. Zresztą obecne pokolenia, żyjące w pobliżu osad, uspokoiły się już zmuszone do tego krwawym doświadczeniem.

Przed paru laty odkryto w górach, przebiegających we wszystkich kierunkach kraj ten, obfite pokłady srebra, za którym to odkryciem nastąpiło zaraz obfite przesiedlenie się górników z Kalifornii, a w miarę zwiększania się ludności – i większe stosunkowo bezpieczeństwo. Tylko pokolenia mieszkające na stepach, w górach, zwłaszcza ku wschodowi i południowi, są jeszcze dzikie i drapieżne. Szczególniej odznacza się tym pokolenie Moave mieszkające na granicy Sonory. Wypytywałem się o te szczegóły bardzo dokładnie, miałem bowiem zamiar puścić się do Arizony, z pierwszą lepszą karawaną górników lub osadników szukających roli. Obecnie dosyć to łatwo doprowadzić do skutku, w całej bowiem południowej Kalifornii panuje dość ożywiony ruch emigracyjny w tamtą stronę. Z tym wszystkim, mimo tego ruchu, ponieważ sama Kalifornia na przeszło sześciu tysiącach naszych mil kwadratowych nie posiada jeszcze miliona mieszkańców, w środkowej zaś i wschodniej swej części prawie jeszcze jest pustą, więc i przyrost ludności w Arizonie nie może być znaczny. Dziś można powiedzieć, że ogromny stan ten po największej części jest jeszcze bezludny. Główne miasta tameczne: Prescott i Tuscon, są osadami liczącymi zaledwie po kilkaset mieszkańców, w górach gdziekolwiek istnieją małe osady „minerskie”, w rzadkich dolinach obfitujących w drzewo i wodę tu i ówdzie trafi się farma lub estancia pasterska, a zresztą tysiące mil gór i stepów są jeszcze głuche, milczące i bezludne. Większa część osadników prowadzi dotychczas życie pionierskie, to jest z palcem na cynglu od karabina. Górnicy i nieliczni pasterze po wybrzeżach rzek Gila i Colorado żyją pod namiotami.

Kraj nie produkuje jeszcze tyle, aby się sam mógł wyżywić, a ponieważ metalu, mianowicie srebra, jest obfitość, zapasy zaś żywności trzeba sprowadzać albo niesłychanie trudną drogą przez pustynie, albo przez Ocean, naokoło Lower California, i Zatokę Rubinową przez Colorado, drożyzna jest więc niesłychana. Funt mąki kosztuje dolara, funt kartofli cztery bity, czyli przeszło pięć naszych złotych. Podobne stosunki istniały dawniej w Kalifornii. Górnicy, posiadający mało pieniędzy, a wiele srebra in natura lub też złotego piasku, płacą za wszystko najczęściej nie pieniędzmi, ale surowym metalem. Kupcy mają z tego powodu znakomite zarobki. W ogóle jednak Lucjusz odradzał mi podróż do tego stanu.

– Nie możesz sobie wyobrazić – mówił – co to za pęsepa i okropna okolica. Widziałem rozmaite pustynie. Lower California jest pustynią, ale rosną na niej przynajmniej kaktusy i palmety. W naszej Kalifornii, również na drodze od Los Angeles do St. Francisco, rozciąga się ogromna przestrzeń bezwodnego stepu, ale i ten pokryty jednym lasem palmetów, gdy tymczasem w Arizonie nie ma i tego nawet.

– Cóż tedy jest w Arizonie? – pytałem.

– Co jest? – odrzekł. – Powiem krótko: góry, skały, kupy siwych kamieni i step; ani wody, ani trawy, ani drzew, nic i nic, tylko kupy kamieni i łyse góry. Prawda, srebro tam leży wszędzie, ale niech przeklęty będzie mój język, jeśli warto tam je zbierać!

Potem pytałem o Gila i Colorado. Lucjusz przyznał, że brzegi ich są rzeczywiście żyzne i bujnie porośnięte, ale za tym zielonym pasem zaraz zaczyna się bezpłodna pustynia. Tam przecie rodzi się ów Santa Ana wind, który dusi nas tu od czasu do czasu. Na koniec co do kanionów w tamtejszych górach – znam ich, mówił Lucjusz, bardzo wiele. Lasów tam nie ma takich, jak w naszych, „kryki” mniejsze, a przy tym prawie niedostępne. Wreszcie, jeśli gdzie i jest las, tam stoją wigwamy Apaczów. Samemu lub w małej liczbie towarzyszków niebezpiecznie tam chodzić.

– Niech przeklęta będzie Arizona! – zakończył wreszcie Lucjusz. – Zakładam się, że tam nigdy ludzie nie osiądą.

Opowiadaniem jego nie miałem powodu nie wierzyć, sam bowiem widziałem kraje bardzo do powyższego obrazu podobne. Na próżno starałbym się np. odmalować czytelnikowi, jakie straszne, jakie przyniatające wrażenie czyni Wyoming, Utah i Nevada, przez które przejeżdżałem wielką koleją Dwóch Oceanów. Oko nic tam nie znajdzie prócz to niezmiernego stepu, to dantejskich złomów i rozłomów skał, to urwisk, których nazwy same, połączone zawsze z imieniem diabła, przejmują dreszczem, to na koniec słonych jezior odbijających szare, posępne niebo. Na przestrzeniach tak rozległych, jak europejskie mocarstwa, nie widziałem ani jednego drzewa. Szare stadka antylop lub wielkich jeleni migają czasem po skałach, ale czym żyją i co piją te stworzenia, to dla mnie dotychczas zagadką.

Wreszcie, nie szukając daleko, sama Kalifornia, lubo w ślicznym klimacie, lubo przeważnie urodzajna, bujna i wypieszczona przez ludzi i naturę, ma jednak miejscowości ogromne, prawie zupełnie bezwodne, stepowe, pustynne. Zwiedziłem np. niedawno ogromną pustynię środkową i poprobuję ją opisać w następnych listach, tu zaś nadmienię tylko, że także nie mogę inaczej powiedzieć, jak że byłem w krajach Danta, w krainie śmierci. Widziałem lasy palmetów rosnące na kształt posępnych kolumn na piaszczystych bezbrzeżach. Posępne, dziwne jakieś gałęzie ich sterczą jakby ramiona wyciągnięte ku niebu z rozpaczliwą prośbą o ratunek. Milczenia w takim potępionym lesie nie przerywa ani jedno żywe stworzenie – cicho i cicho! Wiatr nie poruszy nawet porośłych jakby pleśnią i kurzem, przesmutnych ramion drzewnych, ani jednej kropli wody nie znajdziesz na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych, cienia nie dają te szeregi kolumn; ujedziesz między nimi całe dziesiątki mil, a przeźliwa jednostajność ani na włos się nie zmieni; tenże sam piasek pod nogami, też same równe, jakby spod cyrkla i linii pnie kosmate, też same gałęzie zadarte w górę.

Ostateczności wreszcie takich znajdziesz mnóstwo w Kalifornii. Za doliną Yosemite, owym artystycznym marzeniem bożym, gdzie promienne warkocze kaskad przewiązują się wstęgami tęczy, gdzie zwierciadła jezior, rzekłbyś, pochłoneły wszystek lazur niebieski, gdzie drzewa wznoszą się na czterysta stóp wysokości, a ziemia zatopiona powodzią kwiatów – o ścianę skalną zaczynają się bezpłodne i bezwodne stepy. O Arizonie słyszałem potem i inne opowiadania, w mniej czarnych malujące ją barwach, ale więcej wierzę Lucjuszowi, ten bowiem był tam prawie wszędzie i wszystko własnymi oczyma oglądał.

Skończywszy o Arizonie zaczął opowiadać dalszy ciąg swych przygód myśliwskich, przy czym rozmowa zesłała na niedźwiedzia, z którym mieliśmy rozprawiać się nazajutrz. Stary Indianin Ramon, zamieszkały u Plesentów, zabrał głos i oświadczył, że zwierz to jest muy grande (bardzo wielki). Dowiedziałem się jednocześnie, że właściwe kółko myśliwskie stanowią tylko dwaj Shrewsburowie, Dżak, Plesent i ja, bo przybyli Meksykanie za całą broń posiadają lassa i noże. Mieli za to pilnować obu wyjść z doliny i w razie, gdyby zwierz chciał się wymknąć tamtędy, rzucić na niego sznury i zatrzymać na miejscu. Starzy Kalifornijczycy często wychodzą na niedźwiedzia tylko z lassami, ale niezrównana ta broń może być skutecznie użytą wyłącznie z konia, zatem nie w urwiskach i zaroślach.

Tymczasem skończyła się wieczerza i zasiedliśmy na nowo przy ognisku. Stary Ramon wziął w usta instrument zwany cyotte i utkwivszy oczy w niebo, jak pozujący koncertant, począł na nim brzdąkać. Z dala z ciemności dochodziły parskania meksykańskich mustangów poprzywiązywanych lassami do drzew i dzwonki kóz angorskich zamkniętych w korallu położonym na pochyłości góry. Słyszałem te dzwonki potem przez całą noc, przywiązują je bowiem koniom i kozom dla odstraszenia dzikich zwierząt. Dźwięk ich przygłuszony, jakoby echowaty, sprawia wrażenie smutne, ale łagodne, i skłania do marzeń.

Siedzieliśmy wszyscy przez jakiś czas w milczeniu przerywanym tylko przez trzask palącego się drzewa i ciche tony cyotte. Wkrótce jednak milczenie to przerwane zostało jednym z codziennych wypadków w tych górach. Koło korallu z kozłętami zaczął szczekać pies, inne poleciały zaraz za nim i przez chwilę wawóz rozlegał się żarliwym ujadaniem. Plesent zapalił długą, smolną szczypkę drzewa, wziął strzelbę i poszedł zobaczyć, co się dzieje. Za nim poszedłem ja także i stary Ramon. Białe kozłeta beczały przeraźliwie, psy zaś, zebrane pod jednym wielkim drzewem, podnosiły w górę paszcze i wyły. Ramon zebrawszy kilka kamieni począł rzucać nimi w drzewo świszcząc przy tym przeraźliwie. Przez chwilę nie poruszało się nic, ale po chwili ujrzeliśmy ciemne zwierzę wielkości średniego psa przeskakujące tak szybko na następne drzewo, że Plesent nie zdążył za nim strzelić.

– Co to było? – spytałem.

– Lynx! pomorek na jego potomstwo! – odpowiedział Plesent. – Przywiązuję dobrego psa w korallu, a jednak to nie pomaga. Przeszłego roku srebrny lew wybrał mi dwanaście kozłąt i starego kozła, za którego w Los Angelos zapłaciłem siedmdziesiąt pięć dolarów gotówką.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, przy czym oddaliłem się trochę na bok, wybierając drogę, jak mi się zdawało, krótszą, gdy nagle skwater zawołał:

– Nie tędy! nie tędy! ostrożnie, bo złapiesz się pan w żelaza.

Jakoż niewiele już do tego brakło. Dwa sąsiednie koralle, jeden z kozami, drugi z kozłętami, były to niby małe fortece, do których niełatwo było wdrzeć się wrogom. Ale nic też nie nęciło tak wszelkiego rodzaju drapieżników, jak owa smakowita zdobycz. Całe życie Plesenta było ciągłą z nimi walką. Plesent, jeden z pierwszych zapewne skwaterów, wprowadził chów kóz angorskich w górach Santa Ana i miał już z niego znakomite korzyści, wełna ich bowiem o wiele jest droższa od owczej. Kalifornia hoduje wprawdzie setki tysięcy, a może i miliony owiec, ale hodowla ta trafia na jedną, nieprzewyciężoną jeszcze dotąd zupełnie trudność. Oto wszystkie stopy i góry kalifornijskie pokryte są gatunkiem ostu, którego małe, mikroskopijne prawie szyszki zaplątują się w wełnę, przez co utrudniają niezmiernie jej przedzę. Dotychczas mimo licznych prób nie wynaleziono jeszcze środka zaradczego, skutkiem czego i wełna nie ma tej ceny, jaką by mieć mogła i powinna. Kozy angorskie mniej są narażone na owe szyszki, sierść ich bowiem, nie kędzierzawa, tak jak wełna owcza, ale długa i wisząca, mniej chwytą szyszki i łatwiej może być z nich oczyszczoną. Dlatego sądzę, że jakkolwiek chów kóz angorskich możliwy jest tylko w górach, rozwinie się on w przyszłości znakomicie i utworzy z czasem nowe a potężne źródło krajowego dochodu.

Chów ten zresztą, o ile mu się przypatrzyłem, nie przedstawia żadnych trudności. Skoro zaświta, otwierają korali, kozy wychodzą w góry, idą, gdzie chcą, jedzą, co chcą, na noc zaś wracają do korallu. W dzień nie są narażone na napady drapieżnych zwierząt. Mimo przykrego zapachu, jaki wydają te zwierzęta, przypatrywałem się im czasem całymi godzinami.

Oczy ich wielkie i łagodne, jedwabista, srebrna albo blado-żółtawa sierść nadają im dziwnie wdzięczną postać. Kozły zwłaszcza mają sierść tak długą, że widać im spod niej nogi tylko od kostek; najpiękniejsze jednak są małe kozłeta, o sierści krótkiej mleczonej i ruchach gazieli. Po skałach, urwiskach, nad przepaściami wieszają się z nieporównaną zręcznością. Kozieł, brodac z miną starego rozpustnika, jest wodzem, a przy tym despotycznym władcą całego stada. On najpierwszy wychodzi rankiem z korallu; on prowadzi całe stado pobrzekując dzwonkiem i kiwając poważnie głową; on wybiera miejsce paszy, nie dozwala zbyt rozpra-

sząć się małżonkom, nagradza pieszczotami posłuszne, nieposłuszne zaś karci umiarkowanymi ciosami rogów. W ogóle wydaje się rozwiązłym, ale poważnym, statecznym i pełnym ufności w siebie. Z powodu ogromnej głowy, jeszcze większych rogów i obfitej sierści robi wrażenie wielkiego zwierzęcia w rzeczywistości jednak jest mały, a gdy go ostrzygą, wygląda jak pierwszy lepszy chłystek. Z psów nic sobie nie robi. Gdy zobaczy obcego, idzie wprost na niego wytrzeszczając głupowate oczy, kiwając brodą i spluwając głośno, jak gdyby z obrzydzeniem. Jeżeli pies nie ustępuje, albo co zdarza się najczęściej, zatrzymuje się wietrząc i przypatrując się także dziwolągowi, wówczas i kozieł zbliżywszy się o kilka kroków staje, przez chwile patrzy, kicha jeszcze groźniej, na koniec zniżywszy rogi rzuca się jak piorun na wroga.

Pies mój był ustawicznym przedmiotem podobnych napaści. Zdarza się, że wojowniczy kozieł rzuca się i na swego pana w chwili, gdy ten otwiera korall, ale pan chwyta go wówczas za sierść, jedną ręką koło karku, drugą koło ogona, i bez dalszych ceremonii przerzuca przez płot o dziesięć kroków. Obrażony takim postępowaniem, sułtan wyraża swoje oburzenie głośnym plunięciem i oddala się pośpiesznie.

Stary Indianin Ramon, który specjalnie zajmował się tymi kozami, kochał je jak własne dzieci. Wracając z za korallu po odstraszeniu rysia zabrałem z owym caballero bliższą znajomość. Był to starzec siedmdziesięcioletni, z białymi włosami, ale czerstwy i zdrowy. Twarz jego miała kolor brązu. Mówiono, że nie był zupełnie czystym Indianinem, ale jeśli płynęła w nim jaka domieszka krwi białych, to musiała być bardzo nieznaczna. Parę łyków brandy, które ofiarowałem mu z mej manierki, otworzyły mi jego serce. Siedliśmy potem koło siebie przy ognisku i poczęli rozmawiać. Pytałem go, gdzie mieszka? Odpowiedział: – W górach! – A gdzie jest la casa de usted? (dom jego?). On zaś: – O! bobre Ramon! nie ma wcale domu. Mieszka czasem u Plesentów, czasem u Shrewsburych, czasem w namiotach Salvadorów, ale najczęściej u Plesentów, bo to bardzo, bardzo dobrzy ludzie. Dawniej, ale to bardzo dawno, Ramon miał żonę i dzieci, i szałasy, i stada własne. Potem... ta nieszczęsna woda ognista... Ot, co tu mówić: teraz Ramon solo, ach! solito – powtarzał żałośnie – solito! – To rzekłszy wziął swoje cyotte i począł znowu na nim brzdąkać utkwivszy oczy w ciemne, gwiaździste niebo.

Przypatrywałem się z ciekawością temu instrumentowi, nad który nie ma pewno prostszego na świecie. Wszystkie prawie stoki gór pokryte są rośliną zwaną po hiszpańsku cyotte, której angielskiej nazwy nie mogłem się dopytać. Cyotte jest to kępa liści podobnych do liści naszych lili lub tataraku, tylko twardszych i zakończonych kolcami. Ze środka tych liści strzela w górę długa od pięciu do ośmiu stóp biała laska, grubsza od dołu, a zwięzająca się ku górze. Koniec tej laski pokrywa się na wiosnę kiściami przepysznego purpurowego kwiatu. Jest to roślina niezmiernie pożyteczna. Rdzeń laski, podobny do bżowego, lekki i wypełniający całą długość rośliny, dostarcza Indianom i Meksykanom smacznego pokarmu. Jedzą także i korzeń. W czasie wycieczek myśliwskich w górach próbowałem go niejednokrotnie. Ma on smak świeżego włoskiego orzecha. W czasie kwitnienia około kiści purpurowych iskrzą się roje kolibrów i wielkich motylów, pszczoł i bąków. Jesienią, gdy kwiat opadnie, a łodyga wyschnie należycie, wtedy jest przydatną do robienia instrumentów. Obcinają ją wówczas u góry i u dołu, potem przywiązują na niej strunę podpartą z jednej strony kijkiem – i instrument gotowy. Jest to więc harfa o jednej strunie, ale gra się na niej inaczej jak na zwyczajnej. Stary Ramon brał cieńszy koniec w usta i palcami jednej ręki przyciskał w rozmaitych miejscach strunę dla wydobycia rozmaitych tonów, drugą zaś ręką ją trącał. Pomimo całego ubóstwa dźwięków Ramon potrafił jednak wygrać rozmaite melodie meksykańskie, po największej części melancholiczne i rzewne. Jeden z Salvadorów wtórował mu od czasu do czasu głębokim i dźwięcznym jak metal barytonem, którego pozazdrościłby mu niejednen śpiewak operowy. Treść piosenek była po największej części miłosna: „Gdym spał pod cieniem magnolii – śpiewał Francisco Salvador – śniłem o tobie; gdym się zbudził i nie ujrzał ciebie, począłem tak płakać, żem usnął znowu!...” Po takim krótkim przedśpiewie następował przesta-

nek; przez chwilę słychać było tylko dzwonki kóz i tony cyotte, a potem śpiewak kończył podniesionym głosem, wyrażającym jak najgłębszą tęsknotę: „O Julia! o Julia!”

Większe jednak jeszcze wrażenie uczyniła piosenka wyrażająca żal kochanka po utracie narzeczonej. „Deszcz odświeżał dla ciebie powietrze, wiatr chłodził cię, moskity uciekały od ciebie, figa pochylała ci gałęzie z owocami; gdzie nastąpiłaś, wyrastały kwiaty: jam ciebie kochał, o! kochał bardzo, a jednak opuściłaś mnie, dziewczyno.” Po skończeniu piosenki nastąpiła długa chwila milczenia. Donnie Refugio przypomniała się zmarła siostra i łzy zabłysły w jej oczach, więc chcąc je ukryć wstała i poszła pomywać statki po wieczerzy; Lucjusz Shrewsbury sposepniał jak noc, a Plesent zwróciwszy się do mnie począł mówić:

– Pan nie znałeś siostry mojej żony? na imię jej było Monika. Kochaliśmy ją oboje jak własną córkę. Ach, panie, taka była dobra, taka młoda, taka ładna, ważyła przeszło sto czterdzieści funtów!... i ot, wąż ją ukąsił i umarła.

Byłem gotów domieszać łzy moje do wspólnej łzawnicy nad losami pięknej Moniki, gdyby nie ta czysto amerykańska wzmianka o wadze stu czterdziestu funtów, która sprawiła, że musiałem przygryźć usta, aby się nie uśmiechnąć. Chcąc coś powiedzieć, spytałem, czy Monika była już narzeczoną? Na to Plesent spojrział na Lucjusza, który patrzył ponuro w ziemię, i nie odrzekł nic. Potem dowiedziałem się, że nie była jeszcze narzeczoną, ale kochali się oboje z Lucjuszem. Co to za tragiczne rozwiązanie sielanki! co za powtórzenie smutnych losów Pawła i Wirginii! Lucjusz wyciosał własnymi rękoma trumnę dla kochanki. Na grób jej nanosił z siłą olbrzyma ogromnych kamieni, aby kujoty nie niepokoiły snu zmarłej, i między kamienie nasadził dzikich róż. Widziałem potem to miejsce. Róże dzikie przez rok rozrosły się bujnie i gdym się zbliżył, chwytaly kolcami za moje odzienie, jak gdyby zmarła dziewczyna starała się zatrzymać przechodnia i prosić o „Zdrowaś Maria!”.

Tymczasem na owych gawędkach, śpiewach i rozmyślaniach zesła znaczna część nocy. Była pomoc. Kogut począł pisać pod szopą, w której stał wóz i maszyny pszczelnicze Plesenta. Starszy Shrewsbury wyciągnął nogi, pogładził podgardle i zwróciwszy się ku gospodarzowi rzekł:

– Well! jutro wstaniemy o świcie!

Udaliśmy się na spoczynek. Meksykanie poszli do szopy, gdzie znajdowało się trochę słomy jęczmiennej, ale gdzie stał także odłączony od stada stary kozioł zatruwający powietrze. Shrewsburowie zaś, ja i Dzak pokładliśmy się koło ogniska. Mimo że byłem niezmiernie zmęczony, a może właśnie dlatego, nie mogłem usnąć. Lucjusz, Monika, stary Ramon, jutrzejszy szary niedźwiedź, wszystko to krążyło w bezładnym zwichrzeniu w mej głowie. Przy tym w uszach brzmiały mi ciągle monotonne dzwonki kóz; czasem zakwiczały konie; czasem zawyły na szczytach dalszych gór zwierzęta, to znów psy zrywały się nagle i biegnąc z hałaśliwym ujadaniem niknęły w ciemnościach; sen zamknął mi powieki dopiero koło godziny drugiej, gdy ognisko zasuło się popiołem i wygasło prawie zupełnie.

II

Brzask i wschód słońca • Wyprawa • Ramon na śladzie • Cisza poranku • Niebezpieczne wzgórze • Pierwszy strzał • Szary niedźwiedź • Koniec dramatu • Powrót • Turnieje • Zabawa z kogutem • Trzej Indianie • Przestrogi Lucjusza • Indianie kalifornijscy • Pasięka • Ule • Maszyna do wytapiania miodu • Dochody z pszczół • Towarzystwo pszczelarzy • Nadzieje

Rozbudził mię chrzest żelaznego stempla w lufie. Otworzywszy oczy ujrzałem w półmroku, w półświatle ogromną postać Lucjusza, pochyloną nad długą rurą karabina. Starszy, Sam, nie spał już także, Meksykanie ruszali się pod szopą, a w okienku Plesentów połyskiwało światło. Na niebie był dopiero pierwszy brzask. Niepojęty urok ma dla mnie zawsze ta chwila, w której Ormuzd kończy zwycięską walkę z Arimanem. Jest coś mistycznego w naturze, gdy powietrze poczyna nasycać się z wolna bladym światłem : coraz nowe przedmioty, to skały, to drzewa, wychylają się stopniowo z cienia; światło określa ich kontury, bieli leciuchno linie, rysuje z wolna kształty, z początku szaro, blado, mętnie, sennie, potem coraz wyraźniej i wypukłej; rzekłbyś, ciemność miesza ze sobą przedmioty, unicestwia i roztopia je w sobie, brzask powołuje je na powrót do życia; uśpienie owija jeszcze świat, ale już zasłona nocy podnosi się, i jawa wraz z wrażeniami rzeczywistości poczyna się podstawiać w fantastyczne obrazy snu. Jest to półistnienie, półnicność, półwid a półmara; jest to na koniec szara granica między panteistycznym nieosobowym światem pomroki a budzeniem się życia indywidualnego.

Wysoce tajemnicza i poetyczna chwila dla tego, kto ją umie uczuć i pojąć. Zabłąkanej w tych pustyniach leśnych, pod gorącym niebem Kalifornii, więc stęsknionej za krajem i rozkołysanej duszy mojej wydała się ona jeszcze pełniejszą tajemniczych czarów i uroków. Tymczasem noc bladła i bladła, odległe przestrzenie z szeregami pni drzewnych stawały się coraz widoczniejsze dla oka; ranny ptak, dzięcioł, począł pukać w drzewo, jakby chciał mówić: „Puk! puk! wstawajcie, oto dzień robi się na górach i dolinach !” Wreszcie w przerwie dwóch gór ukazały się pierwsze blaski jutrzni porannej.

Leciuchna, przejrzysta, seledynowej barwy smuga wyciągnęła się na kształt pasem i włókien na wschodzie. Niebo całe było jeszcze chłodne, ciemne i zimne, ale smuga rosła, rozlewała się coraz szerzej. Z wolna górny jej brzeg począł przemieniać się w bladozłotawy szlak. Oko nie mogło uchwycić przemiany tonów, tak nieznacznie jedna barwa topniała w drugiej. Błękit, blade złoto i blada zieloność igrały ze sobą przez chwilę, aż wreszcie wszystkie przesłoniły się niby leciuchną mgłą różaną. Wstawała jutrzienka: „rózanopalca jutrzienka”, jak ją nazywa Homer, śliczna, zapłoniona, zalewająca góry i doliny radosnym światłem i zmieniająca na brylanty krople rosy wiszące na liściach dębów. Była jakaś radość prawdziwa w tym dziewiczym, młodym jeszcze świecie, budzącym się do życia, z ochotą do życia i wiarą w życie. Ptaki zaczęły śpiewać, kozy beczeć, psy skakać wesoło i biegać. Na wszystkich skłonach gór ozwało się zwykle: „o ho! ho!” kuropatnich kogutów zwojujących samice. My wszyscy byliśmy w doskonałych usposobieniach. Poważny nawet Sam śpiewał znaną pieśń amerykańską, w której co zwrotka powtarza się: „Hej ho, Missisipi, Missisipi river!” Wreszcie opatrzywszy broń ruszyliśmy na wyprawę.

Zeszedłszy do kamiennego korytarza puściliśmy się w górę potoku. Plesent i stary Ramon, jako najświadomsi miejscowości, szli naprzód, drugą parę stanowiłem ja i Lucjusz, Sam zaś z Dżakiem zamykali pochód. Meksykanie wyruszyli jeszcze znacznie przed nami, jedni ku zachodniemu, czyli dolnemu, drudzy ku wschodniemu, czyli górnemu, biegowi strumienia. Ci ostatni część tylko drogi mogli iść łożyskiem, dalej zaś, jak to wskazywały ślady, wdarli się na brzeg i przejechawszy wzgórze, około którego zaginał się strumień, skrócili sobie przez to znakomicie drogę. Celem ich było wdrzeć się w głąb gór jak można najdalej, aby w razie, gdyby zwierz chciał ująć w górę łożyska, przeciąć mu drogę. Plan tedy wyprawy, ułożony przez Ramona i Lucjusza, polegał na tym, aby kawaleria zajmąwszy dwa ujścia doliny napędziła zwierza na piechotę znajdującą się w środku. Niedźwiedź mógł wprawdzie tak dobrze starać się ująć bokami, jak i łożyskiem, ale że boki doliny utworzone były przez skłony gór, dość spadziste, a widne dla oka, z rzadka bowiem tylko zarośnięte dębami, w takim więc razie ujrzelibyśmy go z pewnością. Zresztą Ramon, który był znakomitym traperem, utrzymywał, że niedźwiedź prawie na pewno będzie się znajdował na jednym wzgórzu tworzącym zagłębienie strumienia i wystającym niezmiernie stromo nad wodę. O trzy mile od granicy klemu Plesenta Ramon począł uważnie przypatrywać się wąskiemu szlaczkowi piasku pomieszanego z miką. Przez chwilę badanie to było bezskuteczne, nagle jednak stary Indianin pochylił się i wykrzyknawszy z cicha: „hugh!” ukazał nam głęboki i wyraźny ślad. Był on tym widoczniejszy, że we wgłębieniu zebrała się obficie mika, ślad więc błyszczał jak pozłoceny. Było ich trzy, z tych dwa tylko wyraźne: potem znowu nikły na kamieniach. Swoją drogą Ramon umiał je dojrzeć tam nawet, gdzie by kto inny ich nie podejrzewał. Dziwny widok przedstawiał ten starzec z brązową twarzą a białymi włosami, wietrzący jak gończy pies, pochylający się co chwila i wykrzykujący raz po raz gardłowe: „hugh!” Wczorajszej nocy, gdy siedział w kuczki przed ogniem, z łokciami opartymi na kolanach i mleczną głową wspartą na ręku, wydawał mi się zgrzybiałym prawie; dziś nozdrza jego były rozdęte i poruszały się szybko, jak gdyby chwytając wiatr, oczy zaś błyszczące biegały z prawdziwie indyjską ruchliwością, badając każdy złam skały przy łożysku, każdy krzak na skłonach gór i wreszcie grunt pod nogami. Zbliżając się do owego wzgórza, na którym prawdopodobnie zwierz obrał stałą siedzibę, szliśmy coraz wolniej, a przy tym tak cicho, że słyszałem doskonale szmer wody po kamieniach, pukanie dzięciołów na drzewach i nawoływanie się kuropatw górskich. Ranek był śliczny, słońce już wzeszło, powietrze, przesycone miodowym zapachem szaławii, sprawiałoby prawdziwą rozkosz płucom, gdyby nie to, że miejscami zatruwały je obrzydliwe wyziewy skunksów, czyli śmierdzieli amerykańskich, małych, czarnych zwierzątek, nader obfitych w tych górach. Straszliwy zapach, jaki wydają, nie jest niczym więcej jak tylko nadmiarem piżma, a zatem substancji, która w małej ilości atomów jest nawet wonna, ale w nadmiarze po prostu dusi. Dom, pod którym ukrywa się skunks, staje się absolutnie nie do mieszkania; zapach wchodzi nosem, gardłem, przepelnia płuca, sprawia krztuszenie się i wymioty. Nie znoszą go nawet psy: kury zaś poczuwszy go wpadają w zupełne omdlenie.

W ciągu naszego pochodu trzy lub cztery razy natrafialiśmy na ów zapach, tak że z największym wysileniem potrafiłem wstrzymać się od kaszlu. Doszliśmy wreszcie do owego wzgórza, wystającego jakby trójkąt nad okrążającym je strumieniem. Nadzieja znalezienia na nim zwierza zmieniła się prawie w pewność, gdy stary Ramon ukazał nam tuż u jego stóp wielki kamień porośnięty delikatnie śliską warstwą mchu. Zwierz widocznie wdzierał się po nim na wzgórze i wdzierał się niedawno, mech bowiem wilgotny widocznie świeżo był pościerany, w kresach zaś utworzonych przez ześlizgiwanie się straszliwych pazurów błyszczała rosa nocna. Ramon wskazawszy nam te ślady wyszepnął cicho: „Orso”... – i zaraz potem rozdzieliliśmy się na dwie partie. Lucjusz, Sam i Plesent okrążyli wystający cypel, aby się wdrzeć na wzgórze z drugiego boku, my zaś poszliśmy wprost pod górę. Zarośla były tu tak gęste, że postępować naprzód można było tylko nadzwyczaj wolno. Nasza trójka, to jest Ramon, Dżak i ja, rozdzieliliśmy się także w ten sposób, że jeden od drugiego przynajmniej o

czterdzieści kroków był odległy. Teraz zaczęło się prawdziwe polowanie. Całe wzgórze ciche było jak grób; najbystrzejsze oko nie mogłoby dojrzeć nas, pełzaliśmy bowiem w zaroślach ukryci nawet jeden przed drugim.

Od czasu do czasu tylko każdy podnosił głowę, aby po drzeniu krzaków przekonać się, gdzie są jego towarzysze. W ten sposób raz ujrzałem jasną brodę Dżaka, drugi raz pałające oczy Ramona. Upłynęło dziesięć minut, kwadrans, a zrobiliśmy zaledwie kilkadziesiąt kroków pod górę. Trafiłem na miejsce, gdzie u stóp zarośli leżał obficie żwir: małe kamyki poczęły staczać się i szeleścić, musiałem więc przyczać się i czekać. Następnie poruszyłem się jeszcze ostrożniej. Upłynęło wreszcie z pół godziny. Poczynałem się trochę niecierpliwie. Cisza i cisza! Podniósłszy głowę, dojrzałem na prawo i na lewo lekkie drżenia zarośli: towarzysze, widać, szli naprzód. Przyszło mi do głowy, że gdybyśmy podnieśli okrzyk, zwierz, jeśli istotnie znajduje się w zaroślach, ukazałby się prędzej. Była to prawda, ale też jeśli się znajdował blisko wierzchołka, od którego my byliśmy jeszcze odlegli przynajmniej na sześćset jardów, w takim razie przebyłby go i skrył się przed naszymi oczyma, zanim byśmy zdołali uczynić połowę drogi. Zresztą niecierpliwość moja nie miała już być na zbyt długą próbę wystawiona. Upłynęło może jeszcze kilkanaście minut, gdy po drugiej stronie cypla huknął strzał karabinowy, potem rozległ się straszliwy ryk, potem wysilony okrzyk: „Take care! take care!” Potem drugi strzał i trzeci. Zerwaliśmy się na równe nogi i biegli na złamanie szyi do cypla. Ramon, który był go najbliżej, dobiegł też najpierwszy. Widziałem go z daleka, jak dobiegłszy zatrzymał się i natychmiast przyłożył kolbę do twarzy. Potem buchnął strzał i znowu dwa jeszcze, i znowu ryk, odtąd już nieprzerwany, i nawoływania: „Take care!” lub: „Come here!” Na koniec przybiegliśmy na skręt, ja i najbardziej oddalony Dżak. Objąłem teraz okiem całą pochyłość drugiego boku. Wyżej stali dwaj Shrewsburowie, tuż koło siebie, i nabijali na gwałt karabiny, dalej zaś nieco stał Plesent, który mierzył spokojnie. Niedźwiedzia nie mogłem dojrzeć od razu, po chwili jednak ujrzałem u stóp prawie wzgórza ogromną szarą masę podobną do olbrzymiej kuli wdzierającą się szybko na górę. Nie rozumiałem nic, co się stało. Spodziewałem się ujrzeć strzelców na dole, a niedźwiedzia u góry. Tymczasem stało się przeciwnie. Ale nie było czasu na tłumaczenia, wszystko bowiem, co opisuję, liczyło się na sekundy, nie na minuty. Plesent strzelił, szara masa wydała nowy rozpaczliwy ryk, ale wdzierała się dalej szybko. Wówczas wymierzaliśmy obaj z Dżakiem. Niedźwiedź zapadł na chwilę w zarośla, ale zaraz ukazał się na nowo. Wtedy strzelił Dżak. Po jego strzale zwierz porwał się na nogi, ale upadł w tył i stoczył się aż do potoku. Ogromne „hura!” wyrwało się z naszych piersi. Sądziłem, że to już koniec, ale twardego życia potwór znowu się zerwał i począł, czepiając się pyskiem i pazurami krzaków, biec na Shrewsburych. Bracia jeszcze raz dali ognia, my zaś z Dżakiem, posiadając czternastostrzałowe karabiny, zwane Henry rifle, posyłailiśmy kulę za kulą. W tej chwili rozległ się i tętent meksykańskich jeźdźców, którzy galopując po przeciwległym, płaskim brzegu strumienia, wyli jak dzikie zwierzęta. Dwaj z nich dopadłszy brzegu, przedzieleni od zwierza tylko strumieniem i niewielką przestrzenią skłonu wzgórza, zakręcili nad głowami straszliwe sznury, ale nim pętlice były rzucone, nowa salwa zakończyła dramat, Zwierz stoczył się jeszcze raz do strumienia, ale już nie zerwał się więcej. Mimo to, gdy chciałem biec ku niemu, Dżak zatrzymał mnie grzmącym: „Stop!” Poczuliśmy schodzić pomału, wszyscy razem i z palcami na cynglach. O dziesięć kroków zatrzymaliśmy się gotowi do wystrzału. Zwierz leżał na brzuchu z wyciągniętymi łapami i drgał jeszcze. Z pyska wypływał mu ogromny strumień krwi, od czasu zaś do czasu dawało się słyszeć chrapanie konania. Piasek i trawa, na których leżał, poszarpane były strasznymi pazurami, okrwawione wargi i nos zwierza powalane piaskiem, za który widocznie chwycił z wściekłości zębami.

Lucjusz strzelił jeszcze raz, przyłożywszy prawie lufę swego kentucky do głowy zwierzęcia, po czym drgania ustały, cielsko zaś wyprężyło się nieruchomo. – Enough! (dosyć) – rzekł dogmatycznie Sam. Po czym zaczęliśmy oglądać nieboszczyka.

Podziurawiony był jak sito. Jedna kula trafiła w głowę tuż koło ucha, druga pod oko, nie licząc ostatniej Lucjuszowej i tych wszystkich, które miał w ciele. Nie był to zwierz tak olbrzymi jak ten, którego widziałem w Cheyenne, na kolei Dwóch Oceanów, ale także jeden z największych w swoim rodzaju. Położywszy obie ręce pod jego dolną szczękę, zaledwie mogłem unieść trochę z ziemi ogromny łeb. Odchylałem mu także wargi, aby przypatrzeć się zębom. Siedziały na nich całe sople krwi już krzepnącej; łapy jego przednie uzbrojone były w pazury, przy których pazury naszych litewskich białoszyjków zaledwie na nazwę pazurów zasługują.

Szary niedźwiedź amerykański, na miejscu zwany grizzly, po łacinie zaś: *ursus ferox*, jest najniebezpieczniejszym zwierzęciem z rodzaju niedźwiedziowatych. Przenosząc ogromem i siłą największe gatunki europejskie, przewyższa je także dzikością, zuchwalstwem i okrucieństwem. Na ludzi dość rzadko lub prawie nigdy nie napada pierwszy, jednakże mało ich się obawia i zdarza się, że nękanym głodem, wdziera się gwałtem nawet do chat lub szałasów skwaterskich. Spotkawszy człowieka poczyna sapać gniewnie, małe jego oczki świecą wściekłością; zaczepiony zaś, rzuca się natychmiast i ściga z zaciętością niesłychaną swoją ofiarę. Z powodu jednak swego ogromu i ciężkości nie może wdzierać się na drzewa, jak to czynią niedźwiedzie europejskie. Życie jego tak jest twarde, że ugodzony kulami w głowę, może biec jeszcze bardzo długo.

Jednym słowem, jest to spadkobierca w prostej linii niedźwiedzia kopalnego. Skłonni do chępliwości Amerykanie szczytą się nim opowiadając straszne wypadki z polowań i utrzymując stanowczo, że ani afrykańskie lwy, ani indyjskie tygrysy nie mogą iść z nim w porównanie. Jakoż sądzę, że szary niedźwiedź przewyższa siłą te olbrzymie koty stref południowych, czy zaś polowanie na te ostatnie jest niebezpieczniejsze, dotychczas nie wiem.

Po przypatrzeniu się należytem martwemu potworowi stary Ramon pozostał wraz z Meksykanami, aby zeń zedrzeć skórę i poodcinać smakowite łapy, przy czym prosiłem, aby zachowano dla mnie kły i pazury, my zaś wróciliśmy do chaty. Donna Refugio czekała już nas ze śniadaniem. Uważałem jednak, że twarz jej nie ożywiła się ani na chwilę podczas naszych opowiadań. Opowiadania te wyjaśniły mi niezrozumiałą okoliczność, dlaczego dobiegłszy do cypla wzgórza ujrzałem niedźwiedzia na dole, a strzelców w górze, nie zaś przeciwnie. Była rzecz taka: Lucjusz, który pierwszy ujrzał zwierza, ujrzał go nad sobą, strzelił i ciężko ranił. Wówczas niedźwiedź rzucił się na niego natychmiast, jak burza; wówczas także usłyszeliśmy przeraźliwe wołanie Sama: „Take care!” Jakoż Lucjusz zdołał uskoczyć w bok, niedźwiedź zaś, nie mogąc się zatrzymać, stoczył się do stóp góry. Na polowaniach trafia się to często. Zwierz ten, mając tylne nogi cokolwiek wyższe od przednich, z niezmierną trudnością może biec z góry. Najczęściej trafia się, że traci równowagę i nie zbiega, ale stacza się na głowę. Za to pod górę koń nawet uciec przed nim nie zdoła. Ten sam wypadek zaszedł i w ostatnim spotkaniu.

W godzinę po nas wrócił Ramon i Meksykanie. Po ich powrocie rozpoczął się prawdziwy koncert ujadania i wycia, psy bowiem, zwietrzywszy skórę, podniosły taki gwałt, jakby ich własna skóra była zagrożona. Tegoż dnia, który z powodu szczęśliwie ukończonej walki uważaliśmy jako uroczysty, Salvadorowie wyprawili rodzaj niby turnieju, niby gonitew konnych. Po południu udaliśmy się wszyscy na obszerną płaszczyznę z rzadka tylko zarośniętą dębami. Meksykanie wszyscy byli konno, w rękę zaś trzymali skręcone w koło lasso, czyli jak je nazywają: rietta. Gdy owe gonitwy rozpoczęły się, nie wiedziałem, co mam więcej podziwiać: zręczność koni czy też jeźdźców. Jeden z rycerzy udawał uciekającego i przytulał się do kulbaki tak, że głowa, ręce i nogi jego tworzyły jedną całość z koniem, o którą lasso nie miało się jak zahaczyć; drugi, kręcąc nad głową straszne sznury i wyjąc, gonił przeciwnika pragnąc go schwytać. Upatrzawszy stosowną chwilę rzucał lasso, przy czym koń, lubo rozpedzony, zwracał na miejscu młynka i poczynał galopować w przeciwną stronę. Jeżeli lasso ześliznęło się nie zaczepiwszy o uciekającego, wówczas ten z kolei stawał się goniącym i usiłował w ten

sam sposób schwytać przeciwnika. Najczęściej jednak trafiało się, że sznur chwycił za głowę uciekającego. Jedynym wówczas sposobem, aby nie zostać ściągniętym z konia i zaduszonym, jest zwrócić szybko konia i galopować w ślad za tym, który lasso trzyma w ręku, doścignąć go i rozpocząć z nim walkę ręczną. Wymaga to niesłychanej zręczności i umiejętności kierowania koniem, jeździec bowiem, który trzyma sznur, umyślnie robi niespodziane zwroty, aby ściągnąć z kulbaki schwytanego.

Najzręczniejszym i najsilniejszym z Salvadorów okazał się Jesus (Hesus), trzydziestoletni barczysty Meksykanin, z czarną brodą i z prawdziwie orlim spojrzeniem. Rzut jego rietty nigdy nie był omylny, schwytny zaś, doganiał przeciwnika i zrzucił go z konia. Dał przy tym dowód wielkiej prawdziwie siły, gdy dogoniwszy brata swego Doroteo schwycił go jedną ręką jak kawałek drzewa, ściągnął z kulbaki i przesadziwszy na swoją, puścił na ziemię dopiero u nóg naszych. Ten dowód siły obudził zazdrość Lucjusza, który chcąc popisać się przede mną wyzwał Jesusa, aby się z nim próbował. Jesus z początku nie chciał, wreszcie jednak zgodził się i wzięli się za bary. Po kilku sekundach młody yankee uniósł atletę meksykańskiego w górę i rzucił go na ziemię, przy czym wybił mu rękę. Poprzednio jednak jeszcze odbywała się gonitwa z kogutem. Wyproszonego naumyślnie na ten cel u pani Refugio nieszczęśliwego ptaka zakopano lekko ze związanymi nogami w ziemię, tak aby mu widać było tylko głowę i szyję. Potem kolejno każdy z caballeros odjeżdżał na kilkadziesiąt kroków, wypuszczał konia i przelatując w największym pędzie koło koguta starał się go uchwycić za łeb i wyciągnąć z ziemi. Po kilku takich próbach kogut zdechł, a po kilkunastu głowa jego została w ręku któregoś z Salvadorów. Dowiedziałem się później, że zabawa z kogutem należy do ulubionych zabaw meksykańskich i że raz do roku odbywają się podobne gonitwy z wielką uroczystością pod Los Angeles. Zjeżdża wówczas na nie cała ludność meksykańska i wielu Jankesów z miasta i okolicznych farm.

Wieczorem tego samego dnia przybyło do osady Plesenta trzech Indian z dzikiego jeszcze zupełnie pokolenia Cachuilla, zamieszkałego z drugiej strony Santa Ana. Twarze ich, koloru ciemnoczerwonego, były podobne do cygańskich. Na głowach nie mieli piór ani warkoczy, ale włosy ich spadały w grubych splotach po obu stronach głowy. Ubrani byli w mokasyny ze skór jelenich i pewien rodzaj koszul nie osłaniających piersi. W ogóle wyglądali raczej na żebraków niż na wojowników i w niczym nie przypominali mi Siouxów, których kilku widziałem na kolei Dwóch Oceanów. Nie było w nich ani tej obojętności, ani tej energii, ani dumy. Ciała ich przy tym wydawały pewien przykry zapach, który szczególnie drażnił powonienie psów naszych. Ani jeden z tych trzech nie miał strzelby: uzbrojeni byli w łuki, strzały i toporki, obsadzone na rękojeściach z drzewa zwanego bicoro. Rozmawiałem z nimi z pomocą starego Ramona, żaden bowiem nie umiał ani po angielsku, ani po hiszpańsku. Biedacy ci powiedzieli, że głód panuje w ich wigwamach i że idą do białych prosić, aby im dali coś jeść.

– Czyż czerwoni wojownicy nie mogą zabijać jeleni i bikornów? – pytałem przez Ramona. Na to U-wa-ka, starszy widać od innych, odrzekł:

– Odkąd deszcze spadły w górach, jelenie nie schodzą pić do źródła, czerwoni zaś nie mogą doścignąć ich na szczytach. – A czy nie mają krów i owiec?

– Mieli je, ale zjedli, przy tym wiele owiec zdechło im z braku wody.

– Czy rozeszło się całe pokolenie?

– Nie: zostały skwawy, starcy i dzieci, młodzi zaś poszli szukać pracy u białych.

Dałem im trochę tytoniu i wódki. Kupiłem także łuki i strzały, a raczej dostałem je w zamian za nóż. U-wa-ka pokazywał, jak się strzela z łuku, i oddaliwszy się na chwilę ze mną między dęby, przeszył strzałami kilka dzieciółów i błękitniaków. Próbowałem potem i ja, ale lubo pokazało się, że potrafię naciągnąć łuk daleko silniej od wygłodzonego Indianina, jednakże strzały, które wypuszczałem, przechodziły o kilka łokci od celu, gdy tymczasem on nie

chybiał prawie nigdy. Mając zamiar pomieszkać trochę w indyjskich wigwamach, pytałem, kiedy wojownicy wrócą na powrót z gór. Odpowiedzieli mi, że za miesiąc.

– A czy mnie przyjmą?

– Przyjmą i cieszyć się będą. Brat biały będzie polował razem z czerwonymi w wąwozach, przyjedzie, kiedy zechce, odjedzie, kiedy zechce, będzie zasiadał u ogniska czerwonych, palił z nimi i nikt z pokolenia Cachuilla nie podniesie na niego ręki.

Tymczasem Lucjusz, który słuchał z daleka naszej rozmowy, zbliżył się i pytał:

– Jak to, chcesz pan mieszkać w ich trzcinowych namiotach?

– Tak jest.

– I nie obawiasz się?

– Czyżby mieli rzucić się na mnie?

– Nie, bo gdyby który z tych czerwonych diabłów śmiał to zrobić, roztrzaskaj mu łeb w jego własnym wigwamie.

– Z pewnością to zrobię.

– All right! ale nie obronisz się pan innemu niebezpieczeństwu, to jest wszom. Ja – mówił dalej Lucjusz – znam ich z tego i by God! gdybym miał dziś w kieszeni tyle dwudziestodolarówek, ile każda z tych małp ma wszy w głowie, założyłbym bank we Frysko (San Francisco).

Wyznaję, że słowa Lucjusza ostudziły trochę moją chęć pozycia między czerwonoskórzymi, a nawet na razie zmniejszyły sympatię do nich. Swoją drogą jednak biedacy ci zasługują pod każdym względem na litość. Pokolenia zamieszkujące północne prerie Stanów i pokolenia południowe, jako to: Apacze i Komencze, umieją się bronić przynajmniej, mają jeszcze jaką taką siłę oporu; ale Indianie kalifornijscy dali już zupełnie za wygraną. Nikt o nich nie wie, mało kto o nich słyszał. Najlepszym tego dowodem jest, że zanim udałem się w góry, bardzo wielu Kalifornijczyków zaręczało mi, że dzikich Indian wcale już nie ma w Kalifornii. Jakoż są ich tylko szczątki. Ukryci w niedostępnych kanionach lub na pustych stepach potomkowie potężnych niegdyś pokoleń wiodą życie koczujące, trochę pasterskie, więcej myśliwskie, a po trochu także i żerujące. Nikt ich już tu nie prześladowa, bo nie zawadzają nikomu. Wpółcywilizowani najmują się jesienią do winobrania, a następnie kupują czerwone materie lub przepijają zarobek w mieście; nieucywilizowani przymierają często nawet głodem, w ogóle zaś żyją z dnia na dzień. Bóg wie czym, tym bardziej że z tej strony San Bernardino nie ma bawołów stanowiących główny pokarm innych pokoleń.

Donna Refugio opatrzyła tych biedaków słoniną i fasolą, a że było już późno, odeszli więc między drzewa i pokładli się spać. Nazajutrz rano nie było ich już w osadzie.

Dzień jeszcze bawiliśmy u gościnnych Plesentów. Gospodarz pokazywał mi swoją pasiekę, która przynosiła mu znakomite dochody. Na polance zarosłej rzadko dębami stało na drewnianych podstawkach dwieście przeszło uli w kształcie skrzynek malowanych na biało. W skrzynkach takich umieszczają się ramki, które pszczoły zarabiają woskiem i miodem. Ramek takich jest jedenaście. Wosku raz zrobionego nie zabierają nigdy, przez co pszczoły nie tracąc czasu na robotę wosku robią dwa razy tyle miodu. Ciekawym jest także sposób, jakim wydobywają miód. Robi się to za pomocą umyślnie na ten cel wynalezionej maszyny. Ramka wraz z woskiem i miodem wstawia się w cylinder i poddaje szybkiemu obrotowi, skutkiem czego miód na mocy siły odśrodkowej wylatuje co do kropli. Nie gniece się przy tym ani jedna komórka woskowa. Po wypędzeniu miodu ramkę wraz z woskiem wstawiają na powrót do ula, pszczoły zaś natychmiast poczynają ją napełniać. Wydajność miodowa jest tu prawdziwie zadziwiająca: w najgorszych latach przewyższa ona pięciokrotnie wydajność, o jakiej słyszałem u nas. Tłumaczy się to tym, że najprzód pszczoły w ciepłym klimacie są dzielniejsze, a po wtóre, że podczas gdy u nas zima trzyma je zamknięte w ulu przeszło pięć miesięcy, przy czym wychodzą ogromne zapasy miodu, tu pszczoły pracują prawie cały okra-

gły rok, zimą bowiem i latem stoki gór okryte są kwiatami. Miód tutejszy przewyższa także dobrocią, zapachem i przezroczystością nawet litewski lipiec.

W ogóle gospodarstwa pasieczne są tu prowadzone wcale nie na stary barciowy sposób lub w pniach, ale z wszelkimi ulepszeniami, jakie wynaleziono w czasach ostatnich. Utrudniony zbyt z powodu braku dróg nie pozwalał się jak należy rozwijać tej gałęzi gospodarstwa krajowego. Od chwili jednak, gdy wszyscy skwaterowie-pasiecznicy zawiązali „Towarzystwo kalifornijskich pszczelarzy” i gdy produkt swój postanowili wysyłać wprost do Liverpool, bez pośrednictwa osób trzecich, ceny miodu natychmiast podniosły się, oczekują zaś, że w przyszłości będzie to jedna z najbardziej zyskownych gałęzi gospodarstwa.

XI

SZKICE AMERYKAŃSKIE

Podróż morską • „Mohongo” • Wyjazd z zatoki • Widoki morskie • Pogoda • Humor na pokładzie • Zachód słońca • Rekiny • Angel Island • Monterey • Piękna noc • Dalsza droga • Wspomnienia • Odwrotna podróż • Nowa kolej • Kaniony przydrożne • Krajobrazy • Roślinność • Góry bezpłodne • Skały • Zatrzymuję się na stepie • Indianin Pero • Wyruszamy w podróż • Klótnie • Na stacji • Widok stepów • Grunt stepowy • Wiewiórki • Pieski ziemne • Grzechotniki • Smutne wrażenie • Rozmowy z Perem • Geografia indyjska • Położenie gór • System pustyni • Stepy wiosną • Królestwo kwiatów • Nocleg na stepie • Kujoty • Pożoga na stepie • Noc spokojna • Ranek • Piaski • Mohave • Las umarły • Palmety • Kamienne kształty • Mohave i Cahuijja • Wspomnienia z pobytu w wigwamach • Charakter Cahuijów • Indianki • Wojny w Idaho i ze Siuxami • Siedzący Byk i Biały Ptak • Głos pustyni • Pociąg kolei żelaznej • Kolej południowa • Trudy i przeszkody • Interes przedsiębiorców • Zaludnianie się krajów pustych • Fort Yuma • Kolonie wzdłuż kolei • Arkansas czy Nebraska? • Zacięta polemika • Nowe projekta • Na przebój

Nie pamiętam, czym opisywał już pierwszą moją podróż z San Francisco do Los Angeles. Upłynęło od tego czasu ze sześć miesięcy. Kolej żelazna nie była jeszcze wówczas skończona, odbywałem więc drogę Oceanem Spokojnym. Statek „Mohongo”, stary weteran kursujący niegdyś między Chinami a Kalifornią, pełni obecnie takąż samą służbę między San Francisco a San Diego. Wydostawszy się z olbrzymiej Zatoki San Franciskańskiej przez tak zwaną Złotą Bramę (Golden Gate) na Ocean i przepłynąwszy koło skał Cliff Housu, słynnych z mnóstwa lwów morskich, płynęliśmy na południe, ciągle wzdłuż brzegów. Pogoda była prześliczna. Ocean Spokojny nigdy nie wydawał mi się bardziej zasługującym na swą nazwę. Błękitna a gładka jak zwierciadło toń jego zlewała się łagodnie w oddali ze sklepieniem nieba. Czasem tylko na owych dwóch błękitach niebios i morza zaczerniała na kształt chmurki smuga szarego dymu, to jakiś parowiec pasażerski przewożący ludzi i towary z wysp Sandwich do Kalifornii wyrastał z wolna, jak gdyby spod toni, na krańcu widnokregu; czasem zabielał żagiel rybackiego skunera. Czarne pobrzeżne skały wydawały się z daleka jakby całkowicie pokryte jakimś olbrzymim robactwem poruszającym się i pełznącym na kształt liszek lśniących od wilgoci porannej. Były to lwy morskie. Niektóre z nich za zbliżeniem się statku rzucały w wodę swe cielska, pod których ciężarem fala rozbryzgiwała się w tysiączne rzuty; inne, zwłaszcza stare samce, podnosiły głowy i otwierając paszcze witały nas rykiem buhajów; mniejsze o połowę samice czekały jak stada psów. Rój szarych i białych mew unosił się nad tymi ruchliwymi skałami, a wyżej jeszcze świeciło gorące, podzwrotnikowe słońce. Widziany z dala wysoki brzeg piętrzył się wyniosłymi urwiskami, spoza szczytów których wyglądały zielone wierzchołki drzew. Gdzieniegdzie strumień spadał białą jak mleko kaskadą

z wysokości kilkudziesięciu stóp. Czasem mignęła chata rybacka, malutka, przylepiona jak chrząszczyk albo jak skorupa ślimaka do skały. Słowem, był to śliczny krajobraz morski, pełen prostoty, słońca, powietrza i wody. Podziwiało go całe nasze towarzystwo: w kajutach na dole nie było nikogo. Wszyscy siedzieli na pokładzie. Na twarzach malowało się zadowolenie. Pogoda piękna, krajobraz piękny, morskiej choroby nie ma: stary „Mohongo” drży, jakby chciał wytrząść z siebie maszynę. Niech sobie drży! nie dbamy o to i płyniemy dalej. Takie usposobienie panuje wszędzie i na każdym statku w czasie pogody. Chorzy czują się zdrowsi, smutni weselsi. Jedziemy naprzód, za nami ciągnie się szeroki szlak zbitej kołami statku piany, nad nami ciągną mewy. Bawimy się rzucając im ogryzki jabłek. Za każdym ogryzkiem rzuca się ich kilkanaście w wodę, powstaje krzyk, hałas i zamieszanie: jedna porywa za ogryzek i krzyczy z radości, inne ze złości, jeszcze inne wymyślają sobie zapewne wzajemnie, aż tu nowy ogryzek zatacza łuk ku morzu i znowu toż samo, a my śmiejemy się jakby z najdowcipniejszej krotechwili. Takie to są zabawy podróżników. Po chwili inna nowość: „Co to takiego? co to takiego?” —wołają na okręcie. Oto żółw morski zaplątał się w koła, statek zwalnia, majtkowie wyciągają nieszczęśliwego żółwia, a steward okrętowy zapewnia, że zjemy go w wieczornej zupie. Odpowiadamy ogólnym „hura!”. Niektórzy mają ochotę się kapać; inni, a między nimi i ja, słuchają opowiadań podróżnika i kłamcy. Indywiduum podobne znajduje się na każdym okręcie. Ma papierowy kołnierzyk, kapelusz z wystrzępionym koliskiem i trzyma ręce w kieszeniach. Zapewnia nas, że niedługo ujrzymy latające ryby. Wezwawszy na pomoc zoologiczne wspomnienia przerywam mu nieśmiało i pytam, czy nie sądzi, że latające ryby znajdują się tylko w wodach znacznie bliższych równika.

– Tak? – pyta niezmiernie wcale, przymrużając jedno oko – a widziałeś pan kiedy węża morskiego?

– Nie.

– To bardzo dobrze, bo i ja nie widziałem.

Wszyscy w śmiech, a bywalec odnosi nade mną stanowcze zwycięstwo, ponieważ nie ma już mowy o rybach latających, ale o wężu morskim, którego nie widzieliśmy obaj.

Jak żyję, nie widziałem tak wesołego towarzystwa. Z lada powodu śmiejemy się wszyscy, jak dzieci. Oto np. spod pokładu wychyla się kosoooka głowa Chińczyka, rozgląda się głupowato po pokładzie i woła przez nos: „Jeh-hang! Jeh-hang!” Na pokładzie nie ma żadnego Jeh-hanga, ale natychmiast wszyscy poczynają wołać: „Jeh-hang”, na całym okręcie rozlega się „Jeh-hang!”, na wszelkie pytania usłyszysz jedyną odpowiedź: „Jeh--hang!” Radość ogólna. Myślę, że dostałem się do czubków, ale i sam nie jestem lepszy od innych.

Schodzimy na obiad. Dają nam rosół żółwi z pieprzem, wołowinę z pieprzem, słowem: sam pieprz. Nawet Amerykanom go za dużo. Jedni się śmieją, drudzy gniewają na kucharza, trzeci wołają ironicznie na stewardów, że za mało pieprzu. Tymczasem w sali zapala Murzyn lampy, obiad się kończy i wychodzimy znów na pokład.

Na pokładzie zmiana: słońce zachodzi. Niebieskie i białe światło dnia wsiąka w siebie stopniowo złoto i czerwoność; powietrze świeże, trochę słone, przejęte na wskroś zdrowym zapachem ropy morskiej. Ocean, który przez cały dzień był bez zmarszczek, staje się jeszcze gładszy. Po prostu – usypia. Nagle jednak to szklane przezrocze zaczyna jakby pękać w długie rysy. Rysy te, w kształcie łuków lub krętych linii, to pojawiają się, to nikną; nareszcie powód wyjaśnia się: nad powierzchnią wody spostrzegam czarną, trójkątną płetwę, potem drugą i trzecią. Podróżni pokazują je sobie palcami: to żarłacz (rekiny) krąży koło statku.

Wkrótce jest ich coraz więcej. Nie wiem: igraszkali to lub gonitwa miłosna? Czasem potworny grzbiet razem z płetwą wychyla się do połowy z wody. Widać go doskonale w czerwonych promieniach zachodu, w których krople wody spływające ze skrzeli wyglądają jak krople krwi. Ruchy potworów szybkie, niezmiernie ciche, nie burzą wody, płetwy rozcinają gładką powierzchnię, tworzą się rysy, które zagładzają się natychmiast, i wszystko się uspokaja.

Jeden z nich przewraca się nagle na bok, nie dalej jak o trzydzieści kroków od statku. Widzę dokładnie przez przezroczystą wodę jego szczękę górną, znacznie wystającą naprzód, i dolną, umieszczoną jak gdyby w szyi. Na okręcie krzyczą: „Dostrzegł coś i rzuca się!” – ale potwór niknie spokojnie pod wodą, a za nim kryją się po kolei i inne.

I znowu tylko widać gładką, spokojną toń. Żarłacze nie oddaliły się jednak, wpłynęły tylko na złoty, niezmiernie świetny szlak, usłany przez zachodzące słońce na wodzie. Na szlaku tym nie możemy ich dostrzec, bo oczy nasze mrużą się pod nadmiarem blasku. Ale słońce zajdzie wkrótce. Promienna jego głowa już tylko do połowy wygląda z wody. Po chwili już tylko złote warkocze leżą na fali: głowa zasunęła się za toń daleką. Jeszcze minuta: słońce zaszło.

Co za cudowna chwila teraz! Szeroka smuga wody w kierunku słońca świeci jeszcze, lśni, błyszczy się, mieni i gra barwami, jakoby oświecona spod spodu. Ta droga złocista ginie na krańcu widnokregu w morzu z purpury. Nie umiem, nie umiem tego wszystkiego opisać! Mimo woli pytasz się, czy ta droga nie prowadzi do jakiej krainy zaziemskiej, gdzie wszystko jest piękne, nieśmiertelne, gdzie miłość jest wieczna, gdzie poetyczna cisza i upojenie wiecznie panują. Nie wstydzisz się marzeń i poetycznych uniesień. Chciałbyś płynąć tam goniąc za światłem jak ptak. W owych blaskach migają jakieś wysepki.

– Co to za wysepki? – pytam majtka.

– Endzel Ailand (Angel Island), Anielska Wyspa.

I doprawdy, nie tylko wyspa, ale wszystko tam było anielskie.

Co za przepych barw! Całe niebo płonie czerwono, druga zorza pali się w Oceanie. Czarne skały nadbrzeżne, połyskujące wilgocią, wyglądają jakby oblane krwią. Mewy pławią się w świetle czerwonym. W tym wszystkim tkwi ogromna jakaś prostota. Na górze niebo, w dole morze, kawał skalistego brzegu i jeden okręt na niezmiernych przestrzeniach, jedna mała, czarna łupinka, i więcej nic. Bo też nie ma nic prostszego nad majestat.

Mijamy Endzel Ailand. Zorze gasną. Na purpurowe jeszcze, ale mroczące się już tło wychodzi jedna gwiazda, druga. Na przednim maszcie rysuje się w sieci lin czarna postać majtka. Po chwili zapalają błękitną latarnię; maszyna świszczuje, zawijamy do jakiegoś portu. Statek idzie bardzo powoli, ale coraz więcej skręca ku brzegom. Tymczasem zapada noc. Jeszcze raz słychać świstanie. Skały nadbrzeżne rozstępują się nagle tworząc obszerną, lekko pochyloną ku morzu dolinę, w której widać kępy drzew, jakby nasze dąbrowy; dalej białe domki, światła w oknach, spiczasta wieża rysująca się na mrocznym tle nieba, bliżej warf zbudowany z palów drewnianych, a na nim ludzie z latarniami. Majtkowie krzyczą zwykle żalśnie: „ooo—ho!” ciągnąc linę. Daje się uczuć wstrząśnienie. To statek otarł się już o palisadę. Z warfu łapią rzuconą linę i okręcają ją koło słupa. Jeszcze jedno słabsze wstrząśnienie: stajemy.

– Co to za miasto? – pytam.

– Monterey.

Wagony czekające na warfie zabierają pasażerów i towary. Okręt wyładował, co miał wyładować, potem odpoczywamy jeszcze godzinę. Warf wyludnia się powoli; nasz pokład także. Podróżni, którzy dalej jadą, idą spać do kajut. Wkrótce zostaje na pokładzie tylko dwóch: jakiś ksiądz meksykański i ja. Ksiądz chodzi spokojnym krokiem i poglądając na gwiazdy mówi pacierz; ja siedzę na ławce i patrzę na światła migające z dala w oknach domów.

Skończywszy pacierze ksiądz zbliża się do mnie.

– Bonita noche! (piękna noc) – mówi z cicha, jakby się obawiał spłoszyć jej urok.

Skłaniam głowę na znak potwierdzenia, ale nie mam ochoty do rozmowy, więc ksiądz powraca do modlitwy:

– Ave, stella...

Z lądu wiatr przynosi zapach kwitnących pomarańcz i heliotropów, a woń ta miesza się z zapachem morskim. Powoli światła w oknach gasną, ksiądz idzie spać. Na pokładzie zostaje

sternik kręcący kołem na przedzie statku, dwóch majtków i ja. Po godzinie wyruszamy na przód. Mijamy pasmo gór leżące tuż nad brzegiem. Dalej pobrzeże rozpląszcza się i ciągnie się ławicami piasku aż do Santa Inez. W tej części step przeważa nad górami. O ile mogę dojechać w nocy, kraj jest pusty i nie widać ani drzew, ani mieszkań ludzkich. Siedzę na pokładzie, bo mi się nie chce iść spać, a nie spędza mnie z mego nocnego siedliska ani wiatr, ani zimno. Noc jest cicha, ciepła, pogodna; Ocean ciągle gładki. Księżyc rzuca nań jedną smugę światła, potężna gwiazda Wenus drugą. Coraz cieplej. Powoli przychodzi mi na myśl kraj rodzinny. U nas teraz zima, robi się właśnie ranek, może mroźny, ale różowy ranek. Wioski zasypane śniegiem; dachy białe, sine dymy z kominów wznoszą się prosto ku górze; po ogrodach gałęzie zasute szronem rysują się nieruchomo i milcząco; przed chałupami skrzypią zamrożłe żurawie studzienne, a stada wron łopotaniem skrzydeł i zwykłym „kra! kra!” budzą tych, co jeszcze śpią. Obraz znany wam dobrze, ale znad brzegu drugiego Oceanu patrzy się nań przez ów wiersz Mickiewiczowski :

.... ty jesteś jak zdrowie!

Przesiedziałem na pokładzie całą noc. Potem jeszcze upłynęła doba i wreszcie zawiniliśmy do Santa Monica, skąd kolej idzie do pobliskiego Los Angelos.

*

Ściśle mówiąc, tej pierwszej podróży nie miałem zamiaru opisywać, ale pióro wzięło na kiel. Właściwym jednak moim celem jest opisanie odwrotnej drogi, to jest z Los Angelos do San Francisco, a raczej do środkowej pustyni kalifornijskiej Mohave.

Kolej łączącą Los Angelos z San Francisco skończono za mego poprzedniego pobytu na południu. Obyczajem przyjętym w Ameryce pierwszy pociąg szedł darmo. Skorzystałem z tego, aby po drodze obejrzeć całą prawie długość Kalifornii, a zwłaszcza pomienioną pustynię. Obok Los Angelos ciągną się też same góry Santa Ana, które widać z Anaheim i które już opisywałem. Kolej żelazna idzie bardzo blisko nich. Po kilkunastu milach stepu, zarosłego trawą, dzikimi słonecznikami, a czasem na ogromnych przestrzeniach kaktusami, bezdrzewna okolica kończy się, a zaczynają się góry. Przeszedłszy przez długi ciemny tunel pociąg idzie tuż przy wejściach do kanionów porośniętych dębami, platanami, drzewem bobkowym i po mniejszą dziczyzną górską. W niektórych miejscach obfitość wody wytwarza tak wybujałą roślinność, że oko na parę kroków w głąb nie zdoła jej przeniknąć. Z okna wagonu widziałem mnóstwo rozmaitej cennej zwierzyny, jako to: bażantów, kuropatw, wiewiórek ziemnych i zajęcy. Ziemia naokół była pusta. Prócz nielicznych stacji kolejowych nigdzie ani domku, ani namiotu. Kaniony, jak mnie zapewniano, są tylko w połowie zajęte przez półdzikich skwatorów meksykańskich hodujących bydło; co najwyżej jednak wypada jeden skwatter na cały kanion ciągnący się czasem kilkanaście, a czasem i więcej mil w głąb gór. Najlesistsze lub zupełnie bezleśne kaniony stoją puste, służąc za przytułek tylko stadom jeleni, niedźwiedziom i kuguarom. Miejscami trafialiśmy na pyszne krajobrazy. Oto np. rzeka przecina linię kolei; oba jej brzegi pokryte tysiącnymi drzewami w kwiecie. Wierzchołki drzew łączą się ze sobą w górze, zwoje dzikiego wina, liany, dzikie bluszcze przeskakują z jednej strony na drugą tworząc zieloną galerię nad wodą. Gdzie indziej znów strumień spada z wysokości kilkunastu stóp tworząc kaskadę. U stóp kaskady łąka porośnięta grupami sekwoi, które tu niezbyt olbrzymie, dalej na północ, w miejscowości zwanej Wielkodrzewiem (Big Trees), dochodzą do czterystu stóp wysokości, a trzydziestu średnicy¹⁸ i są najpotężniejszymi na świecie przedsta-

¹⁸ Drzewo zwane Father of the forest ma 450 stóp długości a 112 obwodu. Inne, The Grizzled Giant, 30 stóp średnicy.

wicielami świata roślinnego. Takie łąki, z ich trawą wiecznie zieloną, z drzewami i żywą wodą, zdają się być stworzone na farmy rolnicze lub pasterskie, lub nawet na wille, które pięknnością mogłyby rywalizować z włoskimi. Z wolna jednak okolica staje się coraz dziksza. Roślinność niknie stopniowo, ustępując miejsca skałom. Brak wody nie pozwala tu rozwinąć się jakemukolwiek życiu organicznemu. Pociąg poczyna biec wśród amfiteatrów nagich skał, które ciągnąc się półkolami wzdłuż drogi zdają się nie mieć końca. Widać tylko skały i niebo. Spojrzysz na prawo lub na lewo w gardło kanionu, widzisz kamienną, pustą galerię; przed tobą kamienna galeria, za tobą także. Pociąg leci jakby wśród umarłych miast. Gwałtowny oddech lokomotywy, hurkot kół zdwojony echem są jedynymi głosami wśród panującej tam ciszy. Tu ludzi nigdy nie będzie; nie ma i żadnych innych żywych istot: pusto, głucho!

– Czy to Mohave? – pytam jadącego ze mną skwatera.

– Nie – odpowiada. – Mohave to pustynia.

– A toż nie pustynia?

Tymczasem upływa godzina, dwie, droga nie zmienia się. Ciągłe też same amfiteatry skalne, też same półkola skał, jedno podobne do drugiego: kamień, kamień... Porzucam więc okno wagonu, tym bardziej że poczyna być ciemno.

Nazajutrz rano pociąg zatrzymał się na małej stacji tuż nad granicą Mohave. Stację tę składało kilka domów stojących bez osłony na nagim stepie, więc zwykły, pomalowany brązowo domek kolejowy, pospolita buda z czerwonych desek z napisem „Bakery” i druga także sama zatytułowana: „Saloon”, co znaczy po prostu: szynk. Dowiedziawszy się, że z tej właśnie stacji można się dostać na pustynię ciągnącą się wzdłuż linii kolejowej, wysiadłem tu z zamiarem pozostania przez dni kilka. Nie wiedziałem wprawdzie, gdzie będę spał, ale spać można w tym klimacie i pod gołym niebem. Zresztą, tyle już nocy spędziłem w ten sposób, że jedna więcej nie czyniła różnicy. Za to napisy: „Bakery” i „Saloon” upewniły mnie, że w najgorszym razie dostanę sucharów i piwa. Jakoż i tak było. Gdy pociąg odszedł, poznałem się z urzędnikiem kolejowym nazwiskiem Brown, który zaprosił mnie na nocleg. Powiedział mi także, że do właściwej pustyni, a raczej do lasu palmetów, jest jeszcze cały dzień drogi konno. Na stacji nie było koni, ale o parę mil dalej mieszkał Indianin, niegdyś przewodnik kupieckich wozów przez tę część pustyni, mający kilka mustangów, które łatwo było najać. Wskazano mi kierunek, w którym miałem szukać jego chaty, więc nie mając nic lepszego do roboty, udałem się tam niezwłocznie. Jakoż po godzinie drogi stepem, gołym zupełnie jak klepisko i popękany, zobaczyłem małą dolinę, a raczej wklęsłość, w środku której stała spiczasta chata indyjska i korall, w którym chodziły konie. Było w tej dolinie trochę zieloności, albowiem woda zaskórna, wydobywająca się w postaci kałuż na wierzch, pozwalała rosnąć trawie i małym krzakom podobnym do naszych sumaków. Zresztą nie rosło ani jedno drzewo. Koło chaty sterczały łodygi kukurydzy. W trójkątnym otworze wigwamu siedział stary Indianin obdzierając ze skóry zabite wiewiórki ziemne, których kilka już obłupionych suszyło się na słońcu.

Niełatwo było mi się z nim porozumieć, mówił bowiem mieszaniną poprzekręcanych wyrazów hiszpańskich, angielskich i indyjskich. Na szczęście, na wszelkie moje kwestie i pytania odpowiadał stale jednym frazesem w złej hiszpańszczyźnie: „Dos pesos!” (dwa dolary). Pytałem: jak daleko do lasu? – odrzekł: „Dos pesos”; pytałem: czy i sam pojedzie, czy mi tylko da konia? – on znów: „Dos pesos”. Przy tym pokazywał mi dwa palce, jakby dla lepszego objaśnienia. Zgodziłem się wreszcie na „dos pesos!”, ale pod warunkiem, abyśmy wyjechali natychmiast. Indianin nie miał ochoty.

Chciało mu się to spać, to jeść; dopiero gdy spostrzegł, że nie ma rady, począł siodłać konie, mrużąc pod nosem zapewne przekleństwa na upartą „bladą twarz”. Przygotowania do drogi trwały jednak krótko. Nowy mój przewodnik przytroczył do siodła spory worek z kukurydzą i drugi na wodę. Naczerpnął jej nawet natychmiast, ale że była mętna i ciepła, kazałem ją wylać, tym bardziej że mogliśmy nabrać studziennej na stacji. Powstała o to między nami

klótnia. Pero („Pies”! – takie było imię Indianina) utrzymywał, że nie mamy potrzeby jechać na stację, że to z drogi itd., ale ja miałem potrzebę, nie życząc bowiem sobie jeść jego suszonych obrzydliwych wiewiórek, chciałem zakupić sucharów i czego można było dostać.

Kłóciliśmy się zawzięcie, nie chcąc jeden drugiemu ustąpić; ale ponieważ konie były już przygotowane, siadłem więc na jednego i zwróciłem go ku stacji oświadczając Perowi, że może robić, co mu się podoba. Rad nierad musiał jechać za mną. Po drodze, gdyśmy galopowali jeden obok drugiego, wpadł w jeszcze gorszy humor, oświadczył bowiem, że muszę mu dać „mucho” (bardzo wiele) tytoniu i wódki, ja zaś odpowiedziałem, że wcale nie muszę i że jeśli nie będzie robił, co zechcę, nie dam nic. Musiałem tak postąpić, aby się nie pozwolić zawojować. Wiedziałem także, że Pero żałował, iż zażądał ode mnie tylko dwa dolary, ale na wszelkie te żale było za późno.

Przybyliśmy wreszcie na stację. Urzędnik Brown zobaczywszy mego Pera powiedział mi, iż jest wielkim złodziejem i że nikt inny prócz niego nie mógł ukraść połciów słoniny, które przed paru dniami zginęły. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Pero chciał koniecznie stację wyminąć. Ale prosiłem, aby dano mu pokój, tym bardziej że nie było jawnie świadczących przeciw niemu dowodów; sam zaś Pero gorąco zapewniał, że jakkolwiek słoninę musiał zjeść „pero” (pies), ale nie „big” (wielki) Pero, tylko mały „pero” na czterech nogach. Dla zakończenia sprawy posłałem go po wodę, sam zaś poszedłem do „Bakery”. Dostałem tam nie tylko sucharów, ale tartej szynki, a przede wszystkim ogromny pęk bananów wiszących na grubej lodydze. Po południu ruszyliśmy ku pustyni. Obejrzałem się w kierunku gór, przez które przejeżdżałem wczoraj. Zaledwie majaczyły na widnokręgu, jakby błękitne pasma mgły i obłoków. Przed nami rozciągał się bezbrzeżny szary step pochylający się nieco w kierunku zachodnim ku Oceanowi. Na całej tej ogromnej przestrzeni wzrok nie odkrywał ani jednego drzewa. Grunt nagi, szary, popękany w wielkie kręte szpary, wyglądał jakby wyschłe łożysko wód popaczone od promieni słonecznych. Niskie też położenie tych płaszczyzn pozwalało mi przypuszczać, że były one kiedyś dnem wód. Step, miejscami zupełnie równy, miejscami znów falował się lekko w obszerne, ale ledwie widoczne dla oka wklęsłości i pagórki. We wklęsłościach rosły szare, krusze, przepalone słońcem lodygi jakichś wysokich roślin, które budzą się do życia zapewne tylko w czasie deszczów wiosennych. Zdawało się, że cała ta okolica powinna być zupełnie martwą, jednakże tu i ówdzie spostrzegłem ślady życia zwierzęcego. W kępach lodyg szeleściły małe stada ptaków o czarno-błękitnych piórach, z świetnie czerwonymi piętami na skrzydłach. Boki owych małych wyniesień i wklęsłości gruntu pokryte były kopcami piasków ziemnych; czarne wiewiórki smyrgały do jam przed końmi. Widocznie ziarna owych wysokich lodyg dostarczają pokarmu tym zwierzętom, za napój zaś służy im rosa nocna.

Przezroczystość powietrza lub gra promieni słonecznych odbitych od gruntu wytwarza tu majaki (fata morgana) i sprawia, że liczne drobne przedmioty, widziane z daleka, olbrzymieją w oczach. Stada wiewiórek siedzących na tylnych łapkach brałem za stada kujotów lub innych jakich większych zwierząt. Przejeżdżając koło kopców piasków ziemnych widzieliśmy grzechotniki wygrzewające się na słońcu, albowiem węże te i pieski trzymają się zawsze razem. Konie strzygą uszyna, przechodząc koło grzechotników, nie okazują jednak wielkiej trwogi. Przeciwnie, gdy jeździec zabija węża, rodowity mustang zatrzymuje się dobrowolnie przed każdym spotkanym następnie.

Jechaliśmy już parę godzin, a widnokrąg nie zmieniał się prawie zupełnie. Skończyła się tylko falistość gruntu, a przed nami leżał step równy, szary, jednostajny, po którym błądziłem oczyma, gubiąc je w nieskończonej dali. Była godzina czwarta po południu. Słońce piekło całą ulewą promieni. Rozpalony grunt odbijał żar słoneczny; konie spotniały. Step ten poczytał nażyć mnie i męczyć, bo to nie nasz step ukraiński z kurhanami, ze swoją tradycją poetyczną. Na Ukrainie wiatr niesie, jakby z drugiego świata, odgłosy „Ała” i „Jezus Maria!”, i huk samopałów, i rzenie koni, słowem – tam step ma swoją żywą duszę; tu cisza, martwość,

bezdusność. Ten kawał ziemi to tylko głupia i bezmyślna krzywda życiu. Tamten mówi i śpiewa cały, jak szeroki i długi, ten nie ma co powiedzieć; tamten buja, kołysze się, porusza, żyje; tam jeźdźcy „w trawach pławią się po pachy”; tu bezwstydną ziemią odkrywa nagie, popękane łono. Dla oczu nic, nic dla ucha i dla wyobraźni; jedno wielkie nic – nie znajduję innego określenia.

Było coraz goręcej. Z upragnieniem wyglądałem zachodu słońca, który miał przynieść ze sobą chłód nocny i chłodniejszy jeszcze powiew od Oceanu. Zstępowało też z wolna słońce ze szczytu niebieskiego sklepienia ku krańcom. Las palmetów, do któregośmy dążyli, ani nawet poczynał majaczyć na widnokręgu; jakoż Pero zapewnił mnie, że nie dojedziemy do niego przed nocą.

– Co „blada twarz” chce robić na Mohave? – spytał po chwili.

– Chcę ją zobaczyć – odrzekłem.

– Mohave bardzo zła. Tam nie ma nic.

– I tu nie ma nic.

– Tu są wiewiórki. „Blada twarz” może zabić wiewiórkę i zjeść ją. Na Mohave trzeba umrzeć z głodu.

– Czy Pero był tam już wiele razy?

– Pero był przewodnikiem białych przez tę część, która jest na drodze między wielkimi miastami, ale w stronie, od której słońce wschodzi, Pero nie był nigdy, bo tam pustynia nie ma końca.

– Skądże więc Pero wie, że pustynia nie ma na wschodzie końca, jeśli tam nie był nigdy?

– Pero słyszał to od bardzo starych ludzi, którzy opowiadali mu, że za „umarłym lasem” są w stronie, w której słońce wschodzi, wielkie góry, Pero był nawet w nich, ale w innym miejscu. Są to bardzo złe góry, bo nie ma w nich trawy ani zwierząt. Za górami jest też sama pustynia i wielka woda, a za wodą znowu pustynia, która już nie ma końca.

– Jak „blade twarze” nazywają wielką wodę?

– Tulare.

Gdy potem sprawdziłem opowiadania mego przewodnika, przekonałem się, że jak na Indianina, wcale nie był złym geografem. Pustynia zajmuje rzeczywiście cały środek Kalifornii. Stepy dotykające Oceanu biegnąc na wschód zmieniają się z wolna w bezpłodną piaszczystą równinę. Pasma Coast Range albo Mount Diablo, będące kością pacierzową nadbrzeżnego kraju, odcina część pustyni bliższą Oceanu, do której właśnie zdążaliśmy, od dalszej, ciągnącej się ku Sierra Nevada. Wielkie jezioro Tulare leży w tej drugiej części, która skręcając ku południowi omija kończyny Sierra Nevada, przerzuca się przez pomniejszych pasma rozrzucone dalej na wschodzie, obejmuje część stanu Nevada, Arizony, New Meksyk, zachodnią część Teksasu, północne części trzech meksykańskich prowincji: Sonory, Chihuahua, Cochahui, i kończy się dopiero u stóp Gór Skalistych.

Tak samo, jak pustynie arabskie, perskie, a nawet i Gobi, są tylko przedłużeniem Sahary, tak samo Mohave, Gila, Colorado itd. są jednym systemem pustyń, jednym ogromnym płaskowzgórzem, czasem poprzerwanym rzekami, czasem powyginanym w góry, ale jednolitym pod względem pustynnego charakteru płaszczyzn. Piaszczyste równiny, kupy kamieni, rumowiska gór, miejscami step, latem goły i popękany: oto ogólny charakter tych ogromnych przestrzeni, prawie zupełnie jeszcze bezludnych, a po największej części wrogich dla organicznego świata. Wiosną jednak, po deszczach, jest chwila życia w tym martwym świecie. Przestrzenie piaszczyste porastają drobną trawką, rozpadliny skalne Zielenią się; step, zwykle nagi, przystraja się tysiącami kwiatów. Trudno opisać, co to za przepyszna tęcza chwila zmartwychpowstania dla tych stepów. W marcu i kwietniu widziałem całe przestrzenie, po kilkanaście mil rozległe, porośnięte kwieciami barwy żółtej, podobnym do tulipanów. Bywa tu tak prawie zawsze, że pewna roślina znalazłszy najodpowiedniejsze dla siebie warunki zagłusza wszystkie inne kielki w zarodzie, tępi je i panuje nieograniczenie. Skutkiem tego za króle-

stwem tulipanowym np. zaczyna się błękitne, znów kilkunastomilowe królestwo dzwonek, dalej purpurowe gwoździków, dalej żółte, białe, różowe, pstre Bóg wie jakich kwiatów. Wszelkie odcienie barw mają tu swoje przestrzenie. Są to po prostu morza kwiatów. Ale falowanie tych mórz kołysanych wiatrem krótkotrwałe. W końcu maja step zmienia już swą barwistą, różnowzorą odzież na jednostajną żółtą, a raczej żółto-zwiedłą. W czerwcu ziemia pęka. Kwiaty musiały od marca do czerwca urosnąć, rozkwitnąć, pokochać się, ożenić, wydać nasionka. Nadchodzi czas – zwiednąć... Co zwiedło, pada na ziemię; nasionka zasuwiają się w szpary, gdzie ciemność chroni je od spalenia, wszystko zaś, co zostało na powierzchni, zmienia się w proch, w popiół; następnie wiatr rozgania one prochy w cztery strony świata, i step staje się zupełnie nagi.

Są jednak przestrzenie, na których nawet wiosną po deszczach nic nie porasta. Piasek pokrywa się trawą tam tylko, gdzie zaraz pod nim leży warstwa urodzajna; ale np. na Gila piasek jest miękki, ruchliwy i niezmiernie głęboki, zatem zupełnie bezpłodny. Na stepie miejsca pokryte drobnym zwiernem także pozostają zawsze nagie, a toż samo ma miejsce, gdzie ziemia jest skalista lub jakby pociągnięta szklivem powstałym z przepalonego od promieni słonecznych piasku. Taki grunt przeważa na Mohave, a raczej w części jej położonej bliżej Oceanu. Na piaskach jednak rosną w tych miejscach tak zwane palmety, które Pero nazwał lasem umarłym, a które mieliśmy nazajutrz świtanem zobaczyć.

Tymczasem stanęliśmy na nocleg. Pero uwiązał konie przy zaostrzonym kołku, który załknął w szczelinę ziemną, potem dał im pić i jeść, a gdy poczęły chrupać twarde kukurydziane ziarna, i my wzięliśmy się do naszych zapasów. Napiwszy się wody z wódką Pero począł żuć swoje wyschłe na słońcu obrzydliwe wiewiórki, ja zaś raczyłem się bananami. Po posiłku, gdy zresztą ściemniało zupełnie, podłożywszy kulbaki pod głowy, położyliśmy się spać. Tymczasem gwiazdy weszły na widnokrąg, a wielki, czerwony księżyc ukazywał się z wolna na skraju stepu. Potem, blednąc coraz bardziej, żeglował wyżej i wyżej po niebie. Zrobiło się tak widno, że na kilkadziesiąt kroków mogłem dostrzec czarną siatkę rozpadlin. Zauważyłem przy tym, że w niektórych miejscach ziemia tak była zbita, twarda, że promienie księżycy odbijały się od niej jak od polerowanej powierzchni. Zresztą nie było na czym oprzeć wzroku ani uwagi. W dali tenże sam step. Miejscami znowu nieznaczne wklęsłości oświetlone niepewnym światłem księżycy – i na koniec także same kępy łądyg, w których wiatr smutno szeleścił.

Ta pustka i bezprzedmiotowość ma jednak swój urok, ale to dziwny jakiś urok bez treści. Tu, mówiąc poetycznie: smutna Diana, a prościej: księżyc, zstępuje z jednego miejsca, wstępuje na drugie, jakby szukając pilnie jakiegokolwiek przedmiotu zatraconego w pustkowiu, jakby chcąc znaleźć coś, dla czego by warto świecić. Czasem powracało mi wrażenie, że to, co widzę naokół, jest dno morskie, nad którym niedawno przesuwały się fale, a następnie wyschnąwszy lub uciekłszy zostawiły po sobie pustkę. Po chwili znowu: że to nierozbudzony jeszcze do życia szmat ziemi, który wynurzywszy się z bezdni po potopie, czeka dopiero na stworzenie. Tak istotnie musiała wyglądać niegdyś ziemia, zanim strzeliły z niej przedpotopowe paprocie i grzyby. Byłem jak gdyby cudem przeniesiony o setki tysięcy lat w tę chwilę mistycznego snu ziemi, po którym dopiero ocknęły się drzemiące jej siły.

Ale po chwili głosy pustyni rozbudziły mnie z marzeń. Pogrzebowe płaczki stepów – kujoty – zaczęły jęczeć i skomleć w pobliskich kępach suchych łądyg. – Jesteście i tu na tym pustkowiu? – pomyślałem sobie ze zdziwieniem. Ale kujoty są wszędzie. W stepach żyją wiewiórkami, a wiewiórki nasieniem owych suchych roślin. Na stepach, jak i wszędzie, życie polega na tym, że silniejszy zjada słabszego, ten jeszcze słabszego i tak bez końca; kujoty przy tym kradną, co mogą, pastuchom, podróżnym. Spotkawszy silniejsze jakie zwierzę, jak np. niedźwiedzia lub kuguara, chodzą za nim trop w trop, licząc na resztki jego uczt. Są to stepowi pieczeniarze. Ciągną za jaśnie-wielmożnym pazurowiczem i żyją z jego łaski. Za to, gdy myśliwiec stepowy postrzeli chlebobawcę, a ten gdzieś zdechnie w skałach, kujoty zja-

dają go także, co w ich języku konwencjonalnym nazywa się zapewne „uchronieniem zwłok od profanacji”. Trafia się także, że gdy podróżny, zmęczony dziennym upałem, zaśnie nocą nie roznieciwszy ognia, wilczki owe zbliżają się do niego, obwąchują go starannie, a chociaż tchórzostwo ich nie pozwala im rzucić się nawet na śpiącego, kradną mu natomiast wszystkie zapasy, nawet spod głowy. Co do mnie, chodziło mi głównie o noc spokojną. Nasłuchiwałem się już wprawdzie tyle tych grobowych skomeł, że nie doznawałem, jak pierwej, uczucia jakiegoś zabobonnego strachu; zawsze jednak ogarniała mnie pod ich wrażeniem taka niewymowna nuda, taki smutek i zniechęcenie, że wolałbym sto razy słyszeć ryk kugarów. Tym razem, jak zwykle, próbowałem zasnąć i nie mogłem, więc zniecierpliwiony, wyciągnąłem zza pasa rewolwer i wystrzeliłem w powietrze. Konie szarpnęły za sznury, kujoty umilkły na chwilę, najbardziej jednak przeraził się Pero, który poprzednio usnąwszy smacznie, zerwał się teraz na równe nogi.

– Co „blada twarz” robi? – spytał z przestachem.

– Nie mogę zasnąć – odrzekłem – i jeśli Pero nie odpędzi kujotów, będę strzelał całą noc.

Pero ochłonawszy pomyślał chwilę.

– Czy „blada twarz” ma krzesiwo?

– Mam.

– Pero ma także, niechże więc „blada twarz” idzie, zapali najbliższą kępe, a Pero zapali dalsze.

Myśl wydała mi się doskonałą, natychmiast więc przystąpiliśmy do jej spełnienia. Gdym się zbliżył do kępy, dwa kujoty wypadły pośpiesznie z łądyg i poczęły umykać co tchu w step. Skrzesałem ognia z łatwością, ale łądygi nie chciały się palić. Nałamawszy co najdrobniejszych ździebeł począłem pracować płucami. Skry chwytały łatwo za zeschnięte resztki liści, ale wypaliwszy ogniasty rąbek gasły. Tymczasem wprawniejszy Pero uwinął się daleko prędzej. W chwili gdym jeszcze dmuchał bez nadziei, od strony Pera zabłysło światło, a wkrótce krwawa łuna rozdarła ciemność. Obejrawszy się ujrzałem najprzód nasze konie czarno rysujące się na stepie, dalej oświeconą czerwono sieć szczelin ziemnych, płonąca kępe i Indianina podobnego do szatana, tańczącego koło ognia.

Rozbudzone szpaki z wrzaskiem i łopotem zlatywały się ze wszystkich stron do światła; wysokie łądygi buzowały się ogromnym płomieniem; wyschłe źdźbła trzęsły się przez chwilę w objęciach złotego płomienia i topniały w nim natychmiast. Ponad tym wszystkim świeciło blade światło księżyca, walcząc i łamiąc się na krańcach oświeconej przestrzeni z różowymi odbłaskami ognia. Pero wyrwawszy kilka płonących łądyg i pochyliwszy je ku wiatrowi biegł zapalać następną kępe, a za nim biegł i gasnął w ciemnościach czerwony warkocz iskier. Zapaliłem na koniec i ja swoją, potem dwie jeszcze pobliskie, a gdy zapłonęło ich z dziesięć, wróciliśmy do koni. Kępy zagasły wkrótce, ale mieliśmy zapewnionych parę godzin spoczynku, bo przestraszone kujoty uciekły aż poza granicę światła. Jakoż zasnęliśmy obaj natychmiast, ale za to Pero obudził mnie nazajutrz, prawie jeszcze przed brzaskiem. Przez pół śpiąc włożyłem na siodło, a gdy koń puścił się zwykłym meksykańskim, regularnym i kołyszącym galopkiem, usnąłem znowu na kulbace tak dobrze jak w łóżku. Nie wiem, jak długo spałem, ale gdym się rozbudził, był już dzień biały. Konie zwolniły biegu, a choć ruch ich był zawsze niby galopem, był jednak tak powolny, że można było nadażyć mu piechotą. Rozejrzałem się wokoło. Twardy step ze swoją siecią rozpadlin i kępami suchych łądyg znikł. Jechaliśmy teraz po gruncie pokrytym niezmiernie drobnym piaskiem, podobnym do popiołu, miękkim i ruchomym. Znikły także, już po raz drugi, falistości gruntu. Jak mogłem okiem sięgnąć, rozciągała się przed nami i obok nas równina szara, gładka jak stół. Sklepienie niebieskie przechodząc na krańcach w odcienie szare i siwe zdawało się z nią zlewać niedostrzeżenie. Naokół nie rosnęło ani jedno źdźbło trawy, nic i nic, tylko niebo w górze, popielata, wygłodzona toń piaszczysta na dole. Pero podniósł się w kulbace, zatoczył brązową ręką łuk ogarniający widnokrąg i rzekł:

– Mohave.

Jechaliśmy jeszcze z pół godziny nie dostrzegając naokół ani jednego przedmiotu. Nicość założyła tu sobie królestwo. Nie tylko zmysły, ale i myśl czuje tu jakiś brak przygniatający. W krainie przedmiotów myśl wyleciawszy z głowy zwykła wracać jak pszczoła obładowana miodem wrażeń; tu wraca tylko zniechęcona, czcza, zmęczona i złamana. Umysł musi tu dać wszystko z siebie, od zewnątrz nie dostaje nic. Słowo „pustynia” szumi w głowie, a nie przyobleka się w żadne kształty, w żadne określone wyobrażenia. Jak zabłąkany wędrowiec kornający z pragnienia woła: „Wody!” – tak mdlejąca wyobraźnia woła tu ostatkiem sił: „Przedmiotów!”

Na koniec jednak zamajaczyło coś na północy niby ciemny szlak, niby zgęstniała mgła, chmura, niby wstęga lasu. Owo „coś” rysuje się coraz wyraźniej i wyraźniej na błękitnie widnokręgu, wychyla się coraz dokładniej ze zmaconej oddali; zbliża się, wypełnia, zwierza się w kształty. Pero znów wyciąga brązową rękę i mówi:

– Las umarły.

– A, chwała Bogu! Umarły czy żywy, niech będzie pozdrowiony!

Długie na ćwierć łokcia meksykańskie ostrogi wbijam w boki mustanga: kudłaty łeb jego zaczyna kołysać się żywiej. Pędzimy jak gońce wojskowi; las wyrasta w oczach; jeszcze pół godziny – i jesteśmy na jego krańcu.

*

Co to są palmy, co mówi o nich botanika – nie wiem. Z drugiej strony, jeśli powiem, że są to drzewa po prostu tragiczne, będzie to określenie o tyle przynajmniej dalekie od botaniki, o ile bliskie Wiktora Hugo. A jednak nie cofam wyrażenia. Pero, prosty Indianin, pomimo iż się na stylu nie znał, nazywał jednak ten las lasem umarłym. Cisza, śmierć, nieruchomość: oto pierwsze wrażenia, jakie ten las sprawia. Palmy nie są wcale podobne do innych drzew. Każde drzewo ma pień, konary, grubsze i cieńsze gałęzie, liście, słowem – całą różnorodność linii, kształtów i barw. Palmy nie mają tego wszystkiego. Palma jest to jednostajny, szarego koloru pień rozdzielający się w górze na dwa, rzadko trzy, równie grube, tępo ucięte ramiona. Drzewo to wygląda po prostu jak człowiek, który wyciągnął z rozpaczą ręce do nieba. Pień od samego dołu, a ramiona aż do samej góry pokryte są jakby grubą szczecina nie odstającą od kory i zbitą w jeden pokrowiec, który okrywa całe drzewo. Wszystkie kształty grube, nieruchome, niby wyciosane niezgrabnie, robią wrażenie przedmiotów kamiennych. Cały las wydaje się lasem skamieniałym, ot np. lasem olbrzymich koralów uszpionych gdzieś na dnie morskim. Na szarym piasku, na którym rosną palmy, nie rośnie nic więcej, nie ma nigdzie ani trawki, ani kwiatka, ani śladu wody. Nie usłyszysz tam gwaru ptactwa, żaden owad nie toczy tych pni nieruchomych. Jak okiem dojrzeć, wznosi się pień za pniem, jakby posępna kolumna za kolumną; całe szeregi martwe, milczące, bezduszne. Prawdziwie umarły las. Z każdego innego drzewa życie wypowiada się to drganiem gałęzi, to zielonością, to kwiatem, to zapachem; znać, że drzewo żyje, oddycha, roni balsam żywiczny, rozkwita, rodzi; między palmami zaś przesuwałem się jak wśród nagrobków sterczących na jakim wielkim cmentarzu. Błądziłem niby duch, konie zostały u brzegu, a Indianin jak drugi duch, poważny i milczący szedł za mną. Wiatr nie wiał. Szary piasek obsuwał się bez szelestu pod naszymi stopami; słońce weszło wysoko na horyzont i sypało na nasze głowy żar ognisty. Cisza śmiertelna panowała wszędzie. Krótkie cienie kładły się na piasek od drzew, znacząc jego szarą powierzchnię czarnymi plamami. Szliśmy głębiej i głębiej. Mimo woli przyszedł mi na myśl wiersz Słowackiego:

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy niegdyś w elizejskie bory...

Uroczysty ów pochód przerwał dopiero głos Indianina mówiący cicho:

– „Błada twarz” nie może przejść umarłego lasu.

– Czy daleko ciągnie się na wschód?

– Słońce trzy razy przeszłoby od gór do wielkiej wody, zanimby „błada twarz” mogła przejechać umarły las na najszybszym koniu.

– Nie chcę go też przejść całego, ale niech Pero powie mi jeszcze: czy też przebył go kto aż do gór dawniej?

– Dawniej? Nie. Czerwoni nie mieszkali tu nigdy, bo na Mohave nie ma wody i zwierząt. Koń i jeździec musi tu umrzeć. Czerwoni mieszkali niżej (tu ukazał ręką w kierunku Los Angeles), w górach, gdzie rosną drzewa, i co wiosną jeździli na bawoły na drugą stronę. Tam step pokryty jest trawą.

– A teraz nie jeżdżą już?

– Teraz ich nie ma. Nastąpiła chwila milczenia. – Czy to byli bracia Pera? – spytałem po chwili.

– Nie.

– Jakże się zwali?

– Mohave.

– A bracia Pera?

– Cahuijja.

– Ci są jeszcze?

– Wigwamy ich stoją rozrzucone w górach na południu, ale niewiele jest już wigwamów. Dawniej mieszkali aż do granic Mohawów. Tam, gdzie dziś stoją kamienne wigwamy „błędnych twarzy” (Los Angeles), tam było wielkie pole (obóz). Ale dziś Cahuijja nie mieszkają już tam od dawna.

– Gdzie są teraz?

Brązowa ręka po raz trzeci wyciągnęła się w kierunku gór, a głos uroczysty odrzekł:

– Tam, z duchami ojców.

Powieść była prawdziwa. Niegdyś wspomniane pokolenia żyły obok siebie, ale żyły, jak zwykle, w ciągłej wojnie o terytoria myśliwskie. Mohayowie wyginęli prawie zupełnie w tych zapasach, a Cahuijja osłabli i prędzej czy później także wyginą. Byłem potem w ich wigwamach, daleko na południowych kończynach Tamiscalu i Santa Ana. Nie żyją już w jednym wielkim obozowisku, ale rozproszeni w rozmaitych miejscowościach. W wigwamach, w których spędziłem dni parę, było wszystkiego dwadzieścia siedem głów męskich, prócz kobiet i dzieci. Żyją bardzo nędznie, bo jakkolwiek zwierzyny wielka jest w tamtych stronach obfitość, nie mają jednak broni palnej albo też taką, która jest nic niewarta. Z łuków wyrobionych z tęgiego drzewa strzelają dość celnie, ale strzały nigdy prawie nie zabijają większego zwierzęcia od razu, na ptactwo zaś jest to polowanie trudne i mozolne. Podczas gdy myśliwy uzbrojony w strzelbę, strzelając np. do kuropatw żerujących po ziemi¹⁹, zabija po kilkanaście sztuk od razu, z łuku można zabić zawsze jedną tylko. Jedzą też ci Indianie wszystko: wieńcówki, pieski ziemne, kujoty, dzikie koty i co się zdarzy. Gdy zabiją niedźwiedzia lub wielkiego jelenia, jest to uroczystość dla całego obozowiska. Śmielsi wyprawiają się na ciągi bawołów aż za San Bernardino, skąd czasem przywożą zapasy suszonego mięsa, ale też często giną, pomordowani przez dzikich i bitnych Apaczów i Komenczów. W ogóle w Kalifornii z powodu braku bawołów stan Indian, nie dających się nagiąć do uprawy roli, jest bardzo nędz-

¹⁹ Kalifornijskie kurki strzela się siedzące, a nie w lot.

ny. W czasie winobrania wszyscy prawie dorośli mężczyźni ciągną ku brzegowi morskemu, ku okolicom zamieszkałym, i wynajmują się do robót, ale za zarobione pieniądze kupują fraszki, a przede wszystkim wódkę. Prawo zabrania wprowadzić pod wysokimi karami sprzedawać Indianom gorące napoje, ale prawo dość często bywa bezsilne. Liczni farmerowie, którym się wino nie opłaca, pędzą z niego sekretnie przed akcyznikami wódkę i ci sprzedają ją Indianom. Byłem raz świadkiem, jak po ukończeniu robót u zamożnego farmera nie tylko pracującym Indianom nic się już nie należało, ponieważ wybrali pod postacią napitków wszystko naprzód, ale nie było ani jednego, który by nie pozostał dłużnym na mniejszą lub większą kwotę pracodawcy. Tak dzieje się prawie wszędzie. Czas winobrania jest karnawalem dla Indian, po którym następuje post aż do przyszłego lata. Kredytu przy tym nie mają nigdzie, ponieważ nie odznaczają się uczciwością; każdy więc farmer wszelkie naddatki udzielone czy to wódką, czy pieniędzmi uważa za stracone raz na zawsze; dlatego wszyscy starają się już z góry przy układach strącić je z ceny robocizny. Bawiąc kilka dni między Cahuijiami, mogłem patrząc na ich codzienne życie zbadać jako tako ich charakter. Niestety, nie znalazłem w nich prócz pozorów ani jednego z tych szlachetnych przymiotów, jakie cechują bohaterów Coopera. Naprzód, życie ich wśród brudów nie do uwierzenia i wśród robactwa, przed którym wreszcie uciekłem, może przejąć tylko wstrętem; po wtóre, w każdym ich kroku znać demoralizację cechującą rasy ginące. Są leniwi, wiarołomni, kłamcy, a wreszcie i tchórze. Jeśli nie kradną i nie rozbijają, to tylko dlatego, że drżą przed straszliwym lynchem, z którym poznajomili ich skwaterowie.

Nieraz zdarza się, że skwater, któremu coś zginie, sam jeden przyjeżdża do obozowiska i sam jeden wśród wszystkich mężczyzn dopełnia poszukiwań i wymierza sobie sprawiedliwość. Biedni ci półdżicy są przy tym niezmiernie łakomi na wszystko, co nie jest ich własnością. Mój Bowie-knife, rewolwer, strzelba, słowem: wszystko aż do psa, toporka i worków było przedmiotem ustawicznej ich pożądlivosti. Jeden przez drugiego starał się ode mnie coś wymanić. Czasem pochlebiano mi rozmaitymi nazwami, czasami ten i ów zuchwalszy oświadczał, że „blada twarz” musi mu darować ten lub ów przedmiot, ale jedno surowsze spojrzenie przywoływało tchórzliwego zuchwalca do porządku. Niemniej wstrętne jest postępowanie ich z kobietami. Mężczyzna poluje tylko, a gdy nie poluje, leży przed wigwamem w śmieciach, nic nie robiąc; kobieta zaś, często jeszcze z dzieckiem na plecach, zamkniętym do szyi w łubianej kobiałce, spełnia najtrudniejsze roboty, za co otrzymuje wymysły i szturchańce. Mąż żonę, ojciec córkę oddaje tu pierwszemu lepszemu przechodniowi za byle co: za kawał drutu, scyzoryk lub starą kamizelkę. A jednak te dziewczyny z płcią miedzianą, o czarnych, ogromnych i łagodnych oczach, bywają w chwili rozkwitu nieraz bardzo przystojne. Trafia się, że samotni biali skwaterowie biorą je za żony i żyją z nimi szczęśliwie. Niektóre z nich nabierają pewnej oglądy i pewnych wiadomości. W zeszłym liście wspomniałem pół-Indiankę donnę Refugio, która była tak wykształcona, jak i mało Amerykanek średniej klasy. Później spotykałem i czyste Indianki umiejące czytać, pisać i posiadające daleko więcej wiedzy od swoich białych mężów. Wszystkie przy tym są doskonałymi matkami.

Los tych, które wychodzą za białych, jest w porównaniu do losu skwaw indyjskich prawdziwie godny zazdrości. Jakkolwiek małżeństwa takie nie bywają najczęściej uprzednio legalizowane, stają się jednak takimi później, na mocy prawa orzekającego, że mężczyzna, który żył z kobietą wolną lat trzy, ma uważać ją jako prawnie poślubioną, że zatem nie wolno mu się żenić z drugą, że w razie opuszczenia jej musi myśleć o jej utrzymaniu itp. W ogóle zresztą, w Ameryce formy kościelne nie mają żadnego znaczenia, urzędowe zaś daleko mniej w stosunku do faktów spełnionych niż gdzie indziej. Tu nie trzeba pośrednictwa praw, aby mężczyzna uważał kobietę, z którą żyje, za prawowitą swą małżonkę. Przy tym trzeba być chyba tu na miejscu, aby poznać dokładnie, jak idealnym mężem jest każdy rodowity Amerykanin. On w swej żonie czci swój home, tj. swoje ognisko domowe, swoją pozycję obywatela, ojca dzieciom, swoją godność osobistą, słowem, całego siebie, bez względu na to, czy żona

jego poślubiona jest przez pośrednictwo księdza, urzędnika lub bez pośrednictwa, czy jest biała, żółta lub miedziana. Szacunek ten dla kobiet zdaje się tkwić głęboko we krwi tej rasy, sam zaś w sobie tak jest bijący w oczy i potężny, że udziela się nawet emigrantom, Niemcom i Irlandczykom, którzy w „Deutschlandzie” i „Irishlandzie” inaczej na te stosunki patrzyć przywykli.

Wracając do Cahuijów, kilkodniowy pobyt mój między nimi, mimo licznych ich wad, zostawił mi jednak pełne współczucia dla tych biedaków wspomnienie. Współczuję im z tej prostej przyczyny, że są nieszczęśliwi. Wojny w Kalifornii nie ma już z czerwonoskórymi, a prawdę rzekłszy, wojny wytepienia nigdy nie było, pokolenia bowiem tutejsze nie odznaczały się ani takim męstwem, ani zaciętością, jak pokolenia terytoriów stepowych. Biali nie dopuszczają się na nich żadnych gwałtów, przeciwnie jak na północy, gdzie w chwili, gdy to piszę, wre zacięta walka nie tylko między Siouxami a białymi, albo w Ajdaho (Idaho) między starszym pokoleniem „Przekłutych nosów” a wdzierającymi się w ich posiadłości pionierami. Tam wodzowie: Siedzący Byk (Sitting Buli) i Biały Ptak (White Bird), ubroczyli już po rękojęcie swe wojenne siekiery we krwi mężczyzn, kobiet i dzieci; tam między skalpami zdartymi z głów białych powiewa u pasa Siedzącego Byka długowłosy skalp generała Custer a i wszystkich jego żołnierzy; tu o skalpach nikt nie słyszał, wszędzie cisza i spokój, a jednak nieubłagany palec cywilizacji ściera i te spokojne pokolenia z powierzchni ziemi. Może to nieuniknione, może konieczne, a jednak jest w głębi natury ludzkiej jakieś poczucie głębszej sprawiedliwości, któremu dzieje się w ten sposób krzywda; więc mimo woli w imię tego uczucia pragnie się nieraz powiedzieć „goddam!” na ową cywilizację, co dla słabych i ciemnych jest takim przewodnikiem, nauczycielem, jakim byłby wilk dla owiec.

Wracam do umarłego lasu. Gdy cienie palmetów zniknęły prawie zupełnie, oznaczając południe, Pero odszedł dać jeść i pić koniom, a ja zostałem sam i znowu wzrok mój błąkał się wśród szeregów umarłych pni. Badałem pokład piasku chcąc odkryć jakiegokolwiek ślady zwierząt i ptaków, ale szara, sypka powierzchnia gładka była, jakby wczoraj jeszcze przesuwaly się ponad nią wody. Szedłem coraz dalej w głąb tym śmieiej, że wyciski stóp moich były niby nicią Ariadny mogącą każdej chwili wyprowadzić mnie z tego labiryntu. Widok nie zmieniał się wcale: też same szeregi pni, też same rysujące się ciężko kamienne kontury i ten sam grobowy spokój. Dziwna to, szczególna pustynia, w której najdoskonalszym wyrazem pustki, śmierci, ciszy jest to, co powinno ją natchnąć życiem, tj.: drzewa. Są to też widma drzew. Doprawdy, nie wiem, czy nawet afrykańska Sahara lub pustynie arabskie przejmują takim smutkiem i pogębieniem, czy uderzają oczy podobnymi wrażeniami martwoty i odrętwienia, jak Mohave. Tam czasem przynajmniej zazieleni się oaza, czasem na piaszczystych wzgórzach zarysują się na tle zorzy wieczornej biblijne kształty wielbłądów i jeźdźców zapatrzonych w niebo; tu palmy sterczą zawsze bezduszne, straszne, milczące.

A jednak i Mohave ma teraz swoje odgłosy przerywające wieczną ciszę. Wyszędłem właśnie na kraniec lasu do Pera i koni, gdy usłyszałem ten odgłos z pustyniowej oddali. Z początku był to niby szmer cichy, potem coraz głośniejszy, bliższy; stopniowo zmieniał się w łoskot, potem usłyszeliśmy bicie dzwonu, potem świst, a raczej ryk pary. Pero wpatrzył się w dal smętnych kolumn i rzekł:

– Wielkie wozy białych.

Tymczasem odgłos zbliżył się, doszedł do zenitu i nagle ujrzeliśmy pociąg wypadający z lasu. Dziwny to był widok na tej pustyni! Tłoki maszyny, widziane z daleka, poruszały się z szybkością, jakby nogi jakiegoś potwora; paszcza jego ziała kłębami dymu. Była w tym jakaś niepojęta siła, jakaś wściekłość; cały pociąg wydawał się jak olbrzymie zwierzę goniące na oślep za łupem. Nie biegł, ale rwał naprzód, jak wichur albo huragan. Przeleciał na kształt jakiegoś piekielnego korowodu, dysząc, dzwoniąc i hucząc, wpadł na równiny stepowe i leciał dalej, aż znikł wreszcie w stepach w kierunku Los Angeles.

– Biali nie lękają się Mohave! – ozwał się Pero.

I miał słuszość. Kto wie, co za lat kilka lub kilkanaście stanie się z tymi obszarami i z samym umarłym lasem?... Kto wie, czy biali nie wytną drzew i nie osiada tu, gdzie żadne stworzenie mieszkać dotąd nie śmiało?... Może olbrzymią siłą poroztrzającą wschodnie góry i wydobywszy jak Mojżesz drzemiacą w głębi skał wodę, sprowadzą o setki mil ożywcze jej strumienie na piaszczyste obszary?... A wtedy dzisiejsza pustynia kołysać się będzie falami zbóż wszelkich, palmety ustąpią miejsca gajom prawdziwych palm, pomarańczom, figom, gwar ludzki zamaści ciszę panującą obecnie. Cóż powstrzyma tę niepoohamowaną rasę „bladych twarzy”, w jej pochodzie naprzód przez pustynie, stepy i lasy dziewicze? Dziś, gdy to piszę, Mohave w całej swej szerokości i długości przestała już być zaklętym krajem, o którym Indianin tylko podawał Indianinowi błędne wieści. Kolej południowa Oceanu Spokojnego (Southern Pacific Railroad) do Los Angeles dawno już skończona. Z Los Angeles jedna linia biegnie przez Anaheim, dalej na południe, ku San Diego; druga, skręcając się na wschód, przechodzi całą Mohave, przerzuca się przez góry San Gabriel i śnieżyste San Bernardino; za górami i za Agua Caliente znów zstępuje na pustynię i kończy się aż w forcie Yuma, na granicy Kalifornii, Arizony i Meksyku, niedaleko od ujścia Colorado.

Kalifornia słusnie chlubi się budową tych linii przyrównując trudy i zwyciężone przeszkody do trudów i przeszkód, jakie musieli łamać inżynierowie prowadzący wielką kolej Dwóch Oceanów. I słusnie. Może nawet łatwiej było budować na chłodnych płaskowzgórzach Ajowy, Nebraski, Wyomingu i Utah niż w tych bezwodnych pustyniach, w których żar słoneczny dochodzi do przeszło stu stopni²⁰ i w których przez dziesięć miesięcy w roku nie pada ani jedna kropla deszczu. W wielu miejscowościach, w których miały stanąć stacje, nie można było wcale dokopać się wody. Im posuwano się dalej, tym przeszkody stawały się większe. Miałki jak popiół piasek nie trzymał się pod pokładami: wiatry rozdmuchiwały nasy. Za pustynią nastąpiły niebotyczne szczyty San Bernardino, dalej jeziora suche i znów jeszcze bezpłodniejsza pustynia. Tysiące białych i Chińczyków pracowały od rana do wieczora ze zwykłym amerykańskim, gorączkowym pośpiechem, który największych przedsięwzięć nie lubi na lata rozkładać. Roboty wreszcie skończono. Fort Yuma został połączony z San Francisco i nowe kraje tak dla górnictwa jak i dla kolonizacji otwarte.

Wszystko to tym godniejsze uwagi, iż kolej ta nie jest dziełem całych Stanów Zjednoczonych, ale samej tylko Kalifornii. Wprawdzie wszystkie koleje są tu w rękach prywatnych kompanii, ale gdy akcjonariusze na linię Dwóch Oceanów rekrutowali się istotnie od Oceanu do Oceanu, akcje południowej drogi rozchodziły się przeważnie tylko w Kalifornii mającej sześćset tysięcy mieszkańców.

Ale tu wszystko idzie prędko. Mógłby ktoś powiedzieć, że też wszelka przedsiębiorczość prywatna, mając pod każdym względem rozwiązane tu ręce, więcej znajduje pola niż gdzie indziej. Z tym, jako z faktem uznanym, sprzeczać się nie będę, zauważę jednak, że tu, w Ameryce, też sama energia, która w rozwoju swym nie znosi żadnych ograniczeń, umiałaby wyzyskać wszelkie okoliczności, aby usunąć to, co by jej na drodze stawało.

Inne pytanie jest: czy takie koleje prowadzone przez kraje puste do jakichś placówek cywilizacji, jak np. fort Yuma, opłacają się przedsiębiorcom? – ale i na to pytanie niepodobna inaczej odpowiedzieć, jak twierdząco. Przede wszystkim są to przedsięwzięcia obliczone na lata, na przyszłość. Arizona np. jest krajem dziś jeszcze prawie pustym, ale przedsiębiorcy liczą na to, że przestanie być pustym, gdy kolej ułatwi do niej drogę. Wiedzą dobrze, że bogactwa mineralne tego kraju, niewyczerpane kopalnie srebra, ściągają mnóstwo górników z całych Stanów; że za górnikami pójda handlujący, za tymi kolejno rolnicy; że powznoszą się miasta, powstanie przemysł, a w końcu prace i nakłady aż nadto obfity plon przyniosą.

Jednym słowem: w Ameryce koleje otwierają nowe kraje. Przy tym zachodzi jeszcze jedna okoliczność. Oto rządy stanowe w chęci popierania tak pożytecznych przedsięwzięć nadają

²⁰ Fahrenheita.

kolejom ogromne przestrzenie gruntów drogom przyległych. Następnie, gdy kolonie wychodźców przybywają z Europy z zamiarem osiedlenia się w Nowym Świecie, oczywiście wolą nabywać ziemie kolejowe niż wszelkie inne, najprzód bowiem można je nabyć tanio, a po wtóre ziemie te, leżąc wzdłuż linii, mają zapewnioną łączność z wielkimi ogniskami handlowymi, a tym samym i zbyt swoich produktów. Toteż zarządy kolejowe sprzedają rokrocznie setki tysięcy akrów koloniom niemieckim, irlandzkim, duńskim, szwedzkim, norweskim, a nawet i polskim. Koloniści osiadając gromadnie po kilkadziesiąt i więcej familii śmiało zapuszczają się w nieznaną stronę nie lękając się ani Indian, ani odległości, byle znaleźć ziemię urodzajną, dostatek wody i drzewa. Z czasem też dochodzą do zamożności i prowadzą życie spokojne. W ten sposób na pustyniach Wielkiego Zachodu powstają miasta, które przez swą odległość stanowią jakby zawiązki państw nowych; w ten sposób także ściągają się ludność w krainy puste, a „terytoria” zmieniają się z wolna w stany.

Stan taki rzeczy trwa do dziś dnia. Czytelnicy słyszeli zapewne o licznej i groźnej dla Galicji i Poznańskiego emigracji wieśniaków do Ameryki. Ludność ta wieśniacza, a zatem rolnicza, narażoną bywa częstokroć po przyjeździe na wielką nędzę po miastach; dlatego też istnieje w niej powszechne dążenie do osiadania na koloniach. Dążność ta objawiła się ze szczególną siłą w ostatnich czasach. Obecnie prowadzą się układy o nabycie od kolei kilkadziesiąt tysięcy akrów w Arkansas, między rzekami Arkansas i Missisipi, w kraju lesistym, zdającym pod uprawę zbóż wszelkich i bawełny, a przez pół jeszcze pustym. Inna znów partia, a raczej duchowni stojący na jej czele pragną wyprowadzić swe owieczki na stepowe, bezleśne pastwiska Nebraski; obie zaś partie prowadzą z tego powodu nader zaciętą polemikę, w której tak jedna jak i druga strona nie przebiera zarówno w środkach jak i w wyrażeniach.

Rozpisałem się obszernie w końcu niniejszego listu o kolejach, owa bowiem nieustraszona odwaga i przedsiębiorczość, z jaką są budowane, stanowi jedną z wybitniejszych cech amerykańskiego charakteru. Obecnie kto spojrzy na kartę Stanów Zjednoczonych, dostrzeże obok linii już istniejących mnóstwo innych, dopiero wytkniętych, które jednak w ciągu kilku lat zostaną ukończone. Linie te biegną, krzyżują się i łamią we wszystkie strony, pokrywając swą potężną siecią góry, pustynie, lasy i bezludne prawie zupełnie jeszcze stepy. Są w Oregonie, w Washington Territory, w Montana, w Idaho, w Dakota, Nebrascie, Colorado, Arizonie, New Meksyku, Teksasie i Indian Territory, słowem: w okolicach, w których przed kilkunastu laty, prócz niezliczonych trzód bawołów i uganiających się za nimi miedzianych jeźdźców strojonych w pióra, nie było innych panów. Ale to nie dosyć! Zuchwalsze jeszcze zamiary lęgną się już podobno w głowach Jankesów. Za mało już im Stanów Zjednoczonych, więc chcieliby okuć w żelazną sieć całą tę część świata nie tylko w jej szerokości, ale i w długości. Czy te zamiary przyjdą do skutku? Doprawdy wątpić niepodobna, bo energia tego wolnego ludu istotnie nie zna niebezpieczeństw, a jednym prawdziwym hasłem jego jest: „Go ahead!”

XII

SZKICE AMERYKAŃSKIE

I

Wyoming • Zamierzona wyprawa • Góry Skaliste • Przygotowania • Trochę geografii • Góry i rzeki Wyomingu • Droga do Omaha • Różnica między Górami Skalistymi a Sierra Nevada • Kraina skał i kamieni • Cheyenne • Charakter i zajęcia mieszkańców • Pierwsze wrażenia • Mała ludność kraju • Forty środkowe • Klimat Wyomingu • Kaniony • Pokolenia indyjskie • Bawoły jako warunek istnienia Indian • Wędrówki bawolów • Polowania • Zmniejszanie się ilości bawolów • Wielka przeszkoda wędrówek • Schronienia • Kaniony jako zwierzyńce

Nie pisałem do was dawno, ponieważ długi czas spędziłem w Wyomingu na wyprawie myśliwskiej, która trwała przeszło miesiąc. Towarzystwo sportsmenów w San Francisco, złożone z bogatych ludzi, często nie wiedzących, co robić z pieniędzmi, przesłało mi zaproszenie do owej wyprawy wraz z biletem na podróż do lasu i na powrót. Zrozumiecie łatwo, że nie namyślałem się długo. Na drugi dzień po odebraniu zaproszenia udałem się do naczelnika przyszłej wyprawy, pana Woothrup, którego poznałem na parę miesięcy przedtem. Chciałem dowiedzieć się czegoś i o samej wyprawie, i o przygotowaniach, jakich wymagała. Objasnienia jego zwiększyły tylko moją ochotę wzięcia w niej udziału. Miała się składać ze dwudziestu przeszło ludzi wraz z końmi, wozami krytymi płótnem, z zapasami żywności, amunicji i tak dalej. Koszt jej obliczał się zapewne na setki dolarów, ten jednak względem mnie, jako zaproszonego gościa, nie dotyczył. Co do przygotowań moich osobistych, to nie licząc broni, której nie potrzebowałem kupować, koszt ich ograniczał się na zakupieniu dwóch kołder flanelowych i futrzanej czapki. Miałem za to perspektywę przepędzenia miesiąca czasu w Górach Skalistych (Rocky Mountains), wśród zapóźnionej już pory roku i wśród wojowniczych pokoleń indyjskich, a wreszcie wśród rozmaitego rodzaju niebezpieczeństw, na jakie narażają się polujący na bawoły.

Dla mnie, który mam pociąg do takiego życia, a po trochu już i do niego przywykłem, była to perspektywa powabna; kupiłem więc jak najspieszniej dwie kołdry, opatrzyłem broń rdzewiejącą nad łóżkiem w mieszkaniu Horaina, nabyłem jeszcze nowy nóż, stary bowiem zламаłem w Maripozie, i byłem gotów. W dwa dni później wyruszyliśmy na wschód. Drogi tej nie będę opisywał, ponieważ opisywałem ją już poprzednio. Przez całą długość Wyomingu przechodzi na południowej granicy linia kolei Dwóch Oceanów. Licząc od zachodu, nim się do niego dojedzie, przejeżdża się przez trzy stany: Kalifornię, Nevadę, Utah. Sam Wyoming stanowi obszerne płaskowzgórze przecięte z północo-zachodu na południowo-wschód pasmem Gór Skalistych i rozmaitymi odrzutami tegoż pasma, noszącymi nazwy Gór Czarnych,

Gór Słodkiej Wody itd. Pomocna część terytorium przybiera charakter bardziej stepowy, a raczej jest częścią olbrzymich łąk (prerii) zalegających wschód Montany, zachód Dakoty, całą Nebraskę, Jowę itd. W tej części wznosi się tylko jedna, samotna grupa Gór Wielkorożnych (Big Horn Mts.) leżących na samej granicy Wyomingu i Montany. Pomiedzy wspomnianymi pasmami, a dalej między głównym grzbieciem Gór Skalistych a pomniejszych odrzutami ciągną się tak zwane kaniony, to jest płaszczyzny zawierające ziemię urodzajną, pokryte trawą i gdzieniegdzie drzewami. Środkiem kanionów, rozszerzających się czasem na setki mil, czasem zwężających się w proste gardła górskie, płyną strumienie, rzeczki i rzeki, w ogóle jednak wód tych jest skąpo i kraj cały nie ma ani jednej znakomitszej drogi wodnej. Większa część rzek i dorzeczy bierze początek w Wyomingu, nie może się więc należycie rozwinąć, skutkiem czego też same rzeki, które w sąsiednich stanach odznaczają się już znaczną obfitością wód, w Wyomingu tworzą niezbyt godne uwagi koryta. Najznakomitszą rzeką jest Platte River, a raczej jedna jej odnoga nosząca nazwę: Północnych Wideł Rzeki Platty, jest bowiem i druga odnoga (Południowej Widły), która nie leży już w Wyomingu. Inne, jako to: Big Horn R. na północy, Powder R. również na północy, Cheyenne na północo-wschodzie i źródła Zielonej Rzeki na południu, tworzą początki koryt skąpo zasilanych strumieniami, a żyjących głównie śniegiem topniejącym w Górach Skalistych w czasie letnich upałów. Ten brak wielkich wód, skalistość gruntu lub jednostajność stepowa kanionów nadają całemu krajowi charakter groźny, ponury i demoniczny.

Gdy pociąg kolei idący na wschód wpadnie między owe kamienne złomy, mury, korytarze i wąwozy Gór Skalistych, podróżnemu zdaje się, że nie wyjedzie z nich nigdy i że nie ma wcale wyjścia z tego chaosu przepaści, szczytów i skał. Droga tu skręca się ustawicznie. Gdym stał na platformie wagonu, widziałem nieraz lokomotywę to ginącą za jaką kamienną ścianą wraz z częścią bliższych wagonów, to znów skręcającą po wklęsłym boku góry tak, że wydało mi się, iż zawraca na powrót do Kalifornii. Nigdzie droga nie opisuje tak wielu i tak pogiętych łuków. Czasem pociąg idzie po boku góry, jakoby po wrębie niezmiernie spadzistej pochyłości, mając po lewej stronie niebotyczny szczyt, po prawej niezgłębioną przepaść. Nieprzywykłego do podobnych dróg podróżnika ogarnia wówczas po prostu przerażenie. Dach wagonu z jednej strony zdaje się ocierać o skałę, a z drugiej dolny jego zrąb wisi nad przepaścią, nie oddzielony od niej żadną poręczą. Co chwila zdaje się, iż droga urwie się nagle pod kołami pociągu, że musi się urwać i wszystko runie w przepaść na jakie tysiąc stóp głęboką. Innym razem myślisz znów, że pociąg pędzi jak rozwścieczony zwierz wprost na skałę, że chce przebić sobie drogę przez górę. Już, już zdaje się, że lokomotywa ma się uderzyć i rozbić na setne części, gdy nagle otwiera się na prawo lub na lewo jakaś niewidzialna z daleka paszcza i pociąg wpada w nią nagle, ginie na chwilę w ciemnościach, a potem znów wypada na światło dzienne bijąc w dzwon, świszcząc, hucząc.

W Sierra Nevada wszystko składa się na to, aby widza oczarować, w Górach Skalistych – aby go przerazić. W Sierra Nevada nie brak także skał i przepaści, nieraz i tam pociąg zdaje się jakoby zawieszony w powietrzu, ale z tych wysokości widzisz tarasy górskie pokryte lasem sosnowym; ciemna zieleń boru cudnie odbija od czerwonych skał; po bokach drogi bluszcz i powoje pną się, gdzie mogą, nad pociągiem krążą ptaki. W dolinach, głębokich na tysiąc stóp, roślinność rozwija się z cudowną siłą; wszędzie widać życie i ożywienie, widać ludzi; widać chaty drwali, stosy zrąbanego drzewa, tartaki, bydło chodzące po zielonych łąkach – tu nie ma żywej duszy: ani człowieka, ani drzewa; kamień, chmury, deszcz, śnieg, wichry – oto wszystko. Kamień zapada się w otchłanie, kamień rozdziera chmury w górze, miesza się ze mgłą i tumanem, kamień wisi, ciąży, ugniata, przebiera miarę wielkości, staje się potwornym, staje się czymś gniewnym, złym i rozszalałym, nie przestając być czymś milczącym i umarłym. Kto nawalił tak bezmyślnie, a tak strasznie tych skał, jedno na drugie, że wzrok nie może sięgnąć ich szczytu? Kto kazał im tak wisieć? Dlaczego spotrzebowano tyle siły na stworzenie tego kamiennego kraju, nie: tej pustki, tej śmierci, tych kamiennych żeber,

szkieletów, murów, wież, kościołów? Po co to wszystko? Dlaczego? Umysł ludzki tak jest zorganizowany, że zawsze pyta: dlaczego? zawsze chce wiedzieć przyczynę, zawsze szuka celu. A ta kamienna kraina olbrzymiej bezmyślności nie zaspokaja tych pytań, nie odpowiada nic, milczy – śpi. Stąd powstaje pewien rozbrat między nią a ludzkim umysłem i zmysłami. Rozbrat ten to coś równie ciężkiego, równie ugniatającego człowieka, jak kamień. To nowa przepaść, w którą się zapuszcza oczy, a nie widzi się jej dna. Ot! rozum po prostu mówi, że tą siłą, która wzniosła owe góry, można by stworzyć cały świat żywy, żyjący, kochający, szczęśliwy, że więc ta siła mogłaby być bardzo błogosławioną i dobrą, gdyby nie była... ślepą.

Indianie mówią, że te góry stworzył zły duch. Amerykanie zdają się to potwierdzać, przyczepiając nazwę Devil do większej części owych bram kamiennych, schodów i wąwozów. Ale diabeł rzadko bywa bezmyślny: okolica zaś ta wygląda tak, jakby demon, który ją stworzył, stworzył ją w chwili pomieszania zmysłów.

Kraina też to, której ludzie, jeżeli nie odkryją w niej jakich bogactw mineralnych, długo unikać będą. W owe góry, nad rzeki, dorzecza i w kaniony zapuszczają się tylko strzelcy najmowani przez kompanie handlujące futrami lub samotni traperowie. Wyoming jest dotąd terytorium, nie stanem, i zapewne nieprędko stanem zostanie. Główne miasto, Cheyenne, leżące niedaleko granicy Nebraski, jest po prostu znacznieszą stacją kolei żelaznej, koło której skupiło się nieco ludności trudniącej się cokolwiek rolnictwem, cokolwiek handlem, a głównie polowaniem i wymianą skór z Indianami. Naturę kraju i główne zajęcie mieszkańców podróżnik może odgadnąć na pierwszy rzut oka. Pamiętam, że gdym jadąc do Kalifornii przybył do Cheyenne, pierwszym przedmiotem, jaki uderzył oczy moje na dworcu kolei żelaznej, był szary niedźwiedź wypchany, ustawiony we drzwiach kolejowego dworca, tak wielki, że lubo siedzący na tylnych nogach, przenosił o głowę mężczyzn wysokiego wzrostu. Drugi, mało co mniejszy, ale żywy, zamknięty w drewnianej budzie opatrzonej żelazną kratą, kręcąc się po ciasnym więzieniu przysiadł za zbliżeniem się ludzi i przymknawszy oczy, otwierał paszczę, w którą podróżnicy wrzucali jabłka, orzechy, a nawet i kawałki cygar. Kudłate, olbrzymie łby bawołów poprzybijane nad każdymi drzwiami dopełniały charakterystyki kraju. Mieszkańcy miejscowi, którzy przybyli widzieć pociąg, ubrani w futrzane czapki i podarte kołdry flanelowe często znaczone: U.S. (United States), a zbrojni w długie karabiny, zdradzali ludzi, dla których myślistwo jest głównym sposobem życia. Jakoż tak jest i tak być musi w każdym kraju dzikim i niezamieszkałym.

Prócz Cheyenne i prócz stacji kolei nie ma w Wyomingu żadnych innych miast. Niektóre stacje tworzą czasem osady liczące po kilka i kilkanaście domów, inne są tylko samotnymi domami stojącymi na pustyni. Wzdłuż całej linii nie widziałem ani jednej farmy, ani jednej osady. Miedzy jedną stacją a drugą daleko jest łatwiej ujrzeć antylopę lub niedźwiedzia jak człowieka. Jest to kraj całkowicie jeszcze przez białych ludzi nie zamieszkały. W głębi jednak znajduje się kilka fortów położonych w pobliżu rezerwacji indyjskich, jak to: najniżej na południu fort Laramie, w środku fort Casper, wyżej nieco fort Reno i najdalej na północ posunięty Kearny. Forty te zamieszkałe są przez nieliczne oddziały żołnierzy zostające pod dowództwem kapitana, w którego kwaterze przemieszkuje zwykle zarazem komisarz do spraw indyjskich, pośredniczący między rządem Stanów a pokoleniami. Zresztą, tylko w Czarnych Górach roją się już biali ludzie zwabieni odkrytymi tam kopalniami, resztę zaś kraju zajmują dzikie zwierzęta i Indianie.

Przyczyną małego zaludnienia się Wyomingu jest także i jego zimny klimat. Wyoming stanowi szczyt olbrzymiego płaskowzgórza zalegającego cały środek Stanów Zjednoczonych. Jadąc do Wyomingu, bądź to od strony zachodniej z Kalifornii, bądź od wschodniej z Chicago, jedzie się ciągle pod górę. Cheyenne, stolica kraju, leży na 6041 stóp nad poziom morza. Niedaleko Cheyenne, licząc od Missouri, zaczynają się pierwsze domy śnieżne (snow-houses), to jest: długie galerie drewniane ciągnące się czasem na kilkanaście mil, broniące pociągów od zasp śnieżnych. Najwyższa stacja Sherman leży na 8242 stóp. Okolice Sherman

słynie z mnóstwa niedźwiedzi, które nie lękają się ustawicznej zimy. Na Shermanie pada śnieg latem i zimą, przy czym powietrze tak jest rozrzedzone, że z trudnością można oddychać. Od tego punktu grunt poczyna się zniżać lekko w stronę Utah, zawsze jednak wznosi się na kilka tysięcy stóp nad poziom morza. Mogę powiedzieć, że wyjechawszy w końcu października z Kalifornii, widziałem w ciągu kilku dni cztery pory roku: lato w Kalifornii, wiosnę na zachodnich stokach Sierra Nevada, jesień w posepnej Nevadzie i Utah, a zimą w Wyomingu. Diabła Droga i Diabła Brama, przez które przejeżdżać trzeba chcąc się dostać do środka tego kraju, wydały mi się drogą i bramą zimy. Poglądając na okolice z ciepłego sleepingkaru (wagony z łózkami), urządzonego jak salon, ogrzanego, oglądając na moich towarzyszy wyprawy, dżentelmenów pierwszej wody, porozpieranych na aksamitnych fotelach lub zasiadających przed wykwintnie zastawionymi stołami, gawędząc z nimi, jedząc i pijąc, nie mogłem zrozumieć, jak może udać się nasza wyprawa w takim kraju, w takich warunkach i z takimi ludźmi. Trzebaż będzie, myślałem sobie, spędzać noce wśród jesiennej pory pod gołym niebem, na wozach czasem, a czasem i bez wozów, przy ogniskach, znosić mróz, wicher, przebywać zaspę śniegową, trzymać nocą straż za majdanem od Indian i dzikich zwierząt, a wreszcie dążyć naprzód w kraju bezludnym, bezdrożnym i przepelnionym trudnościami.

Ale przede wszystkim strach mój przed zimnem okazał się w daleko większej części płonnym. Zimny klimat Wyomingu tłumaczy się nie szerokością geograficzną jego położenia, ale tylko wyniesieniem nad poziom morza. Południowa część terytorium, ta właśnie, którą mieliśmy zamiar splądrować, nie jest dalej położona na północ jak Hiszpania, Włochy, Turcja itd. Wprawdzie różnica klimatyczna między tymi krajami jest niezmierna, raz dlatego, że w ogóle Ameryka w porównaniu z Europą jest pod tymiż samymi stopniami zimniejsza, po wtóre, że jak już wspomniałem, znaczna część środkowego płaskowzgórza amerykańskiego dosięga linii śnieżnej. W głębokich jednak kanionach, wyniesionych niezbyt znacznie nad poziom morza i osłoniętych ze wszystkich stron górami, zima nie bywa tak surową, jesień zaś zdarza się nawet piękna i pogodna. Te to właśnie kaniony służą za schronienie dość licznyemu pokoleniom indyjskim należącym częścią do plemienia Utes, częścią do Poncas i do Siouxów. Prócz tego są to prawdziwe zwierzyńce rojące się mnóstwem najrozmaitszych zwierząt. Szary i cyrnonowaty niedźwiedź, kuguar, wilk są głównymi przedstawicielami drapieżników. Z mniejszych mięsożernych znajdują się obficie rysie, kory dzikie, i wszędobyłe kujoty, których żałosne skomlenie napelnia nocami, tak tu jak i w Kalifornii, wąwozy górskie. W dorzeczach Północnych Widel Platty, w jeziorkach i strumieniach, których brzegi pokryte są lasem w źródłach Green River, w Medicina River i Powder R. gnieźdzą się jeszcze gdzieś tam osady bobrów, wiodące pracowity i mało dotychczas niepokojony przez białych strzelców żywot. Trawa rosnąca w kanionach i mchy w górach dostarczają pokarmu licznyemu stadom antylop, jeleni, sarn, gienz. Z okien wagonu można dostrzec całe kolonie piesków ziemnych i wiewiórek (squirrels), które Indianie, a nawet i biali uważają za najcenniejszy przysmak.

Głównym jednak przedstawicielem świata zwierzęcego jest bawół (buffalo). Istnienie Indian w Montanie, Idaho (Ajdaho), Dakocie i Wyomingu oraz w wielu innych terytoriach, gdyby nie bawoły, byłoby niemożliwe. Całe pokolenia i plemiona indyjskie żyją mięsem bawolim. Ze skóry bawolej robi sobie Indianin swój wigwam; sypia na skórze bawolej, okrywa się nią, wyrabia z niej odzież, siodła, postronki, słowem, wszystkie rzeczy codziennego użytku i niezbędnej potrzeby. Bardzo często przyczyną rozruchów indyjskich i wojen czerwono-skórych ze Stanami bywają pośrednio bawoły; gdy bowiem ilość ich zmniejszy się w jakiej okolicy, Indianie z głodu mrą, a nie mając innego środka puszczają się na mordy lub rabunki albo wymagają od rządu St. Zjednoczonych rozszerzenia swego terytorium, co często ze względu na inne plemiona bywa rzeczą niemożliwą. W Wyomingu jednak bawoły znajdują się jeszcze w wielkiej obfitości. Żyją bądź to w stadach mniej lub więcej licznych, bądź po kilka sztuk, bądź nawet pojedynczo. Te ostatnie zowią się „odłączonymi” i bywają najłatwiej-

sze do upolowania. Zwierzęta te mają okresy swych wędrówek. Przed zimą łączą się zwykle w wielkie stada i udają się ku południowi szukając nie zasypanych śniegiem pastwisk. Dla Indian też czas ten nazywa się czasem „wielkich łowów”. Za stadem ciągną Indianie, kuguary, niedźwiedzie, wilki, tocząc często krwawe walki o łup. Czerwonoskórzy strzelcy, zapędziwszy się za zdobyczą, nieraz przekraczają granice swoich terytoriów gwałcąc w ten sposób terytoria obcych pokoleń. Jest to właśnie główny, a niemal jedyny powód owej wojny wyćpienia, jaką Indianie prowadzą między sobą; każde bowiem pokolenie broni swych granic z tym większą wściekłością, że idzie o bawoły, czyli po prostu o byt myśliwców, a również każde pokolenie własne granice przekracza.

Jednakże prócz wędrówek jesiennych bywają i inne. Zdarzają się wiosenne na północ i letnie w rozmaite strony. Te ostatnie powoduje głównie susza, pociągająca za sobą wyniszczenie paszy i brak wody. Nigdy jeszcze zwierzęta nie opuściły całkowicie danej okolicy. Zostaje ich zawsze dosyć w pojedynczych mniejszych stadkach lub odłączonych, które w tak zmniejszonej ilości łatwiej znajdują pokarm.

Polowanie na nie przedstawia wiele niebezpieczeństw. Gdy zwierzęta uciekają przed myśliwymi, ci ostatni zabijają je z łatwością bądź ze strzelb, bądź lancami, bądź wreszcie chwytając pojedyncze sztuki na lasso. Czasem jednak, zwłaszcza starym samcom, gdy nie ma innego ocalenia, przychodzi do głowy bronić się. Wówczas scena się zmienia. Strzelcy umykają konno na wszystkie strony, bawoły zaś gonią ich z zakrwawionymi oczyma i z głuchym rykiem. Na wiosnę, w czasie rui, polowania bywają niebezpieczniejsze niż jesienią. Niezmierne upały letnie i brak wody rozdrażniają także te zwierzęta. Samce zebrawszy się w łożysku rzeki bodą muł, nalepiając przez to na kudły głowy taką ilość gliny, że po wyschnięciu żadna kula jej nie przebije; rozkopują racicami grunt, ryczą i rzucają się częstokroć wzajemnie na siebie. Wówczas to niebezpiecznie jest ukazywać się nagle stadu nie spłoszywszy go wprzód wyciem, krzykiem i strzelaniną, jak to zwykle czynią Indianie.

Obecnie jednak wędrówki te, o których wspomniałem, zostały w znacznej części ograniczone. Dawniej, według tego, com słyszał, bawoły z północnych terytoriów wędrowały aż do Colorado, Nowego Meksyku, Indian Territory i Teksas; teraz zaś linia kolei żelaznej stanowi dla nich zaporę. Bawoły lękają się jej przestępować. W początkach nie tylko podobno się nie lękały, ale nieraz musiano wstrzymywać pociąg z powodu stad pasących się koło drogi lub leżących na samej linii. Mówiono mi, że potężne samce, poczytując zapewne lokomotywę za jakieś zwierzę pokrewnego sobie rodzaju, pochylały potężne łby za jej zbliżeniem się, jakby wyzywając ją do walki, i oczywiście walka taka kończyła się zgnieceniem w mgnieniu oka zwierzęcia i wyrzuceniem jego niekształtnego trupa na odległość kilkunastu kroków. Otóż może tego rodzaju nauki, a może krwawe rzezie, jakie wyprawiali i podróżnicy z okien wagonów, ustawiczny na koniec ruch na linii kolejowej, dzwony i świst maszyny, wszystko to sprawiło, że zwierzęta te nie tylko nie zbliżają się do pociągów, ale boją się nawet przechodzić przez szyny, choćby w miejscach najbardziej pustych.

Dziś więc, kto chce szukać bawołów, musi ich szukać nieco dalej, w głębi kraju bezludnego jeszcze. Nieliczne pokolenia indyjskie zamieszkujące rezerwacje nie pokrywają nawet w setnej części całego terytorium; tam więc zwierzę chroni się przeważnie i tam mieliśmy go też szukać pod przewodnictwem doświadczonych stepowych strzelców.

XIII

SZKICE AMERYKAŃSKIE

I

Przybycie do Percy • Wybrany kanion • Wozy, konie i muły • Karawana • Przewodnicy • Pierwsi Indianie i Indianki • Przybycie komisarza indyjskiego • Obietnice ze strony Utów • Regulamin wyprawy • Naczelnik obozowy i jego obowiązki • Naczelnik myśliwski • Lewa Ręka • Mówka Lewej Ręki • Wieczera u Irlandczyka • Pierwszy nocleg na wozie • Przyjaciel Ward • Ciągłe kłótnie • Naczelnik Woothrup • Inni towarzysze • Ranek • Zaprzeganie mułów • Sposób ruszania z miejsca • Metysowie: Smith i Bull • Góry Słodkiej Wody (Sweet Water Mts.) • Północne Widły Platty • Czarne Góry (Black Hills) • Posępny widok Czarnych Gór • Kierunek Północnych Widel • Sąsiedztwo wody • Zarośla • Pierwszy strumień • Antylopy • Pierwszy strzał • Lunch • Nocleg na stepie • Wybór miejsca • Muły • Chwile trwogi • Straże • Stampedy indyjskie • Jak kradną muły i konie? • Obozowisko widziane z ciemności • Myśli o Europie • Nawoływania straży • Sen ze zmęczenia • Przebudzenie • Jednostajne dni • Boczne kaniony • Nieobecność ptaków • Kaniony kalifornijskie i Wyomingu • Zniechęcenie • Zły humor Lewej Ręki • Ryś • Drugi ryś i ruch lassa • Unikam walki noży • Bowie-knife i sposoby używania go • Zwierz fixed • Placówka indyjska • Ślady Indian • Alarm w obozie • Obawa stampedu • Rady starego strzelca • Noc na straży • Próżna trwoga • Ślady bawołów • Pierwszy bawół • Wypadek naczelnika karawany z niedźwiedzicą • „Falszywy koniec” drzewa • Pochwytany niedźwiadek

Zamiarem naszym było spolować obszerny kanion ciągnący się między dwoma równoległymi pasmami Gór Słodkiej Wody (Sweet Water Mts.). Kanion ten nosi nazwę kanionu Północnych Widel Platty, środkiem jego bowiem płynie rzeka tegoż nazwiska (North Fork of Platte R.). Improvizowany naczelnik naszej wyprawy, M. Woothrup (Uutropp), wysłał poprzednio list polecający go do p. Mac Clell, komisarza rządowego rezerwacji indyjskiej Utów, do których należy kanion wspomniany, pan Mac Clell zaś miał porozumieć się z naczelnikami indyjskich wojowników i wyrobić nam nie tylko prawo bezpiecznego pobytu, ale i wszelką pomoc z ich strony. Przy pieniądzach, jakie rozrzucali na wszystkie strony moi towarzysze, wszystko, z początku przynajmniej, szło i łatwo, i składnie. Przybywszy do Percy, stacji leżącej nad North Fork of Platte R., zastaliśmy już wszystko przygotowane. Wozy dla nas wraz z mułami i końmi wierzchowymi nadeszły z Cheyenne. Do każdego wozu przydany był mulnik, razem więc sześciu mulników do sześciu wozów, nie licząc dwóch przewodników Metysów: Smitha i Bulla, oraz starego strzelca zwanego Left Hand (Lewa Ręka, mańkut), którego prawdziwego nazwiska nie mogłem się dopytać, ale z którym zaprzyjaźniłem się wielce od razu. Gdym wyszedłszy z wagonu przypatrzył się wozom i całemu stadu mułów

przeznaczonych do ich ciągnięcia (po ośm do wozu, prócz zapasowych), sądziłem, że jedziemy zakładać jakie nowe miasto na pustyni. Wozy te, ogromne, na ciężkich kołach wyrobionych z niezmiernie twardego drzewa hicoro są to prawdziwe domy. Dachy ich, kryte matami i grubym pasiastym płótnem pitsburskim, stanowią wyborną ochronę od deszczu, śniegu i wichru. Wnętrza mogą pomieścić do dziesięciu osób. Zapasy żywności, składające się z suszonego mięsa, sucharów, ryżu, puddingów, wina i wszelkiego rodzaju konserwów, były wystarczające na kilka miesięcy, zwłaszcza że mogliśmy je odnawiać świeżą zawsze zwierzyną. Mieliśmy także potężną ilość wódki i tytoniu, dwóch artykułów najwięcej cenionych przez Indian. Siedzenia wozów przeznaczonych nie na zapasy, ale na noclegi, wysłane były skórami bawolimi, z których jedna miała służyć za materac, druga za kołdrę. Niepodobna też wymyśleć przykrycia bardziej ciepłego i bardziej ochraniającego od wszelkich zmian atmosferycznych. Wybieraliśmy się, w całym znaczeniu tego słowa, dostatnio i wygodnie. Wozy były ustawione już na stepie w dobrym porządku – tylko zaprzęgać i jechać, muły i konie wierzchowe stały tuż obok dworca kolejowego w ogrodzeniu, pod nadzorem mulników – gdy tymczasem przewodnicy nasi, Metysowie, kręcąc się tu i ówdzie, po raz ostatni przepatrywali, czy wszystko jest w dobrym porządku.

Dla Percy przybycie wozów, mułów, koni i nasze wreszcie było wypadkiem wielkiej wagi. Indianie, których kilka obdartych wigwamów stoi koło stacji, okoliczni mieszkańcy, a raczej mieszkańcy sąsiednich stacji, poschodzili się i pojeżdżali oglądać dżentelmenów z San Francisco. Pusta zwykle stacja zaroїła się ludźmi i gwarem ludzkim. Indianie, poubierani w derki z literami U. S., umalowani na nosach i policzkach na czarno, przy tym brudni i obdarci, przyglądali się nam i naszej broni jakby czemuś, czego nie oglądali nigdy jeszcze; nadeszły i ich skwawy z dziećmi na plecach, zamkniętymi w łubianych kobiałkach; pochylone, brzydkie, zwiędłe, stare, z włosami spadającymi na oczy, podobne jak dwie krople wody do Cyganek. Poczęły wyciągać ręce i żebrać, z początku lęklawie, potem, zachęczone obfitymi datkami, natarczywie i głośno. Za ich przykładem poszli i mężowie. Zrobił się hałas i wrzawa nie do opisania, psy szczekały, muły w ogrodzeniu poczęły kwiczeć, mułnicy kłąć. Powiedziałem Woothrupowi, abyśmy ruszyli natychmiast; on jednak pragnął najprzód ułożyć regulamin podróży, a po wtóre doczekać się wiadomości od Mac Clella, które miały nadejść wieczorem. Jakoż wieczorem przyjechał z Cheyenne sam Mac Clell, człowiek niezmiernie ugrzeczny, o twarzy najbardziej złodziejskiej, jaką sobie można tylko wyobrazić. Oświadczył, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, że Utanie obiecali mu także wszystko, co będzie w ich mocy, że mają nam dodać eskortę przy Medicine R., słowem, że możemy być zupełnie bezpieczni. Mówiąc to podchlebiał się i umizgał do moich towarzyszków, nie dlatego żeby mu na nich coś zależało, ale ponieważ wiedział, że większość z nich należy do bogatszych ludzi w San Francisco. Tegoż dnia wieczorem ułożony został dzienny porządek wyprawy. Naczelnikiem jej miał pozostać, jak dotąd, Woothrup. Do niego należało doglądać porządku w pochodzie, wyznaczać godziny spoczynku i miejsca na przystanki, urządzać obozowiska, rozstawiać straże, godzić sprzeczki, jeśliby jakowe między towarzyszami wynikły, czuwać nad zapasami żywności, wydzielać z nich odpowiednią ilość za każdym razem, a na koniec wyznaczyć kierunek wyprawy, w czym mógł zasięgnąć rady swego Mańki i dwóch Metysów przewodników, jako najlepiej z krajem obznajmionych. Stowarzyszonym zostawiona była wszelka swoboda. W czasie pochodu, gdzie nie zachodziła potrzeba trzymania się razem, mogli konno albo pieszo odłączać się od karawany i przetrząsać okolice, nie pojedynczo jednak, ze względu na bezdroża, Indian i niedźwiedzi, ale po dwóch najmniej. Postanowiliśmy także nie oddalać się od karawany dalej nad dwie lub trzy mile, aby w potrzebie mogła nadejść spieszna pomoc. Prócz tego, w razie gdyby przewodnicy odkryli stada bawołów, antylop lub szarego niedźwiedzia, mieliśmy działać wspólnie pod wodzą osobnego naczelnika, którego specjalnym obowiązkiem było kierować myśliwskimi obławami. Grzeczni Amerykanie chcieli mi ofiarować ten ostatni urząd; ja jednak nie mając znajomości kraju i uczestnicząc po raz pierwszy w wypra-

wie na bawoły, wymówiłem się od niego przedstawiając na moje miejsce starego Lewą Rękę, który, jakkolwiek człowiek prosty i nieokrzesany, miał pod tym względem najwięcej doświadczenia. Propozycja moja była przyjęta jednomyślnie, co wielce pochlebilo starymu i zyskało mi szczególną jego przyjaźń. Powiedział nam przy tej okoliczności speech dość zabawny: „Dzentelmeni! – rzekł poprawiając swoją futrzaną czapkę i splunawszy potężną ilość żutego tytoniu – ludzie mówią, że dość często używam a little whisky (po trochu wódki), ale zareczam wam, że nikomu nic do tego, i przysięgam na tę rękę, że nie upijam się więcej nad dwa albo trzy razy do roku. Prócz tego chcę być powieszonym, jeśli nie znam tak dobrze gór, jak każdy chrześcijanin chodzący na dwóch nogach w Wyomingu. Co się tyczy Indian (stary wymawiał „indżus”) – I don’t care (nie dbam o nich) – i to wszystko jest bardzo dobrze. Dziękuję wam, dzentelmeni, i goddam mój język! że nie umiem lepiej podziękować!”

Po tej zarówno rozczulającej, jak trafiającej do serca przemowie stary strzelec włożył nowy zwitek tytoniu do ust i odszedł do mulników, po czym wszyscy razem udaliśmy się na wieczerzę do szynku a zarazem i piekarni stojącej koło stacji. Wieczerza składała się z sardynek, jaj, szynki i japońskiej herbaty z wódką, którą piliśmy w blaszankach, w jakie każdy zopatrzył się jeszcze w San Francisco. Po wieczerzy i pomyciu naczyń przyszedł czas na spoczynek. Gospodarz jednak, Irlandczyk z twarzą obrzękłą od pijaństwa, ofiarował nam nocleg w szopie, gdzie, jak mówił, było kilka ton słomy jęczmiennej, ale my, chcąc przyzwyczać się do naszego przyszłego życia, postanowiliśmy spać na wozach, na których zresztą było może wygodniej niż w szopie. Na dworze było ciemno, a przy tym wiatr z pustyni północy przejmował do żywego. Obwinawszy się jednak w skórę bawołą i mając takąż drugą pod sobą wkrótce uczułem błogie ciepło rozchodzące się po kościach. Ale kwik mułów gryzących się w ogrodzeniu i klątwy mulników, którzy nadeszli, aby je uspokoić, nie pozwalały nam zasnąć. Zapaliliśmy więc fajki i poczęli gawędzić. Na wozie było nas czterech: Woothrup, Thompson, Ward i ja; Ward, którego znałem z Bohemian Clubu blisko od roku, a z którym sprzeczałem się od pierwszego poznania, począł ze mną zwykłą dysputę o Kalifornię. Urodzony i wychowany w Kalifornii, z ojca Amerykanina a matki Hiszpanki, nie chce przyznać, aby istniał jakikolwiek kraj pod jakimkolwiek względem od Kalifornii doskonalszy. Nieraz sprzecza się ze mną o rzeczy tak błahe, że inni śmieją się z niego i przezywają go Crazy Ward (Szalony Ward). Dość, abym przy śniadaniu lub obiedzie zrobił uwagę, zresztą prawdziwą, że owoce i kartofle kalifornijskie, lubo większe od europejskich, nie są tak smaczne, a Ward zrywa się i wykrzyknawszy: „by God!” poczyną ze mną kłótnię. Pierwszego noclegu na wozie posprzeczailiśmy się o wyścigi. Kwik mułów i koni sprowadził rozmowę na te zwierzęta, a następnie wyścigi konne, które w Kalifornii odbywają się wozami. Gdym powiedział, że wyścigi takie nie mają sensu, Ward odrzucił skórę bawołą, którą był nakryty, zerwał się, uderzył głową o pułap wozu, przewrócił się, upadł na flegmatycznego Thompsona i rozpoczęła się zwykła wojna, którą przerwało dopiero chrapanie Woothrupa. Mimo tego jednak Ward trzymał się ze mną najbliżej i oddał mi potem w ciągu wyprawy niemałe usługi pilnując mię, gdym zasnął, jak brat. Co do dwóch innych moich towarzyszy, Thompson jest to flegmatyczny Anglik, długi, chudy, z oczyma i ustami, których końce spuszczają się na dół, co wszystko robi go podobnym do karykatury wyciętej z papieru. Sympatyczniejsze wrażenie robił na mnie Woothrup, człowiek niemłody już, ale światowy, bogaty, mający tylko tę wadę, że lubi opowiadać anegdoty, które pod wszystkimi szerokościami geograficznymi słyszałem opowiadane jako miejscowe po tysiąc razy. Z innych towarzyszy podróży znałem poprzednio tylko jednego O’Leary, bogatego właściciela browaru w San Jose, na którego kosztowne wyprawy myśliwskie i żeglarskie pracowały dzień i noc beczki piwne we wspomnianym mieście. Z pozostałymi zaznajomiłem się dopiero w czasie wyprawy. Nazajutrz rano wyruszyliśmy świtem w drogę. Czytałem czy też słyszałem, nie pamiętam gdzie i od kogo, że zaprzęganie mułów do wozów odbywa się z wielkimi trudnościami, że potrzeba je chwycić na łaśsa, zaprzęgać jednocześnie do wszystkich wozów, że mulica ubrana w dzwonki musi iść naprzód,

aby karawana mogła wyruszyć, i tak dalej. Wszystkiego tego nie widziałem. Być może, że podobne ceremonie potrzebne są z mułami, które poprzednio nie były zaprzęgane, które chodząc po stepie w stadach, większą część życia spędzają w stanie półdzikim. Ale nasze łatwo poddawały się ludziom, pozwalały zakładać na siebie szleje i prowadzić się do wozów. Prawda, że są to zwierzęta dosyć niezgodne i gdy je ustawiono parami, przed każdym wozem po cztery, zdarzyło się, że stojący w tyle sięgał zębami po ogon stojącego na przodzie, ten znów wierzył w zęby tylnemu, z czego robiło się zamieszanie. Ale gniewne wykrzyki: „goddam!” mulników położyły wkrótce koniec tym nieporozumieniom. Potem, gdy cztery pary w lejce są już szczipione i zaprzęgnięte, cała trudność polega tylko na tym, aby ruszyły naprzód wszystkie jednocześnie; jeśli się zdarzy bowiem, że jedna lub dwie pary porwą się ciągnąć pierwszej, wówczas nie mogą poruszyć wozu, narowią się i cofają lub przysiadają na miejscu, upierając się do tego stopnia, że trzeba nieraz godziny czasu, aby je uspokoić i do nowej próby zachęcić. Sprawia to ogromne zamieszanie; wóz bowiem, który szedł naprzód, nie może czekać, aby między swoje muły nie wprowadzić nieporządku, wozy zaś idące z tyłu muszą się zatrzymywać, skutkiem czego cała karawana rozrywa się i rozprasza tak, że zwłaszcza w miejscach nierównych wozy giną sobie z oczu. Zdarzyło się to nam później kilkakrotnie, ale pierwszego rana wyruszyliśmy szczęśliwie. Zresztą nie siedzieliśmy na wozach, tylko na koniach. Metysowie przewodnicy, Smith i Bull, ruszyli naprzód, a że jeszcze niezupełnie było widno, wkrótce więc ujrzeliśmy ich zaledwie majaczących wśród szarego światła poranku, a potem znikli nam zupełnie z oczu. Gdy się rozwidniło, począłem przyglądać się okolicy. Jechaliśmy środkiem obszernego kanionu, który jakby olbrzymia, na kilkanaście mil szeroka ulica szedł na pomoc. Dwa boki, a raczej dwie ściany jego boczne stanowiły pasma Gór Sweet Water Mts. (Słodkiej Wody); przez przerwy zaś pasma leżącego po prawej stronie widać było południową grupę Black Hills (Czarnych Gór). Nazywano ją południową, jest bowiem dalej na północ druga, nie mająca z tą łączności, leżąca częścią tylko w północno-wschodnim Wyomingu. Co do tej właśnie grupy, którą mieliśmy po prawej ręce, zauważyłem, że żadne chyba góry nie nazywają się z większą słusnością Czarnymi. W bladym świetle poranku i na sinawym tle wschodu te groźne, posępne masy wydawały mi się tak głęboko, tajemniczo i strasznie czarne, jak gdyby powleczone kirem. Niektóre tylko szczyty ubielone były śniegiem, jakby białym szlakiem na całunie. Na świecie robiło się coraz widniej, dal stepowa, odległe zarośla, grupy drzew, stoki Sweet Water Mts. wychylały się coraz bardziej i coraz wypukłej na światło dzienne, wreszcie niebo na wschodzie stało się błękitne, złote i różowe, a owe wzgórza nie utraciły nic i nic ze swojej złowrogiej barwy.

Posuwaliśmy się naprzód z wolna wzdłuż koryta Północnych Widł (North Fork) Rzeki Platty, płynącej środkiem kanionu wprost na północ i dopiero znacznie wyżej skracającej się na wschód, w kierunku Missouri, do której, przebiegłszy całą Nebraskę, wpada pod Omaha. Oba brzegi rzeki porośnięte są wierzbina, która nie dochodząc po większej części wielkości drzew, miejscami stanowi nieprzebyte gąszcze, miejscami zaś otwiera się w polanki pokryte wysoką, a cienką trawą, zwaną buffalo grass, czyli „trawą bawołów”. Dla mułów i koni jest to najprzedniejsza w świecie pasza. W miejscach, w których znajduje się obficie, zwierzęta w półtorej godziny zaspokajają głód obracając resztę nocy na wypoczynek. Sąsiedztwo rzeki było dla nas ze wszech miar koniecznym, raz dla wody, drugi raz dla trawy, która na stepach, spalona przez letnie upały, tylko koło rzek znajduje się w każdej porze, a na koniec jeszcze i dlatego, że z tychże samych przyczyn wszelki zwierz trzyma się głównie pobrzeży. Z tym wszystkim jednak pierwszy ten dzień poczynał nam się dość jednostajnie. Ja i Ward nie trzymając się karawany jechaliśmy tuż nad brzegiem zarośli, błędząc oczyma w tym labiryncie poplątanych prętów i na próżno upatrując jakiegokolwiek żywego stworzenia. Wiatr wzmagał się i przejmował nas zimnem, które staraliśmy się rozpedzić częstym pociąganiem brandy z gumowych flaszek i paleniem fajek. Okolica zdawała się być zupełnie pustą i jednostajną. Przed nami zawsze też sama rzeka i ten sam kanion ciągnący się do nieskończoności, dwie też

same sylwetki naszych konnych przewodników, to ukazujące się, to niknące we wgłębieniach gruntu, po bokach też same pasma gór, zresztą cisza, zakłócana tylko szelestem wierzby uchylającej się pod wiatrem. Większość towarzystwa idąc za radą starego Mańki trzymała się karawany. O'Leary i Winson, którzy zapuszczali się w step z drugiej strony, również nie widzieli nic; nareszcie koło godziny dziesiątej z rana ujrzeliśmy pasemko zarośli ciągnące się prostopadle do rzeki, a na poprzek naszej drogi. Przewodnicy nasi, którzy znikli w tych zaroślach, po chwili ukazali się na powrót, pędząc galopem do karawany. Sądziłem, że odkryli może Indian albo bawoły, ale omyliłem się; oświadczyli tylko, że napotkali strumień, który będziemy musieli przebyć. Jakoż przebyliśmy go w pół godziny zupełnie bez wypadku, była to bowiem tylko struga wody o brzegach płaskich, zaledwie wijąca się po twardym, stepowym gruncie. Po przebyciu zarośli leżących na drugim brzegu, ujrzeliśmy ślady stada wielkich antylop złożonego z sześciu sztuk. Zwierzęta te, wysokie, o sierści płowej, jaśniejszej pod brzuchem, uciekały w kierunku gór z taką szybkością, że ani było myśleć o ściganiu ich konno. Jednakże stary mańkut kazał nam teraz rozproszyć się po stepie tak, abyśmy nie tracąc się z oczu zajęli przestrzeń na milę przynajmniej. Grunt z tej strony strumienia pokryty był krzakami nie znanego mi pochodzenia, dość gęstymi; łatwo więc było się spodziewać, że lada chwila zwierz jaki podniesie się z legowiska. Jakoż po jakimś czasie dany był pierwszy strzał. Ponieważ krzaki były niskie, widziałem więc doskonale flegmatycznego Thompsona, jak zatrzymawszy konia zmierzał się z karabinem, po chwili z końca lufy wybuchnął biały dymek, rozległ się strzał, po którym Thompson począł galopować naprzód. Przebiegłszy odległość około 300 kroków, przestrzeń dzielącą mnie od niego, dostrzegłem małe szare zwierzę, które to skacząc, to zapadając pyszczkiem w trawę, usiłowało, jakkolwiek ranne, ratować się ucieczką. Dogoniliśmy je jednak w momencie. Była to antylopa ciemnego koloru z żółtymi cętkami na grzbiecie, młoda jeszcze, na nóżkach tak cienkich jak badyłki. Thompson postrzelił ją kulą między łopatki. Gdyśmy dopadli do niej, przewróciła się na bok z głową odzruconą i wywieszonym językiem – żyła jeszcze, ale Thompson dobił ją nożem, po czym powrócił z nią do wozów, ja zaś pojechałem dalej.

W samo południe zatrzymaliśmy się dla zjedzenia lunchu. Mulnicy zajechawszy wozami w półkole wyprzęgli muły, które popędzili na trawę, a następnie do wody. Po czym nadawszy siekierami zarośli nanieciliśmy ognia i zabraliśmy się do przygotowania lunchu. Lewa Ręka sprawił w mgnieniu oka antylopę, którą upiekliśmy w popiele i zjedli aż do kości, popijając herbatę z rumem. Prócz tego mieliśmy pieczone kartofle, wędliny, konserwy z ryb, z owoców, a nawet i z zielonego groszku, słowem lunch, jakiego by się nie powstydziała niejedna restauracja w San Francisco. Po lunchu powyciągaliśmy się przy ogniu na naszych kołdrach i pookrywawszy się skórą, pokrzepialiśmy spoczynkiem kości strudzone trwającą od świtu konną jazdą.

Koło godziny trzeciej ruszyliśmy dalej. Kraj nie zmieniał się ani na jotę; aż do noclegu nie zaszło nic godnego uwagi, nie padł ani jeden więcej strzał. Stepy nie są menażerią ani zwierzyńcem, można podróżować po nich całymi dniami nie spotkawszy żywego stworzenia, czasem za to, gdy szczęście posłuży, spotyka się zwierzyny aż zanadto. Droga stawała się coraz trudniejszą. Miejscami przewodnicy napotykali dość znaczne wgłębienia na stepie, które trzeba było objeżdżać, co zabierało sporo czasu. Na nocleg stanęliśmy w wierzchołku kąta utworzonym przez ujście strumienia do rzeki. Jakkolwiek, według zaręczeń Mac Clella, ze strony Indian nie mieliśmy się czego obawiać, a według prawdopodobieństwa nie mogliśmy ich jeszcze spotkać, ostrożność jednak jest rzeczą, której na pustyni przestrzega się zawsze. Dlatego obozowisko nasze było wybrane w ten sposób, abyśmy w razie niebezpieczeństwa mogli się bronić skutecznie. Rzeka i strumień zabezpieczały nas z dwóch stron, wozy zaś stanowiące podstawę trójkąta z trzeciej. Muły, które nie mogły znaleźć pomieszczenia w trójkącie, wyprowadziliśmy na trawę. Na stepach nie puszcza się ich jednak na wolę. Każdy muł przywiązany jest do długiego lasso, na którego przeciwnym końcu znajduje się długi na półtorej

stopy żelazny kołek. Kołek ten zatyka się w ziemię, zwierzę więc może obchodzić w promieniu lassa i paść się trawą nie mogąc jednak uciec w step. Ostrożność ta jest konieczną, albowiem na pustyni, zwłaszcza wśród nocy, tak muły jak konie opanowywa chwilami paniczna trwoga. Czasem przyczyną trwogi bywają niedźwiedzie lub wilki, czasem Indianie, a czasem i nie ma żadnej widocznej przyczyny. Zdarza się wówczas, że muły wyrrywają z ziemi kołki i rozbiegają się na cztery wiatry. Dlatego pomimo kołków czuwa zawsze nad nimi straż z kilku ludzi; obecność bowiem człowieka dodaje im odwagi. Straży tej głównym obowiązkiem jest strzec stada od Indian. Obecnie, gdy większa część pokoleń indyjskich umieszczona jest w rezerwacjach, nad którymi czuwają forty, zdarza się dość rzadko, żeby Indianie godzili na życie i skalpy białych, zwłaszcza nie podróżujących samotnie. Z tym wszystkim włóczą się jednak większe lub mniejsze ich oddziały po stepach, które jeśli zdarzy im się sposobność ukradzenia kilkunastu mułów lub koni, nigdy nie pomijają takowej. Dla Indian konie lub muły stanowią największe bogactwo, największą ponętę i posługę, dlatego kradną je zawsze, kradną je w czasie pokoju i wojny, nie tylko obcym podróżnikom, ale nawet takim, z którymi palili fajkę przy jednych ogniskach.

Oczywiście kradzież taka nie uważa się w ich pojęciach za żaden występki, przeciwnie, za rzemiosło, w którym każdy wojownik ćwiczyć się powinien. Jakoż doprowadzają je do doskonałości. Gdy oddział błakający się po stepach upatrzy stado stojące na noclegu, najrzęczniejsi spośród wojowników czołgają się nocą na brzuchach, starając się ujść oczom straży i dostać się w środek stada. Gdy im się to uda, wyciągają z cicha kołki z ziemi, a powyciągawszy je podnoszą piekielny wrzask i wycie. Straszliwa trwoga opanowywa wówczas zwierzęta; oślepienie strachem muły i konie biegną na oślep w step, gdzie wpadają w ręce pozostałych wojowników. Ci zaś, którzy dostali się w środek stada, dosiadają w chwili podniesienia krzyku najbliższych wierzchowców i ratują się na nich ucieczką. Nazywa się to wszystko razem stamped. Dla zapobieżenia podobnemu wypadkowi, gdy tylko muły były już ustawione na noclegu, dwóch mulników uzbrojonych od stóp do głów w rewolwery i czternastostrzałowe Henry rifle udało się na straż, która miała być zmieniana co dwie godziny. Prócz tego, ponieważ stado nie mogło być z powodu braku trawy ustawione blisko wozów, osobno straże miały czuwać nad obozem. Być może, że nie zachodziła tego potrzeba, ale postanowiliśmy stróżować choćby dlatego, że pierwszego dnia przynajmniej obowiązek ten nie wydawał się nikomu ciężkim, a przy tym chcieliśmy wszyscy rozpocząć jak najprędzej życie stepowe ze wszystkimi jego zwyczajami.

Prosiłem Woothrupa, abym ja należał do tych pierwszych wartowników, na co się chętnie zgodził. Odjechawszy na jakie trzysta kroków w ciemność, zatrzymałem konia. Na też samą mniej więcej odległość miałem po prawej ręce Le Clerca, a po lewej Warda. Noc zaczęła się spokojnie. W obozowisku z dala buzował się wielki ogień podsycany wierzbina, około którego widziałem czerwone sylwetki ludzi; przede mną był step głuchy, pusty, ciemny, nade mną – gwiazdy. Puściłem po nim myśl jakby rozuzdanego konia. Jakież to przestrzenie leżą tu jeszcze – myślałem sobie – prawie stopą ludzką nie dotknięte, ile milionów ludzi mogłoby tu się zmieścić, dojść do posiadania swej własności, swego kawałka ziemi. A tam, w starej Europie, toczą się wojny; jedne państwa wzrastają kosztem drugich, walczą o posiadanie prowincyj, o rozszerzenie granic i... czy choć jeden np. Niemiec, wyjąwszy kilkudziesięciu urzędników, może się nazwać szczęśliwym z tego powodu, że dziś Alzacja należy do Prus, a nie do Francji, czyż choć jednemu przybył stąd marny grosz do kieszeni, czy głodnemu jest teraz jednym kawałkiem chleba więcej? I przyszło mi na myśl, iż ta szeroka od Oceanu do Oceanu Ameryka ma jeszcze i tę wyższość, że w niej idea państwowa nie pochłania, tak jak na przykład w Prusach, jakby Moloch indywiduów, że tu państwo istnieje dla ludzi, dla nich prawa, dla nich urzędy, nie oni dla praw i urzędów, a na koniec, że te tutejsze tak niby luźne związki państwowe trwalsze są od wielu innych, bo ugruntowane na korzyści ludzkiej, na szczęściu ludzkim i na poczuciu tego dobra w indywiduach.

Z tych marzeń i myśli wyrwało mnie przeciągłe „all right!” Odkrzyknąłem owe „all right” Le Clercowi, który je powtórzył z kolei, i znów cisza zapanowała na stepie. Ogień w obozowisku palił się jeszcze, ale już słabiej; widać większa część ich tam poszła już do wozów spać. Podniósł się chłodny wiatr, który chwiały w prawo i w lewo kiściami dymu i płomienia, tak że ognisko przestało się buzować, a poczęło migotać. Ogarniał mnie sen i znużenie, a przy tym było czuć zimno w nogi. Zajrzałem raz i drugi do mojej gumowej flaszki z brandy; potem, jak mówi Słowacki, „z gwiazd zrobiła mi się w oczach kasza”. Na próżno obwinałem sobie lejce koło dłoni i ściągnąłem krócej konia, aby kiwaniem głowy szarpał mię za rękę i budził; sen mocniejszy był od wszystkiego, wkrótce też usnąłem nie gorzej jak Konrad Wallenrod po owej uczcie, na której uraczył się w tak dziko bajroniczny sposób, że aż stół przewrócił i zasnął.

Obudził mnie dopiero Woothrup, który jako bosmen obozowy objeżdżał strażę. – Morning, sir – rzekł mi – szczęśliwy obóz, który śpi pod taką strażą. Mógłbym pana oskalpować i oddać mu jego skalp dopiero jutro, ale przy tej sposobności powiem panu jedną anegdotkę...

– Panie – przerwałem zawstydzony – z równą rozkoszą wysłucham jej jutro; co tam robią Ward i Le Clerc? – Właśnie jadę ich pobudzić – odpowiada Woothrup. Jakoż nie omyliłem się, bo spali obaj jak zarżnięci, z czego byłem bardzo szczęśliwy, bo nie mogli wyśmiewać się ze mnie nazajutrz. W pół godziny też potem zluźowano nas innymi; my zaś wynagradzając sobie tak długie i sumienne czuwanie, udaliśmy się prosto pod skóry bawole do naszego obozu.

Drugi i trzeci dzień gorsze były jeszcze od pierwszego. Strzelaliśmy tylko do piesków ziemnych, więcej dla wprawy niż pożytku. Jedynym wypadkiem była sprzeczka Warda z Thompsonem, zagadzona z wielkim taktem przez Woothrupa, jedyną zaś pociechą to, że droga stawała się coraz lepszą. Zagłębienia na stepie znikły, mogliśmy więc posuwać się prędzej i w kierunku zupełnie prostym. Szczyty Sweet Water Mts. ciągnące się po lewej stronie rzeki zmniejszały się coraz bardziej. Były to już tylko wzgórza, których przerwy, jak nas o tym przekonały nasze lunety, pokryte były drzewami. Przebywszy w płytkim miejscu Północne Widły dotarliśmy aż do owych bocznych kanionów; wydały się nam one jednak jeszcze puste niż główne. Uderzyła mnie szczególnie nieobecność wielkich ptaków. Cóż za różnica między tymi kanionami a kalifornijskimi, zaludnionymi przez tysiące błękitniaków, kuropatw, drozdów, barwistych dzięciołów, kolibrów i biegunów (walking bird); tu ani nawet wrony jednej. Ale cóż za różnica i klimatyczna! Tam wszystko zieleni się, kwitnie, śpiewa, mieni jak tęcza i uśmiecha – tu wszystko nosi jakiś charakter posepny i złowrogi. Grunt pod drzewami nie pokryty runią, same drzewa rozkładają gałęzie, jak gdyby bały się rosnąć swobodnie w górę, a pod drzewami wieczna cisza, przerywana czasem tylko rykiem dzikiego zwierzęcia.

Pewne zniechęcenie poczęło ogarniać nasze grono. Trzy dni konnej jazdy nuży, zwłaszcza gdy nic nie zajdzie takiego, co by dozwoliło zapomnieć o zmęczeniu. Zatrzymywaliśmy się często dla przetrząśnięcia okolicy. Rozbiegłszy się na wszystkie strony tak daleko, że jeden tracił drugiego z oczu, zataczaliśmy wielkie koła, przepatrując wszystkie krzaki, zarośla, rozpadliny stepowe, zawsze na próżno. Towarzysze moi zaczęli coraz częściej zsiadać z koni, aby szukać wypoczynku na wozach; ja, przyzwyczajony już do ciągłych konnych wycieczek w południowej Kalifornii, męczyłem się mniej od innych i przepatrywałem okolicę starannie. Towarzyszył mi zwykle Ward, który od czasu sprzeczki z Thompsonem zaczął się mniej ze mną sprzeczać. Zapraszaliśmy z sobą i Lewą Rękę; ten jednak mało oddalał się od karawany, zachowując się widocznie na później i nie ukrywając złego humoru z przyczyny niespodziewanego braku zwierzyny na stepie.

Czwarty dzień przeznaczony był na wypoczynek; karawana miała wyruszyć dopiero nazajutrz o świcie; tymczasem, ponieważ nic nie zdradzało obecności Indian, każdy mógł robić, co mu się podoba, pozostać przy wozach lub jechać na polowanie, gdzie by chciał. Przyłą-

czyłem się do Metysów Smitha i Bulla i ruszyliśmy razem w kierunku wschodnim. Tym razem los nam sprzyjał; zaledwie bowiem oddaliliśmy się na parę mil (angielskich) od karawany, z krzaku rosnącego opodal wysunął się duży ryś, szary, cętkowany, nie dalej jak o trzydzieści kroków od nas. Wstrzymawszy natychmiast konia strzeliłem doń tak szczęśliwie, że zabiłem go na miejscu. Kula strzaskała mu wierzchnią część karku wraz z kręgami szyjnymi. Ale gdym dla pewności zeskoczywszy na ziemię dobijał go jeszcze kilku pchnięciami noża, z pobliskiego krzaku ruszył się drugi, który utaił się po strzale i zaślepiony wściekłością lub trwogą ruszył wprost na mnie. Zaledwie miałem jednak czas przykłęknąć przysłoniwszy jedną ręką oczy, drugą trzymając straszliwy bowie-knife, gdy w powietrzu świsnęło lasso, rozległo się jakby uderzenie biczem; schwytyany za szyję zwierz beknął chrapliwie, zwinął się w kłębek i odbijając się jak piłka od kamieni i gruntu stepowego porwany został jakby wichrem w step przez Metysa Smitha. Drugi przewodnik, Bull schwytał tymczasem mego konia, z którego zsiadłem dla dobicia mojej ofiary, a który, w chwili gdym przykłęknął, uciekł, i galopował w kierunku karawany. Ten najpiękniejszy rzut lassa, jaki kiedykolwiek widziałem, uchronił mnie co najmniej od licznych pokąsać i zadrapań ręki, które zresztą raz już musiałem przecierpieć w górach kalifornijskich. Życiu myśliwca uzbrojonego w nóż właściwie mówiąc rzadko zagraża niebezpieczeństwo, chyba w razie zupełnej utraty przytomności. Ryś, dziki kot i jaguar rzuca się zwykle na oczy, że zaś te przysłania się w takim razie ręką, zwierz chwyta się pazurami i zębami, a zanim poprzedziera ubranie, kilka pchnięć trójkątnego tęgiego noża w brzuch i w piersi uspokaja go zwykle. Na południu zuchwali myśliwi uderzają nawet w ten sposób na jaguara obwiązawszy poprzednio lewą rękę grubym puncho. W zimnym jednak klimacie, w którym i tak nosi się grubsze ubranie, ręka, zwłaszcza gdy się ma do czynienia z mniejszym zwierzęciem, wychodzi zwykle bez szkód znaczniejszych. Na szarego niedźwiedzia jednak ten sposób nie przydał się na nic; ten bowiem nie tylko umie parować nóż jak najprzedniejszy fehmistrz, ale jednym uderzeniem łapy zdziera skórę z głowy i gruchocze czaszkę.

Smith powrócił wkrótce ze swoim łupem uduszonym i porozbijanym o kamienie. Pytałem go, czy nie potrzeba jeszcze kilku pchnięć noża, ale on ukazując mi swoje białe zęby odpowiedział, że zwierz jest fixed, jakby po polsku powiedzieć „ustalony”. Jakoż i był ustalony raz na zawsze, bo po owej przejażdżce myślę, że nie miał ani jednej całej kości. Indianie i Metysowie chwytają na lassa nawet niedźwiedzie i bawoły, ale w takim razie jeden koń i jeździec nie wystarcza; za to wszelkie inne zwierzęta, nie wyłączając i jaguara, wleczone przez kwadrans po stepie tracą stanowczo życie bądź to skutkiem uderzenia, bądź skutkiem pogruchotania kości pacierzowej.

Założywszy naszą zwierzynę na konie, które zachowały się przy tym dziwnie spokojnie, ruszyliśmy w kierunku karawany. Zaledwie jednak jechaliśmy z kwadrans, Metys Bull, obdarzony nadzwyczajnie bystrym wzrokiem, przysunął się do mnie i szepnął mi, abym udając, że się nie oglądam, spojrział na prawo w krzaki pokrywające niewielką wyniosłość odległą na tysiąc może jardów. Poszedłem za jego radą i zwróciwszy nieco konia, wytyczyłem wzrok we wskazanym kierunku. Krzaki były wysokie i dość gęste, na próżno jednak badałem je oczyma. – What is the matter? (cóż to jest) – spytałem Metysa. – Buffalo? – No – odpowiedział. – Niedźwiedź? – No. – Cóż na koniec? – Patrz teraz między te dwa krzaki. — Spojrzałem jeszcze raz i po chwili ujrzałem jakoby dwa końce skrzydeł ptasich chwiejące się lekko między gałęziami. – To ptak? – spytałem. – No, sir! to „indzun”, który nas śledzi. – Przez krótką chwilę naradzaliśmy się, co mamy robić: czy dać poznać wojownikowi indyjskiemu, żeśmy go dostrzegli, czy też udając, że nic nie widzimy, wrócić do karawany i ostrzec ją, aby miała się nocą na baczości. Metysowie, którzy mieli może ochotę odeprzeć nocny stamped (rozgon mułów), a przez to zasłużyć się nam i mieć potem prawo domagania się wyższej zapłaty, chcieli, żeby wracać, ja jednak uparłem się, aby jechać wprost na Indianina: – He will kill you (on cię zabije) – rzekł mi Smith. – All right! – odparłem zwracając konia wprost na wzgórze.

Nie tylko wiedziałem, że równa droga była tak mnie jak i jemu być zabitym, ale byłem przekonany, że nie będzie nawet strzelał do mnie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wojownik ten musiał należeć do pokolenia Utów, które było uprzedzone przez Mac Clella o naszym przybyciu; po wtóre, we własnym interesie nie porwałby się na mnie wiedząc i widząc, że mam dwóch towarzyszy, a na koniec Indianin w czasie pokoju rzadko godzi na życie białego, którego śmierć nie może pozostać w ukryciu.

Początkowo kłusując, następnie jadąc co koń wyskoczy przez zapadłe dosyć wgłębienie oddzielające nas od wzgórza, wkrótce znaleźliśmy się na jego szczycie. Jakież było moje zdziwienie, gdym obejrzawszy się dokoła nie ujrzał żywej duszy. Na próżno oglądałem się, na próżno przepatrywałem krzaki i zarośla: nigdzie żadnego żywego stworzenia. Pomyślałem, że Metysowie zwiedli mnie; zwróciwszy się więc do Bulla powiedziałem mu ostro, że jeśli miał zamiar żartować sobie ze mnie, może źle wyjść na tym. Ale Bull przysięgał się na wszystko, że widział Indianina, Smith zaś potwierdzał jego słowa. Wkrótce też wynaleźli ślady i pokazali mi je dotykalnie, następnie zaś obejrzawszy grunt odgadliśmy łatwo, co się stało. Druga strona wzgórza była pęknięta na dwoje. Pęknięcie owo stanowiło głęboką wyrwę idącą daleko w step w kierunku wschodnim i ginącą w dali u stóp gór. Dno jej pokryte było nieprzebitą gęstwiną wierzb i innych krzaków, w które Indianin łatwo mógł się ukryć i uciec.

Ściągać go było niepodobieństwem. To jednak pojawienie się czerwonego wojownika i zagadkowe jego zniknięcie zaniepokoiło mnie, a przynajmniej dało mi do myślenia. Indianie wiedzieli już o nas, było to pewnym, ale skądże to dziwaczne ich postępowanie? Wszakże, wedle upewnień Mac Clella, mieli nam dać przewodników przy Medicina Rivier i polować na bawoły razem z nami. Przepelniony tymi myślami, wróciłem do karawany. Zastałem obóz już zaalarmowany. Lewa Ręka, który chodził na polowanie na drugi brzeg Północnych Wideł, i który, mówiąc nawiasem, zabił ogromną antylopę, widział także dwóch konnych wojowników, którzy tak samo jak nasz pojawili się i znikli. Woothrup złożył radę wojenną przy ognisku, do której i mnie zaprosił. Pogląd starego mańkuta wydał mi się najtrafniejszy. Nie wątpił on, że Mac Clell ostrzegł Indian, nie miał bowiem żadnego powodu tego nie czynić. Nie wątpił również, że obozowi nie zagraża zbrojny napad, ale zachodziła następująca okoliczność: jakkolwiek najprawdopodobniej wojownicy, których widzieliśmy, należeli do Utów, na stepie jednak mogły także znajdować się zabłąkane oddziały innych pokoleń. „Prawdopodobnie ich nie ma – mówił stary strzelec – ale Utowie będą się starali wyciągnąć z tego korzyść. Jeżeli w nocy wykonają stamped i pokradną nam nasze muły, drugiego dnia udając, że o niczym nie wiedzą, przyślą nam eskortę, będą nawet nam pomagali w odszukiwaniu straty, przed Mac Clellem zaś wytłumaczą się tym, że to nie oni, ale wojownicy innego jakiegoś pokolenia, dopuścili się grabieży.” Krótko mówiąc, podług widzenia rzeczy starego strzelca mogliśmy być pewni, że nasi przyszli sprzymierzeńcy, jeśli będą nas mogli okraść bezkarnie, to pomimo wszelkich rekomendacji komisarskich okradną nas niezawodnie. Skutkiem tego postanowiliśmy się mieć na baczności. Straże obozowe i przy stadzie miały być zdwojone i czuwać starannie, niż to czyniliśmy pierwszej nocy. Przy tym ruszyliśmy natychmiast naprzód, aby na nocleg wybrać miejsce, na którym by postój stada mógł się odbywać, o ile można, blisko wozów. Niezwykłe ożywienie opanowało teraz cały obóz. Towarzysze nasi, którzy drugiego i trzeciego dnia poczęli się już zniechęcać i nużyć, opatrywali teraz broń, kręcili się na wszystkie strony, pokrzykując na siebie wzajemnie lub strasząc się żartobliwie czerwonymi. Byli tacy, którzy utrzymywali, że cały ten alarm jest to humbug, ale ci właśnie, a między innymi i Ward, idąc śladem naszych Metysów życzyli sobie, lubo z innych powodów, stampedu jako dobrej sposobności do rozrywki i nocnej na wiatr strzelaniny.

We cztery godziny potem stanęliśmy na nocleg; przedtem jednak jeszcze straciliśmy jednego muła, który upadł przy przeprawie przez strumień tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. Trzeba go było wyprząc i zastąpić innym; tymczasem, ponieważ wśród nocy i tak stałby się pastwą zwierząt, mulnik zabił go wyładowawszy mu cały rewolwer w ucho. Na nocleg stanę-

liśmy opodal od przybrzeżnych zarośli, muły zaś poprzywiązywaliśmy niedaleko od wozów, gdzie trawa nie rosła wprawdzie zbyt obficie, ale gdzie były zabezpieczone przed stampedem. Z polecenia Woothrupa miałem czuwać nad strażami pilnującymi stada, przejeżdżałem więc na koniu całą noc. Co pół godziny jeździłem od placówki do placówki pytając, czy wszystko idzie dobrze, i zawsze odbierałem stałą odpowiedź: „all right!” O północy zluzowałem strażę, a następnie zmieniłem je jeszcze raz o wpół do czwartej, ponieważ zimno mocno dawało się we znaki. Strażnikom przykrzyła się widocznie moja zbytnia gorliwość w nawoływaniu, zauważyłem bowiem, że gdym zbliżył się do jednego z nich i zawołałem: „All right?”, rozbudzony może z drzemki, która poczynała go ogarniać, odkryknął głosem: „All right!”, ciszej zaś dodał: „Goddam you!” Udałem, że tego nie słyszę, inaczej bowiem wypadłoby mi wyzwać nazajutrz strażnika na pięście i albo go obić, albo zostać przez niego obitym. Czasami oddalałem się w step o pół mili i więcej i w tym promieniu objeżdżałem cały obóz. Wszędzie było spokojnie i cicho; słyszałem tylko wilki wyjące na drodze, którą przejechaliśmy przed noclegiem, zebrane zapewne nad trupem naszego muła; raz jednak w ciemnościach dostrzegłem zbliżającego się konia i jeźdźca. Chwyciłem natychmiast za karabin chcąc strzelić na alarm, ale był to Woothrup, który także wyjechał był na zwiady. Noc cała przeszła bez wypadku. Świtaniem, gdy większa część towarzyszków wyszła już z obozu z blaszankami po wodę, zsiadłem z konia i położyłem się spać. Przespałem aż do lunchu. Gdym się obudził, towarzysze powiedzieli mi, że ani przewodnicy, ani Lewa Ręka nie odkryli nigdzie śladu Indian, że wszystko idzie po dawnemu, że nad ranem wyruszywszy w drogę zabili wilka, a widzieli stado antylop i ślady bawołów nad rzeką, nie bardzo jeszcze stare. Jechaliśmy dalej spokojnie. Nad wieczorem znów znaleziono ślady bawołów, które tym razem sam oglądałem. Wytłoczenie potężnych racic w mule nadbrzeżnym przechowywało się doskonale, zwłaszcza że woda na rzece była niska i muł stwardniał. Ale właśnie z twardości mułu wnosiłem, iż nie były tak świeże, jak sądzono. Wjeżdżaliśmy jednak widocznie w okolice obfitującą w zwierzynę, co można było poznać z wielkiej ilości antylop. Następnej nocy zachowaliśmy też same ostrożności jak poprzedniej; nic jednak nie zaszło godnego uwagi. Nazajutrz około godziny ósmej rano stary strzelec, który świtaniem wyszedł był na zwiady i dopiero co powrócił, zbliżywszy się do mnie szepnął z cicha, abym udał się za nim. Wyjechaliśmy obaj z obozu konno. Kanion, który od kilku dni zwązał się coraz bardziej, nie był w tym miejscu szerszy niż na sześć do ośmiu mil angielskich; wkrótce więc dojechaliśmy do gór. Przez drogę wypytywałem staro, dlaczego mnie wezwał, ale nie chciał mi dać żadnych objaśnień. Zatrzymaliśmy się u wejścia do jednego z bocznych kanionów. Tu stary strzelec zsiadł z konia i mnie kazał to uczynić, a następnie odprowadziwszy konie ukrył je w rozpadlinie gruntu porośniętej krzewiną. – Teraz musimy pójść piechotą – rzekł do mnie. – A konie? – spytałem. – Nic im się tu nie stanie. – Poszliśmy. Wąskie gardło bocznego kanionu prowadziło nas w głąb gór. Gardło to jednak rozszerzało się stopniowo coraz więcej. Przy samym wyjściu stary zatrzymał mnie: – I will show you something. (Chcę panu coś pokazać) – rzekł. Co? – Buffalo! – Serce zabiło mi z radości. – Teraz musimy się rozłączyć – rzekł. – Idź pan na lewo, ja pójdę w prawo. Wyszedszy na polankę czołgnij się w zaroślach, póki się nie doczołgniesz, potem strzelaj, ale nie pokazuj się po strzale. – Rozstaliśmy się. Po kilkudziesięciu jeszcze krokach kanion rozszerzył się nagle w polankę, której brzegi pokryte były zaroślami, środkiem zaś ciągnęła się łąka, przez którą przepływał mały strumień.

Czytelnik wyobraz sobie moje wzruszenie, gdy na środku łąki ujrzałem potężnego bawołu stojącego spokojnie opodal strumienia. Zasuńawszy się jeszcze głębiej w zarośla począłem się czołgać. Uplynęła może z godzina czasu, zanim zmieniłem kierunek w stronę brzegów polanki. Poruszałem się z największą ostrożnością, aby nie potrącić nawet gałązki. Przez cały ten czas nie widziałem zwierzęcia, ale za to, gdym się doczołgał do brzegu, ujrzałem je w całej okazałości. Wyznaję, iż ponieważ były to pierwsze moje łowy na bawołu, serce biło mi nie tylko ciekawością, myśliwskim zapalem, ale i pewnym wzruszeniem, nieco do strachu po-

dobnym. Ten bawół stojący teraz ode mnie nie dalej jak na sześćdziesiąt jardów, wydawał mi się już nie tylko wielkim, ale po prostu potwornym. Był to istotnie potężny zwierz z ogromnym łbem, szerokim może na półtrzeciej piędzi, z rogami tak czarnymi jak heban, zaledwie widocznymi wśród kudłów pokrywających głowę, garb i w ogóle przednią część ciała. Kudły te były prawie zupełnie czarne, reszta zaś sierści jednostajnego brązowego koloru. Zwierz nie podejrzewając niebezpieczeństwa stał spokojnie, nie pasąc się trawą, ale poruszając z wolna żuchwami, z których zwieszała się ślina. Od czasu do czasu uderzał silnie przednią nogą w murawę, zresztą zdawał się być zupełnie zajęty przeżuwaniami. Opanowawszy wzruszenie wymierzyłem doń spokojnie, ponieważ zaś stał obrócony do mnie lewą stroną, starałem się trafić go w serce. Strzał był niedaleki i do tak wielkiego zwierzęcia łatwy, po chwili więc pociągnąłem za cyngiel. Po moim strzale rozległ się drugi, tak jednocześnie, że prawie nie mogłem go odróżnić. Według polecenia Lewej Ręki zamiast wyskoczyć z zarośli, przysiadłem spokojnie czekając, co się stanie, łatwo więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy ujrzałem, że bawół nie drgnął nawet, zupełnie tak, jakby nie słyszał naszych strzałów. Po chwili jednak zwierz poruszył się, zachwiał i nie wydawszy najmniejszego głosu klęknął na przednie nogi, a następnie zwałił się całą masą olbrzymiego swego cielska. Wyszliśmy wówczas obaj, trzymając w pogotowiu karabiny, ale gdyśmy zbliżyli się do niego, nie poruszył się wcale, po kilku zaś minutach nie żył. Oba strzały były trafne i oba śmiertelne. Z tym wszystkim Lewa Ręka teraz wytłumaczył mi, dlaczego zabronił mi pokazywać się po strzale. Bawół po strzale nie ucieka nigdy, jeśli nie zobaczy człowieka; spłoszony jednak jego widokiem umyka i często, choć ranny śmiertelnie, potrafi ubiec kilka mil, zanim padnie. Oczywiście, wówczas odszukanie go albo całkiem jest niepodobne, albo przynajmniej niezmiernie trudne i kłopotliwe. Bawół, któregośmy zabili, był tak wielki, że jakkolwiek leżał na brzuchu, gdym stanął przy nim, garb jego dochodził wysokości mojej głowy. Nie wierząc własnemu szczęściu dotykałem rogów i sierści zwierzęcia, w której moja ręka tonęła całkowicie, a następnie siadłszy obaj z Lewą Ręką na trupie, zapaliliśmy fajki. Oczywiście, o zabranii takiej zwierzyny, ważącej pewno koło tysiąca pięciuset funtów, ani mogliśmy marzyć; wypocząwszy więc trochę po trudzącym czołganiu się w krzakach, wróciliśmy do koni. Wsiadłszy na nie udaliśmy się z powrotem do karawany, którą w godzinę dogoniliśmy z łatwością. Wiadomość o naszym powodzeniu wzbudziła ogólną ciekawość, a nawet i zazdrość. Wszyscy chcieli jechać oglądać naszą ofiarę. Karawana musiała zatrzymać się na czas pewien, którego potrzeba było do zdjęcia skóry ze zwierza. Mięso jego porąbaliśmy z pomocą toporów na sztuki i ułożywszy na muły co przedniejsze części odwieźliśmy je do obozu, resztę pozostawiliśmy dla wilków.

Tegoż samego dnia wieczorem pierwszy raz w życiu jadłem garb bawoli pieczony w po-
piele. Utrzymywałem dla własnego honoru, że nigdy nie jadł smakowitszej pieczeni, sądząc jednak, że sposób, w jaki ją przyrządzają, pozostawia wiele do życzenia.

Stary strzelec i przewodnicy utrzymywali, że póki nie wyjedziemy z kanionu, a przynajmniej póki nie dotrzemy do skrzyżowania Północnych Widel na wschód, wypadkiem tylko możemy spotkać stada bawołów – częściej zaś „odłączone”. Jakoż przyszłość pokazała, że się nie mylili; pierwsze bowiem znaczniejsze stado spotkaliśmy dopiero tuż przy wyjściu z kanionu. Tymczasem jednak posuwaliśmy się naprzód, wolniej wprawdzie niż poprzednio, droga bowiem skutkiem zwięzania się odległości między górami stawała się coraz trudniejszą, ale wytrwale. Główną trudność stanowiły zarośla, które rozszerzały się coraz bardziej po obu stronach rzeki. Ze strony Indian mieliśmy teraz zupełną spokojność. Ani jeden nie pokazywał się po ostatnim pojawieniu. Za to w kilka dni później zaszedł wypadek, który mógł skończyć się tragicznie. Zdarzyło się, że Woothrup oddalwszy się w góry z Bennetem i z jednym z przewodników zostali napadnięci przez niedźwiedzicę idącą z dwoma małymi. Woothrup, który szedł naprzód o jakie dwieście jardów (konie zostawili u wejścia do bocznego kanionu), strzelił do niej naprzód i postrzelił ją, ale lekko. Rozwścieczona niedźwiedzica rzuciła się natychmiast na niego. Woothrup do tego stopnia stracił przytomność, że zamiast strzelić do

niej drugi raz, a nawet trzeci i czwarty, co mógł łatwo uczynić będąc uzbrojonym w karabin systemu Henry, rzucił broń na ziemię i począł uciekać w kierunku najbliższego drzewa. Dopadłszy do drzewa, zamiast wleźć na nie, objął je tylko ze strachu rękami i nogami u dołu i pozostał. Byłby zginął niechybnie, pomimo iż towarzysze nadbiegli mu co sił z pomocą, gdyby nie to, że szczęściem młode niedźwiadki rzuciły się wraz z matką naprzód, jeden zaś z nich wyprzedził ją i zaplątawszy się jej pod nogi w chwili gdy powstawała na zadnie łapy, przewrócił ją na ziemię. Oślepią wściekłością niedźwiedzica poczęła przewracać się po ziemi z własnymi dziećmi, bić je i szarpać, wydając przy tym przeraźliwe ryki. Ta zwłoka ocaliła Woothrupa, w tejże bowiem chwili nadbiegł Bennet z przewodnikiem i obaj przyłożywszy prawie lufy do łba zwierzęcia zabili je na miejscu. Co do dwóch młodych, jednego poszarpała na śmierć matka, drugiego przewodnik schwytał na lasso i przyprowadził żywcem do obozu. Woothrup przez cały dzień nie mógł przyjść do siebie po tym wypadku, a może i wstydził się trochę, bo jakkolwiek, prawdę mówiąc, bardzo wielu z nas straciłoby tak samo przytomność, przecież zawsze podobne zdarzenia rzucają pewien odcień śmieszności na tych, którym się trafiają. Dla Woothrupa było to tym dotkliwsze, że był naszym naczelnikiem. Wstydził się i mnie, jako cudzoziemca, a to tym bardziej że w gruncie rzeczy wcale tchórzem nie był, czego później nieraz złożył dowody. Żaden z nas wprawdzie nie pozwolił sobie nigdy żartów w tym przedmiocie, stary jednak strzelec nie mógł się wstrzymać od dobroduszej, a złośliwej uwagi, że chronić się przed niedźwiedziem na drzewo jest rzeczą roztropną, nie należy brać jednak za „fałszywy” koniec drzewa.

Co do młodego niedźwiadka, mieliśmy potem z niego źródło nieustającej zabawy. Przywiązano go na dość długim łańcuchu do ostatniego wozu, na który wdrapywał się na każdym przystanku. Było to stworzenie może trzy- lub czteromiesięczne, dosyć już duże, ale jeszcze nie niebezpieczne. Z początku dziczył się strasznie; gdy ktoś zbliżał się do niego, powstawał na tylne łapy i mruczał groźnie. Stopniowo jednakże zaczął się przyzwyczajać, zwłaszcza że karmiono go obficie i nikt nie robił mu krzywdy. Dawaliśmy mu wszystkie resztki od brekfastów i lunchów rozproszone ciepłą wodą. Gdy przyniesiono mu dużą miszkę, blaszaną, przede wszystkim kładł w nią łapę obróconą podeszwą do góry i dopiero jadł z łapy, jakoby ssąc z niej i mrucząc przy tym bardzo głośno. Z psami, których wlokło się kilku za obozem, żył w ustawicznej wojnie. Z początku bał się ich i zmykał przed nimi na dach wozu, potem gdy który się do niego zbliżał, powstawał i rozłożywszy przednie łapy czekał w bardzo zabawnej postawie, jakoby pragnąc przyjąć psa w objęcia. Gdy go opadło kilka, zmykał na wóz i siadłszy na dachu drażnił się z psami wysadzając głowę, wodząc za nimi swymi skośnymi oczkami, i poglądając na nie z góry z bardzo pogardliwą miną, jakby chciał mówić: „a teraz dajcie mi buzi!”. W czasie pochodu szedł zwykle truchcikiem za wozem, czasem jednak opierał się bez żadnej widocznej przyczyny i poczynął beczeć wniebogłosy. Gdy ktoś z jadących w tyle zbliżył się i pognął go lassem, wówczas beknąwszy gniewnie zasuwiał się pod wóz i szedł dalej spokojnie. Beczał także przeraźliwie później, gdy zbliżała się godzina, w której dostawał jeść, lub na widok człowieka idącego z miską.

XIV

SZKICE AMERYKAŃSKIE

III

Widoki kraju • Okolice lesistsze • Piękność natury • Koniec października • Lato indyjskie • Parki na pustyni • Poranki i wieczory • Mgły poranne • Jak Amerykanie pojmują piękności przyrody • Czarne Góry • Trochę z niedawnej przeszłości • Wyprawa Custer a • Wyprawa Gordona • Pierwszy fort w Czarnych Górach • Skargi Siouxów • Początek emigracji • Podeptane traktaty • Sprawa wytacza się w gazetach • Rząd nie wie, co robić • Ekspedycja wojenno-naukowa • Sprawozdanie profesora Jenney • Nowe układy i wojna • Bohater indyjski • Sitting Bull między Anglikami • Nienawiść do Amerykanów • Popularność Sitting Bulla w Stanach Zjednoczonych • Wyjeżdżamy z kanionu • Widok tarasu • Stado bawołów na stepie • Gomitwa • Wspaniała zdobycz • Zmęczenie • Kłopoty przywódcy • Tajemniczość Indian • Odpowiedzialność • Goniec od komisarza • Niebezpieczne położenie • Wracamy • Stosunki z Utami • Ostrożności • Do broni! • Poselstwo indyjskie • Układy • Zręczność przywódcy • Eskort a indyjska • Przybycie do Percy • Rozjeżdżamy się • Powrót do San Francisco • Smutek • Wstrzymany wyjazd

Nie mając zamiaru nudzić was czymś podobnym do *Anabasis* ani zaczynać periodów od Ksenofontowskich „entauten”, nad którymi dość namęczyłem i nanudziłem się sam w swoim czasie, nie będę opisywał dzień po dniu naszych wypadków i polowań dość zwykle do siebie podobnych. Dam wam raczej opis kraju tak odrębnego od naszych okolic, a tak ciekawego.

W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, szczyty Sweet Water Mts. stawały się znów wyższe i wyższe, kanion zaś, jakkolwiek coraz węższy, ale i coraz lesistszy. Szczególniej boczne kaniony i przerwy między pojedynczymi szczytami obfitowały w bujną roślinność. Trafialiśmy często na wąwozy pokryte krzakami czarnego agrestu, którego owocem nie opadłym jeszcze, a smacznym i zdrowym raczyliśmy się obficie. W rozpadlinach skał znajdowaliśmy maliny pozbawione już owocu, ale rosnące nadzwyczaj bujnie. Czasem trafiały się drzewa dzikich śliw, które przewodnicy nazywali „czerwonymi śliwami”. Co do innych drzew, stanowiły one teraz miejscami prawdziwe i trudne do przebycia lasy, nie widziałem jednak nigdzie lasów złożonych z drzew jednogatunkowych. Najczęściej stanowiły one wspaniałą mieszaninę norweskich sosen, zwanych także „ciężkimi” albo „żelaznymi” sosnami, dalej: jodeł, bukszpanów, dębów, wiązów, jesionów, dzikiej morwy i białej brzeziny, której rozplecione warkocze przypominały mi polskie lasy. Niektóre z kanionów pięknnością dorównywały kalifornijskim, mniej były tylko ożywione, albowiem ptaków brakło zawsze. Czasem jednak pod sklepieniem niebieskim ważyły się na rozpostartych, nieruchomych skrzydłach wielkie orły upatrujące zapewne piesków ziemnych albo małych antylop. Wszystko to było dzikie, romantyczne,

szczerze, zdrowe i piękne, jak tylko pierwotna natura piękną być może. Na koniu, z karabinem pod ręką, czasem samotny w stepie i górach, czasem w gwarnym i wesołym towarzystwie, czułem się jak owe wielkie ptaki na niebie – swobodnym. Pogoda stawała się coraz piękniejszą. Był to ostatni, ale pełen niewypowiedzianej słodyczy uśmiech jesieni. Porę tę nazywają u nas babim latem, a tu: latem indyjskim – indian-summer. Gdym czasem zabłądził w jakim dzikim parku, w którym piramidy drzew grupowały się jakby ręką ludzką ułożone, zdawało mi się, że jestem w polskim ogrodzie. Tak samo i tu, wielkie rozczapierzone liście odrywając się bez szelestu od drzew i kołysząc się lekko spływały na ziemię; ten sam tu jakiś smutek i łagodna rzewność rozlane w powietrzu, toż samo jakieś: „pamiętaj” szeptane smutno przez drzewa, przez zbladłe promienie słoneczne i wędnące kwiaty. Brakło tylko jeszcze owej piosenki, którą czytałem, czym słyszał – nie wiem – jeżeli nie chłopskiej, to na chłopską śpiewanej nutę:

Oj, jesienią, jesienią – oj! niknie liść na drzewie –
Oj, i z sercem się tak dzieje – oj! choć człek o tym nie wie.

Rankiem bywało zwykle trochę mgły, która około godziny dziesiątej opadała na ziemię, wlokła się po krzakach rozczesujących białe jej zwoje, kryła się w wąwozy i nikła. Potem pogoda stawała się niezamąconą, a powietrze tak czyste, że wzrok nabierał dwa razy większej niż zwyczajnie siły. Pasma gór, oddalone na kilka mil, zdawały się leżeć tuż obok. Mogliśmy okiem rozróżnić wierzchołki drzew pokrywających ich szczyty. Przedmioty widziane, zwłaszcza na wyniosłościach, powiększały się w trójnasób. Zdarzało się, że pieski ziemne braliśmy za stada wielkich jakich zwierząt. Rozmarzony i upojony tymi wszystkimi pięknosciami po całych dniach nie zsiadałem z konia, posuwałem się nieraz na kilka mil przed karawaną, zostawałem umyślnie w tyle, zwiedzałem boczne kaniony, zapuszczałem się w ciemne wąwozy, nie dbając o Indian i o dzikie zwierzęta, a pragnąc przede wszystkim widzieć jak najwięcej. Zauważyłem przy tym, jak mało poczucia piękności natury mają rodowici Amerykanie. Zdarzyło się raz, żeśmy błędząc we dwóch z Woothrupem zajechali na szczyt niezbyt stromej góry, z której jednak otwierał się niezmiernie obszerny krajobraz. Lasy, wąwozy, mniejsze wzgórza, smugi stepu ginące w oddaleniu, strumyki płynące do Północnych Widel – wszystko to leżało pod naszymi stopami, odziane jeszcze leciuchną mgłą niby zasłona i oświetlone promieniami rannego słońca. Rozmarzony więcej niż zwykle, zwróciłem się do mego towarzysza i okazując mu krajobraz rzekłem:

– Patrz pan, co tu za cuda i czym jest natura sama w sobie! Woothrup patrzył przez chwilę na okolicę. Oczy jego błąkały się po górach, lasach i strumieniach, potem odetchnął głęboko i rzekł:

– O yes! Ci, co tu z czasem osiada, zrobią dobry business. I nie było żadnego sposobu porozumienia się między nim a mną. My, dzieci Europy, pojmujemy naturę nerwami, uczuciem, wrażeniami estetycznymi, jakie w nas budzi, marzeniem, jakim nas kołysze; patrzymy na nią przez zachwyty i upojenie, zapominamy powszedniości, nastrajamy się na jakiś wyższy ton i radzi byśmy śpiewać pieśń o zapomnieniu życia. Dusze nasze są jak harfy, natura potraça ich struny wrażliwe, więc grają. Czasem te pieśni bywają bardzo ładne. Do twarzy z nimi młodym pannom, emancypantkom i poetom. W Amerykaninie, jeśli chce być sobą, jeśli nie był w Europie i nie małpuje uniesień, które o uszy jego obły się w Szwajcarii – natura porusza myśl, nie uczucie. On patrzy na nią, jakby rzecz: oczyma pługa i siekiery. Kraj dziki przedstawia mu się przede wszystkim jako odpowiedni lub nieodpowiedni do zajęcia, osadzenia, ucywilizowania. I nie jest to poza, jaką przybierają niektóre nasze „trzeźwe” umysły, ale właśnie pierwsze, szczerze i naturalne wrażenie.

Co za różnica usposobień! Z jednej strony rozmaite: „ach! och!”, z drugiej „good business!” Tę różnicę tylko notuję, a nie wysławiam jednej lub drugiej strony. Być może, że obie

patrzą zbyt jednostronnie, ale każdy musi tym być, czym jest. Pozostawmy więc Amerykanom ich praktyczny pogląd, uczmy się go – ale póki się nie wyuczymy, musimy wszystko brać na szopenowską nutę! Cóż robić!

Te okolice Wyomingu zaludnią się zapewne wkrótce, a nawet Czarne Góry już teraz się zaludniają. Odkryto w nich złoto, skutkiem czego w północnej ich części, leżącej między Wyomingiem a Dakotą, pracuje już dziś około trzydziestu tysięcy ludzi. Po ekspedycji generała Custer, odbytej w roku 1874 – pomimo iż całe to terytorium było odstąpione i uroczystymi traktatami poręczone znakomitemu narodowi Siouxów, ludność górnicza, chciwa złota, nie zważając na wszelkie traktaty zaczęła się cisnąć do Czarnych Gór. Z początku jednak ochotnicy nie byli zbyt liczni. Pierwsza wyprawa składała się z dwudziestu siedmiu osób, między którymi było dwudziestu pięciu mężczyzn, jedna kobieta i jeden mały chłopczyk. Ludzie ci wyruszyli pod wodzą śmiałego awanturnika Johna Gordona, o którym mówią niektórzy, że był Polakiem. Wyruszyli z Jony z Sioux City na pięciu wozach, mając ze sobą około trzydziestu mułów i kilka koni. Była to jesień 1874 roku. Karawana szła przez całą długość Dakoty wśród niesłychanych trudów. Trzeba było przechodzić wielkie wyniosłości, jako to: Table Lands, rzeki, strumienie, wąwozy i bezbrzeżne stopy. Prócz tego Dakota zamieszkała jest przez liczne i bardzo wojownicze narody Indian: Siouxów, Ponków, Czarnonogich, Arikanów, Dakotów, Płaskich Główn i innych. Po przejściu Missouri awanturnicy codziennie musieli odpierać zbrojne napady i nocne stampedy. Posuwano się bardzo powoli naprzód; mężczyźni dniem i nocą nie wypuszczali z rąk karabinów. Żywiono się mięsem bawołów i antylop na wół surowym, albowiem nocami niepodobna było palić ognia. Ale energia Gordona, którego imię było już przedtem znane czerwonoskórym wojownikom, przewyciężyła wszystkie te trudności. Wyprawa podobna byłaby przyniosła zaszczyt niejednemu z amerykańskich generałów. Rzecz prawie niepodobna do uwierzenia, że podczas całej podróży, siedemdziesiąt dni trwającej, nikt z towarzyszy Gordona nie zginął ani nie postradał skalpu. Odparto siedmnaście napadów – na koniec Gordon potrafił drogą układową zjednać sobie Ponków, nieprzyjaciół Siouxów – co mu pozwoliło dokończyć szczęśliwie podróży. Po sześćdziesięciu dziewięciu dniach awanturnicy ujrzeni na koniec czarne, tajemnicze szczyty gór pożądaných; siedemdziesiątego zaś dnia, 23 października, stanęli u brzegów Francuskiego Strumienia (French Creek), gdzie postanowili się usadowić. Pierwszą ich pracą było zbudowanie sobie ogromnego fortu. Naścinawszy ogromnych drzew, którymi pokryte są Czarne Góry, wzniesli małą, ale silną twierdzę w podkowię French Creek, opatrzoną narożnikami, z których śledzili Indian i z których na przypadek napaści strzelali. Zabezpieczywszy się w ten sposób, zajęli się wyplukiwaniem złota. Przez jakiś czas, zapomnieni od całego świata i poczytywani za przepadłych, żyli spokojnie. Złoto znajdowało się w nadspodziewanej ilości. Kolonia wzbogacała się codziennie, ale niedługo miało trwać jej szczęście. Siouxowie nie mogąc wyprzeć ich siłą pojechali ze skargą do rządu, powołując się na traktaty, mocą których Czarne Góry miały wyłącznie do nich należeć. Wskutek tej skargi, zresztą zupełnie usprawiedliwionej, rząd już w miesiącu kwietniu wysłał wojsko przeciw naszym bohaterom jako przeciw nieprawym wdziercom w ziemię indyjskie. Fort został zburzony, mieszkańcy zaś wypędzeni poza granice Wyomingu i Dakoty.

Ale radość Siouxów krótsza jeszcze była niż pobyt awanturników w ich górach. Awanturnicy wypędzeni przez wojsko popowracali do domów, przywieźli jednak ze sobą dwadzieścia siedm języków opowiadających o cudach Czarnych Gór – i dotykalsze jeszcze dowody, to jest: mnóstwo piór napełnionych piaskiem złotym. Prawdziwy szal ogarnął teraz mieszkańców terytoriów sąsiednich. Nie zważając na Siouxów, na traktaty, na zakazy rządowe, na woj-ska, zresztą bardzo nieliczne, awanturnicy poczęli ciągnąć w Czarne Góry już nie dziesiątkami, ale setkami. W maju 1875 było już pięć tysięcy ludzi pracujących nad Francuskim Strumieniem. Rząd wówczas zawahał się, co czynić. Traktaty były napisane czarno na białym, ale fakta po wszystkie czasy silniejsze były od traktatów. Zresztą, można było wypędzić dwu-

dziestu siedmiu ludzi, ale z pięciu tysiącami potrzeba by było chyba wieść otwartą wojnę. Rząd był pewny, że nowi osiedleńcy będą odpierać siłę – siłę. Osiedleńcy składali się prawie wyłącznie z mężczyzn, ludzi zuchwałych, gotowych na wszystko i zahartowanych w boju. Cóż było robić? Rząd w Stanach Zjednoczonych posiadał tak mało wojska, że czasem na cały stan wypadało po kilkudziesięciu ludzi za ledwie. Tak np. w Kalifornii w czasie ostatnich rozruchów robotniczych przeciw Chińczykom – w San Francisco, licząc w to forty broniące zatoki, było 41, wyraźnie: czterdziestu jeden żołnierzy. A przy tym, co do Czarnych Gór, następczo się jeszcze jedno pytanie: oto jeśli te góry istotnie zawierały skarby, które dotąd leżały bezużytecznie, a których wydobywanie na jaw wzbogaciłoby kraj, jeżeli bogactwem swych zasobów naturalnych przedstawiała okolicę zdatną do kolonizowania, w której mogłoby zakwitnąć rolnictwo, przemysł, handel – czy w takim razie nie godziłoby się bądź drogą kupną, bądź zamiany, bądź układów odzyskać tego kraju od Indian? Gdy kwestia ta została poruszona przez gazety, emigracja w te błogosławione okolice wzrosła jeszcze bardziej. Ludzie ciągnęli tam teraz już nie tylko dla szukania złota, ale dla zajmowania ziemi, aby w chwili przejścia ziemi na własność Stanów wystąpić jako osadnicy na prawach klemowych. Spekulacji otwierało się bardzo szerokie pole; zdarza się bowiem, że w okolicach nagle się zaludniających ziemi brana na prawach klemowych sprzedaje się potem już nie na akry, ale na „loty”, to jest na małe części przeznaczone pod budowę domów mających się wznosić miast. Oczywiście, cena ziemi dochodzi wówczas do tysięcy dolarów za „lot”, ludzie zaś, którzy ją zajęli, robią miliony.

Tak tedy stały rzeczy, a tymczasem rząd postanowił wysłać drugą ekspedycję, złożoną prócz wojska z ludzi uczonych, którzy mieli zbadać zasoby naturalne Czarnych Gór. Ekspedycja wyruszyła z fortu Laramie w maju 1875 r. Dowodził nią major Richard Irwin Dodge. Ciało jej naukowe stanowili: profesor Waller, geolog Jenney, astronom Tuttle, topografista Gillendy i przyrodnik Henry Newton, nie licząc doświadczonych kalifornijskich górników znających praktycznie swoje rzemiosło lepiej od niejednego profesora. Po kilkumiesięcznym pobycie i wszechstronnych badaniach naukowych ekspedycja wróciła w październiku do Laramie, a następnie profesor Jenney złożył ministrowi spraw wewnętrznych urzędowe sprawozdanie, które mam pod ręką i którego ciekawsze wyjątki pozwolę sobie przytoczyć:

„Przybywszy do Czarnych Gór – pisze Jenney – znaleźliśmy tam przeszło pięć tysięcy ludzi albo osiedlonych w żyznych kanionach, albo poszukujących złota. U źródła Fresh Creek, wytryskującego na 5000 stóp nad poziomem morza, znalazłem wielu górników, którzy przed kilku tygodniami tu przybyli. Ludzie ci byli nader zadowoleni ze swej pracy, gdyż pół wiadra ziemi dawało im na 25 centów czystego złota.”

„Sam zauważyłem, że jard sześcienny (trochę więcej niż łokieć) piasku najmniej wydającego, wydaje jednak 1 dolar 87 centów; przy czym trzeba wiedzieć, że piasek leży na kilka stóp wysoko. Powróciwszy we dwa tygodnie do tejże miejscowości przekonałem się, że postęp wydajności wzrasta nadzwyczajnie, albowiem troje ludzi wypłukiwało złoto przeciętnie na dwadzieścia siedm dolarów dziennie.”

„Niemniej nad źródłem Spring i nad Rapid oddalonym o 30 mil na północ od Harneys Peak znalazłem dużo złota. Złotodajnie (placery) te są najwydatniejsze. Jedno wiadro przynosi 15 centów, nie licząc pojedynczych grudek (nugetów) mających czasem znakomitą wartość. Nadto trzeba zauważyć, że badania, jakieśmy czynili, nie mogły być jeszcze dokładne; jednakże twierdzą stanowczo, że złotodajnego piasku jest tu wszędzie pod dostatkiem. Być może, że wydajność tutejszych kopalni nie dorówna nigdy dawniejszej obfitości kalifornijskich, lecz zawsze jest tu złota dosyć, a wydobywanie go w krótkim czasie zaludni tę ziemię i sprawdzi wszechstronny rozwój.”

Przytoczyłem tu niektóre tylko wyjątki z obszernego sprawozdania, poświęconego nie tylko bogactwom mineralnym, ale florze, faunie i klimatowi okolicy. Ogólna jego treść bardzo była pomyślna, co powiększyło jeszcze emigrację i skłoniło rząd do układów z Indianami. Ale

rozporządzenie ministra, aby do czasu zawarcia układów wydalić białych ludzi z całej okolicy, pozostało bez skutku. Zuchwali górnicy odpowiedzieli spartańskim: „przyjdźcie i spróbujcie!” Tymczasem układy ze Siouxami szły ciężko. Część ich zgodziła się wprawdzie na odstąpienie terytorium, ale większa część, pod wodzą wsławionych wojowników Crazy Horse (Szalonego Konia) i Sitting Bulla (Siedzącego Buhaja) nie chciała słyszeć o niczym. Wybuchła wojna, która nadszpodziewanie przybrała początkowo nader niepomyślny dla Stanów obrót. Siedzący Buhaj zadawał klęskę po klęsce regularnym wojskom Stanów, a w końcu stoczył walną bitwę z generałem Custerem, w której ten ostatni z całym wojskiem poległ. Długowłose skalp nieszczęśliwego generała powiewa dotąd u pasa indyjskiego wojownika, ale wojna od dawna już jest skończona. Siły czerwonoskórych wyczerpały się; Siedzący Buhaj zaś schronił się do brytańskich posiadłości. Nie potrzebuję mówić, że Anglicy przyjęli bohatera Siouxów z otwartymi rękoma. Wyznaczono mu obszerne terytoria obfitujące w paszę i zwierzynę. Na próżno rząd amerykański ofiarował mu amnestię, zgodę, a nawet i wynagrodzenia. Gdy zawiadomiono go o tym ze strony rządu angielskiego, uniósł się nadzwyczajną zapalczywością. „Chcę być posłuszny Wielkiej Królowej – rzekł i serce moje otwarte będzie dla Anglików, którzy są dzielnymi wojownikami. Nigdy topór mój nie ubroczy się we krwi Anglika, ale poprzysięgam wieczystą zemstę Amerykanom, których języki są dwoiste, którzy łamią traktaty, odbierają dziś, co wczoraj przyrzekli, i tępią jak zwierzęta moich braci. Będę za nimi chodził do ostatka dni mych po ścieżkach wojennych, będę brał skalpy z nich, z ich skwaw i dzieci, a ogniem niszczył ich wigwamy.” Po takiej przemowie komisarze amerykańscy wrócili nic nie wskórawszy; Siedzący Buhaj pozostał zaś na ziemi angielskiej przezuwając swą zemstę i nienawiść.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że Amerykanie płacą mu równą nienawiścią. Ograbiwszy jego naród, zajmąwszy Czarne Góry, zrobili z niego teraz bohatera, który czeka tylko na jakiego Coopera lub Washingtona Irvinga, aby odziany legendowym urokiem, przeszedł do nieśmiertelności. Obecnie Sitting Bull jest to jedna z najpopularniejszych osobistości w Ameryce. Ilustracje podają jego portrety, dzienniki zwyczajnie drukują jego mowy – i sądzę, że niejedna romansowa miss zgodziłaby się poświęcić dni swoje na osłodzenie wygnania tak wsławionemu wojownikowi.

Rozpisałem się o tych rzeczach nieco szerzej, bo zdaje mi się, iż nie bardzo one są nam znane. Teraz za to mogę powrócić, jeśli wola, do mego *Anabasis*. Przez parę następnych dni odbywaliśmy drogę spokojnie. Indian, którzy pojawili się po to tylko, aby zniknąć, policzyliśmy do mitów i nie myśląc o tym więcej, prowadziliśmy życie po staremu, polując i zwiedzając okolice. Na koniec dotarliśmy do miejsca, w którym Północne Widły skracają na wschód. Pasma Sweet Water Mts. kończyły się po obu stronach, a kanion rozplątywał się na północ w step prawie nieskończony. Stojąc u wejścia kanionu patrzyliśmy jakby z olbrzymiego tarasu na płaszczyznę ciągnącą się u stóp naszych i pochylającą się coraz niżej w stronę Gór Wielkorożnych. Wiły się po niej długie smugi zarośli, których końce ginęły na skraju widnokregu; ale któż opisze ogólną radość i uniesienie, gdyśmy między tymi smugami na stepie ujrzeli kilkadziesiąt czarnych punkcików, zaledwie widocznych dla oka, ale widocznie ruchomych. Lewa Ręka przyłożył swoją imienniczkę, lewą rękę, do czoła, wyteżył wzrok, popatrzył chwilę, potem zwracając się ku nam rzekł:

– Buffalo.

W tej chwili nadbiegli także przewodnicy. Obaj, Smith i Bull, osadzili konie tuż przed nami – oczy ich błyszczały, usta śmiały się, nozdrza były rozszerzone i znowu usłyszeliśmy z ich ust tenże sam radosny na stepach wyraz:

– Buffalo!

Po krótkiej chwili Lewa Ręka objął nad nami dowództwo i poczęliśmy spuszczać się z tarasu. Pochyłość tak była stroma, że ani myśleć było o zjechaniu z niej wozami bez hamulców, ale konno spuściliśmy się łatwo. Zbliżywszy się do jednej ze smug zarośli ustawiliśmy się

gęsiego i poczęli posuwać się z wolna samym brzegiem, tak abyśmy w żadnym wypadku nie mogli być przez zwierzęta dostrzeżeni. Dość silny wiatr wiejący z północy był także szczęśliwą dla nas okolicznością, albowiem utrudniał bawołom pochwylenie słuchem naszych kroków, które przy tym głuszone były szelestem krzaków. Im bliżej byliśmy zwierząt, tym jechaliśmy wolniej: głowy spuszczone, w jednym ręku cugle ściągnięte krótko, aby uchronić konie od potykania się, w drugiej ręce karabin. Po godzinie takiej drogi wiatr począł przynosić nam głuche ryki zwierząt, a po półgodzinie jeszcze mogliśmy je widzieć przez przerzedzone zarośla. Dzielili nas od nich odległość może pięciuset jardów – zbyt wielka dla karabinów systemu Henry. Lewa Ręka odwracał od czasu do czasu głowę i ciskał piorunujące spojrzenia temu, kto sprawił najmniejszy szmer. Ale konie, jak gdyby wiedziały, o co rzecz idzie, stapały cicho i ostrożnie. Każdy z nich zdawał się stawiać nogi z namysłem, aby nie nadepnąć jakiej gałązki, która by mogła pęknięciem spłoszyć zwierzęta lub nie uderzyć kopytem o kamień. Po chwili ciche: „stop”, wymówione przez Lewą Rękę raczej poruszeniem ust niż głosem, zatrzymało nas na miejscu. Bawoły poczuły nas. Byliśmy na trzysta jardów mniej więcej, przysłonięci jeszcze zaroślami. Na szczęście są to zwierzęta równie ciekawe jak płochliwe. W niespokojności, która ogarniała całe stado, zdawała się walczyć trwoga z zaciekawieniem. Krowy i młode bawolaki poczęły się zbijać w wielką kupę. Samce pochylały straszne, kudłate łby, wydając głębokie a krótkie ryki i uderzając silnie racicami o ziemię. Na koniec całe stado, jakby popchnięte niewidzialną siłą, ruszyło nagle, ale zamiast uciekać, ruszyło wprost na nas. Niejedno tam serce zabiło wówczas niespokojnie, ruch ten bardzo był bowiem podobny do ataku. Z tym wszystkim kilkanaście łuf pochyliło się jednocześnie w stronę zarośli i na dany znak przez Lewą Rękę daliśmy ognia: po czym wyjąc po indyjsku puściliśmy konie przez zarośla, aby objechawszy ich koniec, uderzyć na stado. Po pierwszej salwie nie padł ani jeden bawół, natomiast wszystkie w mgnieniu oka zwróciły się do ucieczki. Przez chwilę widziałem te olbrzymie zwierzęta z pochylonymi na przednie nogi łbami i z wypukłymi garbami, uciekające tak szybko, że sądziłem, iż nigdy ich nie dościgniemy. Ścigaliśmy wyjąc wniebogłosy, strzelając, jak kto mógł, i bodąc konie ostrogami. Wkrótce kilka sztuk, rannych zapewne przy pierwszej salwie, padło na ziemię. Inne przeskakując, a często i przewracając się przez nie, pędziły dalej, a my za nimi. Szybkość koni zaczęła brać jednak górę nad szybkością bawołów. Byliśmy bliżej i bliżej. Nasze wycie, tętent koni, ryk bawołów, beczenie przeraźliwe cieląt, wszystko to składało przeraźliwą, prawdziwie piekielną harmonię. Na koniec stado, oślepione trwogą, rozproszyło się po stepie. Każdy zwierz uciekał teraz w innym kierunku. Nastąpiło zamieszanie. Pognawszy za wielkim samcem strzelałem doń z karabinu jedną ręką, drugą prowadząc konia. Strzały nie mogły być celne, dlatego uciekał ciągle. Prócz tego po każdym strzale potrzebowałem dwóch rąk do poruszenia sprężyny wyrzucającej wystrzelony ładunek, a przez ten czas koń szedł, gdzie chciał, i odległość dzieląca mnie od mojej ofiary zwiększała się. Wystrzeliłem na koniec czternaście strzałów, a nie mając czasu nabijać ani zapinać karabina w pasy, cisnąłem go na ziemię, chwyciwszy na to miejsce rewolwer Colta wielkiego kalibru, który miałem u pasa. Mając teraz rękę swobodną od kierowania koniem, wkrótce zbliżyłem się do zwierzęcia, a po chwili pędziłem za nim tuż, tuż, tak iż słyszałem zziąjany jego oddech. Na koniec byłem tak blisko, że mógłbym być ręką prawie dosięgnąć jego sierści. Wówczas to począłem wyładowywać weń rewolwer nie wybierając miejsc, ale też i nie chybiając z powodu żadnej prawie odległości. Było w tym wszystkim trochę niebezpieczeństwa. Zwierz, przyprowadzony do ostateczności, mógł się zwrócić nagle i uderzyć na mnie, a po wtóre, koń mógł upaść, pędziłem bowiem na złamanie karku nie zważając na krzaki, kamienie, na dziury porobione przez wiewiórki ziemne i na inne przeszkody. Szalona ta jazda tuż, tuż trwała z jakie dziesięć minut, póki nie wystrzeliłem wszystkich ładunków z rewolweru. Potem po prawdzie nie wiedziałem, co robić. Zwierz biegł ciągle, ja za nim, uzbrojony już teraz tylko w Bowie-knife, który nie mógł się na nic przydać. Goniłem jednak zapamiętale, wiedziałem bowiem, że prędzej, później, paść musi. Wiatr świszczwał mi

w uszach, tchu nie stawało w piersiach, myślałem już, czyby nie wstrzymać konia i nie odechnąć na chwilkę, gdy nagle znalazłem się przed bawołem. Zawróciwszy konia półkolem, spostrzegłem, że zwierz upadł na jedno kolano i z drugą nogą wyciągniętą naprzód, a z nozdrzami zanurzonymi w trawę pozostawał nieruchomy. Gdy się zbliżyłem, zerwał się jeszcze z oczyma zakrwawionymi, pełnymi przerażenia i obłąkania, ale zachwiał się natychmiast i padł. Po czym zaczął drgać kurczowo, co oznaczało konanie. Chciałem go dobić pchnięciem noża między głowę i kark, ale nie umiałem tego; wsiałem więc znów na koń i spojrzałem po stopie.

O jakie pół mili widać było dwóch jeźdźców pędzących w taki sam sposób jak ja za bawołami. W jednym z jeźdźców poznałem Thompsona po szarym ubraniu – drugiego nie mogłem rozpoznać. Thompson położywszy się prawie na koniu strzelał raz po raz, co umiarkowałem z jego ruchów; nie mogłem bowiem dojrzeć ani dymu, ani dosłyszeć huku rewolweru. Słyszałem tylko strzały karabinowe dochodzące mnie z różnych stron, co dowodziło, że inni towarzysze jeszcze nie zaprzestali gonitwy. Wkrótce jednak wszystko ucichło. Towarzysze jeden po drugim poczęli się ukazywać. Gonitwa nie obyła się jednak bez wypadku. Na Benneta rzuciła się krowa bawola w obronie cielęcia, a ponieważ dojeżdżał ją zbyt blisko, przewróciła go razem z koniem. Konia zabiła, a jeździec zemknął w zarośla, skąd mimo iż zwichnął jedną rękę, strzelał jeszcze z rewolwera, dopóki bawolica pastwiąca się nad koniem, a już poprzednio ranna, nie padła. Stary mańkut naprawiał natychmiast rękę Benneta sposobem arcybarbarzyńskim (bo kopnięciem go w staw), ale za to skutecznym. Bennet ranny był także w czoło, z którego sączyła się krew, nie było to jednak nic znacznego. Wyrwały yankee nie dał się nawet opatryć, ale włożywszy swoją futrzaną czapkę, utrzymywał, że jest „all right!”.

Gdyśmy następnie obrachowali naszą zwierzynę, okazało się, że ubiliśmy sztuk jedenaście nie licząc dwóch cieląt i tych, które mniej więcej ranne musiały paść prędzej, później. Z pomocą mułów pościgaliśmy je wszystkie w jedno miejsce. Zdjęcie skór i wybranie najprzedniejszych części zajęło tyle czasu, iż musieliśmy nocować na polu gonitwy. Olbrzymią masę mięsa musieliśmy jednak pozostawić. Żał było patrzeć na te stosy smacznego pożywienia, które miało stać się łupem dzikich zwierząt. Gdyby Indianie dali nam byli, wedle obietnicy uczynionej Mac Clellowi, eskortę – byłiby zapewne umieli spożytkować te zapasy, ale Indian ani było nawet widać. Mieliśmy spotkać się z nimi przy ujściu Medicina Bow Creek do Północnych wideł, tymczasem drugi dzień już upływał, jak przebyliśmy Medicina Creek nie spotkawszy żywego ducha. Woothrup poczynął się nawet tym niepokoić przypuszczając, nie bez przyczyny, że musiało coś zająć w czasie naszej nieobecności, co zmieniło stosunki Mac Clella z Indianami. Postanowiliśmy nawet z tego powodu zatrzymać się dwa dni, aby dać czas eskortie odnalezienia nas. Ten dłuższy wypoczynek był zresztą potrzebny i nam, i mułom, podróż nasza bowiem trwała już dwa tygodnie. Co do mnie, rad byłem z tego niewymownie. Prawdę powiedziawszy, od kilku dni czułem się niezdrów, a zaraz nazajutrz po owej szalonej gonitwie za bawołami było mi tak słabo, że musiałem zsiąść z konia i położyć się na wozie. Ward przez cały dzień albo gotował mi herbatę, albo siedział przy mnie gawędząc, poprawiając na mnie skóry bawole i troszcząc się o mnie jak najlepszy przyjaciel. Po południu przyszedł także Woothrup i począł ze mną długą rozmowę. Z rozmowy tej dowiedziałem się, że rzetelną jego myślą było ciągnąć tą drogą aż do Czarnych Gór, w których on i kilku z jego towarzyszy miało rozpatrzyć pewien business, a gdyby się okazało, że był dobry, wejść w spółkę, wypuścić akcje i prowadzić sprawę na wielką skalę. Nie chciałem się o ten business wypytywać, bo mało mnie to obchodziło; poznałem jednak, że nasza wyprawa nie miała charakteru czysto sportsmeńskiego. Praktyczni Amerykanie umieli pogodzić jedno z drugim. Niepojawienie się jednak Indian wprawiło Woothrupa w kłopot niemały. Jeżeli, jak przypuszczał, dobre stosunki Indian z komisarzem uległy jakiegokolwiek zmianie, dalsza podróż stawała się niebezpieczną i arcytrudną, trzeba bowiem było iść dzikim krajem wśród nieprzyjaciela aż do północnej, bardzo jeszcze odległej grupy Czarnych Gór, a następnie

przecinać je w poprzek chcąc się dostać do osad górniczych. Otóż Woothrup lękał się brać na swoją odpowiedzialność losów tylu ludzi, z których wielu żaden interes w stronę Czarnych Gór nie popychał. Woothrup mógł do Czarnych Gór zawsze jechać przez Council Bluffs i Sioux City drogą już utartą. Tymczasem wahał się, czy nie wrócić, tym bardziej że wyprawa myśliwska mogła być uważana za skończoną. Powiedziałem mu, żeby robił, co mu się podoba, i istotnie tak byłem słaby, że było mi to wszystko jedno. Wieczorem gorzej mi się jeszcze zrobiło. Pałła mnie gorączka, czułem zawrót głowy i ból we wszystkich kościach. Obawiałem się, że utracę przytomność. Zauważyłem także, że Thompson poszedł spać do innego wozu, niby dlatego, żeby mnie było wygodniej, ale w gruncie rzeczy obawiał się, czy nie jestem chory na zaraźliwą febrę lub tyfus. Woothrup i Ward jednak pozostali przy mnie nie tylko pierwszej nocy, ale i później.

Drugiego dnia jednak zrobiło mi się nadspodziewanie lepiej. Mogłem się przechadzać po majdanie, a nawet po lunchu siadłem na konia i pojechałem na rzekę. Wieczorem tegoż dnia zaszedł ważny w obozie wypadek. Przyjechał od Mac Clella Metys z listem do Woothrupa. Człowiek ten przebył w pięć dni drogę, którą my wlekliśmy się już dwa tygodnie. Przywiózł niedobre wiadomości. Przewidywania Woothrupa sprawdziły się. Indianie Utes narzekając na głód w swoich rezerwacjach zażądali wydania im ze składów rządowych (storow) zapasów żywności. Mac Clell odmówił stanowczo; wówczas to wojownicy Utów siadłszy na koń posunęli się pod wodzą niejakiego Duglasa ku linii kolei żelaznych i przestawszy prosić poczęli grozić. Mac Clell zawiadomił o tych rozruchach natychmiast fort Laramie, prosił na wszelki wypadek o siłę zbrojną, a tymczasem rozpoczął układy. Obawiano się jednak, że wojna stanie się nieuchronną – tym bardziej że w roku tym szczególnie jakiś ruch ogarnął indyjskie pokolenia. Po wojnie ze Siouxami poczęła się wojna z Przekłutymi Nosami w Ajdaho (Idaho), dalej zajścia z Ponkasami, a na koniec z Utami. Być może, że przyczyną wszystkich tych ruchów była emigracja białych na północ, która wypychając jedno pokolenie wpychała je na drugie. Mac Clell spodziewał się jeszcze załatwić sprawę spokojnie, ale mimo to wzywał nas, abyśmy wracali jak najprędzej, póki układy się toczą i powstrzymują czerwonoskórych od porywania się zbrojną ręką na podróżników. Na radzie, jaką złożyliśmy wieczorem, Ward proponował, aby zamiast do Percy, na stację kolei, ciągnąć do fortu Laramie, gdzie bylibyśmy bezpieczni. Powstała z tego powodu sprzeczka, bo inni poczęli naśmiewać się z Warda pytając go, gdzie się uczył geografii. Istotnie, rada jego nie miała najmniejszego sensu; do fortu Laramie leżącego nad North Fork of Platte R., już niedaleko Nebraski, było przynajmniej cztery razy dalej niż do stacji Percy. Przy tym droga szła środkiem rozmaitych rezerwacji, byłoby to więc włożyć nieprzyjacielowi w paszczę. Z drugiej strony jednak sądziłem, że trzydziestu ludzi doskonale uzbrojonych, mając zapasy żywności i wozy, spoza których łatwo się bronić, nie bardzo potrzebuje się lękać Utów czy kogokolwiek. Bądź co bądź postanowiliśmy wracać i wracać tąż samą drogą. Odwrot ten rozpoczął się zaraz nazajutrz. Była to najtrudniejsza część podróży. Pominąwszy, że zapal myśliwski, który dodawał nam sił, gdyśmy szli naprzód, nie istniał już, pominąwszy zmęczenie, które ogarniało coraz bardziej wszystkich, trzeba było istotnie zachowywać teraz nadzwyczajne ostrożności. Nocami połowa ludzi musiała zawsze czuwać nad mułami i obozem. Strażom surowo było zakazane drzemać na postoju. Nie wolno było także oddalać się, nawet w dzień, więcej niż na pół mili od karawany, i to tylko w miejscach otwartych. Z tym wszystkim wlekliśmy się jak żółwie. Na szczęście lub na nieszczęście dla mnie nie brałem żadnego udziału w trudach, leżałem bowiem cały czas na wozie, chwilami przytomny, a chwilami nawet w malignie.

Czwartego dnia odwrotnej podróży przewodnicy spostrzegli znaczny oddział Indian i ostrzegli dość wcześnie karawanę, aby miała czas się uszykować. Wozy natychmiast stanęły w jednej linii, a ludzie w pogotowiu. Indianie widocznie nie mieli zbyt przyjacielskich zamiarów, ponieważ zbliżywszy się na trzecią część mili podnieśli wycie i wypuścili cwałem konie. Ale widok trzydziestu strzelb wymierzonych i spokojny, pewny głos Woothrupa rozlegający

się jako komenda wstrzymały ich w przyzwoitej odległości. Było ich około stu wojowników. Wieczorem przysłali do nas poselstwo. Chciałem wtedy koniecznie wstać, aby zasiadłszy u ogniska rady palić z Indianami i przypatrywać im się, ale nie mogłem. Gdy wyszedł z wozu, nogi zachwiały się pode mną i o mało nie utraciłem przytomności. Położono mnie nazad na wóz, musiałem więc poprzestać na przypatrywaniu się nowym gościom przez uchylone płótno wozu. Zresztą, ponieważ wozy stały blisko, widziałem ich więc dosyć dobrze. Siedzieli przy ognisku w kuczki, paląc w milczeniu i wlepiając jak gdyby zamyślane oczy w ogień. Fajka ubrana w pióra krążyła z rąk do rąk. Rysów ich nie mogłem jednak dobrze widzieć, ponieważ silne światło i cienie rzucane przez ognisko zacierały je czyniąc jednych podobnymi zupełnie do drugich. Jeden z posłów miał włosy spadające prosto po obu stronach głowy i futrzaną czapkę, dwaj drudzy – oberwane kapelusze wyrobu białych z ponatykanymi piórami za tasiemkę, a nawet i w dziury powstałe ze starości. Na sobie mieli rodzaj derek ciemnych i rozmaite skóry; na nogach spodnie z frędzlą w bocznych szwach – i na koniec mokasyny. Twarze ich miały dość przyplaszczony nosy, wystające policzki, zwięzały się zaś ostro w kierunku brody. Prócz tego silne zmarszczki idące od skrzydeł nosa po obu stronach ust nadały im wyraz starości. Jest to podobno wspólna cecha w rysach Indian. Gdy który z nich mówił, nie patrzył na Woothrupa, do którego wszystkie mowy były zwrócone, ale wprost przed siebie, jak gdyby mówił do siebie lub z natchnienia ducha świętego. Stary strzelec służył za tłumacza. Języka ich nie mogłem dosłyszeć, albowiem mówili za cicho, aby głos mógł dojść do wozu, po wtóre psy na próżno odpędzane i bite przez mulników rwały się do ogniska czyniąc straszny harmider, a w końcu wyjąc przeraźliwie. Po naradzie zaproszono posłów do wieczerzy, przy której zjadali zupełnie nieprawdopodobne ilości bawolego mięsa popijając o tyle wodą ognistą, o ile im jej dostarczano. Później stary strzelec powiedział im bez długiej ceremonii, aby sobie poszli, co też i uczynili. Umowa, jak się później dowiedziałem, nie wypadła wcale po myśli naszych gości. Woothrup darował im kilka kul i powiedział, że to jedyny podarunek, jakiego mogą się spodziewać oni i ich bracia, jeśli będą nas napastować zbrojnie. Uczyniło to podobno niemałe wrażenie na Indian, którym, jak wszystkim dzikim, imponuje przede wszystkim zimna krew i pewność siebie. Jednakże Woothrup oświadczył im zarazem, że i on, i my wszyscy jesteśmy przyjaciółmi czerwonoskórych, że nie pragniemy im zrobić nic złego i że gotowiśmy dać im znaczne i kosztowne podarunki, ale wtedy dopiero, gdy nam się podoba. Na drugi dzień przyszło nowe poselstwo z zapytaniem, kiedy czerwonoskórzy mogą spodziewać się darów? Nowa odpowiedź Woothrupa więcej ich zadowoliła. Żądał on, aby główny oddział odjechał natychmiast, zostawiwszy przy nas pięciu tylko wojowników, którzy po kilku dniach podróży otrzymają znakomite dary i będą je mogli odwieźć swoim braciom. Żądanie Woothrupa, aby pięciu wojowników pojechało z nami, było bardzo zręczne; ci bowiem stanowiliby dla nas niejako paszport i straż bezpieczeństwa, która we własnym interesie starałaby się ochronić nas przed innymi oddziałami. Oznaczając termin, przez jaki mieli nam towarzyszyć, nie wyrażnie, ale na kilka dni mogliśmy ich zatrzymać z tydzień i puścić dopiero niedaleko Percy. Ale Indianie, także chytrzy do najwyższego stopnia, odgadli te plany i powiedzieli Woothrupowi, że je odgadują. Nie zaprzeczał. Powiedział im, że istotnie takie miał cele, a teraz albo niech się zgodzą na jego żądania, albo niech się biją. Takie oświadczenie i ujęło ich, i zaimponowało zarazem. Zrozumieli, że język naczelnika białych nie jest „dwoisty” i że można ufać jego słowom; zrozumieli także, że jesteśmy czymś odmiennym od zwykłych awanturników, z jakimi spotykali się w stepach, i koniec końcem, zgodzili się na wszystkie żądania Woothrupa. Dzięki więc jego stanowczości uniknęliśmy niebezpieczeństwa, na jakie mogło narazić nas starcie. Pięciu Indian przeznaczonych do towarzyszenia nam nie śpieszyło także z odjazdem. Mogli jeść i pić sto razy lepiej niż zwykle w domu, a przy tym spodziewali się jeszcze wyłącznych dla siebie podarunków. Traktowano ich dobrze z wyjątkiem naszych psów, które ujadały na nich dniem i nocą. Ward tylko, jak z początku poświęcał im wszystkie godziny, które zbywały mu od pilnowania mnie, aby się niby

uczyć ich języka, tak potem unikał ich utrzymując, że nie może znieść przykrego zapachu, jaki wydają. Co do mnie, nie widziałem ich prawie wcale, cały ten czas bowiem przeleżałem jak martwy na wozie. Na koniec, na dwa dni przed przybyciem do Percy, odprawiono posłów obdarzywszy ich hojniej, niż się sami spodziewali.

Tak skończyła się nasza wyprawa, która trwała przeszło miesiąc. Za przybyciem do Percy Woothrup i niektórzy z towarzyszków naszych związanych z nim interesami, pojechali dalej na Wschód, do Omaha i Council Bluffs, a stamtąd przez Sioux City do Czarnych Gór, reszta zaś wraz ze mną do San Francisco.

Do San Francisco przyjechałem mocno cierpiący, a dolegliwości moje nie opuściły mnie aż dotąd. Znalazłem tu Polaków posmutniałych z powodu odjazdu pani Modrzejewskiej do New Yorku. Wielka artystka nie tylko wzbudziła ich podziw swoim talentem, ale zaletami serca i umysłu umiała zyskać sobie wszystkie serca. Towarzystwo polskie w Kalifornii wysłało też do niej komitet z adresem zawierającym słowa podziękowania i wyrażenie uczuć niekłamanego smutku, jakim jej odjazd wszystkich przepełnił. Następnie, nie już komitet, ale wszyscy wraz z przedstawicielami prasy tutejszej i wielu wielbicielami jej gry przeprowadzili ją do Oakland, gdzie na drogę ofiarowano jej braterskie uściśnienie ręki i kwiaty.

Co do mnie, słabość, rozwijająca się początkowo coraz silniej, wstrzymała i opóźniła znacznie mój wyjazd do Europy. Wstrzymuje mnie ona i dotychczas, ale za to pozwala mi pisać tak długie listy, jak ten obecny, w którym pozwoliłem sobie nudzić czytelników.

LIST LITWOSA

San Francisco, 18 grudnia 1877

Nadspodziewanie bawię jeszcze w San Francisco, gdzie zatrzymała mnie jeszcze słabość, jakiej nabawiłem się w czasie ostatniej mojej wyprawy do Wyomingu. Wyprawy tej nie będę wam opisywał, albowiem opis jej dość obszerny posłałem do „Gazety Polskiej”, w której będziecie mogli go czytać. Nie wspomniałem jednak o tym, że po drodze wstępowaliśmy na jeden dzień do Virginia City w Nevadzie. Miasto to odległe jest tylko na parę godzin drogi od głównej linii kolei Dwóch Oceanów, że zaś naczelnik naszej wyprawy, Woothrup, jako akcjonariusz tamtejszych kopalń, miał jakiś interes do ich zarządu, ja zaś chciałem zwiedzić żyły srebrne, przeto puściliśmy się tam ze stacji Reno.

Zanim jednak opiszę wam moje wrażenie podziemne, powiem kilka słów o samej Nevadzie. Obszerny ten stan, graniczący z Kalifornią, przedzielony jest od niej szczytami ślicznych a wyniosłych Gór Śnieżnych (Sierra Nevada).

Wierzchołki ich, ginące w chmurach, pokryte są wiecznym śniegiem, ale za to stoki szumią jednym wielkim borem sosen amerykańskich zwanych po łacinie pinus ponderosa. Na stokach od strony kalifornijskiej panuje wieczna wiosna. Wyobraźcie sobie przez cały rok wezbrane wody, mnóstwo szeleszczących strumieni, wilgotne a ciepłe tchnienie powiewów, zieleniące się drzewa, połyskujące rosą trawy i ten urok odżywiający, młody, wiosenny, rozlany w całej atmosferze, a będziecie mieli wyobrażenie o tych stokach. Z okien wagonu widać mnóstwo chat drwali, skwaterów, dalej tartaki, młyny wodne, osady górnicze, stopy zrąbane-go drzewa i wreszcie śluzy prowadzące wodę do złotodajni („placerów”). Śluzy te stanowią szczególniejszą charakterystykę kraju. Biegną one czasem tuż koło pociągu kolei żelaznych, zstępują na doliny, przeskakują z góry na górę, idą nad wąwozami i ciągną się czasem na kilka mil angielskich. Są to jakby wielkie koryta zbudowane z desek, środkiem których płynie bystro woda. Wiszą one najwięcej w powietrzu, oparte na wysokich, skrzyżowanych w kształcie litery X drągach. Deski te i drągi wyglądałyby może dość brzydko, gdyby nie to, że rzuca się na nie mnóstwo mchów, bluszczów, powojów, dzikich groszków i innych pnących się roślin, które czepiając się ziemi osiadającej w szparach między deskami, pokrywają nieprzebitą zasłoną zieloności ich nagość. W korytach co kilkanaście kroków znajdują się małe zastawki, przy których leży żywe srebro.

Proces wydobywania złota odbywa się, jak następuje: górnicy w wodę płynącą w śluzach sypią ustawicznie muł, piasek i ziemię złotodajną. Ziarnka złota, jako cięższe, spływają na spód i przy każdej zastawce spotykają się z merkuryszem, który ma własność chwytania i rozpuszczania złota. Gdy pewna ilość ziemi zostanie w ten sposób przepłukana, pozostaje tylko powyjmować nasycony złotem merkurysz i odparowawszy go czyste złoto schować do kieszeni.

Tak wyglądają zachodnie stoki Sierra Nevada. Za to wschodnie zupełnie inaczej. Nie ma tam wiosny, roślinność mniejsza, widoki jednostajniejsze. Nevada w ogóle wygląda dość pępnie. Środek jej pokryty jest mnóstwem większych i mniejszych pasm gór niezmiernie po-

płatanych, które ciągną się aż do połowy Utah. Kolej idzie doliną między górami, która otwiera się przed pociągami aż do nieskończoności. Grunt jej, w wielu miejscach przesycony tak jak w Utah solą, bieleje jak gdyby przyprószony śniegiem. Oczywiście na tej soli nic nie rośnie prócz małych jakichś tłustych roślinek, z których gdy się je rozłamie, sączy się lepka, słona ciecz. Brak zupełny i krzewów nadaje krajowi charakter zupełnie jałowy. Nie ma tu także ani jednej znaczniejszej rzeki, są tylko jeziora, czasami dosyć wielkie, leżące blisko granicy kalifornijskiej, a noszące po większej części nazwę „jezior błotnistych”.

Na południu kraj przechodzi w step, góry nikną całkowicie. Miejsce jezior zastępują przestrzenie pokryte sodą, zwane Soda Lagoon, lub wgłębienia piaszczyste, napełniające się po deszczach wodą, ale przez większą część roku suche. Za to góry obfitują w wielkie bogactwa mineralne. Znajduje się tu obficie złoto, srebro, i miedź, wszystkie też miasta tutejsze wyrosły po największej części z osad górniczych. Taką osadą górniczą, która jednak zmieniła się już w miasto kilkudziesięciotysięczne, jest Virginia City. Nazywają ją także Srebrnym Miastem, i słusznie, wyobraźcie sobie bowiem, że srebro znajduje się tu nie tylko we wnętrzu ziemi, ale wszędzie.

Virginia City wyjątkowo pięknie jest położona na górze, z której otwiera się bardzo obszerny widok. Z powodu wysokiego położenia klimat tu zimny, wiatr wieje ustawicznie jak w hamerni, czasem pada śnieg, wody jest niewiele i bardzo niezdrowej do picia, piją ją też tylko pomieszana z winem kalifornijskim. Przybywszy do miasta udaliśmy się do kopalń. Wśród stosów wydobytej ziemi i poobdzieranych przestrzeni wychyliła się przed nami nagle czarna jama. Nim weszliśmy do niej, przewodnik nasz, który wylazł nagle z podziemia, a z którym ku wielkiemu memu zdziwieniu bardzo ceremonialnie poznał mnie Woothrup, zaprowadził nas do domku, gdzie kazał nam włożyć ubranie z pęcherzy, wilgotne, brudne, obrzydliwe. Po włożeniu go udaliśmy się znów do jamy, siedli w rodzaj kosza z desek, który ukazał się w jej wnętrzu, i nagle... zrobiło nam się w oczach ciemno.

Poczęliśmy zlatywać na dół jakby na złamanie karku. Przy blasku niepewnym latarni ujrzałem tylko sznury czy też łańcuchy, odwijające się z przerażającą szybkością. Kosz leciał na dół i leciał, i leciał... myślałem, że to się nigdy nie skończy... nareszcie stanął, a raczej upadł tak silnie, że małośmy się nie potracili głowami. Pytałem się przewodnika:

– Czy przy takiej wariackiej jeździe nie bywa wypadków?

– Czasem – odpowiedział – jeśli łańcuchy się pozrywają, to siedzący w koszu muszą się zabić.

– A czy zdarza się to? Znowu spokojna odpowiedź:

– Czasem.

– Są tu przecież korby mogące elewator zatrzymać? – mówi Woothrup.

– Czasem – odpowiada obdartus służący nam za przewodnika – zdarza się raz na dziesięć razy, że zatrzymają.

Liczę tedy na to, że wypadki częściej się nie zdarzają, bo gdyby zdarzały się co dzień, nie nazywałyby się przecież wypadkami. Dla Amerykanów to już wystarcza – ale co do mnie, gdy w ciemnościach leciał na złamanie karku, prawie żałowałem, że tu przybył. Po zjechaniu na dół znaleźliśmy się jakby w jakim labiryncie korytarzy podziemnych, sal i kaplic, w których migotały światła. Przewodnik, równie uprzejmy jak zasmolony i obdarty, przeprowadzał nas wszędzie, nie żałując objaśnień. Chwilami przejeżdżały koło nas wagony windowane w górę za pomocą łańcuchów, a wyładowane srebrnodajnym kwarcem.

Grupy robotników rozproszonych tu i ówdzie pracowały zawzięcie, tłukąc oskardami kwarc. Wyobraźcie sobie te żyły srebra, odznaczające się na ścianach jaśniejszym kolorem, biegnące w różnych kierunkach: na dół, do góry, to przerywające się, to pojawiające się znowu. Oczom własnym nie chce się wierzyć na widok tych milionów, których tu można dotykać rękoma. Są to zapewne najbogatsze kopalnie na świecie. Pracują w nich maszyny parowe wydzierające rudę ze skał, lokomotywy, wagony, ludzie, konie. Zstapiliśmy blisko na 900 stóp

pod ziemię. Łamanie się światła w tych krużgankach czarodziejski sprawiało widok. Chwilami krużganki rozszerzały się jakby w kaplice i sale o ścianach, sklepieniu i podłodze ułożonych w naturalną mozaikę z żył srebrnych. Mówię wam, że gdy sobie pomyślałem, iż wszystko: czego się tu dotykam, na co patrzę, po czym stąkam, jest srebrem, zdawało mi się, że jestem przeniesiony w czasy króla Midasa lub że to jedna z krain z „Tysiąca nocy”.

Na gruncie, po którym stąpaliśmy, płynęła czasem woda zaskórna, tworząc miejscami jak gdyby małe błoto lub jezioro – miejscami sączyła się ze skał. W niektórych podziemiach słychać było świst, huk i zgrzytanie maszyn parowych, turkot wozów, nawoływanie głosów ludzkich – w innych panowało głucho milczenie. Od czasu do czasu tylko odzywał się głos ludzki, tajemniczy jakiś i echowy skutkiem dziwnej akustyki podziemi. Dla mnie, który bardzo mało zwiedzałem kopalni, były to widoki nowe, niezwykle i zajmujące. Widziałem w tym wszystkim nowy dowód potęgi człowieka – tego niby robaczka w stosunku z całą Ziemią, który jednak przepływa oceany, świdruje się we wnętrzu Ziemi, każe żelaznym potworem kasać skałę, zwraca koryta rzek, wierci tunele w górach lub rozrzuca je, jeśli się ośmieli stanąć mu na drodze. W tych podziemiach brzmiących pracą uwidoczniła mi się ruchliwość ludzka, owe ciągłe: „naprzód! i naprzód!”, ta jakaś zawziętość i wytrwałość w doskonaleniu warunków życia, w zbogacaniu się, w ulepszaniu bytu – tak jakby życie było wieczne. Ale też i jest wieczne, bo jednostki mrą, a ogół pozostaje. Masy srebra wyrzucane rokrocznie przez te podziemia będą wprawdzie zmieniać właścicieli, ale raz wydobyte, muszą pracować bezsprzecznie jako dźwignie postępu, stawiając się smarowidłem jego koła toczącego się coraz szybciej i z coraz większym rozpędem.

Nie zstępowaliśmy niżej jak 900 stóp, albowiem towarzysz mój śpieszył się do miasta, gdzie miał załatwić rozmaite sprawy. Zresztą zbyt było mokro, dymno, gorąco. Teraz dopiero zrozumiałem potrzebę owych ochronnych sukni i obuwia, w jakie ubrano nas przy wejściu. Pospieszaliśmy znowu do elevatora – rozległo się głośnie „all right!” – i zostaliśmy porwani w górę. Wydostawszy się na światło dzienne odetchnąłem. Poczuliśmy dziękować przewodnikowi. Był to, jak wam już wspominałem, człowiek dość obdarty, brudny, zasmolony, we flanelowej koszuli, w kapeluszu z powystrzępianym koliskiem i w podartych gumowych butach. Twarz jego, lubo zasmolona, miała jednak pewien wyraz dystynkcji, a jasne, niebieskie oczy patrzyły rozumnie. Ponieważ był bardzo grzeczny, myślałem po wyjściu: dać mu czy nie dać dolara? – jeśli Europejczyk – weźmie, jeśli Amerykanin, może się obrazi... sam nie wiem... wygląda jakoś bardzo ubogo... Postanowiłem nareszcie tak postąpić, jak mój towarzysz, który jako Amerykanin, powinien był wiedzieć, jak postąpić.

Wyznaję, że zdziwiło mnie trochę, iż Woothrup nie tylko nic mi nie dał, ale pożegnał się z nim jak z kolegą i powiedział mi, że wieczorem jeszcze go odwiedzi. Obdarty robotnik kiwnął głową, zaprosił i mnie na wieczór, na co kiwnąłem głową i wyszliśmy.

Gdyśmy już siedli w buggy, mówię do Woothrupa:

– Wypadało może coś dać przewodnikowi? Woothrup spojrział na mnie ze zdziwieniem:

– Jak dawno pan bawisz w Ameryce?

– Około dwóch lat.

– Ej, wy cudzoziemcy, że też wam potrzeba tyle czasu, zanim choć trochę poznacie nasze społeczeństwo!

– Alboż co?

– Nic, zobaczysz pan wieczorem.

– Ach, wieczorem mamy być u tego robotnika?

– Tak, ale przedtem musimy być w wielu miejscach.

Jakoż przybywszy do miasta chodziliśmy po owych wielu miejscach; na koniec około godziny ósmej wieczorem stanęliśmy przed ślicznym, marmurowym pałacykiem oddzielonym od ulicy sztaketami i przepysznym trawnikiem, na środku którego wznosiła się fontanna.

– Gospodarz w domu? – spytał Woothrup człowieka, który nam otworzył.

– Yes sir! proszę do „parloru”.

Weszliśmy do „parloru” urządzonego prawdziwie ze wschodnim przepychem, pełnego brązów, obrazów, zwierciadeł, aksamitów itd.

Po chwili wszedł gospodarz i... proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdym poznał w nim mr. Jamesa Little, naszego rannego przewodnika. Wyznaję, że zmieszałem się. Pan Little, ubrany teraz nie wykwinicie, ale przyzwoicie, w koszuli świetnej białości, umyty, uczesany, miał minę jeżeli nie księcia, bo ich tu nie ma, to przynajmniej... bankiera. Potem nadeszła jego żona, piękna, jasnowłosa „missis” w jedwabnej sukni, ze złotym łańcuchem, a potem jeszcze piękniejsza miss Ellinor, siostra pani Little. Gdy panie te dowiedziały się, że jestem Polakiem, mieliśmy gotowy przedmiot do rozmowy, albowiem przed paru tygodniami grała w Yirginia City pani Modrzejewska, na krótko przed swym wyjazdem do New Yorku. Gdym powiedział, że nie tylko jestem rodakiem wielkiej artystki, ale mam zaszczyt znać ją osobiście, urosłem widocznie w oczach pani Little i panny Ellinor przynajmniej na łokieć. Obie te panie nie umiały słów znaleźć dla „the greatest artist of the world”, jak się wyrażała miss Ellinor. Obie były jej przedstawione, z czym zaraz pochwaliły się przede mną. „Missis” Little przechowywała dotąd wszystkie recenzje tutejszych dzienników, które mi pokazała i w których, jak się przekonałem, nie tylko krytycy wynosili pod niebiosa naszą artystkę, ale i zapisywali każde jej niemal słowo prywatnie do nich wyrzeczone.

– Ponieważ miasto nasze, lubo dopiero kilkudziesięcioletnie – mówiła pani Little – leży prawie na drodze z San Francisco do New Yorku, a prócz tego stosunkowo jest może najbogatsze w Ameryce, widzujemy tu więc wszystkie najznakomitsze artystki. Widziałyśmy Janaushek, widziałyśmy Klarę Morris, panią Bowers, miss Eytinge, ale takiej jak „Modjeska” nie widziałyśmy nigdy i nie będziemy. Co to za talent, co za słodycz, co za ladylike! („lady” – znaczy dama, a „like” – jak; razem wzięte: dystynkcja, maniery prawdziwej lady). Były to rzeczy dotąd nie znane na naszych scenach.

– O, yes! – dodał pan Little przerywając nagle rozmowę o businessie, jaką prowadził w kącie z Woothrupem – miałem szczęście oprowadzać „lady Modjeska” po naszych kopalniach.

– A czy nie dostałeś od niej parę dolarów za usługę? – spytał Woothrup.

Zaczerwieniwszy się po uszy, rzuciłem mu zabójcze spojrzenie, ale on udając, że tego nie spostrzegła, ciągnął spokojnie dalej:

– Albowiem ja znam pewnego polskiego dżentelmena, który dziś rano chciał ci ofiarować dolara. Słyszysz, James? Wszyscy rozśmieli się serdecznie, pan Little zaś rzekł:

– Z cudzoziemcami, którzy zwiedzają nasze kopalnie, trafia mi się to dość często. Niedawno jeden Anglik ofiarował mi pięć dolarów, a gdym odmówił, wtedy on: „Weź, weź, przyjacielu, pięć dolarów ma swoją wartość, a zdaje mi się, że ci potrzebne.”

– Nie przeczę – odpowiedziałem – że pięć dolarów ma wartość, ale nie mogę powiedzieć, żeby mi były potrzebne, albowiem mam ich pół miliona w banku nie licząc tego, co posiadam w akcjach.

Anglik wytrzeszczył oczy, a po chwili mruknął:

– Byłoby pół miliona i pięć. Po czym rozstaliśmy się przyjaciółmi.

Nie potrzebuję już zapewne tłumaczyć wam, że pan James Little nie jest robotnikiem, ale głównym inżynierem i jednym z głównych akcjonariuszów kopalni. Ale jego zasmolone ubranie i twarz łatwo istotnie mogą w błąd wprowadzić. Tymczasem w kopalni innego używać niepodobna. Na zwiedzających właśnie dlatego nakładają umyślne ubrania, że w podziemiach wszystko się niszczy, rozrywa o skały, plami wilgocią, kopci dymem i sadzą. Oczywiście inżynier, który większą część dnia spędza w kopalni, w krótkim czasie musi wyglądać jak oberwaniec.

Wspominałem wam już zresztą w liście poprzednim, że Amerykanie stroją swoje żony, ale o siebie nie dbają. Co do Virginia City, jest to miasto stosunkowo, istotnie może najbogatsze.

Mieszkają tu milionerowie, właściciele kopalń. Wszystko też z powodu obfitości jest niezmiernie drogie. Nocleg w hotelu np. kosztuje pięć dolarów licząc w to kolację i śniadanie rano. Inżynierowie, urzędnicy administracyjni, a nawet i robotnicy w kopalni, wszystko to płatne na dziesiątki dolarów dziennie. Zaręczam wam, że najobfitszy literat albo najpłodniejsza literatka u nas nie zarabia tyle miesięcznie, ile tu pierwszy lepszy Irishman (Irlandczyk) wywożący gruz. Ale zobaczcie tych ludzi na ulicy: flanelowe bluzy, poodrapywane kapelusze, zasmolone twarze – nie dalibyście za nich po trzy grosze. Prawda, że kobiet nie widać znowu inaczej ubranych, jak w jedwabie, a spojrzawszy na miasto, na pałacyki piękniejsze trzy razy niż wasze wille w alejach belwederskich, na roślinność sztucznie i wielkim kosztem wywołaną z niepłodnej ziemi, odgadniesz, że tu pieniędzy nie brak i że miasto zasługuje na drugą nazwę: Silver City, jaką mu w potocznej mowie mieszkańcy nadają. Teraz odkrywają tu coraz nowe kopalnie, przy których w mgnieniu oka powstają miasta. Górnicy budują szeregi domów; kupcy przyjeżdżają z towarami, by je z ogromnym zyskiem górnikom sprzedawać; zakładają się sklepy; przyjeżdża mnóstwo interesantów, więc powstają hotele; są pieniądze, więc tworzą się banki, i tam, gdzie wczoraj wilk wył a Indianin Indianina skalpował – dziś staje miasto. Temu to bogactwu mineralnemu zawdzięcza swoje powstanie San Francisco, Sacramento, Virginia City i wiele innych. W moich oczach powstaje teraz Darwin w Kalifornii. Prawda, że zdarza się także, iż jeśli kopalnia zawiedzie, miasto niknie tak prędko, jak i powstało. Tak stało się np. z Sebastopolem, miasteczkiem pobudowanym w Sacramento County za czasów wojny sewastopolskiej. Stały już tam całe ulice domów, były sklepy, przychodziły poczty, ludność liczyła się na kilka tysięcy, a teraz też ludność składa się z sędziwego kapitana Wojciechowskiego i jego sługi, Francuza. Na dawnych ulicach orzą ziemię, sieją jęczmień i nec locus ubi Troia fuit.

Nevada, gdyby nie kopalnie, byłaby pewno dotychczas pustą, bo ani klimat, ani urodzajność ziemi nie ściąga nikogo. Kto by niemądry był siedzieć między skałami, pod chmurnym niebem, na soli lub sodzie, gdy o ścianę jest kraj śliczny, ciepły, urodzajny, ale jeśli się siada na srebrze lub złocie, wtedy się siedzenie opłaca.

Z czasem, z czasem może, gdy ziemi ludziom braknie, przyjdą i do Nevady i może zrobią z niej to, co mormonowie zrobili ze swojego gorszego jeszcze Utah – tj. ogród. Ale do tego jeszcze daleko. Prawdę powiedziawszy, czwarta część dopiero Stanów jest zaludniona. Reszta niezmiernych przestrzeni, bo ciągnących się prawie od Missisipi aż do Oceanu Spokojnego, z wyjątkiem Kalifornii, jest prawie jeszcze pusta.

A propos mormonów! Czy uwierzycie, że między „Świętymi ostatnich dni” znajduje się jakiś „panie dobrodzieju!” Żmujdzin. Jak się nazywa, nie wiem, bo zmienił nazwisko na angielskie; ile ma żon, także nie wiem, ale to wiem, że pisał list do Horaina zaczynający się od: „Mój mościwy panie bracie!” i namawiał go do mormonów. Po przybyciu do New Yorku Horain zobaczył raz przez okno Murzyna sprzedającego ogórki, a ponieważ, jako Litwin, chciał ich parę spożyć z miodem, posłał więc dzieci, aby Murzyna zatrzymały i ogórków kupiły. Dzieci kupiły ogórków, ale przy kupowaniu robiły sobie rozmaite uwagi nad Murzynem. A Murzyn do nich w najczystszej polszczyźnie: – A to wy mówicie po polsku?

Łatwo zrozumieć zdziwienie dzieci. Sprowadziły jednak Murzyna do domu, gdzie poczęto się go dopytywać, jakim sposobem po polsku się wyuczył? Pokazało się, że był to eks-niewolnik jakiegoś Polaka żyjącego pod przybranym nazwiskiem Major w okolicach Nowego Jorku. Murzyn kupiony był na południu, potem jednak, gdy pan przeniósł się na północ, gdzie niewola nie istniała, musiał zostać uwolniony, ale że się z panem polubili, więc się nie rozstawali.

– I pan zawsze mówi do ciebie po polsku? – pyta Horain.

– Teraz zawsze – odrzekł Murzyn – ale gdy mnie kupił, mówił tylko, gdy był zły.

– A cóż mówił wówczas?

Murzyn począł wymawiać z prawdziwie mazowieckim zacięciem:

– Psiakr...

Kraj ten, w którym nikt niczemu się nie dziwi, sprzyja rozwijaniu się oryginalności. Dlatego też oryginałów między naszymi rodakami, zwłaszcza starymi, tu nie brak. Umarł tu niedawno stary człowiek nazwiskiem Sielawa. Był to człowiek bardzo nieszczęśliwy. Gdzie nie był, jakich kolei nie przechodził, trudno by wyliczyć. Tułał się między Indianami; rozbijał się na wszystkich brzegach pięciu części świata, to dorabiał się jakiegoś grosza, to tracił go... słowem: był to liść rzucany burzą. Ale miał dwa lata w życiu szczęśliwe. Został latarnikiem w Aspinval, w Nowej Grenadzie, niedaleko równika. Siedząc na samotnej skale, nie widując ludzi po parę miesięcy, czuł się stary dziwak szczęśliwym. Zdawało mu się, że to już koniec jego wędrówek i że spokojnie dożyje wieczora życia i chwili, w której przyjdzie mu się wybrać w podróż ostatnią, wieczystą.

Co dwa tygodnie przywożono mu żywność i składano na brzegu. Latarnik zabierał skrzynki, próżne zostawiał na brzegu i wracał do wieży. O szóstej wieczór zapalał latarnię, o szóstej rano ją gasił – zresztą łowił ryby, czasami wpatrywał się w żagle pojawiające się na błękitnej dali, wpatrywał się w tę dal... marzył i śnił.

Nagle jednak skończyło się jego szczęście – i wiecie kto był tego przyczyną? Oto Zygmunt Kaczkowski. Pewnego razu znalazł między paczkami z żywnością paczkę z książkami. Stary na ich widok upadł na kolana i płakał. Kto mu je przysłał, jakim sposobem dowiedział się ten ktoś o jego adresie? nigdy nie mógł odgadnąć. Porwał książki do swej wieży, otworzył pierwszą z brzegu i począł czytać. Był to *Murdelion* Kaczkowskiego. Stary czytał, czytał nie tylko oczyma, ale duszą i sercem. Ściemniło się, zapalił lampę i czytał dalej... Nazajutrz odebrano mu miejsce i oddano go pod sąd: zapomniał zapalić latarni! – skutkiem czego jakiś okręt uszkodził się o skały.

Sielawa przybył potem do Nowego Jorku i tam otruł się – podobno z biedy. Znalaziono przy nim *Murdeliona*.

W Kalifornii świeże tu jeszcze istnieje wspomnienie o podobnym oryginale – Kowalewskim. Mieszkał on w Sebastopolu z Wojciechowskim, ale nie widywali się po parę lat. Bywało, pewnego poranku, zwija Kowalewski rzeczy w węzełek i wybiera się w drogę.

– Gdzie idziesz, Kowalewski? – pyta go towarzysz.

– At! znudziło się siedzieć!

– Człowieku, toż nawet nie masz broni; spotka cię niedźwiedź albo jakie licho i zamorduje.

– A to? – odpowiadał Kowalewski wywijając z łatwością straszliwym żelaznym drągiem, który inni zaledwo mogli podnieść z ziemi.

Wychodził „przejąć się” i nie wracał czasem przez parę lat. Bywało to w czasach, kiedy kraj był jeszcze dziki, pusty i gdy istotnie na każdym miejscu można było spotkać się z niebezpieczeństwem. Ale Kowalewski nie dbał o to. Gdy wracał, witał się tak z towarzyszem, jak gdyby był wyszedł przed godziną. Siadał spokojnie przy stole, jeśli wrócił na obiad, brał się również spokojnie do pracy, jeśli była to godzina pracy. Co robił przez czas nieobecności i gdzie bywał, nikt nigdy nie wiedział. Raz jednak wrócił słaby, znędzniały i bez drąga.

– Nie mogłem go już unieść – rzekł – niedługo umrę.

Jakoż i umarł wkrótce potem.

Dzika natura i samotność rozwija także w człowieku pewien wewnętrzny mistycyzm, który często objawia się na zewnątrz jako dziwactwo. W górach Santa Ana, między tamtejszymi skwaterami widziałem kilku Europejczyków, którzy kiedyś należeli do „inteligencji”. Każdy z nich miał jakieś swoje oryginalne widzi mi się. Tylko prosty człowiek albo tylko Amerykanin, biorąc wszystko tak, jak jest – może wytrzymać bez szkody szkołę tajemnych wpływów natury i samotności.

Przeciągnąłem ten list dłużej, niżem zamierzał, a winienem wam jeszcze odpowiedzieć na wasze pytania zawarte w liście ostatnim. Pytacie się, co się dzieje z naszą artystką. Wyjechała już do New Yorku, gdzie ma występować w „Fifth Avenue Theatre”, to jest w teatrze najbar-

dziej fashionable ze wszystkich w New Yorku. Występy jej rozpoczną się 22 grudnia. Wieści o niej dochodzą tu do nas najczęściej przez dzienniki, które od czasu do czasu podają telegramy o przyjęciach, jakie zgotowano jej nad drugim Oceanem, a czasem nawet i depeşe: co „great artist” powiedziała przy takiej lub owej okazji, jaka jej opinia o St. Francisco itd. Pisaliście mi, iż niektórzy w Warszawie starają się osłabić doniosłość jej tryumfów w St. Francisco, twierdząc, że to jest scena prowincjonalna i że tryumfy tu nie przesądzą powodzenia w New Yorku. Niechże poczekaą na New York. Co do St. Francisco, spytajcie ich, czy tu byli? Czy wiedzą, że tu ludność wraz z Oakland dochodzi 400 000? Czy wiedzą, że tu jest siedem teatrów stałych (California I, Grand Opera House, Baldoin, Bella Union, dwa Emmerson i Bush Street Th.), których sama ilość wskazuje już, jaki jest rozwój i doniosłość tutejszego życia artystycznego. Czy wiedzą na koniec, że tu była Ristori, Janauschek, Bowers, Morris etc, etc. Zresztą pozwólcie im świstać w dziurawe orzechy. Każdy robi to, do czego jest zdolny. Co do mnie, umiem sobie ten fakt wytłumaczyć. Gdy wieści rozeszły się, że wielka artystka ma wystąpić, niezawodnie było tam u was wielu, którzy zapewniali, zaręczali, twierdzili na pewnych danych i „z góry przewidywali”, że jej się nie uda. Tymczasem teraz – jakże tu przyznać się prorokom, że ich przewidujące krytyczne rozumy były tak niewłaściwie umieszczone, jak oczy raka?

Bywajcie zdrowi! jak tylko moje zdrowie się polepszy, siadam na statek i „Hejże, sterniku!” – a potem, jeśli okręt się nie rozbije, za miesiąc lub dwa będę miał sposobność uścisnąć wasze dłonie.

Z DRUGIEJ PÓLKULI

LIST LITWOSA

Litwos, którego świetne listy z Ameryki tak powszechnie się podobały, do jednego z naszych współpracowników wystosował list, w którym malowniczo opisuje swój obecny pobyt w Kalifornii.

Ponieważ korespondencja ta, pomimo swego prywatnego charakteru, zawiera mnóstwo szczegółów mogących zainteresować szersze koło czytelników, a pomimo niedbałej na pozór formy uderza malowniczością i talentem pisarskim, przeto wyjmujemy kilka z niej ustępów, które dopraszają się druku.

Rozpalam je (ognisko)²¹ co noc w tutejszych lasach samotnych i bezludnych. Obecnie bawię w San Fr(ancisco), dokąd przyjechałem z Alameda C. (stan Alameda w Kalifornii), a w Alameda C. siedziałem w górach nie widując czasem po tygodniu twarzy ludzkiej, polując, zwiedzając jeziora i żyjąc w szałasie, który sam sobie zbudowałem.

Takie życie ma dla mnie niewyczerpany urok, ale możliwe jest tylko w kraju tak ślicznym, ciepłym i tak obfitującym w zwierzynę jak Cal(ifornia). Odwykłem po trochu od dachu, cywilizacji, łóżek, rosółów itp. przesądów. Moje ucywilizowane ubrania spoczywają u Horaina w mieście, a wólczeży odbywam w stroju, który z wyjątkiem tylko butów przywiezionych jeszcze z Europy, kosztuje 1 dolar. Kołdra sukienna, strzelba z jedną rurą karabinową, drugą gładką, dwie torby, jedna z żywnością, druga z amunicją, na koniec pies Boy i koń, stanowią mój strój, towarzystwo itd. Ogromne przestrzenie precudnego kraju są tu jeszcze puste, gdzieniegdzie siedzą tylko skwatery, gdzieniegdzie trapersy lub Indianie, spokojni i bojaźliwi. Pustynia zaczyna się tu nieraz zaraz za miastem. Na płaszczynach, czyli preriach, lasów nie ma, ze zwierząt żyją w nich miliony zajęcy, miliardy kuropatw, królików, kujotów, czyli małych wilczków nieszkodliwych, i wreszcie trochę antylop.

Góry szumią jednym wielkim borem, przerywanym tylko skałami i strumieniami. Drzewa platanowe, dęby czarne, laur, wierzby – oto przedstawiciele świata roślinnego. Wszystko to pokryte zbitą masą bluszczów, dzikiego wina i innych pnących się roślin. Wysokie laski cyotte dostarczają pokarmu. Przepisów wzbraniających polowania nawet na fermach i ogródkach nie ma, owszem, wszyscy są wdzięczni, bo zające robią ogromne szkody. Mięso ich obrzydliwe.

Kuję się ciągle o kaktusy, w tych zakłuciach muchy składają jaja, skutkiem czego wzdymają się pęcherze pełne wody i białych czerwi²².

²¹ W nawiasach zamieszczamy objaśnienia lub wyrażenia równoważne, szanując dosłowność samego listu.

²² Porównaj uwagi o tym przekreślonym zdaniu („kują się” – oczywiście zające) w liście następnym.

Bezpieczeństwo wszędzie wielkie. Nikt nic nie kradnie. W miastach panują prawa U.S. (United States – Stanów Zjednoczonych) – poza dystryktem miast lynch, nigdy zresztą prawie nie stosowany. Awantury trafiają się tylko między górnikami w złotodajnych okolicach, ale i tam ludno już – wznoszą się wsie, miasta, a dzielna policja, której na pozór nie znać, czuwa nad każdym.

Wyuczyłem się tu wiele rzeczy dawniej mi nie znanych... wybornie strzelać, gotować, rozniecać ogień i przede wszystkim dawać sobie rady bez ceremonii zawsze i wszędzie. Pozbyłem się wielu pretensji i przesądów, zyskałem trochę inny i szerszy pogląd na świat i wreszcie zakochałem się w takim życiu i takim kraju; wiele, wiele jest tu stron pysznych.

W miastach kwitnie business (interes) – oparty najczęściej na szalonym kredycie i szachrajstwie. Ludność (zwątlona rozpustą) dość zepsuta, arcymieszana. Ludzi wykształconych w naszym sensie, literatury, sztuk pięknych, jednym słowem życia ateńskiego nie ma wcale albo bardzo mało. Nikt tu nie rozumie np. różnicy między malarzem artystą a pokojowym; gazety są tylko biurami informacyjnymi na wielką skalę. Zamiast religii kwitnie sekciarstwo oparte zresztą na arcyziemskich interesach.

W małych miasteczkach i wsiach, stanowiących zdrowe jądro społeczne, ludzie są prości, uczciwi, rzadko Niemcy, najczęściej rodowici Amerykanie. Sekciarstwa tu nie ma. Pomimo braku uczuć religijnych i obrzędów kościelnych – powaga i moralność wielka.

.....

Wszyscy umieją czytać i pisać. Nauka stoi nisko, ogólna oświata wysoko. Kobiety nic nie robią (prowadzą tajemne życie rozwiązłe), grywają *La prière d'une vierge* Bądarzewskiej. Emancypacji mniej niż gdziekolwiek.

.....

San Francisco otoczone naokoło olbrzymią pyszną zatoką, jest nowym, ale pięknym miastem. Ma mnóstwo ładnych domów, przed domami palmy i cyprysy, kilka pięknych wirydaryzy, wspaniałe hotele, ale też to wszystko. Klimat mniej tu przyjemny, bo wiatr ciągle dmie jak w kuźni, wreszcie w całym mieście czuć odór ryb i ropy morskiej. Od strony Oceanu brzeg wysoki i pokryty skałami, na których wygrzewa się tysiące lwów morskich; z drugiej strony zatoka pyszna, z której wyjście na Ocean zwie się Złotą Bramą. Na przeciwległym brzegu zatoki leży Oakland miasto, a raczej przedmieście, liczące do 80 000 mieszkańców. W tym miejscu zatoka najwęższa, ma bowiem tylko 12 mil angielskich szerokości.

Komunikacja oryginalna, bo z Oakland jedzie się do połowy zatoki koleją na pomostach składających się z wbitych pali w dno morskie. Gdy pociąg wpadnie na taki pomost, pierwszy raz niepodobna się oprzeć przerażeniu. Poręczy nie ma, zdaje się, że pociąg rżnie się przez wodę. Gdy bardzo wietrzno, słychać pod pociągiem szum i ryk fali – piana podrzuca się aż do kół – wszystko się trzęsie. Jest tego od Oakland 6 mil, potem: stój! Co takiego? Stacja. Na środku zatoki banhof, galeria, parę budynków – wszystko na falach. Tam siada się w parowiec i resztę drogi do St. Fr(ancisco) odbywa się już na pokładzie – wśród stad morskich kaczek, mew, kormoranów i ukazujących się czarnych grzbietów delfinów. Cóż to jeszcze chciałem donieść? A! przyjechawszy do Ameryki, doprawdy nie trzeba umieć po angielsku. Pominawszy, że Polaków z wyjątkiem Kalifornii wszędzie mnóstwo, nie znajdziecie ani jednej najlichszej miłośnicy w całych Stanach, gdzie by nie było Żydka polskiego. Miałem z nich nieraz sto pociech. Amerykanie nie cierpią ich dlatego, że Amerykanie oszukują zwykle świeżo przybyłych cudzoziemców, a tymczasem polski Żydek przyjechawszy, dajmy na to, w niedzielę, w poniedziałek, o zakład, orznął już dwóch Jankeś. Mówił mi jeden z nich:

– Ma mister Peters oszukać pan Lewyson, niech lepiej pan Lewyson oszuka mister Peters. I wszędzie tak. Zresztą, choć ich nie cierpią, jest to dla nich nowa Jerozolima, bo to zawiść tylko handlowa, a bynajmniej nie rasowa. Żyd, jako Żyd, taki dobry jak każdy inny. Wielu z nich doszło do majątków – a prawie wszyscy żyją w dobrobycie jeszcze i dlatego, że Amerykanie nie są wcale oszczędni: oni zaś dużo zarabiając, umieją oszczędzać. W towarzystwach, w klubach są przyjmowani, często prezesują. Polityka ich interesuje. Należą zwykle do republikanów – odznaczają się radykalnością. Po polsku mówią mieszając z angielszczyzną, której uczą się łatwo. P. Mendelsohn np. mówi do mnie w ten sposób: – Ja bym żył w Europie, but I am radykał: pan wiesz – tam nie można jak tu for instant... Ce! Ce!

...Pytacie, czy wrócę? Tak! wrócę, ale nie inaczej jak przez Pacyfik, tj. naokoło ziemi... Ale już tak żyłka Żyda-tułacza rozwinęła się we mnie, że wrócę może tylko po to, aby (po pewnym czasie)... ruszyć znowu w świat, np. na wyspę Borneo lub do Afryki.

.....

LIST LITWOSA

San Francisco, 9 września 1877

Kochani moi! Winienem wam odpowiedzieć na wasz ostatni list. Zły byłem trochę na was, że mój pierwszy oddaliście do druku. Ani jego forma, ani ton nie nadawały się do tego, objaśnienia zaś poumieszczane w nawiasach zmieniły lub zbyt uogólniły w kilku miejscach sens moich słów. Z zakończenia także można by wnosić, że dla Żydów tutejszych nie mam nic więcej prócz drwinek, tymczasem powiem wam poufnie, że mam dla nich wiele szacunku.

Tu dopiero przekonałem się, jaka to energiczna i przedsiębiorcza jest ludność. W Polsce mniej to jest dziwne, że Żydzi zagarnęli handel, a częściowo i przemysł w swe ręce, ale tu, gdzie miejscowa ludność jest aż do zbytku przedsiębiorcza, gdzie konkurencja jest niesłychanie trudna, a walka o byt prowadzona bez miłosierdzia, tu dopiero okazują się w całej potęgze handlowe ich przymioty. Powiem wam krótko a węzłowato: na polu handlowym Żydzi polscy dotrzymują pola Jankesom, a dotrzymaliby w razie potrzeby wszystkim rogiatym diabłom. Przyjeżdżają tu najczęściej bez grosza, bez znajomości języka, stosunków, słowem: z dziesięcioma palcami i głową na karku tylko, nazajutrz zaś po przyjeździe każdy już rozpoczyna business. Kto ich chce oszachrować, sam bywa oszachrowany – w wielkim jednak handlu nie są mniej uczciwi od innych kupców. Nie znam ani jednego Żyda, który by tu po roku pobytu biedę klepał; każdy ma pieniądze, każdy – jak mówią Amerykanie: „robi życie”, każdy po jakimś czasie wart jest taką a taką sumę w gotówce. Niektórzy podorabiali się milionów. Ale mniejsza o to. Lepszą jeszcze stroną ich jest, że z wyjątkiem poznańskich Żydów i galicyjskich, którzy trzymają się z Niemcami, inni, to jest Żydzi z Królestwa, nie zapominają wcale: skąd pochodzą, gdzie dawniej żyli i gdzie leżą kości ich przodków. Słowem, bez uprzedzeń, są to tędy ludzie. Takiego żywiołu nie powinniście tam w kraju lekceważyć, bo posiada on właśnie te przymioty, których nam brak, ale które dodane do miejscowych, stworzyłyby arcyprzypoitość całość.

Takie jest moje zdanie, które otwarcie wam wypowiadam, jak również i to drugie, że uważam za głupiego każdego, kto u nas patrzy na Żydów ze stanowiska jakichś pretensyjek urodzenia, pochodzenia itd. Nie jestem za tym, aby ich kokietować. Jak zasłużą, należy ich (według wyrażenia Prusa) tak dobrze chechłać jak i każdego innego, ale też nie należy wyrzucać ich za nawias. Oto wszystko.

Pytacie się mnie, co dzieje się z panią Modrzejewską i piszecie, że teraz dopiero przekonali się wszyscy, iż była „niezrównaną” i że nikt zastąpić jej nie zdoła.

Otóż w tej chwili mogę wam udzielić objaśnień, nie poufnie, jak żądacie, ale bez zastrzeżenia sekretu. Wystąpiła już na tutejszej scenie. Korespondencja, jaką wysłałem do „Gazety Polskiej”, odmaluje wam to wystąpienie. Teraz już upłynęło od tego czasu dwa tygodnie. Grała codziennie. Występowała w trzech rolach: Adrianny, Ofelii i Julietty. Choćbym chciał, choćbym się silił, nie potrafiłbym wam opisać, co to za szereg tryumfów były te występy. Zbierzcie razem: wrzaski, krzyki, powódź podzwrotnikowych kwiatów, uniesienia recenzentów, porównania z Ristori i Rachelą, owacje publiczności, owacje prasy, ryki paradyzowe,

ścisk, tropikalne gorąco, popychanie się łokciami, sonety na cześć „wielkiej córki Sarmacji”, a wszystko to razem wzięte da wam zaledwie słaby obraz tych występów. Rodacy wielkiej artystki, zamieszkali stale tutaj, którzy nie nazywają jej już inaczej, jak: „nasza pani M.” – z radości i dumy tak pozadzierali nosy do góry, że już i gadać z nikim nie chcą. Prasa, która była nam w ogóle niezbyt przychylna, przesadza się w komplementach i oświadczeniach sympatii. Pojawiły się rozmaite artykuły o Słowiańszczyźnie, o nadzwyczajnych zdolnościach naszego szczepu, etc., etc.

Pani Modrzejewska trzymana jest teraz w formalnym obłączeniu w „Palace Hotel” przez agentów teatralnych, recenzentów, redaktorów i znakomitości miasta. Na ostatnim przedstawieniu prasa podała dla niej adres na białym atlasie. Prócz adresu ofiarowano jej olbrzymi kosz z trójkolorowych kwiatów z zatknietą na wierzchu chorągwią. Wszystko to od prasy. Adres był wierszem, którego ostatni ustęp brzmi:

Kepp Polish memories in your heart alone,
America now claims you for her own.

Co znaczy: „Zatrzymaj pamięć swego kraju w swym sercu, ale teraz Ameryka uważa cię za swoją własność.” Po tych dwóch wierszach następują podpisy dziennikarzy.

Piękniejszy jeszcze jest sonet napisany przez Hintona, redaktora „Evening Post” i publikowany już we wszystkich innych gazetach.

Krótko mówiąc mieliśmy w Warszawie naprawdę najznakomitszą może na świecie artystkę i... straciliśmy ją.

Prócz tego, uderzywszy się w piersi, czyż to raz rozmaite literaciki docinały jej w rozmaitych gazetach i gazetkach dlatego tylko, aby pochwalić się potem przy czarnej kawie: „o ja to dopiero napisałem pani Modrzejewskiej!” I tak też pisali, aż wypisali. That’s all right!

Teatra z New Yorku, Bostonu, Washingtonu i Filadelfii, w chwili gdy to piszę, już nadesłały p. Modrzejewskiej nader świetne zaofiarowania. Prawdopodobnie w tym roku będzie grała we wszystkich znakomitych miastach tutejszych; potem pojedzie do Londynu, potem na występy do Warszawy, której to myśli nie chce się zrzec za żadną cenę – następnie znowu wróci do Anglii, Ameryki i Australii. Przeszła tu bardzo ciężkie chwile. Gdy przyszło do występów, nie miała po prostu za co sprawić kostiumów. Wszystkie nadzieje na pomoc bądź z Warszawy, bądź z Księstwa – comme de raison – ją zawiodły. Ale zwalczyła wszystkie te trudności ; z pozostałości po warszawskich kostiumach umiała nie tylko wysztyfować nowe, ale i przepyszne – wreszcie wystąpiła – i teraz... ot! gdybym miał na rok tyle, ile ona tu może – wedle tego, co się pokazało – zarabiać na tydzień, jeździłbym po świecie pierwszymi klasami i pisywał korespondencje darmo.

Tyle wam mogę donieść o pani Modrzejewskiej. Zrobiło się to wszystko tak nagle, a niespodziewanie, że się i wierzyć temu nie chce. Nie wiem, czy wspomniałem wam, że Ofelia była grana umyślnie po polsku. Efekt ogromny. „The Mail” napisał, że jest to najśłodszy język, jaki kiedykolwiek odbił się o amerykańskie uszy.

Gazety, zachęczone i rozpalone teraz do naszych rzeczy, krzyczą na gwałt, aby artystka wprowadziła jakie sztuki polskie. Pani M. myśli o Słowackim, ale nie wiem, czy się to uda zrobić!

Teraz kilka słów o sobie. Obecnie znowu bawię w San Francisco, gdzie przyjechałem umyślnie na występy pani M. z Maripozy. Przed wyjazdem do Maripozy trafiło mi się kilka awantur. Najprzód były tu —jak i w całej Ameryce – „strajki” robotników kolejowych, którym zmniejszono płacę dzienną. Widziałem nader burzliwe meetingi, na których strzelano z rewolwerów do siebie, bito się na cegły, pięście i kije. Mało się nie oberwało i mnie. Potem w moich oczach jakiś Hangs, konsul Gwatemali, zabił niejakiego pana Leslie (być może, że inaczej się pisze). Należałem do liczby tych, którzy złapali za kark zabójcę i odbierali mu

rewolwer. Żałowałem następnie bardzo, że nie wsadzili mnie jako świadka do kozy, bo tu świadków czasem sadzają do kozy, aby ich usunąć spod wpływów rodziny oskarżonego, ale za to płacą pięć dolarów dziennie (nie wiem, czy i w Kalifornii), czyli sumę, jakiej zapewne żaden literat na dzień nie zarabia.

Koniec końców nie wsadzili mnie, więc pojechałem do Maripozy. Maripoza to jeden ogromny las; w tydzień po moim przyjeździe wlałem w gąszcza za postrzelonym sępem, ze strzelbą, w której jedna lufa od śrutu była właśnie wystrzelona, a druga od kuli nie nabita i spotkałem się nos w nos ni mniej, ni więcej, tylko z madame la Cougouar. Madame huknęła na mnie i parsknęła gwałtownie, ja zaś, jako nie przedstawiony, cofnąłem się z takim pośpiechem, że przyniósłby on zaszczyt najlepiej wychowanemu dżentelmenowi. Powiadam wam, że literalnie małom nie siadł ze strachu. Bo, żebym choć miał nóż, ale i to nie! Miałem tylko strzelbę nie nabita, to się znaczy kawał lichego drağa. Kuguarzyca schroniła się do starej miny srebra, ja zaś do chałupy. Tam dopiero ochłonawszy wziąłem Henry rifle czternastostrzałowy, wróciłem do miny i przesiedziałem o trzydzieści kroków od otworu całą noc... bezskutecznie.

Ale za to od tej pory nie chodzę w gąszcza jak roztrzępaniec, bez noża i bez kuli w jednej lufie oraz przysięgłem sobie, że i na przyszłość nigdy tego robić nie będę.

Zabawna rzecz! co to jest podróżować? Czyby mi na przykład dwa lata temu w Warszawie przyszło na myśl, że mogę być zjedzonym? Gdy niebezpieczeństwo minie, tego rodzaju wrażenie wydaje się bardzo komiczne. Wyobraźcie sobie dwie istoty: pumę i warszawskiego literata. Obie urodziły się na dwóch półkulach, tymczasem jakieś licho stawia jedno na drodze drugiemu i jedno drugie zjada... A kto kogo? puma literata!! Czyby to przeklęte bydlę miało przynajmniej pojęcie, kogo je? czyby miało pojęcie, że zarazem zjada z jaki tysiąc felietonów z „Gazety Polskiej”? ze dwieście *Listów z podróży... Na marne, Humoreski, Starego sługę, Hanię, Szkice węglem* i wszystkie te arcydzieła, które jeszcze mają wylecieć z mej głowy na świat, jak wróble ze stodoły? Czyby miało przynajmniej pojęcie, że zjadając literata popełnia jakiś większy grzech lub przynajmniej je coś smaczniejszego, niż gdyby np. zjadało cielę lub skopa? O horror! Przyszedłszy na nocleg do jamy, gotowa jeszcze taka jakaś puma powiedzieć do męża kuguara: „wiesz co – mdli mnie! zjadłam dziś coś dziwnie niesmacznego”.

Piękny los!

A jednak co tam! lepiej jest zawsze podróżować niż siedzieć kamieniem na miejscu. Nie wydaje człowiek tak po groszu tego, co w nim jest najlepsze, w lesie jak na bruku miejskim, otrząsa się z koteryjności, z marnych osobistych sympatii i antypatii, z drobnych uraz, z małych spraw i drobiazgowości, z lichych pretensyjek – żyje szerzej, myśli może szerzej i mężniej – wyrabia w sobie dzielniej indywidualność, nie staje się wytartym groszem podobnym do każdego innego jak dwa łyse konie; jest wreszcie panem sobie – panem, co warte jest więcej niż wszystko. Nie myślcie, żebym namawiał do włóczęgi. Kogo obowiązki i praca trzyma w domu, ten niech siedzi w domu. Ale co do mnie osobiście, cóż robiłem w Warszawie? – pisałem; co robię w Kalifornii? co będę robił czy na biegunie północnym, czy południowym? – pisał. Krótko mówiąc, robię zawsze swoje, a robię może tym lepiej, że piszę rzeczy ciekawsze.

Chcecie wiedzieć, jakie są moje zamiary w tej chwili? Oto, jak mi przyplynie przez wodę i przyjedzie przez ziemię trochę pieniędzy, na które czekam jak oblubieniec na oblubienicę, wówczas sakum pakum i przez Panamę, jako najtańszą drogę, a pod pokładem, jako najtańszym sposobem, puszcę się z powrotem do Warszawy. W Warszawie mam zamiar powiedzieć kilka odczytów, zebrać coś grosza i znowu puścić się w świat – i znowu pisywać *Listy z podróży* – i tak ciągle, dopóki nie przyjdzie się wybrać w najmniej kosztowną, ale najdłuższą, to jest na tamten świat. Jak to prędko nastąpi, nie wiem – wiem tylko, że na mocy przysłowia: „zła siekiera nie utonie” – nie grozi mi śmierć wodna.

Ale to wszystko jedno. Natomiast, jeśli będziecie moje listy prywatne drukować z taką korektą, jak poprzedni, powiadam wam, umrę z rozpaczy. W poprzednim czytam następujący ustęp:

„Kłuję się ciągle o kaktusy, w tych zakłuciach muchy składają jaja. skutkiem czego wzdymają się pęcherze pełne wody i białych czerwi.”

Cóż wy sobie myślicie, żem się już na nic lepszego nie zdał, jak na kojec dla much? że to na mnie muchy składają jaja? że ja mam po sobie pęcherze pełne wody i białych czerwi?

Dziękuję za taką opinię. Wyobrażam sobie teraz, co o mojej piękności muszą myśleć wasze czytelniczki. Okryty pęcherzami pełnymi białych czerwi! Dajcież mi pokój! Moja piękność szerniała wprawdzie na słońcu – ale zresztą nie widzę w niej innych zmian. Żadnej musze ani się śniło składać na mnie jaj, nie mam po sobie żadnych pęcherzy ani żadnych białych lub innej barwy czerwi. Mowa była o zającach, nie o mnie. Zamiast „K ł u j ę s i ę” – powinno być: „K ł u j ą s i ę”. Powiadam wam, że zepsuliście mi humor tą omyłką na cały tydzień.

O Amerykanki nie dbałbym tyle, co o warszawianki. Podoba mi się niezmiernie wiele rzeczy w Ameryce, ale nie kobiety. Mówię tylko o Kalifornii, nie o wschodzie, bo wschodu dosyć nie znam. Ale w Kalifornii ogół kobiet nie przedstawia się zbyt świetnie. Stroją się jak w Paryżu albo i lepiej. W zbytku zamiłowane są do tego stopnia, że w takim klimacie, jak tu – latem i zimą noszą futra, to jest kołnierze, obszywane kaftany itp. Wszystko to dlatego, aby pochwalić się kosztownymi bobrami morskimi przywożonymi tu z Alaski. Po całych dniach siedzą na biegunowych krzesłach, kołysząc się pokazują nóżki, szczerzą ząbki, gwarzą, śmieją się, kokietują w nader elementarny sposób – zresztą nie robią nic.

Wszystkie brzdąkają na fortepianie, żadna dobrze: języków mało się uczą; pretensji do dobrego tonu, do dobrych manier, do high life mają bardzo wiele, przez co psują republikańską równość i swobodę. Charakterystyczną – ujemną lub dodatnią, jak komu się podoba – cechą ich jest brak wszelkiego sentymentalizmu. Cichych skłonności sercowych nie zwierzają księżycowi; woła flirtować wesoło a strojnie i hucznie. Widziałem parę lat temu na scenie w Warszawie *Rodzinę Benoiton*, otóż Amerykanki przypominają mi panny Benoiton. Żyją tylko życiem zewnętrznym – brak im częstokroć inteligencji, serca i umysłu, skupienia, refleksji – słowem, są to wesołe kozy.

Oczywiście zastrzegam, że mówię o Kalifornii, bo wschodu nie znam dokładnie. Ale w Kalifornii społeczeństwo jest jeszcze proste, nie wyrafinowane, a bogate, skutkiem czego kobietom przewróciło się w głowie. Są to dorobkiewiczowe i dorobkiewiczówny, a pozują na wielkie damy, co jest śmiesznym, antydemokratycznym i antyrepublikańskim.

Ma się to jednak rozumieć tylko o kobietach należących do najbogatszych klas, inne, np. żony rzemieślników, farmerki, robotnice, są to poczciwe kobiety, bez pretensji, pilnujące swoich obowiązków i pełne prostoty. Stroją się wprawdzie i one, ale to już woła ich mężów. Amerykanin sam nie dba o siebie, chodzi bez krawata, często bez surduta – ale nie może ścierpieć, aby żona jego nie miała jedwabiu, złotych łańcuchów, rękawiczek po łokcie i tak dalej.

Krótko mówiąc, kobiety tutejsze starają się naśladować we wszystkim kobiety europejskie – mężczyźni nie. Nie możecie sobie wyobrazić, jaka różnica zachodzi między obyczajem męskim tutejszym a europejskim. Amerykanin jest bezceremonialny, pełen prostoty, a nawet gburowatości. Gdym tu przyjechał, wydawali mi się wszyscy niezmiernie niegrzeczni – teraz już przywykłem do tego, co więcej, prostotę tę w obejściu się między mężczyznami cenię więcej niż europejską kokieteryę.

Po co, u licha, to wdzięczenie się do siebie wzajemne między mężczyznami! U nas np., gdy przedstawicie sobie dwóch nie znanych dżentelmenów – dżentelmeni ci zrywają się zaraz ze swoich miejsc, kłaniają się sobie kapeluszymi, kręcą z radości ogonkami od fraków, ściskają się za ręce, robią do siebie słodkie oczy jak figi, zapewniają się, że im jest niezmier-

nie przyjemnie, łąą sobie w oczy najbezcześniejsze komplementa w rodzaju: „Dawno pragnąłem poznać”, „Tyle słyszałem”, „Czuję się szczęśliwym” – słowem, skaczą przed sobą jak dwie małpy, kokietują się, jakby jeden chciał drugiego uwieść. Co, u licha! Nie wyobrazicie sobie, z jaką pogardą patrzy na taki obyczaj Amerykanin. Nie lubią dlatego np. Francuzów.

Tu, jeśli ktoś poznaje ze sobą dwóch ludzi, mówi po prostu: „Poznajcie się, oto jest mister X, a to mister Y.” Wówczas mister X nie wstaje, nie zdejmuje kapelusza, nie podaje nawet ręki, ale kiwa łbem i mówi „hallo!”, mister Y kiwa także łbem i odpowiada „morning” i znajomość zawarta. Za drugim spotkaniem już klepie jeden drugiego po karku i mówi: „How do you do old fellow?” –jak się masz, stary ówiku! – i basta.

Z początku raziło mnie to ogromnie. Gdy poznawany z kimkolwiek, kłaniałem się po europejsku, a ten ktoś zaledwie mi łbem kiwnął, miałem nieraz ochotę trzepnąć go w ucho. Teraz już do tego przywykłem, a co więcej, rozumiem, że jeśli tu jest za mało ceremonii, to w europejskim tańcowaniu koło siebie za wiele. Co za racja do takiego wdzięczenia się i szczerzenia do siebie zębów?

Ja pana nie znam – pan mnie – poznaliśmy się, kiwnęliśmy sobie głowami i dosyć na tym. W demokratycznej republice jest to sobie naturalne. Co więcej, że znajomość zawarta w ten sposób, nie jest gorszą od europejskiej – jeżeli zaś znajomość taka zmieni się w przyjaźń – to ta przyjaźń sto razy więcej jest warta od każdej europejskiej. Amerykanin przyjaciela uważa tak jak brata, na jego sprawy patrzy po prostu jak na swoje.

W Europie w stosunkach towarzyskich w ogóle więcej się obiecuje, niż dotrzymuje. Tu stosunki są jaśniejsze, albo: ty sobie, a ja sobie – albo: jeden za drugiego aż do śmierci.

Według mnie, Ameryka ze swymi instytucjami i obyczajami jest to kraj niezmiernie pocuczający. Bądź co bądź, zostało tu rozwiązane jedno ogromne zadanie socjalne. Oto czterdzieści milionów ludzi z rozmaitych, często nieprzyjaznych sobie w Europie narodowości żyje tu prawnie, zgodnie, swobodnie. Ponieważ każda rzecz na świecie ma swoje złe i dobre strony, być może więc, że i owa swoboda ma swoje plamy słoneczne. Ale też słońce mimo plam nie przestaje być słońcem dającym ciepło i życie. Ameryka to olbrzymi dowód, że tego rodzaju instytucje – mimo swych złych stron są formą mogącą ogarnąć najszersze zakresy, pogodzić liczne narodowości, dać rozwój wszelkiego rodzaju interesom.

Przypatrzcie się tylko: Francja np. to naród francuski. Prusy to naród pruski. – W Stanach Zjednoczonych istnieje państwo, ale właściwie mówiąc, nie ma narodu. Jest to czterdzieści milionów ludzi, nie czterdzieści milionów Amerykanów.

Patrzcie więc: państwo nie jest narodowościowe, a jednak nie tylko nie tamuje rozwoju pojedynczych swych narodowości, ale owszem, robi wszystko, co może, aby rozwój ten utrwalić i zabezpieczyć. Chcecie Niemcy być Niemcami: all right! Irlandczycy – Irlandczykami, Szwedzi – Szwedami, Anglicy – Anglikami: all right! Wszyscy będziecie jednak dobrymi obywatelami Stanów.

Ja sam myślałem dawniej, że tu się ludzie skalpują, strzelają do siebie z rewolwerów, lynchują itd. Teraz widzę, że tak nie jest. Bywają przestępstwa, bywają wystrzały z rewolwerów, bywają czasem zaburzenia, ale gdzież tego nie bywa? Ludzie nie są aniołami.

**WYSTĄPIENIE
PANI HELENY MODRZEJEWSKIEJ
NA SCENIE ANGIELSKIEJ
W SAN FRANCISCO. CAL.
DNIA 20 SIERPNI 1877 R.**

KORESPONDENCJA LITWOSA

Olbrzymie afisze teatralne porozlepiane na rogach ulic w San Francisco dnia 20 sierpnia doniosły wszem wobec i każdemu z osobna, że „celebrated Polish artist, Mrs. Helena Modjewska” ma się ukazać na scenie California Theatre w roli Adrianny Lecouvreur.

Tegoż samego dnia, wezwany poprzednio listem Horaina, przybyłem z lasów Maripozy. Była godzina szósta po południu. Udałem się natychmiast do mieszkania artystki, aby osobiście dowiedzieć się, jakim sposobem cud ten przyszedł do skutku. Odpowiedziano mi, że już jest w teatrze. Poszedłem do teatru – i nie mogłem się dostać do wnętrza, więc stanąłem przed afiszem i... nie chciałem własnym oczom wierzyć.

Wiedziałem uprzednio, że nasza artystka studiowała naprawdę język angielski dopiero od ośmiu miesięcy. Otóż przez ośm miesięcy wyuczyć się najtrudniejszego języka na świecie, wyuczyć się nie tylko potocznej mowy, ale scenicznej wymowy... na to istotnie potrzeba było cudu lub cudotwórczego geniuszu.

Bawiąc tu od lat blisko dwóch i przestając przeważnie z Amerykanami nauczyłem się ich rozumieć, ale nie zawsze mogę dokazać, aby oni mnie rozumieli. Znam rodaków naszych, ludzi wykształconych, którzy mieszkają tu od lat trzydziestu, a których angielszczyzna rozdziera jednak siedmioma mieczami amerykańskie uszy. Na koniec, czytając gazety sto razy zauważyłem, jak często krytycy zarzucają aktorom, urodzonym Amerykanom, złe wymawianie.

Nie dziwicie się więc, że w wątpiłem i że nie mieściło mi się w głowie, jak można było po ośmiu miesiącach zwalczyć te niezwalczone prawie dla cudzoziemców trudności i występować publicznie.

A jednak afisz mówił wyraźnie swymi trzyłokciowymi literami:

„celebrated Polish artist, Mrs. Helena Modjewska, etc.” Stałem więc i dumalem, a dumania moje coraz silniej, coraz wyraźniej i coraz boleśniej przybierały kształt Mickiewiczowskich pytań: „Co to będzie? Co to będzie?”

Co się tam musi dziać z artystką? myślałem. Jakąż trwogą musi bić jej serce. Gdzie jej pewność siebie? gdzie owo przeświadczenie, że wszystkie oczy będą płakać, gdy ona im każe, usta śmiać się, gdy ona zechce... że gdy wyjdzie na scenę, zahuczy burza oklasków, nawaływań, okrzyków, zachwyców i uniesienia?

Na pobliskiej Kerney street zegar wydzwonił kwadrans na ósmą. Już tylko trzy kwadranse. Mroczyło się. Koło teatru ruch się zwiększał. Przyszły mi na myśl warszawskie noce teatralne... ale ach! to nie Warszawa i nie warszawska publika. Tu serca obce, dusze obce. Ci dzielni

w życiu praktycznym Jankeśi są po trochu barbarzyńcami w sztuce. To jakby dawny, twardy populus romanus, mądry i potężny, ale gotowy deptać po korynckich posągach.

...Wiedziałem, że nie oszczędzą ani artystki, ani kobiety.

Ściemniło się zupełnie. Miasto zabłysło tysiącami lamp. Ścisnęło mi się serce, gdy myślałem, że za chwilę miały się zważyć losy tej Polki i tej artystki. Czym była w Warszawie? Ona stworzyła repertuar wszystkim, ona nauczyła ludzi kochać sztukę; ona co wieczora pełnymi rękami rozrzuciła złote ziarna wzniosłych myśli, szlachetnych uczuć, które wsiąkały w dusze ludzkie; za nią wreszcie zawitał do naszej krainy Szekspir, Szyller, Hugo, całe nieśmiertelne szeregi, a teraz...

Jeżeli się złąknie i nie zdoła przemówić słowa? jeżeli zapomni roli? jeżeli się omyli? wszakże ma grać w obcym języku? jeżeli zmuszona będzie przeżyć własną wielkość, własną sławę i własne wielkie wspomnienia?

Coraz większe tłumy zbierały się przed teatrem. Wśród obcych ludzi dostrzegłem i swoje twarze, Poznańczyka Krzyżanowskiego, Piotrowskiego, Galicjanina inżyniera Bielawskiego, doktora Pawlickiego, Horaina i wielu innych. Trudno uwierzyć, jaką wagę przywiązywali wszyscy do tego wystąpienia. Nie była tu już sprawa pojedynczej artystki, była to sprawa ogólna, kwestia klęski lub zwycięstwa. Kto zna lud amerykański, ten zrozumie, że tak było; krótko mówiąc, chodziło tu o chwałę nową lub pełną wstydu przegraną.

Dlatego też w mroku nocy i przy świetle gazu wydawali mi się wszyscy dziwnie poważni. I im też same myśli przychodziły do głowy. Ścisnęli w milczeniu moją rękę. W miarę nadchodzącej godziny coraz większe ogarniało nas wzruszenie. Począłem wypytywać o szczegóły, które poprzedziły wystąpienie.

Było wiele wskazówek złośliwych. Nie spodziewano się, aby teatr był napelniony. Ludzie tu niechętni. Chodzą do teatru – chyba że przyjeżdża gwiazda z ustaloną reputacją. Znakomitości europejskie nic tu nie znaczą. Powagi europejskie nie są tu powagami. Dla Amerykanów istnieją Stany Zjednoczone, a dopiero poza Stanami kraje, okolice cywilizacyjne, uczeni i artyści, comme de raison mniejszej wagi. Na wschodzie Europa więcej znaczy. Najmniej w San Francisco. Ristori musiała tu płacić gazety, Wieniawskiego krytykowano, bo nie chciał płacić. Wiele tu za to zależy na tym, aby uprzednio robić jak najwięcej hałasu, ogłaszać, humbugów. Nasza artystka nie robiła tego wszystkiego. Zauważono, że za mało było anonsów, za mało pisano i mówiono. Niektóre gazety znane są z tego, że biorą pieniądze; nasza artystka nie wydała na krytyków ani centa. Jest tu zwyczaj, że artysta, który ma wystąpić, wystawia poprzednio w sklepach swoje fotografie, nasza artystka kazała zrobić dwadzieścia, gdy potrzeba była dwustu. A przy tym jeszcze co: publika tutejsza nie zna się tyle, ile każda europejska, na sztuce; że zaś boi się być posądzoną o nieznamość, więc jest niezmiernie trudna; krytycy znają się wprawdzie, ale szukają tylko sposobności, aby popisać się ciętym piórem...

Powiadam, jak było, bez najmniejszej przesady; a było tak, że bojaźń walczyła w umysłach naszych z wiarą w geniusz artystki i nadzieją.

Uderzyła godzina ósma, weszliśmy do teatru. Nie był pełny. Zasłona podniosła się wreszcie; przeszedł szybko akt pierwszy, w którym Adrianna nie ukazuje się na scenie, i rozpoczął się drugi.

Godzina stanowcza wybiła. Z głębi kulis ukazała się nasza artystka. Oklaski, jakimi przywitali ją rodacy, brzmiały długo i rozgłośnie, ale Amerykanie zachowali się obojętnie, więc oklaski przebrzmiały i zrobiła się cisza.

Słyszałem bicie serca siedzących obok mnie rodaków artystki.

Z zeszytem roli Roxany w ręku, poważna, może wzruszona, ale spokojna, zbliżyła się na przód sceny. Światła kinkietów rzuciły na nią blaski. Idealna postać: rysy tak czyste, jakby wyszła spod dłuta Fidiasza, szlachetność rozlana w całej postawie i ów niewypowiedziany

czar niewieści, znany wam dobrze, wrażenie uczyniły niezmiernie na nieprzywykłej do takich postaci publicznie. Cisza stała się tak głęboka, że nie przerywał jej najmniejszy szmer.

Na koniec posąg przemówił. Wy znacie czary tego głosu głębokiego, serdecznego, w którym drgają łyzy i srebro... wy znacie jego słodycz i jego potęgę, ale na scenie amerykańskiej, jakkolwiek nawiedzają ją najpierw artyści, było to zjawisko nowe, nieoczekiwane i niezwykłe; toteż w miarę jak artystka mówiła, głowy pochylały się naprzód, jakby w mimowolnym holdzie, twarze traciły codzienny swój businessowy ostry wyraz, a zimna ciekawość zmieniała się w pełne sympatycznego uczucia zajęcie.

Zauważyli już niejednokrotnie krytycy, i warszawscy, i obcy, że jedną z wybitniejszych potęg naszej wielkiej artystki jest niewypowiedziany urok niewieści. Po prostu jest to tak sympatyczna postać, tak chwytająca za serce, tak na wskroś kobieca i idealna, że kto ją raz widział, ten przyzna, iż podobnej nie spotkał nigdy na scenie. Publikacja patrzy na każdą inną artystkę jako na artystkę. Ocenia jej grę; zachwycą się lub nie, jak wypada, i dosyć na tym. Osobistość nie odgrywa tu żadnej roli. Z panią Modrzejewską dzieje się przeciwnie. Chwyta ona widza za serce czym? kobiecością, jakimś rzewnym urokiem. Nawiązuje się jakaś niewidzialna nitka sympatyczna między publiką a osobistością artystki. Widzowie po prostu kochają ją jakby siostrę własną, jakby własne dziecko. Jej powodzenie staje się osobistą sprawą każdego. Tak było w Warszawie, tak było wszędzie, i ten czar niepojęty nie zawiódł i tu. Spojrzałeś po twarzach i wszędzie widziałeś przychylność: czar działał. Poczęto patrzeć na nią jak na słodką istotę, której nikt nie zrobiłby krzywdy, jakby nie zrobił gołębiowi. Słyszałem naokoło słowa: „Very nice! very nice!... O! by God! How sweet” (Jak słodka). Tymczasem akcja ożywiła się na scenie. Niezrównanej kobiecie przysłała z całą potęgą w pomoc niezrównana artystka. Gdy nadeszła kolej na bajkę La Fontaine’a, publiczność zatrzymała oddech w piersiach. Jakieś niewypowiedziane przecucie kazało oczekiwać wszystkim czegoś niezwykłego. Głos artystki rozległ się jakby zaziemska muzyka po wszystkich zakątkach teatru. W oczach rodaków zabłyśły łyzy... O! już było zwycięstwo wielkie, w rocznikach polskiej sztuki niesłychane. Gdy skończyła, cisza trwała jeszcze przez chwilę, jakby publiczność nie zdołała się ocknąć od razu z upojenia. Potem... trudno opisać, co się stało. Burza prawdziwa oklasków, okrzyków, nawoływań. Zimna z natury publiczność uniosła się do tego stopnia, iż potem dziennikarze mówili mi, że jak Ameryka Ameryką, nie pamiętano takiego entuzjazmu. Nieszczęśliwy Maurycy Saski pięć razy zaczynał swój frazes i pięć razy nie mógł go skończyć. Aktorowie sami byli zdziwieni. Tu publiczność zwykle nie oklaskuje nikogo. Artystka sama nie spodziewała się niczego podobnego. Po skończonym akcie wyszła rozrzewniona i upojona. Teatr wył, ryczał, klaskał, tupał. Mężczyźni odbierali swoim ladies bukiety i ciskali je na scenę; starzy rodacy nasi płakali jak małe dzieci; słowem, oczywistość przeszła wszelkie nadzieje i wszelkie oczekiwania. Nadeszły następne akty. Ale był to już tylko szereg niesłychanych tryumfów. Jak żyję, nie widziałem artystki naszej tak grającej. W porywie natchnienia przeszła samą siebie. Czar najprawdziwszej poezji płynął z niej i porwał w siódme niebo słuchaczy. Nie była to już Helena Modrzejewska, była to Adrianna, rzeczywista, rozrzewniona, rozkochana Adrianna. W antraktach można było dopiero ocenić wrażenie, jakie wywarła na publiczności. Słowa: „splendid! splendid!” rozlegały się naokoło. Wyrażano głośno niewiarę w to, że uczyła się dopiero od ośmiu miesięcy po angielsku. Reporterowie gazet latali jak szaleni, nasłuchując, co mówi publiczność. Pułkownik Hinton, redaktor „Evening Post”, przybiegłszy do jednego z naszych rodaków wykrzyknął z czysto amerykańskim entuzjazmem: „Now she is worth 200 000 dollars!” (Teraz ona już ma 200 000 dolarów). Słyszałem na własne uszy, jak mówiono, że chociaż w jej angielszczyźnie jest pewien odcień obcy, to jednak powinna wszelkimi siłami starać się go zachować, bo to jest „wcielona słodycz”. Nadszedł akt ostatni. Adrianna ukazuje się w bieli, z rozpuszczonymi włosami. Całowała już zatrute kwiaty nadesłane przez rywalkę. Co za rozpacz, co za wciele nie boleści malowało się w każdym słowie artystki! Ta wiotka postać łamiąca się pod nadmia-

rem pogardy i zdrady, ten wcielony kwiat poezji, który ma uwiędnąć za wcześniej, ścisnął wszystkie serca nieopisanym uczuciem pognębienia. Wtem wchodzi Maurycy Saski. Przynosi jej miłość, życie oddaje ręką własną. Adrianna rzuca się ku niemu z okrzykiem „Maurice!”. Tym jednym wykrzykiem artystka podbiłaby całą publiczność. Nigdy nie słyszałem głosu wydobytego z takich głębin duszy. Czy uwierzycie, że ta najzimniejsza ze wszystkich na świecie publiczność odpowiedziała jednym rykiem płaczu. Nastąpiła scena konania. Cisza była taka, że słyszałbyś przelatującą muchę. Od czasu do czasu tylko przerywały ją tłumione łkania kobiet. Doprawdy, zdawało mi się, że jakieś ogólne nieszczęście spadło na całe miasto. Nic bardziej grobowego, jak był teatr w tej chwili. Kobiety łkały, mężczyźni gryzli chustki. Przysięgłbyś, że ta biała, biedna dziwczyna, konająca tam na scenie, to ich jakaś najdroższa i najukochańsza istota, bliższa od wszystkich innych na ziemi. Ta cisza, te przytłumione łkania, blaski lamp migocące po załamanych oczach, wszystko to przejmowało równie uroczystym jak ponurym wrażeniem. Co się stało po zapadnięciu kurtyny, nie podejmuję się wam opisywać. Amerykanie, jak wszystkie ludy mało nerwowe, niełatwo się unoszą, ale gdy się uniosą, uniesieniom nie ma granic ni miary. Zdawało się, że publiczność chce sobie wynagrodzić za łzy i milczenie. Ogarnęło wszystkich prawdziwe szaleństwo. Sądziłem, że słyszę stada jaguarów, wilków i bawołów, dających razem piekielny koncert. Niesłychanym wypadkiem w Ameryce nikt po skończeniu nie opuścił swego miejsca. Wywołano przeciw zwyczajowi jedenaście razy artystkę. Gdy się ukazywała, mężczyźni wstawali i odkrywali głowy. Mówiono mi potem, że w czasie tej burzy przechodnie na ulicy stawali i pytali, co się stało? Słowem, piszę wam wprost i otwarcie, że podobnego sukcesu nie tylko nigdy nie widziałem, ale i nie czytałem o takim nigdy. Było to po prostu wzięcie szturmem Ameryki. Na drugi dzień przysłano do hotelu tyle kwiatów, że cały jeden pokój widziałem nimi założony. Drugie i trzecie przedstawienie było już przepełnione, entuzjazm zaś co dzień się powiększa. Słowem, z największą radością i dumą powtarzam wam jeszcze raz, że ani Ristori, ani żadna z gwiazd, bądź tutejszych, bądź obcych, nie doznała nigdy takiego przyjęcia. O Neilson nikt nie chce słuchać teraz w San Francisco. Przeszło to oczekiwania nie tylko przyjaciół artystki, ale i jej samej. Co dziwniejsza, uznanie i cześć, jakimi ją otoczono, wywarły odpowiedni wpływ i na samychże aktorów. Po przedstawieniu, gdym poszedł do garderoby, zastałem tam wszystkich prawie artystów biorących udział w sztuce. Słyszałem na własne uszy, jak dyrektor teatru, Mac Cullough, mówił: „Pani! widziałem Salviniego, widziałem tego i owego, a nigdy nie byłem tak wzruszony. Pani jesteś pierwszą artystką w świecie.” To rzekłszy porwał w uniesieniu rękę naszej artystki, przycisnął ją, przeciw amerykańskiemu zwyczajowi, do ust i rozplakał się jak małe dziecko. Nie dosyć na tym. Na drugi dzień zdarzyło się coś nierównie wymowniejszego. Pani Modrzejewska miała grać tylko tydzień, potem dopiero po dziesięciu tygodniach jeszcze przez cztery tygodnie. Dłuższym, natychmiastowym wystąpieniem stanęło na przeszkodzie dawniejsze zaangażowanie panny Róży Eytिंगe, jednej z naj słynniejszych artystek amerykańskich. Otóż panna Eytिंगe, która była na przedstawieniu Adrianny i która tegoż jeszcze wieczora powiedziała pani Modrzejewskiej, że jest u jej stóp, na drugi dzień przyszła do pana dyrektora i z całą otwartością amerykańską oświadczyła mu, co następuje: „Dear sir! nie jestem taka głupia, jak się może panu wydaje, i powiadam mu wprost, że I can not play after such a genius! (nie mogę grać po takim geniuszu). Trzeba mnie było ostrzec. Zapłać mi teraz podróż, koszta utrzymania i bądź zdrow.” Pan dyrektor znalazł się więc w ambarasie, ale jako sprytny Amerykanin umiał z niego wyjść w dowcipny sposób. „Droga miss, odpowiedział, jeśli pani nie może grać po polskiej artystce, ja tym bardziej nie mogę z moją stałą trupą, ale jeżeli jutro ogłoszę we wszystkich pismach, że pani dobrowolnie odstąpiłaś ze swoich tygodni jeszcze tydzień dla pani Modrzejewskiej, ten szlachetny postępek tak dalece ujmie publiczność, że za to samo przyjmą panią doskonale, ja zaś ofiaruję prócz tego pani pięćset dolarów tytułem wynagrodzenia.” Po czym udał się natychmiast do naszej artystki, prosząc, aby zgodziła się grać tymczasem jeszcze przez jeden tydzień na tychże samych

warunkach, to jest po odtrąceniu kosztów za połowę przedstawienia. Nie potrzebuję dodawać, że ku wielkiemu zadowoleniu stron obydwóch nasza artystka przyjęła podane warunki. Tak więc zamiast tygodnia pani Modrzejewska będzie obecnie grać dwa tygodnie. Wystąpi w rolach: Adrianny, Julietty i Ofelii. Szlachetna artystka, nie zapominająca nawet za Oceanem uczuć rodzinnych, postanowiła nie tylko tu, ale we wszystkich miastach amerykańskich grać jedną rolę po polsku.

Wybrała na ten cel Ofelię, jako najkrótszą i najłatwiej dającą się ułożyć na dwa języki. Tak więc, dzięki jej, nasz język po raz pierwszy zabrzmiał publicznie w Ameryce. Będzie to zarazem odpowiedź dla tych wszystkich, którzy za złe wzięli wielkiej naszej artystce, że pojechała szukać szczęścia za Oceanem.

Kto na tym dobrze wyszedł, kto źle? łatwo powiedzieć! Źle wyszła sztuka, a dobrze pani Modrzejewska. Obecnie artystka ta, nie przestając być polską artystką, stała się także artystką całego świata, jak Siemiradzki i Matejko.

W ciągu kilku dni para i druty telegraficzne rozniosą wiadomość po wszystkich zakątkach Ameryki o tym niezwykłym zjawisku; wszystkie teatry staną artystce otworem, wszystkie dyrekcje będą sypać złotem i licytować się wzajemnie.

Kto czytał amerykańskie tutejsze gazety, ten zrozumie, że nie za wiele, ale za mało mówię. Podobnego sukcesu nie widziano tu nigdy, jak również nigdy nie czytano podobnych recenzji. Najznakomitsze dzienniki nie znajdują słów uniesienia. „Evening Post”, „Morning Post”, „Evening and Morning Call”, „Bulletin”, „Daily Alta California”, „Chronicle”, „The Mail”, „The Footlight”, specjalna gazeta teatralna, gazety francuskie i niemieckie pieją jeden hymn pindarowego nastroju. Nigdy podobne recenzje nie były pisane nawet w Warszawie. W każdym dzienniku znajdziecie mnóstwo porównań naszej artystki z Rachel i Ristori; w każdym zaś przyznają naszej wyzność: „San Francisco powinno być dumne – wykrzykuje Footlight” – że ten promień upadł najpierw na nas.” Poważny „Morning Call” oświadcza, że wystąpienie pani Modrzejewskiej było rewolucją w dziejach miasta. „The Mail” woła w uniesieniu, że to epoka w sztuce dramatycznej. Inni twierdzą, że teraz dopiero Amerykanie przekonują się, iż panna Neilson była humbug. „Alta” zaznacza, że podobnego sukcesu nie widziano nigdy w Stanach Zjednoczonych. Posyłam wam zresztą wszystkie te wycinki, abyście się przekonali, że nie mówię na wiatr. Powinniście je przetłumaczyć. Możecie zrobić z nich kilka felietonów. Co dziwniejsze: wszystkie dzienniki zachwycają się językiem i wymową naszej artystki, wszystkie opowiadają jak o cudzie o tym, że wyuczyła się tak mówić i wymawiać od ośmiu miesięcy, a na koniec wszystkie wyznają, że, jeśli jest jeszcze pewien mały odcień w jej akcencie, powinna wszelkimi siłami starać się go utrzymać, odcień ten bowiem to wcielony wdzięk, wcielona słodycz i niedościgniona doskonałość, do której dążyć powinny miejscowe amerykańskie artystki.

A teraz ten tylko, kto zna potęgę prasy w Ameryce, może pojąć, jaką istotną rewolucję uczyniły w mieście te sprawozdania. Słowa, jakie najczęściej teraz usłyszysz na ulicy, są: „Helena Modjewska”. Zapomniano o businessie, o wojnie. W cukierniach, kawiarniach i restauracjach wszyscy zamiast do telegramów znad Dunaju rzucają się do „Amusements”, to jest do teatralnej rubryki. Najznakomitsze osoby w mieście nie wyłączając gubernatora, stanowego senatora, deputowanych i szeryfa złożyły swe karty u drzwi artystki. Kluby przesłały jej odezwy z dziękczynieniami. Kalifornijskim uczuciom patriotycznym pochlebia to istotnie do najwyższego stopnia, że artystka zaczęła występy tu, a nie gdzie indziej. Dziś już nazywają ją nazywać „naszą” i wszystkie prawie oświadcniają zgodnie z tym, co powiedziałem, że przestała już być tylko polską, a stała się artystką świata, że talent jej wyższy nad wszelkie języki, etc. etc.

Dziś jest czwarty dzień jej przedstawień. Pierwszym razem teatr, jak wspominałem, nie był napelniony; wczoraj zaś i onegdaj pękał od natłoku publiczności. Wczoraj bilety na następny tydzień były już rozkupione.

W San Francisco nastąpiła literalnie moda na nas wszystkich. „Evening Post”, który dotychczas raczej nieprzychylnie odzywał się o nas, obecnie, jak mówił mi Hinton, przygotował artykuł w duchu wprost przeciwnym. Unoszą się także powszechnie nad zamiarem artystki grania Ofelii po polsku. Będzie to jej benefis, a zarazem i złote żniwo, o którego plonach nie zaniedbam was zawiadomić.

Nie potrzebuję także wam mówić, jak szczęśliwą i uniesioną czuje się obecnie nasza artystka. Wszystko to tak było niespodziewane, nieoczekiwane, że istotnie talentowi tylko niezwykłemu należy przypisać zwycięstwo. Tu wiele rzeczy robi się przez ogłoszenia, stosunki i pieniądze. Tego wszystkiego brakło. Z prasy artystka nie miała nikogo znajomego, obecnie, gdy przyszedł na drugi dzień, aby powinszować powodzenia, zastałem kilkunastu redaktorów czekających na artystkę w wielkim „parlorze” w „Pałace Hotel”. Poprzednio było za mało anonsów, obecnie gazety nie chcą brać za nie pieniędzy. Cóż dopiero mówić o dyrektorze teatralnym, reżyserze i miejscowych artystach?

A jednak trudno wypowiedzieć, przez jakie głębokie troski musiała przechodzić artystka, zanim przyprowadziła wystąpienie do skutku. Pozbawiona zupełnie pomocy z kraju i obarczona troskami arcywspółczesnej natury, jak sama mówiła mi potem, prawie ugięła się czasem pod brzemieniem. Nikt tu o niej nie słyszał. Z początku w teatrze patrzono na nią jak na debiutantkę. Wiadomo, że każdy głupiec lubi przede wszystkim radzić i ostrzegać. Nie radzono jej występować w Szekspirze. „My tu mamy szkołę i tradycję (mówiono), wy cudzoziemcy tego mieć nie możecie.” Dyrektor początkowo chciał jej dać jedno przedstawienie próbne wtedy, gdy znajdzie się czas między odjazdem jednej gwiazdy a przyjazdem drugiej. Oczywiście przedstawienie miało być bezpłatne. Zaledwie mogła uprosić dyrektora i reżysera, aby pozwolili jej zagrać przed sobą tylko. Odwlekali to z dnia na dzień, wymawiając się zajęciem, tak że próba ta miała miejsce dopiero parę tygodni temu. Prawda, że po niej pan dyrektor zmienił się jak pod dotknięciem czarodziejskiej laski i natychmiast oświadczył, że już o jednorazowym bezpłatnym przedstawieniu nie może być mowy. Artyści poznali się na artystce najpierw. Poczęły chodzić głuche odgłosy, które znajdowały echa i w prasie. Znalaziono tydzień wolny. Główne trudności były już złamane; ale nadeszła kwestia kostiumów, niezmiernie trudna i przykra kwestia. Po załatwieniu jej było jeszcze pytanie, czy jeden tydzień gry opłaci koszt, potem przyszło wystąpienie i... obecnie, według wyrażenia amerykańskiego redaktora, podpis naszej artystki jest wart w Stanach dwieście tysięcy dolarów.

Obecnie o kwestii materialnej, gdy każdy wieczór przynosi po kilkaset dolarów, gdy po dwóch tygodniach nastąpi jeszcze cztery tygodnie, a po nim zamówienia do New Yorku, Chicago, Bostonu, St. Louis, Filadelfii, New Orleans etc., obecnie o tej kwestii, powtarzam, nie może już być mowy. Wspominałem o niej dlatego tylko, aby z jednej strony ukazać czytelnikom, jakiej żelaznej organizacji moralnej, jakiej siły duszy i prawdziwego geniuszu trzeba było, aby te trudności zwyciężyć; z drugiej, aby z wami pożałować, że nadesłano artystce przedwcześnie dymisję. Gdyby w swoim czasie nadesłano zamiast dymisji zaproszenie do powrotu, wiem to z pewnością, że artystka wróciłaby niechybnie. Wystąpienie na tutejszych scenach nie leżało w pierwotnych jej zamiarach, chwyciła się zaś planu tego dopiero wtedy, gdy nie miała przed sobą wyboru.

Wreszcie, gdyby nawet i była wystąpiła, okryłoby to ją nową chwałą i uczyniło tym pożądanym nabytkiem dla naszej sceny. Przyjechałaby ze sławą powszechną, przyjechałaby zaś niezawodnie, bo i dziś nie porzuca jeszcze tego zamiaru. Jak dalece trudno jej rozstać się z myślą o polskiej scenie, świadczą jej słowa, które wypowiedziała do mnie obecnie, chociaż otoczona jest niezmiernym blaskiem i mająca przed sobą sławę, bogactwa i stokroć szersze horyzonty artystyczne. „Proszę napisać do Warszawy (rzekła), że gdziekolwiek będę, w każdym mieście, tak w Ameryce jak w Anglii, będę grała Ofelię po polsku.” A potem prawie ze łzami w oczach dodała: „I w Warszawie muszę, muszę grać choć raz jeszcze jeden w życiu.”

Cześć talentom, które przez oceany przenoszą sławę rodzinnego imienia i które wśród szczęścia i blasku nie zapominają o swoich!

Wczoraj, dnia 23, odbyło się trzecie przedstawienie Adrianny. Przed samym przedstawieniem przybyła do artystki deputacja niemiecka, aby grała w niedzielę, w który to dzień nie ma zwykle przedstawień w Ameryce. Po skończeniu drugiego aktu ofiarowano girlandy laurowe przewiązane wstęgami barw amerykańskich i innych miłych artystce. Na wstęgach największej girlandy drukowany był napis: „Od Róży Eytिंगe”. Uniesienie niezmierne.

KORESPONDENCJA LITWOSA Z SAN FRANCISCO

Ofelia w polskim języku • Wrażenie • Opinia dzienników • Z San Francisco do New Yorku • Owacje • Panna Eli Wilton • „Golden Era” • „Rachel czy Ristori” • Zamówienia • Popyt na polskie sztuki • Polemika z „Chronicle” • Adres i dary prasy • Oda Hintona • Panna Rosa Eytinge • Artysci i artystki tutejsze • Układy

W zeszłym liście doniosłem wam o zamiarze naszej znakomitej artystki wystąpienia w roli Ofelii po polsku. Otóż zamiar ten przyszedł już do skutku. Pierwotnie artystka zamierzała wybrać rolę tę na swój benefis, ponieważ jednak grający rolę Hamleta artysta Mac-Cullough miał wyjechać na wschód, przedstawienie więc zostało przyśpieszone o dni kilka, na benefis zaś pani Heleny przeznaczona została Julietta. Przedstawienie Ofelii udało się świetnie. Nie potrzebuję mówić, że nie poszli ci tylko, którzy nie mogli dostać biletów, a o bilety było trudno. Rozgłośna już sława artystki, niesłychane pochwały i uniesienia, jakimi przepelnione są pisma, ściągają publiczność nie tylko z miasta, ale i z okolic. Każde przedstawienie w ciągu ubiegłych dwóch tygodni był szeregiem owacji. Przedstawienie Ofelii było tym bardziej wzruszające, że zgromadzili się na nie wszyscy Polacy i wszyscy Żydzi polscy zamieszkali w San Francisco. Ludzie ci dawno, dawno już nie słyszeli rodowitego języka w miejscu publicznym, nic więc dziwnego, że słuchali go z nieopisanym rozrzewnieniem.

Ileż to wspomnień dawnych, drogich, a zatartych już stało żywo w pamięci tych słuchaczy. Czas przesłania przeszłe lata, dawne wspomnienia i dawno już nie widziane twarze niby mgłą, niby tumanem, z początku przezroczystym, potem coraz gęstszym, ciemniejszym. Po każdym upłynionym roku widzisz je coraz niewyraźniej, coraz mętniej, a potem to już jakby cienie błakające się po Polach Elizejskich. Nagle przed słowami natchnionych ust ta mgła niepamięci pierzchnęła i wszystko, co przeszło, stało, jak żywe, teraźniejsze i obecne w oczach i sercach słuchaczy. Była to dla każdego jakby czarowna wizja, jakby wrócone lata młodości, jakby mała przelotna chwila wiosny z mrukiem rodzinnych strumieni, z szelestem rodzinnych drzew, ze śpiewaniem naszych szarych skowronków i z odgłosami fujarek pastuszych. Każdy też słuchał wstrzymując łzy. Dźwięczny, przezysty język nasz brzmiał wśród ciszy teatralnej obok chrapliwych dźwięków angielskich jak anielska muzyka; opanował je, zwyciężył; doszedł wszędzie i podbił serca wszystkich słuchaczy. Dziennik „The Mail” napisał nazajutrz, że nigdy amerykańskie uszy nie słyszały słodszych dźwięków. Znajomi mi Amerykanie utrzymywali, że rozumieją wszystko. Doprawdy, dziwne to było przedstawienie. Mała rola Ofelii pokryła sobą wszystkie inne; zniknął Hamlet, zniknął król Kladiusz, Poloniusz, Laertes, zdawało się, że gra sama tylko Ofelia, Uważałem, że ilekroć artystka nasza ukazywała się na scenie, robiło się cicho jak makiem siał, ilekroć zeszła, a wchodzili na jej miejsce inni, powstawał w całym teatrze szmer; zamiast słuchać, co inni mówią, udzielano sobie uwag i spostrzeżeń; powtarzano półgłosem pojedyncze dźwięki; jednym słowem,

całe przedstawienie o tyle miało w oczach publiki wartość, o ile brał w nim udział polski język i Ofelia. W czasie antraktów przywoływano artystkę, bito oklaski i rzucono kwiaty. W przedostatnim akcie panna Eli Wilton grywająca dotąd rolę Ofelii ofiarowała pani Helenie przepyszną koronę kwiatową, w ostatnim zaś dyrektor wyszedł na scenę i miał do naszej artystki dziękczynną mowę w imieniu publiczności i artystów. Po tej mowie całą prawie scenę zarzucono bukietami. Najbardziej rozczulająca jednak owacja miała miejsce już po przedstawieniu, gdy rodacy udali się do artystki. Prawdę rzekłszy, że i dzienniki tutejsze zmieniły swe poglądy na nasze rzeczy widocznie. Zwracają teraz powszechnie uwagę na nadzwyczajne zdolności ras słowiańskich, przypominają Kopernika, wyrażają swe głębokie uznanie dla nas itd. Dziennik „Golden Era” ogłosił nazajutrz dzień artykuł zatytułowany „Rachel czy Ristori”, w którym porównywa naszą artystkę ze wspomnianymi i przyznaje naszej absolutną wyższość. „Dwie poczty” (Evening and Morning), „Bulletin”, „Call”, „Pacific Life”, „The Mail”, „Argonaut” ogłosiły już życiorysy pani Heleny, w których popisały takie rzeczy, że rychło patrzyć, jak zaczną wywodzić ją od Apollina i jakiej muzy. Niektóre dzienniki przesłały swe recenzje drogą telegraficzną dosłownie do New Yorku, Bostonu, Filadelfii etc., wkrótce więc będziecie je mogli odczytywać w tamtejszych gazetach. W Stanach Zjednoczonych dla dziennika posłać telegrafem cały artykuł stuwierszowy znaczy tyle, co u nas przesłać pięć słów. Nie brak także teraz przedsiębiorców i agentów, ofiarowujących artystce swe usługi. Niesłychane to powodzenie prawdopodobnie przyspieszy wyjazd pani Heleny na wschód. Za miesiąc lub półtora będzie już zapewne w New Yorku, gdzie wystąpi w rolach: Adrianny, Ofelii, Julietty, Kleopatry, Fedry, Dalili i innych, których zdoła się wyuczyć. Kleopatrze i Dalilę już prawie umie. Prócz tego wskutek żywego zajęcia, jakie budzą teraz rzeczy nasze, literaci tutejsi prosili artystkę, aby wprowadziła na tutejszą scenę te utwory polskie, które uważa za najlepsze. Artystka waha się jeszcze w wyborze. Z dramatów prawdopodobnie wybierze najprzód *Mazepę*. Zamiar ten jednak, według mego widzenia rzeczy, napotka niezwalzone prawie trudności. Utwory te (np. *Mazepę*) trzeba najprzód przerabiać z wiersza na prozę, a potem dopiero tłumaczyć na język angielski. Otóż kto się tym zajmie? Z Polaków prócz Sygurda Wiśniewskiego nikt nie włada tak angielskim językiem, aby mógł się podjąć tego zadania, Wiśniewskiego zaś nie ma jeszcze w Ameryce.

Niektórzy chcą, aby artystka sama zajęła się przekładami. Wiem, że nie brak jej ani chęci, ani nawet możliwości, obznajmiona jest bowiem przede wszystkim z językiem scenicznym, ale za to brak jej czasu. Uczyc się coraz nowych ról, utrzymywać w pamięci dawniejsze, układać się przy tym z agentami, przyjmować tysiące odwiedzin, którym nie można zapobiec, wszystko to zajmuje czas nie żartem.

Ale wracam do opisywania dalszych występów. Po Ofelii nastąpiła Julietta. Wiecie, jakie wrażenie robiła ta rola w Warszawie, domyślicie się więc łatwo, jak się tu musiała podobać. Rolę tę w Ameryce uważano dotąd jako wyłączną niemal własność panny Neilson, młodej i pięknej artystki, którą parę miesięcy temu widziałem i która mi się nie podobała, ale która w Ameryce uchodzi za najpierwszą. Ogólna opinia publiczności i dziennikarzy mówiła dotąd, że Julietta tak właśnie i tylko tak musi być grana, jak ją grała Neilson, pani Helena więc miała tu do walczenia z utartymi już pojęciami. Ale podjęła tę walkę bez wahania i wyszła z niej ze świetnym zwycięstwem. Dzienniki tutejsze, należy im oddać tę sprawiedliwość, oceniły nader trafnie różnice w grze dwóch artystek i przyznały otwarcie, że ich poglądy na Juliettę, oparte na grze panny Neilson, były błędne.

Powszechny głos przyznał teraz, że Julietta panny Neilson to pełna kokieterii i zmysłowości dziewczyna, której brak wszelkiej poezji; Julietta polskiej artystki to wcielona poezja, to przeczysta dziewczyna, taka właśnie, jaką chciał mieć ją Szekspir. Pierwsza kusi, druga kocha. Słowa „Daily Call” były gryzące, ale prawdziwe, gdy na drugi dzień napisał: „teraz dopiero krytycy poznali się, że panna Neilson do pewnego stopnia tak traktuje Szekspira, jak Offenbach Homera”. Słowem, w całej prasie było to zdanie się na łaskę i niełaskę. Jak silne wraże-

nie uczyniła na umysły Julietta naszej artystki, dowodzi także wystąpienie „Chronicle’a”. „Chronicle” jest to sobie pismo trzymające się zasady, aby chwalić, co inni gania, i odwrotnie. O pierwszym wystąpieniu, nie wiedząc, co inni powiedzą, i „Chronicle” odezwał się z wielkimi pochwałami, spostrzegłszy jednak, iż wszyscy chwalą, o Julietcie odezwał się już chłodniej. Przyznał wprawdzie artystce naszej talent i wielkość, dodał jednak, że jako cudzoziemka, nie pojmuje jeszcze Szekspira w sposób właściwy. Powstała z tego powodu prawdziwa burza. Inne pisma rzuciły się na „Chronicle’a”. Zarzucono mu przekupstwo. Przypomniano, że od Ristori brał pieniądze. Utrzymywano, że dlatego tylko wystąpił przeciw Julietcie, że spodziewał się zapłaty, a zapłaty nie dostał. Zuchwały zwykle „Chronicle” umilkł, tym bardziej że Polacy, a zwłaszcza Żydzi polscy, których tu jest bardzo wielu, poczęli cofać prenumeratę. Prasa jednak nie poprzestała na polemice. Na trzeci dzień po pierwszym przedstawieniu Julietty wypadał właśnie benefis pani Heleny. Wiedziałem już poprzednio, że ze strony prasy zanoszą się na manifestację, jakoż wieści okazały się prawdziwe. Po scenie balkonowej reprezentanci prasy podali naszej artystce adres drukowany na białym atlasie i przepyszny kosz kwiatów. Kosz ułożony był w dwie kondygnacje z kwiatów białych, czerwonych i błękitnych, nad górną zaś jego częścią powiewała atlasowa chorągiew z odpowiednimi znakami. Uniesienie publiczności w tej chwili nie miało granic. Okrzyki „hura!” „hip, hip!” zagłuszyły orkiestrę grającą odpowiednią do uroczystości pieśń. Adres ułożony był wierszem, brzmiał zaś, jak następuje:

Hither, unheralded by voice of fame.
Except as a fair foreigner you came:
Light was the welcome that we had prepared –
Even our sympathies you scarcely shared;
Not as the artist whom our people knew –
As some fresh novice did we look on you.
Mark the great change!! Since that eventful night,
Only your wondrous art remains in sight.
Despite the fetters of a foreign tongue,
Jealousy round your matchless talent hung;
Enraptured we acknowledge your success –
Success the greater as expected less.
Keep Polish memories in your heart alone,
America now claims you for her own²³.

Tu następują podpisy nazwisk redaktorów, krytyków i pism. Nie potrzebuję dodawać, że gazety na drugi dzień przepełnione były opisami tej uroczystości. Wydrukowano wszędzie nie tylko powyższy adres, ale i piękny sonet napisany przez pułkownika Hintona, redaktora „Evening Post”. Sonet ten podaję także w całości, dla czytelników bowiem będzie to najlepszy dowód, jak wielkim istotnie był tryumf naszej artystki. Sonet zatytułowany jest:

²³ Nie obwoływana przez stugębne wieści, przybyłaś do nas tylko jako piękna cudzoziemka, więc zwykłym tylko przyjęliśmy cię początkowo powitaniem. Okazaliśmy ci naszą sympatię nie jako artystce, którą lud nasz zna, ale patrzyliśmy na ciebie tylko jako na nowicjuszkę.

Patrz jaka zmiana teraz! Od owej pamiętnej nocy tylko twój cudowny talent pozostaje na widowni. Pomimo kajdan obcego ci języka, zazdrością otoczyliśmy już twój nieporównany talent. Zachwyceni, wyznajemy twe zwycięstwo tym większe, że nieprzewidziane. Więc zachowaj teraz twój kraj w pamięci, ale Ameryka ogłasza cię już za swoją własność.

HELENA MODJESKA

Lady! across this mimic stage we see,
That art no limit owns nor mete nor bound
Hath high genius which, o'erleaping found
Its way through speech in which it was free
To hold our hearts within such rapturous thrall;
Whilst thy wondrous skill, in magic call
The mighty lines that erst by Shakespeare writ.
From the dim centuries come crowding swift
With Figures, that do stand creations fit
For worlds with all revering hands to lift.
Sarmatia's daughter grand! Fresh welcomes find
Within the land where Poland's heroes fought;
And with her triumphs grateful feelings bind,
To add new luster to the fame she's wrought²⁴.

Owacje i wiersze tego rodzaju nie tylko uszczęśliwiają artystkę, nie tylko dodają jej ducha i większej siły polotu, ale mają przy tym znaczenie największej reklamy torującej artystce drogę do nowych tryumfów na wschodzie. Nie wiem, słusznie czy niesłusznie, prasa w San Francisco uchodzi za najsurowszą, najbardziej wymagającą i najostrzejszą w krytykach. Czytałem np. w „Alcie” („Daily Alta California”), że artystka, która występowała z tryumfem tu, może już być pewna niezmiernego powodzenia w całych Stanach. Tymczasem fakt jest, że pani Ristori, która przy tym rzucała pieniędzmi na wszystkie strony, nie miała tak pochlebnych recenzji ani też doznała tak gorącego przyjęcia, jak pani Helena. Zapomniałem jeszcze jedno dodać. Oto prasa tutejsza ma stosunkowo najwięcej związków z Australią, toruje więc także drogę i do tej części świata, zapewniają zaś, że nigdzie nie obsypują tak złotem artystów, jak tam.

Obecnie rozpoczęły się już w San Francisco występy p. Róży Eytinge. Widziałem ją onegdaj w płacziwej sztuce Wiktoryna Sardou *Miss Multon*. Jest to istotnie dobra artystka, z powodu jednak mniej szczęśliwej powierzchowności scenicznej nie sprawia wielkiego wrażenia. Talent jej zdrowy, realistyczny, jednakże brak mu większego zasobu środków scenicznych i wdzięku. Dzienniki tutejsze wystąpiły z dość dwuznacznym dla niej uznaniem, przede wszystkim bowiem wyraziły jej wdzięczność za to, że ustąpiła tydzień czasu ze swego zamówienia dla pani Modrzejewskiej. Onegdaj i wczoraj, być może, że z powodu wyborów, na *Miss Multon* dość było pusto. Jeżeli przedstawienie nie przynosi pięciuset dolarów, wówczas nie pokrywa kosztów (licząc i pensje aktorów). Otóż wczorajsze i onegdajskie wystąpienia zapewne kosztów nie pokryją. Dyrekcja, która od dawnych czasów nie miała tak pięknych czystych zysków, jak z występów pani Heleny, pragnie wszelkimi siłami powtórzyć jeszcze te występy. Wczoraj powtórzono jej dawniejszą propozycję, aby po upływie miesiąca dała choć kilka jeszcze przedstawień. Ofiarują jej za to benefis i w ogóle warunki nader dogodne. Ale artystka nasza, zajęta teraz uczeniem się nowych ról, wątpi, czy znajdzie dosyć czasu. Zresztą

²⁴ Lady! Przez twe występy widzimy, że sztuka nie ma granic ani mety, ani więzów. Przez swój geniusz nie znający żadnych przeszkód utorowałaś sobie drogę i potrafiłaś w naszym języku podbić serca nasze i utrzymać je w zachwycie i osłupieniu. Gdy przez cudowną sztukę czarodziejskim zaklęciem z potężnych słów, które napisał Szekspir, i z ciemnych wieków wywołujesz dawno zmarłe postacie, światy wyciągają do nich ręce sądząc, że drugi raz zostały stworzone. Cóрко Sarmacji wielka! Bądźże pozdrowiona w naszym kraju, za który bliscy ci bohaterowie walczyli. Ty, przyczyniając się do nowych tryumfów, nawiązujesz na nowo dawne nici i nowy blask dodajesz do kart, które już sława nakreśliła.

pilno jej na wschód, skąd już przysłało jej liczne zamówienia. Być może jednak, że dyrekcja znowu ułoży się z panną Eytinge o ustąpienie choć kilku dni w bieżącym miesiącu. Będzie to tym łatwiejsze, że sama Eytinge należy do najzapaleńszych wielbicielek pani Heleny. Wspomniałem już, że na przedstawieniu *Adrianny* ofiarowała naszej artystce koronę laurową, wczoraj zaś, gdy odwiedził ją wraz z kilku przedstawicielami prasy tutejszej, powiedziała nam wprost, że poczytywałaby się za pozbawioną rozumu, gdyby jej kiedykolwiek przyszło na myśl rywalizować z taką artystką. W ogóle, między artystami i artystkami tutejszymi spotkało panią Helenę najgorętsze uznanie, nigdzie zaś nie objawiła się najmniejsza zazdrość. W Warszawie, Krakowie i Lwowie nie byłoby to dziwnym, ale tu, gdzie przybywszy jako nieznaną cudzoziemką, od razu przyćmiła miejscowe znakomitości, tu, powtarzam, ten szczery zapał, jaki wzbudziła w kołach artystycznych, dowodzi i szlachetnej bezinteresowności, i szlachetnego zamiłowania sztuki.

Na koniec jeszcze jedna wiadomość, która będzie was interesować. W tych dniach zostanie zapewne podpisany przez panią Helenę kontrakt, na mocy którego obowiązuje się grać przez rok we wszystkich znakomitszych miastach amerykańskich.

O warunkach kontraktu doniosę wam, gdy zostanie podpisany. Agent artystki naszej wyjeżdża natychmiast do New Yorku przygotować tam jej występy, ona zaś sama pozostanie tu jeszcze dopóty, dopóki nie przygotuje kilku ról nowych, którymi właśnie jest zajęta.

Początkowo kontrakt miał być zawarty na lat dwa. Ofiarowano nawet artystce jeszcze lepsze warunki, byle pozwoliła na takie przedłużenie terminu, na co się jednak zgodzić nie chciała, po roku bowiem pragnie wrócić na pewien czas do Warszawy i wystąpić na polskiej scenie, do której, chociaż powiedziano jej tu: „America now claims you for her own” (Ameryka uważa cię także za swoją wyłączną własność) polska artystka tęskni z całej duszy.

OSADY POLSKIE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Ogólna cyfra ludności polskiej • Cyfry podawane przez gazety • Ludność wiejska i miejska • Główne ogniska • Towarzystwa, szkoły i kościoły • Znaczniejsze osady • „Parafie” • Nowo wznoszone kolonie • Waren Hoino i Nowy Poznań • Barzyńscy i Dyniewicz • Charakter ogólny emigracji • Przewaga duchowieństwa • Dobre i złe strony wpływu • Połączenie ogólne niemożliwe • Gazety • Wydawnictwa • Księgarnie

Niedokładne i pobieżne wiadomości, jakie zdołałem zebrać o Polakach zamieszkałych w Ameryce, powinny zająć polskich czytelników. Mała tylko liczba Polaków tutejszych składa się z byłych poddanych państwa rosyjskiego, a daleko zaś znaczniejszą część stanowią wychodźcy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, ze Śląska, Prus Wschodnich i Galicji. Dokładny spis wszystkich osad rozproszonych w Ameryce oraz ludności, tak miejskiej jak wiejskiej, byłby rzeczą nader potrzebną i pożądaną. Podobną pracę rozpoczęło już nawet pismo „Orzeł” wychodzące swego czasu w Missouri, ale z powodu obojętności i opieszałości Polaków w nadsyłaniu materiałów skończyło się na paru numerach. Później też „Orzeł” przestał wychodzić. Nie dokończoną pracę podjął „Kalendarz Polski”, ukazujący się corocznie w Chicago, Illinois, z którego głównie korzystam. Ogólną liczbę Polaków podają gazety polskie wychodzące w Chicago na 200-300 tysięcy, a nawet jedna z nich utrzymywała, że jest ich do pół miliona. Cyfry te jednak są nieprawdziwe i powiększane umyślnie. Pismom polskim, z których wyjątki tłumaczone na angielski, pomieszczane są dosyć często w dziennikach amerykańskich (o co starają się sami Polacy redaktorowie), pismom tym, powtarzam, chodzi o to, aby przedstawiać się jako organa wielkich partii i poczytne. Z jednej strony – ściągają im to płatne ogłoszenia kupców stanowiące główny zysk dzienników tutejszych, z drugiej – nadaje pewne znaczenie polityczne w czasie wyborów. Istotnie, w takim Chicago lub Milwaukee, gdzie ludność słowiańsko-polska gęsto jest osiadła, dla każdego kandydata niemałą rzeczą jest mieć za sobą jej głosy, które nie mogą wprawdzie same jedne na urząd go posadzić, ale jeśli chodzi np. o rozstrzygnięcie między kandydatem republikańskim a demokratycznym mogą szaleć na jedną lub drugą stronę przeważać. Oczywiście, kandydat chcąc mieć głosy jakiejś narodowości nie udaje się do pojedynczych osób, ale do ich dziennika, wyświadczając mu rozmaite usługi lub obiecując korzyści odpowiednie do liczby głosów, i stąd owa przesada wszystkich dzienników w podawaniu liczby swych abonentów i w ogóle współrodaków.

Z powyższych powodów cyfry trafiające się w gazetach polskich tutejszych, oznaczające ludność polską na 200, 300 do 500 tysięcy dusz, nie zasługują na żadną wiarę. Mogą one być prawdziwe w stosunku do wszystkich ludzi słowiańskiego pochodzenia, jest tu bowiem bardzo wielu Słowaków, Serbów, a zwłaszcza Czechów, ludność jednak czysto polska nie wynosi, według prawdopodobieństwa, więcej jak 70-90 tysięcy głów razem.

Na pytanie, gdzie i w których stanach ludność ta głównie przemieszkuje, trudniej jest odpowiedzieć. W kraju tak prawie wielkim jak cała Europa, obfitującym w miasta, a przy tym posiadającym ludność niezmiernie ruchliwą, wszelkie skupienie inne jak polityczne lub moralne jest rzeczą niemożliwą. Polacy więc żyją rozproszeni od Oceanu Atlantyckiego aż do krańców Kalifornii i od Kanady do Rio-Grande. Nie ma ani jednego miasta lub miasteczka, w którym by ich nie było, w pewnych jednak miejscowościach skupieni są liczniej, w innych toną w ludności ogólnej i pozbawieni wszelkiej spójni z ogółem, wynaradawiają się łatwo bądź to przez wpływ amerykański, bądź przez niemiecki.

Ludność polska dzieli się na wiejską i miejską. Pierwsza, złożona prawie wyłącznie z emigrantów chłopów, zajmuje się rolą albo w charakterze farmerów-właścicieli, albo najemników. Jest ona po większej części skupiona w mniejsze lub większe grupy, albowiem chłopci poznańscy, śląscy i galicyjscy, przybywający tu zwykle pod wodzą księży, trzymają się ich stale, powierzając im wybór gruntów na osadę, prowadzenie spraw, kościół i szkołę. Stąd powstają osady wiejskie czysto polskie, których ognisko stanowi kościół. Nowo lub pojedynczo przybyli włościanie przyłączają się do osad już założonych, przez co parafie, a zarazem znaczenie i dochody ich przewodników, coraz się powiększają. Ludność miejska, rozproszona po miastach, trudni się w mniejszej części handlem i przemysłem, a w daleko znaczniejszej – wyrobkiem. Spójnie jej stanowią „towarzystwa” noszące charakter przeważnie kościelny, albowiem i ona, a zwłaszcza najniższe i najmniej oświecone jej warstwy, zostają w rękach duchownych. Głównym ogniskiem Polaków jest Chicago, położone w Illinois (czyt. Illinoi, nie Illinua), nad brzegami olbrzymiego jeziora Michigan. W mieście tym, liczącym przeszło pół miliona mieszkańców, ma się znajdować około 20 000 Polaków. Sądząc z przestrzeni miasta, jaką zamieszkują, a jaką Niemcy tamtejsi szydlerczo zowią Polakei, cyfra ta nie wydaje się przesadzoną. Najwięcej Polaków osiadło nabywszy nieruchomości w północno-zachodniej stronie miasta, przy ulicy Milwaukee Avenue. Ci wynajmują mieszkania innym, biedniejszym, po największej części robotnikom, między którymi wielu jest chłopów poznańskich, śląskich i galicyjskich. Tu też wznosi się przy narożniku Noble i Bradley kościół Św. Stanisława Kostki wraz ze szkołą pozostającą w ręku duchownych. Kiedy z czasem liczba Polaków zaczęła wzrastać, wzniesiono między Milwaukee Avenue a Division Street drugi kościół, o który jednak natychmiast poczęły się wielce gorszące między duchownymi spory, albowiem przewodnicy dawnego chcieli uważać nowy za kaplicę tylko, nowy zaś zapragnął utworzyć odrębną parafię. Wojnę, jaka stąd powstała, zakończyło dopiero zabranie nowej budowli za długi, które od początku nie były pokryte i prawdopodobnie nigdy nie będą.

W przeciwnej stronie miasta, południowo-zachodniej, osiadła także dość znaczna liczba Polaków, ci jednak pomieszani są z cudzoziemcami. Spójnią dla wszystkich są, jak wspomniałem, towarzystwa. Celem ich ma być także obrona swych członków przed obcymi, wynaradawiającymi wpływami. Jest tych towarzystw dziewięć, ale siedm z nich nosi charakter czysto kościelny, mając na czele księży. Świeckich, na gruncie czysto narodowościowym opartych, jest dwa: Gmina Polska i Tow. Kościuszki, ale że i kościelne pragną nosić także charakter narodowościowy, przysyłają zatem dla większej części niewykształconych umysłów potrzebę jednego, ogólnego stowarzyszenia, wszystkie zaś razem wzięte, częstokroć nie idąc zgodnie, przeszkadzają sobie wzajemnie.

Drugim ogniskiem, w którym licznie skupiła się ludność polska, jest Milwaukee, położona w stanie Wisconsin nad brzegiem tegoż samego jeziora Michigan. Liczba Polaków tu zamieszkałych ma dorównywać tejże w Chicago, w ogóle zaś Polacy tamtejsi są zamożniejsi od zamieszkałych w innych miastach. Istnieją tu dwie szkoły, z których jedna 3-klasowa, druga elementarna; stowarzyszenia wszystkie podobnie noszą charakter kościelny.

W tymże stanie Wisconsin leży Norheim, jedna z najzamożniejszych i najstarszych kolonii, założona od lat siedmnastu wśród ogromnych lasów. Ziemia zajęta przez kolonię nabyta była bardzo tanio albo zajęta na prawach osadniczych (klemowych) z obowiązkiem spłacenia

rządowi w ciągu lat dziesięciu. Później, gdy okolica zaczęła się ożywiać tak pod względem przemysłowo-handlowym jak i rolniczym, ceny gruntu podskoczyły szybko w górę, skutkiem czego dawni osiedleńcy stali się właścicielami dość znacznych majątków. Istnieje tu szkoła, do której uczęszcza około 90 słuchaczy, dająca starszym chłopcom przygotowanie do wyższych zakładów naukowych. Ludność chłopska zostaje, tak tu, jak i wszędzie, pod zarządem duchownego. Stowarzyszenie jednak tutejsze ma charakter bardziej świecki z odcieniem wojskowym.

O siedm mil od kolonii northeimskiej leży osada Manitowoc (Manitowok) stanowiąca jedną „parafię” z Northeim. Powstała tu myśl założenia kolegium, na które sąsiedzi Amerykanie złożyli natychmiast 2000 dolarów z dodatkiem 10 akrów oczyszczonego z lasu gruntu.

W New Yorku, wedle przybliżonych obliczeń, ma się znajdować około ośmiu tysięcy Polaków połączonych po większej części w stowarzyszenia świeckie. Mieli oni tu swój organ „Kurier Nowojorski”, który niedawno przestał wychodzić. Prócz tego w każdym ze znakomitszych miast mieszka większa lub mniejsza liczba Polaków połączonych albo w towarzystwa świeckie, jeżeli członkowie stanowią przeważnie tak zwaną inteligencję, albo w kościelno-parafialne, jeśli składają się z włościan i wyrobników. Cytowanie tych miast, każdemu znanych z geografii, uważam za zbyteczne. W niektórych liczba Polaków może dochodzić do tysiąca lub więcej; nie zamieszkują jednak osobnych dzielnic i w stosunku do ogółu ludności zbyt są nieliczni, aby stanowić pewną narodowościową jednostkę, mającą znaczenie socjalne lub polityczne. Natomiast pozwolę sobie wymienić wszystkie osady i „parafie”, albo czysto polskie, albo takie, w których ludność polska w stosunku do ogólnej gra jakąkolwiek rolę. Będzie to materiał informacyjny i wykazowy, który z czasem przydać się może. Miasta te, osady i „parafie” przedstawiają się jak następuje: Detroit (Michigan), Pittsburg (Pensylw.), Lemont (Illin.), Kalumet (Mich.), Lykens (Pens.), St. Paul (Minnesota), Shamotin (Pens.), Berca (Ohio), Polonia (Wisconsin), Stevenspoint (Wisc.), North Creek (Wisc.), Piane Creek (Wisc.), Beaverdam (Wisc.), Teresa (Wisc.), Northport (Wisc.), Oshkosh (Wisc.), Princetown (Wisc.), Grenbay (Wisc.), Kraków (Minn.), Radom (Illin.), Dunkirk (N.Y.), La Salle (Ill), Dellano (Mich.), Farribould (Minn.), Winona (Minn.), Shenahdoah (Pen.), Nauticoke (Pens.), Toledo (Ohio), Cleveland (Ohio), Cedar Rapids (Mich.), Bay City (Mich.), Jefersonville (Indiana pod ks. Moczygębą), Otis (Ind.), Lanesville (Indiana), Panna Maria (Teksas), San Antonio (Teksas), Cottage Hill (Teks.), Mulberry (Teks.), Bluff (Teks.), Bandera (Teks.), Platonina (Teks.), Plantersville (Teksas), a na koniec dwie jeszcze świeżo założone: Waren Hoino przez Choińskiego w Arkansas i Nowy Poznań w Nebrasce.

Spis ten może być niedokładnym i nie obejmować wielu miejscowości i osad bądź wyłączenie, bądź w znacznej części przez Polaków zamieszkałych. I tak wiele miasteczek położonych w rozmaitych stanach nosi nazwę „Warsaw”, godziłoby się więc przypuszczać, że Warszawy te przez Polaków założone i zamieszkałe. Tymczasem w „Kronice Polonii” zamieszczonej w kalendarzu „Przyjaciela Ludu” żadna z nich nie jest podana. Być może jednak, że nie mają one znaczenia. Mapy tutejsze przedstawiające terytoria mało zamieszkałe notują bardzo małe nawet osady, choćby złożone z jednego tylko domu i przez jedną rodzinę zajęte. Następnie, powtarzam jeszcze raz, że spisy te nie obejmują wszystkich miast dobrze znanych (jak np. Washington, Boston, Filadelfia, St. Louis, N. Orleans, Baltimore, St. Francisco etc.), w których ludność polska, mniej lub więcej liczna, nie gra jednak w stosunku do ogólnej żadnej roli i albo słabo, albo wcale nie jest uorganizowana. Niektóre z osad powyżej wymienionych są to, jak same nazwy ich wskazują, wielkie wsie lub małe miasteczka handlowo-rolnicze czysto polskie, inne mają ludność mieszaną, przeważnie jednak polską. Organizacja parafialna jest prawie powszechną. W niektórych miejscowościach, jak np. w Lemont Illinois, koloniści polscy stanowią jedną parafię z Czechami, w innych, jak w Kalumet, nawet z Irlandczykami.

Ze spisu powyższego widzimy także, że najwięcej Polaków zamieszkuje w stanie Wisconsin, graniczącym na południe z Illinois, na północ z częścią stanu Michigan i jeziorem Wyszszym (Superior), na zachód z Minnesotą, na wschód na koniec z jeziorem Michigan. Stan ten leży pomiędzy 42 a 44 stopniem szerokości północnej. Jest to kraj lesisty, obfitujący w rzeki, strumienie i mniejsze lub większe jeziora. Klimat, podobny do polskiego lub może nawet ostrzejszy, a przynajmniej przedstawiający bardziej wybitne różnice między porami roku, pozwolił od razu zrozumieć polskim osadnikom warunki rolnicze. Przedstawiły się one podobnie do tych, do których przesiedleńcy byli przyzwyczajeni w domu. Ziemia, w ogóle urodzajna, wydawała też same zboża. Skąd ułatwienie pracy i większy stosunkowo niż gdzie indziej dobrobyt osadników. Przy tym osady te, jak np. Northeim, były założone dawniej od innych, a zatem ziemie, tanio nabyte, podwoiły lub potroiły się od kilkunastu lat w cenie, ludność zżyła się z krajem, opanowała językiem, opanowała się z handlem, przemysłem itd. Po Wisconsin najwięcej ludności polskiej posiada Illinois, ludność jednak tutejsza przeważnie jest miejską. Czysto rolnicza zamieszkuje Teksas, gdzie leżą czysto polskie osady Panna Maria i Częstochowa. O stanie jednak tych osad brak mi dokładnych wiadomości. Koloniści musieli tu zwalczać daleko większe przeszkody niż gdzie indziej. Główną przeszkodę stanowił klimat, do którego nowo przybyli koniecznie przyzwyczajając się muszą, a nim się przyzwyczajają, przechodzić rozliczne dolegliwości. Dalej rolnictwo musi w kraju tak południowym być zupełnie odmienne. Główny produkt stanowi tu bawełna, dalej trzcina cukrowa, drzewa pomarańczowe, palmowe itd. Nowo przybyli rolnicy musieli zaczynać naukę rolnictwa od a, b, c, z tym wszystkim położenie osadników od dawna już przybyłych ma być dosyć znośne, spójność zaś ich zadowalająca.

Co do dwóch nowo założonych kolonii: Waren Hoino w Arkansas i Nowego Poznania w Nebrasce, zdołały już one zgromadzić po kilkadziesiąt rodziny, przyszłość ich jednak arcy jeszcze niepewna. Rzecz była taka. W ostatnich czasach między Polakami zamieszkałymi w Chicago pojawiła się dążność do zamienienia życia wyrobniczego w miście na pług i siekiere pionierską. Czy dążność ta sama przez się pojawiła się w niższych warstwach tamtejszych, czy została im podsunęta przez redakcje pism: „Gazety Polskiej Katolickiej” i „Gazety Polskiej Chicagowskiej” Dyniewiczza, nie umiem tego objaśnić. Bądź co bądź, sama w sobie była pożyteczną. W miastach amerykańskich, a zwłaszcza w miastach silnie zaludnionych, robotnicy, jeżeli business idzie dobrze, mają dość znaczne zarobki i w ogóle żyją lepiej i dostatniej niż w Europie. Ale zdarza się często, że bądź to z powodu przyczyn miejscowych, bądź z powodów politycznych – wyborów, bezroboci, zaburzeń etc., pojawia się chwilowy zastój w interesach. Wówczas w mieście bardzo ludnym większa część robotników traci robotę i zostają bez kawałka chleba. Życie więc wyrobnicze zawsze jest niepewne, rzadko sprzyjające zebraniu jakiego takiego grosza. Tymczasem osadnik rolniczy w Ameryce, zajmawszy ziemię rządową na prawach klemowych z wypłatą na lat dziesięć po dolarze i pół od akra (mórg) lub nabywszy takową również na częściową spłatę od kolei żelaznej, przy pracy i wytrwałości dochodzi niezawodnie do posiadania własności i spokojnego kawałka chleba. Inaczej nie może być. Początkowo osadnicy prowadzą życie nad wszelki wyraz ciężkie. Trzeba mieszkać w łada jako skleconych domach, karczować lasy, opędzać się febrze w niezdrowych okolicach, wężom, mustykom i tam dalej. Kwitnący jednak stan wielu osad niemieckich, szwedzkich, duńskich dowodzi, że praca i trudy opłacają się w końcu. Przy tym jak dla wszystkich narodowości tak i dla Polaków owo łączenie się i zakładanie osad miało jeszcze i inne znaczenie. Pracując z osobna po rękodzielnich lub warsztatach rzemieślniczych, ocierając się ciągle o żywioły obce, niepodobna nie wynarodowić się z wolna; tymczasem w osadach, gdzie ludność jednolita siada masą, podobne niebezpieczeństwo mniej grozi. Ze swojej strony rząd Stanów i Amerykanie w ogóle nie tylko nie objawiają najmniejszej dążności do wynaradawiania kogokolwiek, ale przeciwnie: zapewniają wszystkim wszelkie prawa, żądane i nieządane. Jest to po prostu zarówno praktyczna jak i rozumna polityka; rząd washingtonski bo-

wiem pojmuje doskonale tę prawdę, że Niemcy, Francuzi, Włosi itd. nie przestając być sobą, będą jednak wybornymi obywatelami amerykańskimi, jeśli im w Ameryce będzie dobrze. Zachowają oni wprawdzie przez długi czas swój język, ale ponieważ narodowości i języków jest mnóstwo – wszystkie więc razem muszą przyjąć, chcąc nie chcąc, język angielski jako wspólny handlowy, urzędowy i społeczny. Jak więc powiadam, zakładanie osad nie spotyka tu z żadnymi stron trudnościami; potrzeba tylko człowieka, który by się sprawą zajął, grunta odpowiednio odszukał, nabył i podzielił. Podobny przewódca znalazł się w Chicago w osobie niejakiego pana Choińskiego; ten zakupił grunta w Arkansas, nazwał mającą się założyć kolonię niezbyt zresztą szczęśliwie: Waren Hoino, i odmalowując ją w barwach istotnie może przesadzonych, zdołał zgromadzić oprócz stu kilkudziesięciu rodzin, które z góry się zapisały, wielu nowych jeszcze kandydatów. Popierała całe to przedsięwzięcie bardzo usilnie „Gazeta Polska Chicagowska” Dyniewiczza, rywalizująca i prowadząca z „Polsko-Katolicką” bardzo zaciętą, a po prostu powiedziawszy, bardzo haniebną dla obu stron wojnę. W tym miejscu, jakkolwiek o wydawnictwach powiem później obszernie, wypada mi poświęcić kilka słów ogólnemu ich charakterowi. Obie te gazety stoją na gruncie religijno-katolickim. Pierwsza z nich, „Polsko-Katolicka”, redagowana jest przez księży, musi więc być taką, jak jest; druga, Dyniewiczowska, byłaby może inną, gdyby wydawcy nie chodziło o niezrażanie sobie włościan i robotników z włościan złożonych. I Dyniewicz więc grywa na religijnym organie, z towarzyszeniem jednak pewnej liberalnej nuty. Zarzuca on przeciwnikom poświęcanie interesów ogólnych ultramontanizmowi, obalamucanie ludu, przezywa ich „Zmartwychwstańcami” lub „szajką Zmartwychwstańców”, zdrajcami i tym podobnie. Oczywiście Barzyńscy (wydawcy „Polsko-Katolickiej”) oddają mu pięknym za nadobne, w całej zaś sprawie po obu stronach większą zdaje się grać rolę ambicja, chęć wyniesienia się, ściągnięcia abonentów, a zatem i zysków, niż zamiłowanie dobra ogólnego. Okazało się to przy sprawie kolonii. Gdy gazeta Dyniewiczza zaczęła popierać Choińskiego i stawać się organem sprawy istotnie ważnej, w której nie szło o puste krzyki i deklamacje, ale o coś istotnego – przeciwnicy jej i całego stronnictwa „Dyniewiczza – Choińskiego” spostrzegli się, że tamci mogli pociągnąć większość za sobą i postanowili przeciwdziałać. Z początkowania więc „Gazety Polsko-Katolickiej” powstała myśl założenia jednocześnie drugiej osady polskiej w Nebrasce pod nazwiskiem Nowy Poznań. Ponieważ kandydatów nie brakło, zakupiono wkrótce grunta i Nowy Poznań przeszedł także z dziedziny zamysłów w dziedzinę rzeczywistości. Obie gazety poczęły teraz wysławiać każda swoją osadę, nie znajdując słów na potępienie przeciwnej. Nowemu Poznaniowi zarzucano, że położony jest w stepach, z których rzeczywiście składa się cała Nebraska, w krainie bezdrzewnej, gdzie nie będzie z czego pobudować domów, a na koniec w okolicach pustoszonej od czasu do czasu przez szarańczę. Barzyńscy odpowiadali natomiast, że grunta w Arkansas pokryte są dębami, których karczunek tak długo może się przeciągnąć, iż osadnicy z głodu pierwszej pomierają; dalej mówiono, że okolica zakupiona ma płytką tylko warstwę czarnoziemu, pod którą znajduje się nieurodzajny żwir – a na koniec, iż okolica cała rokrocznie zatapiana bywa przez wody rzeki Arkansas, z czego powstają zabójcze febry i inne choroby dziesiątkujące ludność. Obie strony wysyłały komisje mające sprawdzić istotny stan rzeczy, ale komisje te, składając się z ludzi należących do stronnictw, a zatem stronnych, powtarzały za i przeciw – wedle widoków stronnictw, a prawda zginęła ostatecznie pośród tego zamętu.

Wobec takiego stanu rzeczy z największymi tylko zastrzeżeniami można wydać sąd w tej sprawie. Faktem jest jednak, że Waren Hoino zrobiło ostatecznie pewne fiasko. Arkansas słynie wprawdzie z urodzajności ziemi, obfitość lasów jest jedną dodatnią stroną więcej dla wszelkiej kolonii; na koniec o klimacie Arkansasu nie słyszałem, aby miał być niezdrowy, jak np. w Teksas. Ale być może, że kupno było prowadzone lekkomyślnie, ziemia wybrana nieopatrznie, działki przeprowadzane z uwzględnieniem różnych cząstkowych widoków, wreszcie zarząd funduszami naganny; większa część osadników, którzy się już byli do Waren Ho-

ina wybrali, powróciła stamtąd bardzo spieszenie, podnosząc wniebogłosy krzyk, że została omamioną najhaniebniej. Niektórzy wydawszy wszystkie pieniądze na drogę, a nie chcąc osiąść w osadzie, znaleźli się istotnie w bardzo przykrym położeniu. Gazeta Barzyńskich zatryumfowała. Nazwano wyprawę do Hoina „wyprawą na Sybir”. Wezwano Choińskiego i Dyniewicza, aby złożyli rachunki z powierzonych im funduszków, czego istotnie dotąd nie uczynili – krótko mówiąc, pokazuje się ze wszystkiego, że Dyniewiczowi i Choińskiemu wiele jest w całej sprawie do zarzucenia, czego dowodem jeszcze i to, że ich gazeta – powoławszy się na Platona czy na innego mędrca polecającego „głupim” nie odpowiadać – zamilkła i ostatecznie o sprawie Waren Hoina więcej się nie odzywa. To przerwanie gorszącej polemiki bardzo byłoby pożądanym, ale zauważyć należy, że co innego jest prowadzić polemikę o nic i obrzucać się obelgami, a co innego przedstawić dowody, jeśli takowe są, że się funduszków powierzonych sobie nie zmarnowało i całą sprawę, na której istotnie ludziom zależy, prowadziło uczciwie i sumiennie. Nie znając Dyniewicza ani Choińskiego osobiście, ale tylko z odgłosów nader przeciwnych, nie pozwalałam sobie przypuszczać, aby prowadzili ludzi „na zgubę” w widokach osobistego zysku. Ale z całego toku sprawy i z tego, jak sami siebie w swoich orędziach przedstawiali, wnioskuje, że są to ludzie ambitni, rodzaj demagogów, nie bardzo przebiegających w środkach, które mogą posłużyć im do wyniesienia się i zagarnięcia przewodztwa. Zgubić swoich osadników zapewne nie chcieli, ponieważ byłoby to wprost przeciwne i dobru Choińskiego, który osobiście ma mieszkać w swoim Waren Hoinie, i Dyniewicza, jako redaktora gazety. Być może jednak, że zaślepieni nienawiścią do przeciwnego stronnictwa i ambicją, zapędzili się zbyt daleko, robili rzeczy zbyt pośpiesznie i... przez to sprawę zachwiali. Obecnie w Waren Hoinie pozostał podobno ten tylko, kto wydawszy pieniądze na drogę nie miał za co powrócić. Być jednak może, że ci, co zostali, dojdą z czasem do kawałka chleba. Kto zna nasz łatwo zrażający się trudnościami charakter i łatwość, z jaką niczym nie usprawiedliwione nadzieje zmieniają się w zupełne zniechęcenie, ten przypuści zapewne, że te wady wzięły także niemały udział w owym pośpiechu, z jakim osadnicy Waren Hoino opuścili.

Bądź co bądź, sprawa ta nie przynosi zaszczytu Dyniewiczowi i Choińskiemu, ale nie przynosi go także ich przeciwnikom. Jakkolwiek z Nowego Poznania nie dochodzą tak alarmujące wieści, jak z Waren Hoina, jakkolwiek rzeczy te mogły być robione ostrożniej, jednakże biorąc na ogół, żyzny, ciepły i lesisty Arkansas posiada więcej warunków zapewniających rozwój wszelkiej kolonizacji niż stepowa, zimna i bezdrzewna Nebraska. Ale cóż robić! gdy przede wszystkim każdej gazecie chodziło o to, by miała swoją kolonię. Sprawa ogólna poszła wobec tej prywatnej w poniewierkę. Gdyby zamiast przeszkadzać sobie wzajemnie, wzięto się wspólnymi siłami do dzieła, rzeczy ułożyłyby się z pewnością inaczej. Przede wszystkim, im więcej osadników by się zebrało, tym osada byłaby żywotniejszą, potężniejszą i bezpieczniejszą. Dalej, im większe kupiono by obszary gruntu, tym by je można nabyć taniej. Byłoby możliwym założenie szkół, rozmaitych instytucji pomocniczych itd., ale wszystko to wymagało zgody, a zgoda między ludźmi patrzącymi nawet na kupno kawałka gruntu ze stanowiska religijnego jest rzeczą po prostu niemożliwą.

Stoją więc, a raczej wegetują: Waren Hoino i Nowy Poznań. Na nich kończą się moje wiadomości dotyczące się osad polskich rozproszonych w Ameryce; wyliczanie ich wydało się czytającym może byt suche, dlatego przechodzę teraz do uwag ogólniejszej natury.

Z tego, com już powiedział, ze wzmianek o „parafiach” i towarzystwach kościelnych czytelnik może wyrobić sobie pojęcie, że wychodztwo tutejsze jest czymś zupełnie innym niż europejskie. „Emigrantami” w zwykłym znaczeniu tego wyrazu nazywamy u nas ludzi, którzy z powodów politycznych po czasach powstania lub zaburzeń zmuszeni byli kraj opuścić. Tu, w Ameryce, żywił ten stanowi niezmiernie małą część i nie odgrywa żadnej roli. „Emigracja” tutejsza opuściła kraj nie dla urzeczywistnienia ideałów politycznych, ale dla chleba. Po większej części są to chłopcy pozostający w rękach księży. Dlatego pojęcie radykalności, zwią-

zane z imieniem emigracji, do tutejszej bynajmniej zastosować się nie da. Mówię oczywiście o ogóle, nie o szczegółach. Ogół ten jest arcykonserwatywnym, arcyreligijnym i zupełnie w rękach duchowieństwa. Stan taki rzeczy da się łatwo wytłumaczyć. Chłopi, z natury religijni, przybywając tu bez znajomości kraju, języka, stosunków, widzą w duchownym nie tylko pasterza dusz, ale swego pełnomocnika, rządcę i sędziego. Kościół jest ogniskiem, około którego się grupują, nicią wiążącą ich z krajem, czymś swojskim, własnym, czymś ochronnym. „Parafia” staje się jednostką nie tylko w znaczeniu duchownym, ale i socjalnym. Oczywiście, duchowni, zająwszy raz tak przodujące stanowisko, nie chcą z niego ustąpić; przeciwnie, roszczą prawo do przewodnictwa nad tymi nawet, którzy bynajmniej nie są usposobieni ich słuchać; uważają się za jedynych prawych przedstawicieli interesów nie tylko dusznych, parafialnych, ale ogólnych – za naturalnych rządców narodowości. Jakoż posiadając za sobą większość, przeprowadzają wszystko, co chcą. Inteligencja świecka – o ile idzie jej o sprawy ogólne – musi się temu wpływowi poddawać, w przeciwnym razie bowiem bywa przegłosowana. Gdyby to, co mówię, potrzebowało dowodów, mógłbym ich znaleźć do woli. Przy poruszanej kilkakrotnie myśli powiązania jednym organizmem wszystkich przesiedleńców, gazeta Barzyńskich podała myśl wytworzenia pewnego ciała rządzącego złożonego z dwóch izb. Izba niższa miała się składać z delegatów wybieralnych, wyższa, czyli „senat” (?) – z duchownych (!!!). Przypuszczam, że niejedyn z czytelników dwa razy przeczyta te słowa, nim uwierzy własnym oczom. Niemniej tak jest. Dziwnym zbiegiem okoliczności na tej ziemi, najwolniejszej i najbardziej postępowej, wracają pod pewnym względem czasy średniowieczne, w których władza świecka spoczywała w rękach duchownych. Do jakiego stopnia wpływ ten opanował tu wszystko, dowodem także są i pisma tutejsze wychodzące w języku polskim. Wszystkie one, nie wyłączając „Gazety Polskiej Chicagowskiej”, mają charakter nie tylko narodowościowy, ale narodowościowo-religijny. Ponieważ nic mnie nie krępuje w wypowiedaniu mego zdania, powiem więc otwarcie, iż wszystko nakazuje mi sądzić, że na przykład we wspomnianej „Gazecie” Dyniewicza nuta owa religijna nie idzie wcale z serca. Jestem nawet prawie pewny, że gazeta owa weszłaby chętnie na drogi wprost przeciwne, gdyby nie obawiała się utracić wszelkiego wpływu i większej części swych abonentów. Z pism innych jeden tylko „Kurier Nowojorski” stał na stanowisku ogólnym, ale też upadł. Zabiły go nie tylko ustawicznie zmieniające się redakcje, które po wyjeździe Horaina do San Francisco przechodziły w coraz inne, a prawdę rzekłszy, w coraz nieudolniejsze ręce, ale i brak poparcia ze strony duchownych. Co do Dyniewicza, walczy on wprawdzie zaciekle z partią Barzyńskich, i dotychczas utrzymuje się jeszcze, ale dzięki jedynie temu, że naprzód, ma poparcie pewnej liczby księży nie idących z rozmaitych powodów z Barzyńskimi, a po wtóre, że w każdym numerze zapewnia czytelników swoich, jakoby on właśnie i on jedynie był prawdziwie, nie „zmartwychwstańczo-jezuickim”, ale czysto katolickim wydawcą.

Ten to pierwiastek religijny, tak zamieszany w interesa ogólne, że żadną miarą odczepić się od nich nie daje, i wyjątkowa przewaga duchowieństwa stanowi główną cechę emigracji tutejszej. Wprawdzie duchowieństwu niepodobna odmówić pewnej zasługi; ono bowiem, skupiając rozproszonych włościan, ogniskując ich w duchowne i socjalne „parafie”, broni ich poniekąd przed wpływem niemieckim, przed rozproszeniem się zupełnym i zatonięciem bez echa w pierwiastkach obcych. Z drugiej jednak strony, każdy bezstronny i poważnie patrzący na rzeczy człowiek przyzna, że owo pomieszanie interesów ogólnych z duchownymi może także wychodzić na szkodę pierwszych. Czasem te interesa bywają zgodne, a czasem wzajem sobie obojętne lub nawet przeciwne. W tym ostatnim razie, gdy wszystko spoczywa w rękach duchowieństwa, ogólne muszą ustępować religijnym. Gdyby powody np. miejscowopolityczne nakazywały Polakom głosować przeciw Irlandczykom, a religijne za nimi, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że duchowni skłanialiby swoich „parafian” do głosowania za Irlandczykami. Powie ktoś, że to jest wypadek niemożliwy; ale w gruncie rzeczy jest możliwy. Przypuśćmy np. wojnę St. Zjednoczonych z Anglią. Wprawdzie tu sprawy pokoju i woj-

ny nie przechodzą głosowaniem, ale za to głosowaniem przechodzą ludzie, którzy o pokoju i wojnie stanowią.

Są jednak sprawy nie tylko przypuszczalne, możliwe i pośrednie, ale bezpośrednie, w których przewaga duchowieństwa i pomieszanie zupełne żywiołu religijnego z narodowościowym nie wychodzi na korzyść tego ostatniego. Pomijam już zarzut, czyniony duchowieństwu przez wielu ludzi należących do inteligencji, że wyzyskuje lud prosty na własną korzyść. Jedni duchowni wyzyskują – i mógłbym takich wymienić, gdyby komu coś na tym zależało – drudzy nie, ale jest inny wzgląd. Oto przewaga duchowieństwa odstręcza od brania udziału w interesach ogólnych inteligencję świecką. Trzyma się też ona powszechnie osobno. Doktorom, inżynierom, adwokatom i innym przedstawicielom nielicznej zresztą inteligencji trudno, wbrew własnym zasadom, służyć sprawom kościelnym, które przede wszystkim bywają uwzględniane. Można dla interesów ogólnych poświęcać miłość własną, można zgodzić się na „senat” złożony z księdza Klawitera, księdza Pitasa, księdza Moczygęby i wielu innych duchownych, którzy zresztą mogą być zacnymi ludźmi, ale niepodobieństwem jest służyć kierunkom uwzględniającym te interesa ogólne o tyle tylko, o ile nie stoją one na przeszkodzie wyłącznie religijnym lub wyłącznie duchownym. Wiem, że jest wielu ludzi przekonanych, że te ostatnie nigdy nie sprzeciwiają się pierwszym, postaram się więc jeszcze o dowody, że bywa przeciwnie. I tak na przykład: wszelka narodowość do tym większego w Ameryce dochodzi znaczenia, tym większy wpływ może wywierać na wewnętrzną politykę Stanów Zjednoczonych, zatem na ustawy i urzędnia z własnym dobrem zgodne, im jest liczniejszą, bogatszą i bardziej zorganizowaną. Irlandczycy i Niemcy mają wpływ podobny, Polacy – nie! Zbyt mało są liczni, zbyt ubodzy ogólnie, zbyt mało znaczący. Ale położenie rzeczy zmieniłoby się niezawodnie, gdyby w ogólny ustrój, mający wprowadzić jedność wewnętrzną między Polakami, weszli i Żydzi. Nie mówię tu o poznańskich i galicyjskich, ci bowiem trzymają z Niemcami, ale o Żydach z Królestwa, których w całych Stanach przynajmniej na sto tysięcy można rachować, a którzy przedstawiają nie tylko taką ilość głosów, ale i kapitał. Są to bowiem po największej części ludzie zamożni. Nędzne i zasługujące na wszelką pogardę przesady rasowe, odgrywające tak wielką rolę w Egipcie, tu nie istnieją; nic by więc nie przeszkadzało przyłączeniu się Żydów do rozlicznych towarzystw polskich, gdyby nie to, że towarzystwa te noszą charakter kościelno-religijny, uwzględniający tylko Polaków wyznania katolickiego. Samym Żydom nie brakłoby ochoty. Słyszałem to z ust wielu z nich. Nie potrzebuję zaś dodawać, że przyniosłoby to nieobliczone korzyści. Wszystkie zamiary organizacyjne rozbijają się tu wiecznie o brak funduszków. Otóż Żydzi mają fundusze. Inne narodowości posiadają własne wyższe szkoły, biblioteki, własne szpitale, instytucje zapewniające pomoc w wyszukaniu zarobku nowo przybywającym, własną ogólną kasę przeznaczoną do wspierania nie tylko pojedynczych osób, ale i całych kolonii w razie klęsk pożaru, nieurodzaju, powodzi i szarańczy. Polacy mogliby to mieć wszystko, gdyby byli liczniejsi i bogatsi, a byłiby liczniejsi i bogatsi po połączeniu się z Żydami polskiego pochodzenia, które to połączenie nie nastąpiło i nigdy nie nastąpi ze względu na przeszkody, jakie stawiać mu będą duchowni.

Na koniec połączenie wszystkich ludzi polskiego pochodzenia w jeden organizm wymagałoby pewnych kosztów na administrację i inne instytucje, o których wyżej wspomniałem. Koszta te opłaciłyby się niezawodnie niezmiernymi korzyściami całemu ogółowi, ale przyniosłyby pewien uszczerbek dochodom parafialnym. Jest to także wzgląd, który stanowi nie małą przeszkodę w przeprowadzeniu połączenia.

Sprawozdanie to moje zupełnie jest przedmiotowe. Nie mam zamiaru prowadzenia z nikim dziennikarskiego sporu ani też torowania drogi dla zmian, choćby z tej prostej przyczyny, że pismo wasze tu nie dochodzi. Wezwaliście mnie do odmalowania wam stanu stosunków tutejszych, przedstawiłem je zatem tak, jak same się przedstawiają. Wyliczyłem wszystkie ich złe i dobre strony – wszystkie pro i contra, pozostaje mi tylko dodać parę jeszcze uwag ogólniejszej natury. Według mego zdania, Polakom tutejszym grozi niechybnie wcześniejsze lub póź-

niejsze wynarodowienie się i całkowite rozplątanie w żywiole amerykańskim lub niemieckim. Połączenie ich w jeden organizm, powstanie instytucji własnych ochronnych mogłoby owo wynaradawianie się opóźnić, ale ponieważ te tarcze nie istnieją, nie ma więc o czym mówić. W niektórych miejscowościach, zamieszkałych przez Polaków i Niemców wspólnie, nacisk żywiołu germańskiego nie jest tu mniejszy niż w Poznańskim lub na Śląsku, a lubo nie urzędowy, również prawie jest skuteczny, ze względu na to, że działa na ludność od pnia macierzystego oderwaną, a posiadającą mało daru organizacyjnego. Uwzględnić tu także należy, że znakomita część wychodźców składa się z Kaszubów, Mazurów pruskich, Ślązaków i Poznańczyków, do ziemczenia już niejako przygotowanych. Świeży napływ wychodźców mógłby być pewną tamą w tym względzie, ale pominąwszy już, że nie należy go sobie życzyć, faktem jest, że napływ ten się zmniejsza. Gorączka wychodźstwa, również jak i warunki, które ją powodują, są to rzeczy przemijające, które doszedłszy do swego maximum, następnie słabiej. Mówiąc nawiasem, dla kraju macierzystego jest to okoliczność arcypomyślna. Ale nie o to mi chodzi. Z mniejszym napływem nowych przesiedleńców wynaradawianie dawniejszych będzie postępowało coraz szybciej. Przy tym wszelkie wychodźstwo składa się przeważnie z mężczyzn, którzy nie znajdując dość kobiet swojej narodowości, biorą za żony miejscowe. Otóż nie znam ani jednego Polaka żonatego z Niemką lub Amerykanką, którego by dzieci umiały po polsku. Nie wyłączam nawet i inteligencji. Jest to nieuniknione. Dzieci takie nie mogą już czytać pism ani książek polskich, nie mogą chodzić do szkół parafialnych, a choćby nawet chciały i nauczyły się po polsku, nie będzie to już ich język domowy. Osady czysto polskie, jak: Radom, Częstochowa itp., będą zapewne trzymały się dłużej, ale i te prędzej czy później czeka los jednakowy. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że ludność uboższa dostaje się pod wpływ bogatszej, a tak Niemcy jak i Amerykanie bogatsi są od Polaków i oświeceńsi. Jedynym środkiem ratunku byłoby zjednoczenie się organiczne, takowe zaś jest niemożliwe. Zresztą nikt się obecnie myśli tą nie zajmuje. Bębnią czasami w ten bęben pisma tutejsze, ale to tylko dla własnej powagi, a po trochu dlatego, aby się przypomnieć abonentom. Dla uzupełnienia obrazu muszę powiedzieć jeszcze parę słów o pismach tutejszych. Wspomniałem już o zaciętych sporach, jakie ze sobą prowadzą, i o charakterze ich ultramontańskim; nie poruszając już więc tego przedmiotu, zatrzymam się przez chwilę nad ich stroną literacką. Najlepiej stosunkowo redagowana jest gazeta Barzyńskich, najgorzej był w ostatnich czasach „Kurier Nowojorski”. Miał i on swe lepsze chwile, gdy go, jako jeszcze „Gazetę Nowojorską”, redagował Julian Horain. Potem trzymał się jako tako pod Kulikowskim, gdy jednak ten ostatni odebrał sobie życie, „Kurier” począł przechodzić z rąk do rąk pod opiekę ludzi albo pozbawionych wykształcenia, albo nie władających językiem. Drukowano też w nim artykuły w takim języku, że chcąc go uczynić polskim, należało go polskim całkowicie zastąpić. Nie było to jednak pismo stroniczne. Przestało wychodzić przed paru tygodniami dla braku prenumeratorów i z powodu zajęcia drukarni za długi.

Co do gazety Barzyńskich, język jej, jakkolwiek daleki od doskonałości, jest jednak najpoprawniejszym. Treść sama, zwłaszcza naukowa, przed niedawnym jeszcze czasem pozostawała wiele do życzenia. Czytałem np. artykuł, przetłumaczony wprawdzie z jakiejś amerykańskiej gazety, ale opowiadający, że gdy Krzysztof Kolumb odkrywał Amerykę, Jan Sobieski tegoż samego roku zwyciężył Turków pod Wiedniem. Artykuł był tłumaczony, ale redakcja, która podobnych nonsensów nie poprawia, zasługuje co najmniej na zarzut niedbałości. Zresztą od niejakiego czasu widać w gazecie tej widoczną pod literackim i naukowym względem poprawę. Artykuły jej wstępne i przeglądy polityczne bywają często zupełnie zadawalniające. Na nieszczęście, środkowe, ogromne jej łamy (jest to największa ze wszystkich polskich gazet nie wyłączając galicyjskich i naszych) zapełnione bywają prawie zawsze opisami cudów, objawień, cudownych uzdrowień itp. Obecnie ciągnie się tam od kilku tygodni historia cudu w Gietrzwałdzie i w Marpingen, bardzo mało ze zdrowym rozsądkiem zgodna. Sama ostrożność nakazywałaby oczekiwać, co o tym nowym objawieniu się orzeknie wyższa wła-

dza duchowna. Z tym wszystkim, prawdopodobnie jest to jedna z poczytniejszych rubryk tego pisma.

Zasługę jego stanowią jednak obszerne nieraz artykuły z historii polskiej, które podawane w języku prostym, przystępnym, zresztą brane nieraz żywcem skądinąd bez pretensji do oryginalności, odpowiadają zupełnie swemu przeznaczeniu. Podaje je także i „Gazeta Polska” Daniewicza. Przeglądy polityczne i korespondencje z kraju czerpią obiedwie z gazet lwowskich, głównie zaś z „Gazety Narodowej”, skutkiem czego zdarza się często, że tenże sam artykuł podają obie jednego dnia. W ogóle, gazeta Dyniewicza (któremu zresztą niepodobna odmówić pewnego sprytu wydawniczego) niżej nieco stoi pod względem czysto literackim od gazety Barzyńskich.

Największą wadą obydwóch jest brak korespondencji z osad polskich, rozproszonych po całej Ameryce. Tak jedna, jak druga redakcja mogłaby bez trudności zobowiązać księży do nadsyłania choćby krótkich wiadomości o swych parafiach, o ich rozległości, stanie rolniczym i ludności. Byłaby to jedna z najważniejszych rubryk; służyłaby bowiem za łącznik między pojedynczymi osadami, ułatwiałaby zakładanie nowych w miejscowościach najodpowiedniejszych, a na koniec dostarczałaby wykazów statystycznych, których brak tak dotkliwie czuć się daje.

Wychodzi tu jeszcze i trzecie pismo, pod tytułem „Przyjaciel Ludu”. Jest to najmniejsze z wydawnictw amerykańskich; wielką zasługą jego jest trzymanie się na stanowisku obojętnym względem gorszących sporów dwóch pierwszych, które psują lud, zamiast go umoralniać, dając przykład niezgody i nieszanowania osobistości posuwającego się poza wszelką miarę. Celem wszystkich tych pism jest obrona narodowości przed wpływami obcymi i podtrzymanie języka. Na nieszczęście, pod tym ostatnim względem same one nie mogły uchronić się od licznych skażeń. Rzekłbym: pod wpływem angielszczyzny wytwarza się tu osobny, polsko-amerykański język, którego wyrazy potoczne są polskie, wszystkie zaś inne angielskie. Ograniczę się na przytoczeniu kilkunastu tylko przykładów. I tak, w każdym piśmie zamiast: kolej żelazna – znajdziesz: r a j l r o d, zamiast: bilet – ty k i e t, zamiast: dzień dziękczynny – t h a n k s g i w i n g d a y, zamiast: kancelaria – o f i s (office), zamiast: statek parowy – s t y m e r, zamiast: mniejszy żaglowiec – b o t, zamiast: hipoteka – m o r g e d ż lub d e d, zamiast: deski – l u m b e r, zamiast: płot – f e n s, zamiast: wagon – k a r, zamiast: dziennik – p a p i e r, zamiast: skład papieru – s t a t i o n e r y, zamiast: pokój bawialny – p a r l o r, zamiast: szynkownia – s a l o n, zamiast: sklep – s t o r, zamiast: sąd (dom sądowiczy) – k u r t (court), zamiast: sprawa, przedsięwzięcie handlowe, interes – b i z n e s (business), zamiast: Boże Narodzenie – C h r y s t m a s, zamiast: mały powóz – b u g y, zamiast: wóz – t i m, zamiast: woźnica – t i m s t e r lub d r a j w e r, zamiast: umyślny posłaniec – e k s p r e s, zamiast: dziecko mające tyle a tyle lat – d z i e c k o t y l e a t y l e l a t s t a r e, zamiast: zarabiać na życie – r o b i ć ż y c i e, zamiast: ma lub posiada tyle a tyle – w a r t t y l e a t y l e, zamiast: sąd przysięgłych – d ż u r y, zamiast: ubranie złożone z surduta, spodni i kamizelki – s u i t (suit), zamiast: wołowina solona – k o r n b i f, zamiast: zmuszasz mnie do śmiechu – r o b i s z m n i e ś m i a ć s i ę, zamiast: nie słyszałem nikogo mówiącego – n i e s ł y s z a ł e m n i k o g o m ó w i ć, zamiast: jęczmień – b a r l e j itd., itd.

Oczywiście w mowie potocznej używa się jeszcze więcej wyrazów, jak np. well przy początku każdego zdania; zamiast: z pewnością – certainly itd. Prócz pism ruch umysłowy osiedleńców podtrzymują także księgarnie, których jest trzy: dwie w Chicago (Ill.): Bądryńskiego i Dyniewicza, jedna w Detroit (Mich.) Piotrowskiego. Wszystkie trzy mają podobno niezłe zyski płynące głównie z rozprzedaży książek do nabożeństwa i elementarzy. Na tym zakończę moje sprawozdanie. Wyda się ono zapewne niejednemu zbyt niedokładne i gorzkie. Co do niedokładności, sam chętnie się zgadzam; nie mogło być dokładne z powodu braku źródeł – że zaś miejscami jest posępne, to przypisać należy temu, iż przede wszystkim chciałem je uczynić prawdziwym.

OSADY POLSKIE W STANACH ZJEDNOCZONYCH PÓŁNOCNEJ AMERYKI

Mam przed czytelnikami zdać sprawę z podróży mojej po Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Doprawdy, gdy myśl moja na skrzydłach wspomnień przebiegnie te niezmierne przestrzenie od brzegu Atlantyku aż do Wielkich Jezior, a stamtąd rozleglejszą jeszcze pustynię, której zachodnie stoki toną w lazurowych falach Oceanu Spokojnego – doprawdy, powtarzam: cofam się przed zadaniem. Istotnie niełatwą jest rzeczą w krótkim szkicu przeprowadzić was przez te odległości, do przebycia których najszybsze pociągi kolei żelaznej potrzebują siedmiu dni i siedmiu nocy. Myśl, wyobraźnia i pamięć unoszą się jakby strudzone ptaki ponad obszarami i nie wiedzą, gdzie pofolgować zmęczonym skrzydłom, gdzie zatrzymać się dłużej. Wszystko tam nowe w tej dziewiczej części świata, wszystko od naszego odmienne; na wschodzie New York, władca Oceanu, ze swymi tysiącami masztów, z kolejami żelaznymi pozawieszanymi na wysokości domów – dalej grzmiące wody Niagary, gdzie Erie zlewa się z Ontario; a dalej Chicago, Missisipi, Missouri, stepy zamieszkane przez czerwonoskórych wojowników; jeszcze dalej – dziki i straszny świat granitów – to Góry Skaliste, za nimi słone ziemie Utahu, siedlisko mormonów, na koniec słoneczna, kwiecista i złotodajna Kalifornia...

Zadanie moje wydaje się jeszcze trudniejsze, gdy spojrzę na różnorodność objawów życia ludzkiego na tych ziemiach. Przede wszystkim, gdyby się mnie spytano, jaki naród zamieszkuje ten kraj, którego północne granice śpią pod wiecznymi śniegami, południowe zaś szumią lasami palm, odpowiedziałbym: tam nie ma jednego narodu albo raczej: tam są wszystkie narody lub nawet: wszystkie rasy ludzkie. Aryjczyk, semita, prognatyczny Murzyn, syn Państwa Niebieskiego, o skośnych oczach i długim warkoczu, a na koniec pierwotny właściciel tych ziem, dumny czerwonoskóry wojownik, żyją tam pod tymiż samymi klimatami, pod tymże samym niebem, często bezpośrednio obok siebie. Rasa kaukaska wysłała tam przedstawicieli wszystkich swoich szczepów i narodowości, począwszy od Greków, skończywszy na Szkotach i Irlandczykach.

Chcąc rozwiązać pytanie, jak te narodowości żyją obok siebie, jakie instytucje zdołały związać je w jeden węzeł państwowy, musiałbym chyba, idąc śladami Alexisa Tocquevilla, napisać wyczerpujące dzieło o urządzeniach społecznych amerykańskich, do czego zbrakłoby mi zdolności i czasu. Odpowiem więc tylko ogólnie: w Stanach Zjednoczonych nie próbowano asymilować, nie wiązano nikogo nigdy – i to jest sekret owej zgody, w jakiej żyją odrębne żywioły. Trudna zagadka wyjaśnia się tym jednym wyrazem, który w Europie jest tylko ideą i postulatem, tam praktyką codziennego życia – wyrazem: wolność.

Ale właśnie owa wolność społeczna, polityczna i religijna, owa płynąca z niej decentralizacja posunięta do ostatecznych granic, owa luźność związków państwowych i nieograniczone uwzględnienie jednostki rodzi tę różnostronność objawów życia, o której już wspomniałem, a stąd i niepodobieństwo ogarnięcia jej w jednej ogólnej charakterystyce. Kraj i jego mieszkańcy, stosunek ich do siebie, ogólna konstytucja Unii, prawo pojedynczych stanów, hrabstw, gmin, różnaitość stowarzyszeń świeckich, sprawa oświaty, stosunek wzajemny

mężczyzn i kobiet, sekty religijne, a na koniec luźne socjalno-religijne falanstery – wszystko to zbyt bogaty i zbyt obfity materiał, aby z niego nawet pobieżnie skorzystać można. Niepodobnieństwem jest iść od razu kilkunastoma drogami, żeby więc nie zgubić się w ich labiryncie, trzeba wybrać sobie jedną najciekawszą, najsympatyczniejszą i pójść nią prosto, mówiąc tyle tylko o widokach przyrodniczych, o ile nie leżą poza krańcami widnokregu.

Taką drogę, która mi się wydała najbardziej zajmującą, wybrałem. Idąc tym szlakiem nie wypełnię może swego programu – ale jakkolwiek poprowadzę czytelników moich za Ocean, nie wprowadzę ich jednak w otoczenie zbyt obce.

Będę mówił o Polakach i o osadach polskich w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki.

I

Na okrętach przebiegających przestrzennie między Hamburgiem a New Yorkiem jest miejsce dla najuboższych pasażerów, tak zwane: pod pokładem. Na statkach angielskich i francuskich wygląda ono jako tako, na niemieckich daleko gorzej; w ogóle jest to obszerna, ciemna sala, gdzie światło dzienne dochodzi nie przez oszklone otwory w pokładzie, ale przez zwykłe soczewkowate okienka poumieszczone w bokach statku. Kajut nie ma, łóżka stoją poprzypierane bezpośrednio do ściany, kąpiel tylko przeznaczony dla kobiet oddzielony jest osobnym parapetem. W czasie wzburzonego morza fale uderzające raz w raz z hukiem w okienka napełniają salę ponurym zielonawym światłem. Do wyziewów kuchennych i ludzkich łączy się tu ostry zapach ropy morskiej, smoły i zmoczonych lin okrętowych. W ogóle jest tam duszno, wilgotno, ciemno. Wieczorami lampy rzucają mdłe światło, szkła i naczynia blaszane, poumieszczone na stołach, dzwonią poruszane kołysaniem się statku, wiązania skrzypią – aż góry dochodzą żalostne nawoływania majtków i ostre głosy świstawek miczmenów. W salach takich jadą emigranci.

Na niewielkich statkach, najtańszych ze wszystkich, można za dwadzieścia kilka dolarów dostać się w ten sposób z Hamburga do New Yorku, Bostonu, Baltimore lub innych portów amerykańskich. Ale też nędzny to i męczący sposób podróży. Każdemu jednak podróżnikowi polskiemu jadącemu wygodnie pierwszą klasą radzę, żeby przez samą ciekawość zajrzał pod pokład, zwłaszcza wieczorem w czasie burzy, gdy olbrzymie zwały wody przelewają się przez pokład, wicher rzuca okręt, a powietrze, woda i ciemność zdają się być zmieszane w jeden chaos. Na iluż to statkach, zanim wzrok podróżnego oswoi się z półmrokiem, usłyszy słowa szeptane przez wystraszone głosy i przez pochowane po kątach postacie – słowa w rodzinnej naszej mowie: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko!” Na pytanie:

– Ludzie, czyście z Polski? – ciemne owe postacie zerwą się jakoby podrzucone tajemną jaką siłą, otoczą ze wszystkich stron podróżnika, a wzruszone i drżące od łez głosy zarzucą go pytaniami:

– Panie! wielmożny panie, my z Polski. Czy pan także? Gdy się ich spytać, z których stron, odpowiedź brzmi:

– Spod Prusaka, spod Austriaka, spod Moskala. To nasza krew, kość z kości naszych – to nasze Mazury, Wielkopole i Ślązacy – jadą... dokąd?...

– Do Hameryki! – odpowie Mazur – do Frylandu – objaśnia Ślązak.

– A po co?

– Szukać chleba i woli, których w domu brakło.

Wkrótce jednak zaczną narzekać, bo żal im za swymi strzechami, pod którymi się urodzili. Namówił ich tam taki a taki agent, któremu kompania płaci procent od każdej ludzkiej sztuki. Ale oni nie wiedzieli, że to tak, że przez takie morza i odmęty trzeba przejeżdżać, że ich tak napakują pod pomost. Przy tym w domu nie wiedzieli także, że się też z nikim nie będzie można rozmówić „po katolicku”. Co się z nimi stanie, nie wiedzą. Są na woli bożej jak owe

mewy płynące w powietrzu za okrętem. Wszystko tu dla nich obce, począwszy od spiętrzonych gór wodnych, skończywszy na samym statku, na załodze. Huk śruby i łopotanie nocne żagli targanych wiatrem napełnia ich zabobonnym przestrachem, najczęściej jednak przeraża ich bezmiar oceanu. Nie wiedzą, jak zdać sobie sprawę z tego wszystkiego, co ich otacza. Są pod naciskiem czegoś nieznanego. Jednakże wszystkim tym obcym żywiołom, utrudzeniu, nudzie, pogardliwym żartom, niewygodom, nieznanym wrażeniom, strachom przeciwstawiają swoją niewyczerpaną, bierną, pokorną cierpliwość chłopską i swoją wiarę w tę Marię Częstochowską o ciemnym obliczu, a jasnej koronie, która im wśród tych nocy burzliwych i pustyni wodnej jest gwiazdą przewodnią...

Tymczasem upływają dni i noce. Okręt z dziobem zwróconym na zachód wspina się pracowicie z fali na falę i idzie naprzód, aż wreszcie – po kilkunastu lub więcej dniach podróży – poczyna się rysować i jakby wychodzić z wody ziemia, do której dążyli. Brzeg widać i widać coraz wyraźniej. Dom kwarantanny na Sandy Hool wynurza się z fali, dalej widać olbrzymie ujście East River, dalej lasy masztów, nad nimi spiętrzone dachy, kominy fabryczne, wieże, nad tym wszystkim jeszcze kolumny dymów rozwiane w puszyste kiście u szczytów – to New York i jego okolice. Nasi podróżni cisną się na pokład wzruszeni i uradowani. Kto przebył Ocean, łatwo zrozumie ich radość na widok ziemi. A oto wydaje im się, że Bóg zmiłował się już nad nimi jakoby nad jakim taborem błędzającym po pustyni i przeprowadziwszy ich szczęśliwie przez morze, ukazał im ziemię obiecaną. Tymczasem przywykłych do ciszy i jednostajnej pustoszy morskiej otacza gwar i hałas kipiącego życia. Mały statek pilota mknie z chyżością jaskółki po falach i zbliża się do okrętu, za nim drugi z kwarantanny. Śruba poczyna burzyć wodę, popychając okręt to w tył, to naprzód, słychać hurkot rozwijających się sznurów, okrzyki, nawoływania i klątwy majtków; godzina jeszcze; okręt wsuwa się w wąski dok jak w futerał i wyludnia się z pasażerów. Przyjechali. Przez wielki budynek celniczy na tzw. warfach wychodzą na ulicę...

I teraz co?...

Maciej spogląda na Bartłomieja, Bartłomiej na Franciszka. Co robić? Gdzie się obrócić? Gdzie iść? Okręt wyrzucił ich po prostu na bruk i na tym koniec... Agent w Hamburgu obiecywał im wprawdzie, że jak przyjadą, będzie ktoś na nich czekał, ale ten „ktoś” istniał tylko w słowach ajenta. Agent i okręt zrobili swoje. Pierwszy zapakować ich pod pokład, drugi przewiózł ich przez Ocean. Więcej do nich nie należy. Emigranci mogą sobie teraz robić, co im się podoba. Przybyli oto do wielkiego miasta, koło nich wre nieznanne życie – lokomotywy świszczą na wysokości drugiego piętra; krzyżują się omnibusy i pojazdy; tłumy ludzi białych i kolorowych latają z gorączkowym pośpiechem na wszystkie strony; ajenci wszelkiego rodzaju wrzeszczą jak opętani, a oni – ci chłopcy nasi, wśród tego gwaru, przepychów i świetności czują się jeszcze bardziej samotni i opuszczeni, niż byli na wielkiej pustyni morskiej. I znowu są na woli bożej. Ani zgadują, ile jeszcze muszą przecierpieć, nim trafi się jaki ksiądz polski, który powie im, gdzie się obrócić, gdzie poszukać roboty, gdzie znaleźć kawałek chleba.

Przedtem jeszcze chciwi właściciele bording-housów położonych blisko portu wycisną z nich grosz ostatni; jeszcze niemało nacierpią się zimna w obrzydłych suterenach różnych kwater – pierwaj jeszcze niejedyn pijany Irlandczyk, którego jako prawdziwego znawcę zadziwią tęgie pięści mazurskie, zapragnie spróbować ich siły i popodbija oczy tym biedakom, którzy bronić się nawet nie śmią z obawy, aby nie uderzyć „pana”.

Dola ich ciężka, straszna – i kto by odmalował wierny jej obraz, ten by stworzył epos nędzy ludzkiej. O tych dniach bez kawałka chleba, w których głód żelazną ręką targa wnętrzności, o nocach spędzonych w dokach pod odkrytym niebem, o snach przerywanych brzęczeniem moskitów w lecie, poświstem wiatru w zimie – łatwiej jest pisać lub słuchać, niż je odczuć lub przejść samemu... Kto im tam nie robi krzywdy? Kto nie chce. Początkowa ich historia to historia nędzy, tęsknoty, bolesnych zwątpień i poniewierki. Nie myślcie jednak, abym

wam kreślił dzieje pojedynczego jakiegoś oddziału wychodźców. Nie! Sto tysięcy blisko chłopów, których ziemia nasza wysłała na drugą stronę Oceanu, przeszło przez takie dantejskie piekło – za życia. Emigracja nasza w Ameryce nie ma żadnego podobieństwa do emigracji zamieszkującej Francję lub Szwajcarię. Ci ostatni – to wychodźcy polityczni, wyrzuceni burzami rewolucyjnymi; w Ameryce nie ma prawie politycznych polskich wychodźców. Przeważnie są to chłopci i robotnicy wychodzący za chlebem. Zrozumiecie więc łatwo, że w kraju zamieszkanym przez ludność bynajmniej nie sentymentalną, ale energiczną, zabiegłą, z którą współzawodnictwo istotnie trudno jest wytrzymać, los tych ludzi, mało oświeconych, nie rozumiejących stosunków tamtejszych, nie znających języka, nie wiedzących, jak sobie dać rady, istotnie musi być opłakanym.

Ameryka, a ściślej mówiąc: Stany Zjednoczone, nie są ziemią niegościnną. Ci szorstcy demokraci Jankesi, wiecznie zajęci businesssem, mają w gruncie rzeczy lepsze serca, niż się na pozór wydaje. Jest to kraj prostych ludzi i prostych uczuć. Młody i zdrowy mężczyzna usłyszy tam wprawdzie jedną zawsze odpowiedź: pomagaj sam sobie – i z głodu może umrzeć, jeśli nie potrafi iść za tą radą. Niedołężny za to starzec, kobieta, dziecko doznają tam takiej pomocy, jak nigdzie. W stosunku jednak do emigracji najszczersza pomoc prywatna byłaby niewystarczającą, a wreszcie w tego rodzaju sprawach, jak kwestia pomocy dla wychodźstwa, tylko obustronna korzyść może być regulatorem. Otóż, o ile np. napływ Chińczyków jest dla młodej rzeczypospolitej niebezpieczny, o tyle napływ białych korzystny. Biali stają się obywatelami, osiadają na roli, zamieniają pustynie w uprawne łany, zakładają miasta, wytwarzają nowe stosunki handlowe i potężny rozwój ekonomiczny. Interesem więc Unii jest popierać przyływ wychodźstwa europejskiego. Tym celem w New Yorku istnieją tak zwane domy dla emigrantów, gdzie każdy przybyły może znaleźć przytułek, pożywienie, naukę angielskiego języka i jakiegoś rzemiosła. Prace dokonywane w takich zakładach przez emigrantów idą na pokrycie kosztów ich utrzymania; po pewnym zaś czasie, gdy wychodźca przygotowany już jest do walki z życiem, opuszcza zakład i poczyna pracować na własną rękę.

Ale instytucja ta, dająca chlubne świadectwo rozumowi i sercu Amerykanów, jest wielce niewystarczająca. Naprzód, zakłady nie mogą pomieścić nawet połowy wszystkich potrzebujących przytułku emigrantów, po wtóre, uczą tylko rzemiosł, tymczasem ludność napływowa, np. polska, przeważnie ciśnie się do roli. Przy tym zakład taki jest rodzajem kurateli, jest po prostu domem zarobkowym. Mężczyźni, kobiety i dzieci pracują tam osobno, jak tego sam rodzaj ich zajęć wymaga – rodzina zatem nie może być razem. Dla tych powodów przy znanym wstąpieniu naszych włościan do podobnych instytucji, jak szpitale, domy zarobkowe itp. mała bardzo ich część z zakładów emigranckich korzysta.

Ale głównym powodem jest, że chłopci nasi nic o nich nie wiedzą. Zdarzyło mi się spotykać Polaków zamieszkałych od kilku lat w Stanach Zjednoczonych, którzy o istnieniu working-housów emigracyjnych dowiadawali się po raz pierwszy, gdy z rozmowy wypadło – z moich ust. Domy emigracyjne nie mają, jak łatwo zrozumieć, swoich agentów na wzór hotelowych, którzy by wyszukiwali w porcie nowo przybyłych.

A jednak – czy chłopci nasi nie przywożą do nowej części świata nic, co by mogło zapewnić im spokojne życie i pewny kawałek chleba? Przeciwnie. Przywożą przyzwyczajenie do przestawiania na małym, prawdziwie chłopską wytrzymałość, cierpliwość i żelazne zdrowie. Wysileniom i niewygodom, jakim z trudnością opiera się emigrant Niemiec lub Francuz, nasz chłop, przywykły chodzić boso i jadać byle jak, sypiać pod byle czym, opiera się z większą łatwością. On nie rozumie nawet potrzeby rozmaitych wygod, które pierwszy uważa za konieczność życia. Słońce go nie spali, deszcz mu nie zaszkodzi, śniegi i wiatry go nie zmrożą. W zimnym Wisconsinie lub Minnesocie nie dba o zamieć śnieżną, w półzwrotnikowym Teksasie, raz wytrzymałszy się na febrę, pracuje na spiekocie, jak Murzyn. Przy tym robotnik z niego może mniej zręczny od innych, ale wytrwalszy, korny, cichy.

II

W kraju, gdzie takie przestrzenie, jak Cesarstwo Niemieckie i Francja razem wzięte, stoją jeszcze pustkami; w kraju, którego niezmiernie zasoby mineralne i rolnicze czekają tylko rąk ludzkich, gdzie zatem praca jest zarówno cenną jak poszukiwaną, takie przymioty powinny by zapewnić pomyślność naszym osadnikom. Na nieszczęście, jeśli nawet dochodzą do niej – to krzyżową drogą. O ile stany zachodnie, z tamtej strony Missisipi, są jeszcze puste, o tyle nadatlantyckie prawie już przeludnione. Szczególniej można to powiedzieć o stanie New York i mieście tejże nazwy, do którego przybija większa część przewozowych okrętów. Tam nie ma już ani cała kwadratowego nie zajętej ziemi, rąk zaś do pracy prawie za dużo. – Przejeżdżając od Oceanu Atlantyckiego ku Wielkim Jeziorom widziałem naokół siebie kraj uprawny, podzielony na małe po większej części gospodarstwa, czyli tzw. farmy – i zaludniony do tego stopnia, że chwilami zdawało mi się, iż jestem w Belgii lub Anglii. Dotarłszy już nawet do splotu Wielkich Jezior pociąg mija ustawicznie białe domy farmerów, miasta większe i mniejsze, a niekiedy i grody, do stu tysięcy mieszkańców liczące. W miarę posuwania się ku zachodowi ludność rzednieje, ale z wolna miejscami staje się nawet znowu niezmiernie gęsto osiadłą. Granica Dalekiego Zachodu, czyli Far Westu, z każdym rokiem oddala się od Atlantyku. Ohio, Indiana, Illinois z ogromnym Chicago są stanami mocno jeszcze zaludnionymi. Zachodni brzeg Missisipi również już został przekroczony przez pionierów, a ziemie puste, stepowe, dziewicze zaczynają się dopiero na zachodniej Ukrainie Jowy, o kilkanaście dni drogi wozowej od koryta Missouri. Tu dopiero podróżnik, który na próżno dotychczas upatrywał stepów opisywanych przez Coopera, znajduje, czego szukał. Domów przydrożnych nigdzie już nie widać na widnokręgu, a oko gubi się w niezmiernym, bezbrzeżnym stepie, na którym wiatr migoce barwami tysiącznych kwiatów. Łby bawole poprzybijane na stacjach kolejowych i olbrzymie, wypchane, szare niedźwiedzie strzegące drzwi budynków okazują, jacy są mieszkańcy tych przestrzeni. Wszystko tu zdradza krainę pierwotną i dziką. Z okien wagonu można świtaniem dostrzec antylopy skaczące w bujnych trawach lub dzikich czerwonych jeźdźców z piórami pozatykanymi we włosy, harcujących za zwierzyną. Gromady kopców usypanych przez pieski ziemne są jedynymi miastami, przez które przejeżdża się poza Omaha. Jest to prawdziwa pustynia, prawdziwy ocean traw. Upływają dnie i noce, a step nie kończy się, w miarę tylko jak zbliżamy się do Rocky Mountains, czyli Gór Skalistych, wznosi się nieznacznie coraz wyżej i wyżej, tak że stacja Shennan leży już 8242 stóp nad poziom morza, czyli na granicy wiecznych śniegów. Olbrzymie drzewiane galerie pokrywają też drogę w tych miejscach, która inaczej byłaby zasypana śniegami. Ale Góry Skaliste nie są granicą, jeno tylko kością pacierzową pustyni. Gdy pociąg wydostanie się na koniec z tego świata granitów, z tych kanionów, kamiennych gardzieli, urwisk, złamów i przepaści, gdy minie Góry Skaliste i sploty Wasaeru, wjeżdża w pustynię jeszcze dzikszą. Dopiero w Utah trafia na Ogden, większą osadę ludzką, zamieszkaną przez mormonów a leżącą niedaleko ich stolicy Salt Lake City. Ale Ogden i Salt Lake City to tylko oazy, reszta zaś kraju pusta. Nigdzie nawet nie zdarzyło mi się widzieć pustyni równie głuchej i jeśli rzec można, równie groźnej w swoim majestacie. Z tamtej strony Gór Skalistych to przynajmniej step szumiący falą traw – z tej strony, aż do Sierra Nevada, to pustynia biblijna, bezpłodna, skalista, na której łysa ziemia poci się solą, a widnokrąg, zamknięty jakoby zwałiskami jakichś murów, przypomina krajobraz z piekła Danta w ilustracjach Dorego. Te stopy, kaniony, góry i pustynie to tak zwany Far West – Daleki Zachód. Ludność całej środkowej Europy mogłaby się w nim pomieścić, a z jego bogactw rolniczych i mineralnych drugą taką cywilizację można by stworzyć. Ziemia tu niczyja. Ludność rolnicza zaczyna ją zalewać powoli od strony Chicago, ale kto siada na brzegu, ten ma przed sobą zawsze ogromne przestrzenie niezamieszkałe. Na owych brzegach też każdy może stać się właścicielem. Ale długo nacierpi się nasz chłop, nim zrozumie radę rzuconą mu na wschodzie od niechcenia:

– Go to the Far West. Idź na Daleki Zachód, a znajdziesz ziemię i robotę. Pominąwszy już jednak to, że aby iść na Daleki Zachód, trzeba najprzód wiedzieć, że on istnieje, o czym nowo przybyły nasz chłop nie ma żadnego pojęcia – iść tam niełatwo. Sama podróż koleją z New Yorku do Chicago, choćby emigranckim tylko pociągami, więcej prawie kosztuje niż z Hamburga do New Yorku. Potem i przybywszy już na ziemię nie zajęte trzeba mieć pługi, siekiery, kosy, wozy, konie, muły, broń przeciw dzikim zwierzętom, ziarno na zasiew, słowem: cały tabor osadniczy. Tymczasem chłop nasz, z którego ostatni grosz wyciśnięto w New Yorku, albo wcale nie może się na Daleki Zachód wydostać, albo jeśli się wydostanie, wówczas wobec tych pustyni i niebezpieczeństw ujrzy się samotnym i bezbronnym. Historia liści wśród burzy zaczyna przybierać obrót tragiczny. Jednakże pod groźbą głodowej śmierci większość wychodźców musi wydostać się z przeludnionych wybrzeży Atlantyku w głąb kraju. Tam nie tylko o ziemię łatwo, ale i rąk większa potrzeba, więc i praca gotowa. Pochód to jednak krzyżowy. Dziś zapewne jest lepiej nowo przybyłym, niż było dawniej. Dziś wychodzą już w Stanach Zjednoczonych gazety polskie, które o biedzie mogą rozgłosić; istnieją stowarzyszenia zarządzające składki w nagłych wypadkach, ale i dziś, nim słońce zejdzie, rosa częstokroć oczy wyjada, nim zacznie się żyć własnym zapracowanym kawałkiem chleba, długo żyje się boleścią, gorzkimi łzami... i wiele liści burza rozwieje na marne, nim reszta padnie koło jakiego polskiego kościółka na dalekich stepach Wisconsinu, Illinois, Teksasu lub Nebraski.

III

Wspomniałem, że prawie wszyscy przechodzili przez podobne koleje. Ale w Stanach Zjednoczonych jest przysłowie, że kto do nich przyjedzie, ten pierwszego roku łaje je, w drugim zacząć je poznawać, w trzecim kochać. Prawdę tego przysłowia stwierdziłem poniekąd na sobie samym, o Polakach zaś zamieszkałych już od dawna w Stanach powiem tylko tyle: emigrantowi żyjącemu we Francji lub Szwajcarii można, co się chce, powiedzieć na Francję lub Szwajcarię, ale byłoby niebezpiecznym wobec amerykańskiego osiadłego Polaka mówić źle lub pogardliwie o Stanach Zjednoczonych. Nie przestaje on kochać swojej starej ojczyzny, ale po Polsce kocha najwięcej Stany Zjednoczone. Nie ma w tym nic dziwnego. Polak we Francji pozostanie zawsze emigrantem, ta zaś szeroka ziemia uzna go od razu za swego. Nowo przybyły przychodzi do sędziego stanowego oświadczając mu, iż pragnie zostać obywatelem Unii. Odpowiedź krótka i zawsze jednakowa: All right! Sędzia czyta oświadczenie, na mocy którego nowo przybyły zrzeka się dawnego poddaństwa i przywilejów szlacheckich, jeśli takowe posiada – i wszystko skończone. Od tej pory jest się pod opieką gwiazdzonego sztandaru, jest się u siebie; nie w obcym, ale w swoim kraju. Po pięciu latach ma się prawo głosowania, zostania deputowanym, senatorem, ministrem, słowem, posiada się wszystko, co posiada zupełny obywatel Stanów. Wprawdzie ten, kto się nie urodził na amerykańskiej ziemi, nie może zostać prezydentem Unii, wierząc mi jednak, że nasz zwyczajny sobie Maciej lub Bartłomiej mało ma do tego pretensji.

Zresztą korzysta ze wszystkich praw. Inne ziemie dają tylko przytułek – ta ziemia uznaje za syna i daje prawa. To odwrotna strona medalu, na którego pierwszej odmalowałem nędzę wychodźców. Kto raz tę nędzę przeżył, kto po nadludzkich usiłowaniach zdołał się wydostać z przeludnionych miast portowych na farmy lub miasta dalszego Zachodu, temu już doła łatwiejsza. Wielu z nowo przybyłych osiada po miastach, zwłaszcza takich, które dopiero rosną, gdzie zatem budzące się potrzeby ludzkie i powstający z nich przemysł wymaga mnóstwa rąk. Czynią to zwłaszcza ci, którzy w domu już należeli do klasy wyrobniczej.

Ponieważ w stanie wspomnianego rozrostu, zatem i potrzeby rąk, znajdowały się aż do ostatnich czasów szczególnie miasta leżące nad splotem Wielkich Jezior: Superior, Michigan, Huron, Erie i Ontario, tam przeto głównie grupują się polscy robotnicy. Pełno też ich w Buffalo, Detroit, Chicago i Milwaukee. Głównym ogniskiem polskim jest Chicago, położone

w państwie Illinois, nad olbrzymim jeziorem Michigan. W mieście tym liczącym blisko pół miliona mieszkańców, ma się znajdować około dwadzieścia tysięcy naszych rodaków. Sądząc z przestrzeni miasta, jaką zajmują, a jaką Niemcy tamtejsi zowią szydyczko: Polakei, cyfra ta nie wydaje się przesadzoną. Najwięcej Polaków osiadło nabywszy nieruchomości przy ulicy Milwaukee Avenue. Gdy w czasie mej podróży przybywszy o świcie do Chicago udałem się do tej części miasta, chwilami wydawało mi się, że jestem w Polsce. Poranne słońce wstając z wód Michiganu, rozświecało nazwiska i napisy polskie na sklepach. Tylko niezmierna, niewidzialna w Europie ilość drutów telegraficznych pouczepianych do słupów lub narożników, a na koniec widok nieprzejrzanego jeziora psuły złudzenie. Tymczasem słońce podnosiło się coraz wyżej. Domy i okna poczynały się otwierać i złudzenie znów wróciło, bo pierwsze słowa, jakie usłyszałem, były wymówione po polsku. Po kilku minutach dalszej drogi ujrzałem kościół Św. Stanisława Kostki, wzniesiony na rogu Noble street i Bradley. Około ósmej rano zaroily się tłumy dzieci podążając do szkoły położonej przy kościele, a utrzymywanej przez księży. Dziwne wrażenie robił na mnie ich szczebiot, na którym, mimo iż dzieci uczą się w polskiej szkole, nieprzeparty wpływ angielszczyzny odbijał się już wyraźnie.

Gdy dzieci nikły we drzwiach szkoły, poszedłem dalej zobaczyć drugi kościół, między Milwaukee Avenue a Division street. Jest to jednak tylko jakoby filia poprzedniego, który coraz wzrastającej liczbie Polaków nie mógł wystarczyć. Na nieszczęście, nową budowę wkrótce zabrano za długi. W przeciwnej stronie miasta, południowo-zachodniej, osiadła także dość znaczna liczba Polaków. Spójnią dla wszystkich są stowarzyszenia polskie, których celem jest dawanie pomocy nowo przybyłym, obrona swych członków przed obcymi wpływami i podtrzymanie ducha narodowego. Jest tych stowarzyszeń dziewięć, ale siedm z nich nosi charakter czysto kościelny. Świeckie noszą nazwy: Gmina Polska i Towarzystwo Kościuszki. Na nieszczęście, wszystkie, razem wzięte, nie idą często zgodnie, w czym pisma tamtejsze polskie: „Gazeta Polska Katolicka” i „Gazeta Polska Chicagowska”, dają im pierwszy przykład, a co w czasie wyborów szkodzi kandydatom polskim i osłabia wpływ, jaki Polacy w państwie Illinois ze względu na swą liczbę mieć by mogli.

Drugim ogniskiem, w którym skupiła się licznie ludność polska, jest Milwaukee w państwie Wisconsin, nad brzegiem jeziora Michigan. Liczba Polaków tu zamieszkałych ma dorównywać tejże w Chicago, w ogóle zaś Polacy tamtejsi, jako dawniej osiedli, lepiej się mają od zamieszkałych w innych miasteczkach. Istnieją tu dwie szkoły: wyższa i elementarna. Stowarzyszenia wszystkie noszą charakter kościelny.

W tymże stanie Wisconsin leży Norheim, kolonia wśród ogromnych lasów ledwie cokolwiek przetrzebionych. Ziemia zajęta przez tę kolonię nabyta była bardzo tanio lub zajęta na prawach osadniczych. Później, gdy okolica zaczęła się ożywiać pod względem handlowo-przemysłowym i rolniczym, ceny gruntu podskoczyły nagle w górę, skutkiem czego dawni osiedleńcy znaleźli się w posiadaniu dość znacznych majątków. Ludność chłopska zostaje tu pod zarządem duchownego, który zarazem jest dyrektorem szkoły liczącej 90 słuchaczy. Norheim stanowi jedną parafię z sąsiednią osadą Manitowoc, w którym istnieje kolegium polskie podtrzymywane przez rząd Wisconsinu.

W New Yorku ma się znajdować około 8 tysięcy Polaków. Mieli oni tu swój organ, „Kurier Nowojorski”, który niedawno przestał wychodzić. Prócz tego w każdym ze znakomitszych miast mieszka większa lub mniejsza liczba Polaków połączonych to w towarzystwo świeckie, jeśli członkowie stanowią przeważnie tzw. inteligencję, lub kościelno-parafialne, jeśli składają się z włościan i wyrobników. Cytowanie podobnych wielkich miast, każdemu znanych z geografii, uważam za zbyteczne, pozwolę sobie natomiast wymienić wszystkie takie, w których istnieją zupełnie uorganizowane osady i w których ludność polska w stosunku do ogólnej gra jakąkolwiek rolę. Te ostatnie są następujące: Detroit (Mich.), Pittsburg (Pa.), Calomet (Mich.), Lemont (Illin.), Lykens (Pa.), St. Paul (Min.), Shamokin (Pa.). Berca

(Oh.), Polonia (Wisc.), North Creek (Wisc.), Piane Creek (Wisc.), Beaverdam (Wisc.), Stevenspoint (Wisc.), Teresa (Wisc.), Nortporth (Wisc.), Oshkosh (Wisc.), Princetown (Wisc.), Greenbay (Wisc.), Kraków (Mo.), Radom (Ill.), La Sale (Illin.), Dunkirk (N.Y.), Dellano (Min.), Farrisbonnd (Min.), Winona (Min.), Shenahdoah (Pa.), Nauticoce (Pa.), Toledo (Oh.), Cleveland (Oh.), Cedar Rapids (Mich.), Bay City (Mich.), Jeffersonville (Indiana pod księdzem Moczygębą), Otis (Ind.), Lanesville (Ind.), Panna Maria (Teks.), San Antonio (Teks.), Cottage Hill (Teks.) Mulberry (Teks.), Bluff (Teks.), Bandera (Teks.), Platonia (Teks.), Planiersville (Teks.), a na koniec dwie jeszcze, świeżo założone: Waren Hoino w Arkansas i Nowy Poznań w Nebrasce.

W niektórych z tych miast i miasteczek żyją Polacy we wspólnej organizacji z Czechami (Lemont Ill.), w innych nawet z Irlandczykami (Calomet, Mich.). Czysto polskie osady są Radom w Illinois, Kraków w Missouri, Polonia w Wisconsin i Panna Maria w Teksas. Są to większe lub mniejsze miasteczka rolnicze mające po kilkaset rodzin, szkoły, kościoły i własny samorząd, na podobieństwo wszelkich innych gmin amerykańskich. Charakter ich w ogóle jest do tego stopnia polski, że prawie w niczym nie różnią się od leżących w Polsce. Trafiają się tam nawet i Żydzi, lubo nie w takiej ilości jak u nas, albowiem bardziej ich nęca wielkie rynki handlowe. Żydzi polscy, których w Ameryce spotkałem, byli to w ogóle ludzie dostatni. We wszystkich większych miastach jest ich mnóstwo, w ogóle zaś dochodzą do majątków. Amerykanie, dawno już osiedli, nazywają greenhornami (nowicjuszami) świeżo przybyłych i zwykle wyzyskują ich na każdym kroku, tymczasem nasz polski Żyd, dzięki wrodzonemu sprytowi do interesów i rzutkości, przybywszy do New Yorku np. w niedzielę, w poniedziałek zaczyna zaraz handelek, a we wtorek zdarza mu się wyprowadzić już w pole najbardziej szczwanego Amerykanina, jeżeli tenże chciał go oszukać. Trafia tu kosa na kamień, stąd też nazwa Polish Jew (polski Żyd), budzi w spekulantach amerykańskich dość uzasadnioną obawę. Żydom naszym z powodu ich sprytu, znajomości języka niemieckiego i ruchliwości handlowej wcale nieźle się dzieje w Stanach Zjednoczonych i wcale nie przechodzą przez takie cierpienia, jak np. chłopci. W nowoodkrytych kopalniach, gdzie ludność awanturnicza szybko poczyna się gromadzić, gdzie panuje jeszcze nóż, rewolwer lub straszliwe prawo lynch, gdzie kupiec amerykański niechętnie się udaje z obawy niebezpieczeństwa dla towaru i życia, pierwsze sklepy otwierają zwykle Żydzi nasi. Grzecznością, dobrym słowem, a przede wszystkim kredytem ujmują oni sobie zwykle najgroźniejszych awanturników lub regulatorów²⁵, a zjednawszy raz dla siebie ich rewolwery, handlują już pod ich opieką bezpiecznie. Zyski za to w takich miejscowościach, gdzie górnik zamiast pieniędzmi płaci na oko proszkiem złotym, są ogromne. Widziałem istniejące w tych warunkach sklepy naszych Żydów w Dedwood (Wyoming), w Darwin (Kalifornia), Virginia City (Nevada). Właściciele ich w ciągu kilku może lat staną się milionerami. W ogóle, gdy rozważę położenie ludności żydowskiej w Stanach Zjednoczonych, dochodzę do wniosku, że o ile emigracja chłopska jest i dla kraju i dla samychże chłopów niebezpieczna, o tyle wychodztwo Żydów jest rzeczą dla nich korzystną. W naszych miasteczkach istnieją setki rodzin żydowskich nie mających z czego żyć i trudniących się tylko szkodliwym, nieprodukcyjnym pośrednictwem, tam zaś, gdzie z gołymi rękami, byle z obrotną głową, można dojść do majątku, gdzie wiele gałęzi handlowych nie zdołano jeszcze rozwinąć, otworzyłoby się dla nich szerokie pole dobrobytu i zysków. Nie mogę jednak zatrzymywać się nad tym przedmiotem dłużej i wracam do osad polskich. Wspomniałem, że Radom, Panna Maria itp. nie są miasteczkami ściśle handlowymi. Mieszkańcy ich zajmują się przeważnie hodowlą bydła i uprawą roli. W Illinois, Wisconsin i w Indianie – sadzą kartofle i sieją pszenicę jak w Polsce, w gorącym Teksasie – kukurydzę lub nawet bawełnę. Stan ich, daleki od dostatków i w ogóle dość mierny, zaspokaja jednak ich potrzeby, a dochody wystarczają na wznoszenie kościołów, zakładanie szkół i opędzanie wy-

²⁵ Tak nazywają wykonawców prawa lynch.

datków gminnych. Dawniejsi osiedleńcy, jeśli są ludźmi rządnymi, żyją nawet we względnym dobrobycie. Najłatwiej do pewnej zamożności dochodzą ludzie żonaci, a zwłaszcza mający dużo dzieci, albowiem w Stanach Zjednoczonych, gdzie praca drogo kosztuje, dzieci, byle trochę podrosły, są prawdziwym dobrodziejstwem dla osadnika. W miastach znaczną część ludności polskiej stanowią robotnicy żyjący z zarobku dziennego po fabrykach. Są oni znacznie ubożsi od robotników amerykańskich, niemieckich, angielskich lub szkockich. Jednakże, gdy interesa w całych Stanach idą dobrze, żyją oni lepiej, niż żyli w Polsce, a oszczędniejsi dochodzą nawet do spokojnego kawałka chleba. W wielu pomieszkaniach tamtejszych polskich robotników widziałem podłogi pokryte całkowicie, wedle zwyczaju amerykańskiego, dywanami; w tak zwanym „parlorze”, czyli bawialni, nie brakło krzeseł na biegunach, na obiad zaś podawano bifszyk i porter albo mięsne puddingi. Zastrzegam jednak zawsze, że piszę o tych tylko, którzy mieli dość zdrowia i hartu duszy, by przetrzymać nędzę początkową. Z drugiej strony, i ci nawet, szczęśliwi, w chwilach zastoju handlowego lub bankructw fabrycznych tracą robotę i wpadają w bardzo trudne położenie. Sprowadza to częstokroć nowe wychodztwa w okolice, w których business idzie lepiej, albo przenoszenie się ludności miejskiej na osady rolnicze. Za czasu mej bytności powstały w ten sposób dwie nowe kolonie polskie: Nowy Poznań w Nebrasce i Waren Hoino w Arkansas. Temu ostatniemu jednak, założonemu w złych warunkach, nie przepowiadano długiej przyszłości.

Z tego, com dotąd powiedział, widzimy, że Polacy żyją rozproszeni w całych Stanach, od Oceanu Atlantyckiego do Spokojnego i od Zatoki Meksykańskiej aż po Rzekę Św. Wawrzyńca, czyli na przestrzeniach tak rozległych, jak cała Europa. Spójnię dla wszystkich stanowią stowarzyszenia znoszące się wzajemnie, pisma periodyczne, których niedawno wychodziło cztery, obecnie zaś trzy²⁶ wychodzi w Chicago – i wydawnictwa puszczane w świat przez księgarnie polskie założone w Chicago, Milwaukee i Detroit. Główną jednak siłą podtrzymującą jaką taką jedność moralną jest Kościół i przewodniczący polscy księża. Kościół grupuje wokół siebie przewodniczących robotników lub chłopów i wytwarza coraz nowe parafie; ksiądz żeni, chrzci, grzebie, a przede wszystkim uczy. Duchownemu nie tylko przynosi to dochody, ale daje mu wpływ polityczny, on bowiem rozporządza głosami swoich owieczek. Taki stan rzeczy może się komuś nie podobać, co mu jednak nie przeszkadza istnieć. Być może nawet, że przewaga wpływu czysto kościelnego sprowadza pewną wyłączność i zacieśnienie granic polsko-amerykańskiej gminy, usuwa bowiem np. protestantów, których wielu znajduje się między Ślązakami lub Mazurami pruskimi. Z drugiej strony jednak, należy wyznać, że ogół ludności skupia, wytwarza z niego społeczne jednostki, nie daje mu rozpraszać się i ginąć marnie między obcymi żywiołami, a na koniec staje się wyłączną opieką dla takich nowo przybyłych, których losy skreśliłem na początku niniejszego szkicu.

²⁶ „Gazeta Polska Katolicka” pod redaktorem Barzyńskim, „Gazeta Polska Chicagowska” pod Dyniewiczem i „Orzeł Polski”.

IV

Przy zakładaniu nowych osad rozwijają duchowni szczególnie pożyteczną działalność. Zdarza się częstokroć, w większych zwłaszcza miastach amerykańskich, że ludność robotnicza objawia nagle dążność do zamienienia życia w rękodzielniach na pług i siekiere pionierską. Przyczyną tego bywają bezrobocie, zaburzenia lub zastój w interesach, bezpośrednio zaś brak roboty. Życie osadnika, jakkolwiek z początku trudne, pewniejsze jest jednak niż wyrobnicze. Zająwszy ziemię na prawach klemowych, z wypłatą na lat dziesięć po dolarze i pół od akra, lub nabywszy takową również na częściową spłatę od kolei żelaznej dochodzi się zawsze w Stanach po przecierpieniu pierwszych bied do posiadania własności i spokojnego kawałka chleba. Ale oczywiście pojedynczy człowiek nie może osiadać z dala od ludzi, na pustyni. Potrzebną tu jest działalność wspólna; potrzeba, żeby wybierała się na raz znaczna partia ludzi gotowych wspierać się solidarnie. Wobec tego koniecznym jest dla jedności działania pewne przywództwo; rodziny zatem mające zamiar zakładać osadę wybierają sobie zwykle jednego lub kilku pełnomocników, którzy jeżdżą naprzód oglądać grunta, prowadzą o nie układy z zarządami kolei żelaznych, starają się uzyskać możliwie najlepsze warunki, a na koniec rozdzielają nabyte przestrzenie. Przy osiadaniu na ziemiach rządowych pośrednictwo takie mniej jest potrzebne, ziemia bowiem rządowa jest właściwie niczyją i wedle prawa można na niej osiąść bez poprzednich z kimkolwiek układów. Po spłacie dolara i pół z morgi w najbliższym Wydziale Gruntowym (Land Office), a nawet po spłacie pierwszej raty uważa się taka ziemia już za prywatną własność. Należy więc tylko przy osiedleniu się zachować pewną ostrożność, by wypadkiem nie zająć ziem, do których już ktoś rości jakiegokolwiek prawa – zresztą innych utrudnień nie ma. Osadnicy jednak wolą zwykle grunta należące do kompanii kolejowych, te bowiem, położone nad liniami drogi żelaznej więcej mają widoków rozwoju na przyszłość. W tym ostatnim razie rola pełnomocników niesłychanie jest ważną, wszystko bowiem zawisło od warunków, na jakich staje układ z kolejowym zarządem. I tak: zarząd może obiecać stację nowo budującej się osadzie, może drożej lub taniej ustąpić grunta, może rozłożyć spłatę ich na bardzo długie terminy – co wszystko zależy już od tego, jak pełnomocnicy umieją się wziąć do rzeczy. Otóż takimi pełnomocnikami dla naszych osadników są prawie wyłącznie księża i gdyby nie oni, osady, jak Radom, Częstochowa etc., nigdy by nie powstały, chłopi bowiem sami nie umieliby się nawet wziąć do rzeczy. Przy tym pełnomocnik duchowny ma tę wyższość nad świeckim, że świecki może wziąć od zarządu kubana za narzucenie osadnikom gruntów jak najgorszych lub za układ dla zarządu najodpowiedniejszy, a potem porzucić sprawę i pójść sobie, gdzie mu się podoba; duchowny zaś zostaje zwykle z osadnikami i staje się ich proboszczem, jego więc przyszły los osady bezpośrednio dotyczy. Jest to bardzo naturalne i o takiej wyższości przywódców duchownych nad świeckimi miałem sposobność przekonać się dokładnie za czasów mego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Zakładano właśnie wówczas dwie nowe osady polskie. Przywódca świecki zakupił grunta w Arkansas, nazwał założyć się mającą kolonię Waren Hoino i odmalowywując ją w złotych prawie barwach, zdołał zgromadzić do stu kilkudziesięciu rodzin. Popierała całe to przedsięwzięcie usilnie „Gazeta Polska Chicagowska” Dyniewiczza, rywalizująca bardzo zacięcie z „Gazetą Polską Katolicką”, redagowaną przez duchownych. Ta ostantia, a raczej partia jej, widząc, że „Chicagowska” popierając istotnie sprawę ważną, może pociągnąć za sobą większość, postanowiła przeciwdziałać. Z początkowania jej powstała myśl założenia jednocześnie drugiej osady polskiej w Nebrascie, pod nazwiskiem Nowy Poznań. Ponieważ chętnych nie brakło, zakupiono wkrótce grunta i Nowy Poznań przeszedł także z dziedziny zamyśłów w dziedzinę rzeczywistości. Obie gazety poczęły teraz wysławiać każda swoją osadę, nie znajdując dość słów potępienia dla przeciwnej. Nowemu Poznaniowi zarzucano, że poło-

żony jest w krainie bezdrzewnej, gdzie nie będzie z czego pobudować domów, a przy tym w okolicach pustoszonej od czasu do czasu przez szarańczę. Była nawet w tym część prawdy. Nebraska jest jednym olbrzymim stepem, na którym do dziś dnia koczują Indianie Pawnisiowie, a na którym drzewa znajdują się tylko przy rzece Platta i jej potokach. Szarańcza niszczy także często te cudne stepy. Z drugiej jednak strony urodzajność dziewiczej ziemi nagradza osadników wszystkie klęski. „Gazeta Katolicka” odpierając zarzuty twierdziła, że grunta w Arkansas pokryte są dębami, których karczunek tak długo może się pociągnąć, iż osadnicy pierwsi z głodu poumierają; dalej mówiono, że układ zawarty jest lekkomyślnie i zakupiona przestrzeń ma tylko płytką warstwę czarnoziemu, a na koniec, iż cała okolica rokrocznie zatapiana bywa przez wody rzeki Arkansas, z czego powstają zabójcze febry i inne choroby dziesiątkujące ludność. Obie strony wysyłały komisje mające sprawdzić istotny stan rzeczy, ale komisje te, złożone z ludzi należących do stronnictw, powtarzały za i przeciw wedle widoków stronnictw.

Ostatecznie jednak sprawy w Warren Hoino wzięły zły obrót. Arkansas słynie wprawdzie z urodzajności ziemi, obfitość lasów jest jedną dodatnią stroną więcej dla każdej kolonii – na koniec klimat tam nie jest tak niezdrowy, jak np. w Teksas, przekonałem się jednak, że mimo tych pomyślnych warunków osada tam założona nie miała przed sobą żadnej przyszłości. Prawdopodobnie kupno było prowadzone lekkomyślnie, ziemia wybrana nieopatrznie, działki przeprowadzane z uwzględnianiem różnych pobocznych względów, wreszcie zarząd funduszami naganny. Większa część osadników, którzy się już byli do Warren Hoina wybrali, powróciła stamtąd bardzo spieszenie, podnosząc krzyk, że została omamiona. Niektórzy wydawszy wszystkie pieniądze na drogę, a nie chcąc pozostać w osadzie, znaleźli się istotnie w bardzo przykrym położeniu. Nazwano wyprawę do Hoina wyprawą na Sybir. Krótko mówiąc, pokazuje się, że świeckim inicjatorom nowej osady wiele jest do zarzucenia. Tymczasem Nowy Poznań, który na pierwszy rzut oka nie miał przed sobą tylu danych do przyszłego pomyślnego rozwoju, stanął jednak od razu na silnej podstawie i o ile wiem, widoki jego na przyszłość z każdym dniem stają się lepsze.

Poświęciłem kilka słów historii tych dwóch osad dlatego także, żeby czytelnikom moim dać przykład, w jaki sposób powstają nowe kolonie, a zarazem, aby okazać, jak dalece jest ważną rolą i działalnością księży polskich w Stanach Zjednoczonych. Rozwaga i sumienność, z jaką np. prowadzoną była sprawa Nowego Poznania, objaśnia się niezawodnie tym, że umocowani duchowni zaraz osiedlą w osadzie, utworzą parafię – interes więc Nowego Poznania jest ich interesem, przyszła jego pomyślność ich pomyślnością. Nie twierdzą przez to, by wyłącznie tylko względy osobiste orzekały o uczciwości ich działania, ale niemniej pewnikiem jest, że dobro ogólne zawsze i wszędzie tym mocniej jest przestrzegane, im silniej i bezpośrednio wiąże się z dobrem osobistym ludzi stojących u steru.

Z tego, co dotąd powiedziałem, wypada, że jeśli u Polaków zamieszkałych w Ameryce istnieją jakieś ślady organizacji, to organizację ową wprowadzili po największej części duchowni. Zapewne, że to, co jest, nie wystarcza; osady są rozproszone po całej przestrzeni Stanów i w ogóle mało o sobie wiedzą. Pismom wychodzącym w Chicago brak korespondencji z mnóstwa osad, wskutek tego ustalenie jakichś danych statystycznych niezmiernie jest utrudnione. Prawdę powiedziawszy, nikt dokładnie nie wie, ilu Polaków zamieszkuje Stany Zjednoczone. Wiadomości podawane przez tamtejsze pisma polskie nie są oparte na żadnej pewnej podstawie, a zawsze przesadne, redaktorom bowiem chodzi, aby przedstawiać dzienniki swe jako organa wielkich partii i poczytne. Z jednej strony, ściągają im to płatne ogłoszenia kupców, stanowiące główny zysk dziennikarski, z drugiej – nadaje pewne znaczenie polityczne w czasie wyborów. Istotnie, w takim Chicago, Milwaukee lub Detroit, gdzie ludność polska gęsto jest osiadła, dla każdego kandydata niemałą rzeczą jest mieć za sobą jej głosy, które nie mogą wprawdzie same jedne na urząd posadzić, ale jeśli chodzi np. o rozstrzygnięcie między kandydatem republikańskim a demokratycznym, mogą szale na jedną lub drugą stronę przewa-

żyć. Oczywiście, kandydat chcąc mieć głosy jakiejś narodowości nie udaje się do pojedynczych osób, ale do ich dziennika, wyświadczając mu rozmaite usługi lub obiecując korzyści odpowiednie do liczby głosów – i stąd owa przesada wszystkich dzienników w podawaniu liczby swych abonentów i w ogóle współrodaków.

Z powyższych powodów cyfry trafiające się w gazetach polsko-amerykańskich, a oznaczające ludność polską na 200, 300, 500 tysięcy dusz, nie zasługują na żadną wiarę. Ustaleniem ich nikt się nie zajmuje, a wskutek tego nikt też nie ma pojęcia, jakie właściwie znaczenie mogliby mieć Polacy w Stanach, gdyby działali wspólnie.

Organizacja więc wiele jeszcze pozostawia do życzenia. O zebraniu wszystkich Polaków w jednym terytorium lub stanie i o wytworzeniu z nich potężnej jednostki społecznej nawet mowy być nie może. Podobne piałe desideria przychodziły wprawdzie do głowy Polakom – ale... nie zamieszkałym w Stanach. Ci ostatni wiedzą, że idealne owe zamiary rozbiłyby się niechybnie o względy praktyczne. Tylko jakieś nowe a rozbudzające fanatyzm sekty religijne mogą tak zbierać swych współwyznawców, jak Brigham Jung zebrał mormonów. W łonie Polaków powstała za czasu mego pobytu myśl wytworzenia sejmu i senatu, które by zaprowadziły jedność w życiu ich publicznym – ale i ta myśl okazała się po bliższym jej zbadaniu niepraktyczną.

Poza sferą religijną i społeczną działalność duchownych ma głównie na celu obronę narodowości. Cel ten zresztą stawiają sobie gazety, stowarzyszenia świeckie, gwardie wojskowe, słowem – wszystkie instytucje polskie w Ameryce. Na nieszczęście jednak na próżno. Według mego zdania Polakom amerykańskim mimo najszlachetniejszych usiłowań ze strony przywódców i ich samych grozi niechybnie wcześniejsze lub późniejsze wynarodowienie się i całkowite rozplątanie w żywiole amerykańskim. Temu wpływowi języka i cywilizacji anglosaskiej potężniejsze nawet niż polski żywioły oprzeć się nie mogą. Nikt tam nikogo nie chce amerykanizować. Nikt bezwarunkowo nic nie narzuca, każdej narodowości wolno zakładać swoje pisma, szkoły, wojsko nawet, w którym to ostatnim wypadku rząd pośredniczy o tyle tylko, że zawiązującym się gwardiom przesyła karabiny – a jednak wpływ amerykański staje się nieprzepartym. Cudzoziemcy, którzy przybywszy do Ameryki i zostawszy obywatelami żyją pod amerykańskimi urządzeniami, biorą udział w życiu publicznym, prędzej czy później przerabiają się na Amerykanów z ducha. Potem przyjęcie języka angielskiego jest już nieubłaganą koniecznością, zależną tylko od czasu. Wszystkie narodowości żyjące obok siebie muszą przecie używać jakiegoś jednego wspólnego języka, inaczej bowiem Polak np. zamieszkujący Haywood nie mógłby nigdy porozumieć się z tamże żyjącym Portugalczykiem. Oczywiście, tym wspólnym językiem towarzyskim, handlowym i urzędowym jest język angielski. Oprócz tego przybywający do Stanów Zjednoczonych Polacy, Włosi, Czesi, Hiszpanie itp. nie mają w narzeczach swoich mnóstwa wyrazów służących do oznaczenia czysto lokalnych amerykańskich pojęć, stosunków i urzędzeń; w takie więc szczyrby i szczeliny językowe wciskają się z konieczności wyrazy angielskie i rozkład ojczystego języka rozpoczyna się nieubłaganie. Rzekłbyś, język angielski wieje tam z wiatrem w powietrzu i niby jakoś niechcący wchłaniany bywa przez przybyłych z Europy.

Jest to jakby zalew, stopniowy wprawdzie, ale posuwający się bez przerwy. W Anaheim, kolonii czysto niemieckiej położonej w południowej Kalifornii, Niemcy biją dzieci za to, że nie chcą rozmawiać ze sobą inaczej, jak po angielsku. A jednak kolonia ta, leżąca wśród ludności przeważnie meksykańskiej, nie ma nawet bezpośredniego zetknięcia się z żywiołem anglosaskim. Tenże sam wpływ angielszczyzny na młodzież niemiecką widziałem i w Cincinnati, najpotężniejszym ognisku germańskim w całych Stanach. Co do Polaków, nawet duchowni, nawet redaktorowie i współpracownicy gazet nie mogli się oprzeć wpływowi angielszczyzny, jakkolwiek są to ludzie mniej więcej wykształceni, którzy bronią się mu z całą świadomością. Rzekłbym, pod wpływem angielszczyzny wytwarza się tu osobny polsko-amerykański język, którego wyrazy potoczne są polskie, wszystkie zaś terminy, wszystkie

nazwy handlowe, społeczne, urzędowe, wszystkie wyrazy mające związek ze zwyczajami, z sposobami rolniczymi, słowem, z tym w ogóle, w czym tylko różni się życie amerykańskie od polskiego – angielskie. Ograniczę się na przytoczeniu kilkunastu tylko przykładów wyjętych po największej części nie ze zwyczajnej mowy, ale z języka tamtejszych pism polskich. I tak, zamiast: kolej żelazna, znajdziesz: r a j l r o d, zamiast: bilet – t y k i e t, zamiast: kancelaria – o f i s, zamiast: statek parowy – s t y m e r, zamiast: mniejszy żaglowiec – b o t, zamiast: hipoteka – m o r g e d ż lub d e d²⁷, zamiast: wagon – k a r, zamiast: deski – l u m b e r, zamiast: płot – f e n s, zamiast: siano – h a y, zamiast: kurnik – c z y k e n j a d, zamiast: żyto – k o r n, zamiast: woźnica – t y m s t e r lub d r a j w e r, zamiast : wóz – t y m, zamiast: sklep – s t o r, zamiast: szynkownia – s a l o n, zamiast: sprawa – b i z n e s (business), Boże Narodzenie nazywa się C h r y s t m a s, sąd (budynek sądowy) – k u r t, bawialnia – p a r l o r, wozik – b u g g y, ubranie całkowite – s i u t itp. Dalej pod wpływem składni angielskiej rodzą się także wyrażenia, jak: d z i e c k o t y l e a t y l e l a t s t a r e, robić życie; człowiek w a r t t y l e a t y l e d o l a r ó w; robisz mnie śmiać się; nie słyszałem ni k o g o m ó w i ć; w c z o r a j s z e p a p i e r y p i s a ły; fuliszujesz mnie; w e l l, drogi panie! C e r t a i n l y, k o c h a n y p a n i e! e t c.

Jednakże pisma przestrzegają czystości języka. Księgarnie Barzyńskich, Dyniewiczza i Piotrowskiego sprzedają książki polskie, stowarzyszenia starają się prowadzić swe sprawozdania w najlepszym języku, słowem, na dobrych chęciach i patriotyzmie nie zbywa Polakom, ale język ich, oderwany od pnia macierzystego, musi psuć się, rozkładać, zmieniać ducha pierwotnego i przerażać się tak, jak przeraża się przesadzona na obcy grunt roślina.

Skupienie wszystkich Polaków w jednym jakimś stanie, połączenie ich w jedną całość, zakładanie urzędów własnych ochronnych mogłoby wynaradawianie się opóźnić, ale ponieważ nic podobnego nie istnieje i istnieć nie może, ponieważ Polacy żyją rozproszeni po całych Stanach, wynarodowienie więc przyszłych zwłaszcza pokoleń jest tylko rzeczą czasu. Świeży napływ wychodźstwa nie będzie także tamą, bo tak gorączka wychodźstwa jak i warunki, które tę chorobę powodują, są to rzeczy przemijające, które raz doszedłszy do najwyższego natężenia następnie słabiej. Ani w Królestwie, włączając Litwę, ani w Galicji, ani w W. Księstwie Poznańskim nie jesteśmy w położeniu Niemiec lub Anglii, które corocznie muszą wyrzucić gdziekolwiek nadmiar swej ludności pod groźbą nędzy i klęsk głodowych – więc i namowy agentów emigracyjnych nie znajdą u nas nigdy podstawy opartej na czymś istotnym, przedmiotowym. Mówiąc nawiasem, dla nas jest to okoliczność nader pomyślna. Z mniejszym jednak napływem przesiedleńców wynaradawianie dawniejszych będzie postępowało coraz szybciej. Przy tym wszelkie wychodźstwo składa się przeważnie z mężczyzn, którzy nie znajdując dość swoich kobiet, biorą żony z miejscowego otoczenia. Otóż nie znam ani jednego Polaka żonatego z Amerykanką, którego by dzieci umiały po polsku. Nie wyłączam nawet i inteligencji. Jest to nieuniknione. Dzieci takie nie mogą już czytać pism i książek polskich, a choćby nawet nauczyły się po polsku, nie będzie to już ich język domowy. Osady czysto polskie, jak Radom lub Częstochowa, a zwłaszcza zakładane na pustyniach, z dala od wielkich miast, jak Nowy Poznań w Nebrasce, będą zapewne trzymały się dłużej, może nawet bardzo długo jeszcze, ale z upływem lat i te czeka los wspólny. Dodajmy do tego, że w ogóle ludność uboższa dostaje się nieodmiennie pod wpływ bogatszej, a Amerykanie miejscowi bogatsi są od Polaków. Wszystko więc składa się przeciw najlepszym ich chęciom. Ta cząstka krwi polskiej rozplynie się prędzej czy później siłą nieprzemyślnych okoliczności w krwi obcej. Płonka zaszczipiona na innym pniu w inne przerodzi się drzewo. Pamiętajmy, że żyje tam dopiero pierwsze pokolenie. To się jeszcze oprze. Ci, co urodzili się w kraju, nie zapomną go ani nad Wielkimi Jeziorami, ani nad Oceanem Spokojnym – i wiary mu dochowają. Osadnicy w Illinois i Teksas przechowują jakby relikwie grudki ziemi polskiej, które wkładają także zmar-

²⁷ Pisownię tych angielskich wyrazów zachowuję polską, to jest taką, jakiej używają tamtejsze dzienniki nasze.

łym do trumien, pod głowę lub na piersi. Chłop polski kocha więcej ojczyznę, niż sam wie o tym. Dziś niejeden z nich klepiąc oselką kosę na stepach Nebraski lub Arkansasu zaduma się, a często i zapłacze, bo mu ten dźwięk rodzinną wioskę przypomni. Dziś jeszcze, gdy gdzieś pod gorącym niebem Teksasu ozwą się organy w kościele, a ludzie zaśpiewają: „Święty Boże”, oczy im zachodzą łzami, a owe myśli chłopskie przelatują jakoby mewy Ocean – i wracają do Polski pod strzechy ojczyste.

Ale przyszłe, drugie, trzecie, czwarte pokolenia? Ale zrodzone z Niemek, Irlandek i Amerykanek dzieci? Prędzej czy później zapomną, zmienią wszystko aż do nazwisk, które dla angielskich zębów do zgryzienia za trudne, przeszkadzają w businessie.

W jakim przeciągu czasu to się stanie, dziś trudno oznaczyć – jednakże to los nieunikniony, choć smutny, że jak dawniej, wedle królewskiej przepowiedni, Rzeczpospolita, tak dziś rozproszone po całym świecie jej dzieci idą in direptionem gentium.

CHIŃCZYCY W KALIFORNII

PRZEZ LITWOSA

San Francisco • Dzielnica chińska • Sklepy • Widok ulic • Świątynie • Wnętrze świątyni • Posąg Buddy • Modlitwy • Buddaizm • Przyczyny rozszerzania się buddaizmu w niższych warstwach narodów azjatyckich • Nirwana • Stopniowe skażenie buddaizmu • Ogólny jego charakter • Różnica w Indostanie a w Chinach • Praktyczność Chińczyków • Niepowodzenie propagand chrześcijańskich • Teatr chiński w San Francisco • Sztuka z dalszym ciągiem • Domy gry • Domy tymczasowego przytułku • Policja i Chińczycy • Moralność • Brak kobiet • Poliandria • Kompanie chińskie • Monopol • Najem równy niewolnictwu • Postrach • Co robią Chińczycy? • Ludność miejska i wiejska • Ogrody warzywne na krańcach San Francisco • Najemnicy chińscy w gospodarstwie ogrodowym • Ludność górnicza • Nędza jej • Kłemy górnicze • Ludność miejska • Wszelkie rodzaje usług • Spadek cen • Praca Chińczyków • Pożytki ich • Złe strony • Konkurencja z ludnością białą wyrobniczą • Agitacja antychińska • Rozruchy w San Francisco • Meetingi • Prasa w kwestii chińskiej • Drobnikupcy, drobniprzemysłowcy • Chińczycy i prawo obywatelstwa • Ograniczony przypływ białej emigracji • Pierwiastek antydemokratyczny • Środki powstrzymujące żółtą emigrację • Komisarz chiński • Zakaz wywożenia zwłok • Kwestia chińska • w stosunku do ogólnej konstytucji Stanów • Przyszłe niebezpieczeństwa • Kongres

Północną stronę miasta San Francisco, począwszy od ulicy Clay, zajmuje dzielnica chińska. Gdyby nie kamienice budowane w stylu europejskim, zwiedzającemu te część miasta mogłoby się wydawać, że cudem jakim został przeniesiony do Kantonu lub Szanghaju. Dziwne wrażenie robi tu ta ludność gwarna i ruchliwa, ubrana w jednakowe kostiumy, o cerze żółtej, skośnych oczach i długich, sięgających ziemi warkoczach, uplecionych z włosów i czarnego jedwabiu. Dzielnica, szczególnie w godzinach południowego targu, przedstawia bardzo ożywiony widok. Chodniki mrowią się wówczas dosłownie od kupujących i sprzedających, sklepy czysto chińskie z wyrobami przemysłu chińskiego i napisami chińskimi, otwarte na rozcież, ściągają gości. Na każdym kroku spotykasz tu rzeczy nowe i niezwykłe; tu sklep złotnika chińskiego: brązowe smoki wystawione w oknie zdradzają jego zajęcie; tu znów apteka: stary Chińczyk, aptekarz a zarazem i doktor, przyprawia jakąś miksturę przypatrując się jej przez złote okulary; obok sklep z porcelaną i palmowymi wachlarzami, dalej traktiernia: przez okna widać kucharzy ubranych białą, z warkoczami okręconymi koło głowy, jak skacząc koło stołu, na kształt marionetek, krają w ten sposób ciasto przeznaczone do gotowania. W przyległej golarni pięciu czy sześciu Chińczyków kłęczą przed golarzami, z głowami

opartymi o ich kolana, a ci podnosząc jedną ręką warkocze swych pacjentów, drugą wodzą ostrożnie brzytwami po wypukłościach ich czaszek. W fajczarniach starzy i młodzi Chińczycy palą w maleńkich metalowych fajeczkach tytoń, a może nawet i zakazane opium. Na ulicach wrzawa coraz większa; pracowici kulisowie noszą na długich bambusowych drągach poprzywiązywane po obu końcach kosze z ogrodowizną, pęki trzciny cukrowej, banany lub ryby morskie dziwacznych kształtów. Przed domami stoją Chinki ubrane w pantalone, z włosami uczesanymi w motyla, z brązowymi szpilkami pozatykanymi we włosach. W części słychać krzyki i nawoływania w dziwacznej mowie, której jednozgłoskowe dźwięki podobne są czasem do westchnień lub kląskan. Białej ludności niewiele się tu spotyka, po rogach ulic tylko stoją poważni policjanci, ubrani w szare surduty, ze srebrnymi gwiazdami na piersiach – wreszcie cywilizację swojską przypominają chyba omnibusy, ciągnięte bez koni i pary przez niewidzialne łańcuchy po wzgórzach zalegających całą dzielnicę.

Sklepy amerykańskie rzadko tu się trafiają, na wszystkich innych widać napisy chińskie, których cudaczne litery kreślone w prostopadłe wiersze odbijają na czerwono lakowanym papierze. Ale nie byliśmy jeszcze w miejscach najciekawszych. Oznaczają je latarnie porobione z laki i różnokolorowego papieru. To świątynie buddyjskie. Przed każdą z nich wisi pięć lub sześć takich latarni, aby wyznawcy mogli na pierwszy rzut oka odróżnić świątynię od innej zwykłej kamienicy. Wejdzmy do środka, przystęp tu dozwolony każdemu. Teraz już jesteśmy w Chinach naprawdę. Obszerny pokój obrócony na świątynię oświetlony jest przez kolorowe lampy i różnokolorowe szyby. Po kątach jego stoją jedwabne parasole osadzone na długich rękojeściach, chorągwie ze słońcami, księżycami i smokami lub dłuższe drągi, na których wierzchnim końcu osadzone są brązowe emblematy nieokreślonych kształtów, podobne czasem do fantastycznych kwiatów, zwierząt lub przedstawiające chaotyczną mieszaninę jednych i drugich. Różnobarwne światło szyb i lamp rzuca pewien tajemniczy blask na całą nawę. W środku jej wznosi się pierwszy ołtarz, rodzaj niezbyt wysokiego, ale wielkiego stołu, na którym stoją dwa wysokie na dwie stopy srebrne smoki, w środku zaś piramida brązowa o nieokreślonych kształtach, pokryta inkrustacjami mającymi postacie zwierząt i ludzi. Piramida ta jest zarazem sanctuarium, w którym chronią się święte księgi Buddy; główny jednak ołtarz wznosi się w głębi świątyni. Tam, w mroku tajemniczym, a rozświetlanym tylko migotliwym światłem dwóch łańcuszkowych lamp, wśród smoków, tygrysów i brązowych kwiatów lotusu, wychyla się spoza jedwabnych firanek posąg wielkiego Buddy. Budda przedstawiony jest w postaci siedzącej, z ręką i wskazującym palcem podniesionym do góry, jak gdyby nauczał. Włosy jego brody przechodzą przez szpary wzniesionej ręki, twarz koloru żółto-brązowego wyraża mieszaninę nudy i głupoty.

W podróży z Indostanu do Chin stracił widocznie swoją indyjską fizjonomię, albowiem oczy jego są skośne, policzki wystające, nos spłaszczony, twarz w ogóle przedstawiająca opasły typ chiński. Ubrany jest także w suknie chińskiego mandaryna, składające się z bogato haftowanej opończy, krojem podobnej nieco do ubrań moskiewskich „kuczerów”, ze spodni obwiązanych przy kostce i papuci na grubych, białych podszewkach, z nosami pozadzieranymi do góry; Przed posągiem jego, na tej części ołtarza, która w katolickim kościele nazywa się mensa, leżą małe pałeczki wyrobione z czarnego drzewa, a kształtem nieco do tkackich członków podobne. Każdy przychodzący Chińczyk bierze owe pałeczki, stuka przez parę minut ku większej chwale Buddy jedną o drugą i uważając swoją modlitwę za skończoną, wraca czym prędzej do businessu. Innych modłów w tych świątyniach, w których zresztą bywałem dosyć często, nie widziałem. Zauważyłem także, że na twarzy modlących się przez stukanie nie widać żadnego skupienia myśli, żadnego wzniesienia ich bądź ku Buddzie, bądź ku rozpamiętywaniu wielkich prawd przez niego głoszonych. Cała czynność, naprzód, trwa bardzo krótko, a po wtóre, zdaje się odbywać w sposób czysto mechaniczny, przypominający owe modlitwy bonzów za pomocą kołowrotka, na którego sprychach są wypisane modlitwy, a którego obrót powtarza je i posyła ku niebu, według pojęć bonzów, po tysiąc razy. Zresztą

świętyń tych liczy się w San Francisco kilkanaście – cała bowiem ludność wyznaje zasady buddyjskie. Między „koolis” pochodzącymi z Mongolii i Mandżurii ma się znajdować pewna liczba szamanistów – ci jednak nie mają osobnych bóżnic. Mahometan i wyznawców Konfucjusza nie ma wcale. Mahometanizm, lubo w swoim czasie propagowany dość silnie w zachodniej części Państwa Niebieskiego, a zwłaszcza w Bucharze, nie znalazł nigdy wielu wyznawców między właściwymi Chińczykami. Porywał on z łatwością gorącą wyobraźnię ludów wschodnich, rozszerzał się za władztwa Mogołów nawet w Indiach, ale treścią swoją, fantastyczną, pełną namiętności i uniesień, nie przemawiał nigdy do zimnego rozsądku chińskiego, który zdaje się być wcieleniem praktycznego pozytywizmu. Co do zasad Konfucjusza, wyznają je tylko cesarz, dwór, klasy wyższe i może oświećsza ludność stołeczna. Jest to religia urzędowa, jeżeli zasady te religią nazwać można, albowiem cała nauka Konfucjusza jest raczej wykładem o moralności. O ile przypominam sobie tytuły pięciu ksiąg pozostałych po Konfucjuszu, pokazuje się z nich, iż o właściwej teologii nie ma w całej nauce mowy. Są księgi traktujące o państwie, o szacunku dla rodziców, o pieśniach obrzędowych, o obowiązkach etc., nie ma żadnej traktującej o istocie najwyższej. Masy jednak narodu chińskiego wyznają prawie wyłącznie religię, a raczej filozofię Buddy. Jakoż będą się jeszcze garnać długo do niej wszyscy uciemienieni, wszyscy biedacy – niższe klasy w Indostanie a „koolisowie” w Chinach.

Budda – jak wiadomo – nie uznaje kast, w tym równa ludzi nie tylko w sprawach duchownych i w niebie, ale na ziemi. Dalej: życie uważa tak, jak z natury rzeczy musi na nie patrzeć biedny i zapracowany człowiek, za pokutę – za ciąg niedoli. Jest to swego rodzaju filozofia pesymizmu, która na tysiące lat uprzedziła Schopenhauera i Hartmanna. Był indywidualny, zjawiskowy i nietrwały, uważa ona za nieszczęście i przeciwstawia mu Nirwanę. Czym jest Nirwana w pojęciu buddystów? – czymś ogólniejszym od Brahmy, Sziwah i Wisznu. Względnie do Nirwany trzy te nazwy są tylko nazwami trojakiemu rodzaju zjawisk, które jako zjawiska muszą minąć i rozpląnąć się w Nirwanie. Życie jest ruchem, zatem trudem, zatem zmęczeniem – zatem męką; Nirwana jest nieruchomością, zatem spokojem, zatem spoczynkiem – zatem szczęściem. Jest ona bytem ogólnym, niebytem indywidualnym. Kropla deszczu wpadająca do oceanu łączy się z nim, przestaje być kroplą – przestaje być czymś osobnym – nie ma jej jako kropli, ale niemniej istnieje w znaczeniu ogólnym: ludzkie „ja” tak samo rozpuszcza się w Nirwanie, przestaje istnieć jako „ja”, przestaje wiedzieć o sobie, krótko mówiąc, przestaje być – będąc jednakże w Nirwanie. Wypada z tego, że Nirwana sama w sobie nie jest nicością – jest tylko nicością dla osobników.

Ten – jak kto chce uważać – wielki byt lub wielka nicość jest zarazem istotą najwyższą i niebem, dlatego też nauki Buddy nie można uważać ani za czysty ateizm, ani za deizm. Jest to po prostu filozofia nieszczęśliwych, albowiem człowieka, którego przez większą część życia kości bolą od pracy, Nirwana nie przestrasza. Przeciwnie, w krótkich przerwach między trudem a trudem, czując całą słodycz odpoczynku, ma niejako przedsmak słodczy, jaka musi płynąć ze spoczynku bezwzględniego, wiecznego, tak doskonałego, że aż zmienia się w niebyt, w nieprzerwane zapomnienie.

W ten sposób nauka Buddy, która sama w sobie jest systemem filozoficznym wyrosłym na gruncie brahmanizmu, systemem tak dobrze oderwanym, jak np. nowoczesny panteizm, który zresztą jest dzieckiem filozofii indyjskiej – przeszła do niższych kast w Indostanie i do mas niższego narodu w Chinach. Z czasem wyrobiły się formy zewnętrzne, obrządkowe, pewien rytuał kościelny – i system filozoficzny zmienił się w religię w ścisłym znaczeniu tego słowa. Owo wcielenie się myśli w obrządek, systemu wielkiego mędrca w religię mas, było rzeczą bardzo naturalną, bo – jak już wspomniałem – system ten ma swoją stronę humanitarną, bo w stosunku praktycznym do ludzkości opiera się na poczuciu niedoli w masach, bo zresztą równa ludzi – a zboliałym i zmęczonym przynosi posępną może, ale niezawodną nadzieję ulgi i spoczynku w nicości. Dziś, o ile mogłem przypatrzeć się buddaizmowi w Kalifornii, zdaje mi

się, że formy zewnętrzne przygniotły całkowicie treść jego wewnętrzną. Stało się z buddaizmem to, co o mało nie stało się z chrześcijaństwem na początku wieków średnich: symbol przedstawił się za treść, której jest symbolem, wizerunek za bóstwo, obrządek za samą religię. Przypuszczam, że dzisiejszy prosty Indianin lub Chińczyk ma o czystym buddaizmie daleko mniej pojęcia niż każdy z moich czytelników. Prosty „koolis” widzi świątynię, w niej swoje smoki, dalej brodate, opasłe bóstwo za firankami: wie, że modląc się do niego należy stukać jednym ułamkiem drzewa w drugi – więc stuka myśląc o czym innym – i na tym koniec. W ten sposób każda religia może się zmienić w bałwochwalstwo, jakóż zmienił się w nie do pewnego stopnia buddaizm – nie wiem, czy i w Indostanie, ale przynajmniej w Chinach, gdzie mogły działać także na niego wpływy szamańskie.

Właściwie mówiąc klasztory ascetyczne leżały w duchu buddaizmu, który życie uważa za pokutę, oderwanie się zaś od świata za stan względnej doskonałości i szczęścia; również w duchu nauki leżała kontemplacja, ta bowiem, przechodząc w stan ciągły, jest zapomnieniem życia – ale modlitwy skierowane do bóstwa i obrządki są w stosunku do czystego buddaizmu, biorąc ściśle teoretycznie, nonsensem – a zatem i skażeniem nauki. Modlić się do Nirwany – jest rzeczą równie głupią jak bezpożyteczną; a jednak modlitwy istnieją. Ale tłumaczy się to łatwo. Naturą, a zarazem może zagadką objaśniającą nadzwyczajny rozrost buddaizmu była łatwość, z jaką mieściły się pod zwoje jego płaszcza wszelkie religie. Indianin na przykład wyznający naukę Buddy i Nirwanę może wcale nie zrzekać się wiary w Trimurti i trzysta trzydzieści trzy miliony bóstw innych. Co więcej, sam Budda wprost nigdy przeciw wierze w bóstwa nie występował. Tak samo, jak z Nirwany wyłonił się człowiek świadomy siebie, stanowiący odrębną jednostkę, osobne „ja” obdarzone wolą – tak samo mogły wyłonić się z niej i istoty nieskończenie wyższe, potężniejsze, władające naturą całą, życiem, śmiercią, żywiołami, w stosunku do człowieka ogromne, groźne, wszechmocne i prawie wieczne. Mniejsza, że z czasem wszystko miało wrócić do Nirwany! Bóstwa mogły być i były. Skutkiem tej praktycznej możliwości nie masz prawie na świecie religii, która by się nie dała oprawić w buddaistyczne ramy, jakóż zapewne i oprawiały się u różnych narodów różne, a stąd i rozmaite formy buddaizmu modyfikowane przez religie miejscowe, przez dawne obrządki, przez usposobienia narodowe.

Nie ma np. wątpliwości, że buddaizm indyjski inny jest niż chiński. Różnicę tę zrodził charakter narodowy. Buddaizm uważający życie za pokutę zmienił się, zgodnie z usposobieniem mieszkańców, w Indostanie – w przebijający wszelką miarę ascetyzm, w Chinach – w jedną więcej podporę utylitarne go kierunku. Podczas gdy pobożny „yoghi” indyjski siadłszy na ziemi wlepia oczy w koniec swego nosa, aby tym dokładniej zapomnieć o świecie – i siedzi przez kilka lub kilkanaście lat bez ruchu – trzeźwy Chińczyk rozumuje sobie, że jakkolwiek życie jest nieszczęściem i pokutą, ale pokuta ta będzie znośniejszą, gdy będzie co jeść, pić i gdy wreszcie będzie za co kupić sobie kawałek ziemi na starość. Chińczyk więc przede wszystkim pracuje, pracuje bez wypoczynku; zbiera każdy grosz, uprawia każdy zakątek ziemi, a gdy mu pracy i ziemi nie staje we własnej ojczyźnie, pakuje w skrzynkę swe smoki i swego Buddę i jedzie za morza szukać pracy w Australii lub w Kalifornii.

Zresztą przywozi ze sobą całe swoje Chiny, nie zrzeka się bowiem nigdzie ani swej religii, ani obyczaju, ani nawet sukien. Wszelkie usiłowania propagandy religijnej między Chińczykami spełzły na niczym. Propaganda chrześcijaństwa udaje się tam, gdzie trafia na narody młode, pierwotne, pełne uczuć i poezji; w Chińczyku nie znajduje ona ani jednego z tych przymiotów. Chińczyk niezdolny jest do uniesień, do poświęceń; jest to stary, rozsądny człowiek, który choćby chciał, nie może zrozumieć, że jest cnotą, a nie głupstwem zginąć za swe zasady, poświęcić się dla kogoś lub oddać bliźniemu to, co się zapracowało. O ile wiem, misje kalifornijskie nie nawróciły ani jednego Chińczyka. Każdy z nich woli pójść do świątyni swego Buddy, postukać drewniakami i uważać się potem za zwolnionego od wszelkich innych obowiązków tak względem nieba jak i bliźnich. Ale wracam do obrazu życia Chińczy-

ków kalifornijskich, który począłem kreślić. Ze świątyni prowadzę czytelników do teatru, jako do pokrewnej, umoralniającej instytucji. Budowla, jak wszystkie budowle tutejsze zamieszkałe przez Chińczyków, nie ma w sobie na zewnątrz nic charakterystycznego. Jest to stara, jednopiętrowa, długa kamienica przerobiona na teatr. Wnętrze urządzone także na zwykły sposób: ławki, stojące miejsca – przed nimi scena. Sztuka rozpoczyna się po ósmej, ciągnie się późno w noc. Widzowie zbierają się, jak mogą najwcześniej. Sahiemu niebezpiecznie tu iść, łatwo bowiem stracić zegarek, pieniądze, a przynajmniej chustkę od nosa, a to tym łatwiej, że prócz Chińczyków zbierają się tu tak zwani hoodlums, to jest urwisze ostatniego rodzaju z całego miasta. Ścisk tu, zaduch nieznośny, gorąco nie do wytrzymania, częste zajścia i bójkę między Chińczykami a „hudlumami” kończące się niekiedy pchnięciem noża. Wśród gwaru, śmiechów i nawoływań: „ho Ah-Ming! Ah-wong! Tsen-Fu!” itp., słysząc trzeszczenia orzeszków bukowych, które publika gniecie i je nie tylko przed, ale i w czasie całego przedstawienia. Na koniec zasłona się podnosi, na scenie oświetlonej papierowymi lampami namazanymi łożem widać również papierowe drzewa, domki o powyginanych dachach i nieodstępne od życia chińskiego smoki; wchodzi jeden aktor, drugi i sztuka się rozpoczyna. Pisywałem w swoim czasie recenzje teatralne; nigdy jednak nie czułem się w podobnym kłopotcie, jak dać treściwe i dokładne sprawozdanie ze sztuki. Gdybyż to była jedna z takich, w których z prawej strony kulis wychodzi smok, z lewej słońce, smok chce słońce zjeść, a słońce mu się nie daje – po czym kortyna spada wśród ogólnego uniesienia publiczności! Nie! sztuka, którą widziałem, był to dramat z rodzaju, jaki Amerykanie oznaczają wyrazem *emotional*. Zdaje się, że przedstawiał on literata zakochanego w znacznie bogatszej od niego pannie. *Tout comme chez nous!* Panna jednak nie ukazywała się na scenie, ponieważ w przedstawieniach nie biorą udziału kobiety. Zresztą nie wiem, co dalej było, nie wiem, co było poprzednio, i nie wiem, na czym się skończyło. Pozwalam tylko sobie domyślać się, że ponieważ w Chinach dzieją się rzeczy niezmiernie, według naszych pojęć, nieprawdopodobne, zatem bogata panna zapewne oddała rękę ubogiemu literatowi. Ta niedokładność mego sprawozdania tłumaczy się bardzo po prostu. Naprzód, nie rozumiałem z tego, co mówiono, ani słowa, po wtóre, sztuka nie skończyła się tego wieczora. Aktorowie chodzili, rozmawiali, kilku skakało nawet, ale w końcu nie nastąpił ani ślub, ani pogrzeb. Trzęźwemu umysłowi chińskiemu w głowie nie może się pomieścić, aby sztuka obejmująca nieraz kilka lat z życia bohatera mogła się skończyć jednego wieczora. Byłoby to niezgodne z rzeczywistością i zgoła bezsensowne. Sztuka powinna się ciągnąć tyle lat, ile lat przedstawia – jeżeli trzy, to trzy, jeśli więcej, to więcej. Jest w tym wszystkim pewien chiński rozum! Jeśli dramat ma być rzeczywistością, niechże będzie rzeczywistością co się nazywa. Dzięki tej zasadzie sztukę daje się tu tak, jak u nas powieść w odcinku gazety. Co wieczór: „dalszy ciąg nastąpi”, a kto go chce widzieć, niech przyjdzie. W chwili gdy to piszę, zakochany literat nie zdołał jeszcze otrzymać ręki nadobnego „Kwiatu herbaty”, ale być może, że zdołał już zjednać sobie kilka wpływowych krewniaczek, z pomocą których łatwiej będzie mu dojść do pożądanego celu.

W towarzystwie policjanta można zwiedzić także rozmaite zakłady chińskie, do których dostęp prywatnym osobom jest wzbroniony, jako to: zamtuzy, domy w których grają sekretnie w karty lub palą opium, posępne jaskinie służące za schronienie nędzy chińskiej lub na koniec przytułki świeżo przybyłych „koolisów”, którzy nie mogli jeszcze znaleźć sobie roboty. W jednym z takich domów przytułkowych widziałem kilkadziesiąt osób umieszczonych w niewielkiej sali. Świeżo przybyli jedni leżeli na słomie śpiąc, drudzy popijali herbatę lub wyjadali ryż z wielkich, blaszanych naczyń z pomocą dwóch drewnianych pręcików zastępujących miejsce naszych narzędzi stołowych. Zręczność, z jaką Chińczycy posługują się tymi pręcikami, jest prawdziwie zadziwiająca; podczas gdy mnie większe nawet grudki ryżu wymykały się zawsze, Chińczyk chwycił nimi najmniejsze osobne ziarenka wybierając je tak dokładnie, jak ptak dziobem. Ogólny widok takiego domu tymczasowego przytułku przykre jednak sprawia wrażenie. Wszystko tu brudne, obdrapane, zaduszone, kobiety pomieszane z

mężczyznami, chorzy ze zdrowymi. Cała też ludność chińska prowadzi życie lada jakie, niechlujne i niezdrowe. Mieszkania chińskie, zawsze przepelnione, są zaraźliwymi jamami, w których grasuje syfilis i ospa. Pojęć o racjonalnej higienie nie mają żadnych; jedzą byle co nie tylko ci, którzy świeżo przyjechawszy nie mają roboty, ale nawet i zamożniejsi, albowiem skapstwo chińskie przechodzi wszelkie wyobrażenie. Ogólnie biorąc, jest to ludność spokojna i bojaźliwa, między sobą jednak Chińczycy kłócą się dość często i równie często kłótnie kończą się pchnięciem noża. Skłonni są także dosyć do kradzieży, dlatego też policja z żadną dzielnicą nie ma tyle do roboty, ile z chińską. A z drugiej strony nic trudniejszego, jak utrzymanie kontroli nad tą ludnością, której nazwiska są nie ustalone, do spamiętania i do napisania trudne, a prawie jednakowe. Ah-Wongów, Ah-Mingów, Jeh-Hangów liczy się tu na tysiące, a każdy pojedynczo wzięty podobny do drugiego jak dwie krople wody, każdy ma także same skośne oczy, takiż sam długi warkocz, spłaszczony nos, ubiór – słowem, wszystko. Dlatego też ściganie chińskiego przestępcy połączone bywa z nieprzełamanymi trudnościami, zwłaszcza że wszyscy są między sobą solidarni i że policji tutejszej nie wolno jest używać z żadną ludnością – czy białą, czy żółtą, czy czarną – środków gwałtownych.

Moralność Chińczyków kalifornijskich stoi na dosyć niskim stopniu. Kwitnie między nimi wszelkiego rodzaju kosterstwo, a zwłaszcza rozpusta, której przyczyną jest brak kobiet; ludność przebywająca tu składa się w dziewięciu dziesiątych z mężczyzn; bardzo niewielu z nich przywozi ze sobą żony, dlatego też zdarza się, że gdy między dziesięcioma Chińczykami zajmującymi mieszkanie znajduje się jedna kobieta, żyją z nią wszyscy razem. Przykłady takiej poliandrii widziałem często szczególnie na prowincji. W mieście kładą jej tamę domy publiczne, ale tylko do pewnego stopnia, ponieważ rząd stanowy ani domów publicznych, ani przywożenia nierządnic nie toleruje.

Przykłady owej rozpusty chińskiej oddziałują nawet ujemnie i na ludność białą w San Francisco, dostarczając antychińskiej partii tutejszej jednego więcej dowodu przeciw dowozowi Chińczyków.

Cała ta ludność kosooka dostawiana bywa do Kalifornii przez kompanie chińskie, których w San Francisco istnieje sześć, solidarnie ze sobą połączonych. Nazw ich nie będę cytował, albowiem rzecz to dla czytelników obojętna. Kompanie te wynajmują okręty przeważnie od „Pacific Steam Ship Company”, które ładują na swoje pomosty „koolisów” w Kantonie, Szanghaju i innych miastach portowych. Oczywiście kompanie płacą za nich podróż i utrzymują ich do czasu wynalezienia roboty w San Francisco. Jest to jeden z najobrzydliwszych w świecie monopolów, równających się w gruncie rzeczy niewolnictwu, albowiem jak łatwo zrozumieć, biedny, „kooli” zaciągnawszy dług na podróż, na pierwsze potrzeby życia, na ubiór, narzędzia rolnicze lub górnicze, płacąc przy tym komisowe od wynalezionej pracy, przy największej oszczędności, do jakiej tylko Chińczyk jest zdolny, nigdy prawie nie zdoła wypłacić się kompanii. Stąd Chińczycy są po prostu niewolnikami, a cała ich praca idzie na korzyść kompanii. Dodajemy do tego, iż kompania ich rządzi i sądzi, że nakazuje im zaopatrzyć się we wszystko w swoich tylko sklepach, w których daje im kredyt, a zrozumiemy łatwo, że zwłaszcza robotnik nigdy prawie z jej rąk wyjść nie może.

Wstąpiwszy nogą na ziemię amerykańską wszelki „kooli” niby jest wolny. Może natychmiast zerwać związek z kompanią i stosunek swój do niej zmienić w prosty stosunek dłużnika do wierzyciela. Mógłby nawet albo wcale nie spłacać zaciągniętych długów, albo spłacać w ratach dowolnych; mógłby znalazłszy sobie robotę nie brać w sklepie chińskim, słowem: rozpocząć życie na własną rękę. Ale rzadko to się zdarza. Naprzód, Chińczyk przybywając do kraju obcego bez środków, bez znajomości języka, między ludzi obcych i nieprzychylnych, widzi w kompanii jedyną ucieczkę i jedyną opiekę, słowem: swój chiński obóz; następnie, przywykły w kraju do despotyzmu mandarynów, do trzciny bambusowej, kang'i i tym podobnych tortur, nie odczuwa całego ucisku kompanii, a na koniec nie wie, że prawa miejsco-

we, potężniejsze od kompanii, będą w największej liczbie razów trzymały jego stronę, mało troszcząc się o kompanię.

Później, ocierając się o ludzi białych, oswoiwszy się z językiem i prawami, i ze swobodą, przychodzi do świadomości swego położenia, ale i wtedy trzyma go w rękach kompanii strach. Prawa miejscowe mogą go wprowadzić osłonić przed otwartym gwałtem, ale nie osłaniają przed pchnięciem noża przez niewiadomą rękę, jakie spotyka każdego „koolisa”, który by chciał przeciąć węzły łączące go z kompanią.

Duch swobody amerykańskiej dawno by podkopał i zniszczył istnienie tego ohydneho monopolu, gdyby nie to, że ze stanowiska prawnego nie ma się jak do kompanii przyczepić. Prawo pozwala na istnienie wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, pozwala na udzielanie kredytu robotnikom; Chińczycy nie są niewolnikami – jest to stosunek dłużników do wierzycieli. Monopol ten istnieje prywatnie, nie urzędowo; słowem: ze stanowiska prawnego kompanie są w porządku. Z tym wszystkim opinia publiczna tak dalece jest przeciw nim zwrócona, a agitacja antychińska takie przybrała rozmiary, że śmiało dziś można powiedzieć, iż tak dni istnienia kompanij jak i dowozu Chińczyków są już policzone.

Przypatrzmy się teraz temu, co Chińczycy robią w Kalifornii. Jedyna odpowiedź dokładna: wszystko. Znakomita ich część zwróciła się do rolnictwa. Całe San Francisco położone jest na bezpłodnych wydmach i wzgórzach piaszczystych, a jednak kto się uda na jego krańce, spostrzeże na krańcach nie zabudowanych jeszcze ulic, na wzgórkach, dolinach i pochyłościach, na bokach drogi, słowem: wszędzie, małe ogrody warzywne otaczające miasto jednym pasem zieloności. Chińska mrówcza praca zmieniła tu nieurodzajny piasek na najpłodniejszy czarnoziem. Jak i kiedy dokazali tego, sami chyba mogą dać na to odpowiedź, dość że wszelkie ogrodowizny, warzywa, ogrodowe owoce, maliny, truskawki dochodzą pod pieczę chińskich ogrodników do bajecznej wielkości. Widziałem truskawki tak wielkie, jak małe gruszki, głowy kapusty przechodzące rozmiarami po czterykroć nasze europejskie i dynie wielkości naszych balii do prania.

Chińska chałupa stoi w środku ogrodu, o każdej zaś porze dnia dostrzeżesz długowarkoczych żółtych ogrodników to kopiących, to wyrzucających nawóz na ziemię, to polewających warzywa. Czasem w interesie własnego apetytu lepiej tego nie widzieć, albowiem mnie samemu zdarzyło się podpatrzeć Chińczyków wlewających w rozchylone głowy nierozwiniętej jeszcze kapusty ciecz wytworzoną z ludzkich odchodów rozprowadzonych wodą. Całe San Francisco jednak żyje ogrodowizną i warzywami kupowanymi od Chińczyków. Co rano wiadać obładowane ich wozy ciągnące do środka miasta na targi lub zatrzymujące się przed prywatnymi domami. Można nawet rzec, że ta gałąź przemysłu przeszła w całej Kalifornii w ręce wyłącznie chińskie. Prawie nigdy jednak nie pracują oni na własnych gruntach, ale na wdzierzawionych. Nie kupują gruntów dlatego, że żaden Chińczyk nie przyjeżdża do Kalifornii, aby w niej osiąść stale, ale tylko dlatego, aby zarobić kilkaset dolarów i wrócić na starość do ojczyzny. Prócz przywiązania do kraju i powodów religijnych skłania ich do powrotu różnica znaczenia pieniędzy w Kalifornii i w Chinach. W Państwie Niebieskim, gdzie pieniądz jest drogi, kilkaset dolarów stanowi już fortunę pozwalającą posiadaczowi jej odpoczywać. „Ja być tu nic, nic – mówił do mnie jeden z Chińczyków – a w «Czajnie» 300 dolarów, ja wielki, o! wielki dżentelmen! (big, big gentleman).” Mnóstwo także Chińczyków pracuje u białych farmerów, szczególnie w sadach. W Kalifornii, począwszy od San Francisco aż do San Diego na południe, uprawa zbóż nie odgrywa wielkiej roli, klimat bowiem jest dla żyta, pszenicy i innych naszych zbóż z wyjątkiem jęczmienia za ciepły. Główną więc gałąź rolnictwa stanowi uprawa wina i pomarańcz na południu, a drzew owocowych i chmielu wyżej²⁸. Koło San Francisco i w hrabstwie Alameda wzdłuż linii kolei żelaznej ciągną się całe

²⁸ Sławna pszenica kalifornijska pochodzi z hrabstw położonych na północ od St. Francisco. Kłem rolniczy różni się od górniczego większą rozległością, rolniczy bowiem wynosi 100 akrów, czyli morgów, górniczy zaś zapewne tyleż jardów kwadratowych (jard=1 ½ łokcia).

ogrody jabłoni, grusz, drzew brzoskwiniowych, migdałów, miejscami pola na przestrzeni kilkunastu i kilkudziesięciu akrów pokryte są krzakami porzeczek, w bliskości Sacramento ciągną się ogromne chmielniki. Otóż pracą koło tych pól i ogrodów zajęci są prawie wyłącznie najemni Chińczycy. Co więcej: farmerowie twierdzą, że tego rodzaju na przykład zajęcie, jak obieranie porzeczek lub chmielu, wymagające drobiazgowej skrzętności, nie może być tak dobrze spełniane przez białych, a prócz tego, ponieważ praca białych dwa razy jest droższą, przy innych robotnikach, jak Chińczycy, nie opłaciłoby się wcale.

Z powodu silnie rozwiniętej agitacji antychińskiej próbowano już zastąpić Chińczyków dziećmi, ale pominąwszy już to, że dzieci, objadając się owocami przy zbiorze, zapadały na diarję, praca ich okazała się tak niedokładną, tyle owoców pozostawało na krzakach, że przynosiła raczej stratę niż zysk właścicielom.

Przy uprawie jednak zbóż na północy Kalifornii Chińczycy nie wytrzymują współzawodnictwa z białymi. Do orania, bronowania i żniwa robotnik biały, jako dwa razy silniejszy, daleko jest pożądanyszy. robi bowiem prędzej i potężniej. Tam jednak, gdzie białych nie ma, używają Chińczyków i do tych zajęć.

Na południu Kalifornii, gdzie kwitnie uprawa wina, mniej także używają Chińczyków, albowiem łatwo jest o robotników meksykańskich i indyjskich, tak silnych, jak i yankee, a pracujących równie tanio, jak Chińczycy. W Anaheim i w okolicach Los Angeles oborywaniem winogrodu trudnią się Meksykanie, zbieraniem zaś i wytłaczaniem prawie wyłącznie półcywilizowani Indianie, którzy przynoszą jeszcze i tę korzyść pracodawcom, że prawie zawsze przepijają u nich całkowity zarobek. Ale uprawa ogrodowizn i warzyw zostaje tak tu, jak i wszędzie, w ręku Chińczyków, również jak i wszystkie zajęcia służbowe spełniane w Europie przez kobiety.

Między skwaterami osiadłymi na ziemiach rządowych w Cost Ranye, Santa Ana, San Bernardino, Santa Lucia nie spotykałem prawie nigdy Chińczyków. Życie na pustyni, wśród lasów, wymaga potężnej pracy fizycznej, do której Chińczyk nie jest zdatny. Nie ma żadnego prawa, które by zabraniało brać im klemy rolnicze, osiadać na nich i po pewnym czasie dochodzić do własności, ale Chińczycy nie czynią tego nigdy. Życie na pustyni może zapewnić spokojny byt do śmierci, nie zapewnia jednak gotowych pieniężnych dochodów, o które Chińczykom, pragnącym na starość wrócić do Państwa Niebieskiego, głównie chodzi.

Drugim zajęciem ludności chińskiej wiejskiej jest przemywanie złota, jednakże zajęciem tym trudni się daleko mniejsza liczba Chińczyków niż rolnictwem, ci zaś, którzy się nim trudnią, prowadzą życie biedne i wypadkowo tylko chyba dochodzą do majątków. Najznakomitsze kopalnie złota są już od dawna w rękach rozmaitych bogatych stowarzyszeń, nie tak więc łatwo teraz, jak dawniej, o klemy górnicze. Dawniej, gdy odkryto w jakiej okolicy złoto, każdy, kto przychodził je kopać, zajmował klem, czyli pewną przestrzeń gruntu, na której sam jeden miał prawo czynić poszukiwania. Prawo zabraniające Chińczykom brać klemów górniczych nie istniało napisane, ale istniało jako prawo zwyczajowe. Po prostu górnicy biali nie znosili sąsiedztwa Chińczyków na klemach, a gdy ci ostatni zajęli je pierwej, wypędzano ich z pomocą rewolwerów. Dziś, gdy wszystko przeszło w ręce stowarzyszeń, gdy kopalnie „są tylko wielkimi przedsiębiorstwami akcyjnymi, gdy wreszcie nie pokazują się coraz nowe pokłady leżące na ziemiach jeszcze nie zajętych, rządowych, nawet biali nie mogą znaleźć klemów, a cóż dopiero Chińczycy. Chińczycy siadają więc na starych, opuszczonych od dawna bądź to przez samotnych górników, bądź przez kompanie. Oczywiście zarobki ich muszą być bardzo nieznaczne, tym bardziej że i środki używane przez nich do przemywania ziemi są bardzo proste, nie mogące wytrzymać porównania ze środkami używanymi przez bogate i potężne towarzystwa. Widziałem takie osady górnicze chińskie w okolicach Sebastopola. Na wzgórzach podartych przez dawnych górników, porozsypywanych, przemytych, pokruszonych, w okolicy pustej stoją nędzne nad wyraz chaty chińskie. Mieszkańcy ich wychodzą na robotę świtaniem, biorą ze sobą cokolwiek jadła i wracają dopiero wieczór. Cały dzień takiej

pracy nie przynosi im więcej jak 25 centów, czyli tyle, że gdyby np. jakakolwiek kompania chciała te wzgórze przemywać, musiałaby dopłacać z własnej kieszeni przynajmniej po 2 dolary dziennie każdemu robotnikowi. Ale Chińczyk żywi się lada czym; pije czystą wodę, garść ryżu i filiżanka herbacianego odwaru wystarcza mu na cały dzień, składa więc cent do centa dopóty, dopóki nie zbierze kilkuset dolarów lub nie umrze z wycieńczenia, co także często się trafia.

Przechodzę teraz do ludności miejskiej. Los Chińczyków pracujących w miastach bez porównania jest lepszy niż górników. Nie ma ani jednego rodzaju pracy, któremu by się nie oddawali. Zajmują się handlem, po fabrykach pracują jako robotnicy, wynajmują ich właściciele warsztatów rzemieślniczych, spełniają po hotelach wszystkie niższe usługi, zajmują się porządkiem w domach prywatnych; w traktierniach i na dworcach kolei żelaznych służą za kucharzy i garsonów, prawie wszystkie pralnie w mieście są w ich ręku i należy oddać im tę sprawiedliwość, że piorą pięknie, szybko i tanio; służą za niańki do dzieci. W domu prywatnym Chińczyk spełnia wszystkie obowiązki służącej: sprząta, zamiata, ściele łóżka, gotuje, pomywa, chodzi do miasta po sprawunki; jest to służący cichy, trzeźwy, pracowity, łagodny i posłuszny, a kosztujący bez porównania mniej niż biały. Od czasu znaczniejszego wzrostu ludności chińskiej w Kalifornii wszystkie ceny obniżyły się znakomicie. Począwszy od cygar kręconych ręką Chińczyka, skończywszy na artykułach żywności, wszystko daleko obecnie jest tańsze z tego powodu, że tańszy jest robotnik. Płaca, jaką tu bierze służący chiński, wyda się polskim czytelnikom bajecznie ogromną, ale zapewniam ich, że jak na Kalifornię, jest ona niezmiernie niską, a w najgorszym razie dwa razy przynajmniej niższą od płacy białego, a nawet białej kobiety. Wynosi ona od 15 do 20 dolarów (30-40 rs.) miesięcznie; na prowincji zaś można dostać przychodniego służącego i taniej. Najemnika białego do ciężkiej roboty płaci się tu powszechnie 2 dolary dziennie; Chińczyk robi, prawda, wolniej i nieco dłużej, ale zadawalnia się dolarem dziennie. Tak więc Chińczycy zniżyli cenę pracy, za którą poszło zniżenie cen wszelkiej produkcji i wszelkich potrzeb do życia.

Biorąc te rzeczy na uwagę można by poczytywać Chińczyków za dobrodziejstwo Kalifornii, gdyby nie to, że robią oni potężną konkurencję klasie roboczej białej, a poniekąd pozabawiają ją sposobu do życia. Biały nie może pracować tak tanio, jak Chińczyk, potrzebuje bowiem więcej jeść, mieć lepsze mieszkanie, nie dusić się po kilkunastu w jednej jamie; na koniec, biały robotnik częstokroć ma rodzinę, żonę i dzieci, Chińczyk zaś jest sam. Wyobraźmy sobie łatwo położenie białych klasy wyrobniczej, gdy pomyślimy, że 100 tysięcy Chińczyków pracujących w Kalifornii odebrało robotę stu tysiącom białym. W fabrykach, w zakładach rzemieślniczych, na kolejach, wszędzie żółci wyparli białych – w rezultacie więc Chińczycy, jeśli są dobrodziejstwem, to są dobrodziejstwem klas bogatych, potrzebujących usługi i rąk. W walce kapitału z pracą przeważyli oni stanowczo szalę na stronę kapitału. Niektórzy pracodawcy, choćby biali oddawali im swoją pracę taniej, woleliby jednak Chińczyków, jako robotników stojących poza kwestią socjalną, jako nie współobywateli ale półniewolników, cichych, posłusznych i karnych. Krótko mówiąc, Chińczycy są klęską klasy wyrobniczej, a w miarę jak ich jest coraz więcej, poczynają już robić nader niebezpieczną konkurencję drobnemu handlowi, drobnemu rolnictwu, drobnemu przemysłowi. Skutkiem tego wyrodziła się w San Francisco i w całej Kalifornii potężna antychińska agitacja, do której należy tysiące ludzi, a której celem jest powstrzymanie dowozu nowych „koolisów” do Kalifornii i wypędzenie wszelkimi sposobami dawniejszych.

Należą do tej agitacji ludzie wszelkich stanów, głównie jednak robotnicy, którzy częstokroć skłonni są do uciekania się do środków gwałtownych. Groźne rozruchy socjalne, jakie miały miejsce w stanach wschodnich, powtórzyły się i tu, tu jednak nosiły charakter antychiński. Byłem obecny tej nocy w San Francisco, w której spodziewano się rzezi chińskiej. Przy świetle łuny palących się budowli nadbrzeżnych ciągnęły ogromne, groźne tłumy robotników niosąc transparenta, na których były takie napisy, jak np: „Self-preservation is the first law of

nature” itp. Sklepy były pozamykane; Chińczycy, obwarowani na swoich wzgórzach i uzbrojeni w ręczne granaty, oczekiwali co chwila napadu. Jakoż było pewną rzeczą, że ludność ta, lubo w ogóle spokojna i bojaźliwa, bronić się będzie z rozpaczą. Z drugiej strony wystąpiły milicje miejskie i obywatele zbrojni w tak zwane „kloby”, tj. kije z niezmiernie ciężkiego drzewa, i rewolwery. Czasami na ulicach słyhać było strzały: strzelano przy palących się domach, których tłuszcz nie pozwalała gasić. Wielki jednakże meeting robotników odbył się burzliwie, ale bez rozlewu krwi. Postanowiono wysłać deputację do Kongresu, postanowiono nie kupować nic, co wychodzi z rąk chińskich, i tłumy się rozeszły. Ale pożary trwały jeszcze przez dni kilka, wszystko zaś uspokoiło się dopiero wtedy, gdy zarządy kolejowe, które pierwsze dały powód do rozruchów zmniejszeniem płacy białym, zgodziły się na niezmnijszanie płacy i na wydalenie Chińczyków z zakładów kolejowych.

Prócz tej jednej, groźnej manifestacji widziałem mnóstwo meetingów noszących charakter pokojowy, ale właśnie może dlatego mających większe znaczenie w agitacji antychińskiej. Obecnie nie sami tylko robotnicy do niej należą, ale większość dziennikarzy, drobniejszych obywateli, kupców, rzemieślników, słowem: większość mieszkańców Kalifornii. Ludzi myślących nie tylko przyczyny osobiste powodują do występowania przeciw żółtym, ale także i względy patriotyczne. Jakoż rozpatrując sprawę bezstronnym okiem, wyznać należy, że Kalifornia więcej może traci, niż zyskuje na Chińczykach. Zostawiają oni pracę – to prawda, ale wywożą z kraju pieniądze. Chińczyk nie wzbogaca miejscowego handlu ani przemysłu, wszystko bowiem kupuje i musi kupować w sklepach chińskich. Chińczyk nie bierze ziemi, nie osiada na niej jako rolnik, który ją przekaże synom i wnukom; Chińczyk nigdy prawie nie przyjmuje amerykańskiego obywatelstwa, jakkolwiek traktat burlinghamski, zawarty w roku 1868, daje żółtym równe prawa z innymi; Chińczyk na koniec dorobiwszy się jakiego takiego grosza opuszcza kraj, aby nigdy już do niego nie powrócić.

Dalej, Chińczycy nie tylko odebrali chleb klasie wyrobniczej białej, ale przynoszą krajowi daleko większą jeszcze szkodę: oto wstrzymują przyływ białej emigracji ze stanów wschodnich i Europy – tej emigracji, która osiedliłaby się raz na zawsze, przyjęła obywatelstwo i wytworzyła ludność nie wyzyskującą kraju, aby go potem opuścić, ale osiadła.

Na koniec jeszcze jedno: oto Chińczycy nie przyjmując obywatelstwa, a pracując w charakterze najemników wnoszą pewien pierwiastek służebniczy w to społeczeństwo, jedyne może na świecie, w którym równość nie jest czczym wyrazem. Bądź farmer, bądź przemysłowiec, bądź ktokolwiek używający Chińczyków, przyzwyczajony się z nimi do roli pana względem podwładnych, będzie z trudnością mógł jej zapomnieć nawet w stosunkach z białymi. Jest to względem może najważniejszy, stosunek bowiem taki jest grzechem przeciw moralności demokratycznej, na której wszystkie instytucje, a nawet istnienie społeczeństwa było dotychczas oparte.

Dlatego też do partii antychińskiej należą prócz robotników wszyscy inteligentniejsi ludzie w Kalifornii. Gdyby usunięcie ich leżało w zakresie praw stanowych, dawno by już zapewne byli usunięci, ale kwestia ta zaczepia o konstytucję całych Stanów Zjednoczonych. Stan zrobił, co było w jego mocy. Ustanowił osobnego komisarza chińskiego (Commisary of emigration), którego obowiązkiem było czuwać nad kompaniami chińskimi, rewidować okręty przywożące „koolisów”, nie puszczać indywiduów chorych, nierządnic i prawdę powiedziawszy, w ogóle dowóz obostrzać i utrudniać. W ostatnich czasach komisarzem takim był Rudolf Korwin Piotrowski, rodak nasz, któremu wiele wskazówek tyczących Chińczyków zawdzięczałam. Prócz tego prawodawstwo miejscowe przedsięwzięło inne jeszcze środki, z których najdzielniejszym był zakaz wywożenia zwłok zmarłych Chińczyków do Państwa Niebieskiego. Chińczycy, jak wiadomo, odznaczają się szczególniejszą czcią dla zmarłych. Według ich pojęć, wyrobionych na podstawie religii i odwiecznego obyczaju, każdy zmarły, aby przejść do Nirwany i spoczywać w spokoju, powinien być pogrzebany w granicach Państwa Niebieskiego. Rokrocznie też te same okręty, które przywoziły żywych, odwoziły umarłych. Dziś

wywóz zmarłych został raz na zawsze zakazany, co Chińczyków w Chinach wstrzymuje od wyjazdu w kraje „barbarzyńców” – Chińczyków kalifornijskich zaś skłania do jak najprędszego powrotu.

Tak stoi kwestia chińska w Kalifornii; obecnie przeszła ona już i do Kongresu w Waszyngtonie, w którym niemało zapewne narobi kłopotów, albowiem musi za sobą pociągnąć pewne zmiany, a przynajmniej zastrzeżenie w ogólnej konstytucji. Konstytucja wyraźnie, pozwala wszystkim cudzoziemcom przybywać do Stanów Zjednoczonych, naturalizować się w nich lub nie, trudnić się handlem, zarobkiem, słowem: czym się komu podoba. Legalnie więc biorąc, Chińczycy mają ją za sobą. Ale z drugiej strony, niebezpieczeństwa, na jakie z czasem z powodu emigracji chińskiej narażone być mogą stany leżące nad Oceanem Spokojnym, niebezpieczeństwa bardzo już widoczne w Kalifornii, a bliskie zapewne dla Washington Territory, Oregonu, Arizony i Nevady, mogą także zaważyć i zaważą zapewne niemało w umysłach tych, którzy mają moc zmieniania konstytucji. Nie ma wątpliwości, że kwestia chińska mogłaby z upływem lat sprowadzić także rozterki grożące zerwaniem unii między Wschodem a Zachodem, jakie niedawno sprowadziła kwestia niewolnictwa między Południem a Północą. Dziś jeszcze tak nie jest, dziś jest to zaledwie czarna chmurka na pogodnym horyzoncie Unii, jednakże ostrożność nakazuje dość wcześnie zabezpieczyć się od nawałnicy i piorunów. Przeciwnicy Chińczyków w Kalifornii zdołali podobno zainteresować bliżej samego prezydenta Haysa tą kwestią – jak zaś rozstrzygnie ją Kongres, wkrótce zobaczymy.